



KEN FOLLETT

ZBROJA ŚWIATŁA



ALBATROS

80 MILIONÓW SPRZEDANYCH EGZEMPLARZY POWIEŚCI Z CYKLU
„KINGSBRIDGE” MÓWI SAMO ZA SIEBIE.

A TERAZ UKORONOWANIE TEJ NAJPOPULARNIEJSZEJ SERII KENA
FOLLETTA.

Wielka historia widziana oczami zwykłych ludzi. Bunt przeciwko niesprawiedliwości i tłumieniu swobód, walka o rodzinę i o chwilę szczęścia, które pozwolą przetrwać ciężkie czasy. Bo w Kingsbridge znowu wrze i na rynku miasta stają szubienice.

Rok 1792. We Francji szaleje rewolucja. Tymczasem w Kingsbridge, miście słynącym z wytwarzania tkanin, wielu robotników, zastąpionych przez nowe maszyny, traci pracę i przymiera głodem. A kiedy Anglia wikła się w wojnę z Francją, dostatnie dotąd miasto przeżywa kryzys. I jak zawsze w trudnych momentach, jego mieszkańcy pokazują swoje prawdziwe oblicza.

Podczas gdy niektórzy – jak Sal Clitheroe – próbują dojść do kompromisu, ludzie tacy jak jej mąż dążą do konfrontacji. Kiedy Elsie, córka biskupa, prowadzi z młodym przedsiębiorcą Amosem szkołę dla biednych dzieci, inna dziewczyna, Jane, myśli tylko o tym, jak wyjść za arystokratę, a najbogatszy człowiek w mieście dopuszcza się każdej podłości, byle tylko pomnożyć majątek.

Czy sprawy mieszkańców Kingsbridge – te duże i małe – rozstrzygną się tak jednoznacznie jak bitwa pod Waterloo? Życie nie jest aż tak proste.

KEN FOLLETT

ZBROJA ŚWIATŁA

Z angielskiego przełożył
Janusz Ochab

ALBATROS

Wydanie elektroniczne

KEN FOLLETT

Brytyjski pisarz urodzony w 1949 roku w Walii. Autor thrillerów i powieści historycznych. Światową sławę przyniosła mu wydana w 1978 roku *Igła*. Kolejne tytuły, m.in. *Trzeci bliźniak*, *Zabójcza pamięć*, *Zamieć*, *Upadek gigantów*, *Zima świata* oraz *Krawędź wieczności*, utrwaliły jego pozycję jako autora bestsellerów.

Choć książki odwołujące się do wydarzeń z okresu II wojny światowej dominują w jego twórczości, autor za swoje najważniejsze dzieło nadal uważa sagę *Filary Ziemi* – owoc jego zainteresowania średniowieczem.

Na podstawie dzieł Folletta nakręcono wiele filmów oraz seriali, m.in. *Iglę*, *Klucz do Rebeki*, *Na skrzydłach orłów* i *Filary Ziemi*. W Polsce powstały cztery superprodukcje audio: osadzone w średniowiecznej Anglii *Filary Ziemi* i *Świat bez końca* oraz dwa pierwsze tomy trylogii *Stulecie: Upadek gigantów* i *Zima świata*. Głosu postaciom Folletta użyczyli w nich m.in. Krzysztof Gosztyła, Łukasz Simlat, Michał Żurawski, Antoni Pawlicki, Katarzyna Herman czy Agnieszka Wiedłocha.

Nakłady książek Kena Folletta przekroczyły 180 milionów egzemplarzy.

ken-follett.com

Tego autora

Powieści historyczne

Kingsbridge

NIECH STANIE SIĘ ŚWIATŁOŚĆ

FILARY ZIEMI

ŚWIAT BEZ KOŃCA

SŁUP OGNI

ZBROJA ŚWIATŁA

Stulecie

UPADEK GIGANTÓW

ZIMA ŚWIATA

KRAWĘDŹ WIECZNOŚCI

UCIEKINIER

NIEBEZPIECZNA FORTUNA

CZŁOWIEK Z SANKT PETERSBURGA

Thrillery wojenne

IGŁA

KRYPTONIM „KAWKI”

LOT ÓMY

KLUCZ DO REBEKI

NOC NAD OCEANEM

Thrillery

MŁOT EDENU

ZABÓJCZA PAMIĘĆ

TRÓJKA
ZAMIEĆ
SKANDAL Z MODIGLIANIM
TRZECI BLIŹNIAK
LWY PANSZIRU
PAPIEROWE PIENIĄDZE
NIGDY

Literatura faktu
NA SKRZYDŁACH ORŁÓW

Tytuł oryginału:
THE ARMOUR OF LIGHT

Copyright © Ken Follett 2023

All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2023

Polish translation copyright © Janusz Ochab 2023

Redakcja: Joanna Kumaszevska

Projekt graficzny okładki: Kasia Mieszka

Ilustracje na okładce: Alamy/BE&W (*maszyna*),

Ann Ronan Pictures/Print Collector/Getty Images (*zakład włókienniczy*),
Leemage/Corbis via Getty Images (*obraz autorstwa Jeana Louisa-Ernesta Meissoniera*)

Mapa: Daren Cook

ISBN 978-83-6775-996-0

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros|Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Konwersja do formatu EPUB oraz MOBI

Karol Ossowski

woblink

woblink.com

Spis treści

Część I. Mechaniczna przędzarka. 1792–1793

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Część II. Bunt kobiet. 1795

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Część III. Ustawa o stowarzyszeniach. 1799

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Część IV. Gangi werbowników. 1804–1805

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Część V. Wojna światowa. 1812–1815

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Część VI. Bitwa pod Waterloo. 16–18 czerwca 1815

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Część VII. Pokój. 1815–1824

Rozdział 44

Rozdział 45

Podziękowania

EUROPA W 1815



Edynburg

WIELKA BRITANIA
KINGSBRIDGE
Oksford
Badford
Combe

Londyn
Antwerpia
Bruksela

Charleroi
Waterloo 1815

Paryż

CESARSTWO FRANCUSKIE

Grenoble

Toulouse

Vitoria

KROLESTWO HISZPANII
Valladolid
Ciudad Rodrigo
Madryt

Cannes

Elba

Trafalgar 1805

CESARSTWO AUSTRII

Dedykuję tę powieść historykom. Są ich tysiące, na całym świecie.

Niektórzy siedzą w bibliotekach i pochyleni nad starożytnymi manuskryptami, próbują zrozumieć martwe języki zapisane w tajemniczych hieroglifach. Inni klęczą na ziemi wśród ruin i przesypując ziemię, szukają śladów zaginionych cywilizacji.

Jeszcze inni czytają śmiertelnie nudne rządowe dokumenty, opisujące dawno już zapomniane kryzysy polityczne. Nie ustają w poszukiwaniu prawdy.

Bez nich nie rozumielibyśmy, skąd przychodzimy. A wtedy jeszcze trudniej byłoby nam zrozumieć, dokąd dążymy.

*Odrzućmy więc uczynki ciemności, a przyobleczmy się w zbroję
światła!*

Rz 13,12*

* Wszystkie cytaty ze Starego i Nowego Testamentu za *Biblią Tysiąclecia*.

CZEŚĆ I
Mechaniczna przędzarka
1792–1793

ROZDZIAŁ 1

Wcześniej Sal Clitheroe nigdy nie słyszała, żeby jej mąż krzyczał. Nie słyszała tego również nigdy potem, chyba że w snach.

Kiedy dotarła do Brook Field, było południe, na co wskazywała barwa światła słabo prześwitującego przez perłowoszare chmury, które zakrywały niebo. Błotniste czteroakrowe pole ograniczały z jednej strony rwący strumień, a z drugiej, od południa, niskie wzgórze. Dzień był chłodny i bezdeszczowy, wcześniej jednak padało przez cały tydzień, więc gdy szła przez kałuże, musiała uważać, by jej domowej roboty buty nie zostały w lepkiem szlamie. Taka mozolna wędrówka mogłaby ją pozbawić sił, Sal była jednak silną dużą kobietą i nie męczyła się szybko.

Czterej mężczyźni pracujący na polu zbierali rzepy; pochylali się, podnosili gruzłowate brązowe bulwy i wrzucali je do szerokich, płytkich koszy zwanych korfami. Kiedy kosz był już pełny, robotnik niósł go do podnóża pagórka i wyrzucał rzepy na wielki czterokołowy wóz z dębowego drewna. Sal przypuszczała, że niedługo skończą, bo po tej stronie pola nie było już co zbierać i mężczyźni pracowali w pobliżu wzgórza.

Byli tak samo ubrani: w koszule bez kołnierzyków, spodnie za kolana uszyte przez ich żony z materiałów, które same utkały, oraz kamizelki kupione z drugiej ręki lub wyrzucone przez bogaczy. Ojciec Sal miał wyjątkowo elegancką, dwurzędową, w czerwono-brązowe prążki, z szamerowanymi brzegami, porzuconą przez jakiegoś dandysa z miasta. Właściwie nigdy jej nie zdejmował i w niej miał zostać pochowany.

Na nogach robotnicy mieli wielokrotnie naprawiane znoszone buty. Wszyscy nosili jakieś nakrycia głowy, ale każdy inne: czapkę z króliczego futra, słomiany

kapelusz z szerokim rondem albo filcowy, a jeden miał trikorn, który niegdyś mógł należeć do oficera marynarki wojennej.

Sal od razu rozpoznała futrzaną czapkę męża, Harry'ego. Zrobiła ją sama ze skóry zdjętej z królika, którego schwytała, zabiła kamieniem i ugotowała z cebulą. Poznałaby jednak Harry'ego z daleka, nawet gdyby nie nosił tej czapki, po rudej brodzie.

Mimo że był chudy, miał zaskakująco dużo siły; ładował do swojego korfu tyle samo rzep co więksi od niego mężczyźni. Na sam widok jego smukłego twardego ciała poruszającego się po drugiej stronie błotnistej pola Sal poczuła, jak rozpała się w niej płomyk pożądania, zapowiedź czekającej przyjemności, niczym zapach drewna płonącego w kominku, obietnica ciepła w zimny dzień.

W miarę jak zbliżała się do pracujących mężczyzn, coraz wyraźniej słyszała ich głosy. Co kilka minut któryś coś wołał, inni odpowiadali i w końcu wybuchali śmiechem. Nie rozumiała jeszcze poszczególnych słów, ale domyślała się, o czym mówią. Zwykle były to obelgi wypowiedane z udawaną agresją, dobroduszne przytyki i rubasznie wulgarne uwagi, żarty urozmaicające nieco monotonię tej ciężkiej pracy.

Czwórce robotników przyglądał się piąty mężczyzna, który stał przy wozie i trzymał w dłoni krótki bat. Był lepiej ubrany od pozostałych – w niebieski kaftan i wypolerowane czarne buty do kolan. Nazywał się Will Riddick, miał trzydzieści lat i był najstarszym synem dziedzica Badford. Pole należało do jego ojca, podobnie jak koń i wóz. Will miał czarne gęste włosy, przycięte na wysokości podbródka, i wyglądał na niezadowolonego. Sal domyślała się dlaczego. Nadzorowanie zbioru rzepy nie należało do jego obowiązków, uważał wręcz, że uwłacza to jego godności. Zarządca dziedzica zachorował jednak i Will zapewne został zmuszony go zastąpić.

Obok Sal przez błotniste pole szedł bosy mały chłopiec, który z trudem dotrzymywał jej kroku. W końcu przystanęła, pochyliła się, podniosła go bez wysiłku i szła dalej, niosąc synka na rękach. Oparł głowę na jej ramieniu, a Sal

przytuliła jego ciepłe szczupłe ciało nieco mocniej, niż było to konieczne, po prostu dlatego, że bardzo go kochała.

Chciałaby mieć więcej dzieci, ale już dwa razy poroniła, a raz urodziła martwe niemowlę. Porzuciła więc nadzieję i tłumaczyła sobie, że są biedni i jedno dziecko im wystarczy. Pilnowała synka, prawdopodobnie za bardzo, ale wiedziała, że małe dzieci często padają ofiarą chorób czy wypadków, i pękłoby jej serce, gdyby go straciła.

Dała mu na imię Christopher, ale kiedy uczył się mówić, zniekształcał je i wymawiał jako Kit, więc tak go teraz nazywano. Był drobny jak na sześciolatka. Sal miała nadzieję, że będzie podobny do ojca: szczupły, ale silny. Na razie z pewnością odziedziczył po nim rude włosy.

Nadeszła już pora południowego posiłku, a Sal niosła kosz z serem i chlebem oraz trzy pomarszczone jabłka. W pewnej odległości za nią szła inna żona z tej samej wioski, Annie Mann, energiczna kobieta w tym samym wieku co Sal. Dwie kolejne zbliżały się do robotników z drugiej strony, schodząc ze zbocza; obie niosły kosze z jedzeniem i towarzyszyły im dzieci. Mężczyźni z ulgą przerwali pracę, wytarli ubłocone dłonie w spodnie i ruszyli w stronę strumienia, gdzie mogli usiąść na trawie.

Sal dotarła do ścieżki i ostrożnie postawiła Kita na ziemi.

Will Riddick wyjął z kieszeni kamizelki zegarek na łańcuszku i patrzył na niego, marszcząc brwi.

– Jeszcze nie ma południa! – zawołał. Sal była pewna, że kłamie, ale nikt inny nie miał zegarka. – Wracajcie do pracy!

Nie była zaskoczona. Will bywał naprawdę podły. Jego ojciec też potrafił traktować ludzi bardzo surowo, ale syn dziedzica był jeszcze gorszy.

– Jak dokończycie pracę, zjecie te swoje obiady – dodał, wypowiadając słowa „te swoje obiady” z nutą pogardy, jakby posiłki robotników były czymś obrzydliwym.

Sal pomyślała, że on zje we dworze rostbef z ziemniakami i pewnie popije dzbanem mocnego piwa.

Trzej robotnicy posłusznie wrócili do pracy, ale czwarty – Ike Clitheroe, siwobrody mężczyzna koło pięćdziesiątki – nie zrobił tego.

– Lepiej nie przeciążać wozu, panie Riddick – powiedział łagodnym tonem.

– Pozwól, że ja o tym zdecyduję.

– Bardzo przepraszam – nie poddawał się Ike. – Ale hamulec jest prawie całkiem zużyty.

– Ten cholerny wóz jest w porządku – odparł Will. – Po prostu chcecie wcześniej skończyć pracę. Jak zawsze.

– Powinien pan posłuchać mojego stryja Ike’a – wtrącił się bez wahania mąż Sal. – Inaczej może pan stracić wóz, konia i wszystkie te cholerne rzepy.

Pozostali mężczyźni parsknęli śmiechem. Żarty kosztem panów mogły się jednak źle skończyć.

Will gniewnie zmarszczył brwi.

– Zamknij tę swoją zuchwałą gębę, Harry Clitheroe.

Sal poczuła, jak mała rączka Kita wsuwa się w jej dłoń. Jego ojciec właśnie wdawał się w konflikt, a chłopczyk, choć był mały, nieomylnie wyczuwał niebezpieczeństwo.

Harry był uczciwym człowiekiem i pracowitym robotnikiem, ale też zuchwałym i uważał, że szlachta nie jest w niczym lepsza od niego. Sal kochała go za tę dumę i niezależne myślenie, lecz panowie tego nie znosili i często miał kłopoty z powodu niesubordynacji. Tym razem jednak wygłosił swoje zdanie, po czym w milczeniu wrócił do pracy.

Kobiety postawiły koszyki na brzegu strumienia. Sal i Annie poszły pomóc mężom przy zbieraniu rzep, podczas gdy dwie inne żony – starsze od nich – zostały przy posiłkach.

Praca szybko dobiegła końca.

W tym momencie było już oczywiste, że Will popełnił błąd, zostawiając wóz u podnóża zbocza. Powinien był postawić go pięćdziesiąt jardów dalej, by koń nabrał rozpędu przed wspinaczką na wzgórze. Zastanawiał się nad tym przez chwilę, po czym wydał polecenie:

– Popchnijcie wóz od tyłu, żeby koń się rozpędził. – Wskoczył na kozioł, machnął batem i zawołał: – Wio!

Siwa kobyła naparła na uprząż.

Czterej robotnicy ustawili się za wozem i zaczęli pchać. Ich stopy ślizgały się na wilgotnym podłożu. Mięśnie na ramionach Harry’ego dygotały z wysiłku. Sal, która nie była słabsza od nich, spróbowała im pomóc. Dołączył do nich także mały Kit, co mężczyźni skwitowali uśmiechami rozbawienia.

Koła obróciły się w miejscu, a kobyła z pochylonym łbem jeszcze mocniej naparła na uprząż; trzasnął bat i wóz ruszył z miejsca. Robotnicy zostali z tyłu i obserwowali, jak zwierzę wspina się w górę zbocza. Lecz po chwili zwolniło.

– Pchajcie dalej! – krzyknął Will przez ramię.

Dopadli wozu, przyłożyli dłonie do tylnej burty i napięli mięśnie. Wóz znów nabrał rozpędu. Przez kilka jardów kobyła utrzymywała tempo, napierając na skórzaną uprząż, nie była jednak w stanie uciągnąć tak wielkiego ciężaru. Zwolniła, a potem poślizgnęła się w grząskim błocie. Wydawało się, że odzyska równowagę, lecz straciła impet i wóz stanął w miejscu. Will smagał zwierzę batem, a Sal i mężczyźni wyteżali wszystkie siły, ale nie mogli utrzymać pojazdu, gdy wysokie drewniane koła zaczęły się obracać do tyłu.

Gdy Will pociągnął za rączkę hamulca, rozległ się głośny trzask i Sal zobaczyła, jak od tylnego koła odrywają się dwie połówki pękniętej drewnianej płytki hamulcowej, a potem usłyszała głos Ike’a:

– Mówiłem gnojkwowi, mówiłem.

Pchali najmocniej, jak potrafili, lecz wóz wciąż przesuwał się do tyłu. Sal ogarnęło straszne przeczucie nadciągającego niebezpieczeństwa. Pojazd nabierał prędkości.

Wtedy Sal zobaczyła nogę męża i zachłysnęła się z przerażenia: była roztrzaskana. Ze skóry wystawały kawałki popękanych kości, spodnie były przesiąknięte krwią. Harry miał zamknięte oczy i z jego na wpół otwartych ust wydobywał się okropny jęk. Sal usłyszała, jak Ike szepcze:

– Och, dobry Boże, oszczędź go.

Kit zaczął płakać.

Jego matka była bliska łez, ale się opanowała; musiała sprowadzić pomoc. Kto tu najszybciej biegał? Rozejrzała się dokoła i zatrzymała wzrok na Annie.

– Annie, biegnij pędem do wioski, do Aleca. – Alec Pollock był miejscowym cyrulikiem. – Powiedz mu, żeby poszedł do naszego domu. On będzie wiedział, co zrobić.

– Pilnuj moich dzieci – poprosiła Annie i poderwała się do biegu.

Sal uklękła w błocie obok męża. Harry otworzył oczy.

– Pomóż mi – powiedział. – Pomóż mi.

– Zniosę cię do domu, kochany – odparła. Wsunęła ręce pod jego ciało, ale gdy próbowała je unieść, krzyknął. Cofnęła szybko ręce i szepnęła: – Jezu, pomóż mi.

Słyszała, jak Will mówi:

– Mężczyźni niech się zajmą wrzucaniem rzep z powrotem na wóz. No już, ruszać się.

– Niech ktoś zamknie mu gębę, zanim ja to zrobię – powiedziała cicho.

– Co z pana koniem, panie Riddick? – spytał Ike. – Może wstać? – Przeszedł na drugą stronę wozu, by przyjrzeć się klaczy, a jednocześnie by odciągnąć uwagę Willa od Harry’ego.

Dziękuję ci, sprytny stryju Ike, pomyślała Sal. Odwróciła się do męża Annie, Jimmy’ego Manna, który miał na głowie trikorn.

– Idź do składu drewna – powiedziała. – Poproś, żeby szybko zbili nosze z dwóch albo trzech szerokich desek, żebyśmy mogli ułożyć na nich Harry’ego.

– Już się robi – rzucił Jimmy.

– Pomóżcie mi podnieść konia na nogi! – zawołał Will.

– On już nie wstanie, panie Riddick – powiedział Ike.

Will milczał przez chwilę, po czym westchnął ciężko.

– Chyba masz rację – przyznał.

– Może przyniesie pan broń? – zasugerował Ike. – I skróci zwierzęciu cierpienia.

– Tak. – Will skinął głową, ale nie ruszał się z miejsca.

Sal uzmysłowiła sobie, że choć syn dziedzica z wyniosłością udaje obojętność, jest zszokowany.

– Proszę łyknąć sobie brandy, jeśli ma pan przy sobie butelkę – podsunął Ike.

– Dobry pomysł.

Kiedy Will pił, Ike dodał:

– Temu biedakowi z roztrzaskaną nogą też przydałoby się parę łyków. Ulżyłoby mu to trochę w bólu.

Syn dziedzica nie odpowiedział, ale chwilę później Ike wyszedł z za wozu ze srebrzystą piersiówką w dłoni, a Will ruszył szybko w przeciwnym kierunku.

– Dobra robota, Ike – mruknęła Sal.

Podał jej piersiówkę. Sal przystawiła ją do ust męża i przechyliła. Harry zakasłał, przełknął płyn i otworzył oczy. Gdy ponownie przechyliła butelkę, upił łąpczywie kolejny łyk.

– Niech wypije jak najwięcej – powiedział Ike. – Nie wiem, co będzie musiał zrobić Alec.

Sal zastanawiała się przez moment, co stryj ma na myśli, i w końcu zrozumiała, że zdaniem Ike'a być może trzeba będzie uciąć Harry'emu nogę.

– O nie... – jęknęła. – Boże, proszę.

– Na razie daj mu tylko więcej brandy.

Alkohol sprawił, że na twarzy Harry'ego pojawiły się lekkie rumieńce.

– Boli, Sal, strasznie boli – odezwał się ledwie słyszalnym szeptem.

– Wezwaliśmy już cyrulika – odparła, bo nie wiedziała, co powiedzieć. Chciało jej się płakać z bezsilności.

Kiedy czekali na nosze, kobiety nakarmiły dzieci. Sal wyjęła z koszyka jabłka i dała Kitowi. Mężczyźni zaczęli zbierać rozrzucone rzepy i wkładać je na wóz. Wcześniej czy później i tak musieliby to zrobić.

Jimmy Mann wrócił z ciężkimi drewnianymi drzwiami, które opierał na ramieniu. Dysząc z wysiłku, z trudem położył je na ziemi, bo musiał je przeciegnąć przez pół mili.

– To do tego nowego domu budowanego przy młynie – wyjaśnił. – Prosimy, żeby ich nie zniszczyć. – Przesunął je tak, by leżały obok Harry’ego.

Trzeba było przenieść rannego na prowizoryczne nosze, a to musiało go zboleć. Sal uklękła przy głowie męża. Ike chciał jej pomóc, lecz machnęła ręką. Wiedziała, że nikt inny nie będzie się starał tak bardzo jak ona zrobić tego jak najdelikatniej. Złapała Harry’ego za ramiona, tuż pod barkami, i zaczęła powoli przenosić górną część jego tułowia nad drzwi. Nie zareagował. Robiła to powoli, cal po calu, dopóki niemal cały tułów nie znalazł się na drzwiach. Potem czekało ją przesunięcie nóg. Stała nad mężem okrakiem, pochyliła się, złapała go za biodra i jednym szybkim ruchem przeniosła nogi na drzwi.

Harry krzyknął. Po jakimś czasie krzyk ucichł i zamienił się w szloch.

– Podnieśmy go – powiedziała. Uklękła przy jednym rogu drzwi, a trzech mężczyzn złapali pozostałe. – Powoli. Trzymajcie je równo.

Chwycili mocno za krawędzie i podnosili stopniowo drzwi, po czym równocześnie oparli je na ramionach.

– Gotowi? – spytała Sal. – Starajcie się iść równym krokiem. Raz, dwa, trzy, idziemy.

Ruszyli przez pole. Sal obejrzała się i zobaczyła, że Kit, choć oszołomiony i wystraszony, idzie tuż za nią i niesie koszyk. Dwoje małych dzieci Annie szło za ojcem, Jimmym, który podtrzymywał tylny lewy róg drzwi.

Badford było dużą wioską, miało tysiąc albo i więcej mieszkańców, a dom Sal stał jakąś milę od pola. Czekał ich powolny długi marsz, ale Sal znała drogę tak dobrze, że mogłaby ją zapewne przejść z zamkniętymi oczami. Mieszkała tu przez całe życie; jej rodzice leżeli na cmentarzu przy kościele Świętego Mateusza. Jedyną miejscowością, jaką odwiedziła do tej pory, było Kingsbridge; po raz ostatni była tam dziesięć lat temu. W ciągu jej życia Badford bardzo się zmieniło i już nie tak łatwo dało się przejść z jednego krańca wioski na drugi. Zmienił się sposób uprawy pól, pojawiły się liczne murki i żywopłoty. Teraz, niosąc Harry'ego, musieli raz po raz przechodzić przez furtki i kluczyć po ścieżkach między prywatnymi królestwami.

Dołączali do nich mężczyźni pracujący na innych polach, kobiety, które wychodziły z domów, by zobaczyć, co się dzieje, małe dzieci i psy. Szli za nimi i rozmawiali o biednym Harrym i jego strasznym wypadku.

Pokonując kolejne jardy i uginając się pod ciężarem męża i drzwi, Sal przypomniała sobie, jak jako pięciolatka – nazywana wtedy Sally – wyobrażała sobie krainę poza wioską jako wąski krąg ziemi, coś w rodzaju ogrodu otaczającego jej dom. Wydawało jej się, że cały świat jest niewiele większy od Badfordu. Kiedy po raz pierwszy pojechała z rodzicami do Kingsbridge, była oszołomiona: tysiące ludzi, zatłoczone ulice, stragany pełne jedzenia, ubrań i rzeczy, o których nigdy nie słyszała – po raz pierwszy widziała wtedy papugę, globus, książkę, w której można było pisać, srebrne naczynia. A potem katedra, niewyobrażalnie wysoka, dziwnie piękna, w środku chłodna i cicha, prawdziwy dom Boży.

Kit był teraz tylko odrobinę starszy niż Sal podczas tej zdumiewającej pierwszej podróży. Próbowała sobie wyobrazić, o czym syn myśli w tym momencie. Przypuszczała, że zawsze postrzegał ojca jako niezniszczalnego – jak większość chłopców – a teraz musiał pogodzić się z myślą, że Harry jest ciężko ranny i bezradny. Był pewnie przerażony i dezorientowany. Potem będzie musiała się nim zająć, dodać mu otuchy.

W końcu zobaczyli jej dom, jeden z biedniejszych w wiosce, wzniesiony z torfu i splecionych gałęzi i witek. Otwory bez szkła były zakryte okiennicami.

– Kit, pobiegnij przodem i otwórz drzwi – poprosiła Sal.

Chłopiec posłusznie wysforował się, mogli więc od razu wnieść Harry’ego do środka. Tłum pozostał na zewnątrz i zaglądał do wnętrza.

Dom składał się tylko z jednej izby. Stały tu dwa łóżka, jedno wąskie i jedno szerokie, proste platformy z nielakierowanych desek, które Harry zbił gwoźdźmi. Na obu leżały sienniki.

– Połóżmy go na tym większym – powiedziała Sal.

Ostrożnie ułożyli na łóżku drzwi z Harrym.

Przez jakiś czas stali, rozcierając obolałe ramiona i rozciągając przygarbione plecy. Sal wpatrywała się w bladego jak ściana męża, który leżał, nie poruszając się, i ledwie oddychał.

– Panie, proszę, nie zabieraj mi go – wyszeptała.

Kit stanął przed nią i ścisnął ją mocno, wtulając twarz w jej brzuch, który po jego narodzinach był miękniejszy niż dawniej. Pogłaskała syna po głowie. Chciała powiedzieć mu coś pocieszającego, ale nic nie przychodziło jej na myśl. A prawda byłaby przerażająca.

Zauważyła, że mężczyźni rozglądają się po domu. Był dość biedny, ale ich domostwa nie wyglądały inaczej, bo wszyscy byli robotnikami rolnymi. Na środku izby stał kołowrotek Sal, wykonany z wielką starannością i precyzją, wypolerowany do połysku. Odziedziczyła go po matce. Obok leżała mała sarta szpul z gotową przędzą, które wkrótce miał zabrać sukiennik. Dzięki kołowrotkowi stać ich było na drobne luksusy: herbatę z cukrem, mleko dla Kita, mięso dwa razy w tygodniu.

– Biblia! – wykrzyknął Jimmy Mann, zauważywszy drugi kosztowny przedmiot w domu. Gruba księga oprawiona w skórę, na której widniały ślady wielu brudnych rąk, i spięta zaśniedziałą mosiężną klamrą, leżała na środku stołu.

– To Biblia mojego ojca – wyjaśniła Sal.

– Umiesz czytać?

– Nauczył mnie.

Byli pod wrażeniem. Sal przypuszczała, że żaden z nich nie potrafił przeczytać więcej niż kilka słów: własne imiona i nazwiska, być może ceny wypisane na bazarach i w tawernach.

– Mamy zsunąć Harry’ego z drzwi na materac? – spytał Jimmy.

– Byłoby mu wygodniej – odparła.

– A ja będę spokojniejszy, jeśli oddam te drzwi do składu drewna.

Sal przeszła na drugą stronę łóżka i uklękła na klepisku. Wyciągnęła ręce, by przytrzymać Harry’ego, kiedy zsunie się na siennik. Trzej mężczyźni złapali za drzwi z drugiej strony.

– Powoli, delikatnie – przestrzegala ich.

Mężczyźni unieśli nieco nosze po swojej stronie. Harry przesunął się o cal i jęknął.

– Jeszcze wyżej – poprosiła Sal. Tym razem jej mąż zsunął się na skraj drzwi. Sal przygotowała ręce na przejęcie go. – Jeszcze trochę. I odciągnijcie drzwi o cal albo dwa.

Kiedy Harry zaczął się ponownie przemieszczać, wsunęła pod jego ciało dłonie i przedramiona. Chciała w ten sposób dopilnować, by w jak najmniejszym stopniu zmienił pozycję. Wyglądało na to, że jej się udało, bo Harry nie wydał żadnego dźwięku. Przeszła jej jednak przez głowę myśl, że ta cisza może być złowieszczą.

Na samym końcu pociągnęli drzwi odrobinę za mocno i zmiażdżona noga rannego opadła ciężko na siennik. Znow krzyknął. Tym razem Sal przywitała ten dźwięk z ulgą, jako znak, że mąż wciąż żyje.

Chwilę później przyszła Annie Mann z cyrulikiem Alekiem. Najpierw sprawdziła, czy do domu Sal dotarły jej dzieci i czy nic im nie jest. Potem spojrzała na Harry’ego. Nie odezwała się ani słowem, ale Sal widziała, że jest zszokowana jego stanem.

Alec Pollock był schludnym mężczyzną, ubranym w kaftan i spodnie za kolana, stare, ale dobrze utrzymane. Wszystko, co wiedział o medycynie, przekazał mu ojciec, który też był cyrulikiem; również od niego Alec dostał ostre noże i inne narzędzia.

Przyniósł małą drewnianą skrzynkę z uchwytem i postawił ją na podłodze obok kominka. Potem spojrzał na Harry'ego.

Sal wpatrywała się w cyrulika, próbując wyczytać coś z jego twarzy, jej wyraz pozostawał jednak nieprzenikniony.

– Harry, słyszysz mnie? – spytał Alec. – Jak się czujesz?

Harry nie reagował.

Cyrulik spojrzał na zmiażdżoną nogę, przy której siennik nasiąkł krwią, i dotknął kości przebijających skórę. Harry krzyknął z bólu, ale nie tak przerażająco jak wcześniej, a potem znowu, gdy Alec dotknął rany. Gdy cyrulik złapał za kostkę Harry'ego i podniósł jego nogę, ten zawył z bólu.

– Jest źle, prawda? – odezwała się Sal.

Alec spojrzał na nią i zawahał się.

– Tak – odparł po chwili.

– Możesz coś zrobić?

– Nie mogę nastawić złamanych kości. Czasami jest to możliwe: jeśli złamała się tylko jedna kość i za bardzo się nie przemieściła, mogę ją nastawić i unieruchomić łupkami, żeby się zrosła. Ale Harry ma uszkodzone kolano i kilka paskudnie złamanych kości.

– Więc?

– Najgroźniejsze jest zakażenie, które może wdać się w ranę i doprowadzić do gnicia ciała. To może skończyć się śmiercią. Rozwiązaniem jest amputacja nogi.

– Nie – rzuciła Sal głosem drżącym z desperacji. – Nie, nie możesz odciąć mu nogi, dość się już nacierpiał.

– To może uratować mu życie.

– Musi być jakiś inny sposób – upierała się Sal.

– Mogę spróbować wyparzyć ranę – powiedział Alec z powątpiewaniem. – Ale jeśli to nie zadziała, pozostanie tylko amputacja.

– Spróbuj, proszę.

– Dobrze. – Pochylił się nad skrzynką i otworzył ją. – Sal, możesz rozpalic w palenisku? To musi być naprawdę gorące.

Zajęła się posłusznie rozpalaniem ognia.

Alec tymczasem wyjął ze skrzynki ceramiczną miskę i zakorkowaną butelkę.

– Pewnie nie masz brandy, co? – zwrócił się do Sal.

– Nie – odparła, po czym przypomniała sobie o piersiówce Willa. Na polu wsunęła ją pod sukienkę. – Mam – poprawiła się i ją wyjęła.

Cyrulik uniósł brwi.

– To własność Willa Riddicka – wyjaśniła Sal. – To przez tego przekłętego głupca doszło do wypadku. Szkoda, że to nie on był pod wozem.

Alec udał, że nie słyszał obelg pod adresem syna dziedzica.

– Niech Harry wypije jak najwięcej – nakazał. – Jeśli zemdleje, tym lepiej.

Sal usiadła na łóżku obok męża, podniosła jego głowę i powoli wlewała mu brandy do ust, podczas gdy Alec podgrzewał olej w misce.

Gdy piersiówka była całkiem pusta, olej już wrzał. Sal zrobiło się niedobrze na ten widok.

Cyrulik wsunął pod kolano Harry'ego szerokie, płytkie naczynie. Razem z żoną ranego jego poczynaniom przyglądała się przerażona publiczność: trzech robotnicy, Annie, dwoje jej dzieci i blade jak ściana Kit.

Kiedy nadszedł właściwy moment, Alec działał szybko i sprawnie. Za pomocą szczypców podniósł miskę znad ognia i wylał wrzący płyn na kolano ranego.

Harry wydał z siebie najgorszy ze wszystkich dotąd krzyk, a potem stracił przytomność.

Dzieci się rozplakały.

Izbę wypełniła paskudna woń przypalanego ludzkiego ciała.

Alec poruszał na boki płytkim naczyniem pod nogą Harry'ego, gdzie spłynął gorący olej, i w ten sposób wyparzył ranę pod kolanem. Potem wysunął naczynie, zlał olej do butelki i zakorkował ją.

– Prześlę rachunek dziedzicowi – oznajmił.

– Mam nadzieję, że ci zapłaci – powiedziała Sal. – Ja nie mam z czego.

– Powinien. Jako dziedzic ma pewne obowiązki wobec swoich robotników, choć nie istnieje prawo, które by go do tego zmusiło. Tak czy inaczej, to sprawa między mną i nim, więc nie przejmuj się tym. Harry nie będzie chciał nic jeść, ale spróbuj go namówić, żeby jak najwięcej pił. Najlepiej herbatę. Może być też piwo albo woda. I pilnuj, żeby było mu ciepło. – Alec zaczął pakować swoje rzeczy do skrzynki.

– Mogę zrobić coś jeszcze? – spytała Sal.

Wzruszył ramionami.

– Módl się za niego.

ROZDZIAŁ 2

Amos Barrowfield zrozumiał, że stało się coś niedobrego, gdy tylko wyjechał z zakrętu i zobaczył Badford.

Owszem, na polach pracowali robotnicy, ale nie tylu, ilu się spodziewał. Droga prowadząca do wioski była niemal całkiem pusta, jechał nią tylko jeden wóz. Amos nie widział nawet psów.

Był sukiennikiem, handlował sukniem. Właściwie sukiennikiem był jego ojciec, Obadiah, ale już dawno skończył pięćdziesiąt lat i często brakowało mu sił, więc to Amos podróżował po okolicy z jucznymi końmi, wiozącymi owczą strzyżę, i odwiedzał kolejne chaty.

Przemianą strzyży w tkaninę zajmowali się głównie mieszkańcy wsi, pracujący we własnych domach. Najpierw surową wełnę należało rozplątać i oczyścić, co nazywano zgrzebleniem lub gręplowaniem. Potem przędzono z niej długie nici i nawijano na szpule. Na koniec tkano na krosnach z tej przędzy materiał o szerokości jarda. Tkactwo było głównym przemysłem zachodniej Anglii, a Kingsbridge jego ośrodkiem.

Amos przypuszczał, że Adam i Ewa po zjedzeniu owocu z drzewa poznania sami wykonywali wszystkie te prace, by uszyć sobie ubrania i okryć nagość, choć w Biblii nie napisano zbyt wiele o gręplowaniu i przędzeniu ani o tym, jak Adam zbudował krosno.

Dotarłszy do pierwszych domów, Amos zorientował się, że wszyscy gdzieś zniknęli. Coś odciągnęło robotników rolnych od pracy, ale ludzie zajmujący się tkaniem powinni być w domach. Płacono im za tyle, ile zdołali wyprodukować, więc rzadko porzucali kołowrotki i krosna.

Najpierw udał się do domu zgrzeblarza, Micka Seabrooka. Mick trzymał w prawej dłoni wielką szczotkę z żelaznymi zębami, a w lewej drewniany klocek tych samych rozmiarów i rozczesywał mocnymi pociągnięciami znajdujący się między nimi kłęb surowej wełny. Kiedy gęstwina brudnego runa zmieszanego z błotem i kawałkami roślin zamieniała się w motek czystych prostych włókien, skręcał je w luźny powróż nazywany niedoprzędem.

– Słyszał pan o Harrym Clitheroe? – przywitał Amosa Mick.

– Nie. Dopiero przyjechałem do wioski. Nie byłem jeszcze u nikogo. A o co chodzi?

– Wóz z rzepą zmiądzzył mu nogę. Mówią, że już nigdy nie będzie mógł pracować.

– To straszne. Jak to się stało?

– Ludzie różnie opowiadają. Will Riddick twierdzi, że Harry się popisywał i próbował udowodnić, że sam przepcha załadowany wóz. Ale Ike Clitheroe mówi, że to była wina Willa, bo przeładował wóz.

– Sal będzie załamana – powiedział Amos. Znał rodzinę Clitheroe i uważał, że łączy ich prawdziwa miłość. Harry był twardym człowiekiem, zrobiłby jednak dla żony wszystko, a Sal wprawdzie trochę dyrygowała mężem, ale go uwielbiała. – Pójdę do nich.

Zapłacił Mickowi, dał mu nową porcję strzyży i zabrał worek gotowych niedoprzędów.

Wkrótce odkrył, gdzie podziela się większość mieszkańców wsi: wokół domu Clitheroe'ów zebrał się tłum ciekawskich.

Sal była prządką, lecz w odróżnieniu od Micka, nie mogła pracować dwanaście godzin dziennie, bo miała wiele innych obowiązków; szyła ubrania dla Harry'ego i Kita, uprawiała warzywa w ogródku, kupowała i przygotowywała jedzenie, prała, sprzątała i wykonywała wszystkie inne prace w domu. Amos żałował, że ta kobieta nie ma więcej czasu na przędzenie, bo stale brakowało mu przędzy.

Tłum rozstąpił się przed nim. Był tu dobrze znany i zapewniał wielu wieśniakom pracę nie tak ciężką jak na polu i lepiej płatną. Kilku mężczyzn pozdrowiło go serdecznie.

– Cyrulik właśnie wyszedł, panie Barrowfield – powiedział jeden z nich.

Amos wszedł do środka. Harry leżał na łóżku, blady i nieruchomy, z zamkniętymi oczami, i oddychał płytko. Wokół niego stało kilka osób. Gdy wzrok Amosa przywykł do półmroku, rozpoznał większość z nich.

– Co się stało? – zwrócił się do Sal.

Twarz kobiety wykrzywił grymas rozgoryczenia i żalu.

– Will Riddick przeładował wóz i stracił nad nim panowanie. Mężczyźni próbowali go zatrzymać, ale przewrócił się i roztrzaskał Harry’emu nogę.

– Co powiedział Alec Pollock? – spytał Amos.

– Chciał uciąć nogę, ale namówiłam go, żeby spróbował najpierw wrzącego oleju. – Sal spojrzała na nieprzytomnego męża i dodała ze smutkiem: – Coś mi się wydaje, że nie pomogłoby mu ani jedno, ani drugie.

– Biedny Harry. – Amos westchnął.

– Myślę, że może się już przygotowywać do przejścia na drugą stronę. – Głos Sal załamał się nagle i zaczęła cicho szlochać.

– Nie płacz, mamó! – zawołało z przerażeniem w głosie dziecko, w którym Amos rozpoznał Kita.

Sal ucichła i zacisnęła dłoń na ramieniu syna.

– W porządku, Kit, nie będę płakać.

Przybity sceną rozpaczy w ponurym domu biednej rodziny, Amos nie wiedział, co powiedzieć. W końcu zdecydował się na coś przyziemnego:

– Nie będę ci zawracał głowy pracą w tym tygodniu, dam ci nową porcję wełny następnym razem.

– Och, proszę, niech pan tego nie robi. Potrzebuję pracy bardziej niż kiedykolwiek. Harry nie będzie przecież zarabiał na życie, więc ja muszę się tym zająć.

– Dziedzic powinien się tobą zająć – odezwał się ktoś i kiedy Amos spojrział w stronę, z której dochodził głos, zobaczył Ike’a Clitheroe.

– Powinien – zgodził się z nim Jimmy Mann. – Ale to nie znaczy, że to zrobi.

Wielu właścicieli ziemskich czuło się odpowiedzialnych za wdowy i sieroty, nie było to jednak ich obowiązkiem, a Riddick był skąpy.

Sal wskazała na stertę szpulek przy kołowrotku.

– Prawie skończyłam porcję z zeszłego tygodnia – powiedziała. – Rozumiem, że zostaje pan w Badfordzie na noc?

– Tak.

– Dokończę dziś wieczorem i jutro oddam wszystko.

Amos wiedział, że w razie potrzeby kobieta będzie pracować nawet przez całą noc.

– Jeśli jesteś pewna...

– Całkowicie.

– W porządku.

Wyszedł na zewnątrz i zdjął worek z grzbietu konia. Teoretycznie prządka mogła przerobić funt wełny dziennie, ale mało która spędzała przy kołowrotku cały dzień; większość, podobnie jak Sal, łączyła tę pracę z innymi obowiązkami.

Wniósł worek do domu i położył go na podłodze przy kołowrotku. Potem spojrział na Harry’ego. Ranny mężczyzna wciąż się nie poruszał. Wyglądał jak śmierć, ale Amos nigdy jeszcze nie widział umierającego człowieka, więc właściwie nie wiedział, czy z Harrym jest aż tak źle. Upomniał się w myślach, że nie powinien za bardzo popuszczać wodzy fantazji.

Wyszedł i pojechał do stojącego niedaleko budynku, stajni, którą przerobiono na warsztat na polecenie Rogera Riddicka, trzeciego – najmłodszego – syna dziedzica. Amos i Roger byli w tym samym wieku, mieli po dziewiętnaście lat, i kiedyś uczęszczali razem do gimnazjum w Kingsbridge. Roger był pilnym uczniem, nie interesowały go sport, picie ani dziewczyny, więc koledzy często go dręczyli, dopóki Amos nie stanął w jego obronie i od tej pory zostali przyjaciółmi.

Zapukał do drzwi i wszedł do środka. Roger kazał zamontować w budynku duże okna; pod jednym z nich stał warsztat. Na hakach wbitych w ścianę wisiały narzędzia, były tu też skrzynie i naczynia zawierające zwoje drutu, małe sztabki różnych metali, gwoździe, śruby i klej. Roger uwielbiał konstruować pomysłowe zabawki: mysz, która piszczała i ruszała ogonem, trumnę, w której trup siadał prosto, gdy otwierało się wieko. Wynalazł też maszynę, która przetykała rury, gdy zator znajdował się wiele jardów od wlotu, a nawet za zagięciami.

Roger przywitał przyjaciela szerokim uśmiechem i odłożył dłuto. Miał jasne włosy i różową skórę, co odróżniało go od czarnowłosego ojca i braci. Prawdopodobnie był podobny do matki, która umarła kilka lat wcześniej.

– W samą porę! – powiedział. – Właśnie miałem iść do domu na kolację. Zakładam, że do nas dołączysz?

– Miałem nadzieję, że mnie zaprosisz.

Gdy wyszli z warsztatu, Roger zamknął drzwi na klucz. W drodze do dworu Amos prowadził za sobą konie i rozmawiał z przyjacielem o Harrym Clitheroe.

– To ośli upór mojego brata doprowadził do tego wypadku – przyznał szczerze Roger.

Studiował w College’u Kingsbridge, założonym jeszcze w średniowieczu w Oksfordzie przez mnichów z Kingsbridge. Zaczął studia kilka tygodni temu i właśnie po raz pierwszy odwiedził dom. Amos też chętnie poszedłby na studia, lecz ojciec nalegał, by pracował w rodzinnym interesie. Miał nadzieję, że w kolejnych pokoleniach ta sytuacja się zmieni i że być może będzie miał syna, który wyjedzie do Oksfordu.

– Jak jest na uniwersytecie? – spytał.

– Fantastycznie – odparł Roger. – Świetnie się bawię, choć, niestety, przegrałem sporo pieniędzy w karty.

– Miałem na myśli naukę. – Amos uśmiechnął się.

– Och! W porządku. Na razie nic trudnego. Nie przepadam za teologią i retoryką. Lubię matematykę, ale wykładowcy matematyki mają obsesję na

punkcie astronomii. Powinienem być wybrać Cambridge, tam podobno matematyka jest na wyższym poziomie.

– Będę o tym pamiętał, kiedy mój syn będzie w odpowiednim wieku.

– Myślisz o ożenku?

– Myślę nieustannie, ale w najbliższym czasie nie ma na to szans. Nie mam ani pensa, a ojciec nic mi nie da, dopóki nie skończę praktyki.

– I dobrze! Dzięki temu będziesz miał jeszcze czas trochę poszaleć.

Amos nie należał do ludzi, którzy lubią poszaleć, więc zmienił temat.

– Poproszę cię o nocleg na tę noc, jeśli to możliwe.

– Oczywiście. Ojciec ucieszy się z twojej wizyty. Synowie już go nudzą, a ciebie lubi mimo twoich poglądów, które uważa za radykalne. Uwielbia z tobą dyskutować.

– Nie jestem radykałem.

– Owszem, nie jesteś. Ojciec powinien porozmawiać z ludźmi, których poznałem w Oksfordzie. Ich poglądy chyba poparzyłyby mu uszy.

– Wyobrażam sobie. – Amos roześmiał się. Kiedy pomyślał o życiu przyjaciela, który czytał spokojnie książki i dyskutował o różnych ideach z inteligentnymi młodymi ludźmi, poczuł zazdrość.

Dotarli do dworu, eleganckiego czerwonego budynku w stylu jakobińskim, z oknami składającymi się z wielu małych szybek połączonych ołowiem. Zaprowadzili konie Amosa do stajni, by tam je napojono i oporzędzono, po czym przeszli do domu.

Mieszkali w nim wyłącznie mężczyźni, nie było więc zbyt czysto. W powietrzu unosiła się woń typowa dla wiejskich podwórek. Amos dostrzegł ogon szczura, który na ich widok uciekł przez szparę pod drzwiami. Dotarli do jadalni jako pierwsi. Nad kominkiem wisiał portret zmarłej żony dziedzica, pociemniały ze starości i zakurzony, jakby nikt nie chciał na niego patrzeć.

Po chwili wszedł dziedzic, potężny mężczyzna koło pięćdziesiątki, o czerwonej twarzy, otyły, lecz wciąż żwawy.

– W sobotę w Kingsbridge organizują turniej bokserski – oznajmił z entuzjazmem. – Bestia z Bristolu wyzywa wszystkich chętnych i oferuje gwineę każdemu, kto ustoi w ringu przez piętnaście minut.

– Będziecie się świetnie bawić – powiedział Roger. Jego ojciec i bracia uwielbiali sporty, najbardziej walki bokserskie i wyścigi konne, zwłaszcza jeśli mogli obstawiać wyniki. – Ja wolę grać w karty. Mogę przynajmniej obliczyć, jakie mam szanse.

Wkrótce dołączył do nich George Riddick, średni syn dziedzica. Był olbrzymim mężczyzną z czarnymi włosami i ciemnymi oczami; wyglądał jak młodsza wersja ojca, tyle że miał przedziałek na środku głowy.

W końcu pojawił się i Will, a za nim kamerdyner, który niósł parujący kocioł z zupą. Zapach był tak smakowity, że Amosowi ślina napłynęła do ust.

Na kredensie leżała taca z szynką, serem i bochenkiem chleba. Kamerdyner nalał do kieliszków porto.

Amos zawsze witał się ze służbą, więc i teraz zwrócił się do kamerdynera:

– Witaj, Platts, jak się miewasz?

– Dobrze, panie Barrowfield – odparł Platts burkliwie. Najwyraźniej nie wszyscy służący odwzajemniali życzliwość Amosa.

Will ukroił sobie gruby plaster szynki i powiedział:

– Namiestnik zwołał milicję w Shiring.

Milicją nazywano zbrojne oddziały obrony terytorialnej. Poborowych wybierano w drodze losowania. Amosowi sprzyjało szczęście i jak dotąd omijało go to. Chociaż odkąd sięgał pamięcią, milicja nie prowadziła żadnych działań, zbierała się jedynie raz w roku na sześciotygodniowe szkolenie, podczas którego obozowała na wzgórzach na północ od Kingsbridge i uczyła się musztry oraz ładowania i strzelania z muszkietów. I nic nie wskazywało na to, żeby to się miało zmienić.

– Też o tym słyszałem – odparł dziedzic. – I nie dotyczy to tylko Shiring. W dziesięciu hrabstwach ogłoszono mobilizację.

Były to dość niepokojące wieści. Jakiego kryzysu spodziewał się rząd?

– Jestem porucznikiem, więc będę pomagał w mobilizacji – oznajmił Will. – Pewnie na jakiś czas zamieszkać w Kingsbridge.

Choć Amosowi udawało się do tej pory unikać powołania, mogło się zdarzyć, że tego zaciągu nie uniknie. Sam nie wiedział, co o tym sądzić. Nie chciał zostać żołnierzem, ale może było to lepsze niż niewolnicza praca u ojca.

– Kto jest dowódcą? – spytał dziedzic. – Ciągle zapominam...

– Pułkownik Henry Northwood – odpowiedział Will.

Henry, wicehrabia Northwood, był synem hrabiego Shiring. Dowodzenie milicją pozostawało tradycyjnym obowiązkiem spadkobierców tytułu hrabiowskiego.

– Najwyraźniej premier Pitt uważa, że sytuacja jest poważna. – Dziedzic pokiwał głową.

Przez jakiś czas jedli i pili w milczeniu, pogrążeni w rozmyślaniach. W końcu Roger odsunął od siebie talerz i odezwał się z powagą:

– Milicja ma dwa zadania: bronić kraju przed inwazją i tłumić rozruchy. Być może dojdzie do wojny z Francją... wcale bym się nie dziwił... ale przygotowania do inwazji zajęłyby Francuzom kilka miesięcy, więc mielibyśmy mnóstwo czasu na zwoływanie milicji. Nie wydaje mi się więc, żeby chodziło o to. Co oznacza, że rząd obawia się rozruchów. Ciekawe dlaczego.

– Wiesz dlaczego – rzucił Will. – Minęło dopiero dziesięć lat od czasu, gdy Amerykanie obalili rządy króla i stworzyli republikę, i zaledwie trzy lata, odkąd paryski tłum zdobył Bastylię. A ostatnio ten francuski szatan Brissot powiedział: „Nie spoczniemy, dopóki cała Europa nie stanie w płomieniach”. Rewolucja rozprzestrzenia się jak ospa.

– Moim zdanie nie ma powodów do paniki – powiedział Roger. – Właściwie co takiego zrobili rewolucjoniści? Zrównali na przykład w prawach protestantów. George, jako duchowny protestancki chyba to doceniasz, prawda?

– Zobaczymy, jak długo to potrwa – odpowiedział posępnie George, który był proboszczem w Badfordzie.

– Znieśli feudalizm – kontynuował Roger. – Odebrali królowi prawo do więzienia ludzi w Bastylii bez procesu i wprowadzili monarchię konstytucyjną, którą mamy też w Brytanii.

Wszystko, co mówił, teoretycznie było prawdą, Amos uważał jednak, że przyjaciel się myli. Z tego, co wiedział, w rewolucyjnej Francji wcale nie było prawdziwej wolności – ani wolności słowa, ani religii. Tak naprawdę Anglia była bardziej tolerancyjna.

– A co z wrześnieowymi masakrami we Francji? – spytał gniewnym tonem Will, wyciągając palec w stronę najmłodszego brata. – Rewolucjoniści zabili tysiące ludzi. Bez żadnych dowodów, bez ławy przysięgłych, bez procesu. „Ty chyba też jesteś kontrrewolucjonistą. I ty też”. Pif-paf i obaj nie żyją. Wśród ofiar były dzieci!

– Tragedia, przyznaję. – Roger skinął głową. – I skaza na reputacji Francji. Ale czy naprawdę sądzimy, że u nas wydarzy się to samo? Nasi rewolucjoniści nie szturmują więzień, piszą pamflety i listy do gazet.

– Tak to się właśnie zaczyna! – Will upił łyk porto.

– Ja winię za to metodystów – wtrącił George.

Roger parsknął śmiechem.

– A gdzież to metodyści ukrywają gilotyny? – rzucił.

George zignorował te słowa.

– W szkółkach niedzielnych uczą czytać biedne dzieci, a te, kiedy dorastają, czytają książkę Thomasa Paine’a, unoszą się gniewem i dołączają do klubu malkontentów. Rozruchy to, logicznie rzecz biorąc, następny etap.

Dziedzic spojrzał na Amosa.

– Nic dzisiaj nie mówisz – zauważył. – Zwykle bronisz nowych idei.

– Nie wiem zbyt wiele o nowych ideach – odparł Amos. – Przekonałem się, że warto słuchać ludzi, nawet tych niewykształconych i o wąskich horyzontach. Lepiej

pracują, jeśli wiedzą, że obchodzi cię ich opinia. Więc jeśli jakaś część Anglików uważa, że parlament należy zmienić, to moim zdaniem powinniśmy wysłuchać, co mają do powiedzenia.

– Dobrze to ująłeś. – Roger pokiwał głową.

– Ale mam jeszcze sporo pracy – wytłumaczył się Amos i wstał od stołu. – Dziękuję za gościnę. Muszę zająć się swoimi obowiązkami, ale jeśli pan pozwoli, wrócę wieczorem.

– Oczywiście, oczywiście – odparł dziedzic.

Amos przez resztę dnia odwiedzał ludzi we wsi; odbierał od nich gotowy towar, płacił im i dawał nowy materiał do przeróbki. Potem, gdy zaszło już słońce, poszedł do domu Clitheroe'ów.

Już z daleka usłyszał muzykę, czterdzieści czy pięćdziesiąt osób śpiewających na cały głos. Clitheroe'owie byli metodystami, podobnie jak Amos, a metodyści nie używali podczas nabożeństw instrumentów muzycznych. Żeby nadrobić ich brak, bardzo się starali utrzymać równy rytm i często śpiewali na cztery głosy. W tej chwili wykonywali hymn *Miłość Boża ponad wszelkie miłości*, popularną kompozycję Charlesa Wesleya, brata twórcy ruchu metodystycznego. Amos przyspieszył kroku. Uwielbiał śpiew bez akompaniamentu i chciał się przyłączyć.

W Badfordzie mieszkała duża grupa metodystów, podobnie jak w Kingsbridge. Metodyzm był nowym nurtem religijnym w obrębie Kościoła anglikańskiego, choć coraz częściej mówiono o oderwaniu się od niego; większość metodystów nadal jednak przyjmowała komunię w Kościele anglikańskim.

Kiedy podszedł bliżej, zobaczył tłum ludzi otaczający dom Sal i Harry'ego. Kilka osób trzymało zapalone pochodnie i po ziemi niczym złe duchy tańczyły migotliwe cienie. Nieoficjalnym przywódcą metodystów był Brian Pikestaff, farmer gospodarujący na trzydziestu akrach ziemi. Ponieważ był właścicielem tego gruntu, dziedzic nie mógł mu zabronić organizowania modlitewnych spotkań metodystów w stodole. Gdyby był dzierżawcą, prawdopodobnie zostałyby eksmitowane.

Gdy hymn dobiegł końca, Brian Pikestaff zaczął mówić o miłości łączącej Harry'ego, Sal i Kita. Podkreślał, że to prawdziwa miłość, na ile to możliwe wśród ludzi, i opowiadał o Bożej miłości, o której przed chwilą śpiewali. Zebrani zaczęli płakać.

Kiedy Brian skończył, Jimmy Mann zdjął trikorn i rozpoczął improwizowaną modlitwę, trzymając kapelusz w dłoni. Była to normalna praktyka wśród metodystów. Ludzie modlili się lub śpiewali hymny, gdy tylko czuli taką potrzebę. W teorii wszyscy byli równi wobec Boga, choć w praktyce rzadko się zdarzało, by głos zabierała kobieta.

Jimmy prosił Pana o zdrowie dla Harry'ego, by ten mógł nadal opiekować się rodziną. Jego modlitwa została jednak gwałtownie przerwana, gdy pojawił się George Riddick z lampą w ręce i krzyżem na piersiach. Był w kapłańskich szatach: sutannie, albie z szerokimi rękawami i czarnej kwadratowej czapce z ostrymi rogami.

– To skandal! – krzyknął.

Jimmy przerwał na moment, otworzył oczy, ale zaraz opuścił powieki i kontynuował:

– O Boże, Ojczy nasz, wysłuchaj naszej modlitwy, prosimy cię...

– Dość tego! – ryknął George i Jimmy musiał w końcu przestać.

– Dobry wieczór, pastarze Riddick – odezwał się przyjaznym tonem Brian Pikestaff. – Dołączysz do naszej modlitwy? Prosimy Boga o uleczenie naszego brata Harry'ego Clitheroe.

– To kapłan wzywa wiernych na modlitwę, a nie odwrotnie! – powiedział gniewnie George.

– Ale nie zrobiłeś tego, pastarze, prawda? – odparł Brian.

George wydawał się skonsternowany.

– Nie wezwałeś nas do modlitwy za Harry'ego – kontynuował Brian – który stoi teraz, jak mawiamy, na brzegu wielkiej mrocznej rzeki i czeka, aż Bóg zdecyduje, czy ma do niego dziś dołączyć. Gdybyś nas wezwał, pastarze, chętnie

przyszlibyśmy do kościoła, żeby modlić się z tobą. Ale nie zrobiłeś tego, więc jesteśmy tutaj.

– Jesteście ciemnymi wieśniakami – prychnął George. – I dlatego Bóg powołuje kapłanów, którzy mają wami kierować.

– Ciemnymi wieśniakami?! – zawołała jakaś kobieta. Amos domyślił się, że to Annie Mann, jedna z przadek. – Nie jesteśmy aż tak ciemni, żeby przeładować wóz z rzepami.

Odpowiedział jej chór głosów poparcia i przytłumione śmiechy.

– Bóg uczynił was poddanymi tych, którzy są od was mądrzejsi, a waszym obowiązkiem jest słuchać władzy, a nie przeciwstawiać się jej.

Wśród zgromadzonych zapadła na chwilę cisza. Przerwał ją głośny, pełen cierpienia jęk dobiegający z wnętrza domu.

Amos podszedł do drzwi i wszedł do środka.

Sal i Kit klęczeli po drugiej stronie łóżka, z rękami złożonymi do modlitwy. Cyrulik, Alec Pollock, stał u wezgowia i trzymał cierpiącego mężczyznę za nadgarstek.

– On odchodzi – powiedział Alec, gdy Harry jęknął ponownie. – Opuszcza nas.

– O Boże – wyszeptała Sal.

Kit rozplakał się.

Amos stał w milczeniu w drzwiach i przyglądał się tej scenie.

– On odszedł, Sal – odezwał się cyrulik minutę później.

Sal objęła syna ramieniem i płakała razem z nim.

– Przynajmniej już nie cierpi – dodał Alec. – Jest już z Panem Jezusem.

– Amen – szepnął Amos.

ROZDZIAŁ 3

Na terenach otaczających pałac biskupi, gdzie niegdyś – jak głosiły legendy Kingsbridge – mnisi uprawiali fasolę i kapustę, Arabella Latimer założyła ogród różany.

Jej rodzina była zaskoczona, bo Arabella nigdy dotąd nie przejawiała tego rodzaju zainteresowań. Wszystkie jej działania były nakierowane na męża, który był biskupem: zarządzanie jego gospodarstwem domowym, podejmowanie kolacjami kościelnych dostojników i innych ważnych przedstawicieli hrabstwa, pojawianie się u jego boku w kosztownych, choć skromnych szatach. Aż nagle pewnego dnia oznajmiła, że zamierza hodować róże.

Ten nowy pomysł przykuł uwagę wielu znanych dam. Może nie był szalenie modny, ale z pewnością dość popularny, a Arabella przeczytała o nim w „The Lady’s Magazine” i postanowiła go zrealizować.

Elsie – jedyne dziecko Arabelli – przypuszczała, że jej zapał szybko osłabnie. Zakładała, że matka łatwo zmęczy się ciągłym schylaniem, okopywaniem, podlewaniem, nawożeniem i czyszczeniem wiecznie brudnych paznokci.

Biskup, Stephen Latimer, mruknął tylko:

– Po trzech dniach będzie miała dość, wspomnicie moje słowa. – Po czym wrócił do lektury „Critical Review”.

I córka, i mąż się mylili.

Kiedy o wpół do dziewiątej rano Elsie wyszła na zewnątrz, by poszukać matki, znalazła ją w ogrodzie w towarzystwie głównego ogrodnika. Razem układali łąjno ze stajni wokół łodyg roślin, nie przejmując się deszczem i śniegiem, który padał im na głowy.

– Zabezpieczam je przed mrozem – rzuciła przez ramię Arabella, dojrawszy córkę, i kontynuowała pracę.

Rozbawiona Elsie zastanawiała się, czy matka kiedykolwiek wcześniej trzymała w ręce łopatę. Dziewczyna rozejrzała się po ogrodzie, do którego wchodziło się przez plecione łukowate przejście, porośnięte latem gęstwiną pnących róż. Prowadziło do kwadratowego klombu niskich krzewów różanych, które za kilka miesięcy pokryją się soczystą czerwienią kwiatów. Nieco dalej kratownica przymocowana do fragmentu zniszczonego muru – być może kiedyś otaczającego ogród przy kuchni – podtrzymywała pnącza, które przy ciepłej pogodzie rozrastały się tak szybko jak chwasty i zakwitwały różnobarwnymi kwiatami, jakby aniołowie w niebie rozchłapywali przez nieuwagę farby.

Elsie od dawna wyczuwała, że życie matki jest przeraźliwie puste, choć wolałaby zapewne, żeby poszukała sobie sensowniejszego zajęcia niż uprawa kwiatów. No ale Elsie była idealistką ceniącą sobie wiedzę, czego nie dało się powiedzieć o jej matce. *Wszystko ma swój czas i jest wyznaczona godzina na wszystkie sprawy pod niebem**, mawiał ojciec, cytując Księgę Koheleta. Róże wniosły radość w życie Arabelli.

– Długo ci to jeszcze zajmie? – spytała Elsie; było zimno, a miała coś ważnego do powiedzenia.

– Już kończymy – odparła Arabella.

Miała trzydzieści osiem lat, znacznie mniej od męża, i wciąż zachwycała urodą. Była wysoka i zgrabna, miała jasnobrązowe gęste włosy o kasztanowym odcieniu. Jej nos pokrywały piegi, co większość ludzi uważała za niedoskonałość, choć u niej wyglądało to czarująco. Elsie różniła się od matki zarówno wyglądem, jak i charakterem. Miała ciemne włosy i orzechowe oczy, ale ludzie mówili, że ślicznie się uśmiecha.

Arabella oddała łopatę ogrodnikowi i obie wróciły do domu. Matka zdejmowała buty i pelerynę, podczas gdy córka wycierała ręcznikiem jej wilgotne włosy.

– Zamierzam spytać dziś tatę o szkółkę niedzielną – odezwała się dziewczyna.

To był jej wielki projekt. Z przerażeniem patrzyła na to, jak traktowane są dzieci w jej rodzinnym mieście. Niektóre zaczynały pracować w wieku zaledwie siedmiu lat – po czternaście godzin dziennie od poniedziałku do piątku i dwanaście godzin w sobotę. Większość nie umiała przeczytać ani napisać więcej niż kilka słów. Potrzebowały szkółki niedzielnej.

Biskup wiedział o tym, ale wydawało się, że wcale go to nie obchodzi. Elsie miała już jednak plan, jak zdobyć jego przychylność.

– Mam nadzieję, że jest w dobrym humorze – powiedziała matka.

– Poprzesz mnie, prawda?

– Oczywiście. Uważam, że to świetny pomysł.

Elsie chciała jednak czegoś więcej niż ogólnikowej deklaracji dobrej woli.

– Wiem, że masz pewne wątpliwości, ale... proszę, nie obraż się, że to powiem... zachowaj je dziś dla siebie, dobrze?

– Oczywiście, kochana – odparła Arabella. – Przecież nie jestem nietaktowna, wiesz o tym.

Elsie miała w tej kwestii inne zdanie, nie zamierzała jednak o tym mówić.

– Ojciec będzie miał różne zastrzeżenia, ale poradzę sobie z tym – powiedziała.

– Chciałabym tylko, żebyś od czasu do czasu mnie poparła, mruknęła „Słusznie” albo „Dobry pomysł”.

Arabella wydawała się bardziej rozbawiona niż zirytowana natarczywością córki.

– Kochanie, zrozumiałam, co masz na myśli, nie martw się. Jesteś jak aktorka, nie chcesz konstruktywnej krytyki, tylko aplauzu.

Dziewczyna wyczuła ironię ukrytą w słowach matki, udawała jednak, że niczego nie dostrzega.

– Dziękuję – rzuciła i skinęła głową.

Przeszły do salonu. Służba stała pod ścianą w szeregu, zgodnie z hierarchią: bliżej mężczyźni, kamerdyner, stajenny, lokaj, pucybut, dalej kobiety – gospodyni,

kucharka, dwie pokojówki i pomoc kuchenna. Na stole ułożono porcelanową zastawę z modnym kwietnym wzorem nazywanym *chinoiserie*.

Przy krześle biskupa leżał egzemplarz „The Times” sprzed dwóch dni. Transport z Londynu do Bristolu płątnym głównym traktem trwał jeden dzień, kolejny dzień zajmowała jazda do Kingsbridge po żłobionych koleinami błotnistych wiejskich drogach. Starszym ludziom, takim jak biskup, takie tempo wydawało się wręcz oszałamiające, pamiętali bowiem czasy, gdy taka podróż trwała cały tydzień.

Gdy Stephen Latimer wszedł do jadalni, Elsie i Arabella odsunęły swoje krzesła, uklękły na dywanie, oparły łokcie na siedziskach i złożyły dłonie. Dzbanek z herbatą posykiwał cicho, gdy biskup odmawiał modlitwę, nabożnie, ale szybko, z myślą o czekającym na niego bekonie. Kiedy służący usłyszeli „Amen”, przynieśli z kuchni jedzenie.

Elsie zjadła trochę chleba z masłem, napiła się herbaty i czekała na odpowiedni moment. Była spięta. Bardzo zależało jej na szkółce niedzielnej. Nie mogła pogodzić się z myślą, że tyle dzieci w Kingsbridge żyje w mroku niewiedzy. Dyskretnie przyglądała się ojcu, próbując odgadnąć, w jakim jest nastroju. Miał pięćdziesiąt pięć lat i rzednące siwe włosy. Kiedyś mógł się pochwalić imponującą sylwetką, był bowiem wysoki i barczysty – Elsie pamiętała to – zbyt jednak lubił dobre jedzenie, więc roztył się i przygarbił.

Kiedy napełnił brzuch i wypił herbatę, służąca, Mason, przyniosła dzbanek świeżego mleka, a Elsie, zanim ojciec zanim wziął do ręki „The Times”, przeszła do działania. Skinęła dyskretnie głową, co było umówionym sygnałem, i Mason wiedziała, co ma zrobić.

– Chciałabym cię o coś spytać, ojcze – odezwała się Elsie. W rozmowie z ojcem najlepiej było przedstawiać sprawę jako prośbę o oświecenie; pastor uwielbiał wyjaśniać, a nie lubił, gdy ktoś mówił mu, co ma robić.

– Śmiało – odparł, uśmiechając się łagodnie.

– Nasze miasto ma wysoką pozycję w świecie nauki. Biblioteka twojej katedry przyciąga uczonych z całej zachodniej Europy. Nasze gimnazjum jest słynne w całym kraju. No a w Oksfordzie znajduje się College Kingsbridge, w którym studiowałeś.

– To prawda, kochanie, ale dobrze o tym wiem.

– I wciąż mamy powody do wstydu.

– Ależ skąd!

Elsie zawahała się, była jednak zbyt zdeterminowana, by się poddać.

– Mason, wejdź, proszę! – zawołała z bijącym sercem.

Służąca wprowadziła do jadalni brudnego chłopca w wieku dziesięciu, może jedenastu lat; bił od niego intensywny nieprzyjemny zapach. Co zaskakujące, dzieciak nie wydawał się onieśmielony tą sytuacją.

– Chciałabym, żebyś poznał Jimmy’ego Passfielda – zwróciła się Elsie do ojca.

– Obiecali mi parówkiem z musztardom, a jeszcze jej nawet nie obaczył – powiedział chłopiec z arogancją godną księcia.

– Co to ma być, na miłość boską? – zdumiał się biskup.

Elsie modliła się w duchu, by nie wybuchnął gniewem.

– Ojczy, proszę, posłuchaj mnie przez chwilę. – Nie czekając na zgodę, odwróciła się do chłopca. – Umiesz czytać, Jimmy? – Wstrzymała oddech, bo wcale nie była pewna, czy jego odpowiedź przysłuży się sprawie.

– Nie muszem czytać – odparł chłopak wyzywającym tonem. – Wszystko wiem. Mogem wam powiedzieć, o której codziennie odjeżdżajom powozy bez patrzenia na te kartke przybitom w gosbodie U Bella.

Biskup odchrząknął głośno, lecz Elsie to zignorowała i przeszła do kluczowego pytania:

– Znasz Jezusa Chrystusa?

– Znam wszystkich i wiem, że w Kingsbridge nie ma człowieka, co by się tak nazywał. Mogem przysiąc. – Chłopiec klasnął w dłonie i splunął do ognia w kominku.

Biskup zaniemówił ze zdumienia i właśnie na to liczyła Elsie.

– Jest taki flisak z Combe, co czasem do nas przy pływa, nazywa się Jason Cryer – dodał Jimmy i pogroził Elsie palcem. – Na pewno przekreśliłaś jego nazwisko.

– Chodzisz do kościoła? – spytała.

– Byłem raz, ale nie chcieli mi dać wina, to se poszedłem.

– Nie chcesz, żeby wybaczone ci twoje grzechy?

– Nigdy żadnych grzechów nie miał. – Jimmy był wyraźnie oburzony. – A ten świniak, co go ukradli pani Andrews z Well Street, to nie moja sprawa. Mnie tam nawet nie było.

– W porządku, w porządku, zrozumiałem – powiedział biskup. – Mason, zabierz tego chłopca.

– I daj mu kiełbaski – poprosiła służącą Elsie.

– Z musztardom – dorzucił Jimmy.

– Z musztardą – powtórzyła dziewczyna.

Mason i Jimmy wyszli.

Arabella klasnęła w dłonie i roześmiała się.

– Co za niezwykły urwis! Niczego się nie boi!

– On nie jest wyjątkiem, ojczy – powiedziała Elsie z powagą. – Połowa dzieci w Kingsbridge jest taka jak on. Nie chodzą do szkoły, a jeśli rodzice nie każą im iść do kościoła, nie mają pojęcia o chrześcijańskiej wierze.

Biskup wydawał się zszokowany.

– Uważasz, że mogę coś z tym zrobić? – spytał.

To był właśnie ten moment, na który czekała.

– Niektórzy mówią, że można by założyć szkółkę niedzielną.

Nie było to do końca prawdą. Szkołka niedzielna była wyłącznie pomysłem Elsie i choć kilka osób wspierało ten projekt, bez niej nie miałby szans na realizację. Nie chciała jednak ułatwiać ojcu odrzucenia jej pomysłu.

– Przecież mamy już w mieście szkoły – zauważył biskup. – Zdaje się, że pani Baines uczy przy Fish Street zdrowych chrześcijańskich zasad, choć mam pewne wątpliwości co do tej placówki w Loversfield, do której metodyści posyłają synów.

– Obie te szkoły pobierają chesne.

– A jak inaczej miałyby funkcjonować?

– Mnie chodzi o bezpłatną szkółkę niedzielną dla biednych dzieci.

– Rozumiem.

Elsie widziała, że jej ojciec obmyśla już kontrargumenty.

– A gdzie miałyby działać? – odezwał się po chwili.

– Na przykład w sali giełdy wełnianej. W niedziele i tak nikt z niej nie korzysta.

– Myślisz, że burmistrz wpuściłby tam dzieci biedoty? Połowa z nich nie jest nauczona czystości. Ba, nawet w katedrze widziałem, jak... Mniejsza z tym.

– Jestem pewna, że da się jakoś zapanować nad dziećmi. A jeśli nie będziemy mogli korzystać z siedziby giełdy, to są jeszcze inne możliwości.

– A kto zajmowałby się nauczaniem?

– Zgłosiło się już kilka osób. Na przykład Amos Barrowfield, który skończył gimnazjum.

– Wiedziałaś, że Amos będzie miał z tym coś wspólnego – mruknęła Arabella.

Elsie zaczerwieniła się i udała, że nie słyszała matki.

Biskup zignorował uwagę żony i nie zauważył zakłopotania córki.

– Zdaje się, że młody Barrowfield jest metodystą – powiedział.

– Będzie nam patronował kanonik Midwinter.

– Kolejny metodysta, choć kanonik katedry.

– Poproszono mnie, żebym kierowała tym przedsięwzięciem.

– Żebyś nim kierowała? Jesteś jeszcze bardzo młoda.

– Mam dwadzieścia lat i dość wiedzy, by uczyć dzieci czytać.

– Nie podoba mi się to – oświadczył biskup zdecydowanym tonem.

Elsie nie była tym zaskoczona, choć stanowczość ojca trochę zbiła ją z tropu. Na szczęście spodziewając się takiego obrotu spraw, przygotowała coś, co mogło go skłonić do zmiany zdania.

– Dlaczego ci się to nie podoba? – spytała.

– Widzisz, moja droga, nie jest dobrze, gdy prości ludzie uczą się czytać i pisać.

– Biskup mówił protekcyjnym tonem doświadczonego życiem starca, który dzieli się swoją mądrością z naiwną młodzieżą. – Potem znajdują w książkach i gazetach idee i hasła, które nie do końca rozumieją. Robią się wtedy niezadowoleni z roli, którą przydzielił im w życiu Bóg. Nabijają sobie głowy głupimi koncepcjami równości i demokracji.

– Ale mogliby czytać Biblię.

– Jeszcze gorzej!

– Źle ją rozumieją i oskarżają Kościół o odstępstwa od Pisma Świętego. Stają się odszczepieńcami i chcą zakładać własne kościoły, jak prezbiterianie i kongregacjoniści... i metodyści.

– Metodyści nie mają własnych kościołów.

– Daj im tylko trochę czasu.

Biskup świetnie sobie radził w tego rodzaju szermierce słownej: nauczył się tego w Oksfordzie. Elsie zwykle chętnie podejmowała takie wyzwanie, lecz ten projekt był dla niej zbyt ważny, by mogła ryzykować przegraną. Wcześniej umówiła się z kimś, kto mógł przekonać jej ojca do zmiany zdania, musiała więc podtrzymywać dyskusję do czasu, aż gość się pojawi.

– Nie uważasz, że lektura Biblii pomogłaby prostym ludziom odrzucić namowy fałszywych proroków? – spytała.

– Lepiej, żeby po prostu słuchali swoich kapłanów.

– Ale nie robią tego, więc to jedynie pobożne życzenie.

Arabella parsknęła śmiechem.

– Klóćcie się jak wigowie z torysami. Przecież nie rozmawiamy o rewolucji francuskiej! Chodzi o szkółkę niedzielną, o dzieci siedzące na podłodze,

wypisujące swoje imiona na tabliczkach i śpiewające hymny.

Służąca wysunęła głowę zza drzwi.

– Przyszedł pan Shoveller, Wasza Ekscelencjo.

– Shoveller?

– Tkacz – wyjaśniła Elsie. – David Shoveller... nazywają go Spade**.

Przyniósł materiał, którym mama i ja możemy być zainteresowane. – Odwróciła się do służącej. – Wprowadź go, Mason, i poczęstuj herbatą.

Tkacz plasował się w hierarchii społecznej o kilka stopni niżej niż rodzina biskupa, ale był uroczy i dobrze wychowany; nauczył się salonowej etykiety, by dotrzeć ze swoimi wyrobami do wyższych sfer. Wszedł do jadalni, niosąc belę materiału. Atrakcyjny na swój szczególny niepokorny sposób, z rozwichrzonymi włosami i ujmującym uśmiechem, zawsze nosił eleganckie stroje uszyte z tkanin, które wytwarzał.

Uklonił się i powiedział:

– Nie miałem zamiaru przerywać państwu śniadania, Wasza Ekscelencjo.

Elsie widziała, że ojciec nie jest zbyt zadowolony, udawał jednak, że nic się nie stało.

– Proszę wejść, panie Shoveller, śmiało.

– Jest pan bardzo uprzejmy, Wasza Ekscelencjo. – Spade stanął tak, by wszyscy dobrze go widzieli, i odwinął kawałek tkaniny. – To właśnie chciała obejrzeć pani Latimer.

Elsie nie interesowała się szczególnie strojami – uważała je za coś zbyt błahaego, podobnie jak róże matki – lecz nawet ona zachwyciła się cudownymi kolorami tkaniny, głęboką czerwienią i ciemną musztardową żółcią, ułożonymi w drobną kratę. Spade przeszedł wzdłuż stołu i podsunął materiał żonie biskupa, uważając, by jej nie dotknąć.

– Nie każdy może nosić takie kolory, ale do pani pasują wręcz idealnie – powiedział.

Arabella wstała i spojrzała na swoje odbicie w lustrze nad kominkiem.

– O tak! – Skinęła głową. – Chyba rzeczywiście dobrze w nich wyglądam.
– Ta tkanina to mieszanka jedwabiu i wełny merynosowej – wyjaśnił Shoveller.
– Jest bardzo miękka... proszę tylko dotknąć. – Gdy Arabella posłusznie przesunęła dłoń po materiale, dodał: – Jest ciepła, a jednocześnie lekka. Idealna na wiosenny płaszcz albo pelerynę.

I pewnie bardzo droga, pomyślała Elsie. Jej ojciec był jednak bogaty i nie skąpił żonie pieniędzy.

Shoveller stanął za Arabellą i ułożył tkaninę na jej ramionach. Ta zebrała ją pod szyją i obróciła się na prawo, a potem na lewo, by zobaczyć się pod różnymi kątami.

Gdy Mason podała gościowi filiżankę herbaty, odłożył belę na krzesło, by Arabella mogła ją nadal oglądać, po czym usiadł przy stole.

– Rozmawialiśmy właśnie o pomysłe bezpłatnej szkółki niedzielnej dla dzieci biedoty – powiedziała Elsie.

– Przykro mi, że państwu przerwałem.

– Ależ nie ma za co przepraszać. Chętnie poznałabym pana opinię.

– Uważam, że to wspaniały pomysł.

– Mój ojciec obawia się, że dzieci przyswoiłyby sobie metodystyczną doktrynę, ponieważ naszym patronem ma być kanonik Charles, a nauczycielem Amos Barrowfield.

– Wasza Ekscelencja jest mądrym człowiekiem – powiedział Shoveller.

Miał popierać Elsie, a nie biskupa.

– Sam jestem metodystą, ale uważam, że dzieci należy uczyć podstawowych prawd wiary, a nie mącić im w głowach doktrynalnymi subtelnościami.

Wydawało się, że to całkiem dobry argument, Elsie widziała jednak, że ojciec pozostaje nieporuszony.

Tymczasem tkacz mówił dalej:

– Ale jeśli wszyscy nauczyciele zaangażowani w prowadzenie szkółki będą metodystami, Kościół anglikański będzie musiał otworzyć własną, żeby zapewnić

alternatywę.

Zaskoczony biskup odchrząknął. Nie spodziewał się takiego obrotu spraw.

– Jestem pewien, że wielu mieszkańców Kingsbridge byłoby zachwyconych, gdyby to sam biskup przedstawiał ich dzieciom opowieści biblijne – dodał Shoveller.

Elsieomal nie parsknęła śmiechem. Na twarzy jej ojca pojawił się grymas przerażenia; nie wyobrażał sobie opowiadania o Biblii brudnym dzieciom biedoty.

– Jeśli będę kierować tą szkołą, będę mogła dopilnować, by dzieci nauczano tylko tych elementów naszej wiary, które są wspólne dla Kościoła anglikańskiego i metodystycznych reformatorów – zaznaczyła.

– Och! W takim razie cofam wszystko, co mówiłem – powiedział tkacz. – I uważam, że będzie pani wspaniałą nauczycielką.

Biskup odetchnął z ulgą.

– Cóż, zakładaj tę swoją szkółkę niedzielną, skoro musisz. Ja muszę się zająć swoimi obowiązkami. – Wstał od stołu. – Do widzenia, panie Shoveller – pożegnał gościa i wyszedł z jadalni.

– Elsie, zaplanowałaś to? – spytała Arabella.

– Oczywiście – odparła dziewczyna. – I dziękuję, Davidzie. Byłeś świetny.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Tkacz odwrócił się do jej matki. – Pani Latimer, gdyby chciała pani płaszcz albo pelerynę z tej pięknej tkaniny, moja siostra chętnie je pani uszyje.

Kate Shoveller była utalentowaną krawcową i prowadziła z Rebeccą Liddle zakład przy High Street. Szyły modne stroje i świetnie prosperowały.

Elsie chciała wynagrodzić Davida za przysługę, którą jej wyświadczył, zwróciła się więc do matki:

– Powinnaś zamówić płaszcz, będzie ci w nim pięknie.

– Chyba tak zrobię. – Arabella skinęła głową. – Proszę powiedzieć siostrze, że wybiorę się do jej zakładu.

David Shoveller uklonił się szarmancko.

– Będzie zaszczycona – powiedział.

* Koh 3,1.

** *Spade* (ang.) – szpadel; nawiązanie do nazwiska Shoveller, *shovel* (ang) – łopata.

ROZDZIAŁ 4

W noc przed pogrzebem Sal nie mogła zasnąć; opłakiwała męża i martwiła się, jak utrzyma siebie i syna.

Ciało Harry'ego leżało w chłodnym kościele, owinięte całunem, a łóżko wydawało się bez niego nieprzyjemnie puste i drżała z zimna. Ostatni raz spała sama osiem lat temu, nim się pobrali.

Kit, leżący na drugim, wąskim, łóżku, oddychał głęboko i miarowo, co oznaczało, że spał. Przynajmniej w czasie snu mógł zapomnieć o utracie ojca.

Nękana słodko-gorzkiemi wspomnieniami i niepokojem o przyszłość, Sal zapadała co jakiś czas w płytką drzemkę. Kiedy zobaczyła światło przebijające się wokół okiennic, wstała i rozpałała ogień. Pracowała przy kołowrotku, a gdy obudził się Kit, zrobiła im śniadanie: chleb ze smalcem i herbatę. Wiedziała, że wkrótce nie będzie jej stać na herbatę.

Pogrzeb miał się odbyć po południu. Koszula Kita była przetarta i rozdarta tak mocno, że nie dało się jej już zszyć. Sal chciała, żeby wyglądał dziś dobrze, wzięła więc koszulę po mężu i usiadła, żeby uszyć z niej mniejszą dla syna.

Kiedy kończyła, usłyszała wystrzał. Domyśliła się, że to Will Riddick poluje na kuropatwy na Mill Field. To on był odpowiedzialny za śmierć Harry'ego, to przez niego groziła jej bieda. Czuła, jak wzbiera w niej gniew, i postanowiła załatwić to z synem dziedzica.

– Zostań tu i zamieć podłogę – nakazała Kitowi, wyszła z domu i poczuła poranny chłód.

Will był na polu ze swoim czarno-białym seterem. Kiedy zbliżała się do niego od tyłu, z pobliskiego lasu wyleciało stado ptaków, a on odwrócił się w tę stronę i oddał dwa strzały. Był dobrym strzelcem, więc na ziemię spadły dwa ptaki, szare

z prążkowanymi skrzydłami, wielkości gołębi. Spomiędzy drzew wyszedł chudy mężczyzna o prostych włosach. Sal rozpoznała Plattsa, kamerdynera z dworu. Najwyraźniej nagoniał Willowi ptaki.

Pies pobiegł do miejsca, gdzie spadły kuropatwy, i przyniósł jedną, a potem drugą.

– Jeszcze raz! – zawołał jego pan do Plattsa.

Sal, która prawie już dotarła do Willa, pomyślała, że nic nie zyska, ubliżając synowi dziedzica. Można ich było czasem przekonać, nakłonić do czegoś pochlebstwami, a nawet wzbudzić w nich poczucie wstydu, ale nie zastraszyć. Stawianie się im sprawiało, że robili się jeszcze bardziej uparci.

– Czego chcesz? – spytał Will obcesowo.

– Chcę wiedzieć, co zamierza pan dla mnie zrobić... – powiedziała. – Jaśnie panie – dodała odrobinę za późno.

Załadował ponownie broń.

– Dlaczego miałbym coś dla ciebie robić?

– Bo mój mąż pracował pod pańskim nadzorem. Bo przeładował pan wóz. Bo nie słuchał pan ostrzeżeń jego stryja, Ike'a. Bo zabił pan mojego męża.

Will poczerwieniał.

– To była wyłącznie jego wina.

– Niektórzy ludzie może uwierzą w to, co pan im opowiedział. – Starła się mówić łagodnym, rozsądnym tonem. – Ale pan zna prawdę. Był pan tam. Ja też.

Przybrał swobodną pozę i niby przypadkiem trzymał broń tak, jakby mierzył w Sal.

Była pewna, że robi to celowo, ale nie wierzyła, by pociągnął za spust. Trudno byłoby mu przekonać kogokolwiek, że postrzelił ją nieumyślnie zaledwie dwa dni po zabiciu jej męża.

– Pewnie chcesz dostać jakiś zasiłek – rzucił.

– Chcę tego, co mi pan odebrał: zarobków męża, czyli ośmiu szylingów tygodniowo.

Uśmiechnął się z udawanym rozbawieniem.

– Nie zmusisz mnie, żebym płacił ci osiem szylingów tygodniowo. Może znajdziesz sobie innego męża? – Mierząc ją pogardliwym spojrzeniem, zatrzymał wzrok na jej szarej sukni i butach domowej roboty. – Może znajdzie się ktoś, kto cię zechce.

Sal nie poczuła się urażona. Wiedziała, że podoba się mężczyznom. Nawet on nieraz spoglądał na nią pożądliwie. Nie wyobrażała sobie jednak ponownego zamążpójścia, lecz wiedziała, że nie jest to argument, po który teraz powinna sięgać.

– Jeśli do tego dojdzie, będzie pan mógł przestać mi płacić – odparła.

– W ogóle nie zamierzam tego robić.

Rozległ się trzepot skrzydeł i nad ziemię znów wzbiło się kilka ptaków. Will obrócił się w miejscu, strzelił i kolejne dwie kuropatwy runęły na ziemię. Pies przyniósł jedną, rzucił u stóp swego pana i pobiegł po drugą.

Will podniósł ptaka.

– Proszę – rzucił. – Weź sobie kuropatwę.

Na jasnoszarej piersi ptaka czerwieniła się plama krwi, ale zwierzę wciąż żyło. Sal miała ochotę je zabrać. Mogłaby przygotować dobry obiad dla siebie i syna.

– Jako rekompensatę za twojego męża, mniej więcej ta sama wartość – dodał syn dziedzica.

Zachłysnęła się tak, jakby uderzył ją w brzuch. Przez chwilę nie mogła złapać tchu. Jak śmiał powiedzieć, że jej mąż jest wart tyle co kuropatwa! Gotowała się ze złości i wiedziała, że jeśli tu zostanie, może powiedzieć coś głupiego. Dławiona wściekłością, odwróciła się i odeszła, zostawiając Willa z ptakiem w dłoni.

Maszerowała przez pole w stronę domu, lecz po chwili zmieniła zdanie: postanowiła udać się do dziedzica. Nie należał do świętych, ale nie był tak podły jak Will. A przecież ta rodzina musiała coś dla niej zrobić.

Mieszkańcom wioski nie wolno było korzystać z drzwi frontowych. Sal miała ochotę złamać tę zasadę, wiedziała bowiem, że jeśli wejdzie od tyłu, służący

spytają dziedzica, czy chce z nią rozmawiać, a obawiała się, że ten może się na to nie zgodzić. Pozostawały jeszcze boczne drzwi, którymi wchodzili do dworu mieszkańcy wioski, gdy chcieli wnieść należne opłaty. Sal wiedziała, że jest za nimi wąski korytarz prowadzący do holu i gabinetu dziedzica.

Przeszła na bok budynku i nacisnęła klamkę; drzwi nie były zamknięte na klucz.

Weszła do środka.

W powietrzu unosił się zapach tytoniu, bo drzwi gabinetu stały otworem. Zajrzała do środka i zobaczyła dziedzica siedzącego przy biurku i zapisującego coś w księdze. Zapukała i nie czekała na odpowiedź.

– Przepraszam, że przeszkadzam, jaśnie panie...

Mężczyzna podniósł wzrok i wyjął fajkę z ust.

– Co ty tu robisz? – spytał z irytacją. – To nie jest dzień opłat.

– Boczne wejście było otwarte, a ja muszę z panem porozmawiać w ważnej sprawie. – Weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi.

– Trzeba było skorzystać z wejścia dla służby. Za kogo ty się uważasz?

– Jaśnie panie, muszę wiedzieć, co pan dla mnie zrobi, skoro mój mąż nie żyje. Mam dziecko do wykarmienia i ubrania.

Wyraźnie się zawahał. Sal wiedziała, że dziedzic może się uchylić od odpowiedzialności, jeśli tylko zechce. Przypuszczała jednak, że ma wyrzuty sumienia. Oficjalnie z pewnością zaprzeczyłby, że jego syn jest winny śmierci Harry’ego. Nie był jednak tak podły jak Will. Sal widziała, jak na jego rumianej twarzy pojawia się wyraz niezdecydowania i wstydu. Mimo to po chwili odezwał się twardym tonem:

– Dlatego właśnie mamy zasiłek dla ubogich.

Właściciele i najemcy z wioski co roku wpłacali pewną kwotę na pomoc dla ubogich mieszkańców parafii. Funduszem zarządzał Kościół.

– Idź do proboszcza – powiedział dziedzic. – On się tym zajmuje.

– Proboszcz Riddick nienawidzi metodystów, jaśnie panie.

– Więc nie powinnaś być metodystką – odparł dziedzic z miną gracza, który wykłada właśnie kartę atutową.

– Zasiłek nie jest tylko dla ludzi, którzy zgadzają się z proboszczem.

– To Kościół anglikański daje pieniądze.

– Ale to nie są pieniądze Kościoła, prawda? Wpłacają je mieszkańcy parafii. Czyżby się mylili, wierząc, że Kościół będzie postępował sprawiedliwie?

Dziedzic wyraźnie tracił cierpliwość.

– Jesteś jedną z tych, którym się wydaje, że powinni pouczać lepszych od siebie, tak?

Straciła resztki nadziei. Spór z takimi ludźmi zawsze się tak kończył. Członkowie arystokracji i szlachta nieodmiennie mieli rację, nawet jeśli nie postępowali zgodnie z prawem, obietnicami czy logiką. Bo byli szlachetnie urodzeni. Tylko biedota musiała stosować się do reguł.

Sal nie miała siły na dalszą walkę. Wiedziała, że będzie musiała prosić o pomoc proboszcza Riddicka, a on zrobi wszystko, by jej nie udzielić.

Opuściła gabinet bez słowa. Wyszła bocznymi drzwiami i wróciła do domu przygnębiona i pozbawiona wszelkiej nadziei.

Dokończyła szyć koszulę Kita, potem zjedli na obiad chleb i ser, a gdy usłyszeli bicie dzwonu, poszli na mszę żałobną. Mały średniowieczny kościół Świętego Mateusza należałoby rozbudować, by pomieścić wiernych z rozrastającej się wioski, ale Riddickowie nie zamierzali wydawać na to pieniędzy. Gdy Sal i Kit weszli do świątyni, już było tłoczno.

Niektórzy z żałobników właściwie nie znali Harry'ego. Sal zastanawiała się, dlaczego poświęcili czas i tu przyszli, po chwili uświadomiła sobie jednak, że śmierć jej męża była wyjątkowa. Harry nie umarł z powodu choroby, starości czy wypadku, którego nie dało się uniknąć. Umarł przez głupotę i brutalność Willa Riddicka. Przychodząc na tę uroczystość, mieszkańcy wioski dawali jasno do zrozumienia, że życie jej męża było ważne, a jego śmierci nie można zlekceważyć.

Proboszcz Riddick najwyraźniej to zrozumiał. Gdy wszedł do kościoła okryty kapłańskimi szatami i spojrzał ze zdumieniem na tłum, na jego twarzy pojawił się wyraz złości. Przeszedł szybko do ołtarza i zaczął odprawiać mszę. Sal była pewna, że wolałby nie uczestniczyć w tym nabożeństwie, był jednak jedynym kapłanem w wiosce. Poza tym opłaty za chrzty, śluby i pogrzeby stanowiły znaczący dodatek do jego pensji.

Odprawiał liturgię tak szybko, że wierni zaczęli pomrukiwać z niezadowoleniem. Zignorował ich i szybko dobrnął do końca. Sal niewiele to obchodziło. Płacząc, myślała tylko o tym, że już nigdy nie zobaczy Harry'ego.

Stryj Ike zebrał wcześniej chętnych do niesienia trumny i wszyscy przeszli za nimi na cmentarz. Brian Pikestaff stanął obok Sal i objął jej drżące ramiona w geście pocieszenia.

Proboszcz odmówił ostatnią modlitwę i opuszczono ciało do grobu.

Po ceremonii podszedł do Sal. Pomyślała, że chce jej złożyć nieszczerą kondolencję, ale się myliła.

– Ojciec mówił mi o twojej wizycie. Przyjdę do ciebie później – powiedział i pospiesznie się oddalił.

Dopiero wtedy Brian Pikestaff wygłosił krótką mowę. Wyrażał się o Harrym z sympatią i szacunkiem, a zebrani wokół grobu reagowali na jego słowa, kiwając głowami. Odmówił modlitwę, po czym wszyscy odśpiewali pieśń *Love's Redeeming Work is Done*.

Sal uścisnęła dłonie kilkorga przyjaciół i przyjaciółek, podziękowała im za przybycie, po czym wzięła Kita za rękę i szybko odeszła.

Krótko po tym, jak wróciła do domu, pojawił się tam Brian. Przyniósł pióro i fiolkę z atramentem.

– Pomyślałem, że chciałabyś wpisać Harry'ego do swojej Biblii – powiedział. – Nie będę ci przeszkadzał. Oddasz mi pióro i atrament przy okazji.

Sal lepiej radziła sobie z czytaniem niż z pisaniem, potrafiła jednak zapisywać daty i kopiować nawet dłuższe teksty. W Biblii zapisano już imię i nazwisko

Harry'ego z datą ich ślubu. Kiedy usiadła przy stole przed grubą księgą, z piórem w dłoni, przypomniawszy sobie ten dzień sprzed ośmiu lat. Tak się wtedy cieszyła, że wychodzi za niego za męża. Miała na sobie nową sukienkę, tę samą, którą włożyła dzisiaj. Kiedy wypowiadała słowa „póki śmierć nas nie rozłączy”, nie przypuszczała, że ten dzień nastąpi tak szybko. Na chwilę owładnął ją niczym niepowstrzymany smutek i nawet się przed tym nie broniła.

Potem otarła łzy i zapisała, powoli i starannie:

Harold Clitheroe, zmarł 4 grudnia 1792 roku.

Chętnie dodałaby coś o tym, jak zginął, nie wiedziała jednak, jak napisać *przynieciony wozem przez głupotę syna dziedzica*, a poza tym chyba rozsądniej było nie utrzymywać takich rzeczy.

Życie wróciło do normy, Sal siedziała przy kołowrotku i pracowała w świetle wpadającym przez otwarte okno. Syn jak zwykle usiadł przy niej i podawał jej luźne włókna wełny; wkładała je do otworu, jednocześnie kręcąc kołem wprawiającym w ruch wrzeciono, dzięki czemu wełna zamieniała się w mocną przędzę. Kit wydawał się zamyślony.

– Dlaczego musimy umrzeć, zanim pójdziemy do nieba? – spytał ją w którymś momencie.

Kiedyś Sal zadawała sobie podobne pytania, choć chyba robiła to w późniejszym wieku, kiedy miała raczej dwanaście, a nie sześć lat. Szybko zrozumiała wtedy, że rzadko można znaleźć wyjaśnienie trudniejszych aspektów religii, i przestała zaprzętać sobie tym głowę. Przeczuwała jednak, że Kit będzie wytrwalszy.

– Nie wiem dlaczego, przykro mi – odparła. – Nikt nie wie. To tajemnica.

– Nikt nie idzie do nieba bez umierania?

Miała już powiedzieć, że nikt, lecz coś jej się przypomniawszy.

– Tak, był taki człowiek. Nazywał się Elias.

– I nie zakopali go na cmentarzu przy kościele?

– Nie. – Sal była pewna, że w czasach starotestamentalnych proroków kościoły jeszcze nie istniały, ale postanowiła nie wyprowadzać syna z błędu.

– Jak się dostał do nieba? – chciał wiedzieć chłopiec.

– Uniósł go tam wicher. – Uprzedzając następne, nieuniknione pytanie, dodała:

– Nie wiem dlaczego.

Kit milczał tak długo, że Sal przypuszczała, że rozmyśla o ojcu, który był już w niebie, z Bogiem i aniołami.

– Dlaczego potrzebujesz takiego dużego koła? – zapytał nagle.

To potrafiła mu wytłumaczyć.

– Koło jest znacznie większe niż wrzeciono, którym obraca, widzisz?

– Tak.

– Więc kiedy koło obraca się tylko raz, wrzeciono robi to aż pięć razy. Czyli porusza się znacznie szybciej.

– Ale mogłabyś po prostu obracać wrzecionem.

– I tak właśnie robiono, zanim wynaleziono duże koło. Bo trudno obracać wrzecionem szybciej. Człowiek szybko się wtedy męczy. A dużym kołem możesz obracać przez cały dzień.

Pogrążony w myślach Kit wpatrywał się w urządzenie. Był wyjątkowym chłopcem. Sal wiedziała, że każda matka myśli tak o swoim dziecku, zwłaszcza jeśli ma tylko jedno; mimo to uważała, że jej syn jest inny niż dzieci, które znała. Była pewna, że kiedy dorośnie, będzie w stanie zajmować się czymś lepszym niż ciężka praca fizyczna. Nie chciała, by żył tak jak teraz, w lepiance bez komina.

Kiedyś miała aspiracje. Uwielbiała ciotkę Sarę, starszą siostrę matki. Sara opuściła wioskę i przeniosła się do Kingsbridge. Sprzedawała tam na ulicy teksty ballad i śpiewała je, żeby zachęcić klientów. Poślubiła mężczyznę, który drukował ballady, i nauczyła się liczyć, by prowadzić mu buchalterię. Przez jakiś czas odwiedzała wioskę parę razy w roku, elegancko wystrojona, wytworna, pewna siebie. Przywoziła hojne podarunki: jedwab na suknię, żywego kurczaka czy szklaną misę. Mówiła o rzeczach, o których czytała w gazetach: o amerykańskiej

wojnie o niepodległość, o kapitanie Cooku, który dopłynął do Australii, o wyborze dwudziestoczteroletniego Williama Pitta na premiera. Sal chciała być taka jak ciotka Sara. Ale kiedy zakochała się w Harrym, jej życie ułożyło się całkiem inaczej.

Nie miała pojęcia, jak potoczą się losy Kita, wiedziała jednak, od czego powinien zacząć: od edukacji. Nauczyła go rozpoznawać litery i cyfry, potrafił już nawet napisać patykiem na ziemi swoje imię. Lecz przecież sama niewiele umiała, więc co mogła mu przekazać?

W wiosce działała szkoła prowadzona przez proboszcza – Riddickowie kontrolowali tu niemal wszystko. Nauka kosztowała pens dziennie. Sal posyłała do niej syna, gdy tylko mogła sobie na to pozwolić, co nie zdarzało się często, a teraz, po śmierci Harry’ego, będzie jeszcze trudniej. Zależało jej na tym, by Kit był szczęśliwy, tylko nie wiedziała, co może w tym celu zrobić.

– Poczytamy? – zaproponował chłopiec.

– Dobry pomysł. Przynieś książkę.

Wziął ze stołu Biblię i położył ją na podłodze, by oboje dobrze ją widzieli.

– O czym poczytamy? – spytał.

– Może o tym chłopcu, który zabił olbrzyma.

Sal podniosła ciężki tom i znalazła rozdział siedemnasty Pierwszej Księgi Samuela.

Kit próbował czytać, matka musiała mu jednak pomagać przy imionach i wielu trudniejszych słowach. Gdy zapytał, co znaczy *sześć łokci i jedna piędź*, wyjaśniła, że Goliat miał ponad dziewięć stóp wzrostu. Kiedy oboje zmagali się ze słowem *nagolenice*, do domu wszedł bez pukania proboszcz.

Kit przestał czytać, a Sal wstała.

– Co wy tu robicie? – spytał proboszcz. – Czytacie?

– Historię o Dawidzie i Goliacie, pastarze – odparła Sal.

– Hm... Wy, metodyści, chcecie sami czytać Pismo Święte. Lepiej posłuchalibyście swojego kapłana.

Wiedziała, że nie jest to dobry moment, by wdawać się z nim w dyskusje.

– To jedyna książka, jaką mamy, ojczu, a nie sądzę, by Słowo Boże mogło zaszkodzić dziecku. Przepraszam, jeśli źle postąpiłam.

– No dobrze, nie po to tu przyszedłem. – Rozejrzał się, szukając czegoś, na czym mógłby usiąść. W domu nie było żadnych krzeseł, więc przyciągnął sobie stół z trzema nogami. – Chcesz, żeby Kościół wypłacał ci zasiłek dla biednych.

Sal nie próbowała tłumaczyć, że nie są to pieniądze Kościoła. Musiała zachować pokorę, bo inaczej proboszcz mógł jej odmówić jakiegokolwiek pomocy. Gdyby to zrobił, nie miałyby się do kogo odwołać ani podważyć jego decyzji.

– Tak, proszę, ojczu – powiedziała, opuściwszy wzrok.

– Ile płacisz czynszu?

– Sześć pensów tygodniowo.

– Parafia to opłaci.

Jasne, myślisz przede wszystkim o tym, żeby właściciel nie był stratny, pomyślała Sal. Poczowała jednak ulgę, wiedząc, że Kit i ona będą mieli dach nad głową.

– Ale całkiem nieźle zarabiasz jako prządka – zauważył proboszcz.

– Amos Barrowfield płaci szylinga za funt wełnianej nici, więc jeśli będę pracować całymi dniami i przez prawie całą jedną noc, mogę uprząść trzy funty tygodniowo.

– Dostajesz więc trzy szylingi, czyli prawie połowę płacy robotnika rolnego.

– Trzy ósme, ojczu – uściśliła Sal. Na tego rodzaju zaokrąglenia nie można sobie pozwolić, gdy liczy się każdy pens.

– Hm... chyba już czas, żeby twój syn zaczął pracować.

– Ma dopiero sześć lat! – rzuciła oburzona.

– Ale wkrótce skończy siedem. Większość dzieci zaczyna w tym wieku pracować.

– Skończy siedem lat dopiero w marcu.

– Dwudziestego piątego marca. Sprawdziłem tę datę w księgach parafialnych. To już niedługo.

Do marca zostały jeszcze ponad trzy miesiące, a dla sześciolatniego dziecka to naprawdę długi czas.

– Zresztą jaką pracę mógłby wykonywać? – spytała. – Jest zima. O tej porze roku nikt nie potrzebuje dodatkowych pracowników.

– Potrzebujemy we dworze chłopca do czyszczenia butów.

Więc tak wyglądał jego plan.

– Co musiałby robić Kit?

– Nauczyć się pastować i czyścić do połysku buty. I wykonywać inne drobne prace: ostrzyć noże, przynosić drewno na opał, opróżniać i myć nocniki...

Sal spojrział na syna, który przysłuchiwał się tej rozmowie z szeroko otwartymi oczami. Był tak mały i bezbronny, że chciało jej się płakać. Ale proboszcz miał rację: zbliżał się czas, kiedy będzie musiał podjąć jakąś pracę.

– Nauczy się przy okazji, jak należy się zachowywać w domu dziedzica – dodał proboszcz. – Może dzięki temu nie będzie tak bezczelny jak jego ojciec.

Sal postanowiła zignorować te oszczercze słowa.

– Ile będzie zarabiał?

– Szylinga tygodniowo... całkiem sporo jak na dziecko.

Sal wiedziała, że to prawda.

– No i będzie dostawał jedzenie i ubranie. – Spojrział na połataną rajtuzy i za duży kaftan chłopca. – Nie może tak wyglądać.

Kit nieco poweselał na wzmiankę o nowych ubraniach.

– I będzie spał w dworze, oczywiście – dorzucił proboszcz.

Sal była przerażona tą perspektywą, choć właściwie nie powinna się dziwić: większość służących mieszkała na terenie posiadłości Riddicków. Oznaczało to jednak, że zostanie sama. Jakże samotne stanie się jej życie.

Oczy Kita na wieść, że będzie musiał zamieszkać we dworze, wypełniły się łzami.

– Przestań się mazać, chłopcze, i ciesz się, że będziesz miał ciepły kąpiel i dość jedzenia. Wielu chłopców w twoim wieku pracuje w kopalniach.

Sal musiała przyznać, że to też jest prawdą.

– Ja chcę być z mamą – powiedział Kit, pochlipując.

– Ja też chciałbym być ze swoją mamą, ale już od dawna nie żyje – odparował proboszcz. – Będziesz miał wolne niedzielne popołudnia i wtedy będziesz mógł widywać się z matką.

Chłopiec zaczął płakać jeszcze gwałtowniej.

– Dopiero co stracił ojca, a teraz czuje się tak, jakby tracił matkę – powiedziała Sal cichym głosem.

– Wcale jej nie traci i przekona się o tym w najbliższą niedzielę, kiedy do ciebie przyjdzie.

– Chce pan go zabrać już dziś? – spytała zaskoczona.

– Nie ma sensu odkładać tego na później. Im szybciej zacznie, tym szybciej do tego przywyknie. Ale jeśli twoja sytuacja nie wygląda tak źle, jak udajesz...

– Zgoda – rzuciła Sal.

– Więc zabieram go teraz.

– Ucieknę! – zawołał wyzywającym tonem Kit.

Proboszcz wzruszył ramionami.

– Wtedy zostaniesz schwyty, przyprowadzony do dworu i wychłostany.

– To znowu ucieknę!

– I znów przyprowadzimy cię z powrotem. Ale przypuszczam, że pierwsza chłosta wystarczy.

– No już, Kit, przestań płakać – powiedziała Sal stanowczym tonem, choć sama z trudem powstrzymywała łzy. – Twój ojciec oszedł, więc musisz zostać mężczyzną wcześniej, niż przypuszczaliśmy. Jeśli będziesz się dobrze zachowywał, dostaniesz ładne ubrania i codziennie będziesz jadł obiad i kolację.

– Dziedzic będzie odejmował od jego zarobków trzy pensy tygodniowo za jedzenie i picie, a dodatkowo przez pierwsze czterdzieści tygodni sześć pensów

tygodniowo za ubrania.

– Ale to znaczy, że będzie dostawał tylko trzy pensy tygodniowo! – obliczyła szybko Sal.

– I tyle na początku będzie warta jego praca.

– A ile dostanę z zasiłku dla ubogich?

– Nic – odparł proboszcz z udawanym oburzeniem.

– Więc z czego mam żyć?

– Możesz tkać codziennie, skoro nie będziesz się musiała zajmować mężem i synem. W ten sposób podwoisz swoje zarobki. Będziesz miała sześć szylingów tygodniowo, do wydania tylko na siebie.

Wiedziała, że musiałyby tkać dwanaście godzin dziennie, sześć dni w tygodniu, żeby tyle zarobić. Ogródek warzywny zarośnie chwastami, będzie nosiła przetarte stare ubrania i żywiła się chlebem z serem, ale przeżyje. I Kit także.

– Chodź ze mną, chłopcze – nakazał proboszcz, wstając.

– Do zobaczenia w niedzielę, Kit, opowiesz mi wtedy o wszystkim – powiedziała Sal. – Daj mi buziaka na pożegnanie.

Chłopiec nie przestawał płakać, gdy matka ścisnęła go mocno i całowała.

– Módl się, a Jezus będzie cię miał w swojej opiece – powiedziała i wysunęła się z jego objęć.

Proboszcz ujął mocno dłoń chłopca i wyszli z domu.

– Bądź grzeczny, Kit! – zawołała Sal.

Potem usiadła i rozpłakała się.

*

Kiedy szli przez wioskę, pastor Riddick trzymał Kita za rękę. Nie był to dodający otuchy przyjazny uścisk – miał tylko powstrzymać chłopca przed ucieczką. Tyle że on wcale nie zamierzał uciekać. Przestroga proboszcza przed chłostą skutecznie go od tego odstraszyła.

Właściwie Kit bał się teraz wszystkiego. Bał się, bo nie miał ojca, bał się, bo opuścił matkę, bał się proboszcza, złośliwego Willa i wszechpotężnego dziedzica.

Kiedy truchtał u boku pastora, co jakiś czas podrywając się do biegu, by dotrzymać mu kroku, mieszkańcy wioski spoglądali na niego z zaciekawieniem, zwłaszcza jego przyjaciele i ich rodzice. Nikt się jednak nie odezwał, nikt też nie ośmielił się wypytywać proboszcza o chłopca.

Jeszcze bardziej przeraził się, gdy znaleźli się blisko dworu. Był to największy budynek w wiosce – większy od kościoła – wzniesiony z takiego samego żółtawego kamienia. Chłopiec widział dwór wielokrotnie, ale teraz patrzył na niego z innej perspektywy. Pośrodku fasady znajdowały się drzwi frontowe ze schodami i gankiem. Kit naliczył jedenaście okien, po dwa po obu stronach drzwi, pięć na piętrze i dwa na poddaszu. Kiedy podeszli jeszcze bliżej, po małych okienkach na samym dole zorientował się, że w domu jest też suterena.

Nie miał pojęcia, co może się kryć we wnętrzu tak wielkiego budynku. Margaret Pikestaff mówiła mu kiedyś, że wszystko jest tam zrobione ze złota, nawet krzesła, Kit przypuszczał jednak, że to niemożliwe, bo tyle złota może być tylko w niebie.

Kościół był duży, bo w czasie nabożeństw musieli się w nim zmieścić wszyscy mieszkańcy wioski, ale tu mieszkali tylko dziedzic, jego trzech synowie i kilkoro służących. Co robili z taką wielką przestrzenią? Dom Kita składał się z jednej izby przeznaczonej dla trojga ludzi. Dwór wydał mu się tajemniczy i złowieszczy.

Proboszcz poprowadził go po paru stopniach schodów do dużych drzwi.

– Ty nigdy nie będziesz tędy wchodził – powiedział na progu. – Chyba że z dziedzicem albo którymś z nas, jego synów. Dla ciebie i innych służących są tylne drzwi.

A więc jestem jednym ze służących, pomyślał chłopiec. Tym, który będzie czyścił i pastował do połysku buty. Szkoda, że nie wiem, jak to się robi. Ciekawe, co robią inni służący. I czy uciekali, a potem przyprowadzano ich tu z powrotem i chłostano.

Kiedy drzwi zamknęły się za nimi, proboszcz wypuścił jego dłoń.

Sam hol we dworze, ze ścianami pokrytymi ciemnym drewnem, okazał się większy niż cały dom Kita. Było tu czworo drzwi i szerokie schody prowadzące na piętro. Znad kominka spoglądał złowrogo na chłopca łeb jelenia; zwierzę nie poruszało się jednak, chłopiec był więc pewien, że nie żyje. Było tu dość ciemno, a w powietrzu unosiła się nieprzyjemna woń, której nie potrafił nazwać.

Otworzyły się jedne z czworga drzwi i do holu wszedł Will Riddick.

Dostrzegł chłopca, który próbował się ukryć za pastorem, i zmarszczył gniewnie brwi.

– To chyba nie jest dzieciak Clitheroe’ów, co, George?

– Owszem, to on – odparł proboszcz.

– Po co go tutaj przyprowadziłeś, do diabła?

– Uspokój się, Will. Potrzebujemy pucybuta.

– Dlaczego właśnie on?

– Bo jest wolny, a jego matka potrzebuje pieniędzy.

– Nie chcę tego cholernego szczeniaka w naszym domu.

Z ust matki Kita nigdy nie padły takie słowa jak „do diabła” czy „cholerny” i bardzo nie lubiła, gdy używał ich tata, co nie zdarzało się często.

– Nie wygłupiaj się – rzucił pastor. – Temu dzieciakowi niczego nie brakuje.

Will zaczerwienił się ze złości.

– Myślisz, że to przeze mnie zginął jego ojciec, wiem o tym.

– Nigdy tego nie powiedziałem.

– Przyprowadziłeś tego dzieciaka, żeby był dla mnie nieustającym wyrzutem.

Chłopiec nie wiedział, co oznacza słowo „wyrzut”, ale domyślał się, że Will nie chce, by przypomniano mu, co zrobił. A przecież to właśnie przez niego doszło do wypadku, nawet dziecko to rozumiało.

Kit zawsze chciał mieć brata, z którym mógłby się bawić, i dotąd nie przypuszczał, że bracia mogą się tak kłócić.

– Tak czy inaczej, to ojciec postanowił zatrudnić tego chłopca – oznajmił proboszcz.

– W takim razie porozmawiam z ojcem – oświadczył Will. – Odeśle chłopaka do matki.

Jego brat wzruszył ramionami.

– Możesz próbować. Mało mnie to obchodzi.

Kit całym sercem pragnął, by odesłano go do mamy.

Will zniknął za innymi drzwiami niż te, przez które tu wszedł. Chłopiec zastanawiał się, czy kiedyś będzie wiedział, jak poruszać się po domu z tyloma pomieszczeniami. Lecz po chwili jego umysł zajęło coś ważniejszego.

– Zostanę odesłany do domu? – spytał z nadzieją.

– Nie – odparł pastor. – Dziedzic rzadko zmienia zdanie i nie zrobi tego teraz tylko dlatego, że rani to uczucia mojego brata.

Kit popadł w czarną rozpacz.

– Musisz poznać nazwy poszczególnych pomieszczeń – powiedział proboszcz. Otworzył najbliższe drzwi. – To jest salon albo bawialnia. Wejdz i zobacz.

Chłopiec przestąpił nerwowo próg i rozejrzał się. Zdawało mu się, że w tym jednym pomieszczeniu jest więcej mebli i ozdób niż w całej wiosce. Były tu dywany, krzesła, kilka małych stolików, zasłony, poduszki, obrazy i wiele dekoracji. Stał tu też fortepian, znacznie większy od jedyne go takiego instrumentu, który Kit widział do tej pory w domu Pikestaffa. Nie dostrzegł jednak niczego, co mogłoby służyć do zabawy.

Wciąż próbował ogarnąć to wszystko wzrokiem i myślami, gdy pastor wciągnął go z powrotem do holu i zamknął drzwi.

Przeszli do następnego pomieszczenia.

– Jadalnia.

Ten pokój urządzony był z nieco mniejszym przepychem. Centralne miejsce zajmował stół otoczony krzesłami, a pod ścianami stało kilka kredensów. Wisiały tu obrazy przedstawiające mężczyzn i kobiety. Kita zaintrygował zwisający z sufitu

dziwny przedmiot przypominający pajęczynę. Umieszczono w nim mnóstwo świec, chłopiec pomyślał więc, że to podręczny magazyn na świece, z którego w razie potrzeby można było wyjąć jedną i zapalić.

– Pokój bilardowy – oznajmił proboszcz, gdy przeszli do trzeciego pomieszczenia.

Stał tu nieco inny stół, z podniesionymi krawędziami i blatem z zielonego sukna, na którym leżały kule w różnych kolorach. Kit nigdy dotąd nie słyszał słowa „bilard” i nie miał pojęcia, do czego może służyć ten pokój.

– Gabinet – rzucił pastor przy drzwiach czwartego pomieszczenia, ale ich nie otworzył.

To właśnie tutaj wszedł przed chwilą Will. Kit słyszał dobiegające stamtąd podniesione głosy.

– Klóć się o ciebie – poinformował go proboszcz.

Chłopiec nie rozumiał, co mówią spierający się mężczyźni.

Na końcu holu znajdowały się zielone drzwi, których wcześniej nie zauważył. Syn dziedzica przeprowadził go za nie do części domu, która znacząco różniła się od tego, co widział tu dotąd Kit. Na ścianach nie wisiały obrazy, podłóg nie pokrywały dywany, a drewniane elementy wymagały malowania. Zeszli schodami do sutereny i po chwili znaleźli się w pokoju, w którym przy stole siedziało dwóch mężczyzn i dwie kobiety; jedli kolację. Na widok pastora wszyscy wstali.

– To jest nasz nowy pucybut – oznajmił proboszcz. – Kit Clitheroe.

Spojrzeli na chłopca z zainteresowaniem. Starszy z mężczyzn przełknął jedzenie, które miał w ustach.

– Syn człowieka, który...? – zaczął.

– Tak – odparł syn dziedzica, po czym zwrócił się do Kita: – To jest Platts, kamerdyner. Będziesz mówił do niego „panie Platts” i robił wszystko, co ci każe.

Kamerdyner miał duży nos pokryty siatką cienkich czerwonych żyłek.

– Obok niego stoi Cecil, lokaj – dodał proboszcz.

Cecil był całkiem młody i miał na szyi guz. Kit wiedział, że takie guzy nazywają karbunkułami. Następnie pastor wskazał kobietę w średnim wieku, o okrągłej twarzy.

– Pani Jackson jest kucharką, a Fanny pokojówką.

Fanny miała jakieś dwanaście, może trzynaście lat. Była pryszczatą chudą dziewczyną i wydawała się niemal równie przerażona jak Kit.

– Zakładam, że nauczysz go wszystkiego, Platts – powiedział syn dziedzica. – Jego ojciec był bezczelny i nieposłuszny, więc jeśli się okaże, że ten mały jest taki sam, będziesz musiał sprawić mu porządne lanie.

– Tak jest, ojcze, zrobię to – obiecał kamerdyner.

Kit starał się nie płakać, ale łzy same napłynęły mu do oczu i potoczyły się po policzkach.

– Będzie potrzebował ubrań – zauważyła kucharka. – Wygląda jak strach na wróble.

– Mamy gdzieś skrzynię z ubraniami dla dzieci – powiedział Platts. – Prawdopodobnie należały kiedyś do dziedzica i jego synów. Jeśli ojciec pozwoli, sprawdzimy, czy nie ma tam czegoś, co pasowałoby na chłopca.

– Jak najbardziej – odparł pastor. – Zostawiam to tobie. – To powiedziawszy, wyszedł.

Kiedy proboszcz wyszedł, Kit patrzył na służących, zastanawiając się, co powinien zrobić lub powiedzieć, ale nic nie przychodziło mu do głowy, stał więc i milczał.

– Nie przejmuj się, młody człowieku, rzadko spuszczaamy tu komuś lanie – uspokoił go po chwili Cecil. – Lepiej coś zjedz. Usiądź obok Fanny i poczęstuj się wieprzowiną w cieście przygotowaną przez panią Jackson.

Kit przeszedł na koniec stołu i usiadł na ławce obok pokojówki. Dostał talerz, nóż z widelcem i kawałek placka stojącego na środku stołu.

– Dziękuję pani – powiedział. Był zbyt zdenerwowany, by jeść, ale oczekiwali tego od niego, więc odkroił mały kawałek i włożył go do ust. Nigdy nie jadł czegoś

podobnego i był zdumiony, że jedzenie może być tak pyszne.

Po chwili musieli przerwać posiłek, bo odwiedził ich Roger, najmłodszy syn dziedzica.

– Jest tutaj? – spytał, wchodząc do jadalni.

Wszyscy wstali, więc chłopiec również to zrobił.

– Dobry wieczór, paniczu – przywitał Platts młodzieńca.

– Ach, jesteś tu. – Roger spojrzał na Kita. – Widzę, że dostałeś kawałek placka z mięsem, więc chyba nie jest tak źle.

– Dziękuję, paniczu – odparł niepewnym głosem chłopiec.

– Posłuchaj mnie, Kit. Wiem, że trudno opuszczać rodzinny dom, ale musisz być dzielny. Spróbujesz?

– Tak, paniczu.

Roger odwrócił się do kamerdynera.

– Traktuj go łagodnie, Platts – rzucił. – Wiesz, przez co ostatnio przeszedł.

– Tak jest, paniczu, wszyscy wiemy.

Roger spojrzał na pozostałych służących.

– Liczę na was wszystkich. Okażcie mu trochę współczucia, przynajmniej na początku.

Kit nie znał słowa „współczucie”, ale przypuszczał, że oznacza coś w rodzaju litości.

– Proszę się nie obawiać, paniczu, okażemy – zapewnił Cecil.

– Świetnie. Dziękuję wam.

Gdy syn dziedzica skinął głową i wyszedł, wszyscy usiedli.

Kit uznał, że Roger jest cudownym człowiekiem.

Kiedy skończyli jeść, pani Jackson zrobiła herbatę i chłopiec dostał filiżankę z dużą porcją mleka i kawałkiem cukru, co również było cudowne.

W końcu Platts wstał.

– Dziękujemy, pani Jackson – powiedział.

Pozostała trójka służących powtórzyła za nim jednym głosem:

– Dziękujemy, pani Jackson.

Kit domyślił się, że powinien zrobić to samo, więc również podziękował kucharce.

– Dobry chłopak. – Cecil skinął głową. – Chodź, pokażę ci, jak czyścić buty.

ROZDZIAŁ 5

Późnym popołudniem Amos Barrowfield pracował w wyziębionym magazynie na tyłach rodzinnego domu w pobliżu katedry w Kingsbridge. Szykował się do porannego wyjazdu; przygotowywał ładunki dla juczych koni, które karmiono właśnie w przylegającej do magazynu stajni.

Spieszył się, bo miał nadzieję, że później spotka się z dziewczyną.

Wiązał worki tak, żeby o świcie można je było szybko załadować na końskie grzbiety. Potem uświadomił sobie, że ma za mało przędzy, co krzyżowało mu nieco plany. Ojciec powinien był kupić wystarczający zapas na giełdzie wełnianej w Kingsbridge przy High Street.

Zirytowany, opuścił magazyn, przeciął dziedziniec i wszedł do domu. Była to okazała stara rezydencja, choć jej stan pozostawiał wiele do życzenia: w dachu brakowało dachówek, a na piętrze stało przy schodach wiadro, do którego spływała woda z dziury. Wzniesiona z żółtawego kamienia budowla miała podziemia, w których mieściły się kuchnia, parter, piętro i wysoki strych. Rodzina Barrowfieldów składała się tylko z trzech osób, ale niemal cały parter zajmowały pomieszczenia związane z firmą, a poza tym w domu spało też kilkoro służących.

Z holu z podłogą wyłożoną czarno-białym marmurem Amos przeszedł szybko do gabinetu, który miał drugie drzwi od frontu domu. Na dużym stole pośrodku pomieszczenia leżały bele kilku rodzajów tkanin, które sprzedawali: miękka flanela, gęsto tkana gabardyna, popelina na płaszcze i karazja dla żeglarzy. Obadiach Barrowfield miał imponującą wiedzę o tradycyjnych rodzajach wełny i typach splotu, ale nie chciał rozszerzać asortymentu. Amos uważał, że można by dobrze zarobić na małych partiach luksusowych materiałów – mieszanek jedwabiu, angory i wełny merynosowej – lecz ojciec wolał trzymać się wąskiej specjalizacji.

Siedział właśnie przy biurku i przeglądał grubą księgę, obok której stała lampa ze świecą. Amos zdawał sobie sprawę, że jeśli chodzi o wygląd fizyczny, są swoimi przeciwieństwami: ojciec był niski i łysy, a on wysoki i miał gęste falowane włosy. Obadiah miał okrągłą twarz i płaski nos, natomiast twarz Amosa, z wydatnym podbródkiem, była pociągła. Obaj nosili ubrania z drogich tkanin, reklamując w ten sposób własne wyroby, lecz Amos był schludny i wymuskany, podczas gdy chusta pod szyją jego ojca była rozwiązana, kamizelka rozpięta, a pończochy pomarszczone.

– Nie ma przędzy – oznajmił Amos od progu. – O czym zapewne doskonale wiesz.

Obadiah podniósł wzrok, zirytowany, że ktoś mu przeszkadza. Jego syn przygotował się wewnętrznie na kłótnię, mając świadomość, że w ostatnim roku ojciec zrobił się wyjątkowo drażliwy.

– Nic na to nie poradzę – powiedział starszy mężczyzna. – Nie mogłem kupić choćby odrobiny po rozsądnej cenie. Na ostatniej aukcji sukienki z hrabstwa York wykupił wszystko po wygórowanych cenach.

– Więc co mam powiedzieć tkaczom i tkaczkom?

Obadiah westchnął z udręczeniem.

– Powiedz im, żeby sobie zrobili tydzień wolnego – odparł.

– I pozwolili, żeby ich dzieci głodowały?

– Nie prowadzę interesu po to, żeby karmić czyjeś dzieci.

Na tym właśnie polegała największa różnica między ojcem i synem. Amos uważał, że ma obowiązki wobec ludzi, którzy zarabiali dzięki niemu na życie. Obadiah nie podzielał tego zdania. Syn nie chciał jednak po raz kolejny wchodzić w ten spór, więc sięgnął po całkiem inny argument.

– Jeśli dostaną pracę od kogoś innego, wezmą ją – powiedział.

– Niech biorą.

Amos pomyślał, że to już nie tylko drażliwość ojca; odniósł wrażenie, że nie obchodzi go firma, którą prowadził od tylu lat. Co się z nim działo?

– Wtedy być może już do nas nie wrócą – dodał. – Nie będziemy mieli czego sprzedawać.

– Więc czego ode mnie oczekujesz? – Obadiah z irytacją podniósł głos.

– Nie wiem. Ty tu jesteś właścicielem, o czym stale mi przypominasz.

– Jakoś musisz sobie poradzić z tym problemem.

– Nie płacisz mi za prowadzenie firmy. Właściwie w ogóle mi nie płacisz.

– Jesteś terminatorem! I będziesz nim, dopóki nie skończysz dwudziestu jeden lat. To normalna praktyka.

– Nie, wcale nie. – Amosa zaczęła ogarniać złość. – Większość terminatorów otrzymuje jakąś pensję, choćby małą. Ja nie dostaję nic.

Obadiah dyszał ciężko, zmęczony, jakby kłótnia z synem wymagała od niego wysiłku.

– Nie musisz płacić za jedzenie, ubranie czy dach nad głową, więc po co ci pieniądze? – spytał.

Amos chciał mieć za co zaprosić gdzieś dziewczynę, ale nie powiedział o tym.

– Żebym się nie czuł jak dziecko – rzucił.

– To jedyny powód, który przychodzi ci do głowy?

– Skończyłem dziewiętnaście lat i wykonuję większość pracy w firmie. Mam prawo do pensji.

– Nie jesteś jeszcze mężczyzną, więc to ja będę podejmował decyzje.

– Tak, ty podejmujesz decyzje. I dlatego nie mamy przędzy.

Syn wyszedł z gabinetu zdenerwowany i zdumiony. Ojciec nie chciał słuchać głosu rozsądku. Czy to z wiekiem stał się taki zgryźliwy i skąpy? Ale przecież miał dopiero pięćdziesiąt lat. A może chodziło o coś innego?

Amos rzeczywiście czuł się jak dziecko, gdy nie miał pieniędzy. A jeśli dziewczyna poczuje pragnienie i poprosi go o kufel piwa w tawernie? Albo sam zechce kupić dla niej pomarańczę na straganie? Spotkania w mieście były pierwszym etapem konkurów dla przyzwoitych dziewcząt z Kingsbridge, a Amosa te nieprzyzwoite raczej nie interesowały. Znał opowieści o Belli Lovegood, która

naprawdę nazywała się Betty Larchwood i nie cieszyła się najlepszą opinią. Kilku chłopców w jego wieku twierdziło, że ją chędożyli, i niektórzy z nich może mówili prawdę. Amos nie chciałby się z nią spotykać, nawet gdyby miał pieniądze. Bella go nie pociągała, raczej było mu jej żal.

A co by było, gdyby zaangażował się poważniej w związek z dziewczyną i chciał ją zabrać na spektakl do teatru w Kingsbridge albo na bal w Assembly Rooms? Czym zapłaciliby za bilety?

Wrócił do magazynu i dokończył szybko pakowanie. Wciąż martwiła go myśl, że ojciec tak nierozważnie zaniedbał zakup przędzy. Czyżby całkowicie tracił kontrolę nad firmą?

Amos był głodny, a że nie miał czasu usiąść do stołu z rodzicami, poszedł do kuchni. Zastał tam matkę; siedziała przy piecu, w niebieskiej sukience z miękkiej owczej wełny, materiału, który wytwarzał jeden z tkaczy z Badfordu. Gawędziła z kucharką, Ellen, opierającą się o kuchenny stół. Matka poklepała go czule po ramieniu, a Ellen uśmiechnęła się serdecznie; obie rozpieszczały Amosa przez większość jego życia.

Ukroił sobie kilka plastrów szynki i kawałek chleba i zjadł na stojąco, popijając słabym piwem z beczki.

– Spotykałaś się z ojcem przed ślubem? – spytał matkę po kilku kęsach.

Uśmiechnęła się nieśmiało. Przez moment Amos miał wrażenie, że jej siwe włosy stały się ciemne i lśniące, zmarszczki zniknęły i znów jest piękną młodą kobietą.

– Oczywiście – odparła.

– Dokąd chodziliście? Co robiliście?

– Nic szczególnego. Ubieraliśmy się odświętnie i spacerowaliśmy po mieście, oglądaliśmy wystawy sklepowe, rozmawialiśmy ze znajomymi w naszym wieku. Wydaje się, że to okropnie nudne, prawda? Ale byłam podekscytowana, bo naprawdę lubiałam twojego ojca.

– Kupował ci coś?

– Rzadko. Kiedyś kupił mi na targu niebieską wstążkę do włosów. Wciąż ją mam, w kasetce z biżuterią.

– Więc miał pieniądze.

– Oczywiście. Miał dwadzieścia osiem lat i dobrze zarabiał.

– Byłaś pierwszą dziewczyną, z którą się spotykał?

– Amos! – oburzyła się Ellen. – Pytasz o takie rzeczy własną matkę?

– Przepraszam – rzucił skruszonym tonem. – Nie pomyślałem. Wybacz mi, mamo.

– Nic się nie stało.

– Muszę się spieszyć.

– Idziesz na spotkanie metodystów?

– Tak.

Dała mu pensa ze swojej sakiewki. Metodyści pozwalali uczestniczyć w spotkaniach także i tym, których nie było stać na składkę, więc przez jakiś czas Amos nic nie płacił. Kiedy jednak matka dowiedziała się o tym, wymogła na nim, by brał od niej na to pieniądze. Ojciec, który uważał metodystów za wichrzycieli, był temu przeciwny, lecz w tej kwestii matka nie zamierzała mu się podporządkowywać.

„Mój syn nie jest żebrakiem, na miłość boską!”, powiedziała z oburzeniem. I ojciec ustąpił.

Amos podziękował jej za pensa i wyszedł na zewnątrz, w blask latarni. Wzdłuż dwóch głównych ulic Kingsbridge, Main Street i High Street, rozstawiono latarnie olejowe, opłacane przez radę miejską, która uważała, że dzięki nocnemu oświetleniu nie ma tylu przestępstw.

Przeszedł szybko do domu modlitewnego metodystów przy High Street. Był to pomalowany na biało prosty budynek z cegły, z wielkimi oknami symbolizującymi oświecenie. Ludzie nazywali go czasem kaplicą, nie był to jednak poświęcony kościół, co podkreślali metodyści i zbierali pieniądze na budowę świątyni, przede wszystkim od drobnych sukienników i zamożnych rzemieślników, którzy stanowili

większość członków tej wspólnoty. Wielu metodystów uważało, że powinni oderwać się od Kościoła anglikańskiego, a pozostali chcieli w nim zostać i reformować go od środka.

Amosa nieszczególnie to wszystko obchodziło. Uważał, że religia to sposób życia. Dlatego rozzłościł się, gdy jego ojciec powiedział: „Nie prowadzę interesu po to, żeby karmić czyjeś dzieci”. Ojciec nazywał go głupim młodym idealistą. Może rzeczywiście jestem młodym głupim idealistą, pomyślał Amos. Ale przecież Jezus też nim był.

Lubił ożywione dyskusje biblijne w domu modlitewnym metodystów, bo mógł wyrazić tam swoją opinię. Słuchano go tam uprzejmie i z szacunkiem, podczas gdy w kościołach kazano mu milczeć i wierzyć w to, co mówi mu kler albo starsi ludzie, albo ojciec. Te spotkania miały jeszcze jedną zaletę. Przychodziło na nie wielu ludzi w jego wieku, więc dom modlitewny stał się w pewnym sensie czymś w rodzaju klubu dla przyzwoitej młodzieży. No i pojawiała się sporo ładnych dziewczyn.

Tego wieczoru Amos liczył szczególnie na przybycie Jane Midwinter, która jego zdaniem była najładniejsza. Dużo o niej rozmyślał, gdy jeździł samotnie po okolicy i nie widział niczego prócz otaczających go pól. Wydawało mu się, że Jane jest do niego podobna, ale nie był pewny.

Wszedł do sali spotkań, w niczym nieprzypominającej wnętrza katedry – co prawdopodobnie było zamierzone. Nie było tu posągów, malowideł, witraży ani srebrnych kielichów wysadzanych klejnotami. Jedyne umeblowanie stanowiły ławy i krzesła. W katedrze świętą ciszę przerywał eteryczny śpiew chóru lub głos kapłana, tutaj natomiast każdy mógł przemawiać, modlić się lub zachęcać do odśpiewania hymnu. Śpiewali głośno, bez akompaniamentu, jak metodyści w innych domach modlitw. Oddawali Bogu cześć z żywością, której całkowicie brakowało podczas anglikańskich nabożeństw.

Rozejrzał się po pomieszczeniu i z radością odnotował, że Jane już tam jest. Na widok jej jasnej skóry i czarnych brwi serce zabiło mu mocniej. Miała na sobie

kaszmirową suknię w takim samym delikatnym odcieniu szarości jak jej włosy. Niestety, po prawej i lewej ręce dziewczyny siedziały już jej przyjaciółki.

Amosa przywitał ojciec Jane, kanonik Charles Midwinter, przywódca metodystów w Kingsbridge, z długimi gęstymi włosami, które już posiwiały, przystojny i charyzmatyczny. Midwinter należał do kapituły, komitetu zarządzającego katedrą. Biskup Kingsbridge tolerował jego metodyzm, choć niechętnie, co wydawało się Amosowi naturalne: biskup z pewnością czuł się krytykowany przez ruch, którego zdaniem Kościół anglikański należało zreformować.

Kanonik uścisnął młodemu człowiekowi dłoń.

– Jak się miewa twój ojciec? – spytał.

– Ani lepiej, ani gorzej – odparł Amos. – Często dostaje zadyszki i nie może podnosić ciężkich beli.

– Prawdopodobnie powinien już dać sobie spokój i przekazać cały interes tobie.

– Chciałbym.

– Ale komuś, kto tak długo zarządzał firmą, nie przyjdzie to łatwo.

Do tej pory Amos skupiał się na swojej złości na ojca i nie brał pod uwagę tego, że ta sytuacja może być też ciężką próbą dla niego. Poczł się nieco zawstydzony. Midwinter zawsze potrafił przedstawić jakiś problem w innym świetle, co było bardziej pouczające niż grzmienie na kazaniach o grzechach.

Amos podszedł jak najbliżej do Jane i zajął miejsce na ławie, obok Rupe'a Underwooda. Mniej więcej dwudziestopięcioletni Rupe zajmował się wytwarzaniem wstążek, na których można było nieźle zarobić, kiedy ludziom nie brakowało pieniędzy, inaczej bowiem nie mógłby liczyć na klientów.

– Będzie padał śnieg – odezwał się.

– Mam nadzieję, że nie – rzucił Amos. – Muszę jutro jechać do Lordsborough.

– No to ubierz się ciepło.

Amos nie mógł zrezygnować z tej podróży ze względu na pogodę. Rozwoził po okolicznych wsiach materiały i opierał się na tym system produkcji. Musiał jechać

i marznąć, nie było innego wyjścia.

Nim zdążył przysunąć się jeszcze bliżej Jane, kanonik Midwinter otworzył dyskusję na temat ośmiu błogosławieństw z Ewangelii świętego Mateusza.

– *Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem do nich należy królestwo niebieskie**.

Te słowa Jezusa wydawały się Amosowi mistyczne i do końca ich nie rozumiał. Przysłuchiwał się z uwagą i przyjemnością ożywionej rozmowie, czuł się jednak zbyt skonsternowany, by brać w niej udział. Pomyślał, że będzie miał się nad czym zastanawiać jutro w drodze; przynajmniej nie będzie rozmyślał wyłącznie o Jane.

Potem podano herbatę z mlekiem i cukrem w prostych ceramicznych filiżankach ze spodkami. Metodyści uwielbiali herbatę, napój, który nie sprawia, że człowiek staje się agresywny, ogłupiały czy lubieżny, nawet jeśli wypije go dużo.

Amos odszukał wzrokiem Jane i zobaczył, że Rupe zdążył już zająć miejsce u jej boku. Rupe miał długą blond grzywkę i od czasu do czasu podrzucał głową, by włosy nie wpadały mu do oczu, co, nie wiedzieć czemu, irytowało Amosa.

Zwrócił uwagę na buty Jane, ze zwykłej czarnej skóry, ale ozdobione wstążkami związanymi w wielkie kokardy, które zastępowały sznurówki. Buty były na obcasach, dodających jej co najmniej cal wzrostu. Dziewczyna śmiała się z czegoś, co powiedział Rupe, a potem klepnęła go po piersi w geście żartobliwej reprimendy. Czyżby wolała Rupe'a od niego? Amos miał nadzieję, że nie.

Czekając, aż będzie mógł do niej podejść, rozmawiał ze Spade'em, Davidem Shovellerem. Ten miał trzydzieści lat i był wysoko wykwalifikowanym tkaczem; wytwarzał wykwintne tkaniny i sprzedawał je po wysokiej cenie. Zatrudniał kilkoro pracowników, w tym innych tkaczy. Podobnie jak Amos, nosił ubrania, które reklamowały produkty jego firmy. Dziś miał na sobie płaszcz z niebieskoszarego tweedu z plamkami czerwieni i żółci.

Amos lubił pytać o radę tego młodego przedsiębiorcę, bystrego i życzliwego, który nigdy nie traktował nikogo protekcjonalnie. Opowiedział mu o problemie z przedzą.

– Brakuje jej nie tylko w Kingsbridge, ale też w całym kraju – wyjaśnił Spade. Czytał gazety i czasopisma, był więc dobrze poinformowany.

– Jak mogło do tego dojść? – zapytał Amos.

– Powiem ci. – Spade skinął głową i zbierając myśli, napił się herbaty. – Jest taki wynalazek o nazwie latające czółenka. Pociągasz za dźwignię i czółenka przeskakuje z jednej strony krosna na drugą. Dzięki temu tkacz może pracować dwa razy szybciej.

Amos już o tym słyszał.

– Myślałem, że to się nie przyjęło – rzucił.

– Nie w naszej okolicy. Ja używam tego czółenka, ale większość tkaczy na zachodzie Anglii nie chce mieć z nim do czynienia. Uważają, że to diabeł porusza czółenką. Ale w hrabstwie York to urządzenie jest już bardzo popularne.

– Ojciec mówił, że na ostatniej aukcji jakiś człowiek z Yorku wykupił cały zapas przędzy.

– Teraz już wiesz dlaczego. Żeby wyprodukować dwa razy więcej tkaniny, trzeba mieć dwa razy więcej przędzy, którą wciąż wytwarza się, korzystając z kołowrotka, w taki sam sposób jak od zamierzchłych czasów, pewnie od Noego.

– Potrzebujemy zatem więcej przadek – skwitował Amos. – Tobie też brakuje przędzy?

– Przewidziałem ten problem i mam większe zapasy. Dziwię się, że twój ojciec tego nie zrobił. Zawsze był dalekowzroczny.

– Już nie jest – sprostował Amos. Odwrócił się, bo zauważył, że Jane nie rozmawia już z Rupe'em. Chciał zająć jego miejsce, nim zrobi to innych chłopak. Przeszedł szybko przez salę, niosąc filiżankę i spodek. – Dobry wieczór, Jane.

– Witaj, Amosie. Mieliśmy fascynującą dyskusję, prawda?

Nie miał ochoty rozmawiać o biblijnych błogosławieństwach.

– Piękna suknia – powiedział.

– Dziękuję.

– Ma taki sam kolor jak twoje oczy.

Jane przechyliła głowę i uśmiechnęła się w ten typowy dla niej sposób, co zawsze przyprawiało go o dreszcz pożądania.

– To ciekawe, że zwróciłeś uwagę na moje oczy.

– Co w tym niezwykłego?

– Wielu mężczyzn nie wie, jakiego koloru są oczy ich żon.

Amos parsknął śmiechem.

– Trudno to sobie wyobrazić – rzucił. – Mogę cię o coś spytać?

– Tak, choć ja mogę nie odpowiedzieć.

– Wybrałabyś się ze mną na spacer?

Znowu się uśmiechnęła, ale pokręciła głową i Amos zrozumiał od razu, że jego marzenia legły w gruzach.

– Lubię cię – powiedziała. – Jesteś uroczy...

Nie chciał być uroczy, bo miał przeczucie, że dziewczyny nie zakochują się w uroczych chłopcach.

– ...ale nie chcę stracić głowy dla kogoś, kto nie ma do zaoferowania niczego prócz nadziei – dokończyła Jane.

Nie wiedział, co powiedzieć. Nie uważał siebie za kogoś, kto nie ma do zaoferowania niczego poza nadzieją, i był zszokowany, że postrzega go w taki sposób.

– Jesteśmy metodystami, więc musimy mówić prawdę – dodała dziewczyna. – Przykro mi.

Patrzyli na siebie przez chwilę, po czym Jane delikatnie położyła dłoń na jego ramieniu, w geście współczucia, i odwróciła się.

Amos poszedł do domu.

* Mt 5,3.

ROZDZIAŁ 6

O piątej trzynastoletnia pokojówka, Fanny, obudziła Kita. Była chuda i pryszczata, miała rzadkie mysie włosy wetknięte pod brudny biały czepek, ale traktowała chłopca przyjaźnie i pokazywała mu, jak wszystko robić. Uwielbiał ją i nazywał „Fan”.

Tego dnia miała dla niego złe wieści.

– Wrócił pan Will.

– O nie!

– Przyjechał późno w nocy.

Kit był przerażony. Will Riddick nienawidził go i nękał przy każdej okazji. Kiedy wyjechał do Kingsbridge, chłopiec dziękował Bogu. Przez cudowne sześć tygodni Will przebywał poza domem na ćwiczeniach z milicją, lecz ten czas wytchnienia dobiegł końca.

Will nie lubił wczesnie wstawać, więc prawdopodobnie jeszcze przez kilka godzin chłopcu nic nie groziło.

Oboje ubrali się szybko i szli cicho przez zimny mroczny dom, oświetlając sobie drogę łączywem, które niosła Fan. Gdyby nie towarzystwo starszej dziewczyny, Kit bałby się cieni w wysokich pokojach.

Pierwszym obowiązkiem Fan było posprzątanie palenisk w kominkach na parterze, a Kita wyczyszczenie butów. Lubili jednak pracować razem, więc dzielili się swoimi pracami. Usunęli zimny popiół z palenisk, natarli smarem żelazne elementy i wypolerowali je na połysk, a potem ułożyli sterty drewna z hubką, by rozpalić je, gdy tylko wstaną dziedzic i jego synowie.

Podczas pracy rozmawiali półszepem. Cała rodzina Fan sześć zim wcześniej zachorowała na febrę i tylko ona przeżyła. Dziewczyna uważała za szczęście to, że

dostała pracę we dworze. Miała dzięki temu jedzenie, ubrania i dach nad głową. Nie wiedziała, co by się z nią stało, gdyby los się do niej nie uśmiechnął.

Usłyszawszy tę historię, Kit już nie uważał się nad sobą tak bardzo. On przynajmniej wciąż miał matkę.

Kiedy skończyli czyścić paleniska, przeszli korytarzem do sypialni, zabrali z nich buty i znieśli je tylnymi schodami do pomieszczenia przeznaczonego wyłącznie do czyszczenia obuwia. Musieli usunąć z butów błoto, nałożyć tłuszcz zmieszany z sadzą i wypolerować na wysoki połysk. Kit szybko się męczył przy tym ostatnim zadaniu, mimo że Fan pokazała mu, jak można doprowadzić skórę do połysku, spluwając na nią. Miał jednak znacznie słabsze ręce niż dziewczyna, więc zwykle to ona kończyła za niego pracę.

Kiedy dziedzic i jego synowie pojawiali się na śniadaniu, Kit i Fan przechodzili do sypialni. W każdej był kominek i nocnik z pokrywką. Najpierw czyścili palenisko i układali drewno, jak w pokojach na dole, potem Kit znosił nocnik na parter, opróżniał go i mył w zmywalni, po czym wracał z nim na górę. Fan tymczasem ścieliła łóżko i sprzątała sypialnię. Potem przechodzili do następnej.

Tego dnia nie było im dane spokojnie dokończyć pracę.

Do awantury doszło w pokoju Willa, który wstał jako ostatni, więc zostawili jego sypialnię na koniec. Pracowali szybko, bo Kit zdążył się już wdroić w obowiązki, i zwykle kończyli na długo przed tym, nim Will wracał na górę.

Ale nie tego dnia.

Fan polerowała żelazne elementy paleniska, a Kit właśnie podnosił nocnik, gdy wszedł syn dziedzica. Miał na sobie ubranie do jazdy konnej, w dłoni trzymał szpicrutę i najwyraźniej zapomniał kapelusza, bo podniósł go z toaletki.

Dopiero wtedy ich zauważył i wydał z siebie stłumiony okrzyk zdziwienia, jakby się ich przeraził. Po chwili doszedł jednak do siebie.

– Co wy tu robicie?! – wrzasnął.

Doskonale wiedział, co robią, ale był rozzłoszczony, bo go wystraszyli.

Chłopiec i dziewczyna byli tak zalęknieni, że ona przewróciła butelkę ze smarem i poplamiła dywan, a on wypuścił z dłoni nocnik i jego zawartość się rozlała. Kit wpatrywał się w przerażeniu w wielką kałużę z trzema brązowymi balasami na środku.

– Wy durnie! – ryknął Will. Kiedy był zły, wytrzeszczał oczy tak mocno, jakby chciał wypchnąć je z czaszki. Złapał Kita za rękę i uderzył go w tyłek szpicrutą. Chłopiec krzyknął z bólu i próbował się wyrwać, ale syn dziedzica był od niego znacznie silniejszy.

Gdy uderzył go ponownie, zrozpaczony Kit zaszlochał.

– Zostaw go! – wrzasnęła piskliwie Fan i rzuciła się na Willa.

Mężczyzna pchnął Kita na podłogę i chwycił dziewczynę.

– Ha, ty też chcesz oberwać, tak?

Kit usłyszał świst szpicruty i głuchy odgłos uderzenia. Podniósł się z podłogi i zobaczył, jak Will podciąga sukienkę Fan i chłoszcze jej chudy tyłek. Chciał stanąć za nią równie odważnie, jak ona broniła jego, ale był zbyt wystraszony, więc tylko płakał.

– Co tu się dzieje, na miłość boską? – dobiegł od drzwi nowy głos. – Will, co ty wyprawiasz?

To był najmłodszy syn dziedzica, Roger. Will przestał bić Fan i odwrócił się do niego.

– Nie wtrącaj się! – rzucił.

– Zostaw dzieciaki w spokoju, ty wielki głupi byku.

– Uważaj na słowa, bo i ciebie zdzielę.

Roger nie wyglądał na wystraszonego, choć był niski i drobny, a starszy brat duży i silny.

– Śmiało, spróbuj – odparł z uśmiechem. – Byłby to równiejszy pojedynek. Lubisz bić dziewczynki po pupie?

– Nie bądź idiotą, do cholery!

Choć bracia się kłócili, Kit widział, że starszy powoli się uspokaja, i był ogromnie wdzięczny młodszemu za uratowanie jego i Fan. Will mógł ich oboje zabić.

– Nie rozumiem, dlaczego bijesz tak strasznie te nieszczęsne dzieci – powiedział Roger.

– Dzieci trzeba karcić, wszyscy tak mówią. Wtedy są posłuszne. A dziewczyny potrzebują tego jeszcze bardziej. Dzięki temu są potem porządnymi żonami, które mają szacunek do mężów.

– Nie masz najmniejszego pojęcia o żonach, idioto. Chodź na dół i zjedz śniadanie, może to poprawi ci humor.

Will spojrział na dwójkę młodych służących. Kit trząsał się ze strachu, ale Will już ich nie zaatakował.

– Posprzątajcie to albo znowu spuszczę wam lanie – zagroził.

– Tak, jaśnie panie – odparli oboje przerażonymi głosami.

Wyszedł pierwszy, a Roger ruszył za nim.

Kit podbiegł do Fan i wtulił twarz w jej suknię; cały drżał. Objęła go i przytuliła.

– Już dobrze, już dobrze – próbowała uspokoić chłopca. – Za chwileczkę przestanie boleć.

Starał się być dzielny.

– Chyba już jest trochę lepiej – powiedział.

– Więc bierzmy się do pracy. Posprzątajmy to – zaordynowała, wypuszczając Kita z objęć.

*

W niedzielę po południu spotkał się z matką.

Kiedy we dworze posprzątano już po obiedzie, służący mieli wolne do wieczora. Mama jak zwykle czekała na niego przy tylnych drzwiach dworu. Kit

rzucił się w jej ramiona i ścisnął ją żarliwie, wtulając głowę w jej miękki brzuch. Gdy szli przez wioskę, trzymał ją za rękę.

W domu usiedli przy jej kołowrotku, jak za dawnych czasów, tylko we dwoje. Chłopiec podawał matce pasma zgręplowanej wełny, a ona wsadzała je do maszyny, obracając jednocześnie kołem. Na podłodze leżały szpule z gotową przędzą.

– Zrobiłaś bardzo dużo – zauważył Kit. – Amos będzie zadowolony.

– Opowiedz mi, co robiłeś – poprosiła Sal.

Kiedy pracowali razem, mówił jej o wszystkim, co zdarzyło się w ciągu tygodnia: o tym, jaką pracę wykonywał, co jadł, co go ucieszyło, a co wystraszyło. Sal tak bardzo rozzłościła się na Willa Riddicka, że syn szybko zaczął opowiadać o Fan i o tym, jaka jest dobra. Powiedział, że ją kocha i że się z nią ożeni, kiedy dorośnie.

– Zobaczymy – rzuciła mama z uśmiechem. – Kiedyś mówiłeś, że ożenisz się ze mną.

– To głupie. Nie można się ożenić z własną matką, wszyscy to wiedzą.

– Ty nie wiedziałeś, kiedy miałeś trzy lata.

Dzięki tym niedzielным rozmowom chłopiec patrzył na nadchodzący tydzień z większym spokojem i otuchą. Nienawidził Willa, ale większość osób we dworze – nawet jeśli nie była dla Kita szczególnie miła – nie traktowała go okrutnie, a Roger i Fan go wspierali. Uwielbiał Rogera.

Czuł się całkiem dorosły, gdy opowiadał mamie, jak czyścił i polerował różne rzeczy, a szczególnie gdy powiedziała:

– Jesteś już prawdziwym małym pracownikiem!

Popołudnie minęło szybko. Zwykle mama miała dla niego jakiś smakołyk: plaster szynki, kubek świeżego mleka czy jabłko. Dziś dała mu kromkę podsmażonego chleba z miodem.

Wciąż czuł w ustach jego smak, gdy wieczorem wychodzili z domu. Gdy zbliżali się do dworu, Kit uświadomił sobie, że nie będzie widział matki przez cały

kolejny tydzień, i zaczął płakać.

– Daj już spokój – upomniała go. – Masz prawie siedem lat. Musisz się zachowywać jak mały mężczyzna, bo nim jesteś.

Starał się, jak mógł, lecz łzy wciąż napływały mu do oczu.

Przy wejściu do dworu przywarł do niej mocno. Tuliła go przez długą chwilę, potem jednak oderwała od siebie ramiona syna, przepchnęła go przez próg i zamknęła za nim drzwi.

*

W poniedziałek rano Kit miał za zadanie wyczyścić i wypolerować siodła oraz inne elementy uprzęży. Niektóre musiał najpierw oczyścić z brudu nagromadzonego podczas jazdy, a potem wszystkie nasmarować tłuszczem garbarskim, by skóra była miękka i odporna na działanie wody. Robił to w zmywalni, podczas gdy Fan czyściła dywany na piętrze. Siodła były ciężkie, a chłopiec musiał je nosić ze stajni jedno po drugim.

Nie lubił koni. Przerazały go. Nigdy nie widział matki ani ojca na końskim grzbiecie.

Dziedzic i jego synowie trzymali w stajni dziesięć zwierząt. Dziedzic Riddick jeździł zwykle kabrioletem – dwukołowym wozem z daszkiem – ciągniętym przez silnego kuca. Jego synowie, George i Roger, mieli własne wierzchowce, ten pierwszy wielką klacz, a drugi zwinnego wałacha. Trzeci syn wolał szybkie duże konie do polowania i miał takie dwa. Gniadego ogiera, Steela, kupił całkiem niedawno. Oprócz tego Riddickowie mieli jeszcze cztery konie pociągowe.

Kit trzymał w dłoniach pęk skórzanych pasków, gdy wszedł na podwórze i zobaczył Steela stojącego obok schodka do wsiadania na konia. Stary stajenny, Nobby, trzymał ogiera za uzdę i próbował go uspokoić. Nie było to łatwe zadanie, bo zwierzę było narowiste i raz po raz podrzucało nerwowo łbem, jakby chciało rzucić z siebie uzdę. Otwierało szeroko oczy, odsłaniało zęby i kładło uszy po

sobie. Wymachiwało gwałtownie ogonem i rozkładało szeroko przednie nogi, jakby zamierzało rzucić się do przodu.

Kit szedł przez podwórze, omijając Steela szerokim łukiem.

Will miał już jedną nogę w strzemieniu, drugą trzymał na schodku; ścisnął wodze, gotów dosiąść wierzchowca, czemu przyglądał się Roger.

– Wezmę go na łąkę i poprowadzę przez kilka minut, żeby się uspokoił – zaproponował młodszy brat. – Jest w złym humorze.

– Bzdura – prychnął Will. – Ma po prostu za dużo energii. Chce, żeby go mocno przegonić przez jakieś pół godziny. To go uspokoi. – Przełożył nogę nad grzbietem konia. – Otwórz bramę, Nobby!

Gdy tylko stajenny wypuścił z ręki uzdę, ogier zaczął nerwowo przesuwać się na bok. Will pociągnął za wodze.

– Stój, diable wcielony! – krzyknął.

Steel zignorował to polecenie, cofnął się i nagle znalazł się obok Kita.

– Uważaj! – zawołał do chłopca Roger.

Kit znieruchomiał z przerażenia.

Will, ciągnąc za wodze, obejrzał się przez ramię i wrzasnął:

– Z drogi, do cholery, ty głupi gówniarzu!

Chłopiec zawrócił, zrobił dwa kroki, poślizgnął się na końskim łajnie, upadł i wypuścił z rąk skórzane paski. Widział, jak Roger biegnie do niego, ale tylne nogi Steela były bliżej. Will wrzeszczał coś niezrozumiale i walił ogiera szpicrutą, podczas gdy Nobby próbował złapać zwierzę za uzdę, lecz ono wciąż się cofało.

Gdy Steel był już niemal nad nim, Kit podniósł się na kolana, opierając ręce na ziemi. W tym momencie zobaczył, jak tylna noga Steela zbliża się do jego głowy. Kopyto trafiło go prosto w czoło.

Kit poczuł straszliwy ból, a potem stracił przytomność.

Pierwszą rzeczą, którą poczuł po przebudzeniu, był okropny ból głowy. Nic jeszcze w jego krótkim życiu nie sprawiło mu takiego cierpienia. W tym samym momencie usłyszał męski głos:

– Chłopak ma szczęście, że żyje.

Zaczął jęczeć z bólu.

– Odzyskuje przytomność – rozległ się ponownie ten sam głos.

Kit otworzył oczy i zobaczył Aleca Pollocka, cyrulika, ubranego w znoszony czarny kaftan.

– Boli mnie głowa – zachlipał.

– Usiądź prosto i wypij to – polecił Alec. – To godfrey's cordial. Zawiera laudanum, które uśmierzy trochę ból.

Do łóżka podszedł inny mężczyzna i Kit rozpoznał jasne włosy i różową cerę Rogera. Najmłodszy syn dziedzica wsunął ręce pod pachy chłopca i łagodnie podniósł go do pozycji siedzącej. Ten ruch jeszcze bardziej wzmógł ból.

Alec przysunął do ust Kita filiżankę.

– Ostrożnie, nie rozlej – powiedział. – Laudanum jest drogie.

Chłopiec posłusznie wypił. Nie wiedział, czym jest laudanum, ale napój smakował jak ciepłe mleko. Może Alec coś do niego dodał, jak cukru do herbaty.

– Połóż się i staraj się jak najmniej ruszać – nakazał cyrulik.

Kit zrobił, co mu kazano. Głowa wciąż go bolała, czuł się jednak spokojniejszy i przestał płakać.

– Wiesz, co ci się stało? – spytał Alec.

– Wypuściłem paski uprząży! Nie chciałem. Przepraszam.

– A co stało się potem?

– Chyba Steel mnie kopnął.

– To dobrze, że pamiętasz. Jak się teraz czujesz?

Chłopiec uświadomił sobie ze zdziwieniem, że ból nieco zelżał.

– Lepiej.

– To działanie tego napoju, który ci dałem.

– Będę miał kłopoty przez to, że wypuściłem paski?

– Nie, Kit, nie będziesz miał kłopotów – odparł Roger. – To nie była twoja wina.

– Och... to dobrze.

– Chcę ci coś wyjaśnić, więc słuchaj mnie uważnie – powiedział Alec.

– Tak, proszę pana.

– Ta kość w twojej głowie nazywa się „czaszka”. Przypuszczam, że kiedy kopnął cię koń, pojawiło się w niej małe pęknięcie. Kość zrośnie się i zaleczy, jeśli przez następne sześć tygodni będziesz się jak najmniej ruszał.

Sześć tygodni wydawało się Kitowi tak długim okresem, że nie mógł sobie wyobrazić, by leżał w bezruchu tyle czasu.

– Pokojówka będzie ci przynosiła jedzenie – dodał cyrulik. – A kiedy będziesz chciał się wysikać albo zrobić kupę, przyniesie specjalną miskę, której można używać bez wstawania z łóżka.

Kit dopiero teraz się rozejrzył. Nie był w ponurym pokoju na strychu, gdzie spał na jednym łóżku z Plattsem i Cecilem. Tu pościel była biała, a nie szara, a ściany nie były pomalowane na zielono, lecz pokrywała je kwiecista tapeta.

– Gdzie ja jestem? – spytał.

– W pokoju gościnnym – odparł Roger.

– We dworze?

– Tak.

– Dlaczego tu jestem?

– Bo miałeś wypadek. Musisz tu zostać, dopóki nie wyzdrowiejesz.

Kit spojrzął z lękiem na Rogera. Traktowano go jak gościa i zastanawiał się, co myśli o tym dziedzic.

– Ale ja muszę czyścić buty! – powiedział z niepokojem.

– Fanny się tym zajmie – odparł ze śmiechem Roger.

– Fan nie może tego robić, i tak ma dużo pracy.

– Nie przejmuj się. Jakoś to zorganizujemy, a Fanny sobie poradzi.

Chłopiec zdał sobie sprawę, że jego słowa bawią syna dziedzica, więc zmienił temat.

– Mogę pójść do mamy?

– Z pewnością nie – odpowiedział Alec. – Żadnych niepotrzebnych ruchów.

– Ale twoja mama przyjdzie do ciebie – dodał Roger. – Dopilnuję tego.

– Tak, proszę – rzucił Kit błagalnym tonem. – Bardzo chcę się z nią zobaczyć.

ROZDZIAŁ 7

Amos śnił, że prowadzi poważną rozmowę z Jane Midwinter. Ich głowy były blisko siebie, gdy mówili półgłosem o jakichś bardzo osobistych sprawach. Wypełniało go ciepłe poczucie zadowolenia. Lecz potem podszedł do nich Rupe Underwood i czegoś się od niego domagał. Amos nie chciał przerywać tej chwili szczególnej bliskości z Jane i początkowo ignorował go, ale Rupe potrząsał go za ramię. Dopiero wtedy Amos uświadomił sobie, że to sen, lecz tak bardzo pragnął pozostać w nim dłużej, że starał się nie zwracać na to uwagi. Nie udało mu się i wrócił do rzeczywistości ze smutkiem, jaki mógłby odczuwać wygnany anioł spadający na ziemię.

– Synu, obudź się – usłyszał głos matki.

Było jeszcze ciemno. Matka zwykle nie budziła go rano; zawsze wstawał dość wcześnie, by spokojnie przygotować się do wyjścia, i zwykle opuszczał dom, gdy jeszcze spała. Poza tym przypomniał sobie, że przecież jest niedziela.

Otworzył oczy i usiadł prosto. Matka stała przy łóżku ze świecą, ubrana jak za dnia.

– Która godzina? – spytał.

Zaczęła płakać.

– Synu... twój ojciec odszedł z tego świata.

Pierwszą reakcją Amosa było niedowierzenie.

– Ale wczoraj przy kolacji czuł się całkiem dobrze!

– Wiem. – Wytarła nos w rękaw, czego nigdy by nie zrobiła w normalnych okolicznościach.

To go przekonało.

– Jak to się stało?

– Obudziłam się... nie wiem dlaczego. Może wydawał jakieś dźwięki... albo po prostu jakoś wiedziałam. Odezwałam się do niego, ale nie odpowiedział. Zapaliłam więc świecę. Leżał na plecach, z otwartymi oczami wpatrzonymi w sufit. Nie oddychał.

Amos uświadomił sobie, że przebudzenie obok trupa musi być czymś okropnym.

– Biedna mama... – Ujął jej dłoń.

– Obudziłam Ellen i umyłyśmy razem jego ciało – powiedziała matka.

Pomyślał, że musiały zachowywać się przy tym bardzo cicho, chociaż niekoniecznie, bo miał mocny sen.

– Owinęłyśmy go całunem i położyłyśmy mu monety na oczach – ciągnęła. – Potem umyłam się i ubrałam. I przyszłam do ciebie.

Odrzucił przykrycie i wstał.

– Chcę go zobaczyć.

Skinęła głową, jakby tego właśnie się spodziewała.

Przeszli razem – Amos w koszuli nocnej – do sypialni małżeńskiej.

Obadiah leżał na łożu z baldachimem, z głową z uczesanymi włosami na nieskazitelnie czystej białej poduszce. Reszta ciała była ciasno owinięta prześcieradłem; po śmierci wyglądał schludniej niż za życia. Amos słyszał, jak ludzie opowiadali nieraz, że czyjeś zwłoki wyglądały tak dobrze, jakby ten człowiek wciąż żył, ale w tym przypadku nie mogło być o tym mowy. Ojciec odszedł, a Amos widział jedynie pustą skorupę, co z jakiegoś powodu wydało mu się przerażająco oczywiste. Nie potrafiłby powiedzieć, dlaczego tak było, ale nie miał najmniejszych wątpliwości: tak wyglądała śmierć.

Nagle ogarnął go tak przytłaczający smutek, że wybuchnął płaczem. Szlochał głośno, wylewając morze łez. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego tak reaguje. Przecież ojciec był wobec niego nieprzyjemny i skąpy; traktował go jak woła roboczego, juczne zwierzę warte tylko tyle, na ile jest przydatne. Mimo to Amos

czuł się okropnie osamotniony i nadal płakał bez opamiętania. Wiele razy ocierał twarz, lecz łzy wciąż ciekły ciurkiem z oczu.

– Ubierz się i zejdź do kuchni na herbatę – powiedziała matka, gdy syn w końcu nieco ochłonął. – Mamy dużo do zrobienia, a kiedy się czymś zajmiemy, łatwiej nam będzie pogodzić się ze stratą.

Amos skinął głową i pozwolił wyprowadzić się z sypialni rodziców. Zaczął się ubierać w swoim pokoju; odruchowo wkładał jednak codzienne ubrania, musiał więc je zdjąć i zacząć od nowa. Wybrał ciemnoszary kaftan z kamizelką i czarny musznik. Automatyczne ruchy, regularnie powtarzane, pomogły mu się uspokoić i nim pojawił się w kuchni, odzyskał już w pełni panowanie nad sobą.

Kiedy usiadł przy stole, matka podała mu filiżankę z herbatą.

– Musimy pomyśleć o pogrzebie – powiedziała. – Twój ojciec był w Kingsbridge ważnym człowiekiem, zasługuje na uroczysty pochówek.

– Mam poprosić biskupa?

– Gdybyś mógł...

– Oczywiście.

Ellen postawiła przed nim talerz tostów z masłem. Nie sądził wcześniej, by mógł cokolwiek przełknąć, ale gdy poczuł zapach jedzenia, ślinka napłynęła mu do ust. Wziął tost, zjadł go szybko i spytał:

– A co ze stypą?

– Ellen i ja poradzimy sobie.

– Choć może przyda nam się odrobina pomocy – wtrąciła służąca.

– Ale będę potrzebowała trochę pieniędzy z sejfu – dodała matka.

– Zajmę się tym. – Amos skinął głową. – Wiem, gdzie jest klucz. – Zjadł kolejny tost.

Matka uśmiechnęła się do niego nieznacznie.

– Teraz to chyba twoje pieniądze. Podobnie jak firma.

– Mam tylko dziewiętnaście lat, więc raczej wszystko należy do ciebie, przynajmniej dopóki nie skończę dwudziestu jeden.

Wzruszyła ramionami.

– Teraz ty jesteś głową rodziny.

Tak było. I stało się to znacznie szybciej, niż przypuszczał. Od dawna już pragnął całkowicie przejąć prowadzenie firmy, ale teraz wcale nie czuł satysfakcji. Czuł się raczej onieśmielony perspektywą prowadzenia interesu bez wsparcia, jakim byłyby wiedza i doświadczenie ojca.

Sięgnął po następny tost, ale talerz był już pusty.

Na zewnątrz świtało.

– Ellen, przejdź się po domu i dopilnuj, żeby wszędzie były zaciągnięte zasłony – poprosiła służącą matka. Zaciągnięte zasłony były dla ludzi sygnałem, że w domu ktoś właśnie zmarł. – Ja zakryję lustro – dodała. To też było zgodne ze starym zwyczajem, choć Amos nie rozumiał, co się za nim kryje.

– Musimy poinformować, kogo trzeba – powiedział. Pomyślał o burmistrzu i wydawcy „Kingsbridge Gazette”. – Powinienem chyba pójść teraz do biskupa, jeśli nie jest jeszcze za wcześnie.

– Uzna to za uprzejmość, jeśli dowie się jako pierwszy – odparła matka. – Zawsze zwraca uwagę na takie rzeczy.

Włożył płaszcz i wyszedł na zimny niedzielny poranek. Dom jego ojca – teraz już jego dom – stał przy High Street. Amos dotarł do skrzyżowania High i Main Street, handlowego centrum miasta, gdzie znajdowały się giełda wełniana, ratusz, sale zgromadzeń i teatr. Skręcił w Main Street i idąc w dół zbocza, minął katedrę. Cmentarz był po północnej stronie budynku. Wkrótce spocznie tam ciało ojca, lecz jego dusza była już w niebie.

Pałac biskupi, stojący naprzeciwko gospody U Bella, był okazałym budynkiem z wysokimi oknami i wymyślną werandą; postawiono go z budulca z tego samego kamieniołomu, z którego korzystali budowniczcy katedry. Amos rozpoznał Lindę Mason, służącą w średnim wieku, która wpuściła go do holu.

– Witaj, Lindo, muszę zobaczyć się z biskupem – powiedział.

– Odpoczywa po porannej mszy – odparła kobieta. – Mogę mu coś przekazać.

- Mój ojciec zmarł w nocy.
- Och, tak mi przykro.
- Dziękuję.
- Dam znać biskupowi, że pan tu jest. Proszę usiąść przy kominku.

Amos przysunął sobie do niego krzesło i rozejrzał się po holu. Urządzono go ze smakiem; ściany pomalowano jasnymi farbami i ozdobiono kilkoma pejzazami. Nie było tu żadnych obrazów o tematyce religijnej, prawdopodobnie dlatego, że traciłoby to katolicyzmem.

Minutę później pojawiła się córka biskupa, Elsie. Amos uśmiechnął się ciepło, zadowolony, że ją widzi. Miał razem z tą bystrą i upartą dziewczyną zorganizować szkółkę niedzielną. Lubił Elsie, choć brakowało jej uroku Jane Midwinter. Właściwie miała dość pospolitą urodę, szerokie usta i duży nos, ale też – o czym mu teraz przypomniała – naprawdę czarujący uśmiech.

- Dzień dobry, panie Barrowfield – przywitała go. – Co pan tu robi?
 - Przyszedłem do biskupa – odparł. – Zmarł mój ojciec.
- Położyła mu dłoń na ramieniu i ścisnęła ze współczuciem.
- Musi panu być bardzo smutno. I pana matce.

Amos skinął głową.

- Byli małżeństwem przez dwadzieścia lat.
- Im dłużej jest się razem, tym bardziej musi to boleć.

– Tak sędzę. Nie widziałem pani od paru dni. Są jakieś wieści w sprawie szkółki niedzielnej?

– Ludziom chyba się wydaje, że zorganizuję spotkania w jakiejś małej salce, w której zmieści się z tuzin dzieci, i będę je uczyć czytać. Ale ja chcę zrobić znacznie więcej, ściągnąć na lekcje więcej dzieci, ze sto, i uczyć je także pisania i arytmetyki. Trzeba im dać jakieś smakołyki, żeby zachęcić je do nauki, na przykład kawałek ciasta na koniec zajęć.

- Zgadzam się. Kiedy możemy zacząć?
- Nie wiem jeszcze dokładnie, ale wkrótce. Idzie mój ojciec.

Biskup, odziany w niedzielne szaty liturgiczne, zszedł po szerokich schodach.

– Ojciec, jest tutaj Amos Barrowfield – powiedziała Elsie. – Zmarł jego ojciec.

– Mason mi mówiła. – Biskup uściskał dłoń Amosa. – To smutny dzień dla pana, panie Barrowfield. – Mówił tak dźwięcznym głosem, jakby wygłaszał kazanie. – Ale możemy się pocieszać świadomością, że pana ojciec jest z Chrystusem, co jest znacznie lepsze, jak poucza nas apostoł Paweł.

– Dziękuję, Wasza Ekszelencjo. Moja matka chciała, by Ekszelencja dowiedział się o tym jako pierwszy.

– To miłe z jej strony.

– Kazała też spytać, czy możemy pochować ojca na cmentarzu przy katedrze i czy może się w niej odbyć nabożeństwo żałobne.

– Wydaje mi się, że tak. Jako radny miejski i praktykujący anglikanin pana ojciec ma do tego prawo. Muszę to jeszcze skonsultować z innymi kapłanami, ale nie sądzę, by pojawiły się jakiegokolwiek problemy.

– To będzie dla matki dużym pocieszeniem.

– Świetnie. Teraz muszę poprowadzić domową modlitwę. Chodź, Elsie.

Biskup i jego córka przeszli do jadalni, a Amos wyszedł frontowymi drzwiami.

*

Dwa dni później Amos i pięciu sukienników, wszyscy w czarnych kapeluszach, przenieśli trumnę z domu, przez High i Main Street, do wnętrza katedry i położyli ją na katafalku ustawionym przed ołtarzem.

Amos był zdumiony, kiedy ujrzał tłum wypełniający nawę. Przyszło ponad sto osób, może nawet dwieście. Była wśród nich Jane, co sprawiło mu przyjemność.

Katedra budziła w nim mieszane uczucia. Metodystom nie podobał się przepych tej tradycyjnej świątyni, szaty kapłanów i wysadzone klejnotami zdobienia; woleli oddawać cześć Bogu w zwykłej sali z prostym wystrojem. Najważniejsze było dla nich to, co działo się w umysłach wiernych. Mimo to Amos zawsze czuł się podniesiony na duchu, gdy patrzył na potężne filary i strzeliste

sklepienia katedry. Właściwie jedyną rzeczą, która tak naprawdę nie podobała mu się w Kościele anglikańskim, było jego dogmatyczne podejście. Anglikańscy hierarchowie uważali, że powinien wierzyć w to, w co każą mu wierzyć, podczas gdy metodyści szanowali jego prawo do własnej opinii.

Kościół anglikański miał takie samo podejście jak jego ojciec, który leżał teraz w trumnie.

Kiedy zaczęło się nabożeństwo, pomyślał, że w końcu wyzwolił się spod tyranii ojca, ale ta wolność niosła też ze sobą obawy. Będzie musiał jak najczęściej przebywać w Kingsbridge, żeby spotykać się z klientami i kupować wełnę, więc ktoś powinien przejąć jego obowiązki. Zamierzał zgromadzić większe zapasy materiałów i zabezpieczyć się w ten sposób na wypadek nieoczekiwanych braków, ale to nie takie proste zadanie, ponieważ będzie musiał wykorzystywać momenty, kiedy ceny będą jak najniższe. Chciałby rozszerzyć działalność firmy, ale nie wiedział, gdzie szukać dodatkowych pracowników, zwłaszcza prządek. Nie spodziewałem się, że tak szybko będę musiał zastąpić ojca, więc potrzebuję pomocy, pomyślał. Był tak pochłonięty swoimi troskami, że nawet nie zauważył, kiedy skończyło się nabożeństwo, i dopiero po chwili uświadomił sobie, że musi pomóc podnieść trumnę.

Ponieśli Obadiaha przez główną nawę, potem przez wielkie zachodnie drzwi i przeszli na cmentarz po północnej stronie kościoła. Minęli monumentalny grobowiec przeora Philipa, mnicha, który przed ponad sześciuset laty doprowadził do wzniesienia katedry, i zatrzymali się przy świeżo wykopanym grobie.

Widok głębokiego dołu i ułożonej obok sterty ziemi uderzył Amosa z ogromną siłą. Właściwie nie było w tym widoku nic niezwykłego ani nieoczekiwanego; zszokowała go jednak myśl, że ciało ojca będzie leżało w tej zimnej i wilgotnej jamie do dnia Sądu Ostatecznego.

Odmówiono kolejną modlitwę, po czym opuszczono trumnę do dołu.

Amos wziął ze sterty garść ziemi. Przez chwilę stał na skraju grobu i patrzył w dół, poruszony ponurą ostatecznością tego, co miał zaraz zrobić, i w końcu

wysypał wąską strużkę ziemi z dłoni na trumnę. Kiedy skończył, odwrócił się i odszedł kilka kroków.

Jego matka, szlochając głośno, zrobiła to samo: wrzuciła garść ziemi do grobu, a potem odeszła niepewnie na bok. Gdy pozostali żałobnicy ustawili się w kolejce, by powtórzyć ten gest, matka złapała Amosa za ramię.

– Zabierz mnie do domu – poprosiła.

Ellen przygotowała dom na duże zgromadzenie. W holu stała beczka z piwem, a obok niej kilkadziesiąt glinianych kufli. Stół w jadalni zastawiono ciastkami, plackami, sernikami i korzennym chlebem. Salon na górze przygotowano dla bardziej znaczących gości; tu czekały butelki z sherry, maderą i claretem oraz wyszukane przekąski: paszteciki z sarniną, solone ryby, paszтет z królika, a nawet krewetki.

Ujrawszy to wszystko, matka Amosa wzięła się w garść. Zdjęła płaszcz i zabrała się do ustawiania wszystkiego, jak należy. Syn przygotował się do witania gości. Kiedy po kilku minutach zaczęli się schodzić, ścisnął dłonie, dziękował za kondolencje, namawiał mniej znamienitych gości, by częstowali się piwem, a tych specjalnych – wśród których znaleźli się kanonik Midwinter i jego córka Jane – kierował na piętro. Zaczął się czuć jak tkacz, powtarzał raz za razem te same czynności, aż stały się niemal odruchowe.

Wszyscy mówili o Francji. Rewolucjoniści ścięli Ludwika XVI i wypowiedzieli wojnę Anglii. Spade twierdził, że większość regularnych wojsk Wielkiej Brytanii jest albo w Indiach, albo na Karaibach. Milicja Shiring ćwiczyła ostatnio codziennie na polach na obrzeżach Kingsbridge.

Amos chciał koniecznie porozmawiać z Jane i gdy goście zaczęli wychodzić, postanowił ją znaleźć. Pomyślał, że teraz, gdy został właścicielem firmy, potraktuje go poważniej. Tłumaczył sobie, że dziewczyna kieruje się pragmatyzmem, co powinno być zaletą przyszłej żony, nawet jeśli wydawało się to mało romantyczne.

Wszedł na piętro i zobaczył ją przy schodach. Miała na sobie suknię z lśniącej czarnej wełny, która wyglądała niezwykle efektownie przy jej czarnych włosach.

– Śniłem o tobie – powiedział cicho, by nikt poza nią go nie usłyszał.

Popatrzyła na niego szarymi oczami i jej spojrzenie jak zawsze go rozbroiło.

– To był miły sen? – spytała. – Czy koszmar?

– Był bardzo miły. Nie chciałem, żeby się kończył.

Otworzyła szeroko oczy w udawanym przerażeniu.

– Mam nadzieję, że zachowywałeś się w tym śnie przyzwoicie!

– Och, tak. Rozmawialiśmy tylko, jak teraz, ale to było... sam nie wiem... idealne.

– O czym rozmawialiśmy?

– Nie jestem pewien, ale chyba o czymś, na czym nam obojgu bardzo zależało.

– Trudno mi sobie to wyobrazić. – Wzruszyła ramionami. – Jak skończył się ten sen?

– Obudziłem się.

– No tak, taki jest właśnie problem ze snami.

Jak zawsze w jej towarzystwie żałował, że musi rozmawiać, bo wolałby jedynie na nią patrzeć. Nie musiała nic robić: rzucała na niego urok samym swoim wyglądem.

– Mój świat wywrócił się do góry nogami, odkąd rozmawialiśmy ostatnio – wyznał.

– Bardzo mi przykro z powodu śmierci twojego ojca.

– Przez ostatni rok, a może nawet dłużej, często się kłóciliśmy. Sam jestem zdziwiony, że tak bardzo smuci mnie jego odejście.

– Tak to jest z członkami rodziny. Nawet jeśli ich nienawidzisz, kochasz ich.

Amos pomyślał, że to mądre słowa; coś podobnego mógłby powiedzieć jego ojciec.

Nie wiedział, jak zadać pytanie, z którym do niej przyszedł. Postanowił zrobić to bez ogródek.

– Wybrałaś się ze mną na spacer?

– Pytałeś mnie już o to. I odpowiedziałam ci.

Nie było to zachęcające, ale nie brzmiało też jak jednoznaczna odmowa.

– Pomyślałem, że mogłaś zmienić zdanie.

– Dlaczego?

– Bo nie jestem już człowiekiem, który nie ma do zaoferowania niczego prócz nadziei.

Jane uniosła brwi.

– Ależ jesteś – rzuciła.

– Nie. – Pokręcił głową. – Jestem właścicielem dochodowej firmy. I mam dom. Mógłbym się ożenić choćby jutro.

– Przecież twoja firma jest zadłużona po uszy.

Tego się nie spodziewał. Cofnął się o krok, jakby Jane mu czymś zagroziła.

– Zadłużona? Ależ skąd!

– Mój ojciec mówi, że tonie w długach.

Był zdumiony. Kanonik Midwinter nie dzieliłby się z córką czymś, co byłoby czczą plotką.

– Jak to możliwe? – spytał Amos. – Ile jesteśmy winni? I komu?

– Nie wiedziałeś?

– Nadal nie wiem.

– Nie mogę ci powiedzieć, skąd wzięły się te długi ani ile wynoszą, ale wiem, kto jest wierzycielem: radny Hornbeam.

Wciąż nie mógł tego pojąć. Oczywiście znał Hornbeama, wszyscy go znali. Radny był nawet na stypie; zaledwie minutę temu Amos widział, jak rozmawiał ze swoim przyjacielem, Humphreym Frogmore'em. Sprowadził się do Kingsbridge piętnaście lat temu i kupił firmę sukienniczą należącą do radnego Drinkwatera, teścia kanonika Midwintera, i zrobił z niej największe przedsiębiorstwo w mieście. Ojciec Amosa szanował go jako bezwzględneho biznesmena, choć nie darzył go szczególną sympatią.

– Dlaczego mój ojciec miałby pożyczać od niego pieniądze? Dlaczego w ogóle miałby zaciągać pożyczki?

– Nie wiem – odparła Jane.

Amos rozglądał się, wypatrując wysokiego mężczyzny o surowym wyrazie twarzy, odzianego w proste, choć drogie ubranie. Jedynym wyrazem próżności, na jaki sobie pozwalał, była peruka z jasnobrązowymi kręconymi włosami.

– Był tutaj, ale zdaje się, że przed chwilą wyszedł – powiedziała.

– Pójdę za nim.

– Amos, poczekaj.

– Dlaczego?

– Bo to nie jest dobry ani miły człowiek. Zanim spróbujesz z nim porozmawiać, powinieneś się uzbroić we wszystkie ważne informacje.

Amos zamilkł na chwilę, by powściągnąć emocje i zebrać myśli.

– Masz całkowitą rację – przyznał w końcu. – Dziękuję.

– Poczekaj, aż wyjdą wszyscy goście. Pomóż matce posprzątać, a potem sprawdź, jak naprawdę wyglądają twoje finanse. I dopiero wtedy idź do Hornbeama.

– Właśnie tak zrobię.

Jane po chwili wyszła z ojcem, lecz część gości zabawiła dłużej, więc Amos nie mógł się od razu zająć tym, co zaprzętało jego umysł. Żałobnicy z parteru postanowili zostać do czasu, aż całkiem opróżnią beczkę z piwem. Matka Amosa i Ellen zaczęły sprzątać; nie zważając na obecność gości, zbierały brudne naczynia i resztki jedzenia. W końcu Amos poprosił uprzejmie ostatnich maruderów, by opuścili ich dom.

Potem poszedł do gabinetu.

W ciągu dwóch dni, które upłynęły od śmierci ojca, był zbyt zajęty przygotowaniem do pogrzebu, by przejrzeć księgi rachunkowe. Teraz żałował, że nie znalazł na to czasu.

Znał gabinet równie dobrze jak inne pomieszczenia w domu, ale teraz uświadomił sobie, że nie wie, gdzie szukać konkretnych dokumentów. W szufladach i stojących na podłodze skrzynkach znalazł rachunki i pokwitowania

zapłaty. W notesie były nazwiska i adresy ludzi z Kingsbridge i innych miejscowości, ale ojciec nie zaznaczył w żaden sposób, którzy są klientami, dostawcami czy pracownikami. W komodzie Amos znalazł kilkanaście grubych ksiąg, część ustawionych w pionie, część leżących. Żadnej z nich nie podpisano. Gdy pytał ojca o pieniądze, zawsze słyszał, że nie musi się tym przejmować, dopóki nie skończy dwudziestu jeden lat.

Zaczął od ksiąg rachunkowych; wybrał jedną na chybił trafił. Bez trudu rozszyfrował jej treść: pieniądze przyjęte i wypłacone każdego dnia oraz miesięczne podsumowanie. W większości przypadków przychody przewyższały wydatki, co oznaczało czysty zysk. Czasami trafiały się miesiące ze stratą. Amos spojrzał jednak na pierwszą stronę i okazało się, że zapisy pochodzą sprzed siedmiu lat.

Znalazł nowszą księgę. Przeglądając comiesięczne podsumowania, zauważył, że przychody były zwykle mniejsze od kosztów. Zmarszczył brwi. Jak to możliwe? Sprawdził rachunki z ostatnich dwóch lat i przekonał się, że straty stopniowo rosły. W rubryce *Przychody* znalazł kilka pozycji opatrzonej tajemniczą notatką: *Z konta H.* Były to okrągłe sumy – dziesięć funtów, piętnaście, dwadzieścia – i każda równoważyła deficyt kilku poprzednich miesięcy. A w rubryce *Koszty* regularnie pojawiały się mniejsze sumy z dopiskiem: *Opr. 5%*.

Obraz sytuacji wyłaniający się z tej księgi był bardzo niepokojący.

Kierowany przecuciem Amos zajrzał na ostatnią stronę najnowszej księgi, na której była krótka kolumna zwieńczona napisem: *Konto H.* Pierwszy wpis z tym inicjałem pochodził sprzed półtora roku. Przed większością liczb zapisanych na ostatniej stronie widniał wielki minus.

Amos był przerażony.

Ojciec od dwóch lat tracił pieniądze. Pożyczał, by wyrównywać straty. Dwa wpisy opatrzone plusem dowodziły, że spłacił część długu, ale wkrótce potem był zmuszony ponownie zaciągnąć pożyczkę.

Opr. oznaczało oprocentowanie, a *H.* Hornbeama. Jane miała rację.

Saldo zapisane na dole strony wynosiło sto cztery funty, trzynaście szylingów i osiem pensów.

Amos był zdruzgotany. Myślał, że został właścicielem dochodowej firmy, a tymczasem odziedziczył potężny dług. Za sto funtów można było kupić w Kingsbridge całkiem przyzwoity dom.

Musiał to spłacić. Nie mieściło mu się w głowie, jak można zaciągać długi, a potem ich nie spłacać. Chyba nie mógłby pogodzić się z tym, gdyby stał się takim człowiekiem.

Jeśli zdołałby zamienić straty na skromny zysk w wysokości funta miesięcznie, potrzebowaliby prawie dziewięciu lat, by spłacić całość zadłużenia... pod warunkiem że w tym czasie nie kupowałby jedzenia dla siebie i matki.

To tłumaczyło skąpstwo i dziwne zachowanie ojca w ostatnich latach. Obadiah trzymał długi w sekrecie – być może w nadziei, że uda mu się odrobić straty, choć chyba niewiele robił w tym kierunku. A może choroba, która objawiała się dusznościami, dotknęła również jego umysł?

Amos z pewnością dowiedziałby się czegoś więcej od Hornbeama, ale nie mógł zasypywać go pytaniami. Powinien go raczej zapewnić, że spłaci dług najszybciej, jak to będzie możliwe. I zaimponować mu determinacją.

Sprawa dotyczyła jednak nie tylko Hornbeama. Amos wiedział, że właściciele innych firm z Kingsbridge będą uważnie przyglądać się jego poczynaniom. Znali jego ojca i widzieli, że Amos sprawdzał się do tej pory jako kompetentny pomocnik Obadiaha, więc pewnie traktowałiby go życzliwie, przynajmniej na początku. Gdyby jednak zaczął od bankructwa, ci ludzie nie byłiby mu przychylni. Wszyscy powinni zobaczyć, jak ciężko pracuje, by spłacić długi ojca.

Czy Hornbeam, choć sprawiał wrażenie człowieka bardzo surowego, zechce mu okazać wyrozumiałość? Próbował pomóc jego ojcu ratować firmę, co było dobrym znakiem, choć oczywiście pobierał procent od pożyczek. I znał Amosa od dziecka, co również powinno mieć jakieś znaczenie.

Podniesiony na duchu tą optymistyczną myślą, wyszedł z gabinetu drzwiami od ulicy i ruszył w stronę domu Hornbeama, stojącego na północ od High Street, niedaleko kościoła Świętego Marka, w zaniedbanej niegdyś okolicy, gdzie wyburzono nędzne stare domki szeregowe, by zrobić miejsce na nowe duże rezydencje ze stajniami. Dom Hornbeama miał portyk z marmurowymi kolumnami i symetrycznie ułożone okna. Ojciec mówił kiedyś Amosowi, że Hornbeam zatrudnił jakiegoś taniego architekta z Bristolu, dał mu katalog z projektami Roberta Adama i zażądał jak najtańszej wersji klasycznego pałacu. Z boku domu drżący z zimna służący mył powóz.

Amos zapukał do frontowych drzwi. Otworzył mu lokaj o smętnej twarzy i usłyszawszy, że przybysz chce się widzieć z radnym Hornbeamem, odparł ponuro:

– Sprawdzę, czy jest u siebie, proszę pana.

Natychmiast po przekroczeniu progu Amos poczuł atmosferę domu: mroczną, sztywną, surową. W holu, w którym głośno tykał wysoki zegar, stały dwa niewygodne krzesła z polerowanego dębu, z prostymi oparciami. Podłogi nie przykrywał dywan czy chodnik. Nad wygaszonym kominkiem wisiał oprawiony w złote ramy portret Hornbeama, spoglądającego na świat z typową dla niego surowością.

Kiedy Amos czekał na powrót lokaja, w holu pojawił się syn radnego, Howard – wychynął z piwnicy niczym rodzinna tajemnica wychodząca na światło dzienne. Był wysokim chłopcem, całkiem miłym, gdy w pobliżu nie było jego ojca. Amos i Howard chodzili razem do gimnazjum w Kingsbridge, tylko że Howard był o kilka lat młodszy i niezbyt rozgarnięty. Spryt i silny charakter ojca odziedziczyło młodsze dziecko, Deborah, której oczywiście nie pozwolono chodzić do gimnazjum.

Howard i Amos uścisnęli sobie dłonie na powitanie. Zaraz potem wrócił smętny lokaj i poinformował Amosa, że pan Hornbeam go przyjmie.

– Ja go zaprowadzę – zaproponował Howard.

Przeszedł z Amosem do drzwi na końcu holu, wprowadził go do gabinetu ojca i wycofał się.

Gabinet przypominał celę: żadnych dywanów, obrazów czy zasłon i nikły ogień w kominku. Hornbeam siedział za biurkiem w tym samym ubraniu, które włożył na pogrzeb. Dobiegał czterdziestki, miał mięsistą twarz i krzaczaste brwi. Pospiesznie zdjął okulary, jakby się wstydził, że ich potrzebuje. Nie poprosił gościa, by usiadł.

Amos nie po raz pierwszy w życiu musiał znosić czyjaś niechęć, więc to chłodne przyjęcie nie zrobiło na nim większego wrażenia. Spotykał się na co dzień z niezadowolonymi tkaczami, prządkami czy klientami i wiedział, jak można ich udobruchać.

– Dziękuję, że przyszedł pan na pogrzeb mojego ojca, panie radny – powiedział.

Hornbeam był człowiekiem pozbawionym ogłady i w odpowiedzi na podziękowania wzruszył nieuprzejmie ramionami.

– Obaj byliśmy radnymi – powiedział, a po chwili dodał: – I przyjaciółmi.

Nie zaproponował herbaty ani wina.

Amos stał przed biurkiem niczym niegrzeczny uczeń.

– Przychodzę do pana, bo właśnie się dowiedziałem, że ojciec pożyczał od pana pieniądze. Nie mówił mi o tym.

– Sto cztery funty – rzucił Hornbeam.

– Do tego trzynaście szylingów i osiem pensów – dodał Amos z uśmiechem.

Radny zachował kamienną twarz.

– Tak – potwierdził.

– Dziękuję, że pomógł mi pan w potrzebie.

– Nie jestem filantropem – odburknął Hornbeam; najwyraźniej nie chciał uchodzić za człowieka hojnego i wyrozumiałego. – Te pożyczki są oprocentowane.

– Na pięć procent. – Jak na dość ryzykowną pożyczkę nie było to wygórowane.

Hornbeam nie wiedział, co odpowiedzieć, więc tylko skinął głową.

Amos uświadomił sobie, że jego urok nie działa na niewzruszonego handlarza.

- Moim obowiązkiem jest spłacić ten dług – powiedział.
- W rzeczy samej.
- Nie ja stworzyłem ten problem, ale muszę go rozwiązać.
- Owszem.

Amos zebrał myśli. Miał już pewien plan, całkiem dobry, jak mu się wydawało. Być może na tyle dobry, by uspokoić Hornbeama.

– Najpierw muszę zadbać o to, by firma przynosiła zyski i żebym nie musiał zaciągać kolejnych pożyczek. Ojciec zgromadził sporo materiałów, które nie cieszyły się popularnością wśród klientów, więc sprzedam je po obniżonej cenie. Chcę się skupić na lepszych tkaninach, które można sprzedawać po wyższej cenie. Wierzę, że dzięki temu w ciągu roku pojawią się zyski. Mam nadzieję, że zacznę spłacać zadłużenie od początku roku tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego czwartego.

– Czyżby?

Nie była to zachęcająca odpowiedź. Hornbeam z pewnością wolałby mieć jakieś gwarancje, że odzyska pieniądze.

– Mam nadzieję, że później firma zacznie przynosić jeszcze większe zyski, dzięki czemu będę mógł szybciej spłacać dług – dodał Amos.

– A jak zamierza pan to zrobić?

– Przede wszystkim rozszerzając działalność. Zatrudnię więcej prądek, by mieć odpowiedni zapas przędzy, a potem poszukam dodatkowych tkaczy.

Hornbeam skinął głową, jakby zatwierdzał ten plan, i Amos poczuł się odrobinę lepiej.

– Mam nadzieję, że pańskim zdaniem te zamierzenia są realistyczne – powiedział, licząc na konkretniejszą zachętę.

Tymczasem Hornbeam zadał mu pytanie:

- Kiedy zamierza pan oddać całość zadłużenia?
- Wierzę, że uda mi się to zrobić w ciągu czterech lat.

Hornbeam milczał przez dłuższą chwilę.

– Ma pan cztery dni – oznajmił w końcu.

Amos nie zrozumiał.

– Co pan ma na myśli?

– To, co powiedziałem. Daję panu cztery dni na spłatę całości zadłużenia.

– Ale... właśnie panu tłumaczyłem...

– Więc teraz ja wytłumaczę panu.

Amos miał bardzo złe przeczucia, powściągnął jednak nerwy.

– Dobrze, proszę wytłumaczyć – rzucił.

– Nie pożyczyłem pieniędzy panu, tylko pana ojcu. Znałem go i ufałem mu. Ale on nie żyje. Pana nie znam, nie ufam panu i nie obchodzi mnie pan. Nie pożyczę panu pieniędzy i nie pozwolę, by spłacał pan latami dług ojca.

– Co to oznacza?

– To oznacza, że musi pan zwrócić pieniądze w ciągu czterech dni.

– Przecież nie mogę.

– Wiem. Dlatego po czterech dniach przejmę pana firmę.

Amos zdrętwiał.

– Nie może pan tego zrobić!

– Ależ mogę. Tak się właśnie umówiłem z pana ojcem. Podpisał umowę, która mi to gwarantuje. Zapewne znajdzie pan jej kopię w dokumentach ojca, a ja mam swoją.

– Więc zostawił mnie z niczym!

– Wszystkie towary należą do mnie i w przyszłym tygodniu moi przedstawiciele zaczną się kontaktować z ludźmi, którzy pracowali dla was. Firma nie przerwie działalności. Ale będzie należeć do mnie.

Amos wbił wzrok w twarz Hornbeama. Miał ochotę zapytać: „Dlaczego mnie nienawidzisz?”. Nie dojrzał jednak nienawiści, a jedynie chytrych i satysfakcję, która objawiała się cieniem triumfalnego uśmiechu, ledwie widocznym uniesieniem kącika ust.

Ten człowiek nie był złośliwy. Był po prostu chciwy i bezlitosny.

Amos czuł się bezradny, miał jednak zbyt wiele dumny, by to przyznać. Przeszedł do drzwi.

– Spotkamy się za cztery dni, panie Hornbeam – powiedział i wyszedł z gabinetu.

ROZDZIAŁ 8

Spade siedział przy krośnie i nawijał przędzę na pionową nicielnicę, by utworzyć osnowę; uważnie mocował nici tak, by były mocno naciągnięte. Usłyszał pukanie do drzwi i gdy podniósł wzrok, do sali wszedł Amos.

Tkacz był zaskoczony, widząc go tak szybko po pogrzebie. Amos wydawał się nie tyle zasmucony, ile zrezygnowany, co w jego przypadku było dość dziwne: ten młody człowiek mógł być zaniepokojony albo rozzłoszczony, ale zawsze pełen młodzieńczego optymizmu. Teraz wyglądał tak, jakby stracił wszelką nadzieję. Spade'owi zrobiło się go żal.

– Witaj, Amosie – powiedział. – Napijesz się herbaty?

– Tak, chętnie. Byłem u Hornbeama i nie zaproponował mi nawet wody.

Spade parsknął śmiechem.

– Gdybyś go o to poprosił, powiedziała by, że go nie stać – zażartował.

– Łajdak.

– Mów, o co chodzi.

Spade miał magazyn i warsztat z małym mieszkaniem dla jednej osoby. Sam dużo tkał, ale zatrudniał też innych tkaczy, między innymi Sime'a Jacksona, który był niemal równie wprawny przy krośnie jak on. To zajęcie było dobrze płatne, ale Spade miał ambicje i chciał czegoś więcej.

Zaprowadził Amosa do pokoju z łóżkiem, okrągłym stolikiem, dwoma stołkami i kominkiem. Było to iście spartańskie lokum. Spade wkładał całą energię w tkanie; tylko to go ekscytowało.

– Usiądź – powiedział, wskazując na drewniane krzesło. Postawił czajnik z wodą na ogniu, wsypał herbatę do dzbanka, po czym usiadł na stołku i czekając, aż woda się zagotuje, zapytał: – Co ten stary diabeł znów wykombinował?

Amos grzał dłonie przy ogniu. Wyglądał na strasznie przygnębionego i Spade'owi zrobiło się go jeszcze bardziej żal.

– Odkryłem, że mój ojciec od dwóch lat miał straty w interesie.

– Hm... miałem wrażenie, że stracił energię.

– Ale Hornbeam chronił go przed bankructwem, pożyczając mu pieniądze.

Spade uniósł brwi.

– Pomaganie bliźniemu w potrzebie? To niepodobne do Hornbeama.

– Naliczał procenty.

– No jasne. Ile mu jesteś winien?

– Sto cztery funty, trzynaście szylingów i osiem pensów.

– Dużo – rzucił Spade, gwizdnąwszy głośno.

– Nie mogę uwierzyć, że znalazłem się w takiej sytuacji – wyznał Amos. – Jestem uczciwym handlarzem i ciężko pracuję, a jednak bankrutuję. Czuję się jak ostatni głupiec. Jak mogło mi się przydarzyć coś takiego?

Biedny chłopak naprawdę cierpi, pomyślał Spade. Wstał i zalał liście herbaty wrzątkiem.

– Będziesz musiał to spłacić – powiedział. – Pewnie zajmie ci to ładnych parę lat, ale zyskasz renomę człowieka uczciwego i słownego.

– Właśnie, ładnych parę lat. Tylko że on dał mi cztery dni.

– Co?! To niemożliwe. Co on sobie myśli? – Spade zamieszał herbatę i rozlał ją do kubków.

– Powiedziałem mu, że nie jestem w stanie tego zrobić.

– I co on na to?

– Oznajmił, że zabierze mi firmę. Ma to zapisane w umowie.

Spade nagle wszystko zrozumiał.

– Więc o to chodzi – mruknął.

– Nie rozumiem?

– Zastanawiałem się, dlaczego ktoś tak skąpy jak Hornbeam pożyczał pieniądze upadającej firmie. Teraz już wiem. – Podał Amosowi kubek. – Nie robił tego z dobrego serca. Przypuszczał, że twój ojciec zbankrutuje, i od samego początku planował przejęcie jego firmy.

– Myślisz, że jest aż tak przebiegły?

– Ten człowiek jest nienasycony. Chce osiąść cały świat.

– Może powinienem po prostu skrócić mu kark i zawisnąć na stryczku za morderstwo.

– Nie rób tego jeszcze. – Spade uśmiechnął się. – Nie chciałbym cię zobaczyć na szubienicy i większość mieszkańców Kingsbridge na pewno by się ze mną co do tego zgodziła.

– Nie wiem, co innego mógłbym zrobić.

– Mówisz, że ile czasu ci dał?

– Cztery dni. Dlaczego pytasz?

– Nic, zastanawiam się tylko...

Amos spojrzał na niego z ożywieniem.

– Nad czym się zastanawiasz?

– Nie rób sobie zbyt wielkich nadziei. Rozważam inne rozwiązanie, ale nie wiem, czy to się uda.

– Powiedz mi jakie.

– Nie, najpierw muszę to dobrze przemyśleć.

Amos z najwyższym trudem powściągnął ciekawość.

– W porządku – rzucił. – Jestem gotowy zgodzić się na wszystko, co zaproponujesz.

– Mamy wtorek. Cztery dni mijają w sobotę. Przyjdź do mnie w piątek po południu.

Amos opróżnił kubek i wstał.

– Naprawdę nie możesz mi powiedzieć? – spytał już od drzwi.

– Wątpię, czy to wypali. Powiem ci wszystko w piątek.

– Dziękuję, że w ogóle się tym zainteresowałeś. Jesteś prawdziwym przyjacielem.

Kiedy Amos wyszedł, Spade siedział przez chwilę, rozmyślając. Zastanawiał się, co jest nie tak z tym Hornbeamem. Miał majątek, był jedną z najważniejszych postaci w mieście, radnym i sędzią pokoju, miał miłą i posłuszną żonę, która urodziła mu dwoje dzieci. Co nim kierowało? Miał więcej pieniędzy, niż mógłby wydać, biorąc pod uwagę, że nie interesowały go wystawne przyjęcia, hodowla koni wyścigowych czy wyprawy do londyńskich jaskiń hazardu, gdzie mógłby stracić jednego wieczoru setki funtów. Był jednak tak chciwy, że chciał wykorzystać niedoświadczonego syna zmarłego przyjaciela, by przejąć jego biznes.

Ale być może uda się jeszcze pokrzyżować mu plany.

W głowie tkacza kształtował się pewien plan.

W końcu Spade włożył płaszcz, wyszedł z mieszkania i ruszył w stronę domu kanonika Midwintera.

Najstarsze i najbardziej eleganckie domy w Kingsbridge należały do Kościoła i mieszkali w nich wyżsi rangą duchowni. Midwinterowi przypadł pałacyk w stylu jakobińskim, stojący dokładnie naprzeciwko katedry, w chyba najlepszej lokalizacji w mieście. Tkacza wprowadzono do wygodnego salonu urządzonego w klasycznym stylu, modnym co najmniej od czasów, gdy Spade był dość dojrzały, by dostrzegać takie rzeczy: wielobarwny sufit, krzesła z pająkowatymi nogami, a na kominku dwie kremowe wazy ze zdobieniami o kształcie lambrekinów i girland – pochodzące zapewne ze słynnej fabryki Josiaha Wedgwooda. Spade przypuszczał, że wystrój salonu zaprojektowała nieżyjąca już żona Midwintera.

Kanonik i jego córka, Jane, pili właśnie herbatę. Spade uważał, że Jane jest piękną dziewczyną, a szczególnego uroku dodawały jej wielkie szare oczy. Wszyscy wiedzieli, że Amos jest w niej zakochany, a on to rozumiał, choć wydawała mu się dość oziębła i chyba wyrachowana. Największa plotkarka w mieście, Belinda Goodnight, mówiła mu, że Jane nigdy nie wyjdzie za Amosa.

Midwinter miał też dwóch synów, bystrych chłopców, którzy wyjechali z Kingsbridge, by studiować w Edynburgu. Metodyści woleli wysyłać synów na szkockie uniwersytety, w których Kościół anglikański miał mniejsze wpływy i kładzono większy nacisk na przydatniejsze przedmioty, takie jak medycyna czy inżynieria.

Kanonik i Jane przywitali ciepło gościa. Spade usiadł i dał się poczęstować filiżanką herbaty. Po krótkiej wymianie uprzejmości opowiedział im o Amosie i Hornbeamie.

– Jak on mógł zrobić coś podobnego, i to w dniu pogrzebu ojca Amosa! – nie mogła uwierzyć oburzona dziewczyna.

– Hornbeam na pewno dopilnował, by dokumenty były w absolutnym porządku i żeby nie można było w żaden sposób podważyć jego umowy z Obadiahem Barrowfieldem – skomentował Midwinter.

– Bez wątpienia – zgodził się z nim Spade.

– Ale musi być jakiś sposób, żeby temu zapobiec! – powiedziała Jane.

Spade skinął głową.

– Być może jest pewne rozwiązanie – przyznał. – Dlatego tu przyszedłem.

– Jakie? – spytał kanonik.

Przez chwilę Spade ubierał w słowa pomysł, który dojrzewał w jego umyśle.

– Amos jest bystrym i pracowitym chłopakiem – odezwał się w końcu. – Jestem pewien, że z czasem byłby w stanie spłacić dług.

– Tyle że Hornbeam nie chce dać mu tego czasu – przypomniał mu Midwinter.

– A gdyby tak kilku z nas połączyło siły i pożyczyło Amosowi pieniądze, które musi oddać Hornbeamowi do soboty?

– Wspaniały pomysł! – zachwyciła się Jane.

Kanonik powoli skinął głową.

– Wiąże się to z pewnym ryzykiem, ale jak sam mówiłeś, można założyć, że Amos wcześniej czy później spłaci dług – powiedział.

– Myślę, że moglibyśmy znaleźć dość ludzi, by wesprzeć naszego przyjaciela metodystę w potrzebie.

– Jestem tego pewien.

Spade cieszył się, że Midwinter przyklasnął jego pomysłowi, ale kanonik mógł jednak zrobić coś jeszcze, co przypieczętowałoby powodzenie tego planu: wnieść własny wkład do funduszu pożyczkowego.

– Chętnie przeznaczę na ten cel dziesięć funtów – oznajmił Spade.

– Doskonale.

– Gdyby pan mnie wsparł, dokładając drugie dziesięć, mielibyśmy mocny argument, by przekonać innych metodystów.

Kanonik milczał, a Spade wstrzymywał oddech, czekając na jego decyzję.

– Tak, chętnie dołożę dziesięć funtów – rzucił po chwili Midwinter.

Spade odetchnął z ulgą i przeszedł do następnego punktu.

– Musielibyśmy wyznaczyć datę ostatecznej spłaty. Powiedzmy za dziesięć lat.

– Zgadzam się.

– I ustalić oprocentowanie.

– Oczywiście.

– Amos będzie musiał oszczędzać, żeby spłacić pożyczkę – zauważyła zamyślona Jane. – Przez dziesięć lat będzie biedny.

– To prawda – przyznał Spade. – I co najważniejsze, chciałbym, żeby to właśnie pan, kanoniku, został skarbnikiem i zarządcą tego funduszu.

Midwinter wzruszył ramionami.

– Pan mógłby się tym zająć – powiedział. – Ludzie wiedzą, że jest pan uczciwy.

– Ale to pan jest kanonikiem katedry. – Spade uśmiechnął się. – I gwarantem uczciwości.

– Dobrze, niech i tak będzie.

Jane klasnęła w dłonie.

– Więc Amos będzie uratowany.

– Tego jeszcze nie wiemy – zaznaczył Spade. – Dopiero zacząłem nad tym pracować.

*

Spade lubił zakład krawiecki siostry. Oboje uwielbiali tkaniny: kolory, różne faktury, delikatny dotyk wełny merynosowej, wytrzymałość tweedu. Ich ojciec był tkaczem, a matka krawcową, więc te dwa rzemiosła były dla nich naturalnym środowiskiem, tak jak bezczynność i luksus są naturalnym środowiskiem dla księcia i księżniczki.

Obejrzał płaszcz, który Kate uszyła dla żony biskupa, Arabelli Latimer. Miał szeroki trójwarstwowy kołnierz opadający na ramiona, wąskie rękawy i wysoki stan, od którego materiał opadał fałdami do samych kostek. Materiał był w drobną kratę w intensywnym odcieniu czerwieni i musztardowej żółci.

– Będzie na niej wyglądał zachwycająco – stwierdził Spade. – Spodziewałem się tego.

– Oby – odparła Kate. – Sporo za to płaci.

– Będzie zachwycona, możesz mi wierzyć – zapewnił ją brat. – Wiem, co podoba się kobietom.

Prychnęła z udawaną pogardą, a Spade się roześmiał.

Kate często nosiła koronki; teraz miała koronkową baskinę, na mankietach długie koronkowe falbany, a na ramionach koronkową chustę. Koronki pasowały do jej ładnej twarzy, ale tak naprawdę nosiła je, bo zakupiła ich dużą partię i chciała je pokazać klientom.

Zakład mieścił się na parterze budynku przy High Street, ich rodzinnego domu. Kate mieszkała w nim z przyjaciółką, Rebeccą. Na piętrze znajdowały się sypialnie, których klienci mogli używać jako przebieralni. Jeszcze wyżej były pokoje Kate i Rebekki, a w suterenie mieściła się kuchnia.

Podczas gdy Spade podziwiał płaszcz pani Latimer, z piętra zszedł jego szwagier w nowiutkim mundurze milicji. Kate raczej nie szyła ubrań dla mężczyzn,

ale Freddie Caines był młodszym bratem nieżyjącej żony Spade'a. Miał osiemnaście lat i został właśnie wcielony do milicji, więc Kate uszyła mu mundur w ramach wyjątkowej przysługi.

– No proszę – powiedziała. – Wyglądasz naprawdę świetnie!

Rzeczywiście tak było, a szeroki uśmiech na jego twarzy potwierdzał, że i Freddie dobrze o tym wie.

– Będiesz jedynym rekrutem w całej milicji Shiring, który ma mundur szyty na miarę – dodała.

Tylko oficerowie nosili mundury szyte na miarę, a inni członkowie milicji dostawali tanie gotowce.

– Mogę w nim zostać? – spytał Freddie. – Chciałbym się w nim pokazać.

– Oczywiście – odparła Kate.

– Pójdę tylko po stare ubrania, zostały na górze.

Kiedy Freddie zniknął na schodach, do zakładu weszła pani Latimer. Czubek jej nosa był czerwony od zimna. Spade uklonił się uprzejmie, a Kate dygnęła; żona biskupa zasługiwała na szacunek, zwłaszcza że zawsze była bezpośrednia i miła.

Natychmiast dostrzegła nowy płaszcz leżący na stole.

– To on? – spytała. – Jest cudowny.

Głaskała tkaninę obiema dłońmi, napawając się jej dotykiem. Spade pomyślał, że to bardzo zmysłowa kobieta; szkoda jej dla tego grubego biskupa.

– Proszę przymierzyć – zachęciła ją Kate.

Pani Latimer miała na sobie strój, w którym była na pogrzebie Obadiaha Barrowfielda. Spade stanął za nią.

– Pozwoli pani, że pomogę zdjąć płaszcz – zaproponował. Zauważył, że jej włosy ładnie pachną. Smarowała kasztanowe loki perfumowaną pomadą.

Gdy zdjęła nakrycie, Spade zawiesił je na kołku. Pod spodem miała olśniewającą jedwabną suknię w brązowym, niemal czarnym kolorze przypalonego drewna. Arabella Latimer wiedziała, w czym dobrze wygląda.

Kate podniosła nowy płaszcz i podała go klientce.

Spade przyglądał się temu uważnie, choć skupiał się raczej na żonie biskupa niż na płaszczu. Jej włosy były prawdziwym poematem w różnych odcieniach: mocna herbata, jesienne liście, rudości i słomkowy blond. Płaszcz idealnie to podkreślał.

Pani Latimer zapięła guziki.

– Jest trochę ciasny – stwierdziła.

Kate otworzyła drzwi prowadzące do pracowni.

– Becca, kochana, chodź tu i rzuć okiem – poprosiła.

Jej przyjaciółka weszła do zakładu, niosąc poduszkę do szpilek i napaństek. Prezentowała się całkiem inaczej niż Kate; miała pospolitą urodę i proste ubrania, podwinięte rękawy bluzki i ciasno spięte włosy. Dygnęła przed panią Latimer, a potem okrążyła ją powoli, spoglądając krytycznie na płaszcz.

– Hm... – mruknęła. Po czym, jakby przypomniawszy sobie o swoich obowiązkach, dodała: – Wygląda wspaniale.

– To prawda – zgodziła się z nią Kate.

– Ale jest za ciasny na górze – orzekła Rebecca. Wyjęła z podwiniętego rękawa kawałek kredy i zrobiła znaczek na materiale. – O cal. – Stała za plecami klientki i przesunęła dłońmi po bokach płaszcza. – I w talii. – Zrobiła kolejny znaczek. – Ramiona są idealne. – Cofnęła się o krok. – Wszystko inne jest w sam raz. Dolna część układa się bardzo ładnie.

Pani Latimer spojrzała na swoje odbicie w wielkim pionowo ustawionym lustrze.

– Mój Boże, mam czerwony nos.

– To od ginu – rzucił Spade.

– David! – fuknęła na niego Kate. Imienia brata używała tylko wtedy, gdy chciała go zganić, dokładnie tak jak ich matka.

– To ten zimny wiatr – wyjaśniła pani Latimer, ale zachichotała pod nosem, pokazując, że nie czuje się dotknięta tym żartem. Przez chwilę przyglądała się sobie w lustrze. – Nie mogę się doczekać, kiedy będę mogła nosić ten płaszcz.

– Może być gotowy na jutro – zapewniła ją Kate.

– Cudownie. – Żona biskupa rozpięła płaszcz, a Kate pomogła jej go zdjąć.

Spade przytrzymał płaszcz, w którym klientka przysłała do zakładu. Wiążąc wstążkę, która mocowała go pod szyją, pani Latimer zwróciła się do Rebekki:

– Przyjdę jutro.

– Dziękuję, proszę pani.

– Niezwykle atrakcyjna kobieta – zachwyciła się Kate, gdy pani Latimer wyszła. – Piękna i czarująca, a do tego ma fantastyczną figurę.

– Skoro tak bardzo ci się podoba, spróbuj ją uwieść, śmiało – odpowiedziała jej ostro przyjaciółka.

– Zrobiłabym to, gdybym nie miała już kogoś lepszego, kochanie.

Rebecca wydawała się udobruchana.

– Poza tym ona nie byłaby nami zainteresowana – dodała Kate.

– Skąd ta pewność?

– Za bardzo podoba się jej mój brat.

– Bzdura! – rzucił Spade i roześmiał się.

Wyszedł z domu tylnymi drzwiami. Kiedy on i siostra go odziedziczyli, zbudował z tyłu, w miejscu sadu, magazyn, a Kate przejęła sam dom.

Kate i Rebecca były jak mąż i żona. Kochały się i dzieliły łóżce. Były bardzo dyskretne, ale Spade znał siostrę i jej największy sekret i był pewny, że nie zna go nikt inny.

Kiedy dochodził do magazynu, zobaczył wysoką sylwetkę Amosa Barrowfielda, który wchodził na podwórze przez furtkę z bocznej alejki.

Był piątek, więc Spade spodziewał się jego wizyty. Amos, blady, zdenerwowany i spięty, był chodzącym kłębkim nerwów. Spade otworzył przed nim drzwi do magazynu.

– Wejdz – poprosił i zaprowadził go do prywatnego pokoju, a kiedy usiedli, powiedział: – Mam dla ciebie wieści.

Amos wydawał się przerażony.

– Dobre czy złe?

Spade sięgnął pod koszulę i wyjął kawałek papieru.

– Przeczytaj to.

Młody człowiek wziął od niego kartkę.

Było to napisane odręcznie zlecenie dla banku Thomson's Kingsbridge, najstarszego z trzech działających w mieście, nakazujące wypłacić Josephowi Hornbeamowi sto cztery funty, trzynaście szylingów i osiem pensów.

Amos przez chwilę nie mógł wydobyć głosu, a jego oczy były wypełnione łzami.

– To pożyczka, oczywiście – zaznaczył Spade.

– Nie mogę w to uwierzyć. Jestem uratowany!

Spade zaczął mówić o szczegółach, by uspokoić Amosa.

– Kanonik Midwinter namówił kilku metodystów, by połączyli siły i ci pomogli.

– Nie mogę uwierzyć we własne szczęście.

– Doradzam ci jednak, żebyś zachował informację o źródle tych pieniędzy dla siebie. Nikogo nie musi to interesować.

– Oczywiście.

– To pożyczka na cztery procent i musisz ją spłacić w ciągu dziesięciu lat.

Amos spojrzał na Spade'a z czymś w rodzaju uwielbienia.

– Ty to zorganizowałeś, prawda? – powiedział.

– Ja i kanonik Midwinter.

– Jak ja ci się odwdzięczę?

Spade pokręcił głową.

– Po prostu ciężko pracuj, zarządzaj dobrze firmą i spłać wszystkich na czas. Niczego więcej od ciebie nie chcę.

– Tak zrobię, przysięgam. Nie mogę uwierzyć w swoje szczęście. Dziękuję Bogu i dziękuję tobie.

– To jeszcze nie wszystko – rzucił Spade, wstając. – Musimy mieć pewność, że Hornbeam nie spróbuje żadnych sztuczek.

– Rozumiem.

– Najpierw musisz podpisać umowę pożyczki z kanonikiem Midwinterem w obecności sędziego pokoju. Potem musisz dać do banku to pismo z poleceniem wypłacenia Hornbeamowi całej sumy. I radzę ci, żebyś to też zrobił w obecności sędziego.

– Którego? – W Kingsbridge było kilku sędziów pokoju, a niektórzy, na przykład Humphrey Frogmore, przyjaźnili się z Hornbeamem.

– Rozmawiałem z radnym Drinkwaterem, przewodniczącym sędziów. Jest teściem Mindwintera, o czym zapewne wiesz.

– Dobry wybór – przyznał Amos, bo wiedział, że Drinkwater jest znany z uczciwości.

– Będziesz mu musiał zapłacić, oczywiście. Zażąda pewnie pięciu szylingów. Sędziowie często pobierają opłaty za takie usługi.

– Teraz mnie na to stać. – Amos uśmiechnął się szeroko.

Wyszli z magazynu i najpierw udali się do domu Amosa, by wziąć z sejfu pięć szylingów. Potem wybrali się do Drinkwatera, który mieszkał przy Fish Lane. Był to skromny domek, stary i w połowie drewniany.

Gospodarz czekał na nich w pokoju służącym mu za gabinet. Siedział za stołem, na którym leżały potrzebne materiały: pióra, papier, atrament, piasek i lak do pieczęci. Był łysy, ale założył perukę, by podkreślić, że występuje oficjalnie w roli sędziego.

Przeczytał umowę pożyczki, którą podał mu Spade.

– Wszystko w porządku – powiedział i przesunął ją po stole. Amos podniósł pióro, zanurzył je w kałamarzu i złożył podpis, po czym sędzia pokoju podpisał się jako świadek.

Spade zabrał dokument, osuszył atrament piaskiem, ostrożnie zwinął papier i włożył pod koszulę.

– Teraz muszę się postarać zwrócić – odezwał się Amos.

– Zwrócisz – powiedział Drinkwater. – Wszyscy w ciebie wierzymy.

Amos wydawał się nieco onieśmielony, ale zdeterminowany.

Drinkwater włożył nieco już sfatygowany stary płaszcz, opuścili jego dom i ruszyli do domu Hornbeama.

Gdy weszli do środka i czekali na niego w holu, Amos spojrzął na portret gospodarza i powiedział:

– Kiedy byłem tu ostatnio, przeżyłem największy szok w moim życiu.

– Tym razem to Hornbeam będzie zszokowany – powiedział Spade.

Kiedy lokaj wprowadził ich do gabinetu, Hornbeam zdumiał się na ich widok.

– Co to ma być? – spytał zirytowany. – Oczekiwałem młodego Barrowfielda, a nie delegacji.

– Chodzi o pożyczkę młodego Barrowfielda – rzucił Spade.

– Jeśli przyszłście błagać mnie o litość, to tylko marnujecie mój czas.

– O nie. – Spade pokręcił głową. – Nie oczekiwalibyśmy od pana litości.

Na twarzy zachowującego się arogancko Hornbeama pojawił się element niepewności.

– Cóż, więc nie marnujcie mojego czasu. Czego chcecie?

– Niczego – odparł ponownie Spade. – Ale Barrowfield ma coś dla pana.

Amos wręczył gospodarzowi polecenie wypłaty.

– Hornbeam – odezwał się Drinkwater. – Zanim przedstawiś to polecenie w banku, będziesz musiał przekazać wszystkie dokumenty dotyczące pożyczek, których udzieliłeś zmarłemu Obadahowi Barrowfieldowi. Przypuszczam, że to ten plik leżący na biurku, ale jeśli nie są to wszystkie, będziesz musiał oddać nakaz młodemu Barrowfieldowi.

Mięsista twarz Hornbeama najpierw pobladła, potem się zaróżowiła, a na koniec poczerwieniała z wściekłości. Zignorował Drinkwatera i spojrzął na Amosa.

– Skąd wzięłeś pieniądze?! – krzyknął.

Amos wydawał się nieco przestraszony, ale nie stracił rezonu.

– Nie wydaje mi się, żeby musiał pan to wiedzieć, panie radny.

Dobrze mu powiedziałeś, pomyślał Spade.

– Ukradłeś je! – wrzasnął Hornbeam.

Drinkwater uznał za stosowne zainterweniować.

– Mogę cię zapewnić, Hornbeam, że pieniądze pochodzą z legalnego źródła.

– A dlaczego ty się wtrącasz do tej sprawy? – rzucił gospodarz. – To nie ma nic wspólnego z tobą!

– Jestem tu jako sędzia pokoju i świadek legalnej transakcji, spłaty długu – odparł Drinkwater spokojnie. – Poprosimy, żebyś dla uniknięcia wszelkich wątpliwości napisał krótkie pismo, w którym stwierdzisz, że Barrowfield oddał cały dług. Ja to poświadczę, a on weźmie ten dokument.

– Rozumiem, że łączą was jakieś ciemne interesy! – warknął Hornbeam.

– Uspokój się, zanim powiesz coś, czego możesz potem żałować – ostrzegł go Drinkwater. – Obaj jesteśmy sędziami pokoju i nie wypada, byśmy wrzeszczeli na siebie jak przekupki.

Hornbeam wyraźnie miał ochotę powiedzieć mu coś nieprzyjemnego, ale się opanował. Bez słowa sięgnął po kartkę papieru, napisał coś na niej szybko i podał Drinkwaterowi.

Ten przyglądał jej się przez chwilę.

– Hm... – mruknął. – Ledwie da się to odczytać. – Wziął jednak do ręki pióro, złożył podpis i podał kartkę Amosowi.

– Jeśli to zamyka sprawę, to żegnam panów – wycodził Hornbeam przez zaciśnięte zęby.

Trzej mężczyźni wstali i wyszli z gabinetu, półgębkiem wypowiedziawszy słowa pożegnania.

Kiedy znaleźli się już na ulicy, Spade parsknął śmiechem.

– Cóż to była za scena – powiedział. – Myślałem, że dostanie apopleksji!

– Przepraszam, że był dla pana niegrzeczny – zwrócił się Amos do Drinkwatera.

Sędzia skinął głową.

– Zrobiłem sobie dziś z niego wroga – przyznał.

– Podejrzewam, że wszyscy zrobiliśmy sobie z niego wroga – zauważył Spade.
Amos westchnął ciężko.

– Jestem wam obu ogromnie wdzięczny. I wiem, że Hornbeam jest człowiekiem, w którym lepiej nie mieć wroga.

– To prawda – zgodził się z nim Spade. – Ale czasami trzeba zrobić to, co słuszne.

*

Następnego dnia Spade wybrał się rano do siostry w nadziei, że spotka u niej panią Latimer, gdy ta przyjdzie po płaszcz. Szczęście mu dopisało. Wpłynęła do zakładu niczym ciepła bryza, a on po raz kolejny pomyślał o tym, jaka jest piękna.

Gdy przymierzała płaszcz, przyglądał się jej figurze, udając, że sprawdza tylko, czy wszystko pasuje. Miała idealne kształty, a on wyobrażał sobie jej piersi ukryte pod ubraniem.

Wydawało mu się, że jest dyskretny, pochwyciła jednak jego spojrzenie, co wprawilo go w głębokie zakłopotanie. Uniosła lekko brwi i spojrzała na niego ze szczerym zainteresowaniem, jakby jego zachowanie, choć ją zaskoczyło, wcale nie było jej niemiłe.

Czując upokorzenie i zawstydzenie, odwrócił szybko wzrok, bo wiedział, że się czerwieni.

– Świetnie dopasowane – mruknął.

– Tak – zgodziła się z nim Kate. – Becca doskonale to wymierzyła.

– Wybaczcie, drogie panie, muszę wracać do pracy – powiedział Spade i wyszedł tylnymi drzwiami.

Z jednej strony był zły na siebie, bo przecież zachował się nieprzyzwoicie, z drugiej – intrygowała go reakcja pani Latimer. Nie wyglądała wcale na urażoną. Odniósł wręcz wrażenie, że była zadowolona, gdy zwrócił uwagę na jej piersi.

Co ja wyprawiam? – pomyślał.

Żył w celibacie od dziesięciu lat, odkąd zmarła jego żona, Betsy. Nie chodziło o to, że nie pożądał kobiet. Myślał poważnie o kilku z nich. Wdowcy często żenią się ponownie, zwykle z młodszymi kobietami; jednak dziewczyny niespecjalnie go interesowały. Uważał, że trzeba być młodym, by poślubić kogoś młodego. Była Cissy Bagshaw, wdowa po sukienniku, energiczna i praktyczna kobieta w jego wieku; wyraźnie dawała mu do zrozumienia, że chętnie poszłaby z nim do łóżka „na próbę”, jak to określiła, całkiem jakby mieli przymierzać nowe ubrania. Lubił ją, ale to nie wystarczało. Betsy była jego prawdziwą miłością i nikim innym by się nie zadowolił.

A teraz, całkiem niespodziewanie, wydało mu się, że mógłby poczuć coś podobnego do Arabelli Latimer. Coś budziło się w jego duszy, gdy ta kobieta znajdowała się w pobliżu. Nie chodziło tylko o jej wygląd, choć to też go poruszało. Ważniejsze było to, jak patrzyła na świat: jakby był przyjemny, ale powinien być lepszy. On widział to tak samo.

Gdy wyobraził ich sobie jako małżeństwo, wydawało mu się, że jako kochankowie nigdy by się sobie nie znudzili i że zawsze mieliby o czym rozmawiać.

I nie miała nic przeciwko temu, że patrzył na jej piersi.

Ale była mężatką.

Żoną biskupa.

Lepiej o niej zapomnij, przykazał sobie w myślach.

ROZDZIAŁ 9

Gdy emocje związane z pokonaniem Hornbeama nieco już opadły, Amos zaczął coraz częściej myśleć o najbliższych latach. Czekala go długa droga pod górę. Był gotów ciężko pracować – robił to od dawna – ale czy to wystarczy? Gdyby udało mu się rozszerzyć działalność firmy, mógłby spłacić szybciej dług i zacząć gromadzić pieniądze. Największym problemem były niewystarczające ilości przędzy. Jak zdobyć jej więcej?

Przyszło mu do głowy, że mógłby płacić lepiej za przędzenie wełny. Zajmowały się tym niemal wyłącznie kobiety, więc opłacano je kiepsko. Czy gdyby podniósł stawki, pojawiłoby się więcej chętnych do tej pracy? Nie był pewien. Kobiety miały inne obowiązki i po prostu brakowało im czasu. Poza tym branża tkacka była konserwatywna; gdyby Amos podniósł stawki, inni sukiennicy w Kingsbridge oskarżyliby go, że psuje im interesy.

Myśl, że być może czekają go długie lata zmagania z bankructwem i wiązania końca z końcem, była przygnębiająca.

Pewnego wieczoru spotkał na Fish Street Rogera Riddicka.

– Hej, Amos, stary brachu. – Roger odruchowo przywitał go tak jak kolegów ze studiów w Oksfordzie. – Mógłbym przespać się dzisiaj u ciebie?

– Jasne, nie ma problemu – odparł Amos. – Tyle razy korzystałem przecież z waszej gościnności w Badfordzie. Zostań nawet na miesiąc, jeśli chcesz.

– Nie, dziękuję. Jutro wrócę do domu. Ale straciłem wszystkie pieniądze u Cullivera i nie będę miał ani pensa, dopóki ojciec nie da mi następnej wypłaty.

Hugh Culliver, znany jako Sport, miał dom przy Fish Street. Na parterze mieściły się tawerna i kawiarnia, na piętrze pokoje do hazardu, a nad nimi burdel. Roger był stałym bywalcem pierwszego piętra.

– W domu czeka na nas kolacja – powiedział Amos.

– Cudownie.

Ruszyli w stronę domu.

– A tak w ogóle, to co u ciebie słychać? – spytał Roger po chwili.

– Cóż, dziewczyna, którą kocham, woli jasnowłosego wytwórcę wstążek.

– Ten problem można łatwo rozwiązać. Wystarczy wybrać się na drugie piętro u Cullivera.

Amos zignorował tę sugestię. prostytutki zupełnie go nie pociągały.

– Czekaj mnie mnóstwo pracy, zanim zacznę spłacać dług mojego ojca – wyznał.

– Myślisz, że wojna z Francuzami jakoś na to wpłynie? Oni wszędzie wygrywają, w Sabaudii, Nicei, Nadrenii, Belgii...

– Dużą część tkanin z zachodniej Anglii eksportuje się na kontynent, a wojna to na pewno zakłóci. Ale powinny się pojawić kontrakty wojskowe, które to zrekompensują. Armia będzie potrzebowała nowych mundurów. Mam nadzieję, że na tym skorzystam... jeśli uda mi się zdobyć przędzę.

Dotarli do domu. Matka Amosa podała im na kolację szynkę, marynowaną cebulę, chleb i piwo. Szybko przygotowała pokój dla gościa syna.

– Zostawię was, chłopcy, żebyście sobie mogli swobodnie porozmawiać – powiedziała i poszła do swojej sypialni.

Roger pociągnął długi łyk piwa.

– Więc brakuje przędzy? – spytał.

– Tak. Spade uważa, że to przez latające czółenka. Tkacze pracują szybciej, ale prządki nie.

– Byłem niedawno w Combe i odwiedziłem przędzalnię bawełny należącą do ojca kolegi z uczelni.

Amos skinął głową. Większość przemysłu bawełnianego skupiała się na północy Anglii i w Midlands, ale kilka przędzalni działało też na południu, głównie

w miastach portowych takich jak Combe i Bristol, dokąd przy pływał na statkach surowiec.

– Wiesz, że producenci bawełny wynaleźli mechaniczną przędzarkę – dodał Roger.

– Słyszałem. Ale nie nadaje się do przędzenia wełny.

– Nazywają ją „przędką Jenny”. To wspaniałe urządzenie – entuzjazmował się Roger, który uwielbiał wszelkiego rodzaju maszyny, a zwłaszcza te najbardziej skomplikowane. – Jedna osoba może jednocześnie nawijać przędzę na osiem szpul. A urządzenie jest tak łatwe w obsłudze, że może się tym zajmować kobieta.

– Chciałbym mieć maszynę, która pracuje osiem razy szybciej niż stare kołowrotki. – Amos westchnął. – Ale włókna bawełny są mocniejsze niż wełniane. Wełna zbyt łatwo się zrywa.

Roger zamyślił się na chwilę.

– To rzeczywiście problem – przyznał w końcu. – Ale musi się dać jakoś go rozwiązać. Można by zmniejszyć napięcie nici i używać takiej maszyny do grubszej, zgrzebnej wełny, a ręczne przędzenie stosować tylko do delikatniejszych... Muszę jeszcze raz przyjrzeć się konstrukcji przędzarki.

Amos dostrzegł promyk nadziei. Wiedział, jak pomysłowy jest Roger i jakie urządzenia buduje w swoim warsztacie w Badfordzie.

– A może pojechalibyśmy do Combe razem? – zaproponował.

Roger wzruszył ramionami.

– Czemu nie? – rzucił.

– Pojutrze jedzie tam dylizans. Po południu bylibyśmy na miejscu.

– W porządku. – Roger skinął głową. – Skoro przegrałem wszystkie pieniądze, i tak nie mam nic innego do roboty.

*

Amos zamieścił ogłoszenie w „Kingsbridge Gazette” i w „Combe Herald”.

DLA WIADOMOŚCI SZANOWNYCH KUPCÓW BŁAWATNYCH

*Amos Barrowfield chciałby ogłosić,
że renomowana firma jego ojca, świętej pamięci Obadiaha Barrowfielda,
wciąż działa i będzie działać.*

*Naszą specjalnością są wysokiej jakości tkaniny:
moher, wełna merynosowa, szlachetne kaszmiry
w czystej postaci i w połączeniu z jedwabiem, bawełną i lnem.
NA WSZYSTKIE PYTANIA ODPOWIADAMY POCZTĄ.*

*Amos Barrowfield
High Street
Kingsbridge*

Na spotkaniu metodystów pokazał ogłoszenie Spade'owi.

– Bardzo dobrze – pochwalił go tkacz. – Bez krytykowania ojca dajesz wszystkim do zrozumienia, że ostatnie trudności to już przeszłość i że firma działa teraz pod nowym, bardziej dynamicznym zarządem.

– Otóż to.

– Wierzę w siłę ogłoszeń i reklamy – powiedział Spade. – Oczywiście reklama niczego nie sprzeda, ale tworzy możliwości.

Amos całkowicie się z nim zgadzał.

Tego wieczoru zajmowali się omawianiem Biblii, a konkretnie historii Kaina i Abla, ale gdy podniesiono temat morderstwa, zaczęto rozmawiać o egzekucji króla Francji. Niedawno biskup Kingsbridge wygłosił kazanie, w którym stwierdził, że francuscy rewolucjoniści dopuścili się zabójstwa.

Taki pogląd podzielali członkowie brytyjskiej szlachty i arystokracji, kleru oraz większość polityków. Premier William Pitt był nastawiony bardzo wrogo do francuskich rewolucjonistów. Opozycyjni wigowie byli jednak podzieleni; większość w tej kwestii wspierała Pitta, ale spora mniejszość dostrzegała w rewolucji wiele aspektów pozytywnych. Podobne nastroje panowały wśród zwykłych ludzi; mniejszość domagała się demokratycznych reform na wzór

francuskich przemian, a ostrożna większość deklarowała lojalność wobec króla Jerzego III i sprzeciw wobec rewolucji.

Rupe Underwood stał po stronie Pitta.

– To było zwykłe morderstwo – powiedział z oburzeniem. – Rażąca niesprawiedliwość. – Grzywka znów wpadła mu do oczu, poderwał więc gwałtownie głowę, by ją odrzucić.

Potem zerknął na Jane.

Amos uświadomił sobie, że Rupe odgrywa to przedstawienie właśnie dla niej. W granatowej sukience i wysokim kapeluszu, wyglądającym prawie jak męski, była dziś wcieleniem elegancji, jak zwykle zresztą. Czy spodoba jej się ta szlachetna postawa moralna Rupe'a?

Spade – jak to on – widział sprawy inaczej.

– W dniu, w którym zgilotynowano króla Francji, powiesiliśmy w Kingsbridge Josiaha Ponda za kradzież owcy. Czy to też było morderstwo?

Amos chętnie powiedziałby coś błyskotliwego, by zaimponować Jane i zrobić głupca z Rupe'a, ale nie był pewien, po czyjej jest stronie ani co myśli o rewolucji francuskiej.

– Bóg uczynił Ludwika królem – stwierdził Rupe nabożnym tonem.

– Bóg uczynił Josiaha biedakiem – rzucił Spade.

No właśnie, dlaczego ja na to nie wpadłem? – pomyślał Amos.

– Josiah Pond był złodziejem, został osądzony i uznany za winnego – powiedział Rupe.

– A Ludwik był zdrajcą, oskarżonym o spiskowanie z wrogami ojczyzny – odparował Spade. – Został osądzony i uznany za winnego, całkiem jak Josiah. Tyle że moim zdaniem zdrada jest czymś gorszym od kradzieży owcy.

Amos uznał, że nie musi robić z Rupe'a głupca, bo Spade go w tym wyręcza.

– Piętno tej egzekucji będzie kalać wszystkich Francuzów przez setki lat – odpowiedział mu Rupe z napuszoną miną.

– A czy ty nie nosisz podobnego piętna? – spytał Spade.

Skonsternowany Rupe zmarszczył brwi.

– Ja nie zabiłem króla – odparł.

– Ale twoi i moi przodkowie niecałe sto pięćdziesiąt lat temu ścięli Karola Pierwszego, króla Anglii. Z tego, co mówisz, wynika, że my też nosimy piętno tej egzekucji.

– Nic dobrego nie może przyjść z zabicia króla – próbował się bronić Rupe.

– Nie zgadzam się – powiedział spokojnie Spade. – Odkąd my, Anglicy, zabiliśmy króla, cieszymy się coraz większą wolnością religijną, podczas gdy Francuzów zmuszano do wyznawania katolicyzmu... aż do teraz.

Amos pomyślał, że Spade posuwa się za daleko, i w końcu znalazł właściwe słowa:

– Bardzo wielu Francuzów zostało zabitych za to, że mieli inne zdanie niż rewolucjoniści – powiedział.

– Otóż to, Spade, i co odpowiesz na to Amosowi? – spytał z satysfakcją Rupe.

– Powiem, że Amos ma rację – odparł Spade ku zaskoczeniu Amosa. – Ale pamiętam, co powiedział nasz Pan: *Wyrzuć najpierw belkę ze swojego oka, a wtedy przejrzysz, ażeby usunąć drzazgę z oka twego brata**. Zamiast skupiać się na tym, co Francuzi robią źle, powinniśmy spytać siebie, co należy zreformować w naszym kraju.

Kanonik Midwinter postanowił zainterweniować.

– Przyjaciele, sądzę, że ta dyskusja zawiodła nas zbyt daleko – powiedział. – Kiedy stąd wyjdziemy, możemy się zastanowić, co pomyślałby o tym nasz Pan, który przecież też został stracony.

To zaskoczyło Amosa. Przyszło mu do głowy, że tak łatwo zapomnieć o tym, że chrześcijaństwo to także krew, tortury i śmierć – zwłaszcza w tym skromnym wnętrzu sali modlitw, z jej pobielonymi ścianami i prostymi meblami. Katolicy są bardziej realistyczni, wystawiając na widok publiczny figury ukrzyżowanego Chrystusa i obrazy katowanych męczenników.

– Czy Pan potępiłby zgilotynowanie francuskiego króla? – kontynuował tymczasem Midwinter. – A jeśli tak, to czy pochwaliby powieszenie Josiaha Ponda? Nie podsuwam wam odpowiedzi na te pytania, ale wierzę, że analiza takich kwestii w świetle nauczania Jezusa może rozjaśnić nasze umysły i pokazać nam, że nie są to proste sprawy. A teraz połączmy się w modlitwie.

Wszyscy pochylili głowy.

Modlitwa była krótka.

– O Panie, daj nam odwagę, byśmy walczyli o to, co słuszne, i pokorę, byśmy wiedzieli, kiedy się mylimy. Amen.

– Amen – odpowiedział głośno Spade.

*

Dyżans z Bristolu do Combe zatrzymywał się w Kingsbridge na rynku przed gospodą U Bella. Amos i Roger mieli siedzenia na zewnątrz. Dla Amosa miejsca w środku były za drogie, a Roger nie miał pieniędzy.

– Oddam ci, kiedy ojciec da mi pieniądze! – zaproponował Roger, ale jego przyjaciel grzecznie odmówił.

Lubił Rogera, uważał jednak, że lepiej nie pożyczać pieniędzy hazardzistom.

Dyżans opuścił rynek i jechał Main Street, gdzie większość domów mieszkalnych zamieniono na sklepy i warsztaty. Przejechał nad rzeką po moście Merthina, który nazwano na cześć jego średniowiecznego budowniczego. Prowadził od północnego brzegu rzeki do Wyspy Trędowatych, biegł obok szpitala Caris i łączył się z południowym brzegiem. Dalej droga prowadziła przez bogate przedmieście zwane Loversfield, czyli Polem Kochanków. Amos przypuszczał, że dawnymi czasy spotykały się tu pary zakochanych, by pobyć trochę w samotności. Teraz nie było tu już pól, choć przy niektórych domach rozciągały się sady. Następnie powóz minął długi szereg biedniejszych domów i w końcu wyjechał na otwartą przestrzeń.

Było zimno, ale obaj mieli grube płaszcze, ciepłe szale i czapki. Roger palił fajkę. W gospodach, przy których zatrzymywał się dyliżans, by zmienić konie, kupowali ciepłe napoje: herbatę, rosół albo whisky z gorącą wodą.

Amos był pełen optymizmu. Upominał się w myślach, że na razie nie ma się z czego cieszyć, ale nie mógł się opędzić od myśli, że pomysł Rogera może odmienić przyszłość firmy. Maszyna, która mogła nawijać przędzę na osiem szpul jednocześnie!

W Combe spędzili noc w pensjonacie, a rano poszli do domu przyjaciela Rogera, Percy'ego Franklanda. Zamożny ojciec Percy'ego zaprosił ich na obfite śniadanie; zjedli je w towarzystwie jego żony i młodszego rodzeństwa Percy'ego. Amos nie jadł zbyt dużo. Denerwował się nadchodzącą wizytą i coraz bardziej obawiał się rozczarowania.

Zaraz po śniadaniu poszli do magazynu obok domu Franklandów. Na parterze składowano materiały, a na piętrze pracowały prządki.

Amos wszedł do sali, gdzie wytwarzano przędzę, i dopiero po dłuższej chwili zrozumiał, na co patrzy: była tu nie jedna maszyna, lecz cały rząd mechanicznych przędzarek.

Przypominały małe stoły, sięgające uda, długie mniej więcej na trzy stopy i szerokie na półtorej, ustawione na czterech solidnych nogach. Przędzarkę obsługiwały dwie osoby, kobieta i dziecko. Kobieta stała przy jednym końcu, skąd pasma bawełny ciągnęły się do wrzecion po drugiej stronie. Prawą ręką obracała umieszczone z boku maszyny duże koło, które wprowadzało w ruch osiem wrzecion zamieniających bawełnę w nić. Kiedy prządka uznała, że nić jest wystarczająco mocna, lewą ręką przesuwiała do przodu dźwignię i nawijała na każdą z pozostałych siedmiu szpul kolejne pasma bawełny.

W sali stało osiem takich maszyn.

– Co robi dziecko? – spytał Amos właściciela przędzalni.

– Naprawia zerwane nici – wyjaśnił Frankland.

Obserwowali, jak chłopiec w wieku około jedenastu lat przeprowadza taką naprawę. Wczołgał się pod maszynę, by matka nie musiała przerywać pracy. Pracownikom płacono za to, co wyprodukowali, a nie za godziny. Chłopiec ujął końcówki obu nici i położył je na otwartej lewej dłoni tak, by zachodziły na siebie na odcinku ponad dwóch cali. Potem prawą ręką scalał nici krótkimi energicznymi ruchami, mocno przy tym naciskając dłonią o dłoń. Kiedy podniósł prawą rękę, nici tworzyły już całość. Trwało to kilkanaście sekund.

Amos zauważył, że skóra na dłoniach chłopca zrogowaciała od nieustannego pocierania. Ujął jego rękę i dotknął zgrubiałej części.

– Mam twarde ręce – oznajmił chłopiec z dumą. – Już nie krwawią.

– Nici muszą często pękać, skoro ci naprawiacze stale tu siedzą – zauważył Amos.

– Niestety, to prawda – przyznał Frankland.

Nie była to pocieszająca wiadomość.

– Skoro bawełna często się zrywa, to z wełną będzie jeszcze gorzej – zwrócił się Amos do Rogera. – Nawet doświadczone prządki, takie jak Sal Clitheroe, zrywają czasem nić.

Roger odwrócił się do chłopca.

– Czy jest jakiś szczególny moment w trakcie przędzenia, kiedy nić pęka najczęściej? – spytał. – Rozumiesz, co mam na myśli?

– Tak, proszę pana – odparł dzieciak. – Zwykle nić zrywa się, kiedy mama widzi luźną nić i ją naciąga. Jeśli szarpnie za mocno, nić może się zerwać.

Roger skinął głową.

– Być może uda mi się coś z tym zrobić – powiedział.

Amos był wniebowzięty. Ta maszyna mogła zapewnić mu przędzę potrzebną do rozszerzenia działalności firmy. Ale nie tylko. Dzięki niej nie musiałby już jeździć po wsiach wokół Kingsbridge, by rozwozić i zbierać materiały. Sala pełna przątek w jego magazynie mogła mu dostarczyć więcej przędzy niż wszystkie kobiety z odwiedzanych wiosek. A gdyby któraś zachorowała i nie była w stanie wykonać

zaplanowanej pracy, nie musiałby czekać tydzień, by się o tym dowiedzieć. Takie maszyny dawałyby mu większą kontrolę nad firmą.

Starał się zapanować nad ekscytacją i skupić na praktycznych aspektach. Zwrócił się ponownie do pana Franklanda:

– Nie wiem, czy to urządzenie można przystosować do przędzenia wełny, ale gdybym uznał, że to realne, gdzie mógłbym je kupić?

– Na północy jest kilka miejsc, w których je produkują – odparł gospodarz. Po chwili wahania dodał: – Albo mógłbym panu sprzedać jedną z moich przędzarek. Wkrótce zacznę je wymieniać na większą maszynę nazywaną „przędzącym mułem”. Nawija nici na czterdzieści osiem szpul jednocześnie.

– Czterdzieści osiem! – powtórzył Amos z niedowierzaniem.

– Szpule mnożą się jak króliki – zauważył Roger.

– Kiedy dostanie pan tę wielką maszynę? – chciał wiedzieć Amos.

– Lada dzień.

– Ile chciałby pan za używaną przędzarkę?

– Zapłaciłem za nie po sześć funtów. Nie zużywają się szybko, więc mógłbym sprzedać panu używaną za cztery funty.

I dostałbym ją za kilka dni, pomyślał Amos.

Mógłby uzbierać cztery funty, choć nie zostałyby mu już nic na nieprzewidziane wydatki.

I wciąż wracał myślami do pytania, czy te maszyny nadają się do przędzenia wełny.

Odpowiedź pozostawała taka sama: nie dowie się, dopóki tego nie sprawdzi.

Mimo to wciąż się wahał.

– Jutro przyjdzie tu mechanik, który sprawdzi wszystkie przędzarki – dodał pan Frankland.

– Dam panu odpowiedź do wieczora – obiecał Amos. – I dziękuję za propozycję. Doceniam to.

Gospodarz uśmiechnął się i skinął głową.

– A na razie muszę odbyć poważną rozmowę z mechanikiem.

Uścisnęli sobie dłonie, po czym Amos i Roger wyszli.

Udali się do gospody i zamówili lekki obiad. Roger był tak rozentuzjasmowany, że jego różowa twarz poczerwieniała z podniecenia.

– Wiem, jak ograniczyć pękanie nici – oznajmił. – Mam to już w głowie.

– Świetnie. – Amos wiedział, że stoi na rozdrożu. Jeśli kupi przedzarkę i poniesie porażkę, będzie musiał pogodzić się z myślą, że czeka go kilka dodatkowych lat odkładania pieniędzy na spłatę długu. Ale gdyby się udało, mógłby zacząć zarabiać prawdziwe pieniądze. – To ryzykowne.

– Lubię ryzyko – rzucił jego przyjaciel.

– A ja go nienawidzę – mruknął Amos.

Ale kupił maszynę.

*

Amos postanowił patrzeć optymistycznie w przyszłość i zgłosił się do przetargu o kontrakt z wojskiem, nim jeszcze dotarła nowa przedzarka.

Pułkownikiem milicji w Kingsbridge był Henry, wicehrabia Northwood, syn i spadkobierca hrabiego Shiring. Zwykle była to jedynie symboliczna funkcja, ale zgodnie z tradycją Shiring pełnił ją właśnie syn hrabiego. Northwood był również posłem do parlamentu reprezentującym Kingsbridge; arystokraci chętnie zachowywali najważniejsze funkcje w swoich rodzinach, jak mawiał Spade.

Northwood normalnie mieszkał z ojcem w Earlscastle, lecz gdy zwołano milicję, wynajął Dom Willarda, duży budynek przy rynku, z pokojami dla niego i kilku innych wysokich rangą oficerów. Miejskowa legenda głosiła, że ten dom należał kiedyś do Neda Willarda, który był kimś bardzo ważnym na dworze królowej Elżbiety, choć nikt nie wiedział dokładnie kim.

Przyjazd Northwooda – dwudziestotrzyletniego kawalera, najatrakcyjniejszej partii w całym hrabstwie – wywołał spore poruszenie w kręgach towarzyskich Kingsbridge.

Amos nigdy dotąd go nie spotkał i nie znał nikogo, kto mógłby go przedstawić, postanowił więc pójść do Domu Willarda i spróbować szczęścia.

Kiedy wszedł do przestronnego holu, zatrzymał go mężczyzna po czterdziestce w mundurze sierżanta: białych spodniach i getrach, krótkiej czerwonej kurtce i wysokim czako. Tak naprawdę kurtka miała barwę brudnego różu, a nie czerwieni, co nie świadczyło najlepiej o umiejętnościach farbiarza lub stosowanych przez niego materiałach.

– Co pana tu sprowadza, młodzieńcze? – spytał sierżant.

– Chciałbym porozmawiać z pułkownikiem Northwoodem.

– Oczekuje pana?

– Nie. Proszę mu łaskawie przekazać, że Amos Barrowfield chciałby z nim porozmawiać o pana mundurze.

– O moim mundurze? – oburzył się sierżant.

– Tak. Powinien być czerwony, a nie różowy.

Sierżant zmarszczył brwi i spojrzał na rękaw kurtki.

– Chciałbym, żeby milicja hrabstwa Shiring była dobrze ubrana – dodał Amos.

– I przypuszczam, że wicehrabia Northwood ma podobne oczekiwania.

Sierżant wahał się przez chwilę.

– Proszę tu poczekać – rzucił w końcu. – Spytam.

Stojąc w holu, Amos obserwował otaczającą go krzątanicę: ludzie przechodzili szybko z pokoju do pokoju, zamieniali kilka słów, mijając się na schodach. Zdawało się, że wszyscy są pochłonięci pracą i działają według jakiegoś konkretnego skutecznego planu. Wielu oficerów wywodzących się z arystokracji uchodziło za leniwych i niefrasobliwych, ale może Northwood był inny.

Sierżant wrócił po chwili.

– Proszę iść za mną – rzucił.

Zaprowadził Amosa do dużego pokoju od frontu domu, z oknem wychodzącym na zachodnią fasadę katedry. Northwood siedział za dużym biurkiem. W kominku płonął ogień.

Obok biurka siedział z plikiem dokumentów w ręce mężczyzna w mundurze porucznika, znajomy Amosa, Archie Donaldson, metodysta.

Amos przywitał go skinieniem głowy, a potem ukłonił się przed wicehrabią.

Northwood nie nosił peruki; miał krótkie kręcone włosy. Jego twarz o wydatnym nosie wydawała się przyjazna, lecz oczy zmierzyły Amosa inteligentnym, badawczym spojrzeniem. Mam mniej więcej minutę, żeby zrobić wrażenie na tym człowieku, pomyślał Amos. Jeśli mi się to nie uda, zaraz stąd wylecę.

– Jestem Amos Barrowfield, panie pułkownika, sukiennik z Kingsbridge.

– Co jest nie tak z mundurem sierżanta Beacha, panie Barrowfield?

– Pofarbowano go różową marzanną, roślinnym barwnikiem, który jest raczej różowy niż czerwony i szybko blaknie. Nadaje się dla zwykłych żołnierzy, ale mundury sierżantów i innych podoficerów powinny być farbowane barwnikiem o nazwie lac, który pochodzi z jaj niektórych owadów i pozwala uzyskać głęboką wiśniową czerwień, a nie jest tak drogi jak koszenila, z której uzyskujemy prawdziwą brytyjską czerwień, stosowaną w mundurach oficerów.

– Lubię ludzi, którzy znają się na swoim rzemiośle – powiedział Northwood.

Amosa ucieszyła ta uwaga.

– Pewnie chciałby pan dostarczać wojsku tkaninę na mundury – dodał pułkownik.

– Chętnie zaoferowałbym wytrzymałe nieprzemakalne sukno dla sierżantów i niższych rangą żołnierzy. Dla oficerów proponowałbym lżejszą, delikatniejszą tkaninę, równie praktyczną, ale z gładszym wykończeniem, wytwarzaną z importowanej hiszpańskiej wełny. Lekkie tkaniny to moja specjalność, panie pułkowniku.

– Rozumiem.

Amos zdążył się już rozpędzić.

– Jeśli chodzi o ceny...

Northwood podniósł rękę, przerywając mu w pół zdania.

– To mi wystarczy, dziękuję.

Niemal pewien, że odejdzie z niczym, Amos zamilkł.

Ale wicehrabia nie odprawił go od razu. Odwrócił się do Donaldsona i powiedział:

– Napisz wiadomość do majora.

Donaldson sięgnął po czystą kartkę i zanurzył pióro w kałamarzu.

– Poproś go, żeby był tak dobry i porozmawiał z panem Barrowfieldem o tkaninie na mundury. – Northwood odwrócił się ponownie do Amosa. – Chciałbym, żeby spotkał się pan z majorem Willem Riddickiem.

Amos z trudem stłumił okrzyk zdumienia.

Donaldson posypał notkę piaskiem i wręczył mu ją, nie kłopotząc się pieczętowaniem czy nawet składaniem jej.

– Riddick odpowiada za wszystkie zakupy, w czym pomaga mu kwatermistrz. Ma biuro w tym domu, na piętrze. Dziękuję, że zechciał pan mnie odwiedzić.

Amos uklonił się i wyszedł, z trudem skrywając rozczarowanie. Owszem, zrobił wrażenie na Northwoodzie, ale raczej nic na tym nie zyskał. Znalazł Willa Riddicka na piętrze, na tyłach domu, w małym pokoju wypełnionym dymem z fajki. Will siedział ubrany w czerwony płaszcz i białe spodnie. Przywitał go z rezerwą.

Amos starał się wykrzesać z siebie jak najwięcej życzliwości.

– Dobrze cię widzieć, Will – powiedział radosnym tonem. – Rozmawiałem właśnie z pułkownikiem Northwoodem. Przesyła ci wiadomość. – Podał Willowi notkę.

Syn dziedzica z Badfordu wpatrywał się w kartkę nieco dłużej, niż wymagałoby tego przeczytanie tak krótkiej wiadomości.

– Wiesz co, pogadajmy o tym przy kuflu piwa – odezwał się w końcu.

– Jak sobie życzysz – odparł Amos, choć nie miał ochoty na piwo z samego rana.

Wyszli z domu. Amos przypuszczał, że pójda do Bella, gospody odległej zaledwie o kilka kroków, lecz Will poprowadził go w dół zbocza i skręcił w Fish Street. Ku przerażeniu Amosa zatrzymał się przed lokalem Sporta Cullivera.

– Może jednak wybralibyśmy się gdzie indziej? – zaproponował Amos. – To miejsce ma złą reputację.

– Bzdura – prychnął Will. – Idziemy tu tylko na piwo. Nie musimy wchodzić na górę. – Nie czekając dłużej, wszedł do środka.

Amos wszedł za nim, modląc się w duchu, by nie zobaczył tego żaden metodysta.

Nigdy wcześniej nie był w tym miejscu, ale na szczęście parter wyglądał jak każda inna gospoda i nic nie świadczyło o tym, że w tym samym budynku popełnia się godne potępienia bezceństwa. Amos próbował pocieszać się tą myślą, ale i tak czuł się nieswojo. Usiedli w cichym zakątku sali i Will zamówił dwa kufle portera.

Amos postanowił przejść od razu do rzeczy.

– Mogę wam zaproponować zwykłe sukno na mundury dla rekrutów, po szylingu za jard – powiedział. – Nigdzie nie dostaniecie lepszej ceny. Za takie samo płótno farbowane tanim barwnikiem, przeznaczone dla sierżantów i podoficerów, chciałbym trzy pensy więcej. A za bardzo delikatną tkaninę dla oficerów, w brytyjskiej czerwieni, żądam tylko trzech szylingów i sześciu pensów za jard. Jeśli znajdziesz lepszą propozycję u któregoś z sukienników w Kingsbridge, zjem własny kapelusz.

– Skąd weźmiesz przędzę? Słyszałem, że jej brakuje.

Amos był zaskoczony, że Will jest tak dobrze poinformowany.

– Mam swoje źródło – odparł, co było bliskie prawdy: lada dzień miała do niego dotrzeć przędzarka.

– Jakie?

– Tego nie mogę ujawnić.

Kelner przyniósł piwo i stał przy stole, czekając. Will spojrzał na Amosa i ten zrozumiał, że to on ma zapłacić. Wyjął kilka monet z portfela i podał je kelnerowi.

Will pociągnął długi łyk ciemnego piwa i westchnął z zadowoleniem.

– Założmy, że milicja potrzebuje stu mundurów dla sierżantów.

– Potrzebowalibyście dwustu jardów sukna farbowanego lakiem, szyling i trzy pency za jard, więc kosztowałoby was to dwanaście funtów i dziesięć szylingów. Jeśli złożysz u mnie zamówienie już teraz, zaokrąglę cenę do dwunastu funtów. Wiem, że zaniżam cenę, ale wiem również, że będziecie tak zadowoleni z jakości tego sukna, że zamówicie kolejną partię. – Amos pociągnął łyk piwa, by ukryć zdenerwowanie.

– Brzmi nieźle – przyznał Will, kiwając głową.

– Cieszę się. – Amos był zadowolony, ale też zaskoczony. Nie przypuszczał, że tak łatwo dojdzie z Willem do porozumienia. I choć nie było to zbyt duże zamówienie, mogło stanowić tylko początek. – Pójdę do domu, wypiszę fakturę i przyniosę ci ją do podpisania za kilka minut.

– Dobrze.

– Dziękuję. – Amos podniósł kufel, by stuknąć się z synem dziedzica.

Obaj pociągnęli po łyku.

– Jeszcze jedno – odezwał się Will. – Wypisz fakturę na czternaście funtów.

Amos nie rozumiał.

– Ale macie zapłacić dwanaście.

– I tyle ci zapłacę.

– Więc jak mogę wystawić ci fakturę na czternaście funtów?

– Tak to robimy w wojsku.

Amos zrozumiał.

– Powiesz przełożonym, że płaciecie czternaście funtów, dasz mi dwanaście, a dwa zatrzymasz dla siebie.

Will nie zaprzeczył.

– Przecież to przekupstwo! – oburzył się Amos.

– Ciszej! – Will rozejrzał się dokoła, ale w pobliżu nikogo nie było. – Dyskretniej, głupcze.

– Ale to nieuczciwe!

– O co ci chodzi? Tak się robi interesy. Naprawdę jesteś aż taki naiwny?

Przez chwilę Amos zastanawiał się, czy Will mówi prawdę. Czy przy wszystkich takich interesach w grę wchodzi łapówki? Być może była to jedna z tych rzeczy, o których nie mówił mu ojciec. Potem przypomniał sobie, ilu sukienników z Kingsbridge jest metodystami, i nabrał przekonania, że żaden z nich nie dopuściłby się takiego czynu.

– Nie wystawię fałszywej faktury – oznajmił.

– W takim razie nie dostaniesz zamówienia.

– Myślisz, że znajdziesz sukiennika gotowego dać ci łapówkę?

– Wiem, że znajdę.

Amos pokręcił głową.

– Metodysi nie prowadzą interesów w ten sposób – oświadczył.

– Tym gorzej dla was – odparł Will i opróżnił kufel.

* Mt 7,5.

ROZDZIAŁ 10

Will Riddick wrócił do Badfordu dzień przed tym, jak skończył się sześciotygodniowy okres przymusowej bezczynności Kita.

Tak się niefortunnie złożyło, że Roger, który pilnował, by chłopiec miał dobrą opiekę, tydzień wcześniej wyjechał. Służący słyszeli, że przebywa w domu Amosa Barrowfielda w Kingsbridge i pracuje tam nad jakimś tajemniczym projektem.

Kit już nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie wstanie z łóżka.

Początkowo, gdy wciąż bolała go głowa i był zszokowany, w ogóle nie chciał się ruszać. Czuł się tak zmęczony, że chętnie pozostawał w ciepłym miękkim łóżku. Trzy razy dziennie Fan pomagała mu usiąść prosto i karmiła go owsianką, rosołem albo chlebem moczonym w ciepłym mleku. Na początku jedzenie było dla niego ogromnym wysiłkiem, więc gdy tylko skończył, opadał na łóżko wyczerpany.

Jego stan stopniowo jednak się polepszał. Czasami Kit mógł obserwować ptaki przez okno; namówił nawet Fan, żeby wysypywała na parapet okruszki chleba, by je zwabić. Często przesiadywała u niego po kolacji dla służących, a kiedy nie mieli o czym rozmawiać, opowiadał jej historie biblijne, które słyszał od matki: o arce Noego, Jonaszu i wielorybie, Józefie i jego cudownym płaszczu. Fan nie znała zbyt wielu opowieści biblijnych. Została sierotą i zaczęła pracować we dworze jako siedmiolatka, a tu nikt nie bawił jej opowieściami czy bajkami. Nie umiała czytać, nie potrafiła nawet napisać swojego imienia. Kit był zdumiony, dowiedziawszy się, że dziedzic nie płaci dziewczynie za pracę. „Bo to jest tak, jakbym pracowała dla rodziców – wyjaśniła. – Tak mówi dziedzic”.

„Ja nazywam to niewolnictwem”, rzuciła matka Kita, gdy jej o tym opowiedział. Potem żałowała tych słów i poprosiła syna, by nikomu ich nie

powtarzał.

Przychodziła do Kita w każde niedzielne popołudnie. Wchodziła kuchennymi drzwiami i korzystała z tylnych schodów, by nie spotkać przypadkiem dziedzica albo jego synów. Zdaniem Fan żaden z nich nie wiedział o tych wizytach.

Ostatnio Kit coraz bardziej pragnął powrotu do normalności. Chciał włożyć zwykłe ubranie i jeść z innymi służącymi w kuchni. Cieszyła go nawet myśl o czyszczeniu kominków i pastowaniu butów w towarzystwie Fan.

Kiedy jednak wrócił Will, Kit czuł się bezpieczniej w zamknięciu.

W dniu, w którym miał zakończyć rekonwalescencję, musiał pozostać w łóżku aż do przybycia cyrulika, Aleca Pollocka. Wkrótce po śniadaniu Alec w swoim starym kaftanie wszedł do pokoju i spytał:

– Jak się miewa mój młody pacjent po sześciu tygodniach?

– Dobrze, proszę pana, i jestem pewien, że mogę wrócić do pracy – odpowiedział zgodnie z prawdą Kit. Nie wspomniał o lęku przed Willem.

– Rzeczywiście wygląda na to, że zdrowiejesz.

– Bardzo dziękuję, że mi pan pomógł.

– Powiedz mi, jak się nazywasz.

– Christopher Clitheroe – odparł Kit, zastanawiając się, dlaczego cyrulik go o to pyta.

– A jaką mamy teraz porę roku?

– Koniec zimy, początek wiosny.

– Pamiętasz, jak miała na imię matka Jezusa?

– Maria.

– Cóż, wygląda na to, że ten przeklęty koń Willa nie uszkodził poważnie twojego mózgu.

Kit dopiero teraz zrozumiał, dlaczego lekarz zadawał mu takie proste pytania: chciał się upewnić, że z jego umysłem jest wszystko w porządku.

– Czy to oznacza, że mogę pracować? – spytał.

– Nie, jeszcze nie. Twoja matka może cię zabrać do domu, ale przez trzy kolejne tygodnie musisz bardzo na siebie uważać.

Kit ucieszył się, że jeszcze przez jakiś czas nie będzie musiał znosić złości Willa. Być może potem najstarszy syn dziedzica znów wyjedzie do Kingsbridge. Chłopiec nabrał otuchy.

Tymczasem Alec mówił dalej:

– Noś bandaż na głowie, żeby inni chłopcy wiedzieli, że nie wolno ci się wysilać – powiedział cyrulik. – Żadnej piłki, żadnego biegania, żadnych bójek i z całą pewnością żadnej pracy.

– Ale moja mama potrzebuje pieniędzy.

Alec nie przejął się tym szczególnie.

– Będziesz mógł pracować, kiedy całkiem wyzdrowiejesz.

– Nie jestem leniwy.

– Nikt nie uważa, że jesteś leniwy, Kit. Wszyscy wiedzą, że zostałeś kopnięty w głowę przez niebezpiecznego konia. Pójdę teraz porozmawiać z twoją matką, a ty ciesz się ostatnim porankiem w łóżku.

*

Sal tęskniła za synem. Czuła się niemal równie osamotniona jak po śmierci męża. Nie lubiła przebywać w domu sama i nie miała się do kogo odezwać. Wcześniej nie zdawała sobie sprawy, że właściwie całe jej życie kręci się wokół Kita. Czuła nieustanną potrzebę sprawdzania, co się u niego dzieje: czy jest głodny, czy jest mu ciepło, czym się zajmuje, czy nic mu nie grozi. A tymczasem przez ostatnich sześć tygodni zajmowali się nim inni ludzie, po raz pierwszy od jego narodzin.

Ucieszyła się, kiedy Alec Pollock wszedł do jej domu. Wiedziała, że minęło już sześć tygodni, odkąd koń Willa kopnął jej syna. Wstała od kołowrotka.

– Czuje się na tyle dobrze, że może wstać?

– Tak. To mogło się naprawdę źle skończyć, ale właściwie już z tego wyszedł.

– Niech cię Bóg błogosławi, Alec.

– To bystry chłopak, prawda? Mówiłaś, że ma sześć lat?

– Teraz już prawie siedem.

– Jest naprawdę niezwykle rozwinięty jak na swój wiek.

– Też tak uważam, choć pewnie wszystkie matki sądzą, że ich dzieci są wyjątkowe, prawda?

– Bez względu na to, jak jest naprawdę. – Alec roześmiał się. – Tak, zauważyłem to.

– Więc jest już zdrowy.

– Owszem. Chciałbym jednak, żebyś zatrzymała go w domu jeszcze przez trzy tygodnie. Nie pozwalaj mu na żadne niebezpieczne zabawy. Nie wolno mu upaść i uderzyć się w głowę.

– Dopilnuję tego.

– Ale po trzech tygodniach będzie mógł już normalnie pracować.

– Jestem ci ogromnie wdzięczna. Wiesz, że nie mogę ci zapłacić.

– Wyślę rachunek do dziedzica i mam nadzieję, że go przyjmie.

Gdy cyrulik wyszedł, Sal włożyła buty i czapkę i owinęła ramiona kocem. Na zewnątrz wciąż było zimno, choć już nie mroźno.

Na polach zaczynała się wiosenna orka. Ludzie pozdrawiali Sal, gdy szła między domami, a ona odpowiadała wszystkim na pozdrowienia tak samo:

– Idę zabrać Kita z dworu do domu, wreszcie, Bogu niech będą dzięki.

Maszerowała szybko, choć nie musiała się wcale spieszyć. Po prostu nie mogła się już doczekać, kiedy będzie miała syna tylko dla siebie.

Jak zwykle weszła kuchennymi drzwiami i ruszyła po schodach na górę. Kiedy zobaczyła Kita stojącego w sypialni, okrytego poszarpanymi ubraniami, które miał na sobie, gdy wprowadził się do dworu, wybuchła płaczem.

Wciąż łkając, uklękła na podłodze i uściskała go ostrożnie.

– Nie martw się, płacząc z radości – uspokoiła go. Była szczęśliwa, bo syn nie umarł, ale nie chciała mu o tym mówić.

Wzięła się w garść i wstała. Zauważyła, że w pokoju jest Fanny, która stała w milczeniu obok łóżka, uściskała więc także ją.

– Dziękuję, że byłaś taka dobra dla mojego synka – powiedziała.

– Nie mogłabym inaczej, Kit jest cudowny – odparła Fanny.

Chłopiec uściskał mocno przyjaciółkę i pocałował ją w pryszczaty policzek.

– Niedługo wrócę, żeby ci pomagać z kominkami i butami – obiecał.

– Nie spiesz się, najpierw wyzdrowiej.

Sal wzięła syna za rękę i wyszła z pokoju. Tuż za drzwiami stał Will.

Krzyknęła przestraszona, a potem na moment zamarła. Czuła, jak przerażony Kit ściska jej dłoń. W końcu dygnęła w ukłonie, opuszczając wzrok, by nie patrzeć na syna dziedzica, i spróbowała go ominąć.

Zagroził jej przejście.

Kit skulił się ze strachu i próbował się schować za spódnicą matki.

– Nie przyprowadzaj go z powrotem – powiedział Will. – Ten szczeniak do niczego się nie nadaje.

Sal z trudem stłumiła gniew. Czy ten człowiek nie narobił już dość złego? Zabił jej męża i ciężko zranił jej dziecko, a mimo to wciąż chciał ją dręczyć.

– Zrobię to, co każe mi dziedzic – odparła, starając się panować nad głosem.

– Dziedzic chętnie pozbędzie się tego wyskrobka.

– W takim razie pójdziemy sobie stąd. Do widzenia panu.

Will nie usunął się z drogi.

Sal postąpiła krok do przodu i spojrzała mu prosto w twarz. Była prawie tak wysoka jak on i równie barczysta.

– Proszę mnie przepuścić – powiedziała niskim, groźnym głosem, bo już nie potrafiła ukryć wściekłości.

Dostrzegła w jego oczach przeblysk strachu, jakby żałował, że ją zaczepił. Wciąż jej jednak nie przepuszczał, jakby koniecznie chciał sprowokować awanturę.

– Grozisz mi? – spytał. Drwina, którą próbował zawrzeć w tych słowach, nie była całkiem przekonująca.

– Może pan to rozumieć, jak pan chce.

– Kit musi iść do domu, panie Will – odezwała się piskliwym i przerażonym głosem Fanny, która wyszła z sypialni. – Tak powiedział cyrulik.

– Nie wiem, po co mój ojciec w ogóle go tu ściągnął. Nic by się nie stało, gdyby ten gówniarz umarł.

Tego już Sal nie mogła znieść. Życzenie komuś śmierci było strasznym czynem, a Will już przecież omal nie zabił jej syna. Bez zastanowienia wzięła szeroki zamach i uderzyła syna dziedzica pięścią w bok głowy. Była barczysta i silna i uderzeniu towarzyszył przerażający głuchy odgłos.

Will zachwiał się, oszołomiony, a potem krzycząc z bólu, osunął się na podłogę.

Zszokowana Fanny zmartwiała.

Sal, przerażona tym, co zrobiła, wpatrywała się w Willa. Z jego ucha sączyła się krew.

– Boże, wybac mi – wyszeptała.

Syn dziedzica nie próbował wstawać; leżał na podłodze i jęczał.

Kit zaczął płakać.

Sal wzięła go za rękę i poprowadziła obok mężczyzny. Musiała jak najszybciej opuścić ten dom. Zeszli schodami na parter i kierowali się przez kuchnię do wyjścia, nie odzywając się do służących, którzy patrzyli na nich w zdumieniu.

Wyszli tylnymi drzwiami i szybko zmierzali do domu.

*

Po południu Sal została wezwana do dziedzica.

Złamała prawo. Dopuściła się przestępstwa. Co gorsza, była zwykłą wieśniaczką, która zaatakowała szlachcica. Miała naprawdę poważny problem.

Kwestiami ładu i porządku publicznego zajmowali się sędziowie pokoju, mianowani przez lorda namiestnika, przedstawiciela króla w hrabstwie. Nie byli nimi prawnicy, lecz miejscowi posiadacze ziemscy. W mieście takim jak

Kingsbridge było ich co najmniej kilku, ale w wioskach zwykle tylko jeden. W Badfordzie był nim dziedzic Riddick.

W przypadku poważniejszych przestępstw decyzję podejmowało dwóch lub więcej sędziów, a zbrodnie zagrożone karą śmierci rozpatrywał sędzia sądu wyjazdowego. Przy drobniejszych wykroczeniach – jak pijaństwo, włóczęgostwo czy pomniejsze akty przemocy – mógł rozstrzygać tylko jeden sędzia i robił to zazwyczaj w swoim domu.

Dziedzic Riddick miał więc być sędzią i zarazem ławą przysięgłych Sal.

Wiedziała, że zostanie uznana za winną, ale nie miała pojęcia, jaką poniesie karę. Dziedzic mógł ją skazać na dzień zakucia w dyby; musiałaby wtedy przez cały dzień siedzieć na ziemi ze skutymi nogami, co stanowiło przede wszystkim formę upokorzenia.

Karą, której obawiała się najbardziej, była chłosta. Sędziowie stosowali ją dość często, zwłaszcza w wojsku czy marynarce wojennej. Zwykle wymierzano ją publicznie. Przywiązywany do słupa skazaniec był nagi lub półnagi, bo ubranie i tak podczas chłosty zamieniłoby się w strzępy. Używano do niej na ogół kańczuga – bicia z kilku plecionych rzemieni z kamieniami i gwoździami, które szybko rozrywały skórę.

Pijaństwo karano zazwyczaj sześcioma razami, udział w bójce dwunastoma. Za atak na szlachcica mogła dostać nawet dwadzieścia cztery baty, co byłoby prawdziwą męczarnią. W wojsku skazańcy otrzymywali często po sto razów i dla niektórych kończyło się to śmiercią. Kary dla cywilów nie były aż tak okrutne, ale wystarczająco bolesne.

Sal natychmiast udała się do dworu, zabierając ze sobą Kita – nie mogła zostawić go samego. Po drodze zastanawiała się, co powiedzieć na swoją obronę. Will był co najmniej po części odpowiedzialny za to, co się stało, wiedziała jednak, że nie powinna podnosić tego argumentu, bo wtedy zostałaby ukarana nie tylko za pobicie, ale też za obrazę. Szlachcice i arystokraci mogli usprawiedliwiać swoje

uczynki, ale od zwykłych ludzi oczekiwano jedynie skruchy; wszelkie próby obrony doprowadziłyby prawdopodobnie do jeszcze surowszej kary.

Kiedy dotarli do dworu, kamerdyner zaprowadził ich do gabinetu, gdzie za biurkiem siedział dziedzic Riddick. Towarzyszył mu Will, który miał obandażowane ucho. Przy stole obok biurka siedział proboszcz George, z piórem, kałamarzem i księgą. Nikt nie poprosił Sal, by usiadła.

– Will, opowiedz, co się stało – odezwał się dziedzic.

– Ta kobieta stanęła mi na drodze przy drzwiach na piętrze – oznajmił Will.

W pierwszym zdaniu skłamał, ale Sal milczała.

– Powiedziałem jej, żeby się odsunęła – kontynuował. – Wtedy uderzyła mnie w głowę.

Dziedzic spojrzał na Sal.

– Co masz do dodania na swoją obronę?

– Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało – odparła Sal. – Mogę tylko powiedzieć, że to wynik wszystkich tych tragedii, które moja rodzina wycierpiała w ostatnich miesiącach.

– Ale to nie powód, żeby atakować mojego syna.

– Ubzdurałam sobie, że to pan Will jest częściowo odpowiedzialny za śmierć mojego męża i straszliwy wypadek syna. Miałam wrażenie, że wcale mi nie współczuje i że jego zdaniem mój syn nie jest ważny.

– Nie jest ważny? – prychnął Will. – Spójrz tylko na tego pętaka! Jest kompletnie bezwartościowy, więc dlaczego miałbym go żałować? To oczywiste, że nie jest ważny. Wieśniacy i tak mają za dużo dzieci. Nikt by nie płakał, gdyby było o jedno mniej.

– Jego matka by płakała – powiedziała Sal, starając się mówić pokornym tonem.

Dziedzic spojrzał na syna spod zmarszczonych brwi; wydawał się zakłopotany. Był surowym człowiekiem, ale nie tak podłym jak najstarszy syn. Sal widziała, że

Will szkodzi sobie swoimi słowami. Okazywał pogardę dla małego chłopca, za co nawet ojciec nie mógł go szanować.

– Proszę wybaczyć, jaśnie panie – zwróciła się Sal do dziedzica – ale Kit to moje jedyne dziecko.

– I bardzo dobrze! – odparował Will. – Nie potrafisz się zaopiekować nawet nim. Musi szukać jedzenia i dachu nad głową we dworze.

– Przez całe życie nie prosiłam o pomoc parafii, aż do śmierci mojego męża.

– Och, więc to wszystko wina innych ludzi, tak?

Sal spojrzała mu prosto w oczy, ale nie odezwała się ani słowem. Jej milczenie było tak wymowne, że dziedzic musiał coś zrobić.

– No dobrze, myślę, że sytuacja jest jasna – powiedział. – Chyba że któreś z was ma jeszcze coś do dodania.

– Trzeba ją wychłostać – rzucił Will.

Dziedzic skinął głową.

– To odpowiednia kara za atak na szlachcica.

– Nie, proszę! – zareagowała Sal.

– Ta kobieta ostatnio jednak wiele wycierpiała, i to nie z własnej winy – dodał dziedzic.

– Więc co zrobisz? – spytał Will z oburzeniem.

Ojciec odwrócił się do niego.

– Siedź cicho, chłopcze – warknął i przestraszony syn aż drgnął. – Jestem twoim ojcem. Myślisz, że jestem dumny z tego, co zrobiłeś tej prostej chłopskiej rodzinie?

Will był zbyt zszokowany, by się odezwać.

Dziedzic spojrzał na Sal.

– Współczuję ci, Sal Clitheroe, ale nie mogę przymknąć oczu na czyn, którego się dopuściłaś. Jeśli zostaniesz w tej wiosce, otrzymasz karę chłosty. Ale jeśli wyjedziesz, zapomnimy o tej sprawie.

– Mam wyjechać?

– Nie mogę pozwolić, byś mieszkała tu dalej i nie poniosła kary. Ludzie zawsze wskazywaliby na ciebie jako na tę, która uderzyła syna dziedzica i uszło jej to na sucho.

– Dokąd mam iść?

– Nie wiem i nie obchodzi mnie to. Lecz jeśli jutro o wschodzie słońca wciąż tutaj będziesz, dostaniesz trzydzieści sześć batów.

– Ale...

– Nic już nie mów. I tak zostałam potraktowana łagodnie. Wyjdź stąd teraz i wyjedź o świcie z Badfordu.

Sal wstała.

– I pamiętaj, że miałaś cholerne szczęście – dorzucił Will.

Wzięła syna za rękę i wyszła z dworu.

*

Wszyscy w wiosce wiedzieli, że Sal jednym ciosem obaliła Willa Riddicka. Kilka przyjaciółek Sal czekało na nią, gdy wyszła z dworu. Annie Mann spytała, co się stało. Sal czuła, że opowiadanie tej historii będzie dla niej bolesne, więc chciała to zrobić tylko raz. Poprosiła Annie, by powiedziała ludziom, żeby przyszli na farmę Briana Pikestaffa.

Kiedy tam dotarła, Brian czyścił pług po całodziennej orce. Spytała, czy może spotkać się ze wszystkimi w jego stodole. Tak jak przypuszczała, bez wahania się zgodził.

Czekając na przyjaciół, Sal próbowała ochłonać i zebrać myśli. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak będzie od jutra wyglądać jej życie. Dokąd pójdzie? Co będzie robić?

Kiedy już wszyscy, których oczekiwała, zgromadzili się w stodole, opowiedziała im całą historię ze szczegółami. Przeklinali pod nosem, gdy usłyszeli, jak Will życzył Kitowi śmierci; wznosili radosne okrzyki, kiedy opisała, jak

powaliła go na podłogę; i milczeli zszokowani, gdy wyjawiała, że dziedzic skazał ją na wygnanie lub chłostę.

– Jutro wczesnym rankiem muszę stąd odejść – oznajmiła. – Chciałabym tylko, byście się za mnie modlili.

Brian wstał i odmówił modlitwę, w której prosił Boga, by pochylił się nad losem Sal i Kita i miał ich w opiece. Potem zaczęły się pytania. Przyjaciele i znajomi chcieli wiedzieć to, czego sama jeszcze nie wiedziała: co teraz robi.

Brian podszedł do sprawy praktycznie.

– Będziesz musiała odejść tylko z tym, co zdołasz unieść. Resztę twoich rzeczy przechowamy tutaj, w stodole. Kiedy już gdzieś osiadziesz, będziesz mogła przyjechać tu wozem i zabrać wszystko.

Jego troska i dobroć wzruszyły Sal do głębi serca.

– Moja ciotka ma pensjonat w Combe – powiedział Mick Seabrook, zgrzeblarz.
– Tani i czysty.

– Dziękuję, może skorzystam – odparła Sal, choć do Combe były dwa dni drogi, odległość przerażająca dla kogoś, kto prawie nigdy nie opuszczał Badfordu.

– Ale muszę jakoś zarabiać na życie. Nie mogę prosić o środki z funduszu dla biedoty. Można je dostać tylko w tej parafii, w której się urodziło.

– A może kamieniołom w Outhenham? – podsunął Jimmy Mann. – Tam zawsze szukają pracowników.

– A zatrudniają kobiety? – spytała Sal z powątpiewaniem. Nigdy nie była w Outhenham, znała jednak męskie przesady.

– Nie wiem, ale jesteś równie silna jak większość mężczyzn – odparł Jimmy.

– I to im się właśnie nie podoba.

Ludzie chcieli jej pomóc, podsuwali przeróżne pomysły, wszystkie jednak były oparte na przypuszczeniach, więc Sal i jej syn pewnie umarliby z głodu, nim zdołaliby sprawdzić, czy da się je zrealizować. W końcu podziękowała wszystkim i trzymając za rękę Kita, poszła do domu.

Na zewnątrz było już ciemno, lecz bez trudu odnalazła drogę do swojej chaty. Wciąż myślała o tym, że następnego wieczoru będzie w jakimś obcym miejscu.

Po powrocie do domu podgrzała rosół na kolację i kiedy zjedli, położyła Kita do łóżka.

Gdy siedziała przy ogniu, rozmyślając, usłyszała pukanie do drzwi. Do chaty wszedł Ike Clitheroe, stryj Harry'ego, w towarzystwie Jimmy'ego Manna. Jimmy trzymał w obu dłoniach trójkątny kapelusz.

– Przyjaciele zrobili składkę – powiedział Ike. – Nie jest tego zbyt dużo.

Jimmy pokazał jej kapelusz z małą stertą pensów i kilku szylingów. Ike miał rację, nie było tego zbyt dużo, ale te pieniądze mogły jej pozwolić przeżyć kilka trudnych dni po opuszczeniu wioski. Bezdomni musieli kupować jedzenie w gospodach, gdzie nie było tanio.

Jimmy wysypał monety na stół, wąski strumyk brązu i srebra. Sal wiedziała, jak trudno biednym ludziom pozbywać się pieniędzy.

– Nie potrafię nawet wyrazić... – Wzruszenie złapało ją za gardło, musiała więc chwilę odczekać, zanim mogła mówić dalej. – Nie potrafię wyrazić, jaka jestem wdzięczna, że mam tak dobrych przyjaciół. – I jak mi przykro, że muszę ich wszystkich zostawić, dodała w myślach.

– Niech cię Bóg błogosławi, Sal – powiedział Ike.

– Ciebie też, i ciebie, Jimmy.

Kiedy poszli, położyła się do łóżka, ale przez długi czas nie mogła zasnąć. Ludzie mówili „Niech cię Bóg błogosławi”, lecz czasami Bóg tego nie robił, a ostatnio czuła się wręcz przeklęta. Bóg zesłał jej dobrych przyjaciół, ale też potężnych wrogów.

Pomyślała o ciotce Sarze. Wyjechała z wioski dobrowolnie i przeniosła się do Kingsbridge, by sprzedawać na ulicy teksty ballad. Sal zawsze ją podziwiała. Może i jej życie zmieni się na lepsze, kiedy stąd wyjedzie. Zawsze chciała opuścić rodzinną wioskę, dopóki nie poznała Harry'ego.

Ciotka Sara przeniosła się do Kingsbridge. Może było to również odpowiednie miejsce dla niej?

Im dłużej Sal o tym myślała, tym lepsze wydawało jej się to rozwiązanie. Może tam dotrzeć w pół dnia, choć z Kitem pewnie potrwa to dłużej. Poza tym знаła dobrze jednego z mieszkańców miasta: Amosa Barrowfielda. Być może będzie nadal wytwarzać dla niego przędzę. Kto wie, może nawet pomoże jej znaleźć pokój, w którym mogłaby zamieszkać z Kitem.

Poczuła się nieco lepiej, gdy dojrzała te możliwości, i wyczerpana, w końcu zapadła w sen. Obudziła się przed świtem. Nie wiedząc do końca, która jest godzina, poruszała się po domu w nikłym blasku żaru, który dogasał w kominku. Przygotowała kilka rzeczy, które zamierzała wziąć.

Musiała zabrać kołowrotek matki. Był ciężki jak na dziesięciomilową drogę, ale na razie tylko on mógł jej zapewnić pracę i środki do życia.

Ruszała w podróż w swoich jedynych ubraniach: sukni, butach i czapce. Żałowała, że nie ma butów dla Kita, ale zanim poszedł do pracy we dworze, chodził boso. Płaszcz ojca był na niego o wiele za duży, co ją cieszyło, bo oznaczało to, że syn nie wyrośnie z niego jeszcze przez ładnych parę lat.

Zamierzała też zabrać kociołek, nóż kuchenny i tę odrobinę jedzenia, która jej została. Zawahała się na moment przy Biblii ojca, postanowiła jednak ją zostawić. Kit nie mógł karmić się książką.

Zastanawiała się, czy kiedyś będzie miała dość pieniędzy, by wynająć wóz i przewieźć meble. Nie było ich wiele – dwa łóżka, stół, dwa stołki i ławka – ale wszystkie zostały zrobione przez Harry’ego i uwielbiała je.

Kiedy na niebie za polami na wschodzie pojawiło się pierwsze pasmo szarości, obudziła syna i zrobiła owsiankę. Po śniadaniu umyła kociołek, miski i łyżki, po czym związała wszystko kawałkiem starego sznurka. Schowała jedzenie do worka i dała go do niesienia Kitowi. Kiedy wyszli na zewnątrz i Sal zamykała drzwi, była pewna, że nie otworzy ich nigdy więcej.

Najpierw poszli na cmentarz przy kościele Świętego Mateusza i zatrzymali się przy prostym drewnianym krzyżu ze starannie wymalowanym białym napisem *Harry Clitheroe*.

– Przyklęknijmy tu na chwilę – powiedziała Sal.

Kit wydawał się zdziwiony, ale o nic nie pytał i ukląkł obok matki przy grobie.

Sal myślała o mężu; o jego szczupłym ciele, upartości, miłości do niej i trosce o syna. Była pewna, że Harry jest w niebie. Przypominała sobie czas zalotów: najpierw niewinny flirt, potem nieśmiałe pocałunki i trzymanie się za ręce, sekretne schadzki w lesie po niedzielnej mszy, gdy nie mogli się od siebie oderwać, i w końcu świadomość, że chcą spędzić życie razem. Przypomniała sobie również, jak umierał w męczarniach, i zastanawiała się, czy takie cierpienia mogą być wolą Boga.

Potem głośno odmówiła modlitwę własnymi słowami, jak metodyści na swoich spotkaniach. Prosiła Harry'ego, by czuwał nad nią i ich dzieckiem, i błagała Boga, by pomógł jej w opiece nad Kitem i wybaczył grzech, jakim było uderzenie Willa. Nie potrafiła się zdobyć na modlitwę o wyzdrowienie dla obolałego syna dziedzica. Na koniec poprosiła, by jej cierpienia i kłopoty nie trwały już zbyt długo, po czym powiedziała „Amen” i syn to za nią powtórzył.

Wstali i wyszli z cmentarza.

– Dokąd teraz pójdziemy? – spytał chłopiec.

– Do Kingsbridge – odparła Sal.

*

Przez kilka ostatnich dni Amos i Roger próbowali przystosować maszynę przywiezioną z Combe do przedzenia wełny.

Pracowali w pokoju na tyłach magazynu Amosa, za zamkniętymi drzwiami. Nie chcieli, by wieści o nowej przędzarce rozniosły się po mieście, nim będą gotowi.

Do prób używali angielskiej wełny, która była mocniejsza niż ta importowana z Hiszpanii czy Irlandii i jej długie włókna rzadziej się zrywały. Roger przywiązał luźne włókna do każdego z ośmiu wrzecion, a potem przeciągnął je przez zacisk, który napinał każde podczas przędzenia. Gdy skończył, Amos uruchomił maszynę.

Ręczne przędzenie było sztuką, której należało się nauczyć, poświęcając temu sporo czasu i cierpliwości. Obsługiwanie maszyny było natomiast bardzo proste. Amos powoli obracał prawą ręką wielkie koło, wprowadzając w ruch wrzeciona, a te skręcały włókna w nici. Potem zatrzymał koło i ostrożnie przesunął do przodu dźwignię, by doprowadzić do wrzecion kolejną porcję wełny.

– Działa! – stwierdził z radością.

– U Franklanda obracali koło znacznie szybciej – zauważył Roger.

Lecz gdy Amos zwiększył tempo, nici zaczęły pękać.

– Tak jak się obawialiśmy. – Roger pokiwał głową.

– Możemy coś z tym zrobić?

– Mam parę pomysłów.

Przez kilka kolejnych dni Roger próbował różnych rozwiązań. Jednym ze skuteczniejszych było obciążanie nici, by pozostawały napięte podczas każdego etapu przędzenia. Potem musiał sprawdzić, jak duże powinno być obciążenie; robił to metodą prób i błędów. Dziś, po kolejnym frustrującym dniu prób, zanim matka Amosa zawołała ich na obiad, w końcu się udało.

*

Sal doskonale pamiętała Kingsbridge. Co prawda ostatnio odwiedziła to miasto przed dziesięciu laty, ale było to dla niej niezwykle doświadczenie i każdy szczegół wrył się jej w pamięć. Dziś zobaczyła, jak bardzo Kingsbridge się zmieniło.

Schodząc ze wzgórz na północy, widziała znajome części krajobrazu: katedrę, giełdę wełnianą z kopulastym dachem, rzekę z charakterystycznym podwójnym mostem. Miasto wydawało się większe, rozrosło się zwłaszcza na południowy zachód; stało tam teraz więcej domów, niż zapamiętała. Dostrzegła też coś zupełnie

nowego. Po drugiej stronie rzeki, za mostem, gdzie dziesięć lat temu rozciągały się pola uprawne, teraz stało sześć wysokich budynków z rzędami wielkich okien. Przypomniała sobie, że słyszała kiedyś o zakładach, w których wytwarzano tkaniny. Były wąskie i miały wysokie okna, by robotnicy dobrze widzieli, nad czym pracują. Woda była potrzebna do filcowania lub spilśniania oraz farbowania materiału, a silny nurt napędzał maszyny. Pomyślała, że takie zakłady musiały być w Kingsbridge już wcześniej, bo miasto zawsze uchodziło za centrum tkactwa. Tylko że kiedyś pewnie były małe i rozproszone. Teraz były znacznie większe i stały blisko siebie, tworząc prawdziwą dzielnicę przemysłową.

– Jesteśmy już prawie na miejscu, Kit – powiedziała.

Chłopiec był wyczerpany, niemal słaniał się na nogach. Wzięłaby go na barana, gdyby nie niosła już kołowrotka i kociołka.

Gdy tylko znaleźli się w mieście, Sal spytała kobietę o miłej powierzchowności, gdzie mieszka Amos Barrowfield, a ta wskazała jej drogę do domu stojącego w pobliżu katedry.

Kiedy tam dotarli i zapukali do drzwi, otworzyła im służąca.

– Jestem prządką Amosa Barrowfielda – powiedziała Sal. – Chciałabym z nim porozmawiać, jeśli to możliwe.

Służąca była nieufna.

– Jak pani się nazywa?

– Sal Clitheroe.

– Och, słyszeliśmy o pani – rzuciła kobieta i spojrzała na Kita. – To ten mały chłopiec, którego kopnął koń?

– Tak, to Kit.

– Jestem pewna, że Amos zechce się z wami spotkać. Wejdźcie. Jestem Ellen. – Wprowadziła ich do wnętrza domu. – Właśnie kończą obiad. Przynieść może herbaty?

– Byłoby cudownie – ucieszyła się Sal.

Ellen zaprowadziła ich do jadalni. Amos siedział przy stole z Rogerem Riddickiem. Obaj byli zdumieni na widok Sal i Kita.

Sal dygnęła.

– Zostałam wygnana z Badfordu – oznajmiła.

– Za co? – spytał Roger.

Wyraźnie się zawstydziała.

– Przykro mi to przyznać, paniczku Roger, ale uderzyłam pana brata, Willa, w głowę i powaliłam go na podłogę.

W pokoju na moment zapadła cisza, a potem Roger parsknął śmiechem. Amos dołączył do niego sekundę później.

– Brawo! – powiedział Roger. – Już dawno ktoś powinien był mu porządnie przywalić.

– Może to rzeczywiście śmieszne, ale zostałam bez domu – odezwała się Sal, kiedy przestali się śmiać. – Panie Barrowfield, mam nadzieję, że jeśli znajdę jakąś kwaterę w Kingsbridge, zechce pan, bym dalej dla pana pracowała.

– Oczywiście, że zechcę! – zapewnił ją Amos.

Kamień spadł z serca Sal.

– Bardzo chętnie będę kupował twoją przędzę – dodał Amos. Zawahał się, po czym dodał: – Ale mam lepszy pomysł. Być może będę mógł zaoferować ci pracę, na której zarobisz trochę więcej niż na ręcznym przędzeniu.

– Co to by była za praca?

Amos wstał.

– Muszę ci pokazać – powiedział. – Chodź do magazynu. Roger i ja mamy nową maszynę.

CZEŚĆ II
Bunt kobiet

1795

ROZDZIAŁ 11

Sal i Kit pracowali dla Amosa już od ponad dwóch lat. W tym czasie miejsce ich pracy się zmieniło. Firma była już tak duża, że nie mieściła się w magazynie za domem Amosa; miał teraz sześć przędzarek i halę do filcowania. Wynajął mały budynek nad rzeką, w północno-zachodniej części Kingsbridge, gdzie nurt był na tyle silny, by mógł poruszać młotki filcujące, które kurczyły powierzchnię tkaniny i pogrubiały ją.

Pracowali od piątej rano do siódmej wieczorem z wyjątkiem sobót – błogosławione soboty – gdy kończyli pracę o piątej po południu. Dzieci były nieustannie zmęczone. Mimo to żyło im się lepiej niż wcześniej. Matka Kita miała pieniądze i mieszkali w ciepłym domu z prawdziwym kominem i – co najważniejsze – uciekli od okrutnika z Badfordu, który zabił jego ojca. Chłopiec miał nadzieję, że już nigdy nie zamieszka na wsi.

Wojna zmieniała jednak wszystko – powoli i stopniowo – na gorsze. W wieku dziewięciu lat Kit rozumiał już, jak działa pieniądź, i wiedział, że ze względu na podatki wojenne wszystko podrożało, a tymczasem robotnicy zarabiali tyle samo. Chleb nie był opodatkowany, ale zdrożał z powodu kiepskich zbiorów. Przez jakiś czas Sal, gdy nauczyła się obsługiwać przędzarkę, mogła sobie pozwolić na wołowinę, herbatę z cukrem i ciasto, teraz jednak jedli bekon i pili słabe piwo. Mimo wszystko było to lepsze życie niż na wsi.

Najlepszą przyjaciółką Kita była dziewczynka o imieniu Sue, jego rówieśniczka, która również straciła ojca. Pracowała z matką, Joanie, na przędzarce tuż obok Sal w Zakładzie Włókienniczym Barrowfielda.

Dzisiejszy dzień był wyjątkowy. Wszyscy pracownicy zrozumieli to, gdy tylko weszli do zakładu i zobaczyli, że na parterze obok maszyny do filcowania stoi coś

wielkości łóżka z baldachimem albo powozu, przykryte brezentem. Przywieziono to zapewne poprzedniego dnia wieczorem, gdy rozeszli się już do domów.

Rozmawiali o tym przez całą półgodzinną przerwę obiadową, a matka Kita stwierdziła, że to zapewne jakaś nowa maszyna, choć nikt nie widział jeszcze tak wielkiej maszyny.

Po południu pojawił się przyjaciel Amosa Barrowfielda, Roger Riddick. Kit był pewien, że nigdy nie zapomni życzliwości, jaką najmłodszy syn dziedzica okazał mu w Badfordzie. Pamiętał również, że to właśnie Roger przystosował pierwszą przędzarkę do przetwarzania wełny. Teraz Amos miał sześć takich maszyn i planował też zakup kolejnych, dopóki nie rozpoczęła się wojna, która wyhamowała produkcję.

Amos poprosił robotników, by zakończyli pracę pół godziny wcześniej i zebrali się na parterze, obok tajemniczego obiektu. Kazał też zatrzymać maszynę do filcowania, bo jej stukot i pobrzękiwanie całkiem go zagłuszały. Potem powiedział:

– Niedawno pan Shiplap z Combe poprosił mnie o pięćset jardów tkaniny z wełny i lnu.

Nawet Kit wiedział, że to duże zamówienie. Wszyscy skwitowali słowa właściciela zakładu radosnymi okrzykami.

– Wyceniłem wartość tego zamówienia na pięćdziesiąt pięć funtów – mówił dalej Amos – i byłem gotów zejść do pięćdziesięciu. Ale pan Shiplap zaproponował mi trzydzieści pięć i powiedział, że zna sukiennika z Kingsbridge, który zgodzi się na taką kwotę. A ja wiem, że sukiennik mógłby zarobić na takim zamówieniu tylko wtedy, gdyby obniżył stawki pracownikom.

Wśród zgromadzonych poniosł się gniewny pomruk. Mężczyźni i kobiety otaczający Kita wydawali się zaniepokojeni i niezadowoleni. Nie lubili, gdy ktoś mówił o obniżeniu stawek.

– Więc odmówiłem mu – dodał Amos.

Pracownicy odetchnęli z ulgą.

– Nie lubię rezygnować z zamówień, bo nie dostajemy ich tyle co kiedyś i jeśli sprawy nadal będą szły w kierunku, w jakim idą, niektórzy z was będą musieli odejść.

Kit zaczął się martwić. Wiedział, że żaden z sukienników w Kingsbridge nie szuka teraz pracowników. Słyszał, jak matka mówiła, że właściciele zakładów włókienniczych nie przyjmują nowych ludzi na miejsce tych, którzy odeszli, bo nie wiedzą, co przyniesie przyszłość ani jak długo potrwa wojna. Nie tylko Amos stał przed trudnymi wyborami.

– Ale znalazłem rozwiązanie – kontynuował. – Wiem, jak zrealizować zamówienie pana Shiplapa, nie obniżając stawek ani nie zwalniając ludzi.

W sali zapadła cisza. Kit wyczuwał, że pracownicy są podejrzliwi i nie wiedzą, czy wierzyć pracodawcy.

Amos i Roger ściągnęli brezentowe płachty okrywające tajemniczą rzecz i zrzucili je na podłogę. Kiedy odsłonili całość, Kit nadal nie miał pojęcia, na co patrzy. Nigdy nie widział czegoś podobnego.

Zorientował się, że inni również. Wszyscy wymieniali pełne zdumienia uwagi i dzielili się przypuszczeniami.

Głównym elementem urządzenia było osiem metalowych wałków ułożonych na kształt piramidy. Przypominało to Kitowi stertę rur wodociągowych, które widział kiedyś na High Street, lecz tutaj czarne cylindry były nabite gwoździami. Całość umocowano na solidnej dębowej podstawie z krótkimi grubymi nogami.

Z pewnością była to jakaś maszyna, ale do czego służyła?

Amos odpowiedział na to niewypowiedziane pytanie.

– Oto rozwiązanie naszego problemu. Zgrzeblarka.

Kit wiedział, czym jest zgrzeblenie. Pamiętał z Badfordu Micka Seabrooka, zgrzeblarza, który używał szczotek z żelaznymi zębami, i teraz chłopiec skojarzył, że każdy wałek owinięty jest skórą nabijaną gwoździami, które przypominały takie żelazne zęby.

– Takich maszyn używa się już od dłuższego czasu, ale dopiero w ostatnich latach stały się naprawdę popularne – wyjaśnił Amos. – A to jest najnowocześniejsza wersja. Strzyżę wprowadza się między pierwszą parę wałków i gwoździe rozplątują wełnę i prostują włókna.

– Zgrzeblarz musi to robić wiele razy, przez cały dzień – odezwał się Kit.

Robotnicy parsknęli śmiechem, bo w ich imieniu przemówił mały chłopiec.

– Dzieciak ma rację – powiedziała po chwili Joanie.

– Racja – zgodził się z nią Amos. – I dlatego jest tutaj aż tyle wałków. Jedno przeciągnięcie z pewnością nie wystarczy. Więc strzyża przechodzi między drugą parą rolek, na których zębów jest więcej i są umieszczone gęściej, a potem między trzecią i czwartą. Każda para dokładniej rozczesuje i czyści strzyżę, prostując przy tym włókna.

– Tę maszynę zbudowano z myślą o bawełnie, a wełna jest delikatniejsza – dodał Roger. – Dlatego zmodyfikowałem trochę żelazne zęby, przytępiłem je i zwiększyłem odległość między górnymi i dolnymi rolkami, żeby proces był łagodniejszy.

– Wypróbowaliśmy ją i wiemy, że działa – dopowiedział Amos.

– A kto będzie obracał tymi wałkami? – spytała Sal.

– Nikt – odparł Amos. – Podobnie jak maszynę do filcowania, zgrzeblarkę będzie napędzał silny nurt rzeki, którego moc będzie przekierowana na koło młyńskie, a z niego za pośrednictwem trybów i łańcuchów do wałków. Do obsługi wystarczy jeden człowiek, który będzie pilnował mechanizmu i w razie potrzeby wprowadzi drobne poprawki.

– A co będą robić zgrzeblarze? – spytała Joanie.

Kit pomyślał, że to celna uwaga: Mick i inni zgrzeblarze staną się niepotrzebni, jeśli ich pracę przejmą maszyny napędzane wodą.

Amos najwyraźniej był przygotowany na to pytanie.

– Nie będę was okłamywał – zaczął. – Wszyscy mnie znacie: nie chcę, żeby ludzie tracili pracę. Ale stoimy przed wyborem. Mógłbym odesłać tę maszynę tam,

skąd ją przywieziono, zapomnieć o zamówieniu pana Shiplapa i powiedzieć połowie z was, żeby tu jutro nie wracali, bo nie mam dla nich pracy. Albo mógłbym zatrzymać wszystkich, ale obniżyć stawki. Trzecia możliwość jest taka: możemy utrzymać stawki na tym samym poziomie, zrealizować zamówienie pana Shiplapa i zatrzymać was wszystkich w pracy... nawet jeśli będziemy używać zgrzeblarki.

– Mógłby pan dorzucić własne pieniądze i niczego nie zmieniać – powiedziała wyzywająco Joanie.

– Nie mam aż tyle środków – odparł spokojnie Amos. – Wciąż spłacam długi, które trzy lata temu zostawił mi ojciec. A wiecie, jak w nie wpadł? – Teraz w jego głosie słyhać było tłumione emocje. – Bo prowadził firmę tak, że ponosiła straty. Mogę was zapewnić, że ja nigdy na to nie pozwolę. Nigdy.

– Słyszałam, że te maszyny nie zgrzeblą, jak należy – odezwała się jakaś kobieta.

Wśród zgromadzonych podniosły się głosy poparcia.

– Wygląda jak jakiś piekielny wynalazek – dodała inna. – Same gwoździe.

Kit już słyhał, jak ludzie podobnie krytykowali różne urządzenia. Nie rozumieli, jak działają te maszyny, mówili więc, że w środku siedzi pewnie jakiś czart, który je napędza. Chłopiec rozumiał maszyny i wiedział, że w środku nie ma diabłów.

Robotnicy umilkli, wyraźnie niezadowoleni, i wtedy przemówiła matka Kita:

– Nie podoba mi się ta maszyna. I nie chcę, żeby zgrzeblarze tracili pracę. – Spojrzała na pozostałych pracowników, głównie na kobiety. – Ale ufam panu Barrowfieldowi. Jeśli mówi, że nie mamy wyboru, to ja w to wierzę. Przykro mi, Joanie. Musimy się przyzwyczaić do zgrzeblarki.

Amos milczał.

Robotnicy spoglądali po sobie i wymieniali półgłosem komentarze. Byli niezadowoleni, ale nie rozgniewani. Wyglądali raczej na zrezygnowanych. Powoli zaczęli się rozchodzić; pogrążeni w myślach, mówili innym cicho „dobranoc”.

Sal, Kit, Joanie i Sue wyszli razem i powlekli się w stronę domu. W ciągu dnia, gdy pracowali w zakładzie, spadł deszcz i teraz promienie zachodzącego słońca odbijały się w kałużach. Przechodząc przez rynek, minęli mężczyznę, który chodził z płomieniem od latarni do latarni. Na środku rynku majaczyły w półmroku budzące grozę urządzenia: szubienica, dyby i pręgierz w kształcie krzyża, do którego przywiązywano skazanych na chłostę, z rękami związanymi nad głową. Na drewnie widniały ciemne plamy zakrzepłej krwi. Kit starał się na to nie patrzeć, bo ten widok zawsze go przerażał.

Kiedy minęli katedrę, zaczęły bić dzwony. W poniedziałkowe wieczory odbywały się ćwiczenia dzwonników. Kit wiedział, że w katedrze jest siedem dzwonów: ten z najwyższym tonem, numer 1, nazywano sopranowym, a z najniższym, numer 7, tenorowym. Jak zwykle ćwiczenia zaczynało od prostego przejścia z tonu najwyższego do najniższego, 1, 2, 3, 4, 5, 6 i 7. Potem wprowadzano bardziej skomplikowane układy. Kita interesował sposób, w jaki tworzone melodie, zmieniając kolejność dzwonów. Było w tym coś satysfakcjonująco logicznego.

Sal wynajmowała dom wspólnie z Joanie i jej rodziną w taniej okolicy na północnym zachodzie miasta. Na parterze z tyłu domu znajdowała się kuchnia, gdzie wszyscy gotowali i jedli. Frontowy pokój zajmował Jarge, brat Joanie, pięć lat od niej młodszy. Był tkaczem w zakładzie Hornbeama, a także dzwonnikiem; to właśnie od niego Kit dowiedział się wielu ciekawych rzeczy o dzwonach.

Na piętrze były dwa pokoje. Joanie i jej córka, Sue, spały razem w tym od frontu, a Sal i Kit z tyłu budynku. W większości biednych rodzin w jednym łóżku sypiało po kilka osób, by było im cieplej i by zaoszczędzić w ten sposób na drewnie opałowym lub węgla.

W niskim pokoju na poddaszu mieszkała stara i schorowana ciotka Joanie, Dottie Castle, która zarabiała na życie cerowaniem skarpetek i łataniem spodni.

Gdy tylko wrócili do domu, Kit położył się na łóżku, które dzielił z matką – tym dużym, przywiezionym z Badfordu. Poczul, jak mama zdejmuje mu buty i przykrywa go kocem, i zapadł w sen.

Sal obudziła go po jakimś czasie i sprowadziła na parter na kolację. Jedli bekon smażony z cebulą i chleb ze smalcem. Wszyscy byli głodni, więc jedli szybko. Na koniec Joanie wytarła patelnię kawałkiem chleba i podzieliła go między dzieci.

Zaraz po kolacji dzieci położyły się do łóżek. Kit zasnął niemal natychmiast.

*

Sal umyła twarz, rozczesała włosy i związała je starą czerwoną wstążką. Wyszła na strych i poprosiła ciotkę Dottie, by przez jakieś dwie godziny popilnowała dzieci.

– Jeśli się zbudzą, daj im po kromce chleba – powiedziała. – Sama też trochę zjedz, jeśli jesteś głodna.

– Nie, dziękuję, kochana. Mnie niewiele trzeba, przecież siedzę tu całymi dniami. Wam przyda się bardziej.

– Jak uważasz.

Zajrzała do Kita pogrążonego w głębokim śnie. Obok łóżka leżały tabliczka i gwóźdź. Sal co wieczór ćwiczyła pisanie, kopiując całe ustępy z Biblii, jej jedynej książki. Była w tym coraz lepsza. W niedzielę uczyła pisać Kita, ale w pozostałe dni był na to zbyt zmęczony.

Pocałowała syna w czoło i przeszła do drugiego pokoju. Joanie wkładała właśnie kapelusz z kwiatami, który własnoręcznie uszyła. Pocałowała córkę, która również mocno spała, po czym obie kobiety wyszły z domu.

Zeszły do centrum Main Street. Panował tu spory ruch; ludzie wychodzili z domów, by szukać wieczornych rozrywek, towarzystwa i być może miłości. Sal zrezygnowała z miłości. Była pewna, że brat Joanie, Jarge, od razu by się z nią ożenił, ale zniechęciła go do tego. Kochała Harry’ego i po tym, jak go straciła, nie chciałyby ponownie przeżywać tego bólu.

Dotarły do dużej gospody U Bella z wjazdem dla powozów, prowadzącym na dziedziniec i do stajni. Na wejściowym łuku wisiał dzwonek, w który uderzano, by ostrzec przechodniów, że z bramy wyjedzie dyliżans. Jeszcze niedawno używano

go również do wzywania ludzi na przedstawienia, ale teraz sztuki wystawiano w teatrze.

W sali gospody stał rząd beczek przywodzących na myśl barykadę. Było tu głośno od rozmów i śmiechów, a w powietrzu unosił się dym z fajek. Dzwonnicy pojawili się wcześniej i teraz siedzieli jak zwykle przy stole obok kominka, z podniszczonymi kapeluszami na głowach i glinianymi kuflami w dłoniach. Każdy dostawał za dzwonienie szylinga, więc w poniedziałkowy wieczór zawsze mieli pieniądze na piwo.

Sal i Joanie poprosiły barmana o dwa kufle piwa i dowiedziały się, że cena wzrosła z trzech do czterech pensów.

– Tak samo jak chleb – wytłumaczył mężczyzna. – I z tego samego powodu: pszenica drożeje.

Gdy usiadły przy stole dzwonników, Jarge spojrział na nie ponuro.

– Rozmawiamy o nowej maszynie Barrowfielda – powiedział.

Sal pociągnęła długi łyk piwa. Nie lubiła się upijać, a poza tym nigdy nie było jej stać na więcej niż jeden kufel, uwielbiała jednak słodowy smak napoju i przyjemne ciepło, którym ją wypełniał.

– O zgrzeblarce – sprecyzowała.

– O maszynie, która wpędzi w głód ciężko pracujących ludzi – prychnął Jarge. – Dawno temu, kiedy w zakładach włókienniczych na zachodzie Anglii próbowano wprowadzić takie urządzenia, ludzie zaczęli się buntować, doszło do zamieszek i właściciele ustąpili. To samo powinno się stać teraz.

Sal pokręciła głową.

– Mów, co chcesz, ale mnie ta maszyna uratowała. Gdyby nie ona, Amos Barrowfield odesłałby połowę z nas do domów, bo ceny tkanin są bardzo niskie, ale dzięki zgrzeblarce może obniżyć koszty produkcji, więc nadal będę pracować przy przędzarce.

Jarge'owi nie podobała się ta argumentacja, ale podobała mu się Sal, więc pohamował złość.

– A ci, co dotąd zajmowali się ręcznym zgrzebleniem? – spytał. – Co byś im powiedziała?

– Nie wiem, Jarge. Ale wiem, że byłam bezdomna i nie miałam z czego żyć, dopóki nie zaczęłam obsługiwać pierwszej przędzarki Barrowfielda, i pewnie straciłabym dziś tę pracę, gdyby nie kupił zgrzeblarki.

Głos zabrał Alf Nash. Nie był dzwonnikiem, ale często do nich dołączał, a Sal przypuszczała, że podkochuje się w Joanie. Siedział teraz obok niej. Był mleczarzem, a że chodził w ubraniach, na które często wylewało się mleko, roztaczał wokół siebie niezbyt przyjemny zapach. Sal nie przypuszczała, by Joanie odwzajemniała jego uczucia.

– Sal ma rację, Jarge – przyznał.

– Trudno się z tym spierać – powiedział Sime Jackson, tkacz, który pracował dla Spade'a, jeden z rozsądniejszych mężczyzn przy tym stole. – Maszyny niektórym pomagają, a niektórym zabierają pracę. Skąd możemy wiedzieć, co jest lepsze?

– W tym cały problem – rzuciła Sal. – Znamy pytania, ale nie znamy odpowiedzi. Nie powinniśmy więc wypowiadać się na ten temat.

– Nauka nie jest dla takich jak my – wtrącił Alf. – Nie pojedziemy na studia do Oksfordu.

– Mylisz się, Alf. – Spade, mistrz dzwonów, dyrygujący pozostałymi, odezwał się po raz pierwszy, odkąd dołączyły do nich kobiety. – W całym kraju zwykli robotnicy uczą się, jeśli tylko mogą. Zapisują się do bibliotek i klubów wymiany książek, towarzystw muzycznych i chórów. Chodzą na spotkania klubów dyskusyjnych, rozmawiają o Biblii albo o polityce. Londyńskie Towarzystwo Korespondencyjne ma setki oddziałów.

Sal bardzo spodobało się to, o czym mówił.

– Powinniśmy robić to samo: czytać, uczyć się, dyskutować – powiedziała. – Czym jest to Towarzystwo Korespondencyjne?

– Założono je, by dyskutować o reformie parlamentu – odparł Spade. – O prawie głosu dla zwykłych ludzi i podobnych rzeczach. Ma oddziały w całym kraju.

– Ale nie w Kingsbridge – zauważył Jarge.

– A powinno – wtrąciła Sal. – Właśnie tego potrzebujemy.

– Słyszałem o Londyńskim Towarzystwie Korespondencyjnym – dołączył do rozmowy inny dzwonnik, Jeremiahs Hiscock, właściciel drukarni przy Main Street.

– Mój brat w Londynie drukuje dla nich materiały. Lubi ich. Mówi, że decydują o wszystkim większością głosów. Na ich spotkaniach nie ma różnicy między arystokratą a robotnikiem.

– A więc to możliwe! – zdumiał się Jarge.

– No, nie wiem – mruknął Sime Jackson z niepokojem. – Będą nas nazywać rewolucjonistami.

– Londyńskie Towarzystwo Korespondencyjne nie chce rewolucji, tylko reform – wyjaśnił mu Spade.

– Chwileczkę – odezwał się Alf. – Czy niektórych członków Londyńskiego Towarzystwa nie sądzono za zdradę przed ostatnimi świętami Bożego Narodzenia?

– Trzydziestu – przyznał Spade, który namiętnie czytał gazety. – Oskarżono ich o spiskowanie przeciwko królowi i parlamentowi. Dowodem miało być to, że prowadzili kampanię na rzecz reformy parlamentu. Wygląda na to, że w dzisiejszych czasach mówiąc, że nasz rząd nie jest doskonały, dopuszczasz się zbrodni.

– Nie pamiętam, jak to się skończyło, powieszono ich? – spytał Alf.

– Postawili się i wezwali do sądu premiera Williama Pitta. Musiał przyznać, że jakiś czas temu sam domagał się reformy parlamentu. Sprawa skończyła się kompromitacją premiera i sędzia oddalił wszystkie zarzuty.

To jednak nie uspokoiło Sime'a.

– Mimo wszystko nie chciałbym być sądzony za zdradę – oświadczył. – Sąd w Londynie może podjąć taką decyzję, a sąd w Kingsbridge całkiem inną.

– Nie obchodzą mnie sądy – rzucił Jarge. – Jestem gotowy zaryzykować.

– Jesteś odważny jak lew, Jarge – zwróciła się do niego Sal – ale musimy być nie tylko odważni, ale też sprytni.

– Zgadzam się z Sal – powiedział Spade. – Załóżcie grupę, owszem, ale nie nazywajcie jej oddziałem Londyńskiego Towarzystwa, bo wtedy sami prosiłibyście się o kłopoty. Nazwijcie ją... Towarzystwem Sokratycznym, jeśli nie macie nic przeciwko.

– Nie mam pojęcia, co to znaczy – przyznał Jarge.

– Sokrates był greckim filozofem, który uważał, że dzięki dyskusjom i argumentom można dojść do prawdy. Wiem to od kanonika Midwintera. Twierdzi, że jestem jak Sokrates, bo lubię dyskutować.

– Poznałem kiedyś greckiego marynarza – oznajmił Jarge. – Pił jak smok, ale nie był żadnym cholernym filozofem.

Wszyscy parsknęli śmiechem.

– Możecie się nazwać, jak chcecie, byle to nie brzmiało wywrotowo – dodał Spade. – Możecie zacząć od spotkania, które będzie dotyczyło czegoś innego, choćby nauki, na przykład teorii Isaaca Newtona. Nie róbcie z tego tajemnicy, powiadomcie „Kingsbridge Gazette”. Stwórzcie komitet założycielski i poproście kanonika Midwintera, żeby został jego przewodniczącym. Róbcie wszystko tak, by wyglądało bardzo przyzwoicie, przynajmniej na początku.

– Musimy to zrobić! – powiedziała podekscytowana Sal.

– Ale kto zechce opowiadać o nauce kilku robotnikom z Kingsbridge? – spytał Jeremiah Hiscock.

Wszyscy przyznali, że to mało prawdopodobne. Ale Sal miała pomysł.

– Znam kogoś, kto studiował w Oksfordzie – oznajmiła.

Wszyscy spojrzeli na nią sceptycznie – z wyjątkiem Joanie.

– Mówisz o Rogerze Riddicku? – spytała z uśmiechem.

– Tak. Jest przyjacielem Amosa Barrowfielda i często bywa w naszym zakładzie.

– Możesz go o to poprosić? – zwrócił się Spade do Sal.

– Oczywiście. Jako pierwsza pracowałam na jego przedzarce i ciągle ją obsługuję. Zawsze przystaje, żeby spytać, czy wszystko u mnie w porządku.

– Nie uzna tego za zuchwalstwo?

– Nie sędzę. Nie jest taki jak jego brat Will.

– Więc spytasz go?

– Gdy tylko go zobaczę.

Wkrótce potem zakończyli spotkanie.

– Jesteś tego pewna? – spytała Joanie, gdy obie wracały do domu.

– Czego?

– Że chcesz zakładać to towarzystwo.

– Tak, nie mogę się już doczekać – wyznała Sal.

– Dlaczego?

– Bo na razie tylko pracuję, śpię i opiekuję się synem, a nie chcę, żeby tak wyglądało całe moje życie. – Pomyślała o ciotce Sarze opowiadającej o tym, co wyczytała w gazetach.

– Narobisz sobie kłopotów.

– Chyba nie z tego powodu, że dowiem się czegoś o nauce?

– Przecież to towarzystwo nie będzie się zajmowało tylko nauką. Oni wszyscy chcą rozmawiać o wolności, demokracji i prawach człowieka. Wiesz o tym.

– Cóż, podobno Anglicy mają prawo do własnych poglądów.

– Tylko szlachta czy arystokracja – zauważyła Joanie. – Ludzie tacy jak my nie powinni mieć swoich poglądów.

– Ale właśnie takich ludzi jak my uniewinniono w Londynie.

– Sime miał rację: nie możemy być pewni, że sąd i przysięgli w Kingsbridge wydaliby taki sam werdykt.

Sal pomyślała, że może przyjaciółka się nie myli.

– Jeśli robotnicy z zakładów włókienniczych zaczną mówić o polityce – ciągnęła Joanie – radni miejscy i sędziowie pokoju wystraszą się. Będą chcieli ukarać kilka osób, żeby nastraszyć pozostałych. Jarge czy Spade nie muszą się tak bardzo przejmować tym, że mogą zostać wywiezieni do Australii czy nawet powieszani, bo nie ucierpi nikt oprócz nich. Ale ty masz Kita, a ja mam Sue. Kto się nimi zajmie, jeśli nas zabraknie?

– Jezu, masz rację. – Sal była tak oczarowana pomysłem utworzenia Towarzystwa Sokratycznego, że nie pomyślała o zagrożeniach, jakie się z tym wiążą. – Ale obiecałam im, że porozmawiam z Rogerem Riddickiem. Nie mogę ich zawieść.

– Więc uważaj. Bardzo uważaj.

– Tak. – Sal skinęła głową. – Przysięgam.

ROZDZIAŁ 12

Na ścianie bocznej kaplicy katedry w Kingsbridge wisiał portret świętej Moniki, patronki matek. Obraz powstał w średniowieczu i został pobielony w czasach reformacji, lecz na przestrzeni dwustu pięćdziesięciu lat warstwa wapna przybladła i twarz świętej była teraz dobrze widoczna. Skórę miała białą, co nieco dziwiło Spade'a, bo przecież święta Monika pochodziła z Afryki.

Pierwszego sierpnia, dokładnie dwanaście lat po tym, jak zmarła jego żona, Betsy, zapalił świecę przed portretem. Na zewnątrz po niebie pędziły szare chmury, ale od czasu do czasu przebijały się przez nie promienie słońca i oświetlały łuki głównej nawy, zamieniając szarość kamieni w lśniące srebro.

Spade stał wpatrzony w płomień świecy i wspominał Betsy. Myślał o tym, jak bardzo byli podekscytowani, gdy jako dziewiętnastolatki założyli rodzinę i zamieszkali w małym domku na obrzeżach Kingsbridge. Czuli się jak dzieci, które bawią się w małżeństwo. Jedno z dwóch małych pomieszczeń niemal w całości wypełniało jego krosno i jej kołowrotek; w drugim, w kuchni, gotowali, jedli i spali. Podczas pracy zawsze mógł podnieść wzrok i zobaczyć ciemną głowę Betsy, pochyloną nad wrzecionem; robił to często i z przyjemnością. Jeszcze bardziej podekscytowani byli, gdy zaszła w ciążę; rozmawiali bez końca o tym, jakie będzie ich dziecko: piękne, inteligentne, wysokie, psotne? Betsy umarła jednak podczas porodu, a ich dziecko nie zdążyło nawet zobaczyć tego świata.

Pochłonięty wspomnieniami, zapomniał o otaczającym go świetle. Wrócił do rzeczywistości, dopiero gdy uzmysłowił sobie, że ktoś obok niego stoi. Obrócił głowę i zobaczył Arabelle Latimer, przyglądającą mu się z boku. Bez słowa podała mu czerwoną różę – z jej ogrodu, jak przypuszczał. Zrozumiawszy intencje kobiety, wziął kwiat i położył go na środku ołtarza.

Róża lśniła na jasnym marmurze niczym świeża plama krwi.

Arabella odeszła w milczeniu.

Spade został jeszcze przez chwilę i rozmyślał. Czerwona róża oznaczała miłość. Arabella chciała złożyć ją Betsy. Ale dała ją jemu.

Gdy opuścił kaplicę, zobaczył, że żona biskupa czeka na niego w głównej nawie.

– Wie pani – powiedział.

– Oczywiście. Co roku pierwszego sierpnia przychodzi pan do tej kaplicy.

– Zauważyła pani.

– Robi pan to od wielu lat.

– Od dwunastu.

– Metodysci zwykle nie modlą się do świętych.

– Jestem nietypowym metodystą. Mam problem z dostosowaniem się do zasad.

– Spade wzruszył ramionami. – Najlepsze u metodystów jest to, że ich zdaniem głos serca znaczy więcej niż zasady.

– Pan też w to wierzy?

– Tak.

– Ja również.

– Więc może powinna pani dołączyć do metodystów.

Uśmiechnęła się.

– To dopiero byłby skandal. Żona biskupa! – Odwróciła się i podniosła małą stertę świeżo upranych szat dla członków chóru, które położyła wcześniej na chrzcielnicy. – Muszę to zanieść do zakrystii.

Spade nie chciał, by ta rozmowa już się skończyła.

– Zakładam, że sama nie zajmuje się pani praniem – powiedział.

Oczywiście, że tego nie robiła.

– Tylko je nadzoruję – odparła.

– Hm... więc może pani nadzorować także mnie, kiedy będę niósł te rzeczy na miejsce.

Nie zaprotestowała, kiedy wziął od niej ubrania.

– Czasami mam wrażenie, że całe moje życie polega na nadzorowaniu – wyznała. – Gdyby nie książki, nie wiedziałabym, jak wypełnić czas.

– Co lubi pani czytać? – spytał z zainteresowaniem.

– Mam książkę o prawach kobiet, autorstwa Mary Wollstonecraft. Ale trzymam ją w ukryciu.

Spade nie musiał pytać dlaczego. Był pewien, że biskup zdecydowanie by tego nie pochwałał.

– Lubię też powieści – dodała pani Latimer. – *Historię życia Toma Jonesa, czyli dzieje podrzutka*. – Uśmiechnęła się. – Przypomina mi pan Toma Jonesa.

Przeszli razem przez nawę. Właściwie nic takiego się nie działo, ale Spade wyczuwał napięcie, które łączyło ich niczym niewypowiedziany sekret.

Nie zapomniał tamtego incydentu z zakładu siostry sprzed ponad dwóch lat, kiedy Arabella przyłapała go na tym, jak podziwiał jej figurę, i uniosła brwi, jakby bardziej ją to zaintrygowało, niż oburzyło. Wciąż miał przed oczami ten widok. Usilnie starał się o nim zapomnieć, ale na próżno.

Przeszedł za nią przez niskie drzwi w południowym transepcie. Zakrystia mieściła się w pustym małym pomieszczeniu, w którym były jedynie półka na książki, lustro i duża dębowa skrzynia. Gdy żona biskupa uniosła wieko skrzyni, ostrożnie włożył do środka szaty. Arabella posypała je wysuszoną lawendą do odstraszania moli.

– Dwanaście lat – powiedziała, odwróciwszy się do Spade’a.

Spojrzał na nią. Na zewnątrz zaświeciło właśnie słońce i jej włosy, na które padł snop światła, lśniły wszystkimi odcieniami czerwieni i rudości.

– Wspominałem, jak wszystko nas cieszyło, kiedy byliśmy młodzi i naiwni. Niewinne rozkosze. To się już nigdy nie powtórzy.

– Kochał pan Betsy.

– Miłość to najpiękniejsza rzecz, jaką można znaleźć na tym świecie, ale nic nie boli tak jak jej utrata. – Na moment ogarnął go tak głęboki smutek, że z trudem powstrzymał łzy cisnące się do oczu.

– Nie, myli się pan – odparła Arabella. – Jeszcze gorzej jest żyć w potrzasku i wiedzieć, że nigdy nie zazna się prawdziwej miłości.

Spade był zdumiony nie tyle tym, co powiedziała – bo tego można się było domyślać – ile samym faktem, że podzieliła się z nim tak osobistym wyznaniem.

– Jak to się stało? – Nie mógł się powstrzymać przed zadaniem tego pytania.

– Chłopiec, którego chciałam, ożenił się z inną. Myślałam, że jestem załamana, ale tak naprawdę czułam tylko złość. Wtedy Stephen poprosił mnie o rękę, a ja się zgodziłam, żeby zagrać na nosie tamtemu chłopcu.

– Pani mąż był dużo starszy.

– Dwa razy starszy.

– Trudno mi sobie wyobrazić, że tak szybko podjęła pani decyzję.

– Byłam głupiutka. Teraz też nie jestem bardzo mądra, ale było gorzej. – Odwróciła się i opuściła wieko skrzyni. – Spytał pan, więc odpowiedziałam.

– Przepraszam za wścibstwo.

– Większość mężczyzn w takiej sytuacji powiedziałyby mi, co powinnam zrobić.

– Nie mam pojęcia, co powinna pani zrobić.

– Coś takiego przyznałoby tylko nieliczni.

Spade roześmiał się, bo miała rację.

Arabella przeszła do drzwi. Położył dłoń na klamce, by je otworzyć, i w tym momencie Arabella go pocałowała.

Zrobiła to niezdarnie. Rzuciła się na niego i trafiła ustami w jego brodę.

Uznał, że nie ma w tym wielkiej wprawy.

Szybko się jednak poprawiła i pocałowała go w usta. Po chwili odchyliła głowę, Spade wyczuwał jednak, że to jeszcze nie koniec, i nie mylił się: pocałowała go ponownie. Tym razem mocno przywarła ustami do jego ust. Ona naprawdę tego

chce, pomyślał. Położył dłonie na jej ramionach i odwzajemnił pocałunek. Przywarła do niego całym ciałem.

Spade bał się, że w każdej chwili ktoś może wejść do zakrystii, i nie miał pojęcia, jak potraktowano by w Kingsbridge człowieka, który całował żonę biskupa. Nie mógł się jednak oprzeć rozkoszy i przestać. Arabella zdjęła jego ręce ze swoich ramion i przesunęła je niżej. Poczuł miękkie piersi wypełniające jego dłonie. Gdy nacisnął je delikatnie, wydała z siebie stłumiony głęboki jęk.

Nagle otrzeźwiała. Odsunęła się od niego i spojrzała mu głęboko w oczy.

– Boże, ratuj mnie – powiedziała cicho, odwróciła się, otworzyła drzwi i pospiesznie wyszła.

Spade stał w bezruchu, zastanawiając się, co to było.

*

Radny Joseph Hornbeam lubił wystawne śniadania: bekon, cynaderki i kielbaski, jajka, tosty z masłem, herbata i kawa z mlekiem i śmietanką. Nie jadł zbyt wiele – kilka tostów popitych kawą – ale cieszyła go świadomość, że gdyby tylko chciał, mógłby ucztować jak król.

Jego córka Deborah była pod tym względem do niego podobna, ale żona Linnie i syn Howard mieli sporą tuszę. Podobnie jak służący, którzy zjadali resztki.

Hornbeam czytał właśnie „The Times”.

– Hiszpania zawarła pokój z Francją – powiedział i upił łyk kawy ze śmietanką.

– Ale wojna się nie skończyła, prawda? – zauważyła Deborah. Była bystrą dziewczyną. Odziedziczyła to po nim.

– Owszem, dla Anglii jeszcze się nie skończyła. Nie zawarliśmy pokoju z tymi zbrodniczymi francuskimi rewolucjonistami i mam nadzieję, że nigdy się tak nie stanie.

Obrzucił córkę taksującym spojrzeniem. Pomyślał, że nie jest szczególnie urodziwa, choć pewnie nie należało tak oceniać własnych dzieci. Miała bujne, ciemne kręcone włosy i ładne brązowe oczy, ale zdecydowanie zbyt wydatny

podbródek. Jako osiemnastolatka mogła już myśleć o zamążpójściu. Może dałoby się namówić ją do poślubienia kogoś, kto przyczyniłby się do rozwoju rodzinnych interesów.

– Widziałem, że rozmawiałaś w teatrze z Willem Riddickiem – powiedział.

Spojrzała na niego poważnie. W odróżnieniu od brata i matki nie bała się ojca. Traktowała go z szacunkiem, ale nie z uległością.

– Doprawdy? – odpowiedziała spokojnie.

– Lubisz go? – Hornbeam starał się zachować obojętny ton.

Zastanawiała się przez chwilę.

– Tak, lubię – odparła w końcu. – Należy do ludzi, którzy zawsze dostają to, czego chcą. Dlaczego pytasz?

– Robimy razem interesy.

– Zamówienia dla wojska – rzuciła, bo niewiele uchodziło jej uwagi.

– Owszem. Zaprosiłem go dziś na kolację. Cieszę się, że go lubisz... zapowiada się przyjemny wieczór.

Do pokoju wszedł lokaj Simpson.

– Proszę pana, mleczarz chciałby zamienić z panem słówko, jeśli to nie problem.

– Mleczarz? – zdumiał się Hornbeam. – Czego, u diabła, może chcieć?

Rzadko rozmawiał z dostawcami, którzy zaopatrywali jego dom. Przypomniawsobie jednak, że kiedyś pożyczył pieniądze temu człowiekowi – Alfredowi Nashowi. Wstał, rzucił serwetkę na krzesło i wyszedł.

Nash stał w holu na tyłach domu, gdzie czyszczono i przechowywano buty. Jego płaszcz i kapelusz ociekały deszczówką. Hornbeam wyczuł zapach mleka.

– Dlaczego chciałeś się ze mną zobaczyć? – spytał bez zbędnych wstępów. Miał nadzieję, że mleczarz nie chciał pożyczyć więcej pieniędzy.

– Żeby przekazać panu pewne informacje, panie radny.

To było co innego.

– Mów – rzucił Hornbeam.

– Tak się złożyło, że dowiedziałem się czegoś, co może pana zainteresować. Pomyślałem, że powiem panu o tym, bo był pan tak miły i pożyczył mi pieniądze na rozwój mleczarni.

– Doskonale. Czego się dowiedziałeś?

– David Shoveller, ten, którego nazywają Spade, zakłada w Kingsbridge oddział Londyńskiego Towarzystwa Korespondencyjnego.

– A to dopiero! – To była naprawdę interesująca informacja. Hornbeam nienawidził Spade’a, który zniweczył jego dalekosiężny plan przejęcia firmy Obadiaha Barrowfielda, odziedziczonej przez syna. Przez pożyczkę, którą Spade zorganizował dla Amosa, cały wysiłek Hornbeama poszedł na marne.

– A pan, jako przewodniczący Towarzystwa Reevesa...

– Tak, oczywiście.

Towarzystwo Reevesa zostało założone przez rząd jako odpowiedź na Londyńskie Towarzystwo Korespondencyjne. Oddział w Kingsbridge odbył kilka nudnych spotkań i przeszedł do historii, ale Hornbeam wciąż miał przydatną listę konserwatywnych mężczyzn, którzy sprzeciwiali się radykalizmowi.

– Kto jeszcze jest w tej nowej grupie?

– Jarge Box, tkacz. I Sal Clitheroe, która obsługuje przędzarkę w młynie Amosa Barrowfielda. Choć jest tylko kobietą, słuchają jej.

Tacy ludzie doprowadzali Hornbeama do szału.

– Chcą nas wszystkich pociągnąć za sobą do rynsztoka – stwierdził gorzko. – Zgnieciemy tych wichrzycieli jak robactwo, bo właśnie tym są. Spade zostanie powieszony za zdradę.

Nash wydawał się zaskoczony gwałtownością radnego.

– Ale podobno tych ludzi z Londynu uniewinniono – powiedział.

– Słabość, słabość... Właśnie przez takie decyzje ci ludzie rosą w siłę. Ale Londyn to Londyn. A tu jest Kingsbridge.

– Tak jest, panie radny.

– Miej ich na oku, Nash, dobrze?

- Postaram się, proszę pana. Poprosili, żebym był w Komitecie Założycielskim.
- Zgodziłeś się?
- Powiedziałem, że o tym pomyślę.
- Dołącz do tego komitetu. Dzięki temu będziesz o wszystkim wiedział.
- Oczywiście, panie radny.
- I będziesz informował mnie o wszystkim.
- Bardzo chętnie.
- Damy im nauczkę.
- Tak jest. Czy mógłbym wspomnieć o jeszcze jednej sprawie?

Hornbeam domyślił się już wcześniej, że Nash będzie czegoś chciał. Zawsze chodziło przecież o przysługę za przysługę.

– Mów.

– Interesy idą kiepsko, muszę płacić podatki na wojsko, jedzenie drożeje, a wielu robotników nie może znaleźć pracy.

– Wiem. Mnie też nie jest łatwo. – Co nie było prawdą. Interesy Hornbeama szły świetnie dzięki kontraktom z wojskiem, ale z zasady nie przyznawał się, że dobrze mu się wiedzie.

– Gdybym nie musiał płacić następnej raty kwartalnej, bardzo by mi to pomogło – dodał Nash.

– Chcesz ją odroczyć.

– Tak. W końcu wszystko spłacę.

– Z pewnością. Ale dobrze, możesz nie płacić następnej raty.

– Bardzo panu dziękuję. – Nash dotknął czapki.

Hornbeam wrócił do śniadania.

*

Kilka dni później w zakładzie Barrowfielda pojawił się Roger Riddick.

Im dłużej Sal o tym myślała, tym ważniejsze wydawało jej się, by to właśnie Roger wygłosił pierwszy wykład dla Towarzystwa Sokratycznego. Nikt nie miałby nic przeciwko dyskusji o sprawach naukowych. Poza tym Roger był synem dziedzica z Badfordu, szlachcicem. Co więcej, z pewnością nie zażądałby zapłaty za wykład, co również było bardzo ważne, bo Towarzystwo nie miało pieniędzy.

Znała Rogera od dzieciństwa. Dzieci nie zwracały szczególnej uwagi na podziały społeczne i syn dziedzica mógł się pluskać w strumyku z potomstwem robotników rolnych. Widziała, jak Roger dorastał i jak z upływem czasu stawało się jasne, że jest inny niż jego ojciec i bracia.

To jednak nie oznaczało jeszcze, że zrobi wszystko, o co Sal go poprosi.

Kiedy wszedł do zakładu, zdała sobie sprawę, że nie wygląda już jak chłopiec. Miał teraz ponad dwadzieścia lat. Wciąż był przystojny, szczupły i jasnowłosy, ale Sal nie gustowała w takiej urodzie – wołała bardziej męskich mężczyzn. Musiała jednak przyznać, że miał sporo uroku, zwłaszcza gdy się uśmiechał w ten charakterystyczny szelmowski sposób. Lubiły go wszystkie kobiety, czasami nawet przekomarzały się z nimi.

– Dzień dobry, Sal – powiedział. – Jak się sprawuje stara maszyna? Ciągłe daje radę?

– Tak. I przędzarka też działa, jak należy, panie Riddick.

Co prawda już kilka razy pozwalała sobie na ten żart, ale i tym razem parsknęła śmiechem.

– Teraz wydaje się śmiesznie mała – zauważył Roger. – Obecnie produkują maszyny z dziewięćdziesięcioma sześcioma szpulami.

– Słyszałam o tym.

Roger zauważył jej syna.

– Witaj, chłopcze – rzucił. – Jak tam twoja głowa?

– Nie sprawia mi żadnych kłopotów, proszę pana – odparł Kit.

– To dobrze.

Kobiety przerwały pracę, by słuchać ich rozmowy. Joanie, która obsługiwała sąsiednią maszynę, spytała:

- Dlaczego nie jest pan w Oksfordzie, panie Riddick?
- Bo już nie jestem studentem. Skończyłem trzyletnią naukę.
- Mam nadzieję, że zdał pan wszystkie egzaminy.
- Tak. Jeśli chodzi o przegrywanie pieniędzy w karty, byłem najlepszy na roku.
- I teraz wie pan już wszystko.
- O nie. Tylko kobieta może wiedzieć wszystko.

Pozostałe prądki skwitowały to radosnymi okrzykami.

– Po Bożym Narodzeniu jadę na inny uniwersytet – oznajmił. – Berlińsko-Brandenburgską Akademię Nauk.

– Berlińsko-Brandenburgską! – zdumiała się Sal. – Będzie pan musiał się nauczyć niemieckiego.

– I francuskiego. Z jakiegoś nieznanego mi powodu wykłady są tam po francusku.

– Jeszcze więcej nauki? Czy to nie ma końca?

– Prawdę mówiąc, chyba nie.

– Cóż, mieszkańcy Kingsbridge też zamierzają się uczyć, więc proszę uważać, bo możemy pana dogonić.

Roger uniósł brwi.

– Uczyć się? – spytał.

– Zakładamy grupę o nazwie Towarzystwo Sokratyczne.

– Zakładacie Towarzystwo Sokratyczne... – powtórzył.

Sal widziała, że próbuje ukryć zdumienie.

– Poproszono mnie, bym spytała, czy nie mógłby pan wygłosić wykładu podczas naszego pierwszego spotkania.

– Doprawdy... – Zdawało się, że Roger wciąż nie wie, o co chodzi, co rozbawiło Sal. – Wykładu... – powtórzył, zbierając myśli. – Hm... chyba tak.

– Pomyśleliśmy, że mógłby pan opowiedzieć coś o Isaacu Newtonie.

– Ach, tak...

– Ale tak właściwie może pan wybrać jakikolwiek temat związany z nauką.

– W Oksfordzie uczyłem się sporo o Układzie Słonecznym.

Sal nie miała pojęcia, czym jest Układ Słoneczny.

Wyczuł jej zakłopotanie i wyjaśnił:

– O Słońcu, Księżycu i planetach, o tym, jak obracają się wokół siebie.

Nie brzmi to zbyt interesująco, pomyślała. Ale co ja tam wiem?

– Przygotowałem mały model pokazujący, jak wygląda ten ruch – dodał Roger.

– Zrobiłem to tylko dla przyjemności, ale mógłby pomóc ludziom zrozumieć.

Teraz brzmiało to lepiej, a Roger szybko się przekonywał do tego pomysłu. Wyglądało na to, że Sal może się udać.

– Nazywają to tellurium, czyli mechanicznym modelem Układu Słonecznego.

Byli tacy, co tworzyli je już wcześniej.

– Myślę, że powinien pan wszystkim to pokazać, panie Riddick. Brzmi naprawdę bardzo ciekawie.

– Być może tak zrobię.

Sal starała się ukryć triumfalny uśmiech.

W hali pojawił się Amos Barrowfield.

– Przerwałęś kobietom pracę, Roger – powiedział.

– Zakładają Towarzystwo Sokratyczne – oznajmił jego przyjaciel.

– Mam nadzieję, że nie w godzinach pracy. – Amos objął Rogera. – Chodź, zobacz, jak działa zgrzeblarka. To prawdziwe чудо.

Razem ruszyli do wyjścia, ale Roger przystanął na schodach.

– Muszę znać datę i godzinę! – zawołał do Sal. – Prześlij mi wiadomość.

– Tak zrobię – odparła.

Mężczyźni zniknęli za drzwiami.

– Nie możesz mu wysłać wiadomości – powiedziała jedna z kobiet. – Przecież nie umiesz pisać.

– Zdziwiłabyś się – rzuciła Sal.

*

Arabella traktowała Spade'a tak, jakby nic się nie stało. Kiedy ich drogi krzyżowały się na rynku, w zakładzie jego siostry czy w katedrze, uśmiechała się do niego chłodno, wypowiadała kilka uprzejmych słów, po czym szła dalej, jakby nigdy nie dała mu czerwonej róży, jakby nie byli sami w zakrystii, jakby nie pocałowała go wygłodniałymi ustami ani nie położyła jego dłoni na swoich piersiach.

Co miał o tym myśleć? Potrzebował rady, co rzadko mu się zdarzało, ale nie mógł o tym z nikim porozmawiać. Nawet ten pocałunek, choć przecież byli ubrani, był niebezpieczny zarówno dla Arabelli, jak i dla niego, mimo że wina zawsze spadała na kobietę.

Być może nie będzie powtórki. Może nie chciała, by wracali do tego pocałunku, choćby w rozmowach, by pozostało to tajemnicą, która zostanie pogrzebana razem z nimi i nie wyjdzie na jaw aż do dnia Sądu Ostatecznego. Gdyby tak się stało, Spade byłby rozczarowany, ale zrobiłby to, czego by sobie życzyła. Instynkt podpowiadał mu jednak, że Arabella ma inne plany. To nie był przypadkowy nic nieznaczący pocałunek. Wyrażał głębokie, choć skrywane emocje.

Spade próbował sobie wyobrazić, jak wygląda jej życie. Nie chodziło tylko o to, że biskup był od niej znacznie starszy: to nie miałoby większego znaczenia, gdyby był żwawym, energicznym mężczyzną zakochanym w niej po uszy. Był jednak otyły, powolny, zadufany w sobie i pozbawiony poczucia humoru. Być może z pożądania, którego owocem była Elsie, nic już nie zostało. Spade nigdy nie był na piętrze pałacu biskupiego, był jednak pewny, że mają oddzielne sypialnie. I to pewnie od dawna, tak że normalna kobieta w średnim wieku miała prawo

poczuć się pozbawiona złudzeń i zirytowana i zacząć snuć fantazje o innych mężczyznach.

A dlaczego właśnie on? Spade wiedział, choć pewnie nie powiedziałyby o tym nikomu, że kobiety go lubią i że im się podoba. Chętnie z nimi rozmawiał, bo były rozsądne. Jeśli zadawał kobiecie poważne pytanie, jak „Na co liczy pani w życiu?”, mówiła zwykle coś w rodzaju: „Przede wszystkim chciałabym, żeby moje dzieci jakoś się urządziły i były szczęśliwe, i żeby też miały dzieci”. Gdyby zadał to samo pytanie mężczyźnie, usłyszałby jakąś głupotę w rodzaju: „Chcę poślubić dwudziestoletnią dziewicę z wielkimi cycami, która jest właścicielką gospody”.

Jeśli miał rację i Arabella w końcu ulegnie požądaniu i spróbuje nawiązać z nim prawdziwy romans, to jak zareaguje? Natychmiast uświadomił sobie, że odpowiedź jest prosta. Nie podejmie racjonalnej decyzji: nie zachowa się tak, jakby kupował dom. Jego uczucia do Arabelli były niczym tama, która w każdej chwili mogła pęknąć. Ta inteligentna, namiętna kobieta chyba się w nim podkochiwała, więc nawet nie próbowałby się opierać.

Konsekwencje mogły być jednak tragiczne. Przypomniał sobie historię lady Worsley, która została straszliwie upokorzona. Miał wtedy osiemnaście lat i był zakochany w Betsy, i już wówczas namiętnie czytał gazety, zwykle stare, które bogatsi ludzie wyrzucali do śmieci. Lady Worsley miała kochanka. Jej mąż podał go do sądu i zażądał od niego dwudziestu tysięcy funtów, bo na tyle wycenił cnotę żony. Dwadzieścia tysięcy funtów było ogromną sumą, za którą można było kupić jeden z najlepszych domów w Londynie. Kochanek, który nie był nawet szlachcicem, twierdził w sądzie, że cnota lady Worsley była bezwartościowa, bo wcześniej dopuściła się zdrady z dwudziestoma innymi mężczyznami. W sądzie ujawniono wszystkie szczegóły jej miłosnego życia; opisano je również w gazetach, ku uciesze czytelników w wielu krajach. Sąd wziął stronę kochanka i zasądził na rzecz sir Richarda odszkodowanie w wysokości jednego szylinga, sugerując w ten sposób, że tyle właśnie była warta cnota jego żony. Było to wyrazem okrutnej pogardy.

Właśnie taki koszmar mógł się stać udziałem Spade'a, gdyby poszedł do łóżka z żoną biskupa.

Ale jeszcze bardziej cierpiałaby Arabella.

*

Spade przeszedł przez wielkie wejście z kolumnami do budynku Sal Zgromadzeń w Kingsbridge, gdzie wkrótce miało się rozpocząć pierwsze spotkanie Towarzystwa Sokratycznego.

Bardzo zależało mu na tym, by wszystko poszło dobrze. Sal i inni wiązali z tym wielkie nadzieje. Robotnicy z Kingsbridge próbowali się edukować i zasługiwali na sukces. Uważał, że to wielki krok naprzód w rozwoju miasta. Chciał, by tutejsi robotnicy byli postrzegani jako ludzie, a nie „siła robocza”. Ale co się stanie, jeśli nikt nie zrozumie wykładu? Jeśli znudzeni ludzie zaczną się awanturować? Albo jeśli – to byłoby najgorsze – nikt nie przyjdzie na spotkanie?

Wszedł do budynku w tym samym momencie co Arabella Latimer i jej córka Elsie. Wyglądało na to, że wykład wzbudził zainteresowanie również elity miasta. Spade strząsnął z kapelusza krople deszczu i uklonił się grzecznie obu paniom.

– Słyszałam, że był pan w Londynie, panie Shoveller – odezwała się Arabella sztywno. – Mam nadzieję, że ta wizyta przebiegła po pańskiej myśli.

Typowa konwersacja towarzyska. Spade czuł się nieco rozczarowany oficjalnym tonem Arabelli, ale dostosował się do niego.

– Tak, wizyta była bardzo udana, udało mi się załatwić kilka dobrych interesów, pani Latimer. A jak się mają sprawy w Kingsbridge?

– Jak zawsze – odparła, nie patrząc na niego. Potem dodała cicho: – Nic się tu nie zmienia.

Zastanawiał się, czy Elsie wyczuwa napięcie między nimi. Wiedział, że kobiety są wrażliwe na takie rzeczy. Dziewczyna zachowywała się jednak całkiem normalnie.

– Chciałabym pojechać do Londynu. – Westchnęła. – Nigdy tam nie byłam. Czy rzeczywiście jest tak ekscytujący, jak powiadają?

– Ekscytujący, owszem – odparł Spade. – I ruchliwy. Do tego zatłoczony, głośny i brudny.

Weszli do sali, w której miał się odbyć wykład. Była niemal całkowicie wypełniona, mógł więc przynajmniej na razie odetchnąć z ulgą.

Na stole pośrodku pomieszczenia stała drewniana skrzynka, która – jak przypuszczał Spade – skrywała tellurium zbudowane przez Rogera Riddicka. Krzesła i ławy ustawiono w kręgach wokół stołu.

Wśród publiczności znaleźli się przedstawiciele różnych klas, zarówno ludzie zamożni w najlepszych ubraniach, jak i robotnicy w burych płaszczach i podniszczonych kapeluszach, które nosili na co dzień. Spade zauważył, że robotnicy zajęli miejsca na ławkach z tyłu, podczas gdy dobrze ubrani bogacze usiedli na krzesłach bliżej stołu. Wiedział, że nikt tego nie planował: ludzie instynktownie dokonali tego podziału. Sam nie wiedział, czy było to zabawne, czy smutne.

Na spotkaniu pojawiła się tylko garstka kobiet, co nie zdziwiło Spade'a: tego rodzaju wydarzenia były raczej przeznaczone dla mężczyzn, choć nikt nie zabraniał kobietom brać w nich udziału.

Arabella odwróciła się od niego i wskazała na drugą stronę sali, gdzie siedziało już parę kobiet.

– Pójdziemy tam – powiedziała do córki.

W ten sposób dawała jasno do zrozumienia, że nie chce siedzieć ze Spade'em. Rozumiał to, ale czuł się odrzucony.

Elsie ruszyła w tamtą stronę. Spade przez sekundę czuł dotyk dłoni Arabelli na ramieniu. Ścisnęła go mocno, po czym natychmiast zabrała rękę i przeszła przez salę. Choć trwało to ledwie mgnienie oka, było jednoznacznym sygnałem bliskości.

Był oszołomiony. Niedoświadczona dziewczyna mogła wysyłać fałszywe sygnały, ale dojrzała kobieta nie dotknęłaby mężczyzny w ten sposób, gdyby nie

traktowała tego poważnie. Przekazywała mu w ten sposób, że łączy ich sekretny związek i że nie powinien zwracać uwagi na jej pozorną oziębłość.

Spade mimo podekscytowania nie zamierzał nic z tym zrobić. Arabella była bardziej zagrożona, więc to ona musiała wszystkim kierować, a on się jej podporządkuje.

Podszedł do niego Jarge Box, który wyglądał na rozzłoszczonego. Nie trzeba było wiele, żeby go rozzłościć, więc Spade nie przejął się tym szczególnie.

– Coś nie tak? – spytał spokojnie.

– Strasznie dużo tu bogaczy! – rzucił Jarge z oburzeniem.

Miał rację. Spade dostrzegł Amosa Barrowfielda, wicehrabiego Northwooda, radnego Drinkwata i Willa Riddicka.

– Czy to tak źle? – spytał.

– Nie zakładaliśmy Towarzystwa dla nich!

Spade skinął głową.

– Masz rację. Chociaż jeśli oni tu będą, nikt nas nie oskarży o zdradę.

– Nie podoba mi się to.

– Porozmawiamy o tym później. Potem mamy spotkanie komitetu założycielskiego.

– W porządku – odparł Jarge, przynajmniej chwilowo udobruchany.

Usiedli. Kanonik Midwinter wstał i poprosił o ciszę.

– Witajcie na pierwszym spotkaniu Towarzystwa Sokratycznego w Kingsbridge – powiedział.

Ludzie siedzący z tyłu nagrodzili go brawami.

– Bóg obdarzył nas zdolnością uczenia się – kontynuował Midwinter – rozumienia otaczającego nas świata, nocy i dnia, wiatrów i pływów, trawy rosnącej na naszych polach i stworzeń, które się nią karmią. Dał tę umiejętność nam wszystkim, bogatym i biednym, wysoko i nisko urodzonym. Od setek lat Kingsbridge było ośrodkiem nauki, a to nowe towarzystwo jest najnowszym

przejawem tej uświęconej tradycji. Niech Bóg błogosławi Towarzystwo Sokratyczne.

– Amen – odpowiedziało kilka osób.

Ale kanonik jeszcze nie skończył.

– Dziś wykład wygłosi pan Roger Riddick, który niedawno ukończył Uniwersytet Oksfordzki. Opowie nam o Układzie Słonecznym. Oddaję panu głos, panie Riddick.

Roger wstał i stanął przy stole. Spade pomyślał, że wygląda na rozluźnionego; może robił już podobne rzeczy na uczelni.

Nim Roger zaczął mówić, okrążył powoli stół, patrząc na publiczność z miłym uśmiechem.

– Jeśli będę się tak kręcił, tylko szybciej, będzie mi się wydawało, że to wy krążycie wokół mnie – powiedział, zataczając następne koło. – A kiedy Ziemia się obraca, dzięki czemu mamy dzień i noc, wydaje nam się, że to Słońce się porusza: wschodzi rano i zachodzi wieczorem. Ale pozory mylą. Nie poruszacie się, prawda? To ja się poruszam. I tak samo nie porusza się Słońce, tylko Ziemia. – Przystanął i dodał: – Kręci mi się w głowie.

Publiczność się roześmiała.

– Ziemia kręci się wokół własnej osi, ale też leci przez kosmos. W ciągu jednego roku okrąży Słońce. Podobnie jak piłka do krykieta, może wirować i lecieć przed siebie jednocześnie. A Ziemia jest jedną z siedmiu planet, które zachowują się tak samo. Trochę to skomplikowane, co?

Odpowiedziały mu śmiechy i pomruki aprobaty. Spade pomyślał, że Roger jest w tym dobry – przedstawiał wszystko jako zdroworozsądkowy oczywisty mechanizm.

– Stworzyłem więc model, który pokazuje, jak planety krążą wokół Słońca.

Ludzie w przednich rzędach pochylili się do przodu, gdy otworzył skrzynkę stojącą na stole i wyjął z niej urządzenie, które wyglądało jak kilka połączonych ze

sobą małych metalowych dysków. Ze środka urządzenia wystawał pionowy pręt z żółtą kulką na końcu.

– Nazywa się to tellurium – powiedział Roger. – Ta żółta kula to Słońce.

Spade był zadowolony. Jak na razie szło dobrze. Dostrzegł Sal, która promieniała z radości.

Do każdego z dysków doczepiony był pręt w kształcie litery L zakończony małą kulką.

– Te kulki to planety – wyjaśnił Roger. – Ale pod jednym względem ten model nie oddaje prawdy. Czy ktoś się domyśla?

Przez dłuższą chwilę w sali było cicho.

– Jest za mały – odezwała się w końcu Elsie.

Mężczyźni zaczęli gniewnie pomrukiwać, niezadowoleni, że kobieta zabrała głos, lecz Roger powiedział głośno:

– Zgadza się!

Elsie nie uczęszczała do gimnazjum w Kingsbridge, bo nie przyjmowano do niego dziewcząt, ale Spade przypomniał sobie, że przez jakiś czas miała prywatnego nauczyciela.

– Gdyby ten model należycie oddawał proporcje, Ziemia byłaby mniejsza od łąki i oddalona od Słońca o dziesięć jardów – oznajmił Roger. – W rzeczywistości Słońce dzieli od Kingsbridge dziewięćdziesiąt trzy miliony mil.

Zebrani zareagowali na tę ogromną liczbę okrzykami zdumienia.

– Wszystkie te ciała niebieskie poruszają się, co zaraz zobaczymy. – Roger rozejrzał się po widowni. – Kto tu jest najmłodszy?

Natychmiast odpowiedział mu cienki głosik:

– Ja, ja!

Spade spojrział na drugą stronę sali i dojrzał chłopca z nastroszonymi rudymi włosami: Kita, syna Sal. Spade przypuszczał, że dzieciak ma teraz jakieś dziewięć lat. Ludzie śmiali się z zapału chłopca, ale Kit nie widział w tym nic zabawnego. Był dość poważnym dzieckiem.

– Podejź tu – poprosił Roger, po czym zwrócił się do publiczności: – To jest Kit Clitheroe, urodzony w Badfordzie, jak ja.

Chłopiec podszedł do stołu i widownia nagrodziła go brawami.

– Chwyć delikatnie za tę rączkę – polecił mu Roger. – O tak. A teraz powoli obracaj.

Planety zaczęły krążyć wokół Słońca.

Kit przyglądał się temu z zafascynowaniem.

– Planety poruszają się z różną prędkością! – zawołał.

– Zgadza się – potwierdził Roger.

– Bo użył pan tutaj kółek zębatych – powiedział chłopiec, przyjrzawszy się uważniej urządzeniu. – To jak mechanizm zegarowy – dodał z podziwem.

Spade domyślił się już wcześniej, że Roger wykorzystał w modelu przekładnie, ale był zdumiony i poruszony tym, że odgadł to również dziewięcioletek. Wszyscy robotnicy zatrudnieni w zakładach włókienniczych pracowali z maszynami, ale nie każdy rozumiał zasady ich działania.

Roger odesłał Kita na miejsce.

– Za kilka minut każdy, kto zechce, będzie mógł pokręcić tym mechanizmem – obiecał.

Kontynuował wykład, podając nazwy poszczególnych planet i ich odległość od Słońca. Wskazał na Księżyc, połączony krótkim drutem z Ziemią, i wyjaśnił, że kilka innych planet również ma co najmniej jeden księżyc lub więcej. Pokazał, jak nachylenie Ziemi względem jej osi decyduje o porach roku. Publiczność była urzeczona.

Kiedy skończył, nagrodzono go entuzjastycznym aplauzem, a potem ludzie zebrali się wokół stołu, bo niemal każdy chciał sprawić, by planety krążyły wokół Słońca.

Gdy słuchacze zaczęli się rozchodzić, Roger schował tellurium do skrzynki i wyszedł z sali w towarzystwie Amosa Barrowfielda. Kiedy w pomieszczeniu

zostali jedynie członkowie komitetu założycielskiego Towarzystwa, ustawili kilka ławek w kręgu i usiedli.

Byli w triumfalnych nastrojach.

– Gratuluję wam – powiedział kanonik Midwinter. – Udało wam się to i wcale mnie do tego nie potrzebowaliście.

Tylko Jarge był niezadowolony.

– Nie tego chciałem! – rzucił – Układ Słoneczny to bardzo ciekawa rzecz, ale musimy się raczej dowiedzieć, co i jak możemy zmienić, żeby nasze dzieci nie głodowały.

– Jarge ma rację – poparła go Sal. – To był dobry początek, zdobyliśmy sobie szacunek, ale w niczym nam to nie pomoże, kiedy ceny jedzenia rosą z dnia na dzień, a ludzie nie mogą znaleźć pracy.

Spade zgodził się z nimi.

– Może powinniśmy zorganizować dyskusję o książce *Prawa człowieka* Thomasa Paine’a – zasugerował drukarz Jeremiah Hiscock.

Midwinter odpowiedział mu łagodnym tonem:

– O ile mi wiadomo, napisano w niej, że rewolucja jest usprawiedliwiona, gdy rząd nie chroni należycie praw zwykłych ludzi, i dlatego rewolucja francuska jest czymś dobrym.

– Narobiliśmy sobie kłopotów, gdybyśmy chcieli o tym rozmawiać – zauważył Sime Jackson.

Spade czytał *Prawa człowieka* i był zagorzałym zwolennikiem idei głoszonych przez Thomasa Paine’a, ale rozumiał zastrzeżenia Midwintera i Jacksona.

– Mam lepszy pomysł – oznajmił. – Wybierzmy jakąś książkę, która krytykuje Paine’a.

– Dlaczego? – obruszył się Jarge.

– Weźmy na przykład *Powody do zadowolenia, skierowane do pracującej części brytyjskiego społeczeństwa* archidiakona Paleya.

– Nie chcemy zachwalać takich rzeczy! – zaprotestował oburzony Jarge. – Ale wymyśliłeś!

– Uspokój się, Jarge, a wyjaśnię ci to. Bez względu na to, czy wybierzemy Paine’a, czy Paleya, będziemy dyskutować o tym samym temacie, czyli o reformie brytyjskiego rządu i parlamentu. Ale dla ludzi z zewnątrz będzie to wyglądać całkiem inaczej. Jak będą się mogli sprzeciwić dyskusji o książce, która jest skierowana do nas i mówi, że mamy być zadowoleni z naszego losu?

Jarge wciąż wydawał się rozgniewany, potem oszołomiony i wreszcie zamyślony. W końcu uśmiechnął się.

– Do licha, szczywany lis z ciebie – powiedział.

– Uznam to za komplement – odparł Spade i wszyscy się roześmiali.

– Bardzo dobry plan, Spade – pochwalił go Midwinter. – Oczywiście Towarzystwo może dojść do wniosku, że argumenty archidiakona są zaskakująco słabe, ale żadną miarą nie będzie można uznać tego za zdradę.

– Istnieje broszurka pod tytułem *Odpowiedź dla archidiakona Paleya*, wydana przez Londyńskie Towarzystwo Korespondencyjne. Wiem, bo mój brat drukował nakład. Mam nawet w domu jeden egzemplarz. Mógłbym wydrukować ich więcej.

– To byłoby bardzo przydatne, ale pamiętaj, że wielu z naszych słuchaczy nie umie czytać – zauważyła Sal. – Myślę, że potrzebujemy mówcy, który przedstawiłby ten temat.

– Znam kogoś takiego – oznajmił Midwinter. – Duchownego, który wykląda w Oksfordzie, Bartholomew Smalla, prawdziwego indywidualistę. Nie jest rewolucjonistą, ale podziela poglądy Paine’a.

– Doskonale! – Spade skinął głową. – Proszę z nim porozmawiać, kanoniku. – Odwrócił się do reszty grupy. – Musimy to zachować dla siebie najdłużej, jak się da, i ogłosić w ostatniej chwili. Wierzcie mi, w tym mieście jest mnóstwo osób, które chcą, by ludzie pracy pozostali ciemni. Jeśli rozpowszechnimy tę informację zbyt wcześnie, damy wrogom czas, by się zorganizowali. Dyskrecja to klucz do sukcesu.

Wszyscy się z nim zgodzili.

ROZDZIAŁ 13

Jako chłopiec dorastający w Londynie Hornbeam panicznie bał się wyroków i kar, jakie mogli na niego nałożyć sędziowie. Teraz był jednym z nich, więc nie miał się czego obawiać. Niemniej gdzieś w głębi jego umysłu pozostało lekkie drżenie, cień wspomnienia, który przyprawił go o zimny dreszcz, gdy urzędnik sądowy rozpoczął cokwartalne wrześnieowe posiedzenie sądu wyjazdowego i pierwszy z zaplanowanych procesów. Hornbeam musiał dotknąć peruki, by przypomnieć sobie, że teraz to on wydaje wyroki.

Stara sala narad w ratuszu pełniła również funkcję sali sądowej. Hornbeam lubił jej majestatyczny wystrój. Lakierowana boazeria i potężne belki w pewnym sensie potwierdzały również jego status. Lecz gdy wypełniali ją przestępcy z Kingsbridge i ich zapłakane rodziny, żałował, że nie jest lepiej wietrzona. Nie znosił zapachu biedoty.

Korzystając z pomocy odpowiednio przeszkolonego urzędnika, rozstrzygano sprawy o kradzieże, napaści i gwałty przed ławą przysięgłych złożoną z bogatych obywateli Kingsbridge. Osądzali wszystkie zbrodnie z wyjątkiem tych, za które groziła kara śmierci. W takich przypadkach odbywało się posiedzenie sądu wyjazdowego, prowadzone przez najważniejszego sędziego w hrabstwie, który specjalnie w tym celu zjeżdżał do Kingsbridge.

Dziś wiele spraw dotyczyło kradzieży. Był wrzesień, a zbiory zbóż drugi rok z rzędu były kiepskie. Czterofuntowy bochenek chleba kosztował już całego szylinga, niemal dwa razy więcej niż dwa lata temu. Ludzie kradli jedzenie albo coś, co mogli szybko sprzedać, by kupić żywność. Byli zdesperowani. Zdaniem Hornbeama nie było to jednak żadnym usprawiedliwieniem, domagał się więc

surowych wyroków. Złodziei należało karać, inaczej bowiem upadłby cały system i wszyscy skończyliby w rynsztoku.

Późnym popołudniem sędziowie zebrali się w mniejszej sali, by napić się madery i zjeść ciasto. Często właśnie podczas takich nieoficjalnych narad podejmowano najważniejsze decyzje dotyczące życia miasta. Hornbeam wykorzystał więc okazję, by poruszyć temat Towarzystwa Sokratycznego w rozmowie z radnym Drinkwaterem, który przewodniczył posiedzeniu sądu.

– Uważam, że to niebezpieczne – zaczął Hornbeam. – Sprowadzą mówców, którzy będą siać ferment i mówić robotnikom, że są wykorzystywani i źle opłacani, a w związku z tym powinni się zbuntować i przegnać władców, jak zrobili to Francuzi.

– Zgadza się – powiedział Will Riddick, który po śmierci ojca został dziedzicem Badfordu i sędzią pokoju. – Do stowarzyszenia należy ta agresywna kobieta, Sal Clitheroe. Wygnano ją z Badfordu, bo kiedyś próbowała mnie zaatakować.

Hornbeam słyszał inną wersję tej historii, według której Sal obaliła go jednym ciosem, i wcale się nie dziwił, że Will wolał pomijać milczeniem ten upokarzający szczegół.

Miał nadzieję, że inni sędziowie podzielą jego poglądy, spotkało go jednak rozczarowanie. Radny Drinkwater wsunął palec pod perukę, by podrapać się po łysej głowie, i odpowiedział spokojnie:

– Byłem na tym spotkaniu. Dotyczyło Układu Słonecznego. Nie ma w tym nic złego.

Hornbeam westchnął ciężko. Drinkwater nigdy nie zaznał biedy czy cierpienia. Odziedziczył po ojcu firmę, sprzedał mu ją i kupił kilkanaście dużych domów na wynajem, i od tej pory prowadził beztroskie leniwe życie. Nie rozumiał, że dobrobyt to coś kruchego; nie wyciągnął żadnych wniosków z tego, co działo się we Francji. Tolerancyjna postawa Drinkwatera nie była niczym zaskakującym, mimo to w Hornbeamie narastała panika, gdy ludzie o liberalnych poglądach

przymykali oko na groźbę buntu nisko urodzonych. Upił łyk słodkiego wina i starał się wyglądać na rozluźnionego.

– Bardzo sprytnie z ich strony – rzucił. – Ale wiem z pewnego źródła, że na drugim spotkaniu będą wspierać reformę parlamentu.

Drinkwater pokręcił głową.

– Źle pan to zrozumiał, jeśli wolno mi się tak wyrazić – powiedział. – Wiem od zięcia, kanonika Midwintera, że zamierzają dyskutować o książce archidiakona Paleya, który dowodzi, że robotnicy powinni być zadowoleni, zamiast domagać się reformy czy rewolucji.

Riddick wskazał na niego palcem w oskarżycielskim geście.

– Pana zięć nie będzie już zbyt długo kanonikiem. Zerwał z Kościołem anglikańskim i zamierza zostać pastorem metodystów. Ci zbierają już pieniądze na pensję dla niego.

– Ale Paley wciąż jest archidiakonem – odparował Drinkwater. – I napisał tę książkę właśnie po to, by robotnicy zapoznali się z jej treścią. Nie rozumiem, jak można się temu sprzeciwiać.

Hornbeam zrozumiał, że nie udało mu się go przekonać, szybko więc porzucił ten temat.

– Trudno... – mruknął, zniechęcony, ale miał w zanadrzu inny plan.

Sędziowie zakończyli spotkanie i Hornbeam wyszedł z ratusza w towarzystwie Riddicka. Padał ulewny deszcz, jak przez niemal całe lato, postawili więc kołnierze płaszczy i naciągnęli mocniej kapelusze. W drugim roku kiepskiej pogody ceny zbóż poszybowały w górę, ale Hornbeam kupił sto buszli i przechowywał je w magazynie. Zakładał, że za jakiś czas sprzeda je po dwukrotnej cenie zakupu.

Kiedy szli obok siebie, Riddick odezwał się z nietypowym dla niego wahaniem:

– Muszę powiedzieć, że... podziwiam pana córkę, Deborah... bardzo ją podziwiam. Jest... śliczna i... hm... bardzo inteligentna.

Riddick nieco mijał się z prawdą. Deborah była inteligentna i wyglądała dość atrakcyjnie dzięki szczupłej figurze, jaką zwykle mają dziewiętnastoletnie

dziewczyny, ale nie była śliczna. Zadurzył się w niej jednak, a może po prostu doszedł do wniosku, że jest dobrym materiałem na żonę. Hornbeam był zadowolony: jego plan powoli się realizował. Starał się jednak nie okazywać radości.

– Dziękuję – odparł dość obojętnym tonem.

– Pomyślałem, że powinienem to panu powiedzieć.

– Doceniam to.

– Zna pan mój status i wie pan, jakimi dysponuję środkami – kontynuował Riddick. Był dumny z tytułu dziedzica Badfordu, choć z zaledwie tysiącem wieśniaków należał do drobnej szlachty. – Chyba nie muszę panu udowadniać, że jestem w stanie zapewnić jej taki poziom życia, do jakiego przywykła.

– W rzeczy samej, nie musi pan. – Hornbeama bardziej interesowała pozycja Riddicka w milicji hrabstwa Shiring. Płacił mu sute łapówki i dobrze na tym zarabiał. Inni dostawcy również ustawiali się w kolejce do Riddicka, by go przekupić i sprzedawać wojsku towary po zawyżonych cenach. Wszyscy mogli liczyć na spory zysk.

– Nie wiem, czy Deborah odwzajemnia moje uczucia, ale chętnie bym się tego dowiedział... za pańskim przyzwoleniem, oczywiście – dodał Riddick.

Hornbeam znów musiał stłumić entuzjazm, nie chciał bowiem, by zachęcony tym Riddick domagał się szczególnie korzystnych dla siebie zapisów w intercyzie.

– Ma pan moje przyzwolenie – odparł. – Życzę powodzenia.

– Dziękuję.

Deborah była na tyle rozsądna, by rozumieć, że powinna zawrzeć małżeństwo korzystne dla interesów rodziny, poza tym chyba lubiła Riddicka. Ten słynął jednak z tego, że traktuje swoich wieśniaków bardzo surowo, co mogło ją zniechęcić i Hornbeam miałby problem.

– Proszę wejść – powiedział, gdy dotarli do jego domu. – Jest jeszcze coś, o czym chciałbym z panem porozmawiać.

W środku zdjęli mokre płaszcze i powiesili je. Woda ściekała strumieniami na wykładaną płytkami podłogę. Hornbeam dojrzał syna, który przechodził właśnie przez hol.

– Howard, przyślij tu kogoś, żeby to pościerał – nakazał mu.

– Oczywiście – odparł potulnie młodzieniec i ruszył po schodach do piwnicy.

To przypomniało Hornbeamowi, że musi również znaleźć kandydatkę na żonę dla syna. Wiedział, że Howard sam nie będzie próbował jej szukać. Zadowolony tym, co znajdzie mu ojciec. Tylko jaka kobieta chciałaby go poślubić? Taka, której zależałoby na wygodzie i bogactwie, a nie byłaby w stanie zdobyć tego jedynie urodą. Albo, mówiąc wprost, dziewczyna ambitna, lecz niezbyt urodziwa. Hornbeam musiał mieć oczy otwarte.

Wprowadził Riddicka do swojego gabinetu, gdzie w kominku płonął ogień. Zauważył, że gość spogląda łapczywie na karafkę sherry stojącą na komodzie, ale przed chwilą wypili w ratuszu maderę, a Hornbeam uważał, że mężczyzna nie musi pić trunków za każdym razem, gdy tylko przysiadzie.

– Przykro mi, że nie przekonał pan innych sędziów – powiedział Riddick. – Robiłem, co w mojej mocy, ale nie chcieli mnie posłuchać.

– Proszę się nie martwić. Nie tylko jedna droga prowadzi do Londynu, jak mówią.

– Ma pan plan awaryjny. – Gość uśmiechnął się i skinął ze zrozumieniem głową. – Powinienem był się domyślić.

– Nie powiedziałem Drinkwaterowi wszystkiego, co wiem.

– Zachował pan asa w rękawie.

– Owszem. Jeremiaś Hiscock drukuje egzemplarze broszury Londyńskiego Towarzystwa Korespondencyjnego zatytułowanej *Odpowiedź dla archidiakona Paleya*. Rozumiem, że zaprzecza wszystkiemu, co napisał Paley. Zamierzają rozdać te broszury na spotkaniu.

– Kto panu to powiedział?

Hornbeamowi doniósł o tym mleczarz Nash, ale nie zamierzał tego ujawniać. Dotknął palcem boku nosa w geście oznaczającym dyskrecję.

– Zachowam to dla siebie, jeśli pan pozwoli – odparł.

– Jak pan sobie życzy. Jak możemy wykorzystać tę informację?

– Myślę, że to dość proste. Podejrzewam, że treść broszury jest na tyle wywrotowa, że można ją uznać za zdradziecką. Jeśli tak jest, Hiscock zostanie oskarżony.

Riddick skinął głową.

– Jak to przeprowadzimy?

– Pójdziemy z szeryfem do Hiscocka i przeszukamy dom. Jeśli się okaże, że drukarz jest winny, skorzystamy ze swoich praw i jako sędziowie pokoju wydamy wspólnie wyrok.

– Świetnie. – Riddick uśmiechnął się.

– Proszę pójść do Phila Doye'a i powiedzieć mu, żeby spotkał się tu z nami jutro o świcie. Byłoby dobrze, gdyby zabrał ze sobą konstabla.

– Doskonale. – Riddick wstał.

– I proszę nie mówić szeryfowi Doye'owi, o co konkretnie chodzi. Lepiej, żeby ta informacja nie wyciekła, bo wtedy Hiscock miałby dość czasu, by spalić dowody, nim do niego dotrzemy. Poza tym Doye nie musi znać powodu, wystarczy, że dwóch sędziów oświadczy, że przeszukanie jest konieczne.

– Z pewnością.

– A więc widzimy się o świcie.

– Może pan na mnie liczyć – obiecał Riddick i wyszedł.

Hornbeam siedział przez chwilę, wpatrując się w ogień. Ludzie pokroju Spade'a i kanonika Midwintera myśleli, że są sprytni, ale nie mogli się z nim równać. Wkrótce zmusi ich do zakończenia tej wywrotowej działalności.

Przyszło mu do głowy, że podejmuje ryzyko, bo przecież informacje Alfa Nasha mogły być nieprawdziwe. A poza tym niewykluczone, że Hiscock wydrukował już wszystkie broszury i ukrył je albo oddał komuś na przechowanie.

Takie możliwości były niepokojące. Gdyby Hornbeam zrobił o świcie nalot na dom Hiscocka w towarzystwie szeryfa i konstabla i nie znalazłby niczego kompromitującego, wyszedłby na głupca. A upokorzenie było chyba jedyną rzeczą, jakiej nie mógłby znieść. Był ważną osobą i zasługiwał na szacunek. Niestety, czasami trudno uniknąć ryzyka. W czterdziestokilkuletnim życiu podejmował już niebezpieczne wybory i zawsze wychodził z nich obronną ręką – zwykle bogatszy.

Do gabinetu zajrzała jego żona Linnie. Poślubił ją przed dwudziestoma dwoma laty, a teraz uważał, że nie nadaje się na jego małżonkę. Gdyby mógł cofnąć czas, dokonałby lepszego wyboru. Nie była piękna i mówiła jak nisko urodzona londynka, którą zresztą była. Trzymała się uparcie starych nawyków; kładła na przykład na stole bochen chleba i dopiero wtedy go kroїła. Wiedział jednak, że niełatwo byłoby się jej pozbyć. Rozwód był czymś kłopotliwym, wymagał odpowiedniej uchwały parlamentu i szkodził reputacji rozwodnika. Poza tym Linnie sprawnie zarządzała domem, a przy tych rzadkich okazjach, gdy chciał ją w łóżku, zawsze była chętna. W dodatku lubiła ją służba, co dobrze wpływało na stan gospodarstwa domowego. A wiedział, że on nie cieszy się sympatią służących. Budził w nich strach i wolał, by tak pozostało.

– Kolacja gotowa – oznajmiła Linnie.

– Zaraz zejde – odparł.

*

Simpson, smętny lokaj, obudził go o świcie.

– Znów pada, proszę pana. Przykro mi.

A mnie wcale nie, pomyślał Hornbeam, świadomy, że zboże zgromadzone w jego magazynie zyskuje na wartości z każdym deszczowym dniem.

– Jest tu pan Riddick z szeryfem i konstablem Davidsonem – dodał Simpson takim tonem, jakby obwieszczał czyjąś tragiczną śmierć. Zawsze tak mówił. Wydawał się rozczarowany nawet wtedy, gdy informował, że podano kolację.

Hornbeam wypił herbatę przyniesioną przez służącego i ubrał się szybko. Riddick czekał w holu. Rozmawiał cicho z szeryfem Doye'em, napuszczonym drobnym mężczyzną w taniej peruce, który nosił ciężką laskę z wielką gałką z wypolerowanego granitu; w razie potrzeby mogła mu służyć za groźną broń.

Przy drzwiach stał konstabl, Reg Davidson, barczysty mężczyzna ze złamanym nosem, przymkniętym okiem i blizną po cięciu nożem na karku, świadectwami licznych bójek. Hornbeam przypuszczał, że gdyby Davidson nie został konstablem, zapewne zarabiałby na życie jako bandyta; napadałby na nieostrożnych ludzi noszących pieniądze po zmroku i okradał ich.

Hornbeam wytłumaczył szybko, na czym polega ich zadanie.

– Idziemy do domu Jeremiaha Hiscocka przy Main Street.

– Do drukarni – podrzucił Doye.

– Tak. Podejrzewam, że jest winny drukowania broszur o wywrotowej i zdradzieckiej treści. Jeśli mam rację, trafi na szubienicę. Zaaresztujemy go i skonfiskujemy obciążające materiały. Przypuszczam, że będzie protestował i bronił swojego prawa do wolności słowa, ale raczej nie będzie stawiał oporu.

– Jego pracowników nie będzie jeszcze w drukarni – zauważył Davidson. – Nikt nie będzie próbował go bronić. – Wydawał się rozczarowany.

Hornbeam wyprowadził ich z domu. Czterej mężczyźni przeszli szybko High Street, a potem w dół z bocza Main Street. Katedralne gargulce wypluwały z siebie obfite strumienie deszczówki. Drukarnia znajdowała się w dolnej części ulicy, skąd widać było wezbraną płynącą wartko rzekę.

Jak większość dobrze prosperujących rzemieślników w Kingsbridge, Hiscock mieszkał przy swoim zakładzie. Dom nie był podpiwniczony, a fasady nie poddano żadnym przeróbkom, Hornbeam domyślał się więc, że drukarnia mieści się na jego tyłach.

– Zapukaj, Doye – polecił.

Szeryf czterokrotnie uderzył w drzwi gałką laski, by rodzina mieszkająca w środku zrozumiała, że nie jest to przyjacielska wizyta sąsiada.

Otworzył Hiscock, wysoki szczupły mężczyzna w wieku około trzydziestu lat. W pośpiechu narzucił płaszcz na koszulę nocną. Natychmiast zrozumiał, że ma kłopoty, i nagły strach w jego oczach wywołał u Hornbeama dreszcz rozkoszy.

– Sędziowie zostali poinformowani, że na terenie tej posiadłości drukowane są wywrotowe materiały – poinformował go Doye napuszczonym tonem.

Hiscock otrząsnął się nieco z szoku.

– To jest wolny kraj – oznajmił. – Anglicy mają prawo do swoich poglądów. Nie jesteśmy rosyjskimi chłopami pańszczyźnianymi.

– Wolność nie obejmuje prawa do obalania rządu, o czym wie każdy głupiec – odpowiedział Hornbeam, po czym gestem nakazał szeryfowi przejść dalej.

– Z drogi – rzucił Doye do Hiscocka i wtargnął do domu.

Drukarz odsunął się na bok i Hornbeam oraz pozostałych dwóch mężczyzn ruszyli za szeryfem.

Doye przystanął nagle, nie wiedząc, dokąd właściwie ma iść.

– Hiscock, nakazuję ci zaprowadzić sędziów do drukarni – powiedział po chwili wahania.

Hiscock poprowadził ich przez dom. Gdy przechodzili przez kuchnię, zobaczyli przerażoną żonę drukarza, zdumioną służącą i małą dziewczynkę ssącą kciuk. Hiscock zabrał stąd latarnię olejową. Tylne drzwi domu prowadziły bezpośrednio do drukarni, wypełnionej zapachem naoliwionego metalu, papieru i tuszu.

Hornbeam rozejrzał się, onieśmielony przez chwilę widokiem maszynerii, której nie znał, szybko jednak zorientował się, co jest czym. Rozpoznał tace z metalowymi literami, ułożonymi starannie w kolumnach; ramę, w której litery ułożono tak, by tworzyły słowa i zdania, oraz ciężkie urządzenie z długą dźwignią, które z pewnością było prasą. Dokoła leżały zwoje papieru i skrzynki z kartkami; niektóre były czyste, a inne już zadrukowane.

Spojrzał na czcionki ułożone w ramie; zapewne był to tekst, który Hiscock właśnie drukował. Serce Hornbeama zabiło mocniej na myśl, że być może to ta podejrzana broszura. Nie mógł jednak odczytać słów.

– Więcej światła! – zażądał i drukarz posłusznie zapalił kilka latarni. Mimo to Hornbeam wciąż nie mógł odczytać tego, co kryło się w ramie; wydawało się, że wszystkie słowa zostały napisane od tyłu. – To jakiś szyfr? – spytał oskarżycielskim tonem.

Hiscock spojrzał na niego z pogardą.

– To, na co pan właśnie patrzy, to lustrzane odbicie tekstu, który ukaże się na papierze – wyjaśnił, po czym drwiącym tonem dodał: – O czym wie każdy głupiec.

Dopiero w tym momencie Hornbeam uświadomił sobie z zażenowaniem, że metalowe czcionki muszą być odwrócone.

– Oczywiście – rzucił, dotknięty do żywego słowami „O czym wie każdy głupiec”.

Kiedy przyjrzał się uważniej złożonej w ramie czcionce, zrozumiał, że to kalendarz na nadchodzący 1796 rok.

– Kalendarze to moja specjalność – oznajmił Hiscock. – W tym wyróżniono wszystkie święta kościelne. Chętnie kupują go duchowni.

Hornbeam spojrzał na niego zniecierpliwiony.

– Nie tego szukamy – prychnął. – Otwórz wszystkie skrzynki i rozłóż zwoje. Gdzieś tutaj kryje się rewolucyjna propaganda.

– A kiedy już się przekonacie, że nie ma tu takich materiałów, pomoże mi pan położyć wszystko na miejsce?

Tak głupie pytanie nie zasługiwało na odpowiedź, więc Hornbeam je zignorował.

Doye i Davidson zaczęli szukać, a dwaj sędziowie przyglądali się temu w milczeniu. Po chwili do drukarni weszła żona Hiscocka, szczupła kobieta o wyrazistej szlachetnej urodzie.

– Co tu się dzieje? – spytała, siląc się na oburzony i wyzywający ton, co nie wyszło jej zbyt przekonująco.

– Nie martw się, kochanie – odpowiedział jej mąż. – Szeryf szuka czegoś, czego tu nie ma.

Powiedział to z taką pewnością siebie, że Hornbeam poczuł niepokój.

Pani Hiscock spojrzała na szeryfa.

– Robicie tu okropny bałagan – upomniała go.

Doye otworzył usta, by odpowiedzieć, ale najwyraźniej nic sensownego nie przyszło mu do głowy, bo po chwili je zamknął.

– Wracaj do kuchni – polecił Hiscock żonie. – Daj Emmy śniadanie.

Pani Hiscock wahała się przez chwilę, wyraźnie niezadowolona, że mąż ją odprawił, ale w końcu wyszła z drukarni.

Hornbeam rozejrzał się. Kobieta miała rację, trochę tu nabałaganili, ale co istotniejsze, nie znaleźli jeszcze niczego, co można by uznać za wywrotowe.

– Prawie same kalendarze – oznajmił Doye. – Trochę ulotek dla teatru z programem na najbliższe tygodnie i reklama nowego sklepu z elegancką zastawą stołową.

– Zadowolony, Hornbeam? – spytał Hiscock.

– Dla ciebie „panie radny Hornbeam”. – Zaczął się obawiać, że czeka go upokorzenie. – To musi gdzieś tu być – powiedział z uporem. – Przeszukajcie dom.

Na parterze niczego nie znaleźli. Dom drukarza był urządzone dość prosto, ale wygodnie. Hiscockowie z uwagą przyglądali się intruzom. Na piętrze mieściły się trzy sypialnie, a na strychu pokój przeznaczony zapewne dla służącej. Czterej mężczyźni udali się najpierw do sypialni małżeńskiej, gdzie stało niezaścielone jeszcze wielkie podwójne łóżce z kolorowymi przykryciami i pomiętymi poduszkami. Kiedy Doye przeszukiwał komodę, żona drukarza spytała sarkastycznie:

– Interesuje pana moja bielizna, szeryfie?

– Nie przejmuj się, kochanie, ktoś kazał im szukać wiatru w polu – powiedział Hiscock. W jego głosie pobrzmiwała jednak nuta strachu i Hornbeam pomyślał, że być może są już bliscy celu.

Nie znaleźli nic w szafie ani w koszu na bieliznę. Obok łóżka leżała duża Biblia, oprawna w brązową skórę, niezbyt stara, ale najwyraźniej często

przełączana. Hornbeam podniósł ją i otworzył. Była to standardowa Biblia króla Jakuba. Przerzucił kilka stron i wtedy coś z niej wypadło. Pochylił się i podniósł niewielką broszurę.

Miała szesnaście stron i tytułu *Odpowiedź dla archidiacona Paleya*.

– Proszę, proszę – rzucił Hornbeam z satysfakcją.

– Nie ma w tym nic wywrotowego – oświadczył Hiscock, który wyraźnie pobladł. – To pomoc naukowa do studiowania Biblii – dodał zdesperowany.

Hornbeam otworzył broszurę na chybił trafił.

– Strona trzecia. *Korzyści z rewolucji francuskiej* – przeczytał głośno. Podniósł wzrok i wykrzywił usta w szyderczym uśmiechu. – Powiedz mi, proszę, gdzie Biblia wspomina o rewolucji francuskiej?

– Księga Przysłów, rozdział dwudziesty ósmy – odparł Hiscock bez wahania i zacytował odpowiedni ustęp. – *Lwem ryczącym, zgłodniałym niedźwiedziem jest władca występny nad biednym ludem**.

Hornbeam zignorował go i nadal przeglądał broszurę.

– Strona piąta. *Zalety republikańskiej formy rządów* – przeczytał.

– Autor ma prawo do swojej opinii. A ja niekoniecznie zgadzam się ze wszystkim, co pisze.

– Ostatnia strona: *Francja nie jest naszym wrogiem*. – Hornbeam podniósł wzrok. – Jeśli to nie są dowody na działanie przeciwko naszemu państwu, to sam już nie wiem, co może nimi być. – Odwrócił się do Riddicka. – Odkryliśmy chyba właśnie, że Hiscock jest w posiadaniu wywrotowych i zdradzieckich materiałów. Co pan na to?

– Zgadzam się.

– Dwaj sędziowie uznali cię za winnego – zwrócił się Hornbeam do drukarza. – Zdrada karana jest śmiercią.

Hiscock zaczął drzeć.

– Wyjdziemy na zewnątrz i ustalimy, jaką poniesiesz karę. – Hornbeam otworzył drzwi i przepuścił Riddicka, po czym wyszedł za nim z sypialni. Zamknął

ją, zostawiając w środku drukarza z szeryfem i konstablem.

– Sami nie możemy go powiesić, a nie wiem, czy sąd wyjazdowy uzna go za winnego – powiedział Riddick.

Hornbeam skinął głową.

– Zgadzam się. Niestety, nie mamy dowodów, że drukował albo w jakikolwiek inny sposób rozpowszechniał tę truciznę. Być może zdążył już przygotować dużo tych broszur i ukryć je gdzieś, ale to tylko domysły.

– A więc chłosta?

– Nic więcej nie możemy zrobić.

– Tuzin batów?

– Więcej – rzucił Hornbeam, przypomniawszy sobie, z jaką pogardą Hiscock powiedział „O czym wie każdy głupiec”.

– Jak pan uważa.

Wrócili do sypialni.

– Jak na ciężar twojej winy otrzymasz łagodną karę – zwrócił się do drukarza. – Zostaniesz wychłostany na rynku.

– Nie! – krzyknęła jego żona.

– Dostaniesz pięćdziesiąt batów – dodał Hornbeam z satysfakcją.

Hiscock zachwiał się i omal nie upadł.

Żona zaczęła histerycznie płakać.

– Szeryfie, proszę go zabrać do więzienia – polecił Hornbeam.

*

Spade pracował przy krośnie, gdy do jego warsztatu wpadła Susan Hiscock. Nie miała kapelusza, z jej ciemnych włosów ściekała deszczówka, a wielkie oczy były czerwone od płaczu.

– Zabrali go – wydyszała.

– Kto?

– Radny Hornbeam, dziedzic Riddick i szeryf Doye.

– Kogo zabrali?

– Mojego Jerry’ego. I mają go wychłostać!

– Proszę się uspokoić. Chodźmy. – Zaprowadził ją do swojego pokoju. – Proszę usiąść. Zrobię pani herbaty, a pani weźmie głęboki oddech i opowie mi o wszystkim.

Zrelacjonowała mu całe wydarzenie, gdy nastawiał czajnik i przygotowywał liście herbaty, dzbanek, mleko i cukier. Mocno posłodził herbatę, by dodać Susan sił. To, co od niej usłyszał, poważnie go zaniepokoiło. Mimo środków ostrożności, które podjął, Hornbeam zaatakował Towarzystwo Sokratyczne.

– Pięćdziesiąt batów! – rzucił, kiedy skończyła. – To oburzające. Nie jesteśmy w marynarce wojennej.

Pięćdziesiąt batów nie było karą, lecz torturą. Hornbeam chciał zastraszyć ludzi; był gotowy zrobić wszystko, by robotnicy z Kingsbridge nie mogli się uczyć.

– Co mam zrobić? – spytała Susan.

– Musi pani odwiedzić męża w więzieniu.

– Wpuszczą mnie tam?

– Porozmawiam ze strażnikiem więziennym, George’em Gilmore’em, nazywają go Gil. Wpuści panią. Wystarczy dać mu szylinga.

– Och, Bogu dzięki, przynajmniej będę mogła zobaczyć się z Jerryem.

– Proszę mu zanieść ciepłe jedzenie i dzban piwa. To podtrzyma go trochę na duchu.

– Dobrze. – Susan wyraźnie się uspokoiła. Świadomość, że może coś zrobić dla męża, dodała jej otuchy.

Spade musiał jej jednak przekazać także i gorsze wieści.

– Będzie potrzebował jakichś starych spodni i szerokiego skórzanego pasa.

– Dlaczego? – spytała, unosząc brwi.

Musiał jej to powiedzieć.

– Bat rozerwie spodnie, a pas ochroni jego nerki. – Niektórzy skazańcy przez długie tygodnie sikali krwią. Niektórzy nigdy nie wracali do zdrowia.

– O Boże... – Susan znów zaczęła płakać, tym razem ciszej, raczej z rozpacz niż ze strachu.

– Mówili, kto doniósł na pani męża? – zadał pytanie, które ciążyło mu chyba najbardziej.

– Nie.

– Podejrzewa pani kogoś?

– Nie.

Spade skinął głową. Musiał to być któryś z członków komitetu założycielskiego. Przychodziły mu do głowy trzy możliwości, ale stawiał na Alfa Nasha. W zachowaniu mleczarza było coś podejrzanego.

Dowiem się, pomyślał z posępną determinacją.

Susan wcale nie obchodziło to, kto był zdrajcą. Myślała tylko o mężu.

– Zaniosę mu potrawkę z bekonem i fasolą – powiedziała. – Taką samą, jaką robiła mu matka. – Wstała. – Dziękuję panu, Spade.

– Proszę mu przekazać... – Nie wiedział, jak dokończyć to zdanie. Pozdrowienia? Błogosławieństwo? – Wyrazy wsparcia.

– Dobrze.

Wyszła przytłoczona smutkiem, ale spokojniejsza i zdecydowana. Spade wrócił do krosna i zajął się pracą, ale nie mógł przestać myśleć o tym, co się stało. Gdyby w przyszłości Towarzystwo Sokratyczne chciało wydrukować jakieś materiały, będzie musiał skorzystać z usług innego drukarza, pozostającego poza zasięgiem sędziów w Kingsbridge, prawdopodobnie w Combe.

Nim zdążył na dobre wdroić się w pracę, znów mu przerwano. Tym razem do warsztatu zajrzała jego siostra Kate. Miała na sobie płócienny fartuch, w którym tkwiło kilkanaście szpilek.

– Możesz przyjść do domu? – spytała. – Ktoś chce się z tobą zobaczyć. – Zniżyła głos do półszepotu, choć w pobliżu nikogo nie było. – Żona biskupa.

Spade poczuł radość i jednocześnie lęk. Zawsze cieszył go sam widok Arabelli, a teraz przysłała do niego i prosiła o spotkanie. Wiedział, jak niebezpieczne może się okazać to, co do siebie czuli, nie zamierzał jej jednak unikać.

– Już idę – odparł i szybko przeszli razem przez smagane deszczem podwórze.

– Jest na górze, drzwi po prawej – powiedziała Kate, gdy znaleźli się w domu. – Nie ma tam nikogo innego.

– Dziękuję.

Spade wszedł na schody. Na piętrze mieściły się trzy sypialnie, choć zwykle używano ich jako przebieralni dla klientów. Arabella była w największej z nich; stała przy łóżku, w płaszczu, który trzy lata wcześniej Kate uszyła dla niej z utkanego przez niego materiału.

– Pani Latimer! To zaszczyt – przywitał ją oficjalnie.

– Zamknij drzwi – poprosiła cicho.

Zrobił to posłusznie.

– Co się stało? – spytał.

– Jeremiaś Hiscock ma być wychłostany za posiadanie wywrotowej broszury.

– Wiem. Przed chwilą była u mnie jego żona. Wieści szybko się rozchodzą. Dlaczego tak cię to martwi?

– Bo ty możesz być następny! – odparła z przejęciem, głosem zniżonym do szeptu.

To, że tak bardzo przejmowała się jego losem, szczerze wzruszyło Spade'a. Ale czy miała się czym martwić? Czy łamał prawo? Nie posiadał wywrotowych materiałów, choć współorganizował spotkanie, którego uczestnicy mogli krytykować rząd, kwestionować sens wojny z Francją i opowiadać się za republiką. Trudno było orzec, czy to przestępstwo, ale sędziowie mieli dość władzy, by interpretować prawo według własnego uznania.

Chłosta była karą bolesną i upokarzającą. Spade nie mógł się jednak poddać i przerwać działalności Towarzystwa Sokratycznego. Hornbeam i Riddick byli

despotami i oszustami, a on nie zamierzał dopuścić, by traktowali Kingsbridge jak swoją własność.

– Nie wydaje mi się, żeby coś mi groziło – powiedział z udawaną pewnością siebie.

– Nie zniosłabym tego! – Rzuciła mu się w ramiona. – Od tak dawna marzę o twoim ciele, a teraz nie mogę się uwolnić od myśli, że zostanie zmasakrowane i okaleczone.

Przytulił ją.

– Naprawdę się przejmujesz – mruknął, zadziwiony siłą jej namiętności.

Odsunęła się o krok i otarła oczy.

– Musisz zrezygnować z Towarzystwa Sokratycznego. Narobisz sobie tylko kłopotów. Mój mąż mówi, że sędziowie nie pozwolą na działalność Towarzystwa.

– Nie mogę się poddać.

– Mówisz tak, bo duma ci na to nie pozwala!

– Być może.

– Czy takie rewolucyjne dyskusje mogą przynieść coś dobrego? Ludzie zaczynają tylko narzekać na swój los.

– To też powiedział twój mąż, prawda?

– Owszem. Ale czy nie ma racji?

– On nie rozumie. Ludzie tacy jak my bardzo cenią sobie prawo do posiadania i wyrażania swoich poglądów. Nie wyobrażasz sobie, jakie to dla nas ważne.

– Mówisz „ludzie tacy jak my”. Uważasz, że ja jestem inna?

– Cóż... tak. Jesteś żoną biskupa. Możesz robić, co chcesz.

– Wiesz, że to nieprawda. Gdybym mogła robić, co chcę, leżałabym z tobą w tym łóżku. – Spojrzała na niego, a on zachwycił się cudowną pomarańczowo-brązową barwą jej oczu. – Naga – dodała.

To było niezwykle. Nigdy dotąd nie słyszał, by jakaś kobieta mówiła w ten sposób, nie wspominając już o żonie biskupa. Ogarnęło go nieopisane uniesienie.

– Za coś takiego gotów byłbym dać się wychłostać – powiedział.

Zbliżyła się do niego i rozpięła płaszcz. Spade potraktował to jako zaproszenie; zaczął ją delikatnie gładzić, rozkoszował się jej krągłościami i ciepłem ciała, które przenikało przez suknię. Patrzyła mu w oczy, gdy jej dotykał. Był pewien, że będą się kochać tutaj, na tym łóżku, w tej chwili.

Nagle jednak usłyszał głos Kate dobiegający z parteru:

– Może to pani przymierzyć na górze, pani Tolliver.

Spade i Arabella zamarli.

Usłyszeli kroki na schodach i inny głos:

– Och, dziękuję bardzo.

Spade odwrócił się do drzwi. Były zamknięte, ale nie na klucz. Zobaczył, że Arabella zbladła jak ściana. Przystawił czubek buta do drzwi, by nie dało się ich otworzyć.

Potem usłyszał, jak pani Tolliver naciska na klamkę i otwiera inne drzwi. Wybrała pokój po drugiej stronie korytarza. Drzwi zamknęły się z trzaskiem, a chwilę później Kate zapukała delikatnie do ich pokoju.

– Możecie wyjść – powiedziała cicho.

Spade otworzył drzwi przed Arabellą.

– Ty pierwsza.

Wyszła bez słowa.

– Lepiej przyniosę tu klucz – mruknęła Kate, spoglądając na zamek.

Wiedział, że siostra zachowa to dla siebie. On znał jej sekret od lat i również nikomu go nie wyjawiał. Pamiętał, jak wszedł kiedyś do jej pokoju, gdy mieli po kilkanaście lat, i zobaczył, jak Kate całuje piersi przyjaciółki. Wszedł w pośpiechu, ale później o tym rozmawiali. Siostra powiedziała mu, że kocha kobiety, a nie mężczyzn, ale nikt nie może o tym wiedzieć. Obiecał jej, że jej nie zdradzi, i dochował przyrzeczenia.

Teraz Kate spojrzała na niego z powagą.

– Bądź ostrożny, na miłość boską – upomniała go.

– Sam powtarzałem ci to wiele razy. – Spade uśmiechnął się. – Ale wszyscy ryzykujemy dla miłości.

– To nie to samo. Nikt nie podejrzewa dwóch kobiet. Ludzie myślą, że nie można się kochać bez kutasa. Ale ty to co innego: jesteś samotnym mężczyzną, a ona żoną biskupa. Ukrzyżowaliby cię, gdyby się dowiedzieli.

Oczywiście nie ukrzyżowaliby go w dosłownym znaczeniu tego słowa, ale mogliby mu uniemożliwić prowadzenie interesów w Kingsbridge.

– Nie zrobiliśmy nic złego – powiedział. – Poza pocałunkiem...

– Ale nie zamierzacie na tym poprzestać, prawda?

– Cóż...

Kate pokręciła głową z rezygnacją.

– Jesteśmy sobie warci, ty i ja.

Zeszli razem na dół. Spade wyszedł tylnymi drzwiami i wrócił do warsztatu.

Musiał porozmawiać z Alfem Nashem. Może dostrzeże w jego zachowaniu jakieś oznaki poczucia winy. O tej porze Alf prawdopodobnie był w swojej mleczarni. Spade włożył płaszcz i kapelusz, zabrał dzbanek na mleko i wyszedł z warsztatu.

Zastał Alfa w mleczarni: liczył pieniądze zarobione podczas porannego obchodu. Był pucułowaty i rumiany, czemu trudno się było dziwić, skoro żywił się głównie swoimi produktami. Spade postawił dzbanek na blacie.

Alf zanurzył miarkę w wiadrze mleka. Spade odczekał, aż skupi się na przelewaniu z miarki do jego dzbana.

– Słyszałeś, że aresztowali Jeremiaha? – spytał.

Czekając na odpowiedź, obserwował uważnie twarz mleczarza.

Ten odpowiedział spokojnie i bez wahania:

– Słyszałem to dziesiątki razy podczas porannego obchodu. Wszyscy o tym mówią. – Skończył przelewać mleko. – Jeden pens, poproszę. – Zachowywał obojętny wyraz twarzy, ale nie patrzył mu w oczy.

Spade podał mu monetę.

Pomyślał, że Alf jest winny, ale chciał mieć pewność. Nagle przyszło mu do głowy, jak może się o tym przekonać. Pochylił się nad blatem i szepnął konfidencjonalnym tonem:

– Znaleźli tylko jedną broszurę, oryginał z Londynu.

– Tak słyszałem.

– Na szczęście Jeremiaś skończył wczoraj drukować egzemplarze i schował je w moim magazynie – skłamał Spade.

Alf po raz pierwszy podniósł na niego wzrok.

– W twoim magazynie? Sprytnie.

Spade pomyślał z satysfakcją, że mleczarz złapał przynętę.

– Przechytrzyliśmy tego wieprza Hornbeama. Będziemy mieli tyle broszur, ile potrzebujemy na spotkanie – dodał, by jego blef zabrzmiał jeszcze bardziej przekonująco.

– To wspaniałe wieści – rzucił Alf bez przekonania.

Spade był pewien, że udaje.

Zabrał dzbanek i ruszył do drzwi. Pomyślał jednak, że powinien dodać jeszcze jedną ważną rzecz. Przystanął i odwrócił się do mleczarza.

– Nie mów o tym nikomu, dobrze?

– Oczywiście – zapewnił Alf.

– Nie rozmawiaj o tym nawet z innymi członkami komitetu założycielskiego. Ściany mają uszy.

– Będę milczał jak grób.

*

Godzinę przed południem na rynku Kingsbridge zebrał się mimo deszczu tłum gapiów, którzy chcieli obejrzeć chłostę. Na straganach leżały towary, gospoda U Bella była otwarta, ale ludzie nie mieli zbyt dużo pieniędzy do wydania. Mimo to na rynku panował tłok – z wyjątkiem okolicy pręgierza, od którego ludzie odsuwali się, jakby był zadżumiony i mogli się zarazić.

Kat miejski Morgan Iverson stał przy słupie z batem w ręce. Wymierzanie chłosty należało do jego obowiązków. Był człowiekiem nielubianym i niedbającym o popularność, na szczęście dla niego, bo i tak nikt nie chciał przyjaźnić się z katem. Płacono mu funta miesięcznie oraz dodatkowego za każdą egzekucję – duże pieniądze za mało pracy.

Za chłostę dostawał dwa szylingi i sześć pensów.

Wkrótce przyprowadzono Jeremiaha z więzienia, które znajdowało się obok ratusza. Nagi od pasa w górę, z rękami związanymi z przodu, szedł Main Street, eskortowany przez dwóch konstabli. Gdy zobaczyli go ludzie zgromadzeni na rynku, podniósł się wśród nich pomruk współczucia.

Gdyby skazańcem był włamywacz albo bandyta, tłum by go wyszydzał, wykrzykiwał obelgi, a nawet obrzucał śmieciami, bo ludzie nienawidzili złodziei. Teraz jednak było inaczej. Wszyscy znali Jeremiaha i wiedzieli, że nie wyrządził im żadnej krzywdy. Przeczytał broszurę, która zachęcała do reform, a większość z nich uważała, że należało je przeprowadzić już dawno temu. Nikt więc z niego nie szydził, a gdy jacyś chłopcy stojący w pobliżu pręgierza zaczęli gwizdać, natychmiast ich uciszono.

Spade stał na schodach katedry, skąd miał dobry widok na rynek. Joanie, która przystanęła obok niego, trzymała coś, co wyglądało jak czyste prześcieradło.

– Do czego ci to? – spytał.

– Zobaczysz – odparła.

Była z nimi Sal.

– Powiedz mi, Spade, kto nas zdradził? – spytała. – Ktoś powiedział Hornbeamowi, że Jeremiaha będzie drukować tę broszurę. Kto?

– Nie wiem – rzucił. – Ale zamierzam się tego dowiedzieć.

– Daj mi znać, kiedy już się dowiesz – poprosił Jarge.

– I co wtedy zrobisz?

– Wyjaśnię temu człowiekowi, że pobił.

Spade skinął głową. Domyślał się, jak będą wyglądały te wyjaśnienia. Jarge z pewnością nie zamierzał uciekać się do siły argumentów.

Szeryf Doye przepchał się bezceremonialnie przez tłum. Konstable doprowadzili Jeremiaha do pręgierza, prostej konstrukcji z trzech belek ułożonych na kształt futryny drzwiowej. Na samym końcu szli Hornbeam i Riddick, jako sędziowie, którzy wydali wyrok.

Konstable umieścili Jeremiaha w drewnianym prostokącie niczym postać w ramach obrazu. Przywiązano mu ręce do poziomej belki nad głową, odsłaniając w ten sposób plecy.

Do chłosty używano typowego kańczuga, okrutnego narzędzia o dziewięciu skórzanych pasach, w które wpleciono dodatkowo kamyki i gwoździe. Ivinson potrząsnął biczem, jakby sprawdzał jego wagę, po czym wyprostował wszystkie rzemienie.

W każdym mieście i każdej wiosce znajdowało się takie narzędzie. Podobnie jak na każdym okręcie królewskiej marynarki wojennej i w każdym oddziale wojska. Uważano, że jest to nieodzowny element utrzymania prawa i porządku oraz wojskowej dyscypliny. Twierdzono również, że powstrzymuje ludzi od zbrodni i złego zachowania. Spade szczerze w to wątpił.

Z katedry wyszedł kapłan. Spade, Jarge, Sal i Joanie odsunęli się na bok, by go przepuścić. Spade nie znał tego wyglądającego dość młodo człowieka. Biskup nie zniżyłby się do udziału w tej rutynowej kaźni, ale Kościół musiał pokazać, że pochwała to, co miało się tu wydarzyć. Tłum dostrzegł kapłańskie szaty i ucichł. Pastor rozpoczął modlitwę; prosił Boga, by wybaczył zbrodnię, której dopuścił się skazaniec. Niewielu ludzi powiedziało „Amen”.

Hornbeam dał głową znak katu i ten stanął za Jeremiahem, na lewo od pręgierza, by mógł brać szeroki zamach prawą ręką.

Nad rynkiem zapadła głucha cisza.

Ivinson uderzył.

Odgłos bicia uderzającego w ciało był zaskakująco głośny. Skazaniec nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Na jego plecach pojawiły się czerwone pręgi, ale jeszcze nie krwawił.

Kat znowu wziął zamach i uderzył po raz drugi. Tym razem na skórze Jeremiaha zalśniły pierwsze krople czerwieni.

Iverson poruszał się powoli, bo kara nie mogła zakończyć się zbyt szybko. Wziął zamach po raz trzeci i po tym, jak uderzył, skazaniec krwawił już w kilku miejscach i z jego ust wydobył się cichy jęk.

Kat kontynuował chłostę. Na plecach Jeremiaha pojawiały się kolejne krwawe smugi. Po chwili Iverson zaczął dla odmiany uderzać go po nogach; spodnie jego ofiary porwały się i odsłoniły pośladki.

– Dziesięć! – zawołał szeryf Doye, którego zadaniem było odliczanie uderzeń.

Wkrótce całe plecy Jeremiaha pokryły się krwią. Bicz uderzał w zranione ciało i skazaniec zaczął krzyczeć z bólu.

– Dwadzieścia!

Krwawy spektakl robił się nużący; niektórzy ludzie odchodzili, zniesmaczeni i znudzeni, większość jednak została, by obejrzeć kaźń do końca. Jeremiah krzyczał teraz przy każdym uderzeniu, a między nimi wydawał z siebie przerażające dźwięki: szloch połączony z jęczeniem.

Iverson zaczął się już męczyć; robił dłuższe przerwy, ale wydawało się, że wciąż uderza równie mocno. Kiedy podnosił bicz, z rzemieni leciały dokoła strzępy ludzkiego ciała i skóry, a widzowie cofali się z odrazą, gdy spadały na nich niczym deszcz.

Jeremiah był już niemal całkiem nagi; został tylko w butach i skórzanym pasku. Nie miał już nawet siły krzyczeć, płakał tylko jak dziecko.

– Czterdzieści! – zawołał Doye i Spade podziękował w myślach Bogu, że tortura dobiega końca.

Przy czterdziestu pięciu Jarge zwrócił się do Joanie:

– Teraz.

Spade obserwował z ciekawością, jak brat i siostra przepychają się w stronę pręgierza.

Jeremiah miał zamknięte oczy, ale wciąż płakał.

Bicz uderzył po raz ostatni i Doye wykrzyknął:

– Pięćdziesiąt!

Jarge stanął przed Jeremiahem. Konstable rozwiązali ręce skazańca i ten osunąłby się na ziemię, gdyby Jarge go nie przytrzymał. Joanie rozłożyła prześcieradło i okryła nim zmasakrowane plecy, a gdy jej brat odwrócił skatowanego mężczyznę, owinęła go prześcieradłem z przodu. Jarge obrócił go ponownie, pochylił się i półprzytomny Jeremiah opadł na jego ramię.

Jarge podniósł się i zaniósł go do domu, do żony.

*

Dwa dni później Spade'a obudziło o świcie głośnie kołatanie do drzwi magazynu.

Wiedział, kto to. Niecałe czterdzieści osiem godzin wcześniej powiedział Alfowi Nashowi, że w magazynie ukryto wywrotowe broszury. Alf uwierzył w kłamstwo i – jak zakładał Spade – przekazał tę informację Hornbeamowi, a ten powiadomił szeryfa Doye'a i to właśnie szeryf dobijał się do drzwi.

Alf był zdrajcą i właśnie wpadł w pułapkę.

– Idę! – zawołał Spade. Nie spieszył się jednak; spokojnie włożył spodnie, buty, koszulę i kamizelkę. Nie zamierzał witać przedstawicieli władzy w negliżu. Zależało mu na odpowiednim wyglądzie.

Znów rozległo się kołatanie, tym razem głośniejsze i bardziej natarczywe.

– Cierpliwości! – zawołał. – Już idę!

W końcu otworzył drzwi.

Zgodnie z tym, czego oczekiwał, ujrzał Hornbeama, Riddicka, Doye'a i Davidsona.

– Sędziowie zostali poinformowani, że w tym budynku przechowywane są wywrotowe i zdradzieckie druki – powiedział szeryf.

Spade spojrział na Hornbeama. Radny wpatrywał się w niego tak, że gdyby spojrzenie mogło zabijać, to Spade padłby na miejscu.

– Cieszę się, że zawitał pan w moje skromne progi, panie radny.

– Cieszysz się? – powtórzył Hornbeam ze zdumieniem.

– Oczywiście. – Spade uśmiechnął się. – Przeszukacie dokładnie mój magazyn i oczyścicie moje imię z tych ohydnych plotek. Będę wam bardzo wdzięczny. – Spade zauważył, że na twarzy Hornbeama pojawia się wyraz niepokoju. – Proszę wejść.

Otworzył drzwi na całą szerokość i odsunął się na bok, by wpuścić do środka czterech mężczyzn.

Zaczęli się rozglądać.

– Będziecie potrzebować światła – powiedział Spade, zapalił cztery latarnie i wręczył każdemu po jednej. Mieli niepewne miny. Zwykle ludzie, których nachodzili, traktowali ich z niechęcią i próbowali stawiać opór, nie mogli więc zrozumieć przyjaznego zachowania Spade'a.

Przejrzeli bele materiałów w magazynie, ściągnęli pościel z łóżka w pokoju, zbadali dokładnie krosna, jego i pozostałych tkaczy, jakby w osnowie i wątku można było ukryć dziesiątki broszur.

W końcu się poddali. Hornbeam był wściekły i sfrustrowany, jakby zaraz miał eksplodować.

Spade wyprowadził ich na ulicę. Zrobiło się już całkiem jasno, na High Street było sporo ludzi spieszących do pracy czy otwierających sklepy i warsztaty. Koniecznie chciał uściskać dłoń rozsierzonego Hornbeama i głośno dziękował mu za uprzejmość, ściągając na siebie uwagę przechodniów. Był pewien, że wkrótce całe miasto będzie wiedzieć, że radny przeszukał jego magazyn i niczego nie znalazł.

W końcu Spade wrócił do swojego pokoju i zrobił sobie śniadanie. Gdy mył talerz, przyszedł Jarge.

– O wszystkim słyszałem – oznajmił od progu. – Dlaczego szeryf Doye myślał, że masz wywrotowe broszury?

– Bo powiedział mu o tym Alf Nash.

Jarge nie bardzo mógł to zrozumieć.

– Ale przecież ich nie miałeś.

– Oczywiście, że nie.

– Więc dlaczego Alf myślał, że masz?

– Bo ktoś mu tak powiedział.

– Kto?

– Ja.

– Ale... – Zdumiony Jarge uniósł brwi. – Chwileczkę...

Spade uśmiechał się pod nosem, obserwując, jak gość próbuje rozwikłać tę zagadkę. W końcu Jarge wyciągnął właściwe wnioski.

– Szczwany lis z ciebie – rzucił.

Spade skinął głową.

– To dowodzi, że zdrajcą jest Alf Nash – powiedział Jarge. – Więc to z pewnością on doniósł na Jeremiaha.

– Tak właśnie myślę.

Jarge zacisnął usta w ponurym grymasie.

– Chyba wiem, co trzeba zrobić – oznajmił.

– Jestem o tym przekonany.

* Prz 28,15.

ROZDZIAŁ 14

Przy śniadaniu Hornbeam spoglądał w zamyśleniu na Isobel Marsh.

Nazywano ją Bel, choć nie uchodziła za piękność. Była jednak sympatyczna i pełna życia, i Hornbeamowie ją lubili. Odwiedziła ich poprzedniego wieczoru i została na noc. Przy śniadaniu Deborah i Bel oglądały ilustracje w czasopiśmie „The Gallery of Fashion” i śmiały się z – absurdalnych ich zdaniem – kapeluszy o szerokich rondach, zdobionych wstążkami, piórami i broszkami.

Howard śmiał się z nimi i to właśnie przykuło uwagę jego ojca. Przyjrzał się Bel uważniej. Miała jasnoniebieskie oczy i pełne czerwone usta, które z trudem domykały się na wystających zębach. Pomyślał, że mogłaby być bardzo dobrą kandydatką na żonę Howarda.

Jej ojciec, Isaac Marsh, był właścicielem najlepiej zarządzanej farbiarni w mieście. Zatrudniał kilkunastu robotników i zarabiał mnóstwo pieniędzy. Kilka lat temu Hornbeam rozpytywał dyskretnie, czy Marsh nie chciałby sprzedać firmy, bo byłaby doskonałym uzupełnieniem jego imperium. Odpowiedzią było stanowcze „nie”.

Bel była jedynym dzieckiem Marshów, więc gdyby Howard się z nią ożenił, odziedzyczyliby farbiarnię i ostatecznie firma stałaby się własnością Hornbeama.

Kiedy o tym rozmyślał i przyglądał się młodym ludziom przy stole, Howard powiedział:

– Ten kapelusz wygląda tak, jakby założyła w nim gniazdo rodzina gołębi!

Dziewczęta zachichotały, po czym Bel żartobliwie uderzyła Howarda w ramię. Chłopak udawał, że okropnie go to zabolalo, i powiedział, że chyba ma złamaną rękę, na co Bel znów się roześmiała. Wyglądało na to, że lubi Howarda.

Hornbeam nigdy dotąd nie widział, by syn flirtował, a teraz zobaczył, że jest w tym całkiem niezły. Z pewnością nie odziedziczył tej umiejętności po nim. Może jednak będę miał tę farbiarnię, pomyślał.

Linnie poprosiła lokaja o więcej mleka.

– Przykro mi, proszę pani, ale nie mamy więcej mleka – odparł Simpson, jak zawsze przybierając przy tym tragiczną minę.

To zirytowało Hornbeama. Czy ci służący nie mogli się jakoś zorganizować i kupić tyle mleka, by nie zabrakło go na rodzinnym śniadaniu?

– Jak to możliwe, że skończyło nam się mleko? – spytał ze złością.

– Nash nie przyszedł dziś rano, proszę pana, więc musiałem wysłać służącą do mleczarni. Powinna wrócić lada moment.

– W porządku, Simpson, możemy poczekać kilka minut – uspokoiła go Linnie.

– Dziękuję pani.

Hornbeamowi nie podobało się to wyrozumiałe podejście żony do służących, nie skomentował go jednak, bo rozmyślał o czymś ważniejszym, zaniepokojony słowami Simpsona. Alf Nash nie dostarczył rano mleka. Dlaczego? Hornbeam wciąż wracał myślami do nieudanego przeszukania magazynu Spade'a. Przypuszczał, że ten przebiegły sukiennik usunął broszury, prawdopodobnie poinformowany o planowanym nalocie. Ale kto mógł go ostrzec? Hornbeam nie rozwiązał jeszcze tej zagadki, a teraz pojawił się kolejny problem. Co musiało się wydarzyć, by Nash zrezygnował z porannego obchodu?

Im dłużej o tym myślał, tym bardziej się martwił. W końcu wstał od stołu. Linnie uniosła brwi, bo nie dopił nawet kawy.

– Muszę się czymś zająć – mruknął i wyszedł z jadalni.

Włożył płaszcz, kapelusz oraz buty do jazdy konnej, by nie przemoknąć, i wyszedł z domu. W silnym deszczu przemierzył szybkim krokiem drogę i odetchnął z ulgą, gdy dotarł do mleczarni. W środku było kilka osób, głównie służących z dużych domów na północ od High Street; wszyscy trzymali dzbanki na

mleko. Była też ich służąca Jean, nie zaszczycił jej jednak choćby skinieniem głowy.

Za ladą stała siostra Nasha, Pauline, i starała się jak najszybciej obsłużyć wyjątkowo licznych tego dnia klientów. Hornbeam precyzyjnie się do przodu.

– Dzień dobry, panno Nash.

Obdarzyła go chłodnym spojrzeniem.

– Dzień dobry, panie radny. Przepraszam, że nie dostał pan rano...

– To nieważne – przerwał jej zniecierpliwiony. – Chciałbym porozmawiać z pani bratem.

– Niestety, jest chory, leży w łóżku. Chce pan mleko? Mogę panu pożyczyć dzbanek.

Hornbeam nie miał zamiaru znosić takiego bezczelnego traktowania ze strony kobiety.

– Proszę mnie do niego zaprowadzić, dobrze? – powiedział podniesionym głosem.

Zawahala się, nie miała jednak dość odwagi otwarcie mu się sprzeciwić.

– Skoro pan nalega – burknęła.

Przeszedł za ladę. Pauline zostawiła klientów i poprowadziła go w głąb domu. Kiedy weszli na piętro, otworzyła drzwi i zajrzała do pokoju.

– Jest tu radny Hornbeam, Alfie – powiedziała. – Czujesz się na siłach, żeby z nim porozmawiać?

Hornbeam precyzyjnie się obok niej. W urządzonej w niewyszukany i oszczędny sposób sypialni, w której unosił się niezbyt przyjemny zapach zsiadłego mleka, brakowało choćby jednego śladu kobiecej ręki, jak ozdobne poduszki czy haftowane tkaniny. Choć Nash dawno już skończył trzydzieści lat, wciąż był kawalerem.

Leżał na kołdrze, niemal od stóp do głów owinięty bandażami. Jedną nogę i jedną rękę miał w łubkach, a głowę okrytą opatrunkiem. Miejscami przez bandaże sączyła się krew. Wyglądał strasznie.

– Proszę wejść, panie radny – zwrócił się do zszokowanego Hornbeama. Mówił niewyraźnie i powoli, jakby bolały go usta.

Pauline stała w drzwiach, z dłońmi opartymi na biodrach, i spoglądała gniewnie na gościa.

– To pana вина – rzuciła oskarżycielskim tonem.

Hornbeam był wściekły, powściągnął jednak emocje i odpowiedział jej chłodno:

– Dziękuję, panno Nash, może pani odejść.

Zignorowała go.

– Mam nadzieję, że przyszedł pan jakoś wynagrodzić mojemu bratu to, co pan zrobił.

– Nic nie zrobiłem.

– Wracaj do sklepu, Pauline – powiedział Nash. – Tracisz pieniądze, kiedy tu stoisz.

Raz jeszcze spiorunowała gościa wzrokiem i wyszła, nawet się z nim nie pożegnawszy.

– Co ci się stało, u diabła? – spytał Hornbeam.

Nash nie patrzył na niego – być może nie mógł obrócić obolałej głowy.

– Dziś rano, przed świtem, kiedy poszedłem do obory, zaatakowało mnie trzech mężczyzn w maskach i z pałkami w rękach – odparł ze wzrokiem wbitym w sufit.

Tego właśnie obawiał się Hornbeam. I przeczuwał, że stoi za tym Spade.

– Widzę, że był już u ciebie lekarz.

– Mówi, że mam złamaną rękę i pękniętą pizczel.

– Wydajesz się bardzo spokojny.

– Nie byłem wcale spokojny, dopóki nie dał mi laudanum.

Laudanum – opium rozpuszczone w alkoholu – uśmierzało ból.

Hornbeam przyciągnął krzesło do łóżka i usiadł.

– Rozumiem, że mieli maski, ale czy którykolwiek z nich wydał ci się znajomy? – spytał wyważonym tonem, tłumiąc wściekłość. – Spróbuj sobie

przypomnieć. – Nie przypuszczał, by wśród napastników był Spade; ten był na to zbyt przebiegły. Ale mogli to być jego dobrzy znajomi.

– Było ciemno – odparł Nash z przygnębieniem. – Prawie nic nie widziałem. Od razu powalili mnie na ziemię. Myślałem tylko o tym, żeby uciec przed pałkami.

– Słyszałeś coś?

– Tylko ich stękanie. Żaden się nie odzywał.

– Nie krzyczałeś?

– Krzyczałem, dopóki nie walnęli mnie w usta.

– Więc nie masz pojęcia, kto to był.

Nash wydawał się oburzony.

– Pewnie, że mam. To byli ludzie z Towarzystwa Sokratycznego.

– Oczywiście.

– Byli wściekli z powodu chłosty Hiscocka i jakoś się dowiedzieli, że to ja zdradziłem. Ale może nic by nie zrobili, gdyby to było tylko dwanaście batów. A pan posunął się za daleko.

Hornbeam zignorował te słowa krytyki.

– Nie możemy wskazać winnych, skoro nikogo nie rozpoznałeś. A ty nie możesz stanąć w sądzie i powiedzieć, że cię pobito, bo szpiegowałeś dla mnie.

– Więc co mam robić? Co powiem szeryfowi Doye’owi? Na pewno tu przyjdzie i będzie mnie wypytywał.

– Nie przejmuj się Doye’em. Powiedz mu tylko, że napadli na ciebie ludzie w maskach. Ukradli coś?

– Zabrali mi sakiewkę z drobnymi, ale to były tylko pensówki i półpensówki. Nie było w niej chyba nawet pięciu szylingów.

– Są ludzie gotowi zabić za znacznie mniej niż pięć szylingów. Można to będzie podać „Kingsbridge Gazette” jako przyczynę napadu. Ale oni tak naprawdę nie chcieli pieniędzy. Zabrali je tylko po to, żeby upozorować napad rabunkowy i oddalić podejrzenia od Towarzystwa Sokratycznego.

– Nikt się na to nie nabierze – rzucił Nash.

– To prawda – zgodził się z nim Hornbeam. – Ale trudno będzie udowodnić, że było inaczej. Co oznacza, że musimy to załatwić w inny sposób.

Zamyślił się i milczał przez minutę, może nawet dwie.

– Zrobił to ten diabeł Spade – odezwał się w końcu. – To on odkrył, że donosisz.

– Dlaczego pan tak uważa?

Hornbeam domyślił się już, co się stało.

– Powiedział ci, że broszury są w jego magazynie, tak? Nie mówił o tym nikomu innemu. Więc kiedy przyszedliśmy przeszukać magazyn, miał pewność, że to ty nam o tym powiedziałaś.

– Ale broszur nigdy tam nie było – przypomniał mu Nash.

– Być może nawet ich nie wydrukowano.

– Więc to była pułapka.

– I wpadliśmy w nią – powiedział Hornbeam i pomyślał ze złością, że Spade jest piekielnie sprytny. Ale on go zniszczy. Rozgniecie jak robaka.

– Koniec z moim donoszeniem – oznajmił Nash.

– Już mi się do tego nie przydasz.

– Nie powiem, żebym tego żałował. Ale musi mi pan pomóc. Lekarz mówi, że minie kilka miesięcy, nim będę mógł wrócić do pracy.

– Niech ktoś inny roznosi mleko.

– Tak, zatrudnię kogoś. Ale będę musiał mu płacić, prawdopodobnie dwanaście szylingów tygodniowo.

– Będę to pokrywał, dopóki nie wyzdrowiejesz.

– No i trzeba opłacić lekarza.

Hornbeam wiedział, że nie może się wykręcić od tych kosztów. Gdyby odmówił, Nash skarżyłby się wszystkim i wkrótce całe Kingsbridge gadałoby, że radny Hornbeam miał swojego szpiega w Towarzystwie Sokratycznym. Nie wyglądałoby to dobrze.

– W porządku – rzucił, bo nieprzewidziane wydatki wcale nie martwiły go najbardziej. Został przechytrzony przez Spade’a i to doprowadzało go do wściekłości. Musiał coś z tym zrobić. – Daj znać, kiedy znajdziesz kogoś do roznoszenia mleka, wtedy prześlę ci pieniądze.

Ruszył do drzwi; chciał jak najszybciej opuścić pokój, nim Nash zażąda od niego czegoś jeszcze. Na progu obejrzał się przez ramię: mleczarz leżał w bezruchu, wpatrzony w sufit i blady jak trup.

Wracając w deszczu do domu, rozmyślał o ostatnich wydarzeniach. Miał wrażenie, że traci kontrolę nad sytuacją, a to niepokoiło go i złościło. Już dwa razy próbował położyć kres działalności Towarzystwa Sokratycznego, bezskutecznie; najpierw radny Drinkwater nie zgodził się na rozwiązanie tej grupy, a przykładowe ukaranie Hiscocka przyniosło odwrotny skutek.

Prawdziwy problem polegał na tym, że prawo było zbyt słabe i nieprecyzyjne. Kraj potrzebował ostrzejszych środków przeciwko wywrotowcom. W gazetach pisano o surowszych karach za zdradę, więc posłowie powinni w końcu przestać gadać i przejść do konkretów. Czyż zadaniem parlamentu nie było utrzymanie spokoju i eliminowanie wichrzycieli?

Posłem reprezentującym Kingsbridge był wicehrabia Northwood.

Nigdy nie traktował poselskich obowiązków zbyt poważnie, a teraz, gdy kraj znajdował się w stanie wojny i dowodził milicją w hrabstwie Shiring, miał wymówkę, żeby nie udzielać się w parlamencie. Od czasu do czasu wciąż jednak jeździł do Westminsteru, więc być może udałoby się go przekonać, by wsparł nowe prawo skierowane przeciwko takim organizacjom jak Towarzystwo Sokratyczne.

Hornbeam poszedł więc do Domu Willarda na rynku.

Tupiąc mokrymi butami w holu i strząsając wodę z płaszcza, zwrócił się do sierżanta o siwiejących włosach:

- Radny Hornbeam do pułkownika Northwooda. Natychmiast.
- Sprawdź, czy pułkownik jest wolny – odparł wyniośle sierżant.

Typowy parweniusz, pomyślał Hornbeam. Pewnie był lokajem, zanim zwerbowano go do milicji.

– Jak się nazywasz? – spytał.

Mężczyzna najwyraźniej nie lubił, gdy go wypytywano, ale nie miał dość odwagi, by przeciwstawić się radnemu.

– Jestem sierżant Beach.

– Rób, co do ciebie należy, Beach.

Czekając na powrót sierżanta, Hornbeam uświadomił sobie, że Northwood był wigiem – należał do frakcji bardziej liberalnej niż torysi. Uchodził jednak za sprawnego dowódcę, co zwykle wiązało się z surowym podejściem do dyscypliny. Wydawało się całkiem prawdopodobne, że będzie przeciwny działalności Towarzystwa Sokratycznego.

Hornbeam postanowił nie mówić wicehrabiemu o tym, co spotkało Alfa Nasha. Nie chciał sprawiać wrażenia, że realizuje jakąś prywatną zemstę. Lepiej pozować na obywatela zatroskanego o dobro kraju.

Sierżant Beach wrócił dość szybko; wyglądało na to, że w odróżnieniu od niego Northwood docenia pozycję Hornbeama. Chwilę później radny został wprowadzony do przestronnego pokoju we frontowej części domu, z rozpalonym kominkiem i oknem wychodzącym na zachodnią część katedry.

Wicehrabia siedział za dużym biurkiem. Obok stał młody mężczyzna w mundurze porucznika, najwyraźniej adiutant. Ku zdumieniu Hornbeama była tu też Jane Midwinter, atrakcyjna córka kanonika, ubrana w czerwoną kurtkę jak żołnierz. Siedziała na skraju biurka, jakby była u siebie w domu.

Na widok Hornbeama wstała i dygnęła, a on skłonił się uprzejmie. Przypomniawszy sobie, jak Deborah i Bel rozmawiały o niej i mówiły, że zagięła parol na Northwooda, więc być może była tu, by realizować plan podbicia jego serca. Rankiem raczej nie składano wizyt towarzyskich, ale być może Jane Midwinter była jedną z tych pięknych kobiet, którym się wydaje, że mogą robić wszystko.

Deborah i Bel uważały, że córka kanonika nie ma szans na małżeństwo z wicehrabią, ponieważ jej ojciec był metodystą. Cielęcy zachwyty malujący się na twarzy Northwooda wskazywał jednak na to, że mogli się mylić.

Hornbeam miał nadzieję, że Jane Midwinter nie zostanie w gabinecie. Ku jego uldze wstała z biurka, przesłała wicehrabiemu buziaka i wyszła.

Northwood poczerwieniał z zakłopotania.

– Proszę siadać, panie radny – powiedział.

– Dziękuję, panie pułkowniku.

Hornbeam usiadł na krześle. Wrażliwość Northwooda na wdzięki córki kanonika wskazywała na to, że wicehrabia ma pewne słabości, a to nie wróżyło dobrze. W tych czasach potrzebni byli twardzi, bezwzględni ludzie.

Zawsze potrzebni byli tacy ludzie.

– Może się pan czegoś napije? – spytał uprzejmie Northwood. – Paskudna pogoda.

Na jego biurku leżała taca z dzbankiem kawy i dzbanuszkim. Hornbeam przypomniał sobie, że nie skończył śniadania.

– Chętnie wypiłbym filiżankę kawy, zwłaszcza z odrobiną śmietanki.

– Oczywiście. Sierzancie, proszę przynieść filiżankę, biegiem.

– Tak jest. – Beach wyszedł szybkim krokiem z pokoju.

– No dobrze, panie radny, przypuszczam, że pańska wizyta ma konkretny cel, prawda? – Northwood był uprzejmy, ale rzeczowy.

– Mam nadzieję, że milicja jest zadowolona z materiałów, które wam dostarczam?

– Tak sądzę. Jak dotąd nikt się nie skarżył.

– To dobrze. Wiem, że ktoś inny zajmuje się w pańskim imieniu zakupami, ale gdyby z jakiegoś powodu chciał pan porozmawiać ze mną o tkaninach, bardzo chętnie odpowiem na wszystkie pytania.

– Dziękuję – rzucił Northwood z nutą zniecierpliwienia.

Hornbeam szybko przeszedł do rzeczy.

– Przyszedłem tu jednak, żeby porozmawiać z panem jako posłem, a nie dowódcą milicji. Mam nadzieję, że to nie problem.

– Ależ skąd.

– Niepokoi mnie Towarzystwo Sokratyczne założone przez Spade’a, Davida Shovellera, i przedstawiciele niższych klas z naszego miasta. Podejrzewam, że tak naprawdę prowadzą działalność wywrotową.

– Tak? Byłem na ich pierwszym spotkaniu.

To nieco zbiło Hornbeama z tropu.

– Było dość ciekawe – dodał wicehrabia. – I zupełnie nieszkodliwe.

– Co tylko świadczy o przebiegłości Spade’a, milordzie. Uśpili naszą czujność, dając fałszywe poczucie bezpieczeństwa.

Northwoodowi nie spodobała się sugestia, że został wystrychnięty na dudka.

– Moim zdaniem nic nie świadczy o tym, że mogliby mieć złe zamiary.

– O ile mi wiadomo, ich drugie spotkanie będzie dotyczyć reformy parlamentu.

Northwood nie wydawał się szczególnie poruszony.

– To całkiem inna sprawa, oczywiście – powiedział spokojnie.

Sierżant przyniósł talerzyk i porcelanową filiżankę, nalał do niej kawy i śmietanki i podał Hornbeamowi.

– Wszystko zależy od tego, co będą tam mówić – kontynuował tymczasem Northwood. – Ale z pewnością nie możemy zakazać tego spotkania z wyprzedzeniem. Sam zamiar dyskusji o parlamencie nie jest niezgodny z prawem.

– W tym właśnie problem. Prawo powinno tego zakazywać. Słyszałem, że w Westminsterze sporo się ostatnio mówi o zaostrzeniu przepisów dotyczących wicherzycielstwa.

– Hm... to prawda. Premier Pitt chce podjąć pewne kroki w tej sprawie. Ale Anglicy mają prawo do własnych poglądów. Jesteśmy wolnym krajem... w granicach rozsądku.

– W rzeczy samej. Sam jestem gorącym zwolennikiem wolności słowa. – Hornbeam był jej zagorzałym przeciwnikiem, lecz wiedział, że nie powinien się do tego przyznawać. – Jesteśmy jednak w stanie wojny i kraj musi się jednoczyć przeciwko tym przeklętym Francuzom.

Northwood pokręcił głową.

– Czasami można przesadzić z represjami.

– Nie rozumiem, co ma pan na myśli – powiedział Hornbeam, choć nadmierne represje jakoś nigdy go nie martwiły.

– Z pewnością słyszał pan o tym, co spotkało Alfa Nasha, mleczarza.

Skąd Northwood już o tym wiedział? Hornbeam był zaskoczony.

– A co to ma wspólnego z naszą rozmową? – spytał.

– Ludzie mówią, że Nash doniósł na tego drukarza, który został wychłostany, i w odwecie został pobity.

– To niemożliwe! – zaprotestował Hornbeam, choć doskonale wiedział, że Northwood mówi prawdę. Przypuszczał, że to Spade i jego przyjaciele rozpuścili tę wieść po mieście.

– Ja też czasami karzę ludzi chłostą – przyznał wicehrabia. – To odpowiednia kara za kradzieże czy gwałty. Ale dwanaście batów w zupełności wystarczy. Skazany cierpi, zostaje upokorzony na oczach znajomych i przysięga, że nigdy więcej nie popełni przestępstwa. Ale kara pięćdziesięciu czy więcej batów uważana jest za bestialskie okrucieństwo i budzi współczucie dla skazanego. Skazany na to człowiek zostaje bohaterem. Pokazuje swoje blizny niczym ordery. A więc kara przynosi skutek odwrotny od zamierzonego.

Hornbeam zrozumiał, że nic nie wskóra.

– Cóż, mogę tylko powiedzieć, że kupcy i przedsiębiorcy z Kingsbridge byliby wdzięczni, gdyby zakazano takich wywrotowych spotkań.

– Nie dziwię się. Ale mamy też obowiązki wobec innych, prawda? Koń, który nigdy nie wychodzi ze stajni, szybko opada z sił.

Wstał od biurka.

– Dziękuję, że zechciał mnie pan przyjąć, panie pułkowniku – powiedział Hornbeam, wiedząc, że traci tylko czas, i wstał.

– Zawsze z przyjemnością porozmawiam z jednym z moich ważniejszych wyborców.

Wyszedł ogarnięty złymi przeczuciami, bliski paniki. Poniósł trzecią porażkę z rządu. Siły chaosu miały sprzymierzeńców w nieoczekiwanych miejscach.

Musiał się zastanowić, a nie chciał iść do domu, gdzie rozpraszałyby go codzienne problemy. Przeciął więc rynek i wszedł do katedry. Cisza i chłodne szare kamienie pomagały mu się skupić.

Istotą problemu było samozadowolenie. Ludzie nie widzieli zagrożenia w działalności klubu dla robotników, którzy chcieli się kształcić. On był jednak bardziej przewidujący. Musiał wstrząsnąć pozostałymi, by dostrzegli problem. Każda grupa, która zachęcała robotników do swobodnego wypowiedzania się, stwarzała niebezpieczny wyłom. Bunt zawsze czai się tuż pod powierzchnią.

Jeśli podczas następnego spotkania Towarzystwa doszłoby do aktów przemocy, znalazłby poparcie dla swojej tezy.

Być może dałoby się to jakoś zorganizować.

Tak, to może być rozwiązanie, pomyślał.

Brutalna awantura podczas spotkania Towarzystwa doprowadziłaby do tego, że miasto zwróciłoby się przeciwko niemu. Być może pojawiłyby się pytania, kto do niej doprowadził, ale tylko nieliczni by się tym interesowali. Kilka rozbitych okien byłoby ważniejszych od przywiązania do wolności wypowiedzi.

Ale jak to zrobić?

Myśli Hornbeama natychmiast powędrowały ku Willowi Riddickowi. Choć ten był szlachcicem, zadawał się ze światkiem przestępczym Kingsbridge. Spędzał mnóstwo czasu w okrytym złą sławą domu Sporta Cullivera. Na pewno znał kilku zbirów.

Hornbeam raz jeszcze wyszedł na deszcz i udał się do domu Riddicka.

Kamerdyner wziął od niego mokry płaszcz oraz kapelusz i powiesił obok kominka w holu.

– Dziedzic Riddick je śniadanie, panie radny – oznajmił.

Hornbeam spojrział na zegarek kieszonkowy. Zbliżało się południe. Późna pora jak na śniadanie.

Służący otworzył drzwi i spytał:

– Czy może się pan zobaczyć z radnym Hornbeamem, jaśnie panie?

– Przyrowadź go.

Hornbeam wszedł do jadalni i zobaczył, że Riddick nie jest sam. Obok niego siedziała młoda kobieta w koszuli nocnej i szlafroku, z długimi czarnymi włosami, których nie zdążyła uczesać. Przed nimi leżał talerz z porąbanymi opieczonymi kośćmi; wybierali z nich szpik i połykali go ze smakiem.

– Proszę wejść, panie Hornbeam – powiedział Will. – A to jest... – Wyglądało na to, że nie może sobie przypomnieć imienia kobiety.

– Mariana – podpowiedziała, spoglądając wyniośle na gościa. – Jestem Hiszpanką.

Taka z ciebie Hiszpanka jak ze mnie Francuz, pomyślał Hornbeam.

– Proszę się poczęstować – rzucił Riddick. – Są pyszne. – Pociągnął długi łyk piwa z kufła. Miał przekrwione oczy.

– Nie, dziękuję. – Hornbeam odwrócił się do kamerdynera, który wracał do drzwi. – Ale chętnie napiłbym się mocnej kawy ze śmietanką.

– Tak, proszę pana.

Gdy Hornbeam zajął miejsce, poczuł się skrępowany, siedząc przy tym samym stole co Mariana. Uważał prostytutkę za coś obrzydliwego. Potrzebował jednak pomocy Willa Riddicka.

– Próbowałem doprowadzić do zakazania działalności tego tak zwanego Towarzystwa Sokratycznego założonego przez Spade'a.

– I przez tę wściekłą krowę Sal Clitheroe.

– Tak. Alf Nash został pobity, a wicehrabia Northwood, nasz poseł do parlamentu, odmawia pomocy.

– Ale pan ma plan, prawda? – domyślił się Riddick.

– Ojej – jęknęła Mariana. – Zabrudziłam się szpikiem. Pomożesz mi, Will? Riddick sięgnął po serwetkę i wytarł odsłoniętą część jej piersi.

– Może zrobisz to językiem? – zaproponowała.

Tego już dla Hornbeama było za wiele.

– Moglibyśmy porozmawiać w cztery oczy? – zwrócił się do gospodarza.

– Oczywiście – odparł Riddick. – Zmykaj, kochanie.

Nadąsana kobieta wstała.

– Zrobię to językiem później, kochana.

– Będę czekać.

– Najwyższy czas, żeby dał pan sobie spokój z takimi rzeczami – powiedział Hornbeam, kiedy za Marianą zamknęły się drzwi. – Wkrótce żeni się pan... z moją córką.

Riddick wyraźnie się speszył.

– Oczywiście, oczywiście. Właściwie już żegnałem się z Marianą.

– To dobrze. – Hornbeam nie wierzył w to ani przez sekundę. Nie drążył jednak tematu. Nie chciał narażać na szwank zysków, które czerpał ze współpracy z tym człowiekiem.

– Będę wzorowym mężem – obiecał jego przyszły zięć. – Moje kawalerskie życie to już przeszłość.

– Miło mi to słyszeć. Towarzystwo dziwki przy śniadaniu wykracza poza granice dobrego smaku.

Do pokoju wszedł kamerdyner z kawą.

– Proszę mi opowiedzieć o swoim planie – poprosił Riddick, gdy służący wyszedł.

– Ludzie, którzy będą chodzić na spotkania Towarzystwa, prawdopodobnie dzielają poglądy Spade'a. Być może nie znajdzie się wśród nich nikt, kto

zaprezentuje inny punkt widzenia. Potrzebujemy więc jakiejś energicznej opozycji.

– Energicznej?

Hornbeam wiedział, że gospodarz w lot odczytuje jego zamiary.

– Jestem pewien, że w mieście nie brakuje patriotycznie nastawionych młodzieńców, których oburzyłyby te bzdury powtarzane przez Spade’a i Sal – powiedział.

Riddick skinął głową.

– Przypuszczam, że może pan znać kilku takich młodzieńców – dodał jego przyszły teść.

– Z pewnością wiem, gdzie ich szukać. Najlepiej byłoby zacząć od karczmy Pod Rzeźnikiem, nad rzeką.

To brzmiało obiecująco.

– Myśli pan, że udałoby się panu namówić kilku z nich, by przyszli na następne spotkanie? – spytał Hornbeam.

– O tak. – Riddick uśmiechnął się szeroko. – Zrobią to z wielką chęcią.

ROZDZIAŁ 15

Amos wpadł na Rupe'a Underwooda na High Street i uświadomił sobie, że dawno się już nie widzieli. Metodyści jakiś czas temu oderwali się w końcu od Kościoła anglikańskiego, a Rupe należał do tych, którzy postanowili w nim pozostać.

– Odszedłeś od metodystów? – rzucił Amos bez ogródek.

– Odszedłem od Jane – odparł cierpko Rupe. Podrzucił głową, by grzywka nie zasłaniała mu oczu. – A właściwie to ona odeszła ode mnie.

Dla Amosa była to ważna wiadomość.

– Co się stało? – spytał.

Rupe skrzywił się i na jego urodziwej twarzy pojawił się wyraz rozczarowania i urazy.

– Rzuciła mnie, po prostu. Więc teraz możesz ją sobie wziąć. Nie będę nawet zazdrosny. Jeśli chodzi o mnie, jest cała twoja.

– Zerwała zaręczyny?

– Nigdy nie byliśmy oficjalnie zaręczeni. Mieliśmy coś w rodzaju umowy. A ona ją łamała. „Żegnaj i niech Bóg cię błogosławi”, powiedziała.

Amosowi było go żal, ale nie mógł też zaprzeczyć, że te wieści na nowo rozbudziły w nim nadzieję. Skoro Jane nie chciała już Rupe'a, to czy mógł liczyć na to, że zechce jego? Nawet bał się o tym marzyć.

– Wyjaśniła, dlaczego z tobą zrywa?

– Nie powiedziała prawdy. Podobno uświadomiła sobie, że mnie nie kocha. Nie wiem, czy kiedykolwiek kochała. A prawda jest taka, że nie mam dość pieniędzy.

– Musiało się wydarzyć coś, co odmieniło jej uczucia.

– Tak. Jej ojciec odszedł od Kościoła anglikańskiego. Nie jest już kanonikiem w katedrze.

– Wiem, ale... – W końcu Amosa olśniło. – Jest teraz biedny.

– Będzie żył z tego, co uda się łączyć wspólnie metodystów. Koniec z modnymi ubraniami dla Jane, koniec z pokojówkami, które ją ubierały i czesały, koniec z wyszywaną bielizną.

Amos był zszokowany tymi słowami: Rupe nie mógł przecież nic wiedzieć o bieliznie Jane. Ale byli parą przez długi czas. Może więc pozwalała mu na tego rodzaju poufałość.

Nie, z pewnością nie!

Postanowił nie zastanawiać się nad tym dłużej.

– Zakochała się w kimś innym? – spytał.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Flirtuje ze wszystkimi. Prawdopodobnie najbogatszym kawalerem w Kingsbridge jest Howard Hornbeam. Może Jane zagnie parol właśnie na niego.

Amos pomyślał, że to możliwe. Howard nie był zbyt bystry ani przystojny, ale w odróżnieniu od ojca był przynajmniej miły.

– On jest chyba o parę lat młodszy od Jane – zauważył.

– To jej nie powstrzyma.

*

W niedzielę po porannych nabożeństwach w kościołach i kaplicach Kingsbridge niektórzy mieszkańcy miasta odwiedzali cmentarze. Amos czasami miał ochotę powspominać przez kilka minut ojca i prosto ze spotkania metodystów szedł na przykatedralny cmentarz.

Zawsze przystawał przy największym z grobowców, upamiętniającym przeora Philipa. Ten dwunastowieczny mnich był postacią legendarną, choć niewiele o nim wiadomo. Według *Księgi Timothy'ego*, w której opisano historię Kingsbridge,

katedrę wzniesiono w średniowieczu, potem jednak została zniszczona przez pożar i Philip zajmował się jej odbudową.

Amos oderwał wzrok od grobowca i zobaczył Jane Midwinter stojącą kilka kroków dalej, odzianą w posępne szarości. Od rozmowy z Rupe'em miał nadzieję, że w końcu uda mu się z nią porozmawiać. Z pewnością nie był to odpowiedni moment, ale Amos nie mógł się oprzeć pokusie. Przystanął obok niej i przeczytał napis na nagrobku:

Janet Emily Midwinter

4 kwietnia 1750

12 sierpnia 1783

Ukochana żona Charlesa

i matka Juliana, Lionela i Jane

„Z Chrystusem będzie jej lepiej”

Próbował przywołać w pamięci obraz matki Jane, ale bezskutecznie.

– Właściwie wcale jej już nie pamiętam – powiedział. – Miałem pewnie z dziesięć lat, gdy umarła.

– Uwielbiała ładne ubrania, przyjęcia i plotki. Lubiła szlachetnie urodzone osoby. Byłaby zachwycona, gdyby udało jej się spotkać osobiście króla. – Oczy Jane były wilgotne od łez.

Amos czuł, jak wzruszenie chwyta go za gardło. Ale może ona tylko udawała? Często to robiła.

– A ty jesteś taka jak ona – powiedział to, co było oczywiste.

– W przeciwieństwie do moich braci. – Julian i Lionel wyjechali do Szkocji na studia. – Obaj przypominają ojca, tylko by się uczyli i pracowali. Kocham ojca, ale nie mogłabym tak żyć.

Amos pomyślał, że Jane jest w wyjątkowym nastroju; nigdy nie mówiła o sobie tak szczerze.

– A problem z Rupe'em jest taki, że przypomina mi właśnie ojca.

Większość sukienników z Kingsbridge taka była. Ciężko pracowali i mieli mało czasu na przyjemności.

– Ja chyba też – uświadomił sobie nagle Amos.

– Ty też, kochany Amosie, choć nie mam prawa cię krytykować. Gdzie jest grób twojego ojca?

Podał jej rękę, a Jane lekko oparła dłoń na jego przedramieniu w przyjaznym, ale nie zażyłym geście, i oboje ruszyli przez cmentarz.

Nigdy nie mówiła do niego tak czule, ale jednocześnie dała mu jasno do zrozumienia, dlaczego nie może być jej wybrankiem. Pomyślał, że nie rozumie kobiet.

Dotarli do grobu jego ojca. Ukląkł przy płycie nagrobnej i odgarnął z niej suche liście, kawałek starej szmaty, pióro gołębia, skorupkę po kasztanie.

– Jestem chyba taki jak mój ojciec – powiedział i wstał.

– W pewnym sensie tak. Ale jesteś też bardzo szlachetny. To onieśmielające. Roześmiał się.

– Nie jestem onieśmielający, choć chciałbym taki być.

Jane pokręciła głową.

– Ujmijmy to tak: nie chciałabym być twoim wrogiem.

Spojrzał w jej wielkie szare oczy.

– Ani moją żoną – dodał ze smutkiem.

– Ani twoją żoną. Przykro mi, Amosie.

Miał ogromną ochotę ją pocałować.

– Mnie też jest przykro – powiedział.

*

Teatr w Kingsbridge wyglądał jak ogromna rezydencja miejska w stylu klasycznym, z rzędami identycznych okien. W środku mieściła się wielka sala z podniesioną sceną i ławami ustawionymi na płaskiej podłodze. Wzdłuż ścian

ciągnęły się balkony wsparte na drewnianych filarach. Najdroższe miejsca znajdowały się przy samej scenie. Amos nie mógł się oprzeć wrażeniu, że siedzący tam bogacze w kosztownych strojach są częścią spektaklu.

Pierwsza sztuka wystawiana tego dnia nosiła tytuł *Żyd z Wenecji*; umieszczony na tyłach sceny prospekt ukazywał miasto na wodzie, ze statkami i gondolami.

Do sali weszła Elsie i usiadła obok Amosa. Od ponad dwóch lat prowadzili razem szkółkę niedzielną i byli dobrymi przyjaciółmi.

Amos nigdy jeszcze nie był na sztuce Szekspira. Widział w teatrze balet, operę i pantomimę, ale po raz pierwszy miał obejrzeć dramat i nie mógł się już doczekać. Elsie była już na spektaklach, na których wystawiano dzieła Szekspira, czytała też tę sztukę.

– Tak naprawdę ma tytuł *Kupiec wenecki* – powiedziała.

– Pewnie sprzedają więcej biletów, kiedy w tytule jest Żyd zamiast kupca – domyślił się Amos.

– Pewnie tak.

W Combe i Bristolu mieszkało sporo Żydów, którzy zajmowali się głównie handlem; kupowali tytoń z Wirginii i sprzedawali go w Europie. Wielu Anglików ich nienawdziło, choć Amos nie mógł zrozumieć dlaczego. Wierzyli przecież w tego samego Boga co anglikanie i metodyści, prawda?

– Niektórzy mówią, że Szekspira trudno zrozumieć – powiedział.

– Czasami. Język jest trochę staroświecki, ale jeśli będziesz uważnie słuchał, ta sztuka na pewno cię poruszy.

– Spade twierdzi, że czasami Szekspir jest bardzo brutalny.

– Tak, bywa krwiożerczy. W *Królu Learze* jest taka scena...

Amos zobaczył, że do sali wchodzi Jane Midwinter.

Elsie też ją dostrzegła i porzuciła temat dzieł Szekspira.

– Wiesz, że Jane zerwała z Rupe'em Underwoodem? – powiedziała.

– Tak. Rupe ma do niej żal.

– Co ona sobie wyobraża? Zwodziła biedaka przez dwa lata, a teraz odprawiła go jak służącego.

– Rupe nie jest zbyt bogaty, a ona chce żyć w dostatku. Nie ona jedna.

– Mogłam się domyślić, że będziesz ją próbował usprawiedliwiać. – Elsie westchnęła. – Ta dziewczyna nie wie, czym jest prawdziwa miłość.

Amos wzruszył ramionami.

– Być może ja też tego nie wiem – przyznał.

– Współczuję każdemu, kto zakocha się w Jane.

Czuł się niezręcznie, słuchając tych krytycznych uwag Elsie.

– Jane należy do dziewcząt, które bardzo podobają się mężczyznom, a kobietom wręcz przeciwnie – powiedział. – Nie rozumiem dlaczego.

– A ja tak.

Gdy publiczność ucichła, Amos wskazał na scenę, ciesząc się w duchu, że nie musi kontynuować tej rozmowy. Na deskach pojawiło się trzech aktorów, a jeden z nich powiedział:

– *Prawdziwie, nie wiem, dlaczego tak smutny**.

– A ja wiem, dlaczego jestem smutna – szepnęła Elsie.

Amos zastanawiał się przez chwilę, co chciała przez to powiedzieć, potem jednak pochłonęła go sztuka. Kiedy Antonio wyjaśnił, że cały jego majątek został zainwestowany w statki, które są teraz na morzu, Amos mruknął do Elsie:

– Doskonale to rozumiem, kiedy cenne towary są akurat transportowane, a człowiek się zamartwia, czy dotrą bezpiecznie do celu.

Przy drugiej scenie – gdy Porcja narzekała, że nie może sobie sama wybrać męża, lecz musi poślubić zwycięzcę konkursu, który polega na trafnym wyborze jednej z trzech skrzynek, złotej, srebrnej lub ołowianej – zaczął się niecierpliwić.

– Dlaczego jej ojciec zrobił coś podobnego? – dziwił się Amos. – To nie ma sensu.

– To bajka – szepnęła Elsie.

– Jestem za stary na bajki.

Sztuka nabrała rozpędu, gdy na scenie pojawił się Szajlok z doprawionym sztucznym nosem i peruką, która wyglądała jak jasnopomarańczowy krzak. Kiedy publiczność zaczęła buczeć, podbiegł na skraj sceny i warknął na widzów. Początkowo wszyscy się z niego śmiali, aż zgodził się pożyczyć Antoniowi trzy tysiące dukatów, pod warunkiem że jeśli ten w ciągu trzech miesięcy ich nie odda, będzie musiał zapłacić mu czym innym.

– *Oddasz mi jeden funt twojego mięsa, który odkraję, gdzie mi się podoba* – powiedział Szajlok z chytryością i złościwością.

– Nigdy się na to nie zgodzi – mruknął Amos, po czym zachłysnął się ze zdumienia, gdy Antonio odparł:

– *Więc zgoda: oblig taki podpisuję.*

Podczas antraktu wystawiono balet, lecz wielu widzów zignorowało ten występ i wykorzystało przerwę do rozprostowania nóg, kupienia czegoś do jedzenia czy picia i pogawędzenia ze znajomymi. Gwar rozmów stał się niemal ogłuszający. Gdy Elsie gdzieś zniknęła, Amos zauważył, że Jane podeszła prosto do wicehrabiego Northwooda. Jej zamiary były oczywiste, zdawało się jednak, że wicehrabiemu to nie przeszkadza. Amos przysunął się bliżej, by słyszeć, co mówi Jane.

– Mój ojciec uważa, że nie powinniśmy nienawidzić Żydów – powiedziała. – Co pan o tym myśli, lordzie Northwood?

– Muszę przyznać, że w ogóle nie przepadam za cudzoziemcami – odparł.

– Zgadzam się z panem.

Amos pomyślał, że Jane zgodziłaby się ze wszystkim, co powie Northwood. Nie chodziło wcale o to, że nienawidzi Żydów: po prostu kochała arystokratów.

– Anglia to najwspanialszy kraj na świecie – dodał Northwood.

– O tak. Mimo to chciałabym podróżować. Był pan za granicą?

– Spędziłem rok na kontynencie. Nauczyłem się paru słów po francusku i niemiecku i kupiłem parę obrazów we Włoszech.

– Szczęściarz z pana! Lubi pan malarstwo?

- Na mój prosty żołnierski sposób. Cenię obrazy, na których są konie albo psy.
- Chciałabym obejrzeć kiedyś pańską kolekcję.

– Chętnie bym ją pani pokazał, ale jest w Earlscastle, a ja mam mnóstwo pracy tutaj, w Kingsbridge. Bo choć milicja nie prowadzi działań za granicą, przejęła obronę kraju, by regularna armia mogła walczyć gdzie indziej.

Amos zauważył, że gdy rozmowa przeszła na wojsko, wicehrabia zrobił się gadatliwy.

– I musimy dbać o to, by milicja była w każdej chwili gotowa do walki – powiedział Northwood.

Jane nie chciała jednak rozmawiać o milicji.

– Nigdy nie byłam w Earlscastle – oznajmiła.

Amos nie czekał na odpowiedź wicehrabiego na tę niezbyt subtelną aluzję, bo na scenę zaczęli wracać aktorzy. Zajął pospiesznie miejsce obok Elsie.

– Odprowadzisz mnie potem do domu? – spytała.

– Oczywiście.

Wydawała się bardzo zadowolona, choć nie miał pojęcia dlaczego.

Był zafascynowany Szajlokiem i zirytowany zachowaniem kochanków w Belmoncie. Po przedstawieniu doszedł jednak do wniosku, że chciałby zobaczyć więcej sztuk Szekspira.

– Być może będziesz mi musiała wyjaśnić to i owo – zwrócił się do Elsie, nadal zaskakująco zadowolonej.

Kiedy wychodzili, spytał:

– Myślisz, że Jane mogłaby wyjść za Nortwhooda? Nie jest zbyt nisko urodzona? On po śmierci ojca zostanie hrabią Shiring, a ona jest tylko córką pastora, do tego metodysty. Hrabina Shiring musi czasami spotykać się z królem, prawda? Znasz się na takich sprawach lepiej ode mnie.

Owszem, Elsie się znała. Jako córce biskupa było jej bliżej do szlachty i arystokracji niż do sukienników. Prawdopodobnie sama mogłaby poślubić

Northwooda, choć Amos był pewien, że wcale by tego nie chciała. Słyszała przecież plotki, jakie powtarzali goście w pałacu biskupim.

– Byłoby to trudne, ale nie niemożliwe – odparła. – Arystokraci czasami żenią się z kobietami niższego stanu. Ale od lat wiadomo, że Henry ożeni się ze swoją daleką krewną, Mirandą, córką lorda Combe, dzięki czemu dojdzie do połączenia obu majątków.

– Ale wcale nie musi do tego dojść – zauważył Amos. – Miłość zwycięża wszystko.

– Nie, nie zwycięża.

*

W zimny, dżdżysty wrześnieowy poranek na cmentarzu przy kościele Świętego Łukasza pogrzebano troje dzieci z tej samej rodziny. Wszystkie uczęszczały regularnie do szkoły niedzielnej. Elsie obserwowała bezsilnie, jak z tygodnia na tydzień stają się coraz chudsze i bledsze. Kawalek ciasta raz na tydzień nie wystarczał, by je uratować.

Ich ojciec obsługiwał kiedyś pilśniarkę w Kingsbridge, dopóki któregoś dnia od trzonka jednego z młotów w maszynie nie oderwał się obuch, uderzył go w głowę i zabił na miejscu. Wdowa po nim przeprowadziła się z dziećmi do taniego pomieszczenia w piwnicy niszczonego domu. Próbowła zarabiać na życie jako krawcowa, zostawiała dzieci same i wychodziła do miasta, żeby szukać ludzi chętnych, by uszyła im coś tanio i szybko. Dzieci zachorowały, zaczęły kasłać i rzeźić w sposób typowy dla ludzi mieszkających w wilgotnych piwnicach, a ponieważ były niedożywione i osłabione, zmarły, i to wszystkie jednego dnia. Matka, z głową przykrytą bawełnianą chustką, bo nie miała kapelusza ani czepka, szlochała nad grobem. Gdy śpiewano hymn *Pan jest moim pasterzem*, Elsie przemknęła przez głowę grzeszna myśl, że pasterz nie zaopiekował się należycie tymi trzema jagniątkami.

Kościół Świętego Łukasza był małą ceglana świątynią w biednej dzielnicy; pastor odprawiający ceremonię miał na chudych nogach wielokrotnie cerowane pończochy. Wokół grobu zgromadziło się zaskakująco dużo ludzi, w większości nędznie ubranych. Śpiewali bez entuzjazmu; być może uważali, że i dla nich pasterz nie zrobił zbyt wiele.

Elsie zastanawiała się, czy ich smutek zamieni się kiedyś w gniew, a jeśli tak, to kiedy to nastąpi.

Czuła rozpacz i bezradność. Zastanawiała się, czy nie powinna była zabrać tych dzieci do pałacu biskupiego i karmić je codziennie przyzwoicie. Po chwili uświadomiła sobie, że to tylko mrzonka; musiała jednak coś zrobić.

Gdy do grobu opuszczono małe trumny, u boku Elsie pojawił się Amos Barrowfield. Był w długim czarnym płaszczu i śpiewał hymn donośnym, mocnym barytonem. Twarz miał wilgotną od łez lub deszczu, albo jednego i drugiego.

Jego obecność uspokoiła Elsie i podniosła ją na duchu. Zapomniała, że jest jej zimno, że przemokła i cierpi. Amos nie sprawiał, że problemy nagle znikają, ale przy nim wydawały się mniejsze i łatwiejsze do rozwiązania. Wsunęła rękę pod jego ramię, a on przycisnął jej dłoń do piersi w geście pocieszenia.

Gdy pogrzeb dobiegł końca, razem opuścili cmentarz; Elsie wciąż opierała się na przedramieniu Amosa.

– Na tym się nie skończy – odezwała się cicho. – Umrze jeszcze więcej naszych dzieci.

– Wiem – odparł. – Ciasto to za mało.

– Na pewno moglibyśmy dawać im coś więcej... Na przykład zupę? Czemu nie?

– Zastanówmy się, jak to zrobić – zaproponował Amos.

Uwielbiała w nim to. Zachowywał się tak, jakby wszystko było możliwe. Być może dlatego, że po śmierci ojca przezwyciężył ogromne trudności. I teraz podchodził do wszystkiego z pozytywnym nastawieniem, podobnie jak ona.

– Zamiast piec ciasto, nasi pomocnicy mogliby gotować zupę z grochu i rzepy
– powiedziała Elsie.

– I z kawałkami taniego mięsa, na przykład baraniny. – Amos pociągnął się za czubek nosa, co oznaczało, że nad czymś rozmyśla. – Zrobią to?

– Zależy, kto ich poprosi. Czy pastor Charles mógłby się z tym zwrócić do metodystów?

– Spytam go.

– A ja popracuję nad anglikanami – rzuciła Elsie.

– Moglibyśmy w niedzielę rano chodzić do piekarzy i prosić o resztki chleba, którego nie sprzedali w sobotę.

– Zwykle sprzedają je tanio jeszcze w sobotę, ale prawdopodobnie i tak coś im zostaje.

– Tak czy inaczej, możemy ich spytać – powiedział Amos.

Dotarli już do pałacu biskupiego i przystanęli.

– Spróbujemy? – spytała z nadzieją Elsie.

Amos skinął głową.

– Myślę, że musimy.

Chciała go pocałować, ale tylko wysunęła rękę spod jego ramienia.

– W najbliższą niedzielę?

– Oczywiście – odparł. – Im szybciej, tym lepiej.

Powiedzieli sobie „do widzenia” i rozeszli się.

Elsie nie chciała od razu wracać do pałacu, więc poszła do katedry, gdzie zawsze łatwiej zbierało jej się myśli. Akurat nie odbywało się żadne nabożeństwo. Wiedziała, że powinna się zastanowić nad szczegółami dokarmiania dzieci, ale wciąż wracała myślami do Amosa. Nie wiedział, jak bardzo go kocha; myślał, że są tylko przyjaciółmi. I miał tę idiotyczną obsesję na punkcie Jane Midwinter, dziewczyny, która nie odwzajemniała jego uczuć, a poza tym wcale na niego nie zasługiwała. Elsie chciała się pomodlić, poprosić Boga, by Amos pokochał ją,

a zapomniał o Jane, wydawało jej się jednak, że to zbyt egoistyczna intencja i że nie powinna prosić o to Boga.

W południowej nawie minęła dwóch kłócących się mężczyzn. Rozpoznała Sida Gittingsa, zapalonego hazardzistę, i Sporta Cullivera, właściciela największego domu gry w mieście. Żaden nie chodził regularnie do kościoła, więc prawdopodobnie przyszli tutaj, by nie stać w deszczu. Nie było w tym nic dziwnego. Ludzie często przychodzili do katedry, żeby rozmawiać o różnego rodzaju problemach czy nawet romansować. Tym dwóm pewnie chodziło o pieniądze, ale nie zwracała na nich większej uwagi.

Przed głównym ołtarzem klęczał jakiś nieznany jej młody mężczyzna. Miał na sobie obszerny płaszcz, który zakrywał inne ubrania, Elsie nie wiedziała więc, czy jest duchownym. Odchyłał głowę do tyłu, wznosząc twarz ku ołtarzowi, ale oczy miał zamknięte, a usta poruszały się w bezgłośnej modlitwie. Zastanawiała się, kim może być.

Zamierzała usiąść cicho w południowym transepcie, lecz kłótnia w nawie przybierała na sile. Mężczyźni rozmawiali podniesionymi głosami i robili się coraz bardziej agresywni. Zastanawiała się nawet, czy nie interweniować i nie wyprosić ich z katedry, doszła jednak do wniosku, że szybciej się uspokoją, jeśli pozostaną w środku. Porzuciła myśl o cichej modlitwie i ruszyła do wyjścia.

– Jeśli grasz pieniędzmi, których nie masz, to licz się z konsekwencjami! – krzyknął Culliver, gdy ich minęła.

Po chwili usłyszała za plecami inny głos, pełen oburzenia:

– Nakazuję wam natychmiast opuścić to święte miejsce!

Odwróciła się i zobaczyła młodego człowieka, który modlił się wcześniej przed ołtarzem. Szedł w stronę kłócących się mężczyzn, a jego twarz – całkiem przystojna, jak zauważyła – była różowa od gniewu.

– Wyjdźcie! – zwrócił się do Gittingsa i Cullivera. – Natychmiast!

Gittings, wychudzony mężczyzna w znoszonych ubraniach, wydawał się zawstydzony i gotowy opuścić świątynię, ale Culliver nie dał się tak łatwo

zastraszyć. Był wysoki i barczysty, a do tego bogaty. Nie należał do ludzi, którzy pozwalają sobą dyrygować.

– A kim ty jesteś, do diabła? – rzucił.

– Jestem Kenelm Mackintosh – odparł młody człowiek z nutą dumy.

Elsie słyszała już to nazwisko. Rezygnacja kanonika Midwintera zaowocowała serią awansów wśród duchownych katedry, a także jednym wakatem w najbliższym otoczeniu biskupa. Ojciec Elsie wyznaczył na to miejsce dalekiego krewnego, młodego kapłana, który skończył właśnie studia w Oksfordzie. Więc to był on. Pewnie wysiadł niedawno z dylizansu.

Rozpiął szybko płaszcz, odsłaniając kapłańskie szaty.

– Jestem współpracownikiem biskupa Latimera. A to jest Dom Boży. Przenieście się ze swoją kłótnią gdzie indziej.

Culliver dopiero teraz zauważył Elsie.

– Za kogo on się uważa? – powiedział do niej. – Pęta...

– Idź do domu, Sport – odpowiedziała spokojnie. – A skoro pozwalasz Sidowi Gittingsowi grać na kredyt, to musisz się liczyć z konsekwencjami.

Wydawało się, że Culliver, rozwścieczony tą krytyką z ust młodej kobiety, nie da za wygraną, lecz po zastanowieniu ruszył wraz z Gittingsem do południowych drzwi.

Elsie spojrzała z zainteresowaniem na młodego człowieka. Był mniej więcej w jej wieku, miał pewnie około dwudziestu dwóch lat. Natura obdarzyła go szlachetną, niemal dziewczęcą urodą, którą podkreślały gęste jasne włosy i interesujące zielone oczy. Nie brakowało mu odwagi, skoro bez wahania przywołał do porządku takiego brutala jak Culliver. Na jego twarzy malował się wyraz rozczarowania: najwyraźniej nie tak wyobrażał sobie zakończenie tej utarczki.

– Nie mieli złych zamiarów – powiedziała Elsie.

– Poradziłbym sobie z nimi sam – odparł Mackintosh wyniośle. – Ale dziękuję. Drażliwy, pomyślała. Trudno.

– Odniosłem wrażenie, że uważają panią za osobę, z którą trzeba się liczyć. – Najwyraźniej zaskoczyło go to, że dziewczyna zdołała przywołać do porządku dwóch skłóconych mężczyzn.

– Z którą trzeba się liczyć? – powtórzyła z powątpiewaniem. – Niezupełnie. Jestem Elsie Latimer, córka biskupa.

– Proszę o wybaczenie, panno Latimer. – Był wyraźnie zakłopotany. – Nie miałem pojęcia...

– Nie ma za co przepraszać. A przy okazji zdążyliśmy się poznać. Widział się już pan z moim ojcem?

– Nie. Odesłałem kufer do pałacu i przyszedłem tu, by podziękować Bogu za bezpieczną podróż.

Bardzo pobożny, pomyślała. Ale czy naprawdę, czy tylko na pokaz?

– W takim razie pozwolę sobie zaprowadzić pana do biskupa.

– Będę bardzo wdzięczny.

Opuścili katedrę i przeszli przez rynek.

– Mówiono mi, że jest pan Szkotem – odezwała się Elsie.

– Owszem – odparł chłodno. – Czy to ma jakieś znaczenie?

– Nie dla mnie. Po prostu jestem zaskoczona, że nie mówi pan z akcentem.

– Pozbyłem się go w Oksfordzie.

– Starał się pan o to?

– Nie żałowałem tego. Na uniwersytecie wciąż pokutują pewne uprzedzenia – powiedział dyplomatycznie, ale w jego głosie pobrzmiwała nuta goryczki.

– Przykro mi to słyszeć.

Gdy weszli do pałacu, Elsie zaprowadziła go do gabinetu ojca, przytulnego pokoju bez biurka, za to z wielkim kominkiem.

– Przyjechał pan Mackintosh, ojczyzna – oznajmiła.

– Jego bagaż już tu jest! – Biskup wstał z obitego tkaniną krzesła i serdecznie uściskał dłoń gościa. – Witaj, drogi chłopcze.

– Jestem zaszczycony, że trafiłem właśnie tutaj, Wasza Ekszelencjo, i pokornie dziękuję za ten przywilej.

Biskup spojrział na córkę.

– Dziękuję ci, kochana – odprawił ją.

Nie wyszła jednak.

– Byłam właśnie na pogrzebie trojga dzieci ze szkółki niedzielnej, rodzeństwa. Ich ojciec miał wypadek i zmarł, a matka robiła wszystko, co w jej mocy, by je wykarmić. Przeziębily się w wilgotnej piwnicy, gdzie mieszkały, i cała trójka zmarła tego samego dnia.

Biskup skinął głową.

– Teraz są już u Ojca niebieskiego – skwitował.

Jego lekceważący ton zirytował Elsie.

– Ojciec niebieski może je spytać, dlaczego bliźni nie zrobili nic, by im pomóc – powiedziała Elsie, podnosząc mimowolnie głos. – Jezus mówił: *Paś baranki moje***, jak zapewne pamiętasz.

– Myślę, że powinnaś zostawić teologię duchownym, Elsie. – Biskup mrugnął porozumiewawczo do Mackintosha, a ten odpowiedział mu pochlebczym uśmiechem.

– Tak zrobię – odparła, po czym dodała wyzywającym tonem: – I będę paść baranki Pana zupą.

– Naprawdę? – spytał sceptycznie ojciec.

– Przynajmniej te, które przychodzą do szkółki niedzielnej.

– Jak to zrobisz?

– W naszej kuchni jest dość jedzenia, więc wydatki na zakupy wzrosną w tak niewielkim stopniu, że nawet tego nie zauważysz.

Biskup był zszokowany.

– W naszej kuchni? Naprawdę chcesz karmić miejską biedotę jedzeniem z naszej kuchni?

– Nie tylko z naszej. Ludzie wspierający szkółkę zrobią to samo.

– To niedorzeczne. W całym kraju brakuje jedzenia. Nie możemy wykarmić wszystkich potrzebujących.

– Nie wszystkich, tylko uczniów ze szkoły niedzielnej. Jak mogę mówić im, że mają być dobrzy i łagodni jak Jezus, a potem odsyłać ich do domów głodnych?

Biskup odwrócił się do gościa.

– Co pan o tym myśli, panie Mackintosh?

Młody człowiek był zakłopotany; nie podobało mu się, że musi rozstrzygać spór między ojcem i córką.

– Wiem tylko tyle, że moim obowiązkiem jest kierować się naukami mego biskupa – odparł po chwili wahania. – Przypuszczam, że to samo dotyczy panny Latimer.

Nie był jednak tak odważny, jak wydawało się Elsie w katedrze.

– Metodystom bardzo spodobał się ten pomysł – oznajmiła. Właściwie mówiła tylko o swoich nadziejach, a nie faktach, tłumaczyła sobie jednak, że robi to w imię większego dobra.

Biskup zastanawiał się przez chwilę. Nie chciał zostać uznany za skąpca, zwłaszcza przez metodystów.

– Ile dzieci uczęszcza do szkoły niedzielnej? – spytał.

– Zawsze jest co najmniej setka. Czasami dwie setki.

Mackintosh był zdumiony.

– Wielkie nieba! Zwykle to nie więcej niż tuzin dzieci w małej salce.

Biskup zwrócił się do córki:

– Więc ty i twoi przyjaciele metodyści chcecie wykarmić je wszystkie?

– Oczywiście. Ale wspiera nas również wielu anglikanów.

– Powinnaś chyba porozmawiać z matką i dowiedzieć się, co w tej sytuacji może zrobić nasza kuchnia.

Elsie zachowała kamienną twarz, choć cisnął jej się na usta triumfalny uśmiech.

– Tak, ojczy – odpowiedziała.

* Ten i dalsze fragmenty za: William Szekspir, *Kupiec wenecki*, przeł. L. Ulrich.

** J 21,15.

ROZDZIAŁ 16

Kiedy Sal po raz pierwszy wspomniała o utworzeniu towarzystwa naukowego, nie przypuszczała, że jej pomysł tak szybko się urzeczywistni i odniesie taki sukces. Pamiętała, jak powiedziała: „Powinniśmy robić to samo: czytać, uczyć się, dyskutować. Czym jest to Towarzystwo Korespondencyjne?”. Wyobrażała sobie wtedy kilkanaście osób zgromadzonych w pokoju albo w gospodzie. Po ogromnym powodzeniu wykładu Rogera Riddicka zmieniła jednak zdanie. W spotkaniu uczestniczyło ponad sto osób, a potem opisano je w „Kingsbridge Gazette”. Ten triumf był jej triumfem. Jarge i Spade zachęcali ją i wspomagali, ale to ona była siłą napędową tego przedsięwzięcia. I była dumna z tego, co osiągnęła.

Teraz czuła jednak, że założenie Towarzystwa było tylko pierwszym krokiem, częścią ruchu obejmującego cały kraj, nakłaniającego ludzi pracy do uczenia się, czytania i słuchania wykładów. Ten ruch miał określony cel. Robotnicy chcieli współdecydować o tym, jak jest zarządzany ich kraj. W czasie wojny musieli walczyć, a gdy cena chleba szybowała w górę, przymierali głodem. Cierpimy, więc powinniśmy też decydować, tłumaczyła sobie Sal.

Ależ długą drogę przebyłam od Badfordu, przemknęło jej przez głowę.

Zaplanowane na miesiąc później drugie spotkanie Towarzystwa wydawało się jeszcze ważniejsze. Robotnicy z Kingsbridge byli wściekli z powodu rosnących cen, zwłaszcza żywności. W niektórych miastach dochodziło do zamieszek, często wzniecanych przez kobiety, które nie miały czym wykarmić dzieci.

Spotkanie miało się odbyć w sobotę, gdy ludzie kończą pracę nieco wcześniej. Kilka minut przed jego rozpoczęciem Sal i Jarge poszli do pastora Charlesa Midwintera, by przywitać gościa, który miał wygłosić wykład, wielebnego Bartholomew Smalla.

Midwinter wyprowadził się z siedziby kanonika, rezydencji, którą śmiało można było nazwać pałacem, a jego nowy dom w pobliżu sali zebrania metodystów był niewiele większy od chaty robotnika. Sal pomyślała, że rodzina kanonika musiała to odczuć jako degradację, zwłaszcza Jane, która uwielbiała bogactwo i luksusy.

Charles Midwinter przyjął ich w salonie i poczęstował sherry. Sal czuła się skrępowana, podobnie jak Jarge. Wystroili się najlepiej, jak mogli, ale ich buty były pocerowane, a ubrania wyblakłe. Pastor dodał im pewności siebie, mówiąc:

– Wielebny, tych dwoje ludzi to intelektualni przywódcy ludu pracującego Kingsbridge.

– Jestem zaszczycony, mogąc państwa poznać – powiedział Small. Był szczupłym mężczyzną o łagodnym głosie. Wyglądał dokładnie tak, jak Sal zawsze wyobrażała sobie wykładowców akademickich: siwowłosa, w okularach, przygarbiony po długich latach ślęczenia nad książkami.

– Prawdę mówiąc, wielebny, to Sal jest naszą intelektualistką – odezwał się Jarge.

Zakłopotana tą pochwałą Sal pomyślała, że przecież nie jest żadną intelektualistką. Ale się uczyła.

– Ile osób oczekujecie dziś na spotkaniu? – spytał Small.

– Około dwustu, mniej więcej – odparła.

– Aż tylu! Zwykle prowadzę wykłady dla kilkunastu studentów.

Był nieco zdenerwowany, co zaskoczyło Sal, lecz również dodało jej pewności siebie.

Pastor Midwinter opróżnił szklankę z sherry i wstał.

– Nie możemy się spóźnić – powiedział.

Ruszyli Main Street, przez deszcz podświetlany blaskiem latarni. Gdy zbliżali się do celu, Sal zauważyła ze zdumieniem, że przed budynkiem stoi kilkunastu członków milicji Shiring, w mundurach, przemoczonych, ale eleganckich

i uzbrojonych w muszkiety. Był wśród nich szwagier Spade'a, Freddie Caines. Dlaczego tu przyszli?

Sal przeraziła się, kiedy ujrzała Willa Riddicka ze szpadą u boku. Wyglądało na to, że jej zajadły wróg dowodzi tym oddziałem.

Stała przed nim i oparła dłonie na biodrach.

– Co to ma znaczyć? – spytała. – Nie potrzebujemy ani pana, ani pańskiej milicji.

Spojrzał na nią wyniośle. Jego mina wyrażała pogardę zmieszaną z odrobiną strachu.

– Jako sędzia pokoju przyprowadziłem tu milicję, by w razie potrzeby uporała się z problemami, które mogłyby wyniknąć – odparł, okraszając te słowa szyderczym uśmiechem.

– Problemami? – powtórzyła. – To grupa dyskusyjna. Nie będzie tu żadnych problemów.

– Przekonamy się.

Nagle przyszła jej do głowy pewna myśl. Zmarszczyła brwi i spytała:

– Dlaczego nie ma tu wicehrabiego Northwooda?

– Pułkownik wyjechał dziś z miasta.

Wielka szkoda, pomyślała Sal. Northwood na pewno nie podjąłby takich prowokacyjnych działań. Will był złośliwy i głupi. A poza tym nienawidził jej.

Lecz nie mogła z tym nic zrobić.

Wchodząc do budynku, dojrzała szeryfa Doye'a i konstabla Davidsona stojących tuż za drzwiami. Obaj udawali, że nie wiedzą, jak bardzo są nie lubiani.

Krzesła i ławki ustawiono tak, by wszyscy siedzieli zwrócenii ku mównicy. Sal od razu zorientowała się, że na spotkanie przybyło mnóstwo gości, więcej niż za pierwszym razem. Oprócz robotników z zakładów włóknierskich stawiło się wielu niezależnych rzemieślników: tkaczy i farbiarzy, rękawiczników i szewców. Spade siedział z tyłu razem z dzwonnikami.

Przyszedł również Jeremiah Hiscock, choć najwyraźniej nie doszedł jeszcze całkiem do siebie po morderczej chłości. Był blady i wydawał się zdenerwowany; płaszcz opinał ciasno jego tułów, co prawdopodobnie oznaczało, że drukarz wciąż nosi na plecach grubą warstwę bandażu. Obok siedziała jego żona Susan; unosiła dumnie głowę, jakby tylko czekała, aż ktoś ośmieli się nazwać jej męża przestępcą.

Była jedną z nielicznych kobiet, które pojawiły się w sali. Często mówiono, że politykę należy zostawić mężczyznom, i wyglądało na to, że wiele kobiet w to wierzyło... albo udawało, że wierzy.

Wśród słuchaczy znalazła się grupa młodych mężczyzn, których Sal widywała nad rzeką w pobliżu karczmy Pod Rzeźnikiem.

– Nie podobają mi się te chłopaki – mruknęła.

– Znam ich – rzucił Jarge. – Mungo Landsman, Rob Appleyard, Nat Hammond... Lepiej mieć ich na oku.

Sal i Jarge siedzieli w pierwszym rzędzie, z Midwinterem i wielebny Smallem. Po chwili Spade wstał i wszedł na mównicę. Wśród zebranych podniósł się szmer zdumienia. Wszyscy wiedzieli, że jest bystry i czyta gazety, ale przecież był tylko tkaczem.

Spade podniósł egzemplarz książki zatytułowanej *Powody do zadowolenia. Do pracującej części brytyjskiego społeczeństwa*.

– Powinniśmy skupić się na tym, co pisze pan Paley – zaczął. – Doskonale wie, jak należy zarządzać naszymi sprawami tutaj, w zachodniej Anglii, bo jest archidiakonem... Carlisle.

Większość zebranych roześmiała się głośno. Carlisle leżało przy granicy ze Szkocją, jakieś trzysta mil na północ od Kingsbridge.

Spade mówił dalej bardzo poważnym tonem.

Przed spotkaniem Sal przejrzała książkę Paleya i wiedziała, że zawiera pompatyczne i protekcyjne uwagi o ludziach zajmujących się pracą fizyczną. Spade przeczytał najgorsze z nich ze śmiertelną powagą i po każdym cytacie zgromadzeni śmiali się coraz głośniej. Udawał, że jest zdumiony i oburzony

reakcją publiczności, co prowokowało kolejne salwy śmiechu. Nawet torysi byli rozbawieni; nikt nie czuł się urażony i nikt też nie próbował przeszkadzać mówcy.

– Idzie całkiem nieźle – wyszeptał Midwinter do Sal.

Gdy nagradzany gromkimi brawami Spade usiadł, pastor przedstawił wielebnego Smalla.

Small, podobnie jak Paley, był filozofem i przeanalizował treść książki z perspektywy naukowca. Nie wspominał o rewolucji francuskiej ani o brytyjskim parlamencie. Jego argumenty dotyczyły prawa do sprawowania rządów. Przyznawał, że królowie są wybierani przez Boga, ale to samo można powiedzieć o książętach, bankierach i sklepikarzach, a ci nie są doskonali, więc nikt nie rządził z Bożego nadania. Publiczność zrobiła się niespokojna, ludzie kręcili się nerwowo i wymieniali uwagi. Sal była rozczarowana, ale przynajmniej Small nie powiedział niczego wywrotowego.

Nagle ktoś zerwał się z miejsca i krzyknął:

– Boże, chroń króla!

Zobaczyła, że to Mungo Landsman.

– Do diabła... – mruknęła.

Kilku innych mężczyzn zrobiło to samo, wstawali z miejsc i krzyczeli:

– Boże, chroń króla! – A potem siadali.

Sal uświadomiła sobie, że to ci, których widziała w pobliżu karczmy Pod Rzeźnikiem. To ich nazwiska wymienił Jarge. Co się tu działo? Small nie wspomniał ani razu o królu Jerzym, więc nie mogli czuć się urażeni jego wywodami. Czy zaplanowali, że zrobią to bez względu na treść wykładu? Tylko dlaczego przyszli tu tylko po to, by zakłócać spotkanie?

Small kontynuował, ale wkrótce znów mu przerwano.

– Zdrajca! – krzyknął ktoś.

– Republikanin! – dorzucił ktoś inny.

– Leweller!

Sal odwróciła się.

– Skąd możecie wiedzieć, kim jest ten człowiek, skoro go nie słuchacie! – zawołała gniewnie.

– Dziwka! – odkrzyknęli. – Papistka! Francuzka!

Jarge wstał i przeszedł powoli na tył sali do krzykaczy. Dołączył do niego przyjaciel Jack Camp, jeszcze większy od Jarge'a. Nie odezwali się ani słowem do prowokatorów, stanęli tylko obok, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, i patrzyli na mówcę.

– Nie wygląda to dobrze, Sal – mruknął Midwinter. – Może powinniśmy zakończyć spotkanie.

Spojrzała na pastora.

– Nie – odparła, choć też się martwiła. – W ten sposób okazalibyśmy uległość.

– Owszem, ale to może się źle skończyć.

Sal czuła, że Midwinter może mieć rację, ale nie mogła się pogodzić z myślą o porażce.

Small mówił dalej, ale niezbyt długo. Mężczyźni z karczmy Pod Rzeźnikiem znów zaczęli krzyczeć.

– Zachowują się tak, jakby chcieli wszcząć bójkę – zwróciła się do pastora.

– Jestem pewien, że to zostało zaplanowane – powiedział. – Ktoś koniecznie chce zdyskredytować Towarzystwo.

Sal uświadomiła sobie z przerażeniem, że Midwinter ma rację. Prowokatorzy nie reagowali na to, o czym mówił wykładowca, tylko realizowali przygotowany wcześniej plan.

A Will Riddick o tym wiedział i dlatego stawił się pod budynkiem z milicją. To był ukartowany spisek.

Ale kto go przygotował? Ludzie rządzący miastem nie pochwalali działalności Towarzystwa Sokratycznego, ale czy posunęliby się do organizowania zamieszek?

– Kto mógłby to zrobić? – spytała.

– Ktoś, kto się boi – odparł Midwinter.

Nie wiedziała, co ma na myśli.

Ludzie siedzący obok krzykaczy wstawali i odsuwali się od nich; prawdopodobnie obawiali się tego, co może się wydarzyć za chwilę.

Wielebny Small przerwał wykład i usiadł.

Midwinter wstał.

– Zrobimy teraz krótką przerwę, a za kwadrans przejdziemy do dyskusji – oznajmił.

Sal miała nadzieję, że to wszystkich uspokoi, lecz po chwili zorientowała się z przerażeniem, że interwencja pastora niczego nie zmieniła. Ludzie zaczęli przepychać się do drzwi. Sal nie spuszczała wzroku z podżegaczy, którzy się nie ruszyli, wyraźnie zadowoleni z paniki, którą wywołali.

Zobaczyła, jak jedna z uciekających kobiet wpada przypadkiem na Munga Landsmana. Ten zachwiał się lekko i uderzył ją w twarz. Z rozbitego nosa kobiety trysnęła krew. Wtedy Jarge uderzył Landsmana i po chwili w bójce uczestniczyło już kilka osób.

Sal chętnie powaliłaby choć jednego z wichrzycieli, oparła się jednak pokusie. Gdzie jest szeryf Doye? – przemknęło jej przez głowę i niemal w tym samym momencie zobaczyła go wchodzącego do budynku. Dlaczego wcześniej wyszedł na zewnątrz? Sekundę później знаła już odpowiedź: tuż za nim kroczył Will Riddick z milicją. Milicjanci i konstabl Davidson przerwali bójkę, związali niektórym walczącym mężczyznom ręce i kazali im położyć się na podłodze. Pozostali awanturnicy rzucili się do ucieczki.

– Muszę dopilnować, żeby aresztowali tych zbirów z karczmy Pod Rzeźnikiem – powiedziała Sal i ruszyła z determinacją w stronę milicjantów.

Will Riddick zagroził jej jednak drogę.

– Trzymaj się od tego z dala, Sal Clitheroe – rzucił i uśmiechając się podle, dodał: – Nie chcę, żeby stała ci się krzywda.

– Był pan na zewnątrz, więc nie mógł pan widzieć, kto do tego doprowadził. Ja mogę panu powiedzieć.

– Zachowaj to dla sędziów – odparł.

– Przecież pan też jest sędzią. Nie chce pan wiedzieć?

– Jestem zajęty. Zejdź mi z drogi.

Sal starała się zapamiętać wszystkich aresztowanych. Byli wśród nich stali bywalcy karczmy Pod Rzeźnikiem, ale też ich ofiary, na przykład Jarge.

Riddick kazał im się podnieść. Związano ich razem i wyprowadzono na zewnątrz. Sal i Mindwinter ruszyli za nimi. Aresztantów zaprowadzono do więzienia, które znajdowało się naprzeciwko budynku Sal Zebrań. Przywitał ich Gil Gilmore, strażnik więzienny. Gdy zniknęli w ciemnym wnętrzu budynku, Sal zwróciła się do Riddicka:

– Proszę dopilnować, by wszyscy zatrzymani trafili przed sąd. Lepiej, by nikt nie został wcześniej zwolniony dzięki znajomościom.

Sądząc po jego minie, zamierzał zrobić właśnie to, przed czym go przestrzegała.

– To już moja sprawa – powiedział nonszalancko.

– Dowód stronnictwa z pana strony podważyłby oskarżenia wobec któregoś z nich, czyż nie? – wtrącił się Midwinter.

– Proszę zostawić prawo mnie, pastarze. Pan niech się lepiej skupi na teologii.

*

Sędziowie zebrali się w poniedziałek rano w westybulu obok sali posiedzeń. Hornbeam był ogromnie zadowolony, że drugie spotkanie Towarzystwa Sokratycznego – zgodnie z jego planem – zamieniło się w burdę, ale nie spoczął na laurach. Przez całą niedzielę szykował się do procesu, przygotowując grunt pod skazania i surowe wyroki.

Na ławie przysięgłych mogli zasiadać mężczyźni w wieku od dwudziestu jeden do siedemdziesięciu lat, posiadający w Kingsbridge nieruchomości, które w ciągu roku mogłyby przynosić co najmniej czterdzieści szylingów zysku z najmu. Ludzie należący do tej grupy mogli również brać udział w wyborach; zasadę tę nazywano

prawem czterdziestoszylingowych wolnych posiadaczy. To właśnie oni zarządzali miastem i zwykle bez wahania uznawali robotników za winnych.

O składzie ławy przysięgłych decydował szeryf, który teoretycznie miał dobierać jej członków losowo. Niektórzy z uprawnionych do zasiadania w niej nie byli jednak zdaniem Hornbeama godni zaufania, rozmówił się więc z Doye'em i kazał mu wykluczyć wszystkich metodystów oraz nonkonformistów, którzy mogliby sprzyjać ludziom organizującym grupę dyskusyjną. Szeryf zgodził się na to bez wahania.

Hornbeam żałował tylko, że nie aresztowano Spade'a.

Przewodniczącym sędziów był radny Drinkwater i to on miał prowadzić proces. Hornbeam obawiał się, że ten będzie pobłażliwy, miał jednak nadzieję, że Will Riddick zrównoważy jego słabość.

Kiedy sędziowie czekali, aż oskarżeni zostaną sprowadzeni z więzienia, Hornbeam czytał „The Times”, udając, że jest rozluźniony.

– Rojaliści zostali pokonani we Francji – oznajmił. – Znowu. Nic nie wiem o tym młodym generale, Napoleonie Bonaparte. Ktoś coś o nim słyszał?

– Ja nie – odparł Drinkwater, przeglądając się w lustrze i poprawiając okulary.

– Ja też nie – rzucił Riddick, który rzadko czytał gazety.

– To diabeł wcielony – powiedział Hornbeam. – Piszą, że ustawił na ulicach Paryża sześćdziesiąt armat i zmiotł rojalistów kartaczami. Nie przestawał wydawać rozkazów, nawet gdy zastrzelono pod nim konia.

– Nie podoba mi się, gdy strzela się do ludzi z armat – wyraził swoją opinię Drinkwater. – Moim zdaniem to niedżentelmeńskie. W prawdziwej bitwie człowiek powinien walczyć przeciwko człowiekowi, pistolet przeciwko pistoletowi, szpada przeciwko szpadzie.

– Może i tak – mruknął Hornbeam. – Ale mimo wszystko wolałbym, żeby generał Bonaparte był po naszej stronie.

Do westybulu zajrzał urzędnik sądowy i poinformował ich, że wszystko jest już gotowe.

– Doskonale, proszę im powiedzieć, żeby się uciszyli – nakazał mu Drinkwater. Trzej sędziowie weszli do sali i zajęli miejsca.

Sala była wypełniona po brzegi. Oprócz kilkunastu oskarżonych, ich krewnych i przyjaciół oraz wielu świadków pojawili się również zwykli ciekawscy, którzy chcieli uczestniczyć w tym ważnym dla miasta wydarzeniu. Na ławach ustawionych pod ścianą siedzieli przysięgli. Wszyscy inni – prócz sędziów, oczywiście – stali. Jedynym prawnikiem obecnym na sali był urzędnik sądowy, Luke McCullough. Prawnicy rzadko pojawiali się w sądach, może z wyjątkiem Londynu. W większości przypadków oskarżycielami były ofiary przestępców. Dziś, jako że awantura była wydarzeniem publicznym, funkcję oskarżyciela pełnił szeryf Doye.

Wymienił nazwiska wszystkich oskarżonych o napaść, między innymi Jarge'a Boxa, Jacka Campa i Susan Hiscock. Na liście nie znaleźli się młodzieńcy z karczmy Pod Rzeźnikiem, czyli Mungo Landsman, Rob Appleyard i Nat Hammond. Hornbeam kazał szeryfowi zwolnić ich bez postawienia zarzutów. Byli jednak obecni na sali jako świadkowie.

– Szkoda, że nie aresztowali tej suki Sal Clitheroe – mruknął Riddick do Hornbeama.

– Jeden z oskarżonych, Jarge Box, należał do organizatorów zebrania, więc rozpatrzmy najpierw jego sprawę – oznajmił Drinkwater.

Hornbeam zdał sobie sprawę, że nie on jeden przygotował się do tego procesu. Był zaskoczony, że przewodniczący wykazał się taką dalekowzrocznością. Ale być może przedyskutował to najpierw z inteligentniejszym od niego zięciem, pastorem Midwinterem, i to on podpowiedział mu, jak najlepiej poprowadzić proces. Wydawało się, że Jarge Box został wcześniej pouczony, nie okazał bowiem zdziwienia, że przywołano go jako pierwszego.

Został oskarżony o napaść na Munga Landsmana i nie przyznawał się do winy. Landsman przysiągł, że będzie mówił prawdę i tylko prawdę, po czym oznajmił, że Box go uderzył, a następnie kopnął. Spytano Boxa, czy ma coś do powiedzenia.

– Jeśli Wysoki Sąd nie ma nic przeciwko, chciałbym opowiedzieć, co się wydarzyło – oświadczył.

Hornbeam był pewien, że i ta przemowa została wcześniej przygotowana. Poza tym Box był w eleganckim kaftanie i przyzwoitych butach, które z pewnością pożyczył specjalnie na tę okazję.

– Tak, proszę mówić – odparł Drinkwater.

Box był onieśmielony oficjalną atmosferą posiedzenia, przewyciężył jednak tremę i zaczął opowiadać z pewnością siebie.

– Na spotkaniu prawie przez godzinę było spokojnie i cicho – powiedział. – Wielebny Small z Oksfordu...

– Small nie był jedynym mówcą, prawda? – przerwał mu Hornbeam.

To zbiło Boxa z tropu. Zbierał przez moment myśli, po czym odparł:

– Mówił też Spade... to znaczy David Shoveller.

– I o czym mówił? – dążył Hornbeam.

– Hm... o książce archidiakona Paleya dla robotników.

– Czy to prawda, że rozśmieszał publiczność?

– Czytał tylko fragmenty tej książki.

– I wyśmiewał je?

– Nie, czytał normalnym głosem.

– Cóż, jeśli ludzie się śmieją, kiedy ktoś czyta głośno książkę, to może jest to wina autora, a nie czytającego – zauważył Drinkwater, na co publiczność zareagowała przytłumionymi chichotami. – Proszę mówić dalej.

Box znów nabrał pewności siebie.

– Wielebny Small mówił ogólnie o królach, nie wspominając ani słowem o królu Jerzym, kiedy Mungo Landsman wstał i krzyknął: „Boże, chroń króla!”. Potem wstało kilku innych i krzyczało to samo. Nie mogliśmy zrozumieć, co ich uraziło. Wyglądało to tak, jakby przyszli na spotkanie tylko po to, żeby narobić kłopotów. Zastanawialiśmy się, czy ktoś im za to nie zapłacił.

– Święte słowa! – krzyknęła jakaś kobieta.

– To ta przeklęta Clitheroe – mruknął Riddick.

– Pan Small chciał mówić dalej – kontynuował tymczasem Box – ale znów mu przerwali. Krzyczeli, że jest zdrajcą, republikaninem i lewellerem. Pani Clitheroe powiedziała, że nie mogą wiedzieć, kim jest mówca, skoro go nie słuchają, a wtedy zawołali, że jest dziwką, co jest nikczemnym kłamstwem.

– Mówisz o Sal Clitheroe? – przerwał mu Hornbeam. – Słyszałem, że to właśnie ona założyła Towarzystwo.

– Tak – potwierdził Box.

Hornbeam spojrzał na Sal.

– O kobiecie, którą wygnano z wioski Badford za napaść na syna dziedzica? – dodał.

Box znów stracił rezon i odpowiedział dopiero po chwili.

– Riddick zabił jej męża.

– Z pewnością tego nie zrobiłem – odezwał się Will Riddick.

– Nie zebraliśmy się tu dziś, żeby rozpatrywać tę sprawę – zaznaczył ze zniecierpliwieniem Drinkwater. – Proszę kontynuować, Box.

– Tak jest, Wysoki Sądzie. No więc ja i Jack Camp podeszliśmy do tych krzykaczy i stanęliśmy tam, ale to nic nie pomogło. Zrobiło się tak głośno, że nie było słycać mówcy, więc wielebny Small przerwał wykład. Pastor Midwinter zarządził przerwę, bo miał nadzieję, że wtedy Mungo Landsman i jego kamraci w końcu się zamkną albo sobie pójdą, a my będziemy mogli spokojnie podyskutować i czegoś się dowiedzieć. Ale większość ludzi ruszyła do wyjścia... pewnie przestraszyli się tych krzyków i chcieli wrócić do domu.

– Do rzeczy, człowieku – wtrącił się po raz trzeci Hornbeam. – Zaatakowałeś Munga Landsmana?

Tym razem Jarge nie dał się tak łatwo zbić z tropu.

– Lydia Mallet chciała wyjść i wpadła na Landsmana, a on uderzył ją w twarz – powiedział.

– Czy jest tutaj Lydia Mallet? – spytał Drinkwater.

Z tłumu wyszła młoda kobieta. Była ładna, ale opuchnięte usta i nos kładły się cieniem na jej urodzie.

– Czy zrobił ci to Mungo Landsman? – spytał Drinkwater.

Skinęła głową.

– Proszę powiedzieć „tak”, jeśli to właśnie ma pani na myśli.

– Fak – odpowiedziała i wszyscy parsknęli śmiechem. – Szeraszam, nie mogę mófić fyraśnie – dodała, co wywołało kolejną salwę śmiechu.

– Myślę, że możemy uznać to za potwierdzenie. – Drinkwater spojrzał na szeryfa. – Jeśli to zeznanie jest zgodne z prawdą, to trudno zrozumieć, dlaczego Landsman nie znalazł się wśród oskarżonych.

– Brak dowodów, Wysoki Sądzie – odparł Doye.

Ta odpowiedź wyraźnie nie usatysfakcjonowała przewodniczącego, postanowił jednak nie drażnić tego tematu.

– Co stało się potem, Box?

– Walnąłem Landsmana i upadł.

– Dlaczego?

– Uderzył kobietę! – odparł Jarge z oburzeniem.

– Ale potem go podobno kopnąłeś? – odezwał się Hornbeam.

– Żeby nie wstawał.

– Nie powinieneś tego robić – upomniał go Drinkwater. – W ten sposób wzięłeś prawo w swoje ręce. Trzeba było poinformować o tym szeryfa.

– Phil Doye wyszedł z sali, żeby sprowadzić milicję – odparł Box.

– Mogłeś powiedzieć mu o tym później. Wystarczy, myślę, że mamy już wszystkie informacje, których potrzebujemy.

Hornbeam był zirytowany takim przebiegiem procesu. On nie pozwoliłby Boxowi opowiedzieć, kto sprowokował bójkę podczas spotkania. To zeznanie mogło postawić przysięgłych po stronie organizatorów wykładu. A poza tym Drinkwater był wyraźnie wzburzony, że chłopców z karczmy Pod Rzeźnikiem wypuszczono na wolność.

Jak zwykle sąd rozpatrzył potem sprawy kolejnych oskarżonych i dopiero wtedy prosił przysięgłych o werdykt. Nie była to dobra praktyka, bo nim sesja dobiegła końca, przysięgli nie pamiętali już dobrze, co mówiono kilka godzin wcześniej. A gdy nie mieli pewności, zwykle uznawali oskarżonych za winnych, co zdaniem Hornbeama było słuszne, uważał bowiem, że właściwie wszyscy, którzy stanęli przed sądem, zasługują na karę.

Kolejne sprawy i zeznania były do siebie podobne. A uderzył B, bo B popchnął C. Każdy z oskarżonych twierdził, że został sprowokowany. Żadne z obrażeń nie było zbyt poważne: siniaki, pęknięte żebra, wybite zęby, nadwyreżone nadgarstki. W każdym z tych przypadków Drinkwater powtarzał do znudzenia, że prowokacja nie usprawiedliwia przemocy. Ostatecznie przysięgli uznali wszystkich za winnych.

Nadszedł czas, by sędziowie zdecydowali o wymiarze kary. Przez chwilę naradzali się cicho między sobą.

– Moim zdaniem ewidentnie zasługują na chłostę – oświadczył Hornbeam.

– Nie, nie. – Drinkwater pokręcił głową. – Myślę, że powinni spędzić dzień w dybach.

– Albo zapłacić dziesięć szylingów grzywny – mruknął Hornbeam. Chciał uchronić przed dybami swoich ludzi.

– Nie – sprzeciwił się stanowczo Drinkwater. – Wszyscy mają być traktowani tak samo. Nie chcę, żeby niektórzy siedzieli w dybach, a oni chodzili wolno po mieście tylko dlatego, że ktoś zapłacił za nich grzywnę.

Właśnie tak zamierzał to rozegrać Hornbeam, wiedział jednak, kiedy musi dać za wygraną.

– Zgoda – rzucił.

Jak zawsze miał plan awaryjny.

*

Hornbeam gardził robotnikami, zwłaszcza gdy byli w tłumie, a nie było gorszego motłochu niż londyński. Nawet on był jednak zszokowany

wiadomościami, które znalazł następnego dnia rano w gazecie. Kiedy król jechał powozem do parlamentu, zaatakowała go grupa chuliganów, wrzeszczących „Chleba i pokoju!”.

Kamienie rozbiły okno w powozie.

Rzucali kamieniami w króla! Hornbeam nigdy nie słyszał, by tak potraktowano obecnego monarchę. Należało to nazwać wprost zdradą. Lecz choć nie posiadał się z oburzenia, uświadomił sobie, że ta wiadomość może mu pomóc podczas spotkania z królewskim namiestnikiem, hrabią Shiring, do którego zamierzał się dziś udać. Złożył starannie gazetę, schował ją do kieszeni płaszcza i wyszedł z domu.

Był dumny z powozu, który stał przed frontowymi drzwiami. Wykonał go na jego zamówienie królewski powoźnik, John Hatchett z Long Acre w Londynie. Jako dziecko Hornbeam widywał takie pojazdy i marzył, by kiedyś mieć podobny. Był to powóz nazywany berliną, szybki, ale stabilny, dzięki czemu nie przewracał się na zakrętach. Lakierowane niebieskie nadwozie zdobiły złote paski.

Riddick siedział już w środku. Jechali do Earlscastle razem. Zakładali, że namiestnikowi trudno będzie zignorować skargę dwóch sędziów.

Przejechali przez rynek, na którym mimo wczesnej pory panował już spory ruch. Hornbeam zatrzymał powóz, by spojrzeć na skazańców.

Urządzenie zwane dybami unieruchamiało nogi, więc przestępca musiał przez cały dzień siedzieć w niewygodnej pozycji. Istotę kary stanowiło raczej upokorzenie niż ból. Dziś siedziało na deszczu dwanaście osób skazanych przez sędziów.

Ludzie często wyszydzała i maltretowali skazańców, którzy nie mogli się bronić, czasami obrzucali ich łajnem. Teoretycznie prawo zabraniało stosować wobec nich przemoc, ale nie przestrzegano tego zakazu. Dziś jednak nikt nie okazywał wrogości skazanym, co oznaczało, że ludzie się z nimi solidaryzują.

Hornbeam nie przejmował się tym szczególnie. Nie zależało mu na popularności, bo nie przynosiła zysków.

Spojrzał na Jarge'a Boxa, prowodyra, i jego siostrę Joanie, którzy siedzieli obok siebie. Nie wyglądało na to, by jakoś szczególnie cierpieli. Joanie gawędziła z kobietą, która trzymała kosz na zakupy. Jarge pił piwo z kufła, które przyniósł mu zapewne jakiś znajomy.

Potem Hornbeam dojrzał Sal Clitheroe, założycielkę Towarzystwa Sokratycznego, która nie została oskarżona. Stała obok Boxa i trzymała na ramieniu ciężką drewnianą łopatę, by w razie potrzeby go bronić. Hornbeam wątpił, by ktokolwiek próbował z nią zadrzeć.

Wszystko to było bardzo niezadowolające.

– Prawdziwymi winowajcami są organizatorzy, a ich nie skazano – powiedział Riddick.

Hornbeam skinął głową.

– Kiedy wrócimy po południu z Earlscastle, powinniśmy już mieć większą kontrolę nad sądem w tym mieście. – Kazał woźnicy jechać dalej.

To była długa podróż. Riddick proponował, by rozegrali kilka partyjek faraona, ale jego towarzysz odmówił. Nie przepadał za grami karcianymi, zwłaszcza takimi, w których można przegrać pieniądze.

Riddick spytał go, jak dobrze zna hrabiego.

– Prawie w ogóle – odparł Hornbeam. Przypomniawszy sobie starszą wersję wicehrabiego Northwooda, mężczyznę o takim samym dużym nosie i bystrym spojrzeniu, tylko łysego. – Widziałem go kilka razy na różnych oficjalnych spotkaniach i rozmawiał też ze mną, zanim mianował mnie sędzią. I to właściwie wszystko.

– Niestety, ze mną jest podobnie.

– Oczywiście nie ma pojęcia o robieniu interesów, jak większość arystokratów. Myślą, że bogactwo bierze się tylko z roli. Żyją wciąż w wiekach ciemnych.

Riddick skinął głową.

– Jego syn nie jest dość stanowczy – powiedział. – I ciągle powtarza, że Anglia to wolny kraj. Nie wiem, czy ojciec jest taki sam.

– Wkrótce się dowiemy.

Stawka spotkania była wysoka. Gdyby wszystko poszło po myśli Hornbeama, po powrocie do Kingsbridge dysponowałby znacznie większą władzą.

Kilka godzin później zobaczyli Earlscastle. Nie był to już zamek, choć zachowano część murów obronnych z blankami i otworami strzelniczymi. Współczesną część rezydencji wzniesiono z czerwonej cegły, na frontowej ścianie były szerokie witrażowe okna, a z dachu wyrastały kominy, z których płynęły ku zachmurzonemu niebu wstęgi gęstego dymu. Gawrony siedzące na wysokich wiązach krakały pogardliwie, gdy Hornbeam i Riddick wysiedli z powozu i weszli do środka.

– Mam nadzieję, że hrabia podejmie nas obiadem – odezwał się Riddick, gdy zdejmowali w holu płaszcze. – Umieram z głodu.

– Nie liczyłem na to – odparł Hornbeam.

Hrabia przyjął ich w bibliotece, a nie w salonie, co było sygnałem, że nie dorównują mu statusem i że nie traktuje ich wizyty jak spotkania towarzyskiego. Miał na sobie śliwkowy kaftan, a na głowie nosił srebrzyście siwą perukę.

Hornbeam był zaskoczony, gdy ujrzał w bibliotece jego syna. Tym razem wicehrabia nie był w mundurze, lecz w stroju do jazdy konnej. Prawdopodobnie właśnie z powodu wyjazdu do rodzinnej rezydencji nie pojawił się na spotkaniu Towarzystwa Sokratycznego. Jego obecność tutaj była niemiłą niespodzianką. Hornbeam nie sądził, że spodoba mu się jego propozycja.

W olbrzymim kominku buzował ogień, co ucieszyło go, bo zmarzył podczas długiej podróży.

Lokaj zaoferował im sherry i herbatniki, lecz Hornbeam odmówił, ponieważ chciał zachować trzeźwość umysłu.

Opowiedział hrabiemu o tym, co wydarzyło się podczas spotkania Towarzystwa Sokratycznego: o rewolucyjnie nastawionym mówcy, o proteście obywateli wiernych królowi, o aktach przemocy ze strony republikańskich osiłków i o zamieszkach.

Northwood słuchał go uważnie, lecz z wyraźnym sceptycyzmem.

– Ktoś zginął? – spytał.

– Nie. Ale kilka osób zostało rannych.

– Ciężko?

Hornbeam miał już skłamać, że tak, ale przyszło mu do głowy, że Northwood mógł już otrzymać raport od swojego adiutanta, porucznika Donaldsona, więc musiał trzymać się faktów.

– Niezbyt – odparł.

– Więc była to raczej zwykła awantura, a nie zamieszki – stwierdził wicehrabia, powtarzając to samo, co powiedział w sądzie Drinkwater.

Tak, pułkownik z pewnością został już poinformowany o wypadkach w Kingsbridge.

– Przed sądem stanęło dwanaście osób – oznajmił Hornbeam. – Procesowi przewodniczył radny Drinkwater i sprawy przybrały niewłaściwy obrót. Najpierw zmienił rangę zarzutów z udziału w zamieszkach na napaść. Przysięgli wykazali się rozsądkiem i uznali wszystkich oskarżonych za winnych. Ale Drinkwater upierał się przy łagodnych wyrokach. Wszyscy zostali skazani na dzień w dybach. Siedzą tam teraz, gawędzą z przechodniami i piją piwo, które przynoszą im znajomi.

– To zakrawa na kpinę ze sprawiedliwości – dodał Riddick.

– Uważacie, że to poważna sprawa – włączył się do rozmowy hrabia.

– Owszem – odparł Hornbeam.

– Co waszym zdaniem należałoby z tym zrobić?

Hornbeam odetchnął głęboko. Wiedział, że to kluczowy moment.

– Radny Drinkwater ma siedemdziesiąt lat – zaczął. – Wiek to nie wszystko, oczywiście – dodał pospiesznie, przypomniawszy sobie, że hrabia dobiega sześćdziesiątki. – Drinkwater wszedł już jednak w ten okres życia, kiedy niektórzy stają się zbyt wyrozumiali, co jest być może cechą pożądaną u dziadka, ale nie u przewodniczącego składu sędziowskiego.

– Chcecie, żebym zdymisjonował Drinkwatera?

– Tak, jako sędziego. Oczywiście pozostanie radnym.

– Zakładam, że pan chciałby zająć jego miejsce, panie Hornbeam – powiedział hrabia.

– Przyjąłbym pokornie to stanowisko, gdyby mi je zaoferowano.

– Radny Hornbeam to oczywisty kandydat – wtrącił Riddick. – Jest najważniejszym sukiennikiem w mieście i z pewnością wcześniej czy później zostanie burmistrzem.

Otóż to, tak wyglądają nasze postulaty, pomyślał Hornbeam. Zaraz się przekonamy, jak zostaną przyjęte.

Hrabia nie wyglądał na zachwyconego ich pomysłem.

– Nie jestem pewien, czy to, co właśnie mi powiedzieliście, stanowi podstawę do dymisji. To byłby dość drastyczny krok.

Tego właśnie obawiał się Hornbeam.

– Nie róbmy z igły wideł – wtrącił się Northwood. – Każdy Anglik ma prawo do wyrażania swoich poglądów, a Towarzystwo Sokratyczne w Kingsbridge to grupa dyskusyjna. Kilka rozbitych nosów to jeszcze nie rewolucja. Nie sądzę, by Towarzystwo stanowiło jakiegokolwiek zagrożenie dla Jego Wysokości króla Jerzego czy trwałości państwa.

Pobożne życzenia, pomyślał Hornbeam, ale nie ośmielił się powiedzieć tego głośno.

W bibliotece zapadła cisza. Hrabia wydawał się niewzruszony, a jego syn zadowolony z przebiegu rozmowy. Riddick wyglądał na skonsternowanego. Nie był zbyt lotny i nie miał pojęcia, jak powinien zareagować.

Ale Hornbeam miał asa w rękawie, a właściwie w kieszeni.

– Ciekaw jestem, panie hrabio, czy czytał pan już dzisiejszą gazetę. – Wyjął egzemplarz „The Times”. – Piszą tu, że londyński motłoch obrzucił króla kamieniami.

– Dobry Boże! – obruszył się hrabia.

– Nie wiedziałem o tym – mruknął Riddick.

– To prawda? – spytał Northwood.

– Podobno krzyczeli „Chleba i pokoju!”. – Hornbeam rozłożył gazetę i podał ją hrabiemu.

Ten przeczytał kilka wersów i powiedział ze zdumieniem:

– Rozbili okna w jego powozie!

– Być może za bardzo się przejmuję. – Hornbeam westchnął ciężko. – Ale uważam, że jako przedstawiciele władzy powinniśmy podejmować bardziej stanowcze działania przeciwko agitatorom i rewolucjonistom.

– Zaczynam się przychylić do pana zdania – mruknął hrabia.

Jego syn milczał.

– Ci ludzie to pomiot szatana – rzucił Riddick.

– Właśnie tak zaczynają się rewolucje, prawda? – zauważył Hornbeam. – Wywrotowe idee prowadzą do aktów przemocy, a te potem eskalują.

– Być może ma pan rację – przyznał hrabia.

Hornbeam pomyślał, że arystokrata mięknie, ale na drodze do zwycięstwa wciąż stał jego syn.

Do pokoju weszła młoda kobieta w drogim stroju do jazdy konnej i eleganckim małym kapeluszu. Dygnęła przed hrabią.

– Przepraszam, wuju, że przeszkadzam, ale czekamy z koniem na Henry’ego.

Northwood wstał.

– Proszę o wybaczenie, Mirando. To ważna rozmowa... – Najwyraźniej wcale nie miał ochoty wychodzić.

– Możesz odejść, Henry – powiedział jednak jego ojciec. – Dziękuję ci za pomoc.

Hornbeam domyślił się, że kobieta w stroju jeździeckim to kuzynka Northwooda, Miranda Littlehampton. Mówiono, że są nieoficjalnie zaręczeni. Nigdy nie był ekspertem od spraw sercowych, ale miał wrażenie, że zależy jej na tym związku bardziej niż synowi hrabiego.

Tak czy inaczej, uznał za uśmiech losu to, że Northwood wyszedł.

– Ładna dziewczyna – odezwał się Riddick z podziwem.

Zamknij się, głupcze, pomyślał Hornbeam. Hrabiego nie obchodzi, co myślisz o jego przyszłej synowej.

– Dziękuję, że zechciał pan przyjąć mnie i pana Riddicka, panie hrabio – powiedział pospiesznie. – Doceniamy ten gest i wiemy, że ta rozmowa ma ogromne znaczenie dla pana hrabstwa, a zwłaszcza dla Kingsbridge.

Było to zwykle pustosłowie, ale odwróciło uwagę hrabiego od prostackiej uwagi Riddicka na temat Mirandy.

– Tak – odparł arystokrata. – Dziękuję, że powiadomiliście mnie o tej sprawie. Myślę, że powinienem posłuchać waszej sugestii i powiedzieć Drinkwaterowi, że już czas, by odpoczął.

Co za sukces! – zachwycił się Hornbeam. Czuł ogromną satysfakcję, zachował jednak kamienną twarz.

– Napiszę do Drinkwatera – oznajmił hrabia.

– Gdyby zechciał pan, żebym dostarczył ten list... – zaczął Hornbeam gorliwie.

– Nie sądzę – przerwał mu ostro hrabia. – Drinkwater mógłby to uznać za nieuprzejmość. Dam list synowi.

Hornbeam zrozumiał, że jego radość była przedwczesna.

– Tak, panie hrabio, oczywiście. Nie pomyślałem.

– Przypuszczam, że chcecie jak najszybciej ruszyć w drogę. Czeka was długa jazda. – Ton hrabiego nie pozostawiał pola do dyskusji. Gospodarz najwyraźniej nie zamierzał zaprosić gości na obiad.

– Jeśli pan pozwoli, panie hrabio, pójdziemy już – powiedział Hornbeam i wstał.

Hrabia sięgnął do dzwonka i minutę później w bibliotece pojawił się lokaj. Goście ukłonili się uprzejmie i wyszli do holu. Hrabia nie uznał za stosowne odprowadzić ich do drzwi.

Włożyli płaszcze i wyszli na zewnątrz. Powóz czekał, lśniący od deszczu. Gdy tylko wsiedli, konie ruszyły w drogę.

- Muszę panu przyznać, że cwana z pana bestia – powiedział Riddick.
- Tak. Wiem.

ROZDZIAŁ 17

Robotnikom zakładów włókienniczych płacono w soboty o piątej po południu, po zakończeniu pracy. Choć wszyscy pracowali po tyle samo godzin, wysokość wypłaty zależała od ilości uprzedzonych nici. Sal i Kit zwykle otrzymywali około dwunastu szylingów. Trzy lata temu czułaby się z takimi pieniędzmi jak prawdziwa bogaczka, ale od tego czasu kiepskie żniwa i wysokie podatki wojenne doprowadziły do znaczącego wzrostu cen. Teraz dwanaście szylingów ledwie starczało jej na utrzymanie.

Sal i Joanie natychmiast ruszyły, żeby opłacić czynsz. Brnęły z dziećmi przez zimną mżawkę, bo dom z kominkiem był ważniejszy niż jedzenie. Wyziębienie i choroby, do których doprowadzał mróz, mogły zabić szybciej niż głód. Zaległości w spłacie czynszu były pierwszym krokiem na drodze do skrajnego ubóstwa.

Ich dom należał do katedry, lecz czynsz uiszczają w biurze, które mieściło się w ich biednej dzielnicy. Opłata za cały dom wynosiła szyling tygodniowo, a Sal płaciła pięć z dwunastu pensów, bo zajmowała nieco mniej niż połowę budynku. Kobiety oddały należność, po czym poszły na rynek. Było już ciemno, ale na straganach paliły się latarnie.

Sal poprosiła piekarza o czterofuntowy bochenek chleba.

– Szyling i dwa pensy – rzucił sprzedawca.

– Wczoraj chleb kosztował szylinga i jeden pens, a ledwie rok temu tylko siedem pensów! – powiedziała oburzona.

Mężczyzna wydawał się znużony, jakby przez cały dzień słuchał podobnych narzekań.

– Wiem. – Westchnął ciężko. – Tyle że worek mąki kosztował trzynaście szylingów, a teraz trzeba płacić dwadzieścia sześć. Co mam zrobić? Jeśli będę

sprzedawał poniżej kosztów, zbankrutuję w ciągu tygodnia.

Sal była pewna, że piekarz przesadza, ale rozumiała jego punkt widzenia. Kupiła bochenek, Joanie również. Ale co zrobią, jeśli chleb znów podrożeje?

Nie był to tylko problem Kingsbridge. Spade mówił, że to samo dzieje się w całym kraju. W niektórych miastach kobiety podnosiły bunt, który często zaczynał się pod drzwiami sklepów.

Na zadaszonym targowisku po południowej stronie katedry stał stragan rzeźnika ze smakowitymi towarami – świeżą wołowiną, wieprzowiną i baraniną – były jednak zdecydowanie za drogie dla Sal. Wypatrywała bażantów lub kuropatw, chudych dzikich ptaków o żylastym mięsie, które trzeba było długo gotować. Zwykle nie brakowało ich o tej porze roku, ale dziś nie znalazła ani jednego.

– To przez pogodę – wyjaśnił rzeźnik. – W takie ciemne deszczowe dni myśliwi nawet nie widzą ptaków, a co dopiero mówić o polowaniu.

Sal i Joanie wypytywały o ceny suszonego i wędzonego mięsa, bekonu i solonej wołowiny, lecz i one były za wysokie. Ostatecznie kobiety kupiły solonego dorsza.

– Nie lubię – zaczęła się skarżyć Sue.

– Nie marudź. Niektóre dzieci nie mają nic prócz owsianki – upomniała ją szorstko matka.

Po drodze do domu minęły salę zebrzań, gdzie właśnie miało się zacząć przyjęcie. Przed budynkiem zatrzymywały się powozy; damy, starając się uchronić swoje bajeczne kreacje przed deszczem, przechodziły pospiesznie do budynku. Na tyłach kuchnia przyjmowała ostatnie dostawy: wielkie worki z bochnami chleba, szynki i beczki porto. Niektórych wciąż było stać na takie luksusy.

Joanie zaczepiła tragarza, który niósł kosz pomarańczy z Hiszpanii.

– Kto wydaje to przyjęcie?

– Radny Hornbeam – odpowiedział mężczyzna. – Podwójny ślub.

Sal już o tym słyszała. Jego syn Howard żenił się z Bel Marsh, a córka Deborah wychodziła za Willa Riddicka. Sal szczerze współczuła kobiecie, która miała

zostać żoną Willa, kimkolwiek była.

– To będzie huczne wesele – dodał tragarz. – Spodziewają się kilkuset gości.

Wśród gości była pewnie połowa mieszkańców Kingsbridge uprawnionych do głosowania, bo Hornbeam był teraz przewodniczącym sędziów i z pewnością zamierzał w przyszłości kandydować na burmistrza. W niektórych miastach urząd ten piastował co roku inny radny, ale tu burmistrz był wyłaniany w drodze głosowania i pozostawał nim aż do emerytury, chyba że wcześniej wyrzucą go radni. Obecny gospodarz miasta, burmistrz Fishwick, cieszył się dobrym zdrowiem i popularnością. Ale Hornbeam prowadził dalekowzroczną politykę.

Gdy w końcu dotarły do domu, Sal położyła chleb i soloną rybę w kuchni. Po zjedzeniu kolacji poczekają, aż przygaśnie ogień w palenisku i pójdą z dziećmi do Bella. Oszczędzając na drewnie na opał, mogły sobie pozwolić na kubek piwa. Ta myśl podniosła Sal na duchu. W dodatku jutro czekał ich dzień odpoczynku.

Joanie zawołała ciotkę Dottie, a po chwili do kuchni wszedł Jarge i zabrał się do krojenia ryby. Dottie wciąż jednak nie przychodziła.

– Idź na górę po ciotkę – zwróciła się Joanie do córki. – Pewnie śpi.

Sue wepchnęła do ust kawałek chleba i ruszyła po schodach na górę.

Wróciła po minucie.

– Ciocia nic nie mówi – powiedziała.

W kuchni zapadła na moment cisza, potem Joanie jęknęła:

– O Jezu...

Popędziła na górę, Jarge, Sal i dzieci biegli tuż za nią i wszyscy wtargnęli do pokoju na poddaszu. Starsza pani leżała na łóżku, na plecach. Miała szeroko otwarte oczy, ale nic już nie widziała; jej usta również były otwarte, choć nie oddychała. Sal wiedziała już, jak wygląda śmierć, nie miała więc wątpliwości, że Dottie odeszła. Joanie milczała; po jej twarzy spływały strumienie łez. Sal sprawdziła puls staruszki i przyłożyła ucho do jej piersi, jakby chciała usłyszeć bicie serca. Dotykając jej ciała, uzmysłowiła sobie, że Dottie bardzo ostatnio schudła. Nie zauważyła tego wcześniej i teraz ogarnęło ją poczucie winy.

Wiedziała, że tak się właśnie dzieje, gdy brakuje jedzenia: najpierw odchodzili najmłodszy i najstarszy.

Zszokowane dzieci patrzyły na zmarłą szeroko otwartymi oczami. Sal przemknęło przez głowę, że powinna kazać im wyjść z pokoju, w końcu uznała jednak, że lepiej będzie, jeśli zostaną. Przypuszczała, że jeszcze wielokrotnie będą oglądać śmierć, więc powinny się przyzwyczaić do tego widoku.

Joanie, którą Dottie wychowywała po śmierci siostry, pogrążyła się w rozpacz. Sal wiedziała, że wkrótce dojdzie do siebie, ale na jakiś czas to ona musiała zająć się prowadzeniem domu. Dottie była też ciotką Jarge'a, ale nie łączyła ich jakaś szczególna zażyłość. Poza tym był mężczyzną i nie mógł przejąć niektórych kobiecych zadań.

Sal i Joanie musiały umyć ciało i owinąć je całunem, który był niemałym wydatkiem w tych trudnych czasach. Potem Sal zamierzała udać się do pastora z kościoła Świętego Marka i porozmawiać o pogrzebie. Jeśli pogrzeb odbyłby się następnego dnia, w niedzielę, w poniedziałek mogłyby normalnie pracować i nie stracić całej dniówki.

– Jarge – powiedziała Sal. – Daj dzieciom kolację, a Joanie i ja zajmiemy się w tym czasie ciałem biednej Dottie, dobrze?

– Och... – zdziwił się Jarge, szybko jednak ochłonął. – Ach, tak... Dzieciaki, chodźcie ze mną do kuchni.

Sue i Kit wyszli za nim.

Sal zakasała rękawy.

*

Elsie i jej matka siedziały pod ścianą sali balowej i obserwowały gości tańczących gawota. Kobiety były w sukniach w jaskrawych kolorach, z rozłożystymi spódnicami i bufiastymi rękawami ozdobionymi na mankietach koronkami. Włosy miały ułożone w wysokie wieże zdobione wstążkami.

Mężczyźni paradowali w obcisłych kamizelkach i frakach z poduszkami na ramionach.

– To dziwne, że komuś chce się jeszcze tańczyć – rozmyślała głośno Elsie. – Przegrywamy wojnę, ludzi nie stać na chleb, a powóz króla obrzucono kamieniami. Jak możemy być tak niefrasobliwi?

– Właśnie w takich chwilach ludzie najbardziej potrzebują rozrywki – odpowiedziała Arabella. – Nie możemy przez cały czas rozmyślać o cierpieniach.

– Pewnie masz rację. Albo ludzi, którzy się tu bawią, nie obchodzą wojna, król ani głodni robotnicy.

– To mógłby być miły sposób na życie, gdybyś tylko potrafiła się w tym odnaleźć. Szczęśliwa apatia.

Elsie pomyślała, że to nie dla niej, ale postanowiła nie mówić o tym głośno. Kochała matkę, ale miały ze sobą niewiele wspólnego. Niewiele też łączyło ją z ojcem. Czasami zastanawiała się nawet, skąd się wzięła w tej rodzinie.

Rozmyślała przez chwilę o tym, jakie dzieci spłodzą dwie pary nowożeńców tańczące teraz na parkiecie. Potomstwo Howarda Hornbeama będzie zapewne pulchne i leniwe jak on.

– Howard wygląda na oszołomionego, ale zadowolonego – zauważyła.

– To było krótkie narzeczeństwo. Słyszałam, że nie miał zbyt wiele do powiedzenia w kwestii wyboru żony – powiedziała Arabella. – Ma prawo czuć się oszołomiony.

– Wydaje się jednak zadowolony z małżonki.

– Mimo jej króliczych zębów.

– Może zdaje sobie sprawę, że mógł trafić znacznie gorzej. Radny Hornbeam mógł go zeswatać z jakąś okropną kobietą.

– Bel Marsh może być wdzięczna losowi z tego samego powodu. Howard to miły chłopiec, zupełnie niepodobny do ojca.

Elsie skinęła głową.

– Bel wygląda na zadowoloną z siebie – rzuciła, po czym spojrzała na drugą parę, która wydawała się znacznie poważniejsza. Elsie była pewna, że Riddick będzie zaniedbywał swoje dzieci, co zresztą wyjdzie im tylko na dobre. – Jestem pewna, że Riddick chce tylko, by ktoś zarządzał jego domem. Wtedy będzie mógł poświęcać cały wolny czas na picie, hazard i prostytutki.

– Hm... może się przekonać, że Deborah ma inny pomysł na życie. Spójrz na jej podbródek. To oznaka determinacji.

– Mam taką nadzieję. Chciałabym zobaczyć, jak Riddick zмага się z silną kobietą.

Podszedł do nich Kenelm Mackintosh i usiadł obok Elsie.

– Jakaż to piękna okazja – powiedział. – Dwie pary odnajdują szczęście w świętym związku małżeńskim.

Czas pokaże, czy rzeczywiście znajdą w nim szczęście, pomyślała Elsie.

– Czy związek małżeński jest święty, jeśli został zaaranżowany przez rodziców? – spytała.

Mackintosh zawahał się.

– Liczy się wybór Boga – odparł po chwili.

Była to wymijająca odpowiedź, ale Elsie nie zamierzała kontynuować tego tematu.

Skończył się gawot i zapowiedziano menueta, którego tańczyło się w parach. Farbiarz Isaac Marsh, ojciec Bel, pojawił się u boku Arabelli i zaprosił ją do tańca.

– Z przyjemnością – powiedziała, wstając. Była prawdopodobnie najatrakcyjniejszą kobietą w średnim wieku w Kingsbridge i wielu mężczyzn korzystało z okazji, by zaprosić ją do tańca. Lubiła, gdy otaczano ją uwagą i podziwem, więc zwykle nie odmawiała.

– Czego oczekowałyby pan w małżeństwie? – zwróciła się Elsie do Mackintosha.

– Kogoś, kto wspierałby moje święte powołanie – odpowiedział bez zastanowienia.

– Bardzo mądrze. – Skinęła głową. – Małżonkowie powinni wspierać się nawzajem – dodała, podkreślając, że dotyczy to nie tylko żon.

– Otóż to. – Nawet nie zauważył, że nieco zmodyfikowała jego opinię. – A pani? Czego oczekiwałyby pani w małżeństwie?

– Dzieci. Wyobrażam sobie duży dom pełen dzieci, czworo, może pięcioro, wszystkie zdrowe i szczęśliwe, z zabawkami, książkami i zwierzakami.

– Cóż, to z pewnością pokrywa się z wolą Bożą. Oczywiście po ślubie nie zajmowałyby się pani już szkółką niedzielną.

– Z pewnością bym się zajmowała.

Mackintosh uniósł brwi.

– Nie poświęciłaby się pani mężowi?

– Myślę, że dałabym sobie radę z jednym i drugim. A poza tym szkółka niedzielna to też dzieło Boże.

Skinął z ociąganiem głową.

– Owszem.

Elsie zdała sobie sprawę, że rozmowa przeszła na sprawy osobiste. A przecież chciała tylko zakwestionować założenie, że małżeństwo zawsze oznacza szczęście, tymczasem on chciał wiedzieć, czy kontynuowałyby po ślubie pracę i jak zamierzałyby się poświęcać dla męża. Wyglądało to niemal tak, jakby rozważał ją jako kandydatkę na żonę.

Nim zdążyła na to zareagować, zobaczyła mężczyznę, którego poślubiłaby bez wahania. Amos był w nowym ciemnoczerwonym fraku i jasnoróżowej kamizelce. Elsie uświadomiła sobie, że nie miał jeszcze okazji poznać Mackintosha, więc przedstawiła ich sobie.

– Dużo o panu słyszałem – powiedział Mackintosh. – Panna Latimer spędza z panem mnóstwo czasu. – W jego tonie pobrzmiwała nuta dezaprobaty.

– Prowadzimy razem szkółkę niedzielną – odparł Amos. – A, właśnie! Myślę, że mógł pan poznać mojego przyjaciela Rogera Riddicka. Właśnie skończył studia w Oksfordzie, podobnie jak pan.

- Owszem, parę razy natknąłem się na Riddicka – odparł Mackintosh ostrożnie.
- W styczniu wyjeżdża do Berlina.
- Obracaliśmy się w innych kręgach.

– Z pewnością. – Amos roześmiał się. – Roger jest zapalonym hazardzistą, a to raczej nieodpowiednia rozrywka dla studenta teologii. Ale jest też świetnym inżynierem.

– Proszę mi powiedzieć, jakie ma pan przygotowanie do nauczania w szkółce niedzielnej?

Amos nie miał żadnego specjalnego przygotowania. Elsie uznała, że Mackintosh zachował się nietaktownie, zadając to pytanie.

– Gdy pomyślę o czasach, gdy sam byłem uczniem – odezwał się po chwili Amos – dochodzę do wniosku, że najlepszymi nauczycielami byli ci, którzy potrafili wszystko jasno wytłumaczyć. Chaotyczne umysły tworzą mętne zdania. Staram się więc, by wszystko było jasne i zrozumiałe.

– Jest w tym bardzo dobry – dodała Elsie.

– Ale nie studiował pan systematycznie Pisma – nie ustępował Mackintosh.

Elsie zorientowała się, że młody duchowny próbuje udowodnić swoją wyższość. Wcześniej powiedział jej, że spędza dużo czasu z Amosem. Może uważał go za rywala w staraniach o jej względy.

Jeśli tak myślał, to miał stuprocentową rację.

– Ależ bardzo dobrze znam Pismo – odparł Amos z werwą. – Co tydzień studiuję Biblię na zajęciach prowadzonych przez metodystów i robię to od wielu lat.

– Ach, tak. – Mackintosh uśmiechnął się protekcjonalnie. – Metodystyczne studiowanie Biblii. – Podkreślił to, że on studiował na uniwersytecie, a Amos nie.

Elsie wiedziała, że młodzi mężczyźni często się tak zachowują. Jej matka, która czasami potrafiła być wulgarna, powiedziała kiedyś, że niektórzy nazywają tego rodzaju spory między mężczyznami konkursami w szczaniu na odległość.

Nagle pojawił się obok nich biskup. Szedł powoli, jakby był zmęczony, i Elsie zastanawiała się z niepokojem, czy coś ojcu dolega.

Mackintosh zerwał się ochoczo z miejsca.

– Wasza Ekscelencjo – powiedział.

– Bądź tak dobry i poszukaj archidiakona, dobrze? – poprosił biskup. Wyraźnie brakowało mu tchu. – Muszę z nim porozmawiać o jutrzejszych nabożeństwach.

– Tak jest, Wasza Ekscelencjo.

Mackintosh natychmiast ruszył na poszukiwania archidiakona, a biskup przeszedł dalej.

– Roger mówił mi, że nie był zbyt lubiany w Oksfordzie – zwrócił się do Elsie Amos.

– Powiedział dlaczego?

– Mackintosh to pochlebca, stale próbuje wkraść się w łaski ważnych ludzi.

– Myślę, że jest ambitny.

– Lubisz go, prawda?

Elsie pokręciła głową.

– Nie, ale nie mam też nic przeciwko niemu.

– I nie masz z nim nic wspólnego?

Ten kierunek rozmowy nie podobał się Elsie. Zmarszczyła brwi.

– Dlaczego go przy mnie obgadujesz?

– Bo wiem, co kombinuje ten szczywany lis.

– Doprawdy?

– Chce się z tobą ożenić, bo to mu pomoże w karierze.

Te słowa naprawdę ją rozzłościły.

– Z tego właśnie powodu? Kto by pomyślał...

Amos nie zauważył, że jest zła.

– Oczywiście. Zięć biskupa z pewnością może liczyć na awans w hierarchii kościelnej.

– Jesteś tego pewien? – rzuciła już nie na żarty rozwścieczona.

– Tak.

– Uważasz, że to niemożliwe, by wielebny Mackintosh po prostu się we mnie zakochał?

– Tak uważam.

– Dlaczego sądzisz, że to takie nieprawdopodobne, żebym spodobała się jakiemuś młodemu mężczyźnie?

Amos dopiero teraz zrozumiał, jaki wniosek można było wysnuć z jego słów.

– Nie to miałem na myśli – rzucił.

– A mnie się wydaje, że właśnie to.

– Skąd możesz wiedzieć, co myślę?

– Wiem. Kobiety zawsze wiedzą, co myślą mężczyźni.

Pojawiła się przy nich Jane Midwinter w sukni z czarnego jedwabiu.

– Nie mam z kim tańczyć – oznajmiła.

Amos zerwał się na równe nogi.

– Teraz już masz – powiedział i zaprowadził ją na parkiet.

Elsie chciało się płakać.

– Czy ojciec dobrze się czuje? – spytała matki, gdy ta wróciła. – Wydaje się trochę osłabiony. Zastanawiałam się, czy nie jest chory.

– Nie wiem. – Arabella westchnęła. – Mówi, że nic mu nie dolega. Ale jest bardzo otyły i szybko się męczy.

– Niedobrze.

– Ale ciebie chyba dręczy coś innego – zauważyła trafnie Arabella.

Elsie nie potrafiła ukryć niczego przed matką.

– Amos mnie rozzłościł.

– To dziwne – rzuciła zaskoczona Arabella. – Lubisz go, prawda?

– Tak, ale on chce się ożenić z Jane Midwinter.

– A ona chciałaby poślubić wicehrabiego Northwooda.

Córka postanowiła powiedzieć jej o Mackintoshu.

– Wydaje mi się, że pan Mackintosh chciałby się ze mną ożenić.

– Oczywiście, że tak. Widziałam, jak na ciebie patrzy.

– Naprawdę? – Elsie niczego nie zauważyła. – Tylko że ja nigdy bym go nie pokochała.

Arabella wzruszyła ramionami.

– Twojego ojca i mnie nigdy nie łączyła wielka namiętność. Jest strasznie napuszony, ale dał mi stabilność i wygodę, za co jestem mu wdzięczna. A on uważa, że jestem wyjątkowa, na szczęście. Ale po żadnej ze stron nie było miłości, która musi być jak najszybciej skonsumowana... jeśli wiesz, o czym mówię.

Elsie wiedziała. Rozmowa z matką stała się bardzo szczerą. Dziewczyna czuła się zakłopotana, ale i zafascynowana jednocześnie.

– A teraz? – spytała. – Cieszysz się, że go poślubiłaś?

– Oczywiście! – Arabella uśmiechnęła się i wzięła córkę za rękę. – Inaczej nie miałabym ciebie.

*

Nikt nie pracował w dzień świąteczny. Ważne święta były dla robotników z Kingsbridge czasem odpoczynku. Mieli wolne w Wielki Piątek, w drugi dzień Zielonych Świątek, we Wszystkich Świętych i w Boże Narodzenie, a także w jeszcze jedno święto obchodzone tylko w Kingsbridge: Dzień Świętego Adolfusa, pod koniec roku. Adolfus był patronem katedry i w jego święto organizowano w mieście specjalny jarmark.

Padał lekki deszcz, znacznie spokojniejszy niż ostatnie ulewy. Mniej więcej o tej porze roku rolnicy musieli zdecydować, ile sztuk bydła zdołają wykarmić przez zimę, a kiedy już podjęli tę decyzję, zarzynali pozostałe zwierzęta, więc cena mięsa zwykle spadała. Poza tym większość rolników przetrzymywała do tego czasu część zboża, by je sprzedać, gdy zapasy poczynione latem już się skurczą.

Sal, Joanie i Jarge poszli na rynek w nadziei, że trafią na okazję, może na tanią wołowinę lub wieprzowinę. Dzieci towarzyszyły im, bo dla nich była to rozrywka.

Dorosłych spotkało jednak rozczarowanie. Jedzenia na sprzedaż było niewiele i nie znaleźli nic taniego. Kobiety złościły się z powodu wysokich cen; nie mogły znieść myśli, że być może nie zdołają wykarmić rodzin. Choć nie znały nazwiska premiera, mówiły, że należy się go pozbyć. Chciały, by wojna się skończyła. Niektóre twierdziły wręcz, że w kraju potrzebna jest rewolucja, jak te w Ameryce i Francji.

Sal kupiła trochę owczych flaków, które trzeba było gotować przez kilka godzin, by dostatecznie zmiękły i nadawały się do jedzenia; były potem całkowicie pozbawione smaku, jeśli nie gotowało się ich z cebulą. Żałowała, że nie ma choć małego kawałka prawdziwego mięsa dla Kita, który był przecież dzieckiem, a ciężko pracował.

Po północnej stronie rynku, obok cmentarza, odbywała się aukcja zboża. Za licytorem stały wielkie sterty worków; każda należała do innego sprzedawcy. Sal słyszała, jak piekarze komentują ze złością ceny.

– Gdybym płacił tyle za zboże, mój chleb kosztowałby więcej niż wołowina! – powiedział jeden z nich.

– Największa pozycja dzisiejszego dnia, sto buszli pszenicy! – zawołał licytator. – Kto pierwszy?!

– Spójrz tam – powiedziała Joanie. – Za tą kobietę w czerwonym kapeluszu. Czy to naprawdę on?

Sal spojrzała we wskazane miejsce.

– Mówisz o radnym Hornbeamie? – spytała.

– Tak. Ale co on robi na aukcji zboża? Przecież jest sukiennikiem.

– Może jest tylko ciekawy jak my.

– Ciekawy jak wąż – prychnęła Joanie.

W miarę jak rosła cena wystawionego na aukcję zboża, w tłumie podnosiły się coraz liczniejsze głosy niezadowolenia. Ludzie wiedzieli, że nigdy nie będzie ich

stać na chleb z tej pszenicy.

– Rolnik, który sprzedaje to zboże, zarobi mnóstwo pieniędzy – powiedziała Joanie.

Coś zaskoczyło w umyśle Sal.

– To wcale nie musi być rolnik – zauważyła.

– A kto inny miałby pszenicę na sprzedaż?

– Ktoś, kto kupił ją od rolnika w czasie żniw i przechowywał do czasu, aż cena poszła mocno w górę. – Przypomniała sobie słowo, które przeczytała kiedyś w gazecie. – Spekulant.

– Co? – zdumiał się Jarge. – Czy to nie jest wbrew prawu?

– Nie wydaje mi się – odparła Sal.

– Więc powinno być, do cholery.

Zgadzała się z tym.

Zboże sprzedano za cenę, która wykraczała poza jej wyobraźnię. Wykraczała także poza możliwości piekarzy z Kingsbridge.

Kilku mężczyzn zaczęło zabierać worki i ładować je na ręczny wózek. W każdym worku był buszel zboża i ważył około sześćdziesięciu funtów, pracowali więc w parach; łapali go z obu stron i rzucali na wózek. Sal nie rozpoznawała żadnego z mężczyzn. Musieli pochodzić spoza miasta.

– Ciekawa jestem, kto kupił to ziarno – powiedziała głośno.

Kobieta stojąca krok dalej odwróciła się. Sal знаła ją z widzenia; nazywała się Dodds.

– Nie wiem – odparła. – Ale ten człowiek w żółtej kamizelce, który rozmawia teraz z licytатorem, to Silas Child, handlarz zbożem z Combe.

– Myślicie, że to on kupił to ziarno? – spytała Joanie.

– Całkiem możliwe – powiedziała pani Dodds. – A ci ludzie przenoszący worki to pewnie jego robotnicy.

– Ale to oznacza, że zabiorą zboże z Kingsbridge.

– Owszem.

– To niesprawiedliwe – obruszyła się Joanie. – Ziarno z Kingsbridge nie powinno trafić do Combe.

– Może trafić jeszcze dalej – rzuciła pani Dodds. – Słyszałam, że nasze ziarno sprzedaje się do Francji, bo Francuzi są bogatsi od nas.

– Jak można sprzedawać je wrogom?

– Niektórzy zrobią wszystko dla pieniędzy.

– To prawda, niech ich diabli wezmą – mruknął Jarge.

Wózek szybko wypełnił się workami, po czym każdy z mężczyzn złapał za jedną rączkę i ruszyli w dół Main Street. Odchylali się mocno do tyłu, by wózek nie stoczył się ze zbocza.

– Kit, Sue, idźcie za tym wózkiem – zwróciła się do dzieci Sal. – Zobaczcie, dokąd z nim jadą, a potem przybiegnijcie tu jak najszybciej i powiedzcie mi.

Dzieciaki popędziły za wózkiem.

Do Sal podszedł Sime Jackson.

– Ludzie mówią, że ten ładunek stu buszli zboża płynie do Francji – oznajmił.

To podejrzenie błyskawicznie rozeszło się po tłumie zgromadzonym na aukcji.

Kilka kobiet otoczyło drugi wózek i zaczęło ciskać gromy na robotników z Combe. Sal słyszała z dala „Francja” i „Silas Child”, a potem ktoś krzyknął „Chleba i pokoju!”. Właśnie takie hasło wykrzykiwali w Londynie ci, którzy obrzucili kamieniami powóz króla.

Silas Child wydawał się zaniepokojony, a Hornbeam zniknął.

Wrócili Kit i Sue, zdyszani po biegu w górę Main Street.

– Wózek pojechał nad rzekę – wysapał Kit.

– Ładują worki na barkę – dodała Sue.

– Spytałem, czyja jest ta barka, i jakiś mężczyzna odpowiedział, że Silasa Childa.

– A więc sprawa jest jasna – stwierdziła Sal.

Pani Dodds wysłuchała Kita, po czym odwróciła się do stojącej obok niej kobiety.

– Słyszała pani? – spytała. – Nasze ziarno ładują na barękę, która płynie do Combe.

Kobieta odwróciła się do następnej i powtórzyła jej wieść.

– Idę nad rzekę, sama się przekonam – oznajmiła Joanie.

Sal chciała jej poradzić, by była ostrożna, ale przyjaciółka była nieustępliwa, podobnie jak jej brat Jarge. Bez słowa ruszyła przez rynek. Sal, Jarge i dzieci poszli za nią. Pani Dodds i wiele innych osób zrobili to samo. Po drodze zaczęli skandować:

– Chleba i pokoju!

Sal zobaczyła Willa Riddicka wchodzącego w pośpiechu do Domu Willarda, kwatery milicji. Kiedy przechodziła obok frontowego okna, dojrzała stojącego w środku Hornbeama, który wyglądał na zewnątrz, marszcząc z zatroskaniem czoło.

*

Hornbeam był w gabinecie Northwooda.

– Musisz to natychmiast powstrzymać – zwrócił się do Riddicka, który już był jego zięciem.

– Nie bardzo wiem jak.

– Zbierz milicjantów.

– Pułkownik Northwood dał mi wolne na Dzień Świętego Adolfusa.

– A gdzie, do diabła, jest Northwood?

– W Earlscastle.

– Jeszcze nie wrócił?

– Nie. A wielu moich ludzi jest na zewnątrz, na rynku, ze swoimi dziewczynami.

Riddick mówił prawdę. Sfrustrowany Hornbeam wyjrzał na zewnątrz. Milicjanci byli w mundurach – większości nie było stać na dwa zestawy ubrań – ale cieszyli się dniem wolnym od pracy jak wszyscy inni.

– Niektórych miast strzeże milicja z innego hrabstwa – powiedział. – To lepszy system. Milicjanci nie bratają się wtedy z mieszkańcami i chętniej traktują surowo wichrzycieli, których nie znają.

– Masz rację, ale Northwood nawet nie chce o tym słyszeć – odparł Riddick. – Mówi, że to wbrew tradycji.

– To przeklęty głupiec.

– Księżę Richmond też jest temu przeciwny. Jest generałem artylerii i odpowiada za werbunek. Mówi, że to znacznie utrudnia rekrutację, bo ludzie nie chcą, by zabierano ich z dala od domu.

Hornbeam wiedział, że nie wygra z wicehrabią i księciem – przynajmniej dopóki nie zostanie posłem.

– Po prostu wyjdź do nich i każ im się zebrać.

Riddick wahał się.

– Nie spodoba im się to – odezwał się po chwili.

– Nie będą mieli wyboru, muszą zrobić, co im każesz. W mieście zanosi się na zamieszki.

– Dobrze – odparł Riddick, który nie mógł temu zaprzeczyć, i westchnął ciężko.

Wyszedł z gabinetu, a Hornbeam zaraz za nim.

W holu jak zwykle stróżował sierżant Beach.

– Panie majorze? – zwrócił się do Riddicka.

– Przejdź się po rynku i porozmawiaj ze wszystkimi ludźmi w mundurach. Powiedz im, żeby tu przyszli. Wydaj im muszkiety i amunicję. A potem zarządzaj zbiórkę nad rzeką.

Sierżant wydawał się zaskoczony i niezbyt zachwycony tymi rozkazami; chciał chyba nawet zaprotestować, lecz kiedy zobaczył minę Hornbeama, zmienił zdanie.

– Tak jest, panie majorze – odpowiedział i wyszedł.

Z piętra zszedł młody porucznik Donaldson.

– Proszę przygotować muszkiety i amunicję – polecił mu Riddick.

– Tak jest, panie majorze.

Z rynku przyszli dwaj milicjanci, zirytowani i naburmuszeni.

– Zapnijcie kurtki, obaj – warknął na nich Riddick. – Spróbujcie chociaż wyglądać na żołnierzy. Gdzie wasze czapki?

– Ja swojej nie zabrałem – odparł jeden z nich. – Dziś jest święto – dodał z urazą.

– Było. Ale już nie jest. Ogarnijcie się. Sierżant Beach wyda wam broń.

Drugim milicjantem był Freddie Caines, spokrewniony – jak przypomniał sobie Riddick – z tym wichrzycielem Spade'em.

– Do kogo będziemy strzelać, panie majorze? – spytał Caines.

– Do kogo wam każe.

Cainesowi wyraźnie nie podobała się ta odpowiedź.

Po chwili wrócił Donaldson z muszkietami i amunicją. Hornbeam nigdy nie był żołnierzem, wiedział jednak, że standardowe muszkiety z zamkiem skałkowym są bronią gładkolufową, a więc niezbyt precyzyjną. W niektórych oddziałach strzelcy używali karabinów, w których lufy były w środku gwintowane, co nadawało pociskom ruch obrotowy i dzięki temu leciały prosto. Na wojnie strzelało się jednak zwykle do licznych wojsk nieprzyjaciela, zajmujących dużą przestrzeń, więc celność nie była priorytetem.

Dziś wrogiem miał być tłum cywilów – głównie kobiet – więc i tym razem celność nie była najważniejsza.

Donaldson dał obu milicjantom broń i kilka ładunków papierowych. Schowali amunicję do wodoodpornych skórzanych pojemników, które nosili przy pasie.

Gdy z rynku przyszli dwaj kolejni mężczyźni w mundurach, Riddick wydał im te same rozkazy. Po jakimś czasie zjawili się kolejni, a potem do holu wrócił sierżant Beach.

– To już wszyscy, panie majorze – zameldował.

– Co?! – wrzasnął Riddick, bo w holu zebrało się nie więcej niż dwudziestu mężczyzn. – Na rynku było ich co najmniej stu!

– Prawdę mówiąc, panie majorze, kiedy zobaczyli, co się dzieje, większość z nich po prostu zniknęła.

– Przygotuj listę nazwisk. Wszyscy zostaną wychłostani.

– Zrobię, co w mojej mocy, panie majorze, ale nie wiem, z kim nie zdążyłem porozmawiać... rozumie pan?

– Och, stul tę głupią gębę. Zwołaj tu wszystkich, którzy są w budynku, również oficerów. Po drodze nad rzekę zbierzemy ich więcej.

– To jest kompletny brak dyscypliny! – odezwał się oburzony Hornbeam.

– Nie rozumiem tego. – Riddick pokręcił głową. – Przynajmniej raz w tygodniu każę kogoś wychłostać, żeby trzymać wszystkich w ryzach. Nigdy nie miałem większych problemów z wieśniakami z Badfordu. Co jest nie tak z tymi milicjantami?

– Panie majorze, czy ktoś ma odczytać rozporządzenie na wypadek zamieszek?
– spytał Donaldson.

– Tak – odparł Riddick. – Poślij kogoś po burmistrza.

*

Tłum sunął powoli w dół Main Street. Niektórzy z przechodniów tylko przyglądali się temu z boku, inni dołączali do protestujących. Sal była zdumiona tym, że tak szybko rosną w siłę. Nim przebyli połowę drogi nad rzekę, była ich już co najmniej setka, w większości kobiet. Usłyszała, jak jakiś mężczyzna stojący wśród gapiów woła:

– Sprowadźcie milicję!

Dopiero wtedy pomyślała, że być może nie zachowuje się rozsądnie. Ale przecież ludzie mieli prawo wiedzieć, dokąd zabierają zboże z Kingsbridge. Tylko że ten tłum nie wyglądał tak, jakby zamierzał jedynie zadawać grzeczne pytania.

Martwiła się o Jarge'a. Miał dobre serce, ale szybko wpadał w złość.

– Nie rób niczego pochopnie, proszę – powiedziała.

Spojrzał na nią posepnie.

- Kobieta nie powinna pouczać mężczyzny.
- Przepraszam, ale nie chcę, żeby cię wychłostali jak Jeremiaha Hiscocka.
- Potrafię się o siebie zatroszczyć.

Sal spytała się w duchu, dlaczego właściwie tak się tym przejmuję. Owszem, był bratem jej najlepszej przyjaciółki, ale to nie oznaczało, że jest za niego odpowiedzialna.

Joanie wysforowała się i prowadziła całą grupę. Sal rozejrzała się, by sprawdzić, czy dzieci są w pobliżu.

Dotarli do rzeki, skręcili na zachód i w końcu zobaczyli wózek przy karczmie Pod Rzeźnikiem. Był już w połowie rozładowany. Jeden z tragarzy zarzucił sobie worek na ramię i przeszedł po krótkim wąskim trapie na pokład barki. Drugi wrócił właśnie na brzeg. Była to ciężka praca i tragarze wyglądali na silnych mężczyzn.

Joanie stanęła przed wózkiem, oparła dłonie na biodrach i wysunęła do przodu podbródek, przyjmując agresywną postawę.

- O co ci chodzi? – spytał mężczyzna.
- Musisz to zostawić – odparła.

Wydawał się zaskoczony, ale roześmiał się pogardliwie.

- Pracuję dla pana Childa, nie dla ciebie – rzucił.
- To jest zboże z Kingsbridge i nie można go wywieźć do Combe ani do Francji.

- To nie twój interes.
- Owszem, to mój interes, a ty nie możesz ładować zboża na barkę.
- A kto mnie powstrzyma? Ty?
- Tak. Ja i wszyscy inni.
- Co? Banda kobiet?

– Owszem. Banda kobiet, które nie pozwolą, żeby ich dzieci poszły spać głodne. I nie pozwolą wam zabrać stąd zboża.

– Nie zamierzam przerywać pracy – oświadczył mężczyzna i pochylił się po worek.

Joanie postawiła na worku stopę.

Tragarz wziął szeroki zamach i uderzył ją w bok głowy. Zachwiała się i poleciała do tyłu.

Mężczyzna pochylił się ponownie, lecz nim podniósł worek, rzuciło się na niego sześć innych kobiet. Był silny i nie zamierzał się poddawać; rozdawał ciosy na prawo i lewo. Powalił dwie kobiety, lecz natychmiast zastąpiły je inne. Sal miała już do nich dołączyć, lecz na razie nie musiała: kobiety pochwyciły tragarza za ręce i nogi i przycisnęły go do ziemi.

Lecz po chwili jego towarzysz, który schodził właśnie z barki po następny worek, zobaczył, co się dzieje, i dołączył do bójk. Tłukł kobiety i próbował je odciągnąć od unieruchomionego kompana. Dwaj kolejni tragarze zeskoczyli na ziemię i rzucili się do walki.

Sal odwróciła się i zobaczyła wystraszonych Kita i Sue. Bez zastanowienia podniosła dzieci, wzięła je pod pachy i zaczęła się przeciskać przez tłum. Po chwili dojrzała zaprzyjaźnioną sąsiadkę, Jenny Jenkins, bezdzietną wdowę, która bardzo lubiła Kita i Sue.

– Jenny, zaprowadzisz je, proszę, do domu? Tu nie jest bezpiecznie.

– Oczywiście – odparła Jenny. Wzięła dzieciaki za ręce i odeszła.

Kiedy Sal odwróciła się, stał przed nią Jarge.

– Dobra robota – powiedział. – I dobry pomysł.

Sal patrzyła za niego. Do tłumy zbliżało się trzydziestu, może nawet czterdziestu milicjantów, prowadzonych przez Willa Riddicka. Był wśród nich szwagier Spade'a, Freddie Caines. Milicjanci śmiali się ze sceny, która rozgrywała się właśnie na brzegu, i dopingowali kobiety walczące z tragarzami z Combe.

– Co wy wyprawiacie, do diabła?! – ryknął na nich wściekle Riddick. – Ustawić się w szeregu!

Sierżant powtórzył rozkaz, ale milicjanci go zignorowali.

W tym samym momencie tragarze, którzy dotąd pracowali na rynku i ładowali worki na wózki, zbiegli w dół Main Street i zaczęli się bezceremonialnie

przepychać przez tłum, spiesząc bez wątpienia z pomocą towarzysmom na brzegu. Niektórzy byli uzbrojeni w kije i młotki i bezlitośnie rozdawali razy, by przegonić ludzi stojących im na drodze.

Burmistrz Fishwick stał przed karczmą Pod Rzeźnikiem i odczytywał głośno rozporządzenie na wypadek zamieszek. Nikt go nie słuchał.

– Na ramię broń! – wrzasnął Riddick.

Sal słyszała już ten rozkaz. Milicjanci całymi dniami ćwiczili na polu po drugiej stronie rzeki, niedaleko Zakładu Włókienniczego Barrowfielda. Sekwencja ruchów poprzedzających oddanie salwy obejmowała około dwudziestu różnych rozkazów. Po „Na ramię broń” następowało „Do nogi broń”, potem „Wysuń broń”, później „Bagnet na broń”... Dalszych komend już nie pamiętała. Milicjanci powtarzali je tak często, że ich ruchy stawały się automatyczne, podobnie jak ruchy Sal, gdy obsługiwała przedzarkę. Teoretycznie chodziło o to – tłumaczył jej kiedyś Spade – by w czasie bitwy stosowali tę sekwencję bez zastanowienia i bez względu na to, co dzieje się wokół. Zastanawiała się nieraz, czy to rzeczywiście tak działa.

Zauważyła, że dzisiaj milicjanci wykonują rozkazy niechętnie, powoli i nieskoordynowanie; nie odważyli się im jednak sprzeciwić.

Każdy odgryzł koniec ładunku papierowego i wsypał trochę prochu do panewki. Potem wkładał główną część ładunku do lufy i ubijał go mocno, używając do tego pręta umocowanego pod lufą. Kit, który interesował się bronią palną, wyjaśnił kiedyś Sal, że mechanizm odpalający krzesze iskrę i ta podpala proch w panewce, i ten wlatuje do otworu zapalowego, gdzie eksploduje główny ładunek, wyrzucając kulę.

Sal pomyślała, że chłopcy z Kingsbridge, tacy jak Freddie Caines, nie będą chyba strzelać do własnych kobiet.

Nie odrywając wzroku od Riddicka, wyszeptała cicho do Jarge'a:

– Możesz mi znaleźć kamień?

– Jasne.

Ulica była wybrukowana, a żelazne koła wozów zjeżdżających nad brzeg niszczyły powierzchnię, rozdzielając kamienie połączone zaprawą murarską. Miasto często naprawiało drogę, ale zawsze można było znaleźć kilka luźnych kamieni. Jarge podał jeden Sal. Gładki i okrągły kamień doskonale leżał w jej dłoni.

– Gotuj się! – krzyknął Riddick.

W tym momencie nastąpił przedostatni ruch całej sekwencji: mężczyźni stali sztywno, z bronią skierowaną ku niebu.

– Ognia!

Milicjanci wycelowali muszkiety w tłum, ale nikt nie strzelił.

– Ognia! – powtórzył Riddick.

Sal zobaczyła, jak Freddie zaczyna coś majstrować przy broni, otwiera mechanizm odpalający i przygląda się panewce; inni szybko poszli za jego przykładem. Wiedziała, że broń może nie wypalić z wielu powodów; zdarzało się, że krzemień nie wykrzesał iskry, że proch był wilgotny albo że zapalił się na panewce, ale ogień nie dotarł do głównego ładunku.

Było jednak absolutnie niemożliwe, by coś takiego zdarzyło się w dwudziestu pięciu muszkietach jednocześnie.

Sal usłyszała, jak Freddie mówi:

– Wszystko jest wilgotne, panie sierżancie. To przez ten deszcz. Mokry proch do niczego się nie nadaje.

Riddick poczerwieniał jak indyk.

– Bzdura! – ryknął.

– Nie będą strzelać do znajomych i sąsiadów, panie majorze – zwrócił się do niego sierżant.

– Więc ja strzelę! – warknął rozwścieczony Riddick. – Wyrwał muszkiet stojącemu najbliżej milicjantowi.

Kiedy przymierzał się do strzału, Sal rzuciła kamieniem. Trafiała prosto w tył głowy Riddicka. Ten wypuścił broń i osunął się na ziemię.

Westchnęła z satysfakcją.

– Sal, uważaj! – krzyknął Jarge.

Coś uderzyło ją w głowę. Straciła przytomność.

*

Kiedy się ocknęła, leżała na jakiejś twardej powierzchni. Bolała ją głowa. Otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą strzechę. Była w jakimś dużym pomieszczeniu. W powietrzu unosił się zapach starego piwa, jedzenia i dymu tytoniowego. Zorientowała się, że jest w karczmie i leży na stole. Chciała odwrócić głowę, by się rozejrzeć, ale było to zbyt bolesne.

Wtedy usłyszała głos Jarge'a:

– Dobrze się czujesz, Sal?

Z jakiegoś powodu wydawał się bardzo zdenerwowany.

Ponownie próbowała poruszyć głową i tym razem mniej bolało. Zobaczyła twarz Jarge'a, nad sobą i nieco z boku.

– Okropnie boli mnie głowa – powiedziała.

– Och, Sal... – Westchnął. – Myślałem, że nie żyjesz.

Ku jej zdumieniu zalał się łzami.

Pochylił się nad nią i ułożył głowę obok jej głowy. Powoli, ostrożnie, Sal objęła ramionami jego potężne barki i przyciągnęła go do siebie. Była zaskoczona jego reakcją. Trzy lata temu wydawało jej się, że Jarge chce się z nią ożenić, nie dawała mu jednak żadnych nadziei i myślała, że już zrezygnował.

Najwyraźniej jednak nie.

Płakał cicho i łzy spływały jej na szyję.

– Tragarz uderzył cię drewnianą pałką – powiedział. – Złapałem cię, zanim upadłaś na ziemię. – Zniżył głos do szeptu. – Bałem się, że już cię straciłem.

– Musiałby uderzyć o wiele mocniej, żeby mnie zabić.

– Proszę się napić – usłyszała kobiecy głos.

Odwróciła ostrożnie głowę i zobaczyła żonę gospodarza, która trzymała w dłoni kubek. Właściciel karczmy Pod Rzeźnikiem był zbirem, ale jego żona uchodziła za porządną kobietę.

– Pomóż mi usiąść prosto – poprosiła Sal.

Jarge włożył rękę pod jej ramiona i pomógł jej podnieść się do pozycji siedzącej. Przez chwilę kręciło jej się w głowie, potem oprzytomniała i wzięła od gospodyni kubek. Poczula zapach brandy. Upiła łyk, poczuła się lepiej i wypila wszystko.

– Tego mi było trzeba – powiedziała.

– Nasza Sal. – Jarge parsknął śmiechem. Śmiał się i płakał jednocześnie.

Dał monetę gospodyni, gdy zabrała szklanę.

– Rozprawiłam się z Willem Riddickiem, prawda? – spytała Sal.

Jarge znów się roześmiał.

– O tak.

– Widział to ktoś?

– Wszyscy byli zbyt zajęci ucieczką przed tragarzami.

– To dobrze. Co się tam teraz dzieje?

– Wygląda na to, że powoli się uspokaja.

Sal zaczęła nasłuchiwać. Słyszała pokrzykiwania mężczyzn i kobiet, chwilami gniewne, ale nie przypominało to zamieszek: żadnych przeraźliwych krzyków, brzęku tłuczonego szkła czy odgłosów niszczenia.

Przełożyła nogi za skraj blatu stołu i postawiła stopy na podłodze. Znów zakręciło jej się w głowie, ale i tym razem zawroty szybko minęły.

– Mam nadzieję, że nic się nie stało Joanie.

– Kiedy ostatnio ją widziałem, uspokajała innych.

Sal stanęła na równych nogach i stwierdziła z ulgą, że czuje się całkiem dobrze.

– Wyprowadź mnie stąd, Jarge, żebym trochę rozprostowała nogi.

Objął ją ręką za ramię, tak żeby stała pionowo, a ona trzymała go w pasie. Wyszli powoli tylnymi drzwiami na podwórze. Minęli otwarte drzwi szopy.

Nagle Sal ogarnęło przemożne pragnienie. Odwróciła się do Jarge'a, wtuliła w jego ciało i zarzuciła mu rękę na szyję.

– Pocałuj mnie – powiedziała.

Pochylił się i pocałował ją z zaskakującą delikatnością.

Minęły już ponad trzy lata, odkąd całowała się w ten sposób z mężczyzną. Uświadomiła sobie, że zapomniała, jakie to przyjemne.

– Piłam brandy – odezwała się, przerwawszy pocałunek. – Możesz się upić samym moim oddechem.

– Mógłbym się upić samym twoim widokiem – odparł.

Przez chwilę przyglądała mu się uważnie. Widziała w jego oczach prawdziwą czułość.

– Nie doceniałam cię – powiedziała i pocałowała go ponownie.

Tym razem zrobiła to żarliwie, namiętnie. Jarge dotykał jej szyi i piersi, potem wsunął dłoń między jej nogi. Poczowała falę pożądania; uświadomiła sobie, że za kilka sekund Jarge będzie w niej i że ona tego chce.

Odepchnęła go od siebie i rozejrzała się po podwórzu.

– W szopie – rzuciła.

Weszli do środka i Jarge zamknął drzwi. W półmroku Sal dostrzegła beczki z piwem, worki z ziemniakami i znudzonego konia stojącego w boksie. Gdy oparła się plecami o ścianę, Jarge zaczął podnosić jej spódnicę. Obok stała drewniana skrzynka z pustymi butelkami; kobieta podniosła nogę i oparła ją na niej. Sal była wilgotna, bardzo wilgotna, więc wsunął się w nią bez problemu. Przypomniała sobie, jakie to przyjemne uczucie.

– Ach... – jęknął cicho.

Poruszali się razem, powoli, potem szybciej.

Koniec nadszedł szybko, Sal wgryzła się w ramię Jarge'a, by nie krzyknąć. Przez jakiś czas tkwili w bezruchu, objęci i przytuleni. Po chwili znów zaczęła się ruszać i po kilku sekundach na nowo poczuła spazmy rozkoszy, tym razem gwałtowniejsze.

Kiedy zrobili to po raz trzeci, nie miała już sił stać na nogach, wypuściła go więc z objęć, osunęła się na ziemię i usiadła, oparta plecami o ścianę szopy. Jarge opadł ciężko obok niej. Gdy próbowała złapać oddech, zauważyła, że kochanek rozciera ramię, i przypomniała sobie, że go ugryzła.

– O nie, zrobiłam ci krzywdę? – spytała. – Przepraszam.

– Nie zrobiłaś niczego, za co powinnaś przeproszać, przysięgam – wysapał.

Zachichotała i zauważyła, że koń przygląda jej się z zaciekawieniem.

Gdzieś niedaleko rozległ się potężny krzyk tłumu i Sal wróciła w końcu do rzeczywistości.

– Mam nadzieję, że Joanie nic się nie stało – powiedziała.

– Lepiej sprawdzimy.

Podnieśli się na równe nogi.

Znów zakręciło jej się w głowie, lecz tym razem wiedziała, że to po kochaniu się, i szybko doszła do siebie. Na wszelki wypadek trzymała jednak Jarge'a za rękę, gdy wyszli zza karczmy.

Po chwili znaleźli się na tyłach tłumu, który patrzył w stronę rzeki. Z boku stała niewielka grupa milicjantów, którzy trzymali muszkiety; wyglądali na nadąsanych i bliskich buntu. Will Riddick siedział i ktoś badał ranę na jego głowie. Najwyraźniej nikt nadal nie chciał ruszyć do ataku na mieszkańców Kingsbridge. Sal słyszała, że w niektórych miastach milicja stawała po stronie zbuntowanych kobiet i pomagała im kraść jedzenie.

Spojrzała na rzekę, ale nie dojrzała nigdzie barek. Zobaczyła za to Joanie, która stała na jakimś podwyższeniu przed tłumem i krzyczała:

– Nie jesteśmy złodziejami! Nie będziemy kraść zboża!

Wśród zebranych podniosły się pomruki niezadowolenia, słuchali jej jednak dalej, czekając, co ma do powiedzenia.

Jarge i Sal precyzyjnie się do przodu i zobaczyli, że Joanie stoi na stercie worków, które wyładowano z barek.

– Mówię wam, to piekarze z Kingsbridge powinni kupić ziarno – tłumaczyła. – Za cenę sprzed wojny.

– O co jej właściwie chodzi? – spytał cicho Jarge, ale Sal już się domyślała, do czego zmierza jego siostra.

– Pod warunkiem – kontynuowała Joanie – że obiecują sprzedawać czterofuntowy bochenek po starej cenie: za siedem pensów!

Tłumowi spodobał się ten pomysł.

– Jeśli jakiś piekarz spróbuje złamać tę zasadę, złożą mu wizytę... kobiety z Kingsbridge... i wyjaśnią mu... co powinien zrobić.

Tłum odpowiedział radosnymi okrzykami.

– Niech ktoś znajdzie pana Childa. Nie mógł odejść daleko. Nosi żółtą kamizelkę. Powiedzcie mu, żeby tu przyszedł i odebrał pieniądze. Nie będzie tego tyle, ile zapłacił, ale lepsze to niż nic. Piekarze, ustawcie się w kolejce, z pieniędzmi w rękach.

Jarge pokręcił głową ze zdumieniem.

– Moja siostra – powiedział. – Jedyna w swoim rodzaju.

Sal była jednak zaniepokojona.

– Mam nadzieję, że nie będzie miała przez to kłopotów.

– Powstrzymała tłum od kradzieży ziarna, więc sędziowie powinni dać jej za to nagrodę!

Sal wzruszyła ramionami.

– Czy byli kiedykolwiek uczciwi?

Kilku piekarzy z Kingsbridge przecisnęło się przed tłum. Pojawił się też Silas Child w żółtej kamizelce. Wywiązała się krótka dyskusja, dotycząca zapewne ceny buszla pszenicy sprzed trzech lat. Wyglądało jednak na to, że sprawa została rozwiązana. Pieniądze przechodziły z rąk do rąk, a terminatorzy piekarzy zaczęli zarzucać sobie worki na plecy i odchodzić.

– Cóż, wygląda na to, że już po wszystkim – stwierdził Jarge.

– Nie byłabym tego taka pewna. – Sal pokręciła głową.

*

Następnego dnia Joanie została oskarżona w sądzie o wywołanie zamieszek, za co groziła najwyższa kara.

Nikt się tego nie spodziewał, bo to właśnie ona powstrzymała tłum, który chciał rozkraść zboże, a teraz mogła zostać skazana na śmierć.

Podczas tej sesji nie mogła zostać uznana za winną, ponieważ sędziowie pokoju nie mieli prawa wydawać wyroku śmierci. Mogli jedynie wezwać sędziego sądu wyjazdowego i urządzić proces albo oddalić zarzuty.

– Nie skazą cię – powiedział Jarge siostrze, która miała wielki siniec po lewej stronie twarzy.

Sal wcale nie była tego taka pewna.

Biedny Freddie Caines został o świcie wychłostany za nakłanianie milicjantów do buntu. Jego szwagier Spade powiedział Sal, że Freddie zgłosił się na ochotnika do regularnej armii, by celować z muszkietu do wrogów Anglii, a nie do sąsiadów. Miał wstąpić w szeregi Sto Siódmego Pułku Piechoty z Kingsbridge.

Składowi sędziowskiemu przewodniczył Hornbeam. Will Riddick siedział obok niego. Wiadomo było powszechnie, po czyjej staną stronie, ale to nie oni podejmowali ostateczną decyzję – należała ona do ławy przysięgłych.

Sal była pewna, że Hornbeam nie miał pojęcia, że Jarge jest jednym z jego tkaczy. Zatrudniał setki robotników i większości nie znał. Gdyby się o tym dowiedział, na pewno zwolniłby Jarge'a. Chociaż mógłby uznać, że lepiej, by siedział od świtu do nocy w zakładzie, niż przysparzał mu kłopotów w mieście.

Sal przyglądała się w milczeniu, jak przysięgli powołani przez szeryfa Doye'a składają przysięgę. Byli to wyłącznie zamożni i konserwatywni obywatele Kingsbridge. Wielu mieszczan, którzy mogliby zasiąść w ławie, miało liberalne poglądy, a niektórzy z nich byli metodystami: Spade, Jeremiaś Hiscock, porucznik Donaldson i inni, żaden z nich nie został jednak powołany do tej funkcji. Najwyraźniej Hornbeam kazał Doye'owi wybrać jedynie swoich sprzymierzeńców.

Joanie nie przyznawała się do winy.

Jako pierwszy świadek wystąpił Joby Darke, tragarz, który zeznał, że go zaatakowała, a on tylko się bronił.

– Rozładowaliśmy mniej więcej połowę worków, a wtedy pojawiła się ta kobieta z tłumem i próbowała przeszkodzić mi w pracy – powiedział. – Więc odepchnąłem ją.

– Jak to zrobiłam? – odezwała się Joanie. – Jak przeszkadzałam ci w pracy?

– Stałaś przede mną.

– Postawiłam stopę na worku z ziarnem, tak?

– Tak.

– Bolało cię to?

Publiczność zgromadzona w sądzie roześmiała się głośno.

Darke był zakłopotany.

– Oczywiście, że nie.

Sal zaczęła nabierać otuchy.

– Więc dlaczego uderzyłeś mnie w głowę? – spytała Joanie, dotykając siniaka na twarzy.

– Nie uderzyłem.

Kilka osób zaczęło krzyczeć:

– Uderzyłeś! Zrobiłeś to!

– Cisza! – zawołał Hornbeam.

Do przodu wystąpił Spade.

– Widziałem to – oznajmił. – Mogę przysiąc, że Joby Darke uderzył Joanie w głowę.

Brawo, Spade, pomyślała Sal. Był sukiennikiem, ale sprzyjał robotnikom.

– Kiedy zechcę, żebyś zabrał głos, Shoveller, powiem ci o tym – oświadczył zirytowany Hornbeam. – Mów dalej, Darke. Co działo się potem?

– No... upadła.

– A potem?

- Potem zaatakowało mnie z pół tuzina kobiet.
- Szczęściarz! – krzyknął ktoś i znów wszyscy się roześmiali.
- Kto przewodził tym kobietom? – spytał Hornbeam.
- Ona, Joanie, oskarżona.
- To ona przyprowadziła tłum z rynku nad rzekę?
- Tak.

Sal musiała przyznać, że to prawda.

- Więc to ona doprowadziła do zamieszek.

Hornbeam oczywiście przesadził, ale Darke ponownie mu przytaknął.

- Ile razy cię uderzyłam, Joby? – spytała Joanie.

Uśmiechnął się szeroko.

- Jeśli w ogóle mnie walnęłaś, to nawet tego nie poczułem – odparł chępliwie.
- Ale twierdzisz, że to ja wywołałam te zamieszki?
- Ty przyprowadziłaś wszystkie te kobiety.
- I co? Pobiły cię?
- Nie, ale nie mogłem się od nich opędzić!
- Więc nie pobiły cię.
- Nie pozwalały mi wykonywać mojej pracy.
- O tym już wspomniałeś.
- A ty je przyprowadziłaś.
- Co takiego powiedziałam, żeby poszły za mną nad rzekę?
- Mówiłaś: „Chodźcie za mną” i inne takie rzeczy.
- Kiedy to powiedziałam?
- Słyszałem to, jak wychodziłem z rynku.
- I twierdzisz, że namówiłam kobiety, żeby za mną poszły.
- Tak.
- A potem przeszkodziłam ci w pracy.
- Tak.

– Ale powiedziałaś, że rozładowaliście już połowę worków, zanim przyszedłam z kobietami.

– No, tak.

– Więc musiałaś wyjść z rynku na długo przed nami.

– No.

– Więc jak mogłaś słyszeć, jak każę im za sobą iść, skoro byłeś już nad rzeką i rozładowywałaś worki?

– Właśnie! – powiedział głośno Jarge.

Hornbeam zgromił go wzrokiem.

– Może długo je przekonywałaś. – Darke wzruszył ramionami.

– Prawda jest taka, że wcale nie słyszałaś, jak każę im za sobą iść, bo nigdy tego nie zrobiłam. Wymyśliłaś to.

– Nie.

– Jesteś kłamcą, Joby Darke. – Joanie odwróciła się do niego plecami.

Sal pomyślała, że poradziła sobie całkiem nieźle. Tylko czy przekonała przysięgłych?

Pozostali tragarze składali podobne zeznania, ale właściwie mogli tylko powiedzieć, że kobiety ich zaatakowały, a oni się bronili. Sal miała nadzieję, że mętne tłumaczenia Darke'a podważą wiarygodność ich wszystkich.

Potem Joanie przedstawiła swoją wersję wydarzeń. Podkreśliła, że starała się przede wszystkim nie dopuścić, by tłum rozkradł zboże.

– Ale sprzedałaś je! – przerwał jej Hornbeam.

Temu nie dało się zaprzeczyć.

– Owszem. Po uczciwej cenie – potwierdziła Joanie.

– O cenie zboża decyduje rynek. Ty nie możesz jej narzucać.

– Ale zrobiłam to wczoraj, prawda?

Publiczność znów się śmiała.

– I oddałam pieniądze panu Childowi.

– Dostał znacznie mniej, niż zapłacił za zboże.

– A kto sprzedał mu je po takiej wysokiej cenie? Czy to nie był pan, panie radny? Ile pan na tym zarobił? – Hornbeam próbował jej przerwać, ale mówiła głośniej niż on. – Może to pan powinien oddać tę różnicę panu Childowi. To byłoby sprawiedliwe, prawda?

Poczerwieniał ze złości.

– Zważaj na słowa – rzucił.

– Proszę o wybaczenie, Wysoki Sądzie.

– Nie widzę większej różnicy między tym, co zrobiłaś, a kradzieżą.

– Różnica jest ogromna. Nic na tym nie zarobiłam. Ale to nie ma znaczenia, prawda?

– Nie rozumiem?

– Nie ma znaczenia, bo nie jestem oskarżona o kradzież. Jestem oskarżona o wzniesienie zamieszek.

Sal pomyślała, że było to bardzo sprytne zagranie. Ale czy w czymś jej pomoże? Pracodawcy nie lubili, gdy robotnicy byli zbyt bystrzy. „Nie płacę ci za myślenie – mawiali. – Płacę ci za to, żebyś robił, co każe”.

– Przypuszczam, że Luke McCullough potwierdzi to, co właśnie powiedziałam – dodała Joanie.

– Nie odpowiadam na pytania oskarżonych – oświadczył kwaśno McCullough, urzędnik sądowy.

Mimo to Hornbeam wyglądał na zbitego z tropu. Poprowadził przesłuchanie w niewłaściwym kierunku.

– Wznieciłaś rozruchy, ukradłaś ziarno pana Childa, a potem je sprzedałaś.

– I oddałam pieniądze panu Childowi.

– Chcesz powołać jakichś świadków?

– Oczywiście.

Najpierw zeznawała Sal, potem Jarge, pani Dodds i jeszcze kilka osób. Wszyscy powtarzali, że Joanie nie kazała nikomu iść za sobą, nikogo nie

zaatakowała i zapobiegła rozkradzeniu zboża.

Przysięgli udali się na naradę do sąsiedniej sali.

Sal, Jarge i Spade stanęli przy Joanie, która najwyraźniej martwiła się o to samo co Sal.

– Myślicie, że byłam zbyt sprytna?

– Nie wiem – odpowiedział jej Spade. – Ale nie mogłaś być łagodna i potulna, bo wtedy byliby przekonani, że czujesz się winna i skruszona. Musisz pokazać, że nie brak ci odwagi.

– Przysięgli to mieszkańcy Kingsbridge – zauważył Jarge. – Powinni wiedzieć, że to niesprawiedliwe, gdy sprzedaje się ziarno z naszego miasta, choć niektórzy tutaj przymierają głodem.

– Jedyłą rzeczą, którą uznaje każdy z tych przysięgłych, jest prawo do zarabiania pieniędzy bez względu na to, kto na tym cierpi – mruknął Spade.

– To prawda – przyznał Jarge i westchnął ciężko.

Przysięgli wrócili i zajęli swoje miejsca.

– Jarge, nie daj się wychłostać – szepnęła Sal.

– O czym ty mówisz?

– Jeśli się okaże, że są przeciwko Joanie, nie krzycz ani nie groź przysięgłym czy sędziom. W ten sposób tylko sobie zaszкодzisz. Ten wieprz Riddick byłby zachwycony, gdyby cię wychłostano. Nie odzywaj się pod żadnym pozorem. Możesz to zrobić?

– Oczywiście, że mogę.

Przysięgli stanęli przed sędziami.

– Jaka jest wasza decyzja? – spytał Hornbeam.

– Oskarżona stanie przed sądem wyjazdowym – odpowiedział jeden z nich.

Z tłumu podniosły się krzyki oburzenia.

Sal spojrzała na Jarge'a.

– Nic nie rób – szepnęła.

– Niech ich szlag – rzucił cicho.

ROZDZIAŁ 18

Sal leżała na łóżku w objęciach Jarge'a, opierając głowę na jego ramieniu. Przytuleni, oddychali ciężko w jednym rytmie. Oprócz nich w domu były tylko dzieci, które spały smacznie w pokoju na piętrze. Na zewnątrz kłóciło się gdzieś w oddali dwóch pijanych mężczyzn, poza tym w mieście panowała cisza. Sal miała szyję wilgotną od potu, do nagich nóg kleiła się jej pościel.

Była szczęśliwa. Dotąd nawet nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jej tego brakowało: bliskości z mężczyzną, czystej rozkoszy, jaką dawało kochanie się z nim. Po śmierci Harry'ego nie miała już ochoty na miłość, lecz z czasem, niemal niezauważalnie, zaczęła obdarzać coraz większą sympatią wielkiego, silnego i porywczego Jarge'a, a teraz cieszyła się szczerze, że w końcu trafiła w jego ramiona. Od dnia zamieszek i szaleństwa, na które pozwolili sobie w szopie, spała z nim co noc. Żałowała, że nie robiła tego wcześniej.

Kiedy uspokoiła oddech i nieco ochłonęła, pomyślała o biednej przyjaciółce zamkniętej w więzieniu w Kingsbridge. Joanie miała koc i Sal codziennie zanosila jej jedzenie, ale w budynku było zimno, a więźniowie spali na twardych pryczach, co przy każdej wizycie budziło gniew Sal. Jej zdaniem to nie Joanie, ale ludzie zarabiający na wysokich cenach żywności powinni byli stanąć przed sądem.

Nie miała pojęcia, co stanie się podczas procesu sądu wyjazdowego; przesłuchanie przed sędziami pokoju nie poszło jednak najlepiej, co nie wróżyło dobrze. Sal miała nadzieję, że przyjaciółka nie zostanie skazana na śmierć, choć nie mogła być tego pewna. Od czasu zamieszek i obrzucenia kamieniami królewskiego powozu brytyjskie elity rządzące traktowały niższe warstwy społeczeństwa z wyjątkową surowością. W Kingsbridge sklepikarze nie sprzedawali niczego na kredyt, właściciele domów wyrzucali lokatorów, którzy spóźniali się z czynszem,

a sędziowie wymierzali srogie kary. Hornbeam i Riddick zawsze byli okrutni, a teraz mogli liczyć na poparcie wielu bogatych mieszkańców miasta. Jak twierdził Spade, panowie się bali.

Sal martwiła się o to, z czego będą żyli. Joanie nie zarabiała, podobnie jak Sue, a trzeba je było karmić. Sal wynajęła pokój na strychu pewnej wdowie, ale ta płaciła zaledwie cztery pensy tygodniowo, bo pomieszczenie było nieogrzewane.

Westchnęła ciężko i Jarge to usłyszał.

– Powiedz mi, o czym myślisz – poprosił. Czasami potrafił być wrażliwy.

– O tym, że nie mamy pieniędzy.

Wzruszył ramionami.

– To przecież nic nowego – rzucił.

– A o czym ty myślisz?

– Że powinniśmy się pobrać.

Zaskoczyło ją to, choć właściwie nie powinno. Żyli jak mąż i żona, opiekowali się wspólnie jej synem i jego siostrzenicą; byli jak rodzina.

– Nie przejmujemy się wprawdzie takimi rzeczami, ale wkrótce znajomi i sąsiedzi zaczną się domagać, żebyśmy to jakoś uregulowali – dodał.

Miał rację. Wieści szybko się rozchodziły, musieli więc zakładać, że wcześniej czy później pojawi się u nich pastor i pouczy ich, że potrzebują Bożego błogosławieństwa, by żyć razem. Ale czy rzeczywiście tego chciała? Było jej dobrze z kochankiem, lecz czy była na tyle pewna swoich uczuć, by obwieścić światu, że należy do Jarge'a?

– A poza tym... – zaczął, po czym zamilkł. Poprawił się nerwowo i podrapał po udzie, co oznaczało zapewne, że próbuje powiedzieć coś o swoich emocjach.

– A poza tym co? – zachęciła go Sal, która już dobrze знаła jego reakcje.

– Chciałbym się z tobą ożenić, bo cię kocham – wyznał i po chwili z zakłopotaniem dorzucił: – No dobra, powiedziałem to głośno.

To wyznanie nie zaskoczyło jej, ale wzruszyło. Tylko że dotąd nie myślała zbyt dużo o ich wspólnej przyszłości. Jarge potrafił być miły, był lojalny wobec

przyjaciół i rodziny, czasem jednak stawał się agresywny, co nieco ją niepokoiło. Dawno już zorientowała się, że to typowe zachowanie mężczyzn, którzy doświadczyli w życiu niesprawiedliwości i nie mogli się z tym pogodzić. Niestety, czasem kierowali agresję na swoje kobiety, których prawo nie chroniło należycie.

– Ja też cię kocham, Jarge – powiedziała.

– A więc sprawa załatwiona!

– Niezupełnie.

– Nie rozumiem...

– Mój Harry nigdy mnie nie skrzywdził.

– I...?

– Niektórzy mężczyźni... Wielu mężczyzn uważa, że wolno im karcić żony... pięściami.

– Wiem.

– I co o tym myślisz?

– Nigdy nie skrzywdziłem kobiety i nigdy tego nie zrobię.

– Przysięgnij, że nie zrobisz krzywdy mnie ani Kitowi.

– Nie ufasz mi? – Wydawał się urażony.

Sal nie zamierzała jednak ustępować.

– Nie wyjdę za ciebie, dopóki nie złożysz mi takiej obietnicy. Ale nie obiecuj, jeśli nie zamierzasz jej dotrzymać.

– Nigdy nie skrzywdzę ciebie ani Kita, mówię świętą prawdę i przysięgam, tak mi dopomóż Bóg.

– W takim razie chętnie za ciebie wyjdę.

– To dobrze. – Obrócił się na bok i ją objął. – Pójdę do pastora dać na zapowiedzi. – Był szczęśliwy.

Pocałowała go w usta i dotknęła jego miękkiego członka. To miała być tylko przelotna pieszczota, poczuła jednak, jak twardnieje w jej dłoni.

– Znów? – zdziwiła się. – Tak szybko?

– Jeśli chcesz...

– O tak. Chcę.

*

– W ciągu kilku ostatnich dni premier Pitt przyjął dwie nowe ustawy, o których powinniśmy wiedzieć – ogłosił pastor Charles Midwinter po nabożeństwie w domu modlitw metodystów. – Spade wyjaśni wam szczegóły.

Spade wstał.

– Parlament przyjął Ustawę o zdradzie oraz Ustawę o wywrotowych zgromadzeniach. Teraz krytykowanie rządu lub króla jest przestępstwem, podobnie jak zwoływanie zebrań w celu krytykowania rządu lub króla.

Amos słyszał już o tych ustawach i był im przeciwny. Jako członek nonkonformistycznej wspólnoty religijnej był gorącym zwolennikiem wolności słowa. Uważał, że nikt nie ma prawa zamykać ust drugiemu człowiekowi.

Inni wierni nie mieli pojęcia o nowych decyzjach premiera i zareagowali na tę wieść Spade'a oburzeniem.

Kiedy nieco się uspokoili, Spade mówił dalej:

– Nie wiemy, jak będą wcielać w życie te ustawy, ale na przykład takie spotkanie jak to zorganizowane przez Towarzystwo Sokratyczne, z dyskusją o książce archidiakona Paleya, dziś byłoby nielegalne. Sąd nie będzie musiał dowodzić, że doszło do zamieszek, wystarczy sama krytyka rządu czy króla.

– Nie jesteśmy przecież chłopami pańszczyźnianymi! – obruszył się porucznik Donaldson. – Próbują wrócić do średniowiecza.

– To przypomina raczej rządy terroru w Paryżu, kiedy zabijano wszystkich podejrzanych o to, że nie sprzyjają rewolucji – zauważył Rupe Underwood.

– To prawda – zgodził się z nim Spade. – Niektóre gazety nazywają to nawet terrorem Pitta.

– Jak uzasadniają przyjęcie tych ustaw?

– Pitt powiedział w przemówieniu, że ludzie z wszelkimi żądaniami zadośćuczynienia za wyrządzone im krzywdy powinni się zgłaszać do parlamentu,

i tylko do parlamentu, i wierzyć niezachwianie, że zostaną wysłuchani.

– Tylko że parlament nie reprezentuje zwykłych ludzi. Reprezentuje jedynie arystokrację i bogatych szlachciców.

– Owszem – przyznał Spade. – Ja uważam, że przemówienie Pitta było śmiechu warte.

– Czy to oznacza, że jesteśmy przestępcami tylko dlatego, że prowadzimy właśnie tę dyskusję? – spytała Susan Hiscock, żona wychłostanego drukarza.

– Krótko mówiąc, tak.

– Dlaczego wprowadzili to prawo? – chciała wiedzieć.

– Boją się. Nie mogą wygrać wojny i nie potrafią wykarmić ludzi. Kingsbridge nie jest jedynym miastem, w którym doszło do zamieszek z powodu braku żywności. Są przerażeni, kiedy ludzie skandują „Chleba i pokoju!” i rzucają kamieniami w króla. Obawiają się, że zostaną zgilotynowani.

Pastor Midwinter wstał.

– Jesteśmy metodystami – powiedział. – Uważamy więc, że każdy ma prawo wierzyć w Boga na swój sposób. To jeszcze nie jest nielegalne. Lecz musimy być ostrożni. Cokolwiek myślimy o premierze Pittie i jego rządzie czy o wojnie, powinniśmy zachować te opinie dla siebie, przynajmniej do czasu, aż przekonamy się, jak to nowe prawo będzie egzekwowane.

– Zgadzam się z tym – poparł go Spade.

On i Midwinter byli dwoma najbardziej poważanymi ludźmi w liberalnych kręgach Kingsbridge, więc pozostali wierni bez protestów przyjęli ich rady.

Gdy spotkanie dobiegło końca, Amos podszedł do Jane Midwinter. Teraz, gdy jej ojciec był zwykłym pastorem, a nie kanonikiem katedry, nie mogła kupować sobie ciągle nowych strojów, ale i tak wyglądała niezwykle kusząco w czerwonym płaszczu i kapeluszu w męskim stylu.

Tym razem nie wyszła zaraz po nabożeństwie, choć zwykle starała się przechodzić przez rynek w chwili, gdy anglikańscy wierni wychodzili właśnie

z katedry; mogła wtedy poflirtować z Northwoodem. Dziś jednak wicehrabia był w Earlscastle.

– Twój przyjaciel przegapił zamieszki – zauważył Amos.

– Jestem pewna, że nie doszłoby do nich, gdyby to wicehrabia dowodził wtedy milicją, a nie ten głupiec Riddick – odparła.

Owszem, Riddick był głupcem; Amos zgadzał się z tym w zupełności, ale wcale nie był pewien, czy pułkownik Northwood albo też ktokolwiek inny mógłby zapobiec rozruchom.

– Dlaczego właściwie wyjechał do Earlscastle?

– Prawdopodobnie by powiedział ojcu, że nie chce się żenić ze swoją kuzynką Mirandą.

– Tak ci powiedział?

– Może niedokładnie tymi słowami.

– Myślisz, że chce ożenić się z tobą?

– Jestem tego pewna – odparła radośnie, lecz Amos jej nie wierzył.

Spojrzał w jej lekko zamglone szare oczy.

– Kochasz go? – spytał.

Miała pełne prawo powiedzieć, że to nie jego interes, ale nie zrobiła tego.

– Będę bardzo szczęśliwa jako żona lorda Northwooda – odparła. Wyzywający ton jej głosu wskazywał na to, że wcale nie jest przekonana o tym, co ogłaszała jako pewnik. – Jako hrabina będę się przyjaźniła z arystokratami. Będę chodziła w pięknych strojach na cudowne przyjęcia. Poznam króla, a on pewnie poprosi mnie, żebym została jego kochanką, na co mu odpowiem: „Ależ, Wasza Wysokość, przecież to byłby grzech?”, i będę udawać, że żałuję.

Jane nigdy nie hołdowała metodystycznym cnotom skromności i wstrzeźliwości, więc jej słowa nie zszokowały Amosa. Wyznawała religię ojca bez większego przekonania. Gdyby wyszła za Northwooda, bez wahania wróciłaby do Kościoła anglikańskiego.

– Ale nie kochasz go – rzucił Amos.

– Mówisz jak mój ojciec.

– Twój ojciec jest najlepszym człowiekiem w Kingsbridge, więc nie wiem, czy zasługuję na takie porównanie. Ale tak czy inaczej, uważam, że nie kochasz Northwooda.

– Amos, jesteś taki miły i bardzo cię lubię, ale nie masz prawa mi dokuczać.

– Kocham cię. Wiesz o tym.

– Bylibyśmy okropnie nieszczęśliwi: pszczoła robotnica i motyl.

– Mogłabyś być królową pszczół.

– Nie możesz zrobić ze mnie królowej.

– Już jesteś królową mojego serca.

– Jak poetycko!

Robię z siebie głupca, pomyślał. Wiedział jednak, że Northwood jej się nie oświadczył. Nawet nie przedstawił jej swojemu ojcu.

I być może nigdy tego nie zrobi.

*

Sal i Jarge pobrali się w kościele Świętego Łukasza w sobotę wieczorem, po pracy. Nie mieli pieniędzy, by świętować to w jakiś szczególny sposób, więc poszli do kościoła tylko z Kitem i Sue. Ku zdumieniu Sal pojawili się tam jednak Amos Barrowfield i Elsie Latimer, i to oni złożyli podpisy jako świadkowie. Potem Amos zaskoczył Sal po raz drugi: na zewnątrz czekał galon piwa i beczułka ostryg.

– Mogę podzielić się tym z Joanie? – spytała Sal.

– Oczywiście – odparł Amos. – Dam Gilowi Gilmore’owi szylinga i poczęstuję go kubkiem piwa, żeby nas wpuścił.

Wszyscy ruszyli do Joanie. Więzienie mieściło się w dwóch starych domach połączonych w jeden; okna miały kraty, a we wszystkich drzwiach były zamki. Gilmore ochoczo zaprowadził ich do małej celi Joanie. Pokryta deskami podłoga była nierówna, ściany porastała pleśń, a na palenisku nie płonął ogień i nikt nie przejmował się zimnem. Czworo dorosłych i dwoje dzieci szybko rozgrzało

niewielki pokój. Amos nalał wszystkim piwa, a Jarge otworzył scyzorykiem beczułkę z ostrygami. Strażnik zaproponował, że sprzeda im do tego bochenek chleba; zażądał za niego aż dwóch szylingów, ale Amos zapłacił bez słowa sprzeciwu.

– Niech sobie trochę dorobi – rzucił.

– Za mojego brata – powiedziała Joanie, podnosząc kufel. – Myślałam, że nigdy nie znajdzie dobrej kobiety, ale wybrał najlepszą, jaką mógł, niech mu Bóg błogosławi.

– Tak właśnie zrobiłem, prawda? No i kto teraz powie, że nie jestem sprytny?

– Doskonale do siebie pasujecie: dwoje ludzi o silnych ramionach i dobrych sercach – stwierdził Amos. – A Kit jest najbystrzejszym chłopcem w szkółce niedzielnej.

– A Sue jest najbardziej lubianą dziewczynką – dodała szybko Elsie.

Sal była zachwycona. Spodziewała się cichego wieczoru w domu, z potrawką z baraniny na kolację, a tymczasem brała udział w prawdziwej uczcie.

– Założę się, że arystokraci nie bawią się równie dobrze na swoich ślubach – powiedziała. – W tych swoich sztywnych ubraniach, z nadętymi minami...

– Dobra kobieto, powinnaś chyba wiedzieć, że jestem lady Johanną, księżną Shiring – zażartowała Joanie.

Kit i Sue roześmiali się.

Sal dołączyła do zabawy.

– Jestem zaszczycona, księżno Johanno. – Dygnęła. – Ale pragnę zauważyć, że jestem hrabiną Kingsbridge, niewiele od pani gorszą.

Joanie odwróciła się do brata i zażądała władczo:

– Ej, ty, otwórz mi następną ostrygę.

– Moja droga księżno, wzięłaś mnie omyłkowo za lokaja – odparł Jarge. – A przecież jestem Jego Ekszelencją biskupem i nie mogę otwierać ostryg moimi śnieżnobiałymi rączkami. – Pokazał brązowe, poznaczone bliznami i nie całkiem czyste dłonie.

Sal zachichotała.

– Bardzo mi się podobasz, Jego Ekscelencjo – powiedziała. – Daj mi buziaka.

Jarge ją pocałował, co pozostali nagrodzili oklaskami.

Rozejrzała się i uświadomiła sobie, że są tutaj wszyscy najważniejsi ludzie jej życia: syn, mąż, najlepsza przyjaciółka, dziecko jej przyjaciółki, kobieta ucząca Kita i Amos, pracodawca, który zawsze przynosił jej szczęście. Na świecie i w Kingsbridge nie brakowało okrutnych i podłych ludzi, ale tu, w więziennej celi, byli sami dobrzy.

– Tak pewnie wygląda niebo. – Westchnęła, przełknęła następną ostrygę i pociągnęła solidny łyk piwa. – Choć wątpię, czy w niebie jest coś, co smakuje lepiej niż ostrygi z piwem.

*

Mieszkańcy Kingsbridge byli dumni, że odbywają się tu posiedzenia sądu wyjazdowego. Uznawali to za wyróżnienie i dowód na to, że ich miasto jest najważniejsze w hrabstwie Shiring. Sędzia z Londynu przyjeżdżał tu dwa razy w roku, co stawało się ważnym wydarzeniem towarzyskim, otrzymywał więc zawsze więcej zaproszeń, niż mógł przyjąć.

Rada miasta przywitała go wystawnym balem. Radni nie byli jednak rozrzutni; za wstęp płaciło się niemało i ostatecznie bal przyniósł zysk.

Dom Hornbeama stał zaledwie o ćwierć mili od budynku Sal Zebrań, a wieczór był pogodny, więc cała rodzina – on z żoną, Howard z Bel i Deborah z Riddickiem – poszła na bal pieszo. Deszcze, które prześladowały Anglię latem i jesienią, w końcu ustały, choć było już o wiele za późno, by uratować zbiory.

Młodzi mężczyźni nosili białe rękawiczki i lśniące buty, a fulary wiązali w wielkie kokardy, które zdaniem Hornbeama wyglądały idiotycznie. Nie był też zachwycony zbyt głębokimi według niego dekoltami córki i synowej, było już jednak za późno, by przebrały się w inne suknie.

Przed wejściem do budynku stał tłum mieszkańców miasta, który obserwował przybywających na bal gości – głównie były to kobiety z ciepłymi chustami na ramionach. Zachwycaly się głośno biżuterią bogatych dam i klaskały na widok szczególnie eleganckich strojów: jasnożółtego płaszcza, białego futra czy wysokiego kapelusza z piórami i wstążkami. Hornbeam ignorował motłoch i patrzył prosto przed siebie, lecz członkowie jego rodziny, przechodząc do drzwi, machali i kiwali głowami do znajomych.

Organizatorzy balu wydali fortunę na świece, więc w jasno oświetlonych salach widać było wyraźnie tłum wspaniale odzianych kobiet i eleganckich mężczyzn. Nawet Hornbeam był pod wrażeniem. Sukiennicy z Kingsbridge i ich bliscy wkładali na takie okazje stroje z najlepszych tkanin. Mężczyźni nosili fraki w różnych odcieniach fioletu, błękitu, zieleni i głębokich brązów. Kreacje kobiet, we wszelkich możliwych kolorach i wzorach – od krat przez pasy po kwiaty – były suto marszczone i ozdobione szarfami oraz jardami koronek. W sumie był to niezwykle pokaz zbiorowego geniuszu miasta.

Tańczono kontredansa, w którym prowadząca para co chwila się zmieniała. Hornbeam zauważył wicehrabiego Northwooda, który wyglądał tak, jakby już wypił sporo szampana.

– Mam nadzieję, że ta orkiestra umie grać walca – odezwała się Deborah.

– Nie ma mowy, żeby to zagrali – rzucił Hornbeam. Nigdy jeszcze nie widział, jak tańczy się walca, słyszał jednak, że ten taniec cieszy się dużą popularnością. – To bal na cześć sędziego, poważne wydarzenie organizowane przez radę miasta. Nie będzie tu żadnych obscenicznych tańców.

Deborah zwykle ustępowała ojcu, ale tym razem zaprotestowała.

– Nie ma w tym nic obscenicznego! Cały Londyn tańczy walca.

– To nie jest Londyn i nie dopuścimy tu do tego, żeby ludzie przyciskali się do siebie... od przodu. To obrzydliwe. A już zwłaszcza pary, które nie są małżeństwami!

Howard uśmiechnął się szeroko.

– Wiesz, ojcze, tak właściwie nie da się zająć w ciężę od samego walca.

Jego żona, siostra i szwagier parsknęli głośno śmiechem.

– To nie są zbyt przyzwoite słowa – rzucił zirytowany Hornbeam. – Jesteś w towarzystwie dam.

– Och. Przepraszam.

– Ojcze, mówisz jak stary sukiennik, który nie chce używać nowych maszyn – wtrąciła Deborah. – Powinieneś iść z duchem czasu!

Hornbeam nie uważał się za tradycjonalistę, więc poczuł się urażony.

– To absurdalne porównanie – odparł ze złością.

– Może tylko jeden walc? Albo dwa? – nie dawała za wygraną Deborah, która jako jedyna w rodzinie nie bała się mu przeciwstawić.

– Nie będzie żadnych walców.

Młodzi w końcu się poddali i dołączyli do kontredansa. Hornbeam zauważył z niesmakiem, że wśród tańczących jest Amos Barrowfield.

Zawsze coś musiało popsuć mu nastrój.

*

Po powrocie z weselnej uczyty w więziennej celi Sal usiadła przy kuchennym stole z pożyczonym piórem oraz odrobiną atramentu i otworzyła Biblię ojca. Zapisała datę i słowo „ślub”, po czym spytała:

– Jak się pisze „Jarge”?

– Co robisz? – spytał jej świeżo upieczony mąż.

– Wpisuję nasz ślub do rodzinnej Biblii.

Zajrzał jej przez ramię.

– Ładna książka – powiedział.

Sal pomyślała, że mąż ma rację. Choć Biblia była stara, spinała ją ładna mosiężna klamra, a tekst wydrukowano dużymi literami, które łatwo się czytało.

– Musiała sporo kosztować – dodał Jarge.

- Pewnie tak. Kupił ją mój dziadek. Jak się pisze twoje imię i nazwisko?
- Nie wiem, czy kiedykolwiek widziałem je na piśmie.
- Więc jeśli zapiszę je źle, nawet się nie zorientujesz.
- Ani się tym nie przejmę – odparł i roześmiał się.

Jarj Boks i Sara Clitheroe, napisała.

- Bardzo dobrze – ocenił Jarge.

Była innego zdania, ale nie zamierzała nic zmieniać. Podmuchała na atrament, by szybciej wysechł. Kiedy zmatowiał, zamknęła księgę.

- No dobrze – powiedziała. – A teraz chodźmy i popatrzmy na gości, którzy będą szli na bal.

*

Elsie nie była wybitną tancerką, ale lubiła tańczyć z Amosem, który poruszał się z wdziękiem i precyzją. Kontredans był dość dynamiczny, więc gdy schodzili z parkietu, oboje dyszeli z wysiłku.

Sal Zebrań wyglądały dziś zupełnie inaczej niż wtedy, gdy prowadziła w nich zajęcia szkółki niedzielnej. To miejsce stworzono z myślą o takich okazjach jak ta dzisiejsza, gdy wypełniały je muzyka i gwar rozmów, raz po raz strzelały korki otwieranych butelek, napełniano kieliszki, opróżniano je i natychmiast ponownie napełniano. Elsie wołała jednak, gdy przebywały tu tylko biedne dzieci łaknące wiedzy.

- A więc byłam w końcu w więzieniu – zwróciła się do Amosa. – Po raz pierwszy w życiu.

Roześmiał się.

- Znam Sal od wielu lat – powiedział. – Bardzo kochała pierwszego męża, Harry’ego, i cieszę się, że znów jest szczęśliwa.

- Jesteś dobrym człowiekiem, Amos.

- Czasami.

Elsie wiedziała, że komplementy wprawiają go w zakłopotanie, więc szybko zmieniła temat.

– Przykro mi, że Towarzystwo Sokratyczne zakończyło działalność.

– Spade i pastor Midwinter uważają, że tak będzie najlepiej.

– Szkoda.

– Zostało im trochę pieniędzy i zamierzają je wykorzystać do uruchomienia klubu wymiany książek – oznajmił Amos.

– To ciekawy pomysł, ale ci, którzy nie umieją czytać, nie skorzystają na nim.

– Wręcz przeciwnie, ludzie wstępują do klubu właśnie po to, żeby uczyć się czytać. – Spojrzał na coś ponad jej ramieniem i wyraz jego twarzy nagle się zmienił.

Odwróciła się, by zobaczyć, co przykuło uwagę Amosa. Jane Midwinter rozmawiała z Northwoodem. Mogłam się domyślić, przemknęło Elsie przez głowę. Usłyszała, jak Jane mówi:

– Chodź do bufetu i zjedz coś, zanim znów napijesz się szampana. Nie chcę, żebyś narobił sobie wstydu.

Zwykle tego rodzaju uwagi wygłaszały żony albo narzeczone.

Elsie spojrzała na Amosa.

– Co zrobisz, jeśli Jane wyjdzie za Northwooda? – spytała.

– Nie wyjdzie. Hrabia na to nie pozwoli.

– Ale co byś zrobił, gdyby jednak wyszła? – nie dawała za wygraną Elsie.

– Nie wiem. – Wydawał się zakłopotany. – Pewnie nic. – Potem nagle się rozpromienił. – Trwa wojna i Northwood wcześniej czy później będzie musiał pojechać na front. Jeśli zginie w bitwie, Jane będzie sama.

To były bezduszne słowa i zupełnie nie pasowały do Amosa.

– Więc po prostu będziesz czekał i liczył na takie rozwiązanie?

– Hm... pewnie tak. Przepraszam.

Zostawił ją i poszedł za Jane i Northwoodem.

Elsie ogarnęła rozpacz. Straciła wszelką nadzieję. Wyglądało na to, że Amos pozostanie wierny Jane, nawet jeśli ta wyjdzie za kogoś innego. Zdała sobie sprawę, że czas stawić czoło rzeczywistości.

Mam dwadzieścia trzy lata i jestem panną, pomyślała. Wszystko, czego pragnę, to dom pełen dzieci. Bel Marsh nazywała się teraz Hornbeam, a Deborah Hornbeam została panią Riddick; obie pewnie wkrótce będą miały dzieci, podczas gdy ja wciąż marzę o mężczyźnie, który kocha inną.

Nie zostanę starą panną. Muszę zapomnieć o Amosie.

Sięgnęła po kieliszek szampana, by poprawić sobie humor.

*

Arabella Latimer wyglądała zachwycająco w rdzawobrazowej sukni uszytej z kaszmiru utkanego w zakładzie Spade'a. Wysoki stan podkreślał jej kształt i obfity biust. Spade nie mógł oderwać od niej oczu.

– Jeśli namówię orkiestrę, by zagrała walca, zatańczysz ze mną? – spytał.

– Bardzo chętnie – odparła. – Ale nie wiem, jak to się tańczy.

– Pokażę ci. Nauczyłem się w Londynie. To proste. Na pewno wiele osób będzie próbować. W Kingsbridge jeszcze tego nie tańczono.

– Mam nadzieję, że duchowni nie będą zgorszeni.

– Lubią być zgorszeni. To ich podnieca.

Podszedł do orkiestry i kiedy przestała grać, pokazał srebrną koronę, odpowiednik pięciu szylingów, i spytał:

– Możecie zagrać walca?

– Oczywiście – odparł mężczyzna, który przewodził muzykom. – Ale radny Hornbeam nie będzie zadowolony.

Zirytowało to Spade'a, ale zmusił się do uśmiechu.

– Nie wszystko powinno się układać po myśli pana Hornbeama. – Podniósł monetę. – Pana decyzja.

Mężczyzna ją wziął i Spade wrócił do Arabelli.

– Tańczymy na raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy. Robisz krok do tyłu lewą stopą, potem w bok, cofasz prawą i ściągasz stopy razem, jak ci cudzoziemcy, którzy strzelają obcasami, gdy się kłaniają.

Stanął przed nią, po czym ćwiczyli razem kroki, na razie się nie dotykając.

Arabella szybko opanowała taniec.

– To naprawdę nie jest trudne – stwierdziła. Wpatrywała się w Spade’a rozpalonym wzrokiem. Zaczął przypuszczać, że może być w nim równie mocno zakochana jak on w niej.

Nikt nie zwracał na nich szczególnej uwagi. Podczas takich balów ludzie często uczyli się nawzajem kroków skomplikowanych tańców, na przykład kotyliona, w którym cztery pary poruszały się na planie kwadratu, dotykając się tylko dłońmi.

Orkiestra skończyła grać allemande i przez chwilę panowała cisza. Dotychczas człowiek przewodzący orkiestrze zapowiadał następny taniec, by goście mogli się przygotować, ale tym razem tego nie zrobił, być może w obawie, że walc zostanie przerwany, nim się rozpocznie, a on będzie musiał oddać srebrną koronę. Kiedy rozległy się pierwsze dźwięki, nie można było pomylić charakterystycznego rytmu z niczym innym. Ludzie spoglądali po sobie, zdumieni muzyką, jakiej nie znali.

– No to zaczynamy – powiedział Spade. – Połóż prawą dłoń na moim lewym ramieniu. – Jedną rękę trzymał w talii Arabelli, miękkiej i ciepłej w tym miejscu, a drugą ujął lewą dłoń partnerki i unióśł do wysokości jej ramienia. Ich ciała się dotykały.

– To bardzo intymne – odezwała się Arabella i nie była to skarga.

Spade zrobił pierwszy krok, a ona bez trudu się dopasowała. Już po chwili tańczyli walca tak swobodnie, jakby robili to od lat.

– Tylko my tańczymy – zauważyła.

Spade dopiero teraz uświadomił sobie, że rozmowy i śmiechy niemal całkiem ucichły i wiele osób obserwuje, jak tańczy walca z żoną biskupa. Zaczął się zastanawiać, czy nie był to jednak błąd. Nie chciał, by Arabella miała przez niego kłopoty.

Zauważył, że Hornbeam wpatruje się w niego ze wściekłą miną.

– O Boże, wszyscy na nas patrzą – wyszeptała Arabella.

Trzymał w ramionach swoją miłość i nie chciał tego przerywać.

– Do diabła z nimi wszystkimi – mruknął.

Arabella parsknęła śmiechem.

– Ty głuptasie, uwielbiam cię.

Zaraz potem Deborah Hornbeam wyciągnęła na parkiet Willa Riddicka, potem dołączył do nich jej brat Howard z żoną Bel i obie pary zaczęły tańczyć walca.

– Bogu niech będą dzięki. – Arabella odetchnęła z ulgą.

– Ćwiczyli w domu – stwierdził Spade, spoglądając na dzieci Hornbeama. – Jestem pewien, że ich ojciec nie miał o tym pojęcia.

Na parkiet wchodzili kolejni tancerze i wkrótce sto par tańczyło walca lub próbowało to robić. Nabrawszy pewności siebie, Spade przyciągnął Arabellę bliżej, a ona przywarła do niego całym ciałem i wirowali zachwyceni.

– O mój Boże, to jest jak ruchanie.

Spade uśmiechnął się.

– Jeśli myślisz, że tak właśnie wygląda ruchanie, to nie robiłaś tego, jak należy – mruknął.

*

Walc dobiegł końca i człowiek przewodzący orkiestrze zapowiedział kotyliona. Kiedy Kenelm Mackintosh zaprosił Elsie do tańca, zgodziła się bez wahania. Prowadził dobrze, więc miała nadzieję, że jej niezdarność nie jest zbyt widoczna.

– Napijmy się szampana – zaproponował, gdy zeszli z parkietu.

Był to już jej trzeci kieliszek i czuła się rozluźniona.

– Często pan tańczył w Oksfordzie? – spytała.

Pokręcił głową.

– Nie było tam kobiet – odparł. – A przynajmniej takich, z którymi tańczyłby szanujący się duchowny.

– Proszę tego nie robić – skarciła go Elsie.

– Czego?

– Krytykować i osądzać innych. To nieuprzejme. Jest pan kapłanem, więc to oczywiste, że nie interesują pana nieodpowiednie kobiety. Nie musi pan tego podkreślać.

Zmarszczył brwi urażony. Chyba chciał zaprotestować, ale w końcu zamyślił się głęboko.

*

Amos lubił tańczyć i znał kroki walca, ale gdy orkiestra go grała, śledził Jane i Northwooda. Wiedział, że nie powinien tego robić, ale ta dwójka była tak zajęta sobą, że go nie widziała; inni też nie zwracali na niego uwagi, przynajmniej na razie.

Jane i Northwood poszli do bufetu, potem przez chwilę tańczyli, a następnie wybrali się na spacer do oświetlonego latarniami ogrodu.

Noc była zimna, więc niewiele osób wychodziło na zewnątrz. Amos poczuł smak mgły.

Przed wyjściem Jane włożyła pelerynę, by nie zmarznąć, i teraz przechadzała się z wicehrabią, który stawiał dość niepewne kroki. Mrok skrywał ich twarze, Amos widział jednak, że pochylają ku sobie głowy i rozprawiają o czymś z przejęciem.

Oparł się o ścianę i udawał, że wyszedł na zewnątrz, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Między Jane i Northwoodem działo się coś ważnego, coś wykraczającego poza zwykły flirt.

Nagle oboje zniknęli.

Amos uświadomił sobie, że przesunęli się za kępę wysokich krzewów. Teraz nikt ich już nie widział. Co tam robili? Musiał się dowiedzieć. Nie potrafił się

powstrzymać i przeszedł przez trawnik.

Kiedy znalazł się bliżej, dojrzał ich sylwetki przez gałęzie krzewu. Obejmowali się i całowali; słyszał, jak Northwood jęczy z rozkoszy. Amosa ogarnęła wściekłość, a jednocześnie wstydził się, że ich podgląda. Wicehrabia robił rzeczy, o których on dotąd tylko marzył. Amos czuł się wewnętrznie rozdarty; nie wiedział, czy ma go zaatakować, czy dyskretnie się oddalić.

Gdy dłoń Northwooda zamknęła się na piersi Jane, zbliżył się do nich o krok.

– Nie – odezwała się cicho Jane i odsunęła dłoń wicehrabiego.

Amos zamarł w bezruchu.

– Mężczyzna, za którego wyjdę, może dotykać moich piersi, ile zechce, chętnie mu na to pozwolę – powiedziała, trzymając obie dłonie wicehrabiego.

Northwood głośno wciągnął powietrze.

– Wyjdź za mnie, Jane – poprosił.

– Och, Henry! Oczywiście, że za ciebie wyjdę!

Pocałowali się, ale po chwili wysunęła się z objęć Northwooda. Wzięła go za rękę i wyprowadziła z za krzewów. Amos odwrócił się szybko i udał, że akurat tędy przechodził.

Ona jednak nie dała się nabrać.

– Jesteśmy zaręczeni! – zawołała.

Nie zatrzymała się; poprowadziła Northwooda do wnętrza budynku, a Amos poszedł za nimi.

Mocno trzymając Northwooda za rękę, Jane podeszła do ojca, który rozmawiał właśnie z radnym Drinkwaterem oraz córką i synową Hornbeama.

– Ojczy, Henry ma ci coś do powiedzenia.

To mogło oznaczać tylko jedno, zwłaszcza że użyła imienia Northwooda. Deborah i Bel aż zapiszczały z radości.

Wicehrabia był wstawiony, nie zapomniał jednak o dobrych manierach.

– Czy pozwoli pan, wielbny, bym poprosił pana córkę o rękę?

Pastor się wahał. Amos łudził się jeszcze nadzieją, że Midwinter znajdzie jakąś wymówkę i poprosi Northwooda, by odwiedził go następnego dnia, by mogli spokojnie o tym porozmawiać.

Lecz Drinkwater, który był dziadkiem Jane, nie posiadał się z radości.

– Cudownie! – wykrzyknął.

– Jane wychodzi za wicehrabiego Northwooda! – zawołała Bel Hornbeam. – Hurra!

Midwinter był wyraźnie niezadowolony, że tak ważna sprawa została załatwiona w tak niewłaściwy sposób, ale gdyby odmówił, zawstydziłby córkę. Po długiej pauzie odpowiedział w końcu:

– Tak, lordzie Northwood, może pan ją poprosić – powiedział w końcu.

– Dziękuję – odparł wicehrabia.

– Dobra robota, panno Midwinter – mruknęła z podziwem Deborah Riddick. Bez wątpienia zdawała sobie sprawę, że to ona zaaranżowała tę sytuację.

Jane wzięła Northwooda za rękę i spojrzała mu w oczy.

– Przez całe życie będę pracowała nad tym, by mój cudowny mąż był szczęśliwy – obiecała.

Amos odwrócił się na pięcie, wyszedł z budynku i ruszył do domu.

*

Kiedy Elsie zobaczyła minę zmierzającego do wyjścia Amosa, od razu zorientowała się, że wydarzyło się coś złego. Nie musiała długo czekać, by dowiedzieć się, o co chodzi. Już po kilku minutach w sali zapanowała atmosfera podniecenia; ludzie rozmawiali z ożywieniem, zaskoczeni i nieco zgorszeni. Do Elsie podszedł Kenelm Mackintosh.

– Northwood oświadczył się Jane Midwinter, a ona zgodziła się za niego wyjść.

– Proszę, proszę – mruknęła Elsie. – Więc Jane zdobyła mężczyznę, którego chciała. – A ja nie, dodała w myślach.

– Nie jest pani zaskoczona?

- Nieszczerólnie. Jane pracowała nad tym od miesiący.
- Ale jej ojciec jest metodystą, a Northwood będzie hrabią Shiring!
- A Jane będzie hrabiną.
- Obawiam się, że metodyzm wkrótce będzie postrzegany jako normalny odłam angielskiego chrześcijaństwa.
- A dlaczego miałyby być inaczej? Protestantyzm też stał się normalnym odłamem europejskiego chrześcijaństwa.

Ta riposta na moment zbiła Kenelma z tropu. Elsie przyglądała się z rozbawieniem, jak szuka w myślach rozsądnej odpowiedzi. Przyjemnie się na niego patrzyło.

- Czasami bywa pani bardzo niepoważna – odezwał się w końcu.
 - Mówi pan to tak, jakby się pan do mnie przyzwyczajał.
- Patrzył na nią w milczeniu.
- Jest pani bardzo bystra – powiedział po chwili.
 - Wielkie nieba, co za komplement, i to z ust mężczyzny!
 - Znów jest pani niepoważna.
 - Wiem.
 - Mimo to podziwiam panią.

Oczywiście było to niedomówienie. Tak naprawdę jego słowa oznaczały: „Zakochuję się w tobie”. Chętnie zbyłaby to drwiną, lecz oparła się pokusie. Przypuszczała, że Kenelm Mackintosh ma do niej słabość, a z uczuć nie powinno się szydzić. Ale przecież nigdy nie patrzył na nią z niepohamowanym pożądaniem, jakie widziała w oczach Amosa, gdy spoglądał na Jane. Przypomniała sobie, co Amos powiedział jej o Kenelmie: „Chce się z tobą ożenić, bo to mu pomoże w karierze. Zięć biskupa z pewnością może liczyć na awans w hierarchii kościelnej”.

- Jest pan ambitny? – spytała.
- Jeśli chodzi pani o ambicję wykonywania dzieła Bożego, to owszem. I moja żona będzie miała przyjemność pomagania mi w Bożej służbie. – Wygłaszał

komunały, ale wydawał się szczery.

– Wykonywać dzieło Boże... Rozumiem, ale jako kto?

– Jeśli taka będzie Jego wola, mógłbym pracować nawet jako biskup. Mam odpowiednie wykształcenie, jestem pracowity i oddany.

– Uważa się pan za dumnego człowieka?

Czuł się wyraźnie zakłopotany tym przesłuchaniem, ale znosił je cierpliwie.

– Zdarzyło mi się spowiadać z grzechu dumy, owszem. – Znów był szczery.

– Uwielbiam dzieci. A pan?

– Nigdy nie miałem okazji zajmować się dziećmi. Nie mam sióstr, a mój jedyny brat jest ode mnie o dwanaście lat starszy. Pamiętam tylko, jak opuszczał rodzinny dom... i Szkocję. On podjął pracę w Manchesterze, a ja potem wyjechałem do Oksfordu. W Szkocji młodzi ambitni mężczyźni nie mają zbyt wielkiego pola do popisu.

– Dla niektórych ludzi dziełem Bożym może być uczenie.

– Zgadzam się. *Pozwólcie dzieciom przychodzić do mnie, nie przeszkadzajcie im; do takich bowiem należy królestwo Boże**, mówił Jezus.

– Próbuje pan pomagać dzieciom w szkółce niedzielnej, ale nie czuje się pan swobodnie w ich obecności.

– Może pani mogłaby mnie tego nauczyć.

Po raz pierwszy w jej obecności wykazał się pokorą. W głębi duszy był przyzwoitym człowiekiem.

– Rozmawiałem z pani ojcem – powiedział.

Zacząła wpadać w panikę. Chciał się jej oświadczyć, a ona nie wiedziała, jak mu odpowiedzieć.

– Nie widzę tu mojego ojca – rzuciła, rozglądając się po sali.

– Wyszedł. Nie czułem się dobrze. Martwię się trochę o jego zdrowie.

– A moja matka? – Elsie próbowała zyskać na czasie.

– Powiedziała, że znajdzie kogoś, kto odprowadzi ją do domu, i żeby się o nią nie martwić.

– To dobrze.

– Wyznałem pani ojcu, że zakochałem się w pani...

– Jestem zaszczyczona. – Była to ogólnikowa odpowiedź, która o niczym nie przesądzała.

– ...i że żywię nadzieję, że i pani mnie polubi.

Nie wiem, pomyślała. Naprawdę nie wiem. Nadeszła ta chwila, gdy musiała podjąć decyzję ważącą na całym jej życiu. Elsie uważała, że na tyle, na ile można mieć pewność co do zamiarów i odruchów serca jakiegoś człowieka, Amos nigdy jej nie poślubi. A w ciągu ostatnich kilku minut poznała Kenelma Mackintosha od strony, której dotąd nie pokazywał. Być może okaże się całkiem dobrym ojcem.

Wiedziała, że nigdy nie obdarzy go namiętną miłością. Ale tak właśnie wyglądało małżeństwo jej rodziców. A gdy spytała matkę, czy cieszy się, że poślubiła biskupa, ta odparła bez zastanowienia: „Oczywiście! Inaczej nie miałabym ciebie”. Tak właśnie będę się czuła, przemknęło Elsie przez głowę. Będę zadowolona z małżeństwa z powodu dzieci.

Gdybym miała osiemnaście lat, powiedziałabym „nie”, ale mam dwadzieścia trzy lata. I nie umiem owijać sobie mężczyzn wokół palca tak jak Jane. Nie potrafię przechylać lekko głowy, uśmiechać się nieśmiało i mówić przyciszonym zmysłowym głosem, by musieli się pochylić bliżej, żeby mnie usłyszeć. Próbowałam, ale czułam się z tym głupio i nieuczciwie. Ale chcę, żeby ktoś całował mnie w nocy, pragnę mieć dzieci, kochać je i wychowywać tak, by wyrosły na dobrych, mądrych i miłych ludzi. Nie chcę się zestarzeć w samotności. Nie chcę być starą kobietą bez dzieci.

– Dziękuję za ten zaszczyt, Kenelm – powiedziała w końcu. – Tak, wyjdę za pana.

– Chwała Bogu.

Spade użył własnego klucza, by otworzyć drzwi w północnym przedsionku katedry. Wszedł do środka, Arabella postępowała za nim. Było tu zimniej niż na zewnątrz. Kiedy zamknął drzwi, znaleźli się w nieprzeniknionej ciemności. Po omacku odszukał dziurkę i zamknął drzwi na klucz.

– Trzymaj się mojego fraka i idź za mną – nakazał Arabelli. – Chyba znajdzie drogę bez światła.

Niczym ślepiec wyciągnął przed siebie wyprostowane ręce, by nie wejść prosto w kolumnę, po czym skierował się na zachód i starał się iść prosto przed siebie. Po kilku sekundach uzmysłowił sobie, że widzi zarysy okien, ciemnoszare szpiczaste kształty widoczne na tle czarnych jak smoła kamieni. Kiedy zrównał się z ostatnim oknem, wiedział, że od ściany dzieli go dwa lub trzy kroki. Dotknął zimnych kamieni i skręcił. Przeszedł wzdłuż ścian w rogu. Namacał drzwi i otworzył je. Kiedy oboje znaleźli się w narteksie, przedsionku pod dzwonnica, zamknął je na klucz.

Weszli spiralnymi schodami do głównego pomieszczenia dzwonnicy.

– Nic nie widzę! – szepnęła Arabella.

Spade wziął ją w ramiona i pocałował. Odpowiedziała entuzjastycznym pocałunkiem; trzymając jego głowę w dłoniach, zanurzała mu we włosach palce, a on, dotykając przez suknię jej piersi, sycił się ich ciężarem, miękkością i ciepłem.

– Ale ja chcę cię widzieć – powiedziała.

– W ostatni poniedziałek po ćwiczeniach dzwonników zostawiłem tu torbę – odparł Spade, dysząc ciężko. – Nie ruszaj się, spróbuję ją znaleźć.

Ocierając się o sznury, zrobił kilka kroków, po czym osunął się na kolana i przesuwał dłońmi po podłodze, dopóki nie dotknął skórzanej torby. Wyjął z niej świecę i krzesiwo i po chwili knot się zapalił. W pomieszczeniu nie było żadnych okien, więc nikt nie mógł zobaczyć światła z zewnątrz.

Spade odwrócił się do Arabelli i uśmiechnęli się do siebie w blasku świecy.

– Zaplanowałeś to – odezwała się. – Spryciarz.

– To było raczej marzenie niż plan.

Gdy knot rozpalił się mocniej, Spade nakapał trochę wosku na podłogę, postawił na nim świecę i czekał, aż wosk stwardnieje na tyle, by ją utrzymać.

– Połóżmy się na podłodze – zaproponowała Arabella. – Nie obchodzi mnie, czy to wygodne, czy nie.

– Mam lepszy pomysł.

Na podłodze leżały używane przez dzwonników maty, które miały zapobiegać zużyciu się sznurów ocierających się o deski. Zebrał kilka, ułożył je jedną na drugiej i w ten sposób powstało miękkie posłanie.

– Pomyślałeś o wszystkim!

– Od miesięcy wyobrażałem sobie tę chwilę.

– Ja też. – Arabella zachichotała.

Położył się i spojrzał na nią.

Ku jego zdumieniu stanęła nad nim i podniosła spódnicę do wysokości talii. Miała białe i zgrabne nogi. Wcześniej zastanawiał się, czy pod suknią nosi pantalon, ostatni krzyk mody, ale nie miała ich, widział więc jej ciemnobrązowe krocze. Chciał je pocałować.

Nabrzmiały członek napierał na spodnie, co trochę go zawstydziło; wiedział, że to głupie, ale tak się właśnie czuł.

Arabella nie okazywała ani cienia wstydu. Przykucnęła okrakiem nad jego nogami, rozpięła mu rozporek i uwalniała penisa.

– Och, jak miło! – Wzięła go w dłoń.

– Zaraz eksploduję – jęknął Spade.

– Nie, poczekaj na mnie! – Przesunęła się nad nim i wsunęła go w siebie. – Nie ruszaj się, jeszcze nie.

Kiedy miała go już w sobie całego, pochyliła się i pocałowała go w usta. Potem podniosła głowę, spojrzała mu w oczy i zaczęła powoli się poruszać. Spade położył dłonie na jej biodrach i ruszał się z nią w jednym rytmie.

– Nie zamykaj oczu – poprosiła. – Chcę, żebyś na mnie patrzył.

Spełnił tę prośbę z przyjemnością; wpatrywał się w jej falujące rudawe włosy i szeroko otwarte pomarańczowo-brązowe oczy, w rozchylone usta i cudowne piersi, które unosiły się i opadały miarowo w rytm oddechu. Czym sobie zasłużyłem na tę cudowną kobietę? – pomyślał.

Chciał, by trwało to wiecznie, nie był jednak pewien, czy wytrwa choćby jeszcze jedną minutę. Ale w końcu to ona straciła kontrolę – zacisnęła dłonie na jego ramionach tak mocno, że poczuł ból, ale wcale się tym nie przejmował, bo i on się zapomniał, więc skończyli jednocześnie.

– Cudownie – wydyszała, opadając na jego pierś. – Cudownie.

Spade objął ją ramieniem i pogłaskał po włosach.

– Cieszę się, że masz klucze do katedry i dzwonnicy – powiedziała po minucie.

Wydało mu się to zabawne i roześmiał się cicho. Ona również.

Nagle aż zachłysnęła się ze wstydu.

– Boże, co ja ci mówiłam! Co ja robiłam! Ja normalnie nie... to znaczy nigdy wcześniej... Do diabła, lepiej będzie, jak się zamknę.

Minutę później dodała:

– Chciałam, żeby to trwało dłużej, ale nie mogłam się już doczekać.

– Nie martw się – odparł. – To nie był nasz ostatni raz.

*

Podczas posiedzenia sądu wyjazdowego dowody oskarżenia przeciwko Joanie były takie same jak te na rozprawie z sędziami pokoju, ale obrona wyglądała lepiej, przynajmniej zdaniem Sal. Amos Barrowfield przysiągł, że Joanie pracowała dla niego od lat i że zawsze była uczciwa i godna szacunku, nigdy nie zachowywała się agresywnie i nie nawoływała do zamieszek. Podobnie zeznawali inni ważni obywatele Kingsbridge: pastor Midwinter, Spade, a nawet pastor z kościoła Świętego Łukasza. A Silas Child przyznał, że oddała mu pieniądze.

Przysięgli obradowali długo, co nikogo nie dziwiło. Podczas rozpraw z miejscowymi sędziami pokoju ława przysięgłych decydowała tylko o tym, czy

przekazać sprawę sądowi wyjazdowemu. A tego dnia decydowano o życiu lub śmierci oskarżonej.

– Jak pan myśli, jaki będzie wynik? – zwróciła się Sal do Spade’a.

– To, że oddała pieniądze Childowi, przemawia na jej korzyść. Na niekorzyść przemawia ta historia z obrzuceniem królewskiego powozu kamieniami.

– Przecież to nie wina Joanie! – obruszył się Jarge stojący obok Sal.

– Nie mówię, że to sprawiedliwe, ale przez atak na króla możni stali się bardzo surowi.

Sal wiedziała, że Spade ma na myśli wyrok śmierci.

– Oby się pan mylił – powiedziała żarliwie.

– Amen. – Spade skinął głową.

Dla widzów zgromadzonych w sali proces nie był jedynym tematem rozmów. Wielu mówiło o zaręczynach podczas niedawnego balu. Zaręczyny Northwooda z Jane Midwinter były nie lada sensacją. Wczoraj Jane poszła na nabożeństwo do katedry, a nie do domu modlitw metodystów, i siedziała obok wicehrabiego, jakby już byli małżeństwem. Pastor Midwinter zaprosił Northwooda na niedzielny obiad do swojego skromnego domu i wicehrabia przyjął zaproszenie. Wszyscy jednak czekali na reakcję ojca Northwooda, hrabiego Shiring. Przypuszczano, że stanowczo sprzeciwi się temu małżeństwu, choć nie mógł powstrzymać dwudziestosiedmioletniego syna przed ślubem z wybranką jego serca, gdyby ten się uparł.

Zaręczyny Elsie Latimer i Kenelma Mackintosha nie były już tak wielką sensacją, choć wiele osób dziwiło się, że Elsie przyjęła oświadczyzny.

Oba śluby z pewnością odbyłyby się w katedrze. Sal spojrzała na Jarge’a i uśmiechnęła się cierpko na myśl, jak bardzo te uroczystości będą się różnić od jej ślubu. Ale nawet jeśli by mogła, w niczym nie zmieniłaby tamtego cudownego dnia.

Gdybym powiedziała to głośno, nikt by mi nie uwierzył, pomyślała.

Wrócili przysięgli i urzędnik spytał ich przewodniczącego, czy uznali Joanie za winną, czy niewinną.

– Winna – odparł przewodniczący.

Joanie zachwiała się gwałtownie; upadłaby, gdyby brat jej nie przytrzymał.

Wśród zebranych podniósł się pomruk oburzenia. Sal zauważyła, że Will Riddick uśmiecha się z satysfakcją. Szkoda, że nie zabiłam go tym kamieniem, przemknęło jej przez głowę.

– Oskarżona – przemówił sędzia – zostałam uznana za winną zbrodni, za którą należy się kara śmierci.

Joanie była blada jak ściana.

– Jednakże – dodał po chwili – obywatele twojego miasta prosili o wyrozumiałość, a kupiec Silas Child zeznał, że oddałam mu wszystkie pieniądze, które otrzymałam za skradzione ziarno.

To oznacza, że nie zostanie powieszona, pomyślała Sal. Ale jaka spotka ją kara? Chłosta? Ciężkie roboty? Dyby?

– Dlatego też nie skazę cię na śmierć.

– Och, Bogu dzięki – westchnął Jarge.

– Zostaniesz przewieziona do kolonii karnej w Nowej Południowej Walii w Australii i spędzisz tam czternaście lat.

– Nie! – krzyknął Jarge.

Nie on jeden. Tłum był oburzony, ludzie głośno protestowali.

– Proszę opuścić salę! – nakazał sędzia, podnosząc głos niemal do krzyku.

Szeryf i konstable zaczęli wypychać ludzi na zewnątrz, a sędzia zniknął za drzwiami sąsiedniego pomieszczenia.

Sal trzymała męża za rękę.

– Czternaście lat, Jarge. Kiedy wróci, będzie miała dopiero czterdzieści cztery lata – powiedziała, żeby odwieść go od aktów przemocy.

– Dobrze wiesz, że prawie nikt nie wraca stamtąd po zakończeniu wyroku. Niewielu wróciło z Ameryki, a Australia jest jeszcze dalej.

Wiedziała, że ma rację. Po zakończeniu wyroku więźniowie musieli zapłacić za powrotny rejs, a zarobienie takich pieniędzy było właściwie niemożliwe. Niemal we wszystkich wypadkach oznaczało to wygnanie do końca życia.

– Zawsze możemy mieć nadzieję, Jarge.

Jego gniew zamieniał się powoli w smutek.

– A co ze Sue? – spytał bliski łez.

– Zostanie tutaj. Nikt nie chciałby zabierać dziecka do kolonii karnej, poza tym nie można tego robić.

– Więc nie będzie miała ani ojca, ani matki!

– Będzie miała mnie i ciebie – odparła Sal z powagą. – Teraz jest naszym dzieckiem.

*

Kit wiedział, że stało się coś strasznego, ale przez kilka dni nie mógł wydobyć od żadnego z dorosłych co. Dopiero po kilku dniach jego matka przy śniadaniu powiedziała:

– Kit i Sue, spróbuję wam wyjaśnić, co się dziś wydarzy.

Wreszcie, pomyślał chłopiec. Zaciekawiony usiadł prosto.

– Sue, twoja mama musi dziś rano wyjechać.

– Dlaczego? – spytała dziewczynka.

Kit też chciał to wiedzieć.

– Sędzia uznał, że zrobiła coś złego, kiedy nie pozwoliła załadować ziarna na barkę pana Childa – wyjaśniła Sal.

Jej syn wiedział o tym.

– To było ziarno z Kingsbridge i nikt nie powinien go stąd zabierać – oświadczył stanowczo.

– Wszyscy tak myśleliśmy, ale sędzia widział to inaczej, a to on ma władzę – odpowiedział mu Jarge.

– Dokąd wyjeżdża mama? – spytała Sue.

– Do Nowej Południowej Walii, w Australii – odparła Sal.

– Czy to daleko?

Kit znał odpowiedź na to pytanie. Zbierał takie informacje.

– To dziesięć tysięcy mil stąd – powiedział, dumny ze swojej wiedzy. Sue wydawała się skonsternowana, jakby nie wiedziała, ile to jest dziesięć tysięcy mil, więc dodał: – Podróż statkiem do Australii trwa pół roku.

– Pół roku! – To dziewczynka zrozumiała i zaczęła płakać. – Kiedy mama wróci?

– Nie będzie jej bardzo długo – odparła Sal. – Czternaście lat.

– Oboje będziemy już wtedy dorośli – dodał Kit.

– Kit, pozwól, że to ja będę odpowiadać na pytania Sue, proszę – upomniwała go matka.

– Przepraszam.

– Za minutę pójdziemy nad rzekę, żeby ją pożegnać. Popłynie barką do Combe, a tam wsiądzie na duży statek płynący do Australii. Szeryf powiedział, że nie możemy jej uściskać ani pocałować... właściwie w ogóle nie wolno nam jej dotykać.

– To niesprawiedliwe! – Sue zaszlochała.

– Z pewnością. Ale narobimy sobie kłopotów, jeśli spróbujemy złamać te zasady. Rozumiesz?

– Tak. – Dziewczynka skinęła głową.

– Kit, słyszałeś, co mówiłam?

– Tak.

– W takim razie możemy iść.

Włożyli płaszcze.

Kit wiedział, co się stało, choć nie do końca to rozumiał. Nikt ze znanych mu ludzi nie uważał Joanie za przestępczynię, więc jak sędzia mógł skazać ją na coś tak strasznego?

Na brzegu rzeki zgromadził się tłum. Zdarzało się już, że zabierano z Kingsbridge ludzi skazanych na pobyt w kolonii karnej, ale zawsze byli to złodzieje lub mordercy. Joanie była kobietą i matką. Kit wyczuwał gniew otaczających go ludzi w znoszonych ubraniach i starych kapeluszach, kulących się w deszczu, rozzłoszczonych, lecz bezsilnych.

Pojawiła się Joanie, eskortowana przez szeryfa Doye'a, i pośród oczekujących podniósł się wrogi pomruk. Kit zauważył, że nogi Joanie są skute w kostkach łańcuchem, przez co musiała stawiać nienaturalnie małe kroki. Sue również to dostrzegła.

– Dlaczego mama ma łańcuch na nogach?! – zawołała.

– Żeby nie próbowała uciekać – odpowiedział jej Kit.

Dziewczynka wybuchła płaczem.

– Mówiłam ci, że to ja odpowiadam na jej pytania – zwróciła się do syna zirytowała Sal. – Przestraszyłeś ją.

– Przepraszam. – Mówiłem tylko prawdę, pomyślał, wiedział jednak, że matka nie jest w nastroju do dyskusji.

Ktoś zaczął bić brawo i pozostali natychmiast dołączyli. Wydawało się, że Joanie dopiero teraz zauważyła zebrany nad rzeką tłum, bo jej postawa nagle się odmieniła. Nie mogła wydłużyć nienaturalnie krótkiego kroku, wyprostowała się jednak i uniosła głowę. Rozglądała się na boki i pozdrawiała skinieniem głowy ludzi, których znała. Kit pomyślał, że to dobrze dla Sue. Wpadłaby w rozpacz, widząc matkę załamaną i przybitą.

Aplauz przybrał na sile, gdy Joanie zbliżyła się do barki.

Chłopiec ujął dłoń Sue, by dodać jej otuchy, a Sal ścisnęła drugą rękę dziewczynki, prawdopodobnie by ją powstrzymać, gdyby próbowała pobiec do mamy.

Joanie przeszła po trapie i stanęła na pokładzie barki.

Gdy Sue zaczęła krzyczeć, Sal szybko wzięła ją na ręce i trzymała mocno, bo dziewczynka wierzgała nogami i wymachiwała rękami.

Mężczyzna na barce odwiązał cumy i odepchnął ją od brzegu. Prąd łagodnie poniósł barkę w dół rzeki, niezbyt szybko, ale zdecydowanie.

Joanie odwróciła się do brzegu i wbiła wzrok w tłum. Kit zastanawiał się, jak może być taka spokojna i opanowana. Opuszczała rodzinę i kraj, w którym spędziła całe życie, i płynęła do całkiem nowego miejsca po drugiej stronie globu; sama ta myśl była tak przerażająca, że natychmiast odsunął ją od siebie.

Prąd przybrał na sile i barka popłynęła szybciej. Krzyki Sue przycichły. Tłum przestał bić brawo.

Za najbliższym zakrętem barka zniknęła im z oczu.

* Mk 10,14.

CZEŚĆ III

Ustawa o stowarzyszeniach

1799

ROZDZIAŁ 19

Amos Barrowfield wstał o czwartej rano. Mieszkał sam – matka umarła dwa lata temu. Ubrał się szybko i kilka minut później wyszedł, niosąc latarnię. Wiosenny poranek był chłodny i rześki. Mimo wczesnej pory w mieście panował już spory ruch. W oknach domów zamieszkałych przez biedotę paliły się światła, setki robotników ciągnęły ciemnymi ulicami, zmierzając do zakładów włókienniczych.

Zwrócił uwagę na dwóch mężczyzn trzymających straż przed kwaterą główną milicji i pomyślał z goryczą o tym, że czerwoną tkaninę na ich kurtki wyprodukował Hornbeam.

Kingsbridge nie sprawiało już wrażenia miasta dobrobytu. Ludzi nie było stać na odmalowanie frontowych drzwi czy wymianę rozbitych szyb w oknach. Niektóre sklepy splajtowały, w innych wystawiano towary kiepskiej jakości. Sklepikarze kupowali to, co najtańsze, a nie to, co najlepsze. Popyt na tkaniny i ubrania wysokiej jakości, w których specjalizował się Amos, był niewielki.

Trwała wojna. Koalicja złożona z Wielkiej Brytanii, Rosji, Imperium Osmańskiego i Królestwa Neapolu atakowała francuskie ziemie w Europie i na Bliskim Wschodzie – i przegrywała. Francuzi co jakiś czas ponosili porażkę, ale potem zawsze się podnosili. Z powodu tej bezsensownej wojny wszyscy ledwo wiążemy koniec z końcem, pomyślał Amos. A robotnicy są coraz bardziej rozgniewani.

Blask księżycy skrzył się na pomarszczonej powierzchni rzeki. Amos przeszedł po moście na Wyspę Trędownatych, gdzie w oknach szpitala Caris paliło się światło, a stamtąd na drugą stronę rzeki na przedmieście zwane Loversfield. Tu skręcił w lewo.

Hornbeam zbudował tu szeregi domów, połączonych ze sobą bocznymi ścianami i tylnymi z domami z drugich rzędów. Na środku każdej ulicy stały pompa z wodą i wychodek. Wynajmował te domy robotnikom pracującym w pobliskich zakładach włókienniczych.

W pagórkowatej okolicy na północ i na wschód od miasta rzeka i jej dopływy płynęły na tyle szybko, by poruszać kołami młyńskimi, a jednocześnie dostarczały wodę potrzebną do spłśniania i farbowania. Nikt nie planował tutaj układu ulic: budynki, stawy młyńskie i młynówki pojawiały się tam, gdzie płynęła woda.

Amos zmierzał w górę rzeki do swojego zakładu. Gdy dotarł na miejsce, przywitał skinieniem głowy sennego wartownika, otworzył drzwi i wszedł do środka. Zapalał właśnie lampy, gdy pojawił się Hamish Law, w butach do jazdy konnej i długim niebieskim płaszczu.

Hamish wykonywał teraz pracę, którą zajmował się Amos przed śmiercią ojca: jeździł po okolicznych wioskach i odwiedzał robotników pracujących w domach. Zawsze elegancki, starał się zachowywać przyjazne relacje z ludźmi. Choć uprzejmy i dobroduszny, potrafił być wystarczająco twardy, by poradzić sobie ze zbirami czającymi się na drogach. Krótko mówiąc, był młodszą wersją Amosa.

Gdy razem juczyli konie, rozmawiali o miejscach, które Hamish miał tego dnia odwiedzić, i o robotnikach, z którymi miał się spotkać. Większość przędzy wytwarzano teraz w zakładzie, na maszynach, więc prządek, do których się wybierał, było niewiele, ale tkanie wciąż odbywało się ręcznie, a część tkaczy pracowała w domach.

– Lepiej ich ostrzeż, że być może w przyszłym tygodniu nie będą mieli pracy – powiedział Amos. – Na razie nie mam nowych zamówień, a nie stać mnie na powiększanie zapasów materiałów.

– Być może coś się pojawi w najbliższych dniach – odparł optymistycznie Hamish.

– Miejmy nadzieję.

Do zakładu zaczęły się schodzić robotnice; jadły w drodze chleb i piły słabe piwo z glinianych kubków, szczebiocząc jak ptaki. Zawsze miały mnóstwo spraw do omówienia. Amos nie mógł się nadziwić, że choć pracują tak długo i tak ciężko, mają jeszcze siły na rozmowy.

O piątej zaczęła się praca. Młotki pilśniarek uderzały miarowo, przędzarki stukwały i warczały, a krosna klekotały, gdy tkacze przerzucali czółenka z prawej na lewą i z powrotem. Wszystkie te odgłosy brzmiały w uszach Amosa jak piękna muzyka. Powstawały właśnie tkaniny, które okryją zziębniętych ludzi, robotnicy zarabiali pieniądze, za które mogli wykarmić rodziny, i powstawał zysk, który pozwalał funkcjonować fabryce. Wkrótce jednak dopadły go stare troski.

Znalazł Sal Box, nieoficjalną przedstawicielkę wszystkich zatrudnionych w zakładzie. Trzymała się dobrze mimo trudnych czasów. Małżeństwo jej służyło, choć jej mąż, Jarge, wyglądał zdaniem Amosa na zbira.

Przędzarki były teraz napędzane siłą nurtu wody, więc prządki nie musiały poruszać kołami. To oznaczało, że doświadczona pracownica, taka jak Sal, mogła obsługiwać trzy maszyny jednocześnie.

– Nie mam pracy na przyszły tydzień – powiedział Amos, podnosząc głos, by przekrzyczeć hałas. – Chyba że sprzedam coś w ostatniej chwili.

– Powinien pan realizować zamówienia dla wojska – odparła Sal. – Tam są teraz pieniądze.

Wielu sukienników byłoby oburzonych, gdyby zwykli robotnicy próbowali im doradzać, ale nie Amos. Lubił wiedzieć, co myślą jego ludzie. Właśnie dowiedział się czegoś ważnego: uważali, że nie stara się o kontrakty dla milicji Shiring. Miał więc okazję wyjaśnić, jak wygląda prawda.

– Nie myśl, że nie próbowałem. Ale Will Riddick przekazuje wszystkie zamówienia swojemu teściowi.

Sal sposepniała.

– Ten Will Riddick powinien trafić na szubienicę – rzuciła.

– Nie mam szans, żeby wkręcić się w ten interes.

- Nie powinno tak być.
- Wiem.
- Tyle rzeczy w tym kraju nie wygląda tak, jak powinno.
- Ci, co tak mówią, mogą zostać oskarżeni o zdradę – przypomniał jej.

Sal zacisnęła usta.

Amos zauważył, że nie ma przy niej syna.

- Gdzie Kit? – spytał.
- Poszedł pomóc Jenny Jenkins.

Amos rozejrzał się po sali. Jedna z prędzarek nie działała, a Kit pochylał się nad nią, niemal dotykając maszyny rudymi włosami. Amos podszedł do niego, żeby sprawdzić, co się dzieje.

Kit miał czternaście lat, ale wciąż wyglądał jak dziecko; mówił cienkim głosem i nie miał ani śladu zarostu.

- Co robisz? – spytał go Amos.

Chłopiec spojrzał na niego z niepokojem – obawiał się zapewne reprimendy.

– Próbuję dokręcić paznokciem wrzeciono, ale wciąż jest luźne. Mam nadzieję, że nie zrobiłem nic złego.

- Nie, chłopcze, nie martw się. Ale to chyba nie należy do twoich obowiązków?

– Nie, proszę pana, ale kobiety proszą mnie o pomoc.

– To prawda, panie Barrowfield – odezwała się Jenny. – Kit świetnie zna się na maszynach, więc jeśli coś się psuje, wołamy go i zwykle naprawia wszystko w parę minut.

- Gdzie się tego nauczyłeś? – zwrócił się Amos do chłopca.

– Pracuję tu, odkąd skończyłem siedem lat, więc poznałem dobrze te maszyny, proszę pana.

Amos przypomniał sobie, że Kita zawsze fascynowały różne mechanizmy.

– Ale szłoby mi znacznie lepiej, gdybym miał śrubokręt, a nie musiał dokręcać wszystko paznokciem – dodał dzieciak.

– Na pewno. – Amos zamyślił się na chwilę. Zwykle robotnicy sami naprawiali maszyny i często poświęcali mnóstwo czasu na rozwiązywanie prostych problemów. Pomoc specjalisty pozwoliłaby zaoszczędzić czas i zwiększyć produkcję.

Przyglądając się przez chwilę małemu mechanikowi, zastanawiał się, czy nie zatrudnić go oficjalnie na takim stanowisku. Lubił nagradzać tych, którzy robili coś więcej niż tylko to, co konieczne: to zachęcało innych. Postanowił, że Kit zostanie mechanikiem i otrzyma odpowiednią pensję. Właściwie Amosa nie było stać na hojne gesty, ale kilka szylingów tygodniowo nie robiło większej różnicy.

Pomyślał jednak, że najpierw powinien to omówić z Sal. Nie sądził, by miała coś przeciwko temu, ale była taką kobietą, że wolał się upewnić. Wrócił do jej stanowiska.

– Kit jest bardzo bystry – powiedział.

Sal pokraśniała z dumy.

– Prawdę mówiąc, panie Barrowfield, zawsze uważałam, że wiele osiągnie.

– Cóż, nie jest to coś wielkiego, ale chciałbym, żeby został konserwatorem. Mechanikiem, który będzie na bieżąco naprawiał maszyny i doglądał ich.

– To bardzo miłe z pańskiej strony. – Sal rozpromieniła się.

– Właściwie potwierdzam tylko oficjalnie to, co już się dzieje.

– To prawda.

– Będę mu płacił pięć szylingów tygodniowo.

Sal była zaskoczona.

– To wspaniale, panie Barrowfield.

– Lubię płacić ludziom tyle, na ile zasługują, jeśli tylko mogę.

Spojrzał na Sal i dostrzegł wyraz ulgi na jej twarzy. Kilka dodatkowych szylingów znacząco podreperuje jej domowy budżet.

– Jeśli będę musiał w przyszłym tygodniu zamknąć zakład, Kit będzie mógł tu przychodzić i sprawdzać maszyny. Zawsze lepiej zapobiegać, niż naprawiać. Może tak być?

– Tak. Przekażę mu to.

– Świetnie. – Amos skinął głową. – Kupię mu śrubokręt.

*

Hornbeam zabrał ze sobą syna, by pokazać mu nowy zakład.

Howard od trzech lat był żonaty i spłodził w tym czasie dziecko; Bel urodziła chłopca i dali mu na imię Joseph po dziadku, co ucieszyło Hornbeama bardziej, niż przypuszczał.

– Bylebyście tylko nie mówili do niego Joey – poprosił. – Nie znoszę tego zdrobnienia. Nazywajcie go Joe, jeśli już nie możecie Joseph.

Nie chciał wracać pamięcią do czasów, gdy był wychudłym dzieciakiem grzebiącym w stertach śmieci na londyńskich ulicach i mówiono do niego Joey. Nie musiał tego jednak nikomu wyjaśniać. Rodzina bez szemrania wykonywała jego polecenia.

Joe miał już niemal dwa lata i był duży jak na swój wiek – Hornbeam przypuszczał, że będzie wysoki jak on i nikt nie będzie go nazywał Joey. Wielkie bogactwo radnego trafi do trzeciego pokolenia, co zapewniłoby mu pewnego rodzaju nieśmiertelność.

Deborah i Will Riddick na razie nie doczekali się dzieci, Hornbeam nie tracił jednak nadziei, że i oni dadzą mu wnuki.

Budowa nowego zakładu włókienniczego była już na ukończeniu. Wzniesiono go w miejscu, gdzie wcześniej znajdowała się chlewnia. Ojciec i syn brnęli przez błoto rozjeżdżone kołami wozów. Budowniczcy sprowadzeni z Combe rozstawili w pobliżu namioty, wykopali latryny i palili ogniska. Nowy zakład Hornbeama miał zastąpić funkcjonujące dotąd trzy inne.

– Będziemy tu produkować wyłącznie tkaniny na mundury – oznajmił radny. – Nie tylko dla milicji Shiring i Sto Siódmego Pułku Piechoty z Kingsbridge, ale też dla kilkunastu innych dużych klientów.

Zakład nie stał nad rzeką, lecz obok małego strumienia, bo to nie woda miała napędzać maszyny. Do tej pory Hornbeam trzymał wszystko w tajemnicy – nie mówił o swoich zamiarach nawet najbliższemu – ale coraz trudniej było ukryć cel trwających tu prac, postanowił więc wyjawić prawdę. Najpierw miał ją poznać Howard.

– To będzie pierwszy zakład włókienniczy w Kingsbridge napędzany parą – oznajmił z dumą ojciec.

– Parą! – powtórzył ze zdumieniem syn.

Para była stabilniejsza niż rzeka – bo siła nurtu zmieniała się często z dnia na dzień – a przy tym silniejsza niż koń czy wół. Używano jej już w setkach zakładów włókienniczych, zwłaszcza na północy Anglii. Kingsbridge pozostało w tej kwestii w tyle. Ale już niedługo miało się to zmienić.

Weszli do środka. Zakład prezentował się imponująco; w Kingsbridge jedynym budynkiem większym od tego była katedra.

Robotnicy bielili ściany i wprawiali szyby w wielkie okna – wewnątrz powinno być dobrze oświetlone. Musieli do siebie krzyczeć przez wielkie przestrzenie; niektórzy podśpiewywali podczas pracy. Ludzie z Combe nie wiedzieli, kim są dwaj mężczyźni, bo gdyby zdawali sobie z tego sprawę, zamilkliby na czas ich wizyty. Tym razem nie przeszkadzało to jednak Hornbeamowi. Był zbyt zadowolony z tego budynku.

Pokazał Howardowi palenisko węglowe wielkości małego domu. Na palenisku stał kocioł takich samych rozmiarów, a obok cylinder, wysoki jak dorosły mężczyzna, napędzający koło zamachowe połączone z kolektorem.

– Ten kolektor przekazuje energię do wszystkich części zakładu – wyjaśnił Hornbeam. – Chodź na górę. – Poprowadził syna na piętro. – To jest tkalnia. – W sali stało kilkadziesiąt krosien ustawionych w czterech równoległych rzędach. – Widzisz te wałki pod sufitem? Są połączone z krosnami pasami napędowymi. Kiedy wałek się obraca, pas napędza krosno, a ono wykonuje trzy działania: po pierwsze, podnosi co drugą nić w osnowie, żeby otworzyć przesmyk jak paszczę

krokodyla; po drugie, przesuwają czółenka przez przesmyk jak między zębami krokodyla; po trzecie, wciska mocno nić zwaną wątkiem w gardziel przesmyku, co nazywa się przybijaniem. Potem powtarza cały ten proces w przeciwną stronę i w ten sposób powstaje tkanina.

– To fantastyczne – zachwycił się Howard.

– Ale nie można tego robić, jeśli maszynę napędza koło młyńskie. Mechaniczne krosno wymaga stałej siły o określonej wielkości, żeby wykonywać około stu dwudziestu obrotów na minutę. Inaczej czółenka może się poruszać za szybko albo wcale się nie ruszyć. Rzeka nie może zapewnić stałej energii, ale maszyna parowa tak.

– Będziemy w ogóle potrzebowali robotników?

– Tak. Ale podobno jeden człowiek może obsługiwać trzy albo cztery mechaniczne krosna jednocześnie, czasami więcej. Będziemy potrzebowali mniej niż jedną czwartą ludzi zatrudnionych teraz.

– To niesamowite! Wszystkie te krosna pracują same, zarabiają przez cały dzień, doglądane tylko przez garstkę ludzi.

Hornbeam był podekscytowany, ale też zaniepokojony. Budowa tego zakładu pochłonęła wszystkie pieniądze, które zaoszczędził w ciągu ostatnich dwóch lat, a także sporą pożyczkę z banku Thomson's Kingsbridge. Był pewien, że młyn będzie przynosił zyski; jak dotąd wszystkie jego inwestycje okazywały się strzałem w dziesiątkę. Miał też kontrakty z wojskiem. Mimo to tego rodzaju przedsięwzięcia wiązały się z pewnym ryzykiem.

Howard pomyślał o tym samym.

– A jeśli wojna się skończy? – spytał.

– Mało prawdopodobne – odparł ojciec. – Trwa już sześć lat i nic nie wskazuje na to, żeby coś miało się zmienić.

W drodze powrotnej przechodzili przez osiedle domów, które wybudowali dla robotników. Na ulicach zalegały sterty śmieci i łajna.

– Ci ludzie to brudasy – rzucił Hornbeam.

– Właściwie to nasza wina – stwierdził Howard.

– My jesteśmy winni temu, że żyją w brudzie? – oburzył się ojciec.

Syn zadrzał, ale odważył się sprzeciwić:

– Te domy przylegają do siebie bocznymi i tylnymi ścianami. Ludzie nie mają podwórek.

– Ach, tak, zapomniałem o tym szczególe. Ale to spora oszczędność.

– Tylko że przez to nie ma gdzie wyrzucać śmieci, więc leżą na drodze.

– Hm...

Robotnicy kończyli budować nową ulicę.

– Rozmawiałem już z trzema osobami, które chcą tu otworzyć sklepy – powiedział Howard.

– Przecież mamy własne sklepy, które przynoszą całkiem przyzwoity zysk.

– Robotnicy mówią, że ceny w naszych sklepach są wyższe. Niektórzy wolą więc chodzić do centrum miasta, niż płacić więcej.

– Dlaczego mielibyśmy wpuszczać tu konkurencję i ograniczać zyski?

Howard wzruszył ramionami.

– Właściwie nie ma konkretnego powodu – odparł.

– Więc nie zrobimy tego – zdecydował Hornbeam. – A robotnicy niech płacą albo chodzą do miasta.

*

Wiosenny festyn urządzano na łące przy lesie na obrzeżach miasta. Amos przyglądał się tańcowi na linie – pokazowi, podczas którego młode kobiety w obcisłych ubraniach wykonywały różne figury na linie rozpiętej dziesięć stóp nad ziemią – gdy podeszła do niego Jane, obecnie wicehrabina Northwood. Prezentowała się bardziej kusząco niż tancerki. Miała na głowie słomkowy kapelusz ozdobiony kwiatami i wstążkami i trzymała małą parasolkę – najnowszy krzyk mody. Wyglądała wyjątkowo ładnie.

Amos zastanawiał się, czy z jego głową jest wszystko w porządku. Bo to nie było normalne, że młody mężczyzna miał od siedmiu lat obsesję na punkcie jednej kobiety, która bez wątpienia nie odwzajemniała jego uczuć.

Jane wzięła go pod rękę i spacerowali razem, rozkoszując się wiosennym słońcem, spoglądając na stragany z jedzeniem oraz piwem i udając, że nie dostrzegają prostytuttek.

Kiedy przystanęli, by obejrzeć występ trupy akrobatów, Amos spytał Jane, jak się miewa. Odpowiedziała mu z zaskakującą szczerością:

– Prawie nie widuję Henry’ego! Spędza cały czas z milicją, szkoli ich, musztruje i nie wiadomo, co jeszcze robi. A oni przecież i tak nigdy nie walczą. Nie widzę w tym sensu.

– Mają bronić ojczyzny, żeby regularne wojska mogły walczyć za granicą.

Jane nie chciała jednak słuchać wyjaśnień Amosa.

– Upiera się, żebym mieszkała w Earlscastle, gdzie nic się nie dzieje – dodała. – Częściej widuję teścia niż męża! Będzie miał za swoje, jeśli wdam się w jakiś romans.

Amos rozejrzał się, ponieważ obawiał się, że ktoś mógł usłyszeć te nieprzystające damie słowa, ale na szczęście w pobliżu nikogo nie było.

Przeszli do ringu bokserskiego, gdzie Pegleg Punch oferował funta każdemu, kto zdoła go obalić na ziemię. Mimo kalectwa – miał drewnianą nogę – z potężnymi ramionami, złamanym nosem i bliznami na rękach wyglądał przerażająco.

– Nie walczyłbym z nim nawet za pięćdziesiąt funtów – mruknął Amos.

– Cieszy mnie to – odparła Jane.

Żądny walki Mungo Landsman, jeden z oprychów, którzy kręcili się stale w pobliżu karczmy Pod Rzeźnikiem – osiłek o paskudnym wyglądzie – wpłacił szylinga i wskoczył na ring. Nim jeszcze podniósł pięści, Pegleg Punch doskoczył do niego i zaczął go okładać tak szybko, że trudno było rozróżnić poszczególne uderzenia. Gdy Landsman upadł, Punch kopnął go drewnianą nogą, a publiczność

wzniosła radosne okrzyki. Bokser uśmiechnął się szeroko, pokazując, że stracił już większość zębów.

Amos i Jane odeszli. Amos zastanawiał się, co kobieta taka jak ona mogła zrobić po poślubieniu bogatego, ale wiecznie zajętego mężczyzny.

– Pewnie chciałybyś mieć dzieci – powiedział.

– Moim obowiązkiem jest urodzić dziedzica – odparła. – Ale to czysto teoretyczne rozważania, bo biorąc pod uwagę, jak mało czasu spędzam z Henrym, szanse na spłodzenie dzieci są nikłe.

Rozmyślał o tym przez chwilę i w końcu doszedł do wniosku, że Jane dostała to, czego chciała: wyszła za wicehrabiego, choć ludzie twierdzili, że ten nigdy nie ożeni się z dziewczyną o tak niskim statusie społecznym, zwłaszcza że wcześniej zaaranżowano jego małżeństwo z bardziej odpowiednią kobietą. Hrabia Shiring z pewnością nie był zachwycony, gdy jego plan co do ożenku syna legł w gruzach. Jane pokonała wszystkie przeszkody, ale to nie dało jej szczęścia.

Dotarli do straganu, na którym Sport Culliver, w czerwonym cylindrze na głowie, sprzedawał maderę na kieliszki. Chcieli go minąć, ale zawołał do Jane:

– Pani wicehrabino, proszę nie pić zwykłej madery, to dla pospólstwa! Mam dla pani specjalną odmianę. – Pochylił się i wyjął butelkę spod stołu. – To najlepsza madera, jaką kiedykolwiek zrobiono!

– Chętnie wypiję kieliszek – powiedziała Jane.

– Dwa poproszę – zwrócił się Amos do Sporta.

Culliver napełnił dwa duże kieliszki i podał im.

– Dwa szylingi poproszę, panie Barrowfield – rzucił, kiedy Jane upiła łyk.

– Co w tym jest, złoty pył? – prychnął Amos.

– Mówiłem panu, że to najlepsza madera na świecie.

Amos zapłacił i spróbował trunku. Był dobry, ale z pewnością nie najlepszy na świecie. Uśmiechnął się do Sporta.

– Gdyby chciał pan kiedyś zostać sprzedawcą tkanin, proszę przyjść do mnie – powiedział.

– To bardzo miłe z pana strony, panie Barrowfield, ale pozostanę przy tym, na czym się znam.

Amos skinął głową. Branża sukiennicza nie była dla Cullivera. Na alkoholu, hazardzie i prostytutce mógł zarobić znacznie więcej.

Opróżnili kieliszki i ruszyli dalej, w stronę lasu. Jane odwróciła się do jakiejś młodej kobiety i Amos dopiero teraz uświadomił sobie, że przez cały czas idzie za nimi dziewczyna, która pewnie pełniła funkcję przyzwoitki.

– Sukey, trochę mi zimno – odezwała się wicehrabina. – Przyniesiesz mi etolę z powozu?

– Tak jest, lady – odparła Sukey.

Jane i Amos zostali całkiem sami.

– Cóż, teraz przynajmniej możesz kupować tyle ubrań, ile tylko zechcesz – powiedział Amos. – Wyglądasz dziś cudownie.

– Mam całe pokoje pełne ubrań, ale gdzie mam je nosić? Ten nędzny festyn wiosenny w Kingsbridge jest najbardziej ekscytującym wydarzeniem towarzyskim, w jakim brałam udział od ostatnich trzech miesięcy. Myślałam, że Henry będzie mnie zabierał na przyjęcia do Londynu. Ha! W ogóle nie byliśmy do tej pory w stolicy. Mój mąż jest zbyt zajęty, milicją, oczywiście.

Amos pomyślał, że Northwood uważa zapewne, że Jane jest zbyt nisko urodzona, by zadawać się z jego arystokratycznymi przyjaciółmi, ale nie powiedział tego głośno.

– Jakieś życie towarzyskie musicie prowadzić – rzucił.

– Bywamy na przyjęciach z oficerami i żonami oficerów – powiedziała lekceważąco. – Nie zostałam przedstawiona komuś choćby daleko spokrewnionemu z rodziną królewską.

To tylko potwierdzało podejrzenia Amosa.

Jane nie została wychowana tak, by brylować wśród arystokratów. Jej ojciec zrezygnował z wysokiego stanowiska w Kościele anglikańskim, by zostać pastorem metodystów, a ona odrzuciła wartości, które jej wpajał.

– Pragniesz niewłaściwych rzeczy – zauważył Amos.

Nie potrafiła pokornie przyjmować krytyki.

– A ty? – spytała gniewnie. – Co robisz ze swoim życiem? Poświęcasz się całkowicie pracy. Żyjesz sam. Zarabiasz pieniądze, ale niezbyt dużo. Jaki to ma sens?

Zastanowił się nad jej słowami. Miała rację. Kiedyś marzył o tym, by przejąć interes ojca, a potem robił wszystko, by spłacić jego dług, ale teraz, gdy osiągnął już oba te cele, wciąż pracował całymi dniami. Tyle że wcale mu to nie ciążyło, wręcz przeciwnie, sprawiało mu satysfakcję.

– Nie wiem, wydaje mi się to całkiem naturalne – odpowiedział.

– Wmówiono ci, że mężczyzna musi ciężko pracować. Ale to nie znaczy, że musi tak być.

– Chodzi nie tylko o to. – Właściwie nigdy tego nie analizował, ale teraz, gdy spytała go o to wprost, znalazł chyba odpowiedź. – Chcę udowodnić, że możemy mieć przemysł bez wyzyskiwania robotników – powiedział. – I że można uczciwie prowadzić interesy.

– Więc za tym wszystkim stoi metodyzm – skwitowała.

– Tak myślisz? Nie wydaje mi się, żeby metodyści mieli monopol na dobroć i uczciwość.

– Myślisz, że jestem nieszczęśliwa, bo wyszłam za niewłaściwego człowieka.

Zaskoczyła go tą nagłą zmianą tematu.

– Nie chcę cię krytykować...

– Ale mam rację, prawda?

– Uważam, że byłabyś szczęśliwsza, gdybyś wyszła za kogoś z miłości – odpowiedział ostrożnie.

– Byłabym szczęśliwsza, gdybym wyszła za ciebie.

Naprawdę potrafiła go zbić z tropu takimi nieoczekiwanymi słowami.

– Nie to miałem na myśli.

– Ale to prawda. Rzuciłam urok na Henry’ego, ale czar prysł. Ty mnie naprawdę kochałeś. Pewnie nadal kochasz.

Rozejrzał się w nadziei, że nikt tego nie słyszał. Dopiero teraz uświadomił sobie, że weszli do lasu i są sami.

Jane wzięła jego milczenie za potwierdzenie.

– Tak myślałam. – Stanęła na palcach i pocałowała go w usta.

Był zbyt zdumiony, by w jakikolwiek sposób zareagować. Stał nieruchomo, jak słup soli, i wpatrywał się w nią z konsternacją.

Zarzuciła mu ręce na szyję i przywarła do niego całym ciałem. Czuł jej piersi, brzuch i biodra.

– Jesteśmy sami – szepnęła. – Pocałuj mnie.

– Tak nie można – odparł z przekonaniem, choć marzył o tej chwili od wielu lat.

– Ależ oczywiście, że można. Wiem, że mnie kochasz. Tylko jeden pocałunek.

– Jesteś żoną Henry’ego.

– Do diabła z Henrym.

Ujął jej ręce w nadgarstkach i zdjął jej dłonie ze swojej szyi.

– Byłoby mi okropnie wstyd, gdybym to zrobił – powiedział.

– To teraz powinieneś się wstydzić – wypaliła.

– Raczej ty, skoro chcesz zdradzić męża w taki sposób.

Odwróciła się i odeszła.

Nawet w tym momencie, gdy tupiała gniewnie, wyglądała nieodparcie kusząco.

Odprowadził ją wzrokiem, myśląc: ależ ze mnie głupiec.

*

Pewnego dnia o ósmej wieczorem, gdy kładli się do łóżka, Jarge powiedział:

– Krążą plotki, że w nowym zakładzie Hornbeama będzie olbrzymia maszyna parowa, napędzająca kilkadziesiąt krosien, i większość z nas, tkaczy, nie będzie

potrzebna, bo jeden człowiek ma obsługiwać cztery mechaniczne krosna.

– Czy to możliwe? – zdziwiła się Sal. – Maszyna parowa może tkąć?

– Nie bardzo wiem jak.

Sal uniosła brwi.

– Słyszałam, że używają takich na północy.

– Trudno mi w to uwierzyć – odparł Jarge.

– Załóżmy, że to jednak prawda – rozmyślała głośno Sal. – Jakie będą konsekwencje?

– Trzy czwarte tkaczy Hornbeama będzie szukać pracy. A ponieważ sytuacja jest, jaka jest, możemy jej nie znaleźć. Ale co możemy z tym zrobić?

Sal na razie nie знаła odpowiedzi. Stała się przywódczynią robotników z Kingsbridge, choć nie miała pojęcia, jak do tego doszło, i nie czuła się też uprawniona do odgrywania takiej roli.

– Robotnicy protestowali kiedyś przeciwko nowym maszynom – powiedział Jarge buntowniczym tonem.

– I byli za to karani.

– To nie znaczy, że powinniśmy pozwalać panom robić z nami, co im się podoba.

– Nie dajmy się ponieść nerwom – rzuciła pojednawczo. – Zanim cokolwiek zrobimy, musimy się dowiedzieć, czy te plotki o mechanicznych krosnach są prawdziwe.

– Jak możemy to zrobić?

– Możemy pójść do tego budowanego zakładu i rzucić okiem. Na miejscu obozują budowniczcy, ale nie będzie ich obchodzić, czy ktoś się tam rozgląda, jeśli nie narobimy żadnych szkód.

– Dobrze. – Jarge skinął głową.

– Pójdziemy w niedzielę po południu – postanowiła Sal.

Kit nigdy nie widział maszyny parowej, ale sporo o nich słyszał i był zafascynowany. Jak para mogła napędzać maszynę? Rozumiał, jak płynąca woda może obracać koło, ale para to tylko powietrze, prawda?

W niedzielę po obiedzie, gdy miał iść ze Sue do szkoły niedzielnej prowadzonej przez Elsie Mackintosh, Sal i Jarge zaczęli szykować się do wyjścia.

- Dokąd się wybieracie? – spytał Kit.
- Idziemy obejrzyć nowy zakład Hornbeama.
- Idę z wami.
- Nie.
- Chcę zobaczyć maszynę parową.
- Niczego nie zobaczysz, bo zakład jest zamknięty.
- Więc po co tam idziecie?

Sal westchnęła ciężko, jak zawsze, gdy syn miał rację, a ona się myliła.

- Rób, co ci każe, i idź do szkoły niedzielnej.

Kit posłusznie wyszedł ze Sue, ale gdy tylko znaleźli się z dala od domu, powiedział:

- Chodźmy za nimi.
- Narobimy sobie kłopotów – odparła Sue, która nie była taka odważna jak on.
- Nie obchodzi mnie to.
- Ja idę do szkoły.
- No to idź.

Obserwował dom zza rogu i schował się, gdy matka i Jarge z niego wyszli, a potem ruszył za nimi, wiedział bowiem mniej więcej, dokąd idą. W niedzielne popołudnia wiele rodzin wychodziło na spacer, więc nie rzucał się w oczy. Było dość chłodno, ale od czasu do czasu przez chmury przebijały się promienie słońca i przypominały wszystkim, że nadchodzi lato.

W zakładach było cicho i Kit słyszał wyraźnie śpiew ptaków, wiatr w drzewach, a nawet szmer rzeki.

W miejscu starej chlewni kilku budowniczych grało w piłkę, podczas gdy inni im się przyglądali. Kit widział, jak matka rozmawia z jednym z nich, człowiekiem o sympatycznej twarzy. Mówiła mu pewnie, że chce się tylko rozejrzeć. Mężczyzna wzruszył ramionami, jakby nie miało to większego znaczenia.

Nowy zakład był wysoki i wąski, zbudowany z takiego samego kamienia jak katedra. Kit obserwował z daleka, jak matka i jej mąż obchodzą budynek, zaglądając do okien.

Domyślał się, że chcą wejść do środka. On też. Wyglądało jednak na to, że wszystkie drzwi i okna na parterze są zamknięte. Lecz kiedy spojrzeli w górę, zorientowali się, że na pierwszym piętrze kilka okien jest otwartych. Kit usłyszał, jak Jarge mówi:

– Widziałem chyba drabinę na tyłach.

Przeszli za budynek, na stronę oddaloną od miejsca, gdzie budowniczcy grali w piłkę. Na ziemi leżała drabina poplamiona wapnem. Jarge podniósł ją i oparł o ścianę. Sięgała okien na piętrze. Gdy wchodził na górę, Sal stała na najniższym szczeblu, by drabina się nie odsunęła.

Jarge zaglądał przez chwilę przez okno do wnętrza budynku, po czym mruknął:

– Niech mnie diabli...

– Co tam widzisz? – spytała zniecierpliwiona Sal.

– Krosna. Tyle że nie potrafię ich zliczyć.

– Możesz wejść do środka?

– Okno jest za małe, nie przecisnę się.

W tym momencie Kit wyszedł zza sterty drewna, za którą ukrywał się do tej pory.

– Ja bym się zmieścił – powiedział.

– Ty łobuzie! – oburzyła się Sal. – Miałeś iść do szkoły niedzielnej!

– Ale mógłby tam wejść – zauważył Jarge. – I otworzyłby od środka drzwi.

– Powinnam sprawić mu lanie – burknęła Sal.

Jarge zszedł na ziemię.

– Włóż tam, Kit – rzucił. – Potrzymam ci drabinę.

Chłopiec wspiął się i wszedł przez okno do budynku. Stał prosto i rozejrzał się zdumiony. Nigdy nie widział tylu krosien w jednym miejscu. Chciał się dowiedzieć, jak działają, pamiętał jednak, że najpierw powinien wpuścić mamę i Jarge'a. Zbiegł na parter i znalazł drzwi, zamknięte od środka na zasuwę, a nie na klucz. Otworzył je, odsunął się na bok, by przepuścić Jarge'a i Sal, i natychmiast je zamknął.

Maszyna parowa znajdowała się właśnie tutaj, na parterze.

Przyglądał się jej w niemym podziwieniu, oszołomiony rozmiarami urządzenia i zaklętą w nim mocą. Gdy zajrzał do ogromnego paleniska, domyślił się też, że pojemnik na górze to kocioł, w którym woda zamienia się w parę. Gorąca para przepływała przez grubą rurę do cylindra, w którym najwyraźniej coś poruszało się w górę i w dół, bo jego górna część była połączona z belką wyglądającą jak szala olbrzymiej wagi. Kiedy jeden jej koniec podnosił się, drugi opadał, i odwrotnie: kiedy opadał, przeciwny koniec się unosił. W ten sposób belka obracała wielkie koło.

Dalej wszystko wyglądało zapewne tak, jak w maszynie zasilanej przez koło młyńskie.

Najbardziej zdumiewające wydawało się Kitowi to, że para miała dość mocy, by wprawiać w ruch ciężki mechanizm z metalu i drewna.

Sal i Jarge wyszli na górę, a Kit pospieszył za nimi. W hali na piętrze stały krosna ustawione w czterech rzędach, wszystkie lśniące nowością. Kit domyślił się, że maszyna parowa porusza umieszczonym pod sufitem wielkim wałem, połączonym ze wszystkimi krosnami pasami napędowymi.

– Nic z tego nie rozumiem – oznajmił Jarge, który rozglądał się zdumiony, drapiąc się po głowie.

– Pociągnij za ten pas i zobacz, co się stanie – poradził mu Kit.

Jarge spojrział na niego z powątpiewaniem, ale posłusznie pociągnął za pas.

Początkowo nic się nie działo, ale po chwili krosno głośno zaklekotało i jedna z nicielnic podniosła się. Gdyby w krośnie była przędza, nicielnica podniosłaby co drugą nić osnowy, otwierając przesmyk tkacki.

Potem rozległ się głośny trzask, gdy czółenko przesunęło się z jednej strony krosna na drugą.

Kit dostrzegł mechanizm umieszczony z tyłu maszyny: system kółek zębatach i prętów, które nią sterowały.

– To wszystko działa, jak należy, tylko bez tkacza! – odezwał się zdumiony Jarge.

Rozległ się kolejny trzask i w głąb przesmyku wsunęło się bidło, które dosuwało wątek do krawędzi tkaniny. Zaraz potem jedna warstwa nitek osnowy opadła, a druga się podniosła. Czółenko wróciło na pierwotną pozycję, a bidło uderzyło ponownie.

Potem cały proces się powtórzył.

– Zaraz, skąd to wie, co ma robić? – spytał Jarge. W jego głosie pobrzmiwała nuta zabobonnego strachu, gdy dodał: – Jakiś diabeł musi sterować tą maszyną.

– To mechanizm – odparł Kit. – Jak w zegarze.

– Jak w zegarze – mruknął jego ojczym. – Nigdy nie rozumiałem, jak działają zegary.

Kit również był zdumiony, ale z innego powodu.

– Wszystkie te krosna będą działać razem, napędzane przez maszynę parową! – zawołał.

– W tym musi być coś więcej niż para. – Jarge był wystraszony.

– Założę się, że nie potrafią wyprodukować porządnej gładkiej tkaniny – wtrąciła Sal.

Kit już dawno zauważył, że robotnicy zawsze twierdzą, że w maszynach kryje się szatan i że nigdy nie będą równie sprawne jak rzemieślnicy. Uważał, że nie mają racji.

– Hornbeam to bydlak, ale nie wyrzuca pieniędzy w błoto – dodała zamyślona Sal. – Jeśli te maszyny rzeczywiście działają...

– Jeśli te maszyny rzeczywiście działają, to po co być tkaczem? – dokończył za nią Jarge.

– Nie wolno na to pozwolić – mruknęła. – Ale co możemy zrobić?

– Zniszczyć te maszyny – odparł jej mąż. – Dla Hornbeama pracuje około stu tkaczy. Jeśli wszyscy przyjdą tu z młotkami, to kto ich powstrzyma?

A potem wszystkich wywiozą do Australii, jak Joanie, pomyślał Kit.

– Wiecie co? – rzuciła Sal. – Wolałabym najpierw porozmawiać o tym ze Spade'em. Zobaczmy, co on będzie miał do powiedzenia.

Spade na pewno będzie miał jakiś lepszy pomysł niż rozbicie tych maszyn, przemknęło przez głowę Kita.

*

Sal wysłała syna do szkółki niedzielnej.

– Zdązysz jeszcze na zupę – powiedziała. Zakładała, że rozmowa ze Spade'em będzie dotyczyć działań, jakie muszą podjąć przeciwko pracodawcom, a nie chciała, by Kit tego słuchał. Chłopiec był nieprzeciętnie bystry, ale za młody, żeby można mu było całkowicie zaufać.

Spade właśnie kończył obiad, więc na stole w jego pokoju leżały chleb i ser. Namawiał gości, by się poczęstowali, i Jarge chętnie skorzystał z zaproszenia. Sal opowiedziała pokrótce o tym, co widzieli w nowym zakładzie Hornbeama.

– Słyszałem różne plotki – mruknął Spade, gdy skończyła. – Teraz wiem, że to prawda.

– Pytanie, co z tym zrobimy – rzuciła Sal.

– Zniszczymy maszyny – wybełkotał Jarge z ustami pełnymi sera i chleba.

– To ostateczność – zaznaczył Spade.

– A co innego możemy zrobić?

– Moglibyście założyć związek, stowarzyszenie robotników.

Sal skinęła głową. Zastanawiała się już nad czymś takim, ale tylko bardzo ogólnie, bo właściwie nie wiedziała, czym są związki i czym się zajmują.

– I co by to zmieniło? – spytał Jarge.

– Po pierwsze, wszyscy robotnicy działaliby razem, więc stanowiliby większą siłę niż każdy z nich w pojedynkę.

Dotąd Sal nie myślała o tym w ten sposób, ale teraz wydało jej się to oczywiste.

– A potem co?

– Przekonacie się, czy właściciel zechce z wami rozmawiać i jak bardzo jest zdeterminowany.

– A jeśli będzie obstawał przy swoim planie?

– Co zrobiłby Hornbeam, gdyby żaden z jego tkaczy nie pojawił się w pracy?

– Strajk! – wykrzyknął Jarge. – Podoba mi się ten pomysł.

– W innych miastach kraju dochodzi do nich coraz częściej – oznajmił Spade.

Sal powoli skinęła głową.

– A z czego żyją strajkujący, skoro nie zarabiają?

– Musicie zbierać pieniądze wśród innych robotników. Prosić o pół i ćwierćpensówki na rynku. Ale nie będzie to łatwe. Tkacze musieliby zacisnąć pasa.

– Ale Hornbeam nic by w tym czasie nie zarabiał.

– Traciłby pieniądze każdego dnia. Słyszałem, że zaciągnął dużą pożyczkę w banku Thomson's Kingsbridge na budowę tego zakładu. Pamiętajcie, że płaci od niej odsetki.

– Mimo wszystko tkaczom zabraknie jedzenia wcześniej niż Hornbeamowi. – Sal westchnęła.

– Wtedy zniszczymy maszyny – wtrącił Jarge.

– To jak wojna: początkowo obie strony są pewne, że wygrają. Lecz jedna z nich się myli – wyjaśnił Spade.

– No dobrze, gdybyśmy rzeczywiście mieli to zrobić, jak wyglądałby pierwszy krok? – spytała Sal.

– Porozmawiajcie z innymi tkaczami – odparł Spade. – Sprawdźcie, czy są gotowi do walki. Jeśli uznacie, że macie wystarczające poparcie, wynajmijcie salę i zwołajcie zebranie. Wiesz, jak to zorganizować, Sal.

Chyba tak, pomyślała. Choć nie mam zbyt wiele wolnego czasu, skoro pracuję po czternaście godzin dziennie i opiekuję się dwójką dzieci. Wiedziała jednak, że musi podjąć to wyzwanie. Zbyt długo już wzbierał w niej gniew wywołany tym, jak traktuje się ludzi takich jak ona w ich własnym kraju. Teraz miała szansę, by coś z tym zrobić. Nie mogła jej odrzucić.

Ludzie twierdzący, że świat się nigdy nie zmieni, byli w błędzie. Anglia zmieniała się w przeszłości, o czym nieraz mówił jej ojciec – z katolickiej na protestancką, z monarchii absolutnej na monarchię parlamentarną – więc mogła się zmienić po raz kolejny, jeśli ludzie tacy jak ona będą się tego domagać.

– Tak – odpowiedziała w końcu. – Wiem, jak to zorganizować.

*

Spade lubił siostrę, ale nie na tyle, by z nią mieszkać. Kate dzieliła dom z Rebeccą, a on miał pokój w magazynie. Żyli osobno, ale pozostawali w bardzo bliskich stosunkach. Znali nawzajem swoje sekrety.

We wtorek o jedenastej przed południem wszedł do domu tylnymi drzwiami. Stał przez chwilę przy wejściu, nasłuchując. Słyszał kobiece głosy. Kate i Rebecca często się kłóciły, ale tym razem brzmiało to jak spokojna rozmowa. Odczekał chwilę, by się upewnić, że nie towarzyszy im jakaś klientka, po czym zapukał do drzwi i zajrzał do środka.

– Można? – spytał.

– Można – odparła Kate z uśmiechem.

Zamknął drzwi, wspiął się na piętro i wszedł do jednej z sypialni.

Arabella leżała na łóżku.

Była naga.

Ależ ze mnie szczęściarz, pomyślał.

Zamknął drzwi na klucz, odwrócił się i uśmiechnął szeroko.

– Chciałbym mieć taki obraz – powiedział.

– Broń Boże.

Usiadł na krześle i zdjął buty.

– Sam mógłbym cię namalować. Kiedy byłem dzieckiem, sporo rysowałem.

– A gdyby ktoś zobaczył ten obraz? Całe miasto natychmiast by się o tym dowiedziało.

– Schowałbym go w specjalnej skrytce, wyjmował w nocy i oglądał przy świecach. – Zdjął kaftan, kamizelkę i spodnie. – A ty nie chciałabyś mieć mojego portretu?

– Nie, dziękuję. Wolę cię w naturze.

– Nigdy nie byłem szczególnie urodziwy.

– Lubię cię dotykać.

– Więc wolałabyś rzeźbę?

– Tak, naturalnej wielkości, ze wszystkimi szczegółami.

– Jak ten słynny włoski posąg?

– Masz na myśli *Dawida* Michała Anioła?

– Ty to powiedziałaś...

– Na pewno nie. Ma pomarszczonego maleńkiego ptaszka.

– Może modelowi było zimno.

– Mój posąg miałby twojego wielkiego, grubego kutasa.

– I gdzie ukryłabyś to dzieło sztuki?

– Pod łóżkiem, oczywiście. I co jakiś czas bym je wyjmowała, jak ty swój obraz.

– I co byś robiła, patrząc na to arcydzieło?

Wsunęła dłoń między nogi i zaczęła nią poruszać.

– To.

Spade położył się obok niej.

– Na szczęście dziś masz do dyspozycji oryginał.

– O tak... – mruknęła, wsuwając się na niego.

Byli kochankami od trzech lat, od czasu balu na cześć sędziego z Londynu. Spotykali się zwykle w zakładzie Kate. Łączyła ich szczerą miłość, ale nie mogli się pobrać, więc czerpali z tego związku tyle szczęścia, ile tylko mogli. Spade nie miał szczególnych wyrzutów sumienia. Nie mógł uwierzyć, że Bóg obdarzył swoje dzieci niepohamowanym pożądaniem, a potem torturował je frustrującym niespełnieniem. Wydawało się, że Arabella w ogóle nie ma rozterek.

Byli dyskretni. Jak dotąd nikt nie odkrył ich tajemnicy i Spade miał nadzieję, że tak pozostanie już na zawsze.

– Wiesz, że nigdy wcześniej taka nie byłam – powiedziała Arabella, kiedy już oboje leżeli zdyszani na plecach. – To, jak z tobą rozmawiam... co z tobą robię...

– Zaskoczyłaś samą siebie. – Zaskoczyła i jego. Był od niej młodszy, należał do niższej klasy społecznej, a ona miała męża. – Skąd znasz te słowa? – spytał.

– Usłyszałam je od dziewcząt, kiedy byłyśmy młode. Ale nigdy nie wypowiadałam ich przy mężczyźnie... dopóki nie poznałam ciebie. Czuję się tak, jakbym spędziła większość życia w więzieniu, z którego ty mnie wypuściłeś.

– Cieszę się, że to zrobiłem.

– Muszę ci coś wyznać. – Arabella spoważniała.

– To będzie dobra czy zła wiadomość?

– Chyba zła, choć prawdę mówiąc, ja wcale tego nie żałuję.

– Intrygujące!

– Jestem w ciąży.

– Dobry Boże!

– Pewnie myślałeś, że jestem zbyt stara. Spokojnie, możesz się przyznać. Sama tak sądziłam. Mam czterdzieści pięć lat.

Miała rację, przypuszczał, że nie może już mieć dzieci, ale najwyraźniej nie wszystkie kobiety zmieniają się tak samo.

– Jesteś zły? – spytała.

- Oczywiście, że nie.
- Więc co?
- Nie obraż się...
- Spróbuję.
- Cieszę się... Bardziej, niż potrafię to wyrazić. Jestem zachwycony.
- Naprawdę? – zdumiała się. – Dlaczego?

– Przez szesnaście lat zadręczałem się myślą, że moje dziecko umarło, nim zdążyło się urodzić. Teraz Bóg daje mi kolejną szansę, bym został ojcem. Jestem wniebowzięty.

Objęła go i mocno przytuliła.

- Tak się cieszę...

Spade sycił się tym radosnym nastrojem tak długo, jak tylko mógł, w końcu jednak musiał stawić czoło problemom, które niosła ze sobą ta nowa sytuacja.

- Nie chcę, żebyś miała kłopoty – powiedział.

– Nie spodziewam się większych kłopotów. Ludzie będą zbyt zajęci gadaniem o moim wieku, żeby się zastanawiać, kim jest ojciec.

Jej mina świadczyła jednak o tym, że Arabella martwi się bardziej, niż to okazywała.

- A co powiesz biskupowi? – spytał. – Ty i on nie...
- Co najmniej od dziesięciu lat.
- Ale pewnie mogłabyś to jakoś zaaranżować...

Wydawała się zniesmaczona.

- Nie wiem, czy on jeszcze w ogóle jest w stanie...
- Więc...
- Nie wiem. – Bała się, Spade widział to teraz wyraźnie.
- Będziesz musiała mu coś powiedzieć.
- Tak – odparła ponuro. – Pewnie tak.

Tydzień później Sal, Jarge i Spade usiedli przy stole U Bella.

– Hornbeam chce się z wami spotkać – oznajmił Spade.

– Ze mną też? – zdziwiła się Sal. – Ja nie grożę mu strajkiem.

– On ma szpiegów, więc wie, że pomagasz Jarge’owi. A zięć, Will Riddick, przekonał go już, że jesteś diabłem w ciele kobiety.

– Dziwię się, że w ogóle chce ze mną rozmawiać.

– Wolałby tego nie robić, ale przekonałem go.

– Jak ci się to udało? – spytała Sal.

– Powiedziałem mu, że prawie wszyscy jego pracownicy wstąpili do twojego związku.

Co nie było prawdą. Do związku przystąpiła na razie mniej więcej połowa pracowników, ale stało się to w ciągu tygodnia i liczba członków stale rosła.

Sal była zachwycona tym sukcesem, lecz obawiała się spotkania z Hornbeamem twarzą w twarz. Wiedziała, że jest pewny siebie, potrafi prowadzić spory i zastraszać robotników. Jak mogłaby mu się przeciwstawić? Ukryła te emocje pod sarkastyczną uwagą:

– Jakież to uprzejme z jego strony, że zechciał się zniżyć do mojego poziomu.

– Nie jest taki sprytny, jak mu się wydaje – odparł z uśmiechem Spade. – Inaczej próbowałby zyskać w tobie przyjaciółkę.

Podobał jej się sposób rozumowania Spade’a. Zawsze starał się unikać sporów i szukać drogi porozumienia.

– Powinnam zaprzyjaźnić się z Hornbeamem? – spytała.

– Nigdy nie spoufaliłby się z robotnicą. Ale może uda ci się go rozbroić.

Możesz powiedzieć, że macie ten sam problem.

Sal pomyślała, że to dobre rozwiązanie, lepsze niż bezpośredni atak.

Przy stole pojawił się gospodarz.

– Co zamawiacie, Spade? – spytał.

– Nic, dziękuję. Musimy iść.

– Chce się zobaczyć z nami już teraz? – zdumiała się Sal.

– Tak. Jest w ratuszu i chce porozmawiać, zanim pójdzie do domu na kolację.

– Nie wzięłam swojego najlepszego kapelusza! – powiedziała.

Spade parsknął śmiechem.

– On z pewnością też nie – zauważył.

– No dobrze. – Sal westchnęła, wstając od stołu.

Spade i Jarge również się podnieśli.

– Pójdę z wami, jeśli chcecie – zaproponował Spade. – Hornbeam pewnie też nie będzie sam.

– Tak, proszę – odparła Sal.

– Ale musicie mówić sami. Jeśli będę się wtrącał, Hornbeam uzna, że robotnicy są słabi.

Skinęła głową, bo musiała się z nim zgodzić.

Przeszli w górę Main Street, od Bella do ratusza. Hornbeam czekał na nich z córką w wielkim pomieszczeniu, które służyło za salę zebrań oraz sądową. Był też Will Riddick. Obecność dwóch sędziów pokoju wzbudziła niepokój Sal. W każdej chwili mogliby ją postawić w stan oskarżenia. Strach ścisnął ją za gardło; obawiała się, że nie zdoła wydobyć z siebie głosu. Pomyślała, że właśnie o to chodziło Hornbeamowi. Chciał, by czuła się słaba i bezradna. Widziała, że Jarge jest jeszcze bardziej zdenerwowany. Powinna jednak zwalczyć tę słabość. Musiała być silna.

Hornbeam stał przy końcu długiego stołu, wokół którego zasiadali podczas zebrań radni miejscy, co zapewne miało stanowić jeszcze jeden symbol jego wyższości nad takimi jak Sal. Co mogła zrobić, by poczuć, że są sobie równi?

Gdy tylko zadała sobie to pytanie, odpowiedź nasunęła jej się sama. Nim Hornbeam zdążył się odezwać, powiedziała:

– Usiądźmy, dobrze? – I odsunęła krzesło.

Był kompletnie zaskoczony. Jak zwykła robotnica śmiała zapraszać sukiennika do zajęcia miejsca przy stole? Deborah usiadła jednak i Sal odniosła wrażenie, że młoda kobieta z trudem skrywa uśmiech.

Hornbeam również usiadł.

Sal pomyślała, że powinna utrzymać inicjatywę, i powiedziała:

– Pan i ja mamy ten sam problem – zaczęła, pamiętając o sugestii Spade’a.

Sukiennik spojrział na nią wyniośle.

– A jakiż to problem mógłbym z tobą dzielić?

– W pana nowym zakładzie są krosna napędzane maszyną parową.

– Skąd możesz o tym wiedzieć? Wtargnęłaś na teren mojej posiadłości?

– Żadne prawo nie zabrania zaglądania przez okna – odparła cierpko Sal. –

Temu służy szkło.

Usłyszała, jak Spade chichocze pod nosem, i pomyślała: dobrze sobie radzę.

Hornbeam był wyraźnie zaniepokojony. Nie spodziewał się, że będzie tak elokwentna, a nawet dowcipna.

Głos zabrał Will Riddick i od razu przeszedł do ataku.

– Słyszeliśmy, że założyłaś związek.

– Tego też nie zabrania żadne prawo.

– A powinno.

– Ilu spośród pana tkaczy zachowa pracę, kiedy przeniesie się pan do Świńskiego Zakładu? – zwróciła się do sukiennika.

– To miejsce nazywa się Zakładem Hornbeama.

Być może miał rację, ale wszyscy używali nazwy Świński Zakład. Wydawało się, że ten szczegół okropnie go złości.

– Ilu? – powtórzyła pytanie.

– To moja sprawa.

– Jeśli tkacze zastrajkują, to też będzie pana sprawa.

– Będę robił ze swoją własnością to, co uważam za stosowne.

Nieoczekiwanie głos zabrała Deborah.

– Panie Box, pracuje pan w zakładzie mojego ojca – powiedziała, spoglądając na Jarge’a.

Więc w końcu to do nich dotarło, pomyślała Sal.

– Możecie mnie zwolnić, jeśli chcecie – odparł Jarge. – Jestem dobrym tkaczem, znajdę pracę gdzie indziej.

– Chciałabym się jednak dowiedzieć, czego oczekuje pan po tym spotkaniu. Z pewnością nie przypuszcza pan, że mój ojciec zrezygnuje z uruchomienia nowego zakładu i maszyny parowej.

Ciekawe, córka jest rozsądniejsza od ojca, pomyślała Sal.

– Owszem, tak właśnie sądziłem – rzucił Jarge wyzywającym tonem.

– Martwimy się przede wszystkim o to, by tkacze nie zostali bez pracy z powodu maszyny parowej – wtrąciła Sal.

– Co za idiotyzm! – prychnął Hornbeam. – Przecież właśnie o to chodzi, by maszyna parowa zastąpiła tkaczy.

– W takim razie proszę spodziewać się kłopotów – oświadczyła Sal.

– Grozisz mi?

– Próbuję uświadomić panu, jak wygląda rzeczywistość, ale pan mnie nie słucha. – Była zdumiona pogardą, którą usłyszała we własnym głosie. Wstała, po raz kolejny zaskakując Hornbeama, bo zwykle to on kończył spotkania. – Do widzenia.

Wyszła z sali, a Jarge i Spade ruszyli za nią.

– Byłaś po prostu świetna! – pochwalił ją Spade, gdy znaleźli się już na zewnątrz.

Sal nie przejmowała się już tym, jak wypadła.

– On jest uparty jak osioł, prawda? – powiedziała.

– Niestety, tak.

– Więc trzeba będzie zorganizować strajk.

– Niech tak będzie. – Spade skinął głową.

ROZDZIAŁ 20

W ogrodzie Arabelli krzew róży gęstokolczastej – która zawsze zakwitała jako pierwsza – okrył się warstwą śnieżnobiałych kwiatów o żółtych środkach. Elsie wczesnym rankiem siedziała na drewnianej ławce, wdychając chłodne, wilgotne powietrze; na kolanach trzymała dwuletniego syna, Stewiego. Chłopiec miał rude włosy, które odziedziczył zapewne po babce, a nie po ciemnowłosej mamie. Przyglądali się Arabelli, która klęczała w fartuchu na ziemi, wrywała chwasty i wrzucała je do koszyka. Uwielbiała swój różany ogród. Wydawało się, że odkąd zaczęła go pielęgnować, jest szczęśliwsza – bardziej energiczna, a zarazem spokojniejsza.

Stevie otrzymał imię – Stephen – po dziadku biskupie. Elsie w skrytości ducha miała nadzieję, że nazwie go Amos, nie znalazła jednak żadnego przekonującego argumentu, który usprawiedliwiłby taki wybór. Teraz Stevie wiercił się w jej objęciach, bo koniecznie chciał pomóc babce. Elsie postawiła go więc na ziemi i chłopczyk natychmiast podreptał do Arabelli.

– Nie dotykaj krzewów, mają kolce – ostrzegła go Elsie, na co syn natychmiast złapał za gałązkę róży, ukłął się, rozplakał i wrócił biegiem do mamy. – Powinieneś słuchać mamusi!

– Choć mamusia nigdy nie słuchała rodziców – dopowiedziała cicho Arabella.

Elsie parsknęła śmiechem, bo rzeczywiście była nieposłusznym dzieckiem.

– Co słyszeć w twojej szkole? – spytała ją matka.

– Och, to naprawdę niesamowite. – Elsie ożywiła się. Nie była to już szkółka niedzielna. Wszystkie dzieci pracujące w zakładzie Hornbeama strajkowały, więc udzielała im lekcji codziennie. Rodzice wysyłali je do szkoły z powodu darmowego obiadu. – To dla nas ogromna szansa – ciągnęła z entuzjazmem. – Tylko teraz

dzieci mogą liczyć na normalną edukację, więc musimy to jak najlepiej wykorzystać. Bałam się, że ludzie, którzy mnie wspierają, powiedzą, że to za dużo pracy, ale wszyscy stanęli na wysokości zadania, niech im Bóg błogosławi. Pastor Midwinter uczy je codziennie. – Elsie zamilkła na moment, po czym dodała: – Mamo, jestem pewna, że będę miała drugie dziecko.

– Cudownie! – Arabella odłożyła rydel, wstała i uściskała córkę. – Może tym razem to będzie dziewczynka. Byłoby miło, prawda?

– Tak, choć to nie ma większego znaczenia.

– Jakie imię dałabyś dziewczynce?

– Arabella, oczywiście.

– Twój ojciec może wolałby Marthę. Tak miała na imię jego matka.

– Nie będę się z nim spierać – odparła Elsie. – A przynajmniej nie o to.

Arabella ponownie uklękła i zajęła się plewieniem. Była w refleksyjnym nastroju.

– Wygląda na to, że to bardzo płodna wiosna – mruknęła.

Córka nie do końca zrozumiała, co matka ma na myśli.

– Jedna ciąża nie oznacza jeszcze, że to bardzo płodna wiosna.

– Och! – Arabella była dziwnie zakłopotana. – Miałam na myśli ogród.

– Białe róże pięknie rozkwitły w tym roku.

– Właśnie o tym myślałam.

Elsie czuła, że matka coś przed nią ukrywa. Właściwie ostatnimi czasy coraz częściej miała takie wrażenie. Kiedyś o wszystkim sobie mówiły. Arabella wiedziała o niespełnionej miłości córki do Amosa, lecz sama stała się dziwnie skryta. Elsie zastanawiała się dlaczego.

Nim mogła ją o to spytać, pojawił się Kenelm, umyty, ogolony i pełen energii.

Elsie i jej mąż wciąż mieszkali w pałacu. Mieli tu mnóstwo miejsca i mogli się cieszyć wygodami, jakich Kenelm z pewnością by im nie zapewnił, wynajmując dom za pensję pomocnika biskupa.

W ciągu trzech lat małżeństwa Elsie zdążyła się przekonać, że mąż jest niezwykle pracowity. Wykonywał zadania, które zlecał mu jej ojciec, starannie i szybko, więc biskup po prostu nie mógł się go nachwalić. Kenelm co wieczór klękał przy łóżku syna i odmawiał z nim modlitwę, choć poza tym właściwie z nim nie rozmawiał. Elsie widziała, jak inni ojcowie bawią się ze swoimi dziećmi, podrzucają je i łapią, a te piszczą z radości, lecz jej mąż uważał, że takie zachowanie jest poniżej jego godności. Do ich pożycia podchodził jak do kolejnego obowiązku i wywiązywał się z niego sumiennie i regularnie – raz w tygodniu, w sobotę wieczorem. Oboje czerpali z tego przyjemność, choć zawsze wyglądało to tak samo.

Głównym powodem, dla którego żywiła ciepłe uczucia do męża, był jednak chłopczyk, który siedział teraz na jej kolanach. Kenelm dał jej Stewiego i dziecko, które teraz rosło w jej łonie. Tymczasem Amos wciąż miał obsesję na punkcie Jane. Elsie widziała ich na wiosennym festynie, pogrążonych w rozmowie. Jane była wystrojona jak na bal i miała niepotrzebną parasolkę, a Amos chłonał każde jej słowo, jakby z ust Jane spływały same perły mądrości. Gdyby Elsie liczyła na wzajemność Amosa, wciąż byłaby bezdzietną panną. Pocałowała Stewiego w czubek rudej głowy, niezmiernie szczęśliwa, że go ma.

Choć w sobotnie wieczory wciąż myślała o Amosie.

Kenelm uklonił się teściowej.

– Biskup przesyła pani poranne pozdrowienia i pragnie panią poinformować, że służba podaje właśnie śniadanie – powiedział.

– Dziękuję – odparła Arabella, wstając z kolan.

Wszyscy weszli do domu. Elsie zaprowadziła Stewiego do pokoju dziecięcego i przekazała go opiekunce. Śniadanie zjadła już wcześniej, więc teraz włożyła tylko kapelusz i wyszła do szkoły.

W ciągu tygodnia nie mogła prowadzić zajęć w Salach Zgromadzeń, ale udało jej się tanio wynająć stary budynek na południowo-zachodnich przedmieściach zwanych Fishponds. Zwykle na lekcje przychodziło co najmniej pięćdziesięcioro

dzieci. Te, które nie uczęszczały wcześniej do szkółki niedzielnej, nie miały żadnej wiedzy i nauczyciele musieli je uczyć wszystkiego od podstaw: alfabetu, prostych działań arytmetycznych, Modlitwy Pańskiej, jedzenia nożem i widelcem.

Elsie stała obok pastora Midwintera i obserwowała z zadowoleniem dzieci schodzące się do szkoły, roześmiane i trajkoczące jak przekupki, wychudłe i obszarpane, w większości bez butów, spragnione wiedzy tak, jak pustynia jest spragniona deszczu. Było jej żal ludzi, którzy przez całe życie zajmowali się tylko tkaniem; nigdy nie było im dane poznać tej radości.

Dziś uczyła najstarsze dzieci, nad którymi zwykle najtrudniej było jej zapanować. Najpierw zajęła je prostymi rachunkami: bułeczka z rodzynkami kosztuje pół pensa, więc ile bułeczek kupią za sześć pensów? Potem uczyła je zapisywać własne imiona i nazwiska oraz imiona kolegów. Po przerwie uczyła je na pamięć psalmu i opowiedziała historię o Jezusie chodzącym po wodzie. Zaczęli się niecierpliwić dopiero na ostatniej godzinie, gdy budynek wypełnił się zapachem zupy z serem.

Amos pojawił się w porze obiadu, jak zawsze nieskazitelnie elegancki. Tym razem miał na sobie ciemnoczerwony kaftan, który zachwyił Elsie. Pomógł w rozdawaniu posiłku, a potem oboje wzięli po misce zupy i usiedli z boku, by spokojnie porozmawiać. Elsie oparła się pokusie pogłaskania jego ciemnych kręconych włosów; pamiętała też, by nie spoglądać w jego brązowe oczy. Marzyła o tym, by spać u jego boku i budzić się przy nim każdego ranka, wiedziała jednak, że to marzenie nigdy się nie spełni. Została jej przynajmniej przyjaźń, za co była wdzięczna losowi.

Spytała go o strajk.

– Hornbeam nie chce negocjować – odpowiedział. – I nie zamierza zmienić planów.

– Przecież jego zakład nie może funkcjonować bez robotników.

– To oczywiste. Ale on uważa, że przetrzyma strajkujących. „Wrócą do mnie na kolanach i będą błagać, żebym przyjął ich z powrotem”, tak właśnie mówi.

– Myślisz, że ma rację?

– Może. Ma większe zasoby niż robotnicy. Choć oni też mają pewne środki. O tej porze roku w lasach roi się od młodych królików i ptaków; wystarczy tylko wiedzieć, jak je złapać. Nie brakuje też jadalnych roślin: gwiazdnic, owoców głogu, liści lipy, malwy czy szczawiu.

– Marna dieta.

– Owszem. I niektórzy sięgają po mniej uczciwe sposoby na zapewnienie sobie bardziej dostatniego życia. Lepiej nie chodzić teraz po zmroku z sakiewką pełną pieniędzy.

– Co ty mówisz?

– Nie przejmuj się. Jesteś chyba jedyną zamożną osobą w mieście, której nikt by nie obrabował. Karmisz ich dzieci. Uważają cię za świętą.

Tylko że święta kochałaby męża, a nie innego mężczyznę, pomyślała Elsie.

– Prawdę mówiąc, nikt nie wie, jak to się skończy – powiedział Amos. – W niektórych miastach wygrali strajkujący, a w innych właściciele.

Popołudniowe zajęcia trwały krócej, więc Elsie zdążyła wrócić do domu na tyle wcześniej, by podać Steviemu podwieczorek: tost z masłem. Potem przeszła do salonu, by wypić herbatę z matką.

Kilka minut później dołączył do nich biskup. Wyraźnie coś go dręczyło, bo kręcił się nerwowo na krześle.

– Byłaś ostatnio na zakupach, kochanie? – spytał, gdy Arabella podała mu filiżankę.

– Tak.

– Zdaje się, że upodobałaś sobie zakład Kate Shoveller.

– Jest najlepszą krawcową w Kingsbridge, a może nawet w całym hrabstwie Shiring.

– Z pewnością. – Wrzucił bryłkę cukru do herbaty i mieszał dłużej, niż było to konieczne. – Wciąż jest panną? – spytał w końcu.

– O ile mi wiadomo, tak – odparła Arabella. – Dlaczego o to pytasz?

Elsie również była ciekawa, do czego zmierza ojciec.

– To trochę dziwne, gdy zdrowa kobieta po trzydziestce wciąż jest panną, nie uważasz?

– Prawdę mówiąc, nie wiem, co w tym dziwnego.

– Człowiek zastanawia się...

– Małżeństwo nie jest dla każdego – wtrąciła się Elsie. – Niektóre kobiety nie chcą być niewolnicami mężów, i to do końca życia.

Biskup był zszokowany.

– Niewolnicami? Moja droga! Małżeństwo to święty sakrament.

– Ale nie jest obowiązkowy, prawda? Święty Paweł mówi, że lepiej jest żyć w małżeństwie, niż spłonąć, co raczej nie zachęca do zamążpójścia.

– Mówisz tak, jakbyś nie była zadowolona ze swojego losu.

– Mama i ja mamy wyjątkowe szczęście, jeśli chodzi o dobór mężów – powiedziała Elsie.

Biskup nie był wcale pewien, czy córka nie kpi.

– Dobrze, że tak uważacie – rzucił bez przekonania. – Tak czy inaczej... za strajkiem robotników stoi brat panny Shoveller. Ciekawe, czy o tym wiedziałyście.

– Myślałam, że to Sal Box zorganizowała strajk – odparła córka.

– To kobieta. Mózgiem jest Spade.

Elsie uznała, że nie ma sensu dyskutować z założeniem, że kobieta nie może zorganizować tego rodzaju akcji.

– Dlaczego Spade miałby wspierać strajk robotników? – spytała. – Sam jest sukiennikiem, choć czasami wciąż pracuje przy krośnie.

– Dobre pytanie. Nawet zastanawialiśmy się, czy nie mianować go radnym, ale jego zachowanie jest co najmniej osobliwe. Tak czy inaczej, Arabello, proszę, byś nie spoufalala się zanadto z panną Shoveller. Nie chciałbym, żeby moja żona była kojarzona z takimi ludźmi.

Elsie była pewna, że matka sprzeciwi się temu zakazowi, lecz Arabella przyjęła go z zaskakującą pokorą.

– Oczywiście, że nie będę tego robić – obiecała. – Nawet nie musiałeś o tym wspominać.

– Miło mi to słyszeć. Przepraszam, że w ogóle podniosłem ten temat.

– Nie ma za co przepraszać.

Elsie była pewna, że ta oficjalna rozmowa ma drugie dno. Przypuszczała, że chodzi o przyjaciółkę Kate Shoveller, Rebeccę. Słyszała kiedyś, jak znajome mówiły o kobietach, które kochały kobiety, a nie mężczyzn, choć nie rozumiała do końca, co to może oznaczać: w grę wchodziła przecież kwestia anatomii. Ale kobiety przymierzające nowe ubrania rozbierały się w pokojach nad zakładem krawieckim Kate. Czy ojciec słyszał jakieś absurdalne plotki sugerujące, że jego żona ma z tym coś wspólnego?

Biskup dopił herbatę i wrócił do swojego gabinetu.

– Co to wszystko miało znaczyć? – spytała Elsie.

Arabella prychnęła lekceważąco.

– Twojego ojca najwyraźniej coś ugryzło, choć nie mam pojęcia, o co mu właściwie chodzi.

Elsie nie do końca w to uwierzyła, nie zamierzała jednak drażnić tematu. Poszła na górę, by pomóc opiekunce ułożyć Steviego do snu. Potem przyszedł Kenelm, by odmówić z synem modlitwę. Właśnie wtedy do pokoju zajrzała pokojówka Mason.

– Proszę pani, biskup prosi, żeby przyszła pani do jego gabinetu.

– Czego może chcieć twój ojciec? – spytał Kenelm.

– Nie wiem – rzuciła Elsie.

– Są u niego radny Hornbeam i pan Riddick – dodała Mason.

Kenelm uniósł brwi.

– Czy biskup nie prosił, żebym ja również przyszedł?

– Nie, wielebny.

Zirytowało go to. Nie cierpiał, gdy wykluczano go z czegokolwiek. Bardzo źle znosił wszelkiego rodzaju odrzucenie, bo czuł się lekceważony, upokorzony

i niedoceniony. Elsie mówiła mu wielokrotnie, że czasami ludzie są po prostu roztargnieni i pomijają go przez nieuwagę, ale nigdy w to nie wierzył.

Zeszła do gabinetu na parterze. Hornbeam i Riddick mieli na głowach peruki, co oznaczało, że jest to oficjalna wizyta. Riddick wyglądał na podpitego, co w jego wypadku nie było o tej porze dnia czymś niezwykłym. Hornbeam jak zawsze miał ponurą i zdeterminowaną minę. Obaj wstali i ukłonili się uprzejmie, gdy weszła. Odpowiedziała dygnięciem i usiadła.

– Moja droga – odezwał się jej ojciec. – Radny i dziedzic Riddick chcieliby z tobą o czymś porozmawiać.

– Doprawdy?

– Chodzi o pani szkołę – wyjaśnił Hornbeam.

Elsie zmarszczyła czoło. Jediną kontrowersją, jaka wiązała się ze szkołą, było to, że wspierali ją zarówno anglikanie, jak i metodyści, i od czasu do czasu jedna frakcja próbowała wykluczyć drugą. Lecz z tego, co wiedziała, ani Hornbeama, ani Riddicka nie obchodziły szczególnie spory religijne.

– A o co konkretnie? – spytała i stwierdziła z zaskoczeniem, że słyszy wrogość we własnym głosie.

– O ile mi wiadomo, daje pani dzieciom strajkujących bezpłatne obiady – odparł Hornbeam.

Więc o to chodziło. Przypomniała sobie, że najlepszą obroną jest atak.

– Miasto ma teraz niezwykłą szansę – zaczęła. – Przez ograniczony czas możemy przekazywać wiedzę dzieciom, które w normalnych okolicznościach spędzają sześć dni w tygodniu przy maszynach. Powinniśmy to wykorzystać najlepiej, jak się da, prawda?

Radny nie pozwolił jej pokierować rozmową.

– Niestety, wspiera pani strajk. Jestem pewien, że nie robi pani tego celowo, ale skutek jest właśnie taki.

– Co pan ma na myśli? – spytała, choć dobrze wiedziała, do czego zmierza jej rozmówca, i wcale jej się to nie podobało.

– Mamy nadzieję, że głód przywróci strajkującym rozum. I choć sami być może gotowi są znosić różnego rodzaju cierpienia, to większość rodziców nie pozwoli, by ich dzieci głodowały.

– Chce pan powiedzieć... – Elsie zamilkła na moment, by zaczerpnąć powietrza. Nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. – Chce pan powiedzieć, że mam przestać karmić głodujące dzieci? Żeby w ten sposób zmusić robotników do powrotu do pracy?

Jej niedowierzanie nie zrobiło na nim większego wrażenia.

– Tak byłoby lepiej dla wszystkich. Przedłużając strajk, przedłuża pani cierpienia tych ludzi.

– Radny ma rację, kochanie – wtrącił jej ojciec.

Elsie odparła z oburzeniem:

– Jezus powiedział Piotrowi: *Paś baranki moje*. Mamy o tym zapomnieć?

– Mówią, że i diabeł może cytować Pismo, kiedy mu to pasuje – odezwał się po raz pierwszy Riddick.

– Milcz, Will, to cię przerasta – ofuknęła go Elsie.

Riddick poczerwieniał ze złości. Został właśnie obrażony, ale nie przychodziła mu do głowy żadna riposta.

– Pani Mackintosh, musimy panią poprosić, by przestała pani ingerować w nasze interesy – powiedział Hornbeam.

– W nic nie ingeruję – odparła. – Karmię głodne dzieci, co jest obowiązkiem każdego chrześcijanina, i nie zamierzam tego zaprzestać ze względu na zyski czy straty sukienników.

– Kto dostarcza jedzenie?

Nie chciała odpowiedzieć na to pytanie, bo jej ojciec nie zdawał sobie sprawy, ile żywności z pałacowej kuchni trafia do dzieci.

– Robią to hojni mieszkańcy miasta, zarówno anglikanie, jak i metodyści.

– Którzy mieszkańcy?

Doskonale wiedziała, do czego ten człowiek zmierza.

– Chce pan listę nazwisk, żeby potem ich nachodzić i zmuszać do wycofania wsparcia.

Hornbeam poczerwieniał, co potwierdzało trafność jej oskarżenia.

– Chciałbym wiedzieć, kto chce zniweczyć sukces gospodarczy tego miasta! – oznajmił gniewnie.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi.

– Czy mógłbym w czymś pomóc, Wasza Ekscelencjo? – spytał Kenelm, zaglądając do gabinetu. Koniecznie chciał brać udział w tym, co się tu właśnie działo.

Biskup wydawał się zirytowany.

– Nie teraz, Mackintosh – rzucił szorstko.

Kenelm wyglądał tak, jakby właśnie dostał w twarz. Po chwili wahania zamknął drzwi. Elsie wiedziała, że przez cały wieczór będzie rozpamiętywał ten afront. Ta krótka przerwa pozwoliła jej jednak zebrać myśli.

– Panie radny, skoro tak bardzo zależy panu na sukcesie gospodarczym tego miasta, to dlaczego nie spróbuje pan negocjować z robotnikami? – powiedziała. – Może udałoby się dojść z nimi do porozumienia.

Hornbeam uniósł dumnie głowę.

– Robotnicy nie będą mi mówić, jak mam prowadzić interesy!

Elsie pokiwała głową.

– A więc nie chodzi o dobro miasta, tylko o pańską dumę – skwitowała.

– To nieprawda!

– Prosi mnie pan, żebym przestała karmić pięćdziesięcioro głodnych dzieci, ale nie zniży się pan do rozmów ze swoimi tkaczami. Bronię pan złej sprawy, panie radny.

W gabinecie zapadła cisza. Zarówno Riddick, jak i biskup patrzyli wyczekująco na Hornbeama. Elsie uświadomiła sobie nagle, że oni również uważają, że problem wynika w dużej mierze z jego uporu.

– Poza tym nie mogłabym zapobiec wydawaniu obiadów, nawet gdybym chciała – dodała. – Zająłby się tym pastor Midwinter, tylko że wtedy byłaby to już wyłącznie metodystyczna szkoła.

Właściwie nieco mijają się z prawdą, bo to ona była siłą napędową tego przedsięwzięcia i nie miała pewności, czy szkółka funkcjonowałaby bez niej.

Lecz biskupa ten argument przekonał.

– Ojej... – mruknął. – Nie chcemy szkoły metodystycznej.

Hornbeam był wściekły.

– Marnuję tu tylko czas – oświadczył, wstając.

Riddick również podniósł się z krzesła.

– Och, nie idźcie jeszcze – poprosił biskup, bo nie chciał, by spotkanie zakończyło się w tak nieprzyjemnej atmosferze. – Może kieliszek madery?

– Mam pilne sprawy do załatwienia. – Hornbeam nie dał się udobruchać. – Do widzenia, Wasza Ekscelencjo. – Ukłonił się biskupowi. – Do widzenia, pani Mackintosh.

– To było okropnie krępujące – odezwał się gniewnie biskup, gdy obaj goście wyszli.

– Hornbeam nie wydawał się tak przybity, jak powinien – powiedziała Elsie.

Choć jej ojciec był rozzłoszczony, wyraźnie go to zaintrygowało.

– Co masz na myśli? – spytał.

– Nie udało mu się zrobić tego, co zamierzał, czyli mnie zastraszyć. Odszedł z pustymi rękami. Ale nie wyglądał na pokonanego, prawda?

– Raczej nie wyglądał.

– Moim zdaniem ma po prostu jakiś plan awaryjny.

*

Tego wieczoru Kenelm wszedł do sypialni Elsie, gdy właśnie włożyła koszulę nocną. Ich pokoje były ze sobą połączone drzwiami, ale zwykle używał ich tylko w sobotę. Wiedziała, że tym razem nie chodzi mu o małżeński obowiązek.

– Twój ojciec powiedział mi, co zaszło między tobą i radnym Hornbeamem – oznajmił.

– Hornbeam chciał mnie zastraszyć i przekonać, żebym przestała karmić dzieci.

– Wzruszyła ramionami.

– Niezupełnie.

Elsie położyła się do łóżka.

– Możesz się tu położyć, jeśli chcesz – powiedziała. – Będzie nam przyjemniej.

– Nie żartuj sobie, jestem ubrany.

– Wystarczy, że zdejmiesz buty.

– Przestań błaznować. Mówię poważnie.

– A kiedy nie mówisz poważnie?

Zignorował te słowa.

– Jak mogłaś przeciwstawić się najpotężniejszemu człowiekowi w Kingsbridge?

– Całkiem normalnie. Nie obchodzą go głodne dzieci. Każdy dobry chrześcijanin odmówiłby mu w tej kwestii. Jest podłym człowiekiem, a naszym obowiązkiem jest mu się przeciwstawiać.

– Niczego nie rozumiesz! – Kenelm nie posiadał się z oburzenia. – Potężnych ludzi należy sobie zjednywać, a nie prowokować. Bo wtedy mogą ci zaszkodzić.

– Nie bądź niemądry. Co może nam zrobić Hornbeam?

– Kto wie? Nie powinnaś robić sobie wrogów wśród takich ludzi. Pewnego dnia arcybiskup Canterbury może powiedzieć: „Zastanawiam się, czy nie mianować Kenelma Mackintosha biskupem”, a ktoś mu odpowie: „Przecież jego żona jest wicherzycielką”. Ludzie często toczą takie rozmowy.

Elsie była zszokowana.

– Jak możesz używać takich argumentów, kiedy rozmawiamy o głodujących dzieciach?

– Myślę o reszcie swojego życia. O tym, że być może nie będę mógł wykonywać Bożego dzieła, bo przeszkodzi mi w tym niepokorna żona.

– Wykonywać dzieło Boże? Mówisz o swojej karierze w Kościele anglikańskim?

– To to samo.

– I to ma być ważniejsze od dawania zupy i chleba małym dzieciom?

– Zawsze musisz wszystko upraszczać.

– Głód jest prosty. Kiedy widzisz głodnych ludzi, dajesz im jedzenie. Jeśli to nie jest wola Bożą, to nie wiem, co może nią być.

– Myślisz, że wiesz wszystko o Bożej woli.

– A ty myślisz, że wiesz jeszcze więcej.

– Bo wiem. Studiowałem tę kwestię z najmądrzejszymi ludźmi w kraju. Twój ojciec też. Jesteś niedouczoną kobietą.

Elsie uznała, że ta uwaga jest zbyt głupia, by w ogóle na nią odpowiadać.

– Tak czy inaczej, nie mogę zamknąć szkoły – oświadczyła. – Nie jest to w mojej mocy. I mówiłam o tym Hornbeamowi.

– Nie obchodzi mnie szkoła. Ani strajk. Obchodzi mnie moja przyszłość i chcę mieć żonę, która będzie mi posłuszna i nie będzie pakować się w kłopoty.

– Och, Kenelm... – Elsie westchnęła. – Chyba ożeniłeś się z niewłaściwą kobietą.

ROZDZIAŁ 21

W sobotę po południu, gdy zakłady włókiennicze kończyły pracę o piątej, Kit i jego przyjaciele grali w piłkę na pustym placu przy nowych domach po drugiej stronie rzeki. Kit był drobniejszy niż większość jego rówieśników; potrafił szybko biegać i robić uniki, ale nie kopał piłki zbyt mocno i łatwo było go przewrócić. Mimo to lubił grać i robił to zawsze z wielkim entuzjazmem.

Po meczu rozeszli się do domów. Włącząc się bez celu, Kit znalazł się na pustej drodze, wzdłuż której stały nowe domy z drzwiami wychodzącymi na ulicę. Z czystej ciekawości zajrzał przez okno i zobaczył niemal pusty mały pokój, podłogę z desek, otynkowane ściany i schody prowadzące na piętro. Były też kominek, mały stół i dwie ławy.

Sam nie wiedząc dlaczego, spróbował otworzyć drzwi i przekonał się, że nie są zamknięte na klucz. Rozejrzał się po ulicy, ale nie zobaczył nikogo prócz kolegów. Przypomniawszy sobie, co mawiał czasem Jarge: „Ciekawość to pierwszy stopień do piekła”.

Wszedł do domu i zamknął za sobą drzwi.

W środku unosił się zapach świeżego tynku i farby. Nasłuchiwał przez chwilę, ale z góry nie dochodziły żadne dźwięki: był sam. Na stole leżały cztery miski, cztery kubki i cztery łyżki, wszystkie nowe i wykonane z drewna. Przypomniało mu to jedną z bajek, które opowiadała mu matka, historię o Złotowłosej i trzech niedźwiadkach. Ale w miskach nie było owsianki, a kominek był zimny i czysty. Nikt tu jeszcze nie mieszkał.

Idąc na górę po schodach, stąpał cicho, na wypadek gdyby jednak ktoś tu był.

Na piętrze były dwa pokoje, każdy z jednym oknem wychodzącym na ulicę. Uświadomił sobie, że z drugiej strony nie ma okien, bo domy są połączone ze sobą

tylnymi ścianami. Miało to sens, bo pozwalało zaoszczędzić na ceglach.

Nie było tu żadnych łóżek. W jednym pokoju leżały cztery sienniki i mała sterta koców. To był gotowy do zamieszkania dom, choć bardzo skromnie wyposażony.

Kit zastanawiał się przez chwilę, kto tu zamieszka. W końcu stracił zainteresowanie pustym domem, zbiegł na parter i wyszedł na ulicę. Zamarł ze zdumienia, ujrawszy przysadzistego mężczyznę o czerwonej twarzy, który stał kilka kroków dalej. On był równie zaskoczony. Przez chwilę wpatrywali się w siebie, po czym nieznajomy ryknął gniewnie i zbliżył się o krok w stronę Kita.

Chłopiec poderwał się do biegu.

– Mały złodziej! – wrzasnął mężczyzna, choć Kit miał puste ręce.

Przerażony, pędził co sił w nogach. Mężczyzna był zapewne stróżem. Spał podczas pracy, gdy Kit wszedł do domu, ale teraz wydawał się aż nadto rozbudzony. Zwykle mężczyźni biegają szybciej od chłopców, jeśli są zdrowi i sprawni, a ten nie wyglądał na sprawnego. Kiedy jednak chłopiec obejrzał się przez ramię, zobaczył, że nieznajomy go dogania. Dostanę lanie, pomyślał i spróbował przyspieszyć kroku. Widział, jak koledzy rozpierchają się w panice.

Po chwili ujrzał przed sobą dziwny widok: wielki wóz, ciągnięty przez cztery konie i wypełniony mężczyznami, kobietami i dziećmi. Kit minął go i ponownie się obejrzał. Jego prześladowca przystanął zdyszany obok wozu, oparł się o jego burzę i rozmawiał z woźnicą.

Kit pomyślał, że chyba mu się udało. Zwolnił nieco, ale nie przestawał biec, dopóki nie znalazł się w bezpiecznej odległości. W końcu stanął i odwrócił się, dysząc ciężko.

Nie znał nikogo z ludzi siedzących na wozie. Rozglądali się dokoła z zainteresowaniem i rozmawiali o czymś, lecz nie mógł ich zrozumieć. Niektóre słowa wydawały mu się znajome, mówili jednak z dziwnym akcentem.

Nowo przybyli zaczęli schodzić z wozu; zabierali ze sobą tobołki i torby. Wyglądało na to, że to kilka rodzin; oprócz mężów, żon i dzieci było kilku młodych

mężczyzn, w sumie około trzydziestu osób. Po chwili nadszedł drugi wóz, również pełen ludzi.

Sześćdziesiąt osób, pomyślał Kit, wykonując rachunki w głowie; piętnaście albo dwadzieścia rodzin.

Potem przyjechał jeszcze trzeci wóz i czwarty.

Mężczyzna o czerwonej twarzy zapomniał już o chłopcu i zajął się kierowaniem ludzi do poszczególnych domów. Gdy nie rozumieli, co do nich mówi, krzyczał na nich. Jeden z nowo przybyłych, wysoki mężczyzna o gęstych czarnych włosach, który był chyba przywódcą całej grupy, zaczął mówić głośno do wszystkich; prawdopodobnie tłumaczył słowa stróża.

Rodziny zaczęły się rozchodzić, a mężczyzna ruszył w stronę Kita. Towarzyszyła mu kobieta z dwojgiem dzieci. Kit postanowił z nimi porozmawiać.

– Dzień dobry – przywitał się.

Nieznajomy powiedział coś, czego chłopiec nie zrozumiał.

– Kim pan jest?

Usłyszał coś, co zabrzmiało jak:

– Jezdem tkocz.

Zastanawiał się nad tym przez moment.

– Jest pan tkaczem?

– To właśnie powiedziałem. Wszyscy jesteśmy tkaczami.

– A skąd przyjechaliście?

Mężczyzna wymienił nieznaną Kitowi nazwę, która brzmiała jak „Dublon”.

– Czy to daleko?

Kit przyzwyczajał się powoli do obcego akcentu i zaczynał wszystko rozumieć.

– Trzy dni statkiem do Bristolu, a potem półtora dnia na wozie.

– Dlaczego przyjechaliście do Kingsbridge?

– Tak się nazywa to miejsce?

– Tak.

– Zamknęli zakład w naszym mieście i nie mieliśmy pracy. A potem zjawił się u nas jakiś człowiek i powiedział, że możemy pracować w Anglii. Kim jesteś?

– Nazywam się Christopher Clitheroe, mówią na mnie Kit – odparł chłopiec. – Jestem mechanikiem w Zakładzie Włókienniczym Barrowfielda – dodał z dumą.

– Witaj, Kicie mechaniku, ja jestem Colin Hennesy i miło mi cię poznać.

Rodzina weszła do domu i wtedy Kit uświadomił sobie, że drzwi frontowe we wszystkich domach były otwarte i dlatego mógł wejść do jednego z nich. Kiedy zajrzał do środka tego, przy którym stał, zobaczył podekscytowane dzieciaki biegnące po pokoju. Żona wydawała się zadowolona.

Kit czuł, że to ważne wydarzenie, choć nie wiedział do końca dlaczego. Ruszył do domu, podekscytowany świadomością, że przyniesie ważne wieści.

Matka szykowała kolację, kaszę z cebulą. Jarge siedział przy stole z piwem. Strajkował, a Kit słyszał kiedyś, jak mama powiedziała: „Bezczynność Jarge’owi nie służy, za dużo pije”.

– Widziałem coś dziwnego – oznajmił chłopiec.

Jarge nie zwrócił na to uwagi, ale Sal spytała:

– Co takiego?

– Wiecie, gdzie stoją te nowe domy?

– Tak. Przy Świńskim Zakładzie.

– Są gotowe do zamieszkania. Zajrzałem do jednego z nich i zobaczyłem sienniki, stół i naczynia.

Matka uniosła brwi.

– Nie wierzę, żeby Hornbeam dawał swoim lokatorom coś za darmo – powiedziała.

Kit postanowił przemilczeć incydent ze stróżem.

– A potem przyjechał wóz pełen ludzi, którzy dziwnie mówią.

Sal odłożyła łyżkę, którą mieszała kaszę, i odwróciła się do syna.

– Naprawdę? – Jej reakcja potwierdzała, że to może być ważna wiadomość. – Ilu było tych ludzi?

- Około trzydziestu. A potem przyjechały jeszcze trzy wozy.
- Jarge odstawił kufel.
- Czyli razem to będzie ponad stu ludzi – policzył.
- Stu dwudziestu – sprecyzował Kit.
- Rozmawiałaś z nimi? – spytała Sal.
- Przywitałem się z takim wysokim mężczyzną z czarnymi włosami. Mówił, że spędzili trzy dni na statku.
- Cudzoziemcy – stwierdził Jarge.
- Pytałeś, skąd przypłynęli?
- Tak, wymienił jakąś nazwę, to brzmiało jak Dublon.
- Dublin. – Sal skinęła głową. – To Irlandczycy.
- Powiedział, że jest tkaczem, ale zamknęli zakład, w którym pracował.
- Nie wiedziałam, że w Irlandii mają zakłady włókiennicze.
- Mają – potwierdził Jarge. – A irlandzkie owce mają długą miękką strzyżę, z której robi się ciepły tweed. Nazywają to donegal.
- Powiedział, że wszyscy są tkaczami – dodał Kit.
- A niech mnie – mruknął Jarge. – Hornbeam sprowadził łamistrajków.
- Kogo? – spytał chłopiec.
- Ludzi, którzy mimo ogłoszenia strajku pracują – wyjaśniła Sal. – Hornbeam zatrudni ich w swoim zakładzie.
- Tak – mruknął posepnie Jarge. – Jeśli tego dożyją.

*

W niedzielę Jane chodziła na msze do katedry. Amos chciał z nią porozmawiać, opuścił więc nabożeństwo metodystów i czekał przed katedrą, aż wyjdą z niej anglikańscy wierni.

Jane miała na sobie granatowy płaszcz i prosty kapelusz, strój stosowny do kościoła. Wydawała się dość poważna, rozpromieniła się jednak na widok Amosa.

Wicehrabia szedł kilka kroków za nią, pogrążony w rozmowie z radnym Drinkwaterem.

Amos podszedł do Jane.

– Kilka dni temu czytałem w „The Times”, że księżę Yorku planuje radykalne reformy w armii brytyjskiej – oznajmił.

– Proszę, proszę! – rzuciła Jane. – Wiesz, jak oczarować kobietę, co?

Roześmiał się.

– Przepraszam – powiedział. – Jak się miewasz? Piękny kapelusz. A granat bardzo do ciebie pasuje. Ale słyszałaś o tych reformach?

– Dobrze już, dobrze, wiem, jaki potrafisz być uparty. Tak, słyszałam o tych reformach, Henry nie mówi prawie o niczym innym. Księżę chce, żeby każdy z poborowych miał płaszcz. Wydaje mi się to całkiem rozsądne. Jak mają walczyć, jeśli marzną?

– Księżę uważa również, że wojsko płaci za dużo za dostawy. Twierdzi, że dostawcy okradają milicję, i ma rację. Te płaszcze będą kosztowały trzy albo cztery razy tyle, ile powinny.

– Mam nadzieję, że nie staniesz się równie nudny jak mój mąż.

– To nie jest nudne. Kto odpowiada za zakupy dla milicji Shiring?

– Major Will Riddick. Och, chyba już wiem, do czego zmierzasz.

– A od kogo Riddick kupuje wszystkie materiały na ubrania?

– Od teścia, radnego Hornbeama.

– Sześć lat temu, zanim Riddick wzenił się w rodzinę Hornbeamów, ubiegałem się o kontrakt dla wojska. Riddick zgodził się na moją cenę, a potem zażądał łapówki w wysokości dziesięciu procent od wartości kontraktu.

Jane była zszokowana.

– Mówiłeś o tym komuś?

Amos wzruszył ramionami.

– Nie. Wszystkiemu by zaprzeczył, a ja nie mogłem tego udowodnić, więc nic nie zrobiłem.

– To dlaczego mówisz o tym mnie?

– Bo mam nadzieję, że przekażesz to mężowi.

– Chyba nadal nie możesz niczego udowodnić, prawda?

– Owszem, nie mogę. Ale znasz mnie. Wiesz, że nie okłamałbym cię.

– Oczywiście. Ale co według ciebie ma zrobić Henry? Jeśli ty nie możesz dowieść winy Riddicka, to on tym bardziej.

– On nie musi niczego udowadniać. Jest dowódcą. Może po prostu przydzielić majorowi Riddickowi inne zadanie, na przykład opiekę nad zbrojownią, i do nadzoru nad zakupami wybrać kogoś innego.

– A jeśli ten inny człowiek będzie równie skorumpowany jak Will?

– Powiedz Henry’emu, żeby wybrał metodystę.

Jane skinęła głową.

– Być może tak właśnie zrobi. Mówi, że metodyści to dobrzy oficerowie.

Henry Northwood pożegnał się z radnym Drinkwaterem i podszedł do żony. Amos uklonił się uprzejmie.

– Co pan myśli o tym strajku, panie Barrowfield? – spytał wicehrabia.

– Sukiennicy muszą osiągać zyski, a tkacze zarabiać na życie. W gruncie rzeczy to bardzo proste, lordzie. Ale sprawę komplikują chciwość i duma.

– Myśli pan, że właściciele powinni ustąpić?

– Myślę, że obie strony powinny pójść na ustępstwa.

– Bardzo rozsądnie. – Northwood skinął głową, po czym władcym gestem ujął Jane pod ramię i odszedł.

*

Irlandczycy zaczęli pracować w zakładzie Hornbeama w poniedziałek. Tego samego wieczoru, po ćwiczeniach dzwonników, w tylnym pomieszczeniu U Bella odbyło się spotkanie. Sala była duża, a mimo to panował w niej tłok; stawiała się większość strajkujących tkaczy, między innymi Jarge, a także Sal i Spade.

Nikt nie pił zbyt dużo. Dało się wyraźnie wyczuć atmosferę napięcia i wyczekiwania. Coś musiało się wydarzyć, choć nikt nie był jeszcze pewien co. Niektórzy tkacze przynieśli grube kije, łopaty i drewniane młotki.

Sal chciała uniknąć przemocy. Jarge był innego zdania.

– Jutro o wpół do piątej rano stu naszych ludzi stanie przed Świńskim Zakładem, uzbrojonych w pałki – powiedział. – Jeśli ktokolwiek będzie próbował wejść do zakładu, zostanie pobity. Proste, prawda?

Jego przyjaciel Jack Camp, który również był tkaczem u Hornbeama, pokiwał głową.

– Tak właśnie trzeba zrobić! – zawołał.

Gniewny pomruk świadczył o tym, że wielu spośród zebranych popiera takie rozwiązanie.

– A co potem? – spytała Sal.

– Hornbeam będzie musiał ustąpić – odparł Jarge.

– Myślisz, że on należy do ludzi, którzy łatwo się poddają? – zwrócił się do niego Spade. – Może przecież wezwać milicję.

– Nic mu to nie pomoże. – Jarge roześmiał się. – Milicjanci to nasi znajomi i sąsiedzi.

– Owszem, odmówili strzelania do kobiet podczas zamieszek żywnościowych – przyznał Spade. – Ale skąd możemy mieć pewność, że tym razem będzie tak samo? A jeśli zamiast strzelać, zaczną aresztować ludzi?

– Ze mną łatwo im nie pójdzie – mruknął pogardliwie Jarge.

– Wiem. Więc dojdzie do bójki i będzie trzech albo czterech milicjantów przeciwko tobie.

– Przeciwno mnie i moim przyjaciołom.

– Więc do walki dołączy więcej żołnierzy i więcej twoich przyjaciół.

– Całkiem możliwe.

– I dojdzie do zamieszek.

– Cóż...

Spade postanowił przejść do najważniejszego argumentu.

– Przykro mi, że muszę o tym wspominać, Jarge, ale twoja siostra została skazana za udział w zamieszkach, ledwie uniknęła stryczka, została wywieziona do Australii i być może już nigdy nie wróci.

– Wiem – burknął Jarge, zirytowany, że przegrywa ten spór.

– Więc jeśli robotnicy zrealizują twój plan, ilu jeszcze ludzi trafi na szubienicę albo zostanie wywiezionych? – nacierał dalej Spade.

Jarge spojrział na niego z oburzeniem.

– Więc co chcesz powiedzieć, że mamy siedzieć z założonymi rękami? – spytał.

– Poczekajcie tydzień – zaproponował Spade.

– Na co?

– Żeby zobaczyć, co się stanie.

Przez salę przebiegł pomruk niezadowolenia.

– Słuchajcie go – powiedziała Sal. – Spade zawsze mówi rozsądnie.

– Nic się nie wydarzy, jeśli będziemy tylko czekać – prychnął jej mąż.

– Nie bądź taki pewien. – Spade jak zwykle mówił łagodnym, spokojnym tonem. – Posłuchajcie, co macie do stracenia? Poczekajcie tydzień. Przez ten czas wiele może się wydarzyć. Spotkajmy się tutaj wszyscy w sobotę wieczorem, po kolacji. Jeśli się okaże, że nie miałem racji i nic się nie zmieniło, zaplanujemy jakieś drastyczniejsze kroki.

Sal skinęła głową z aprobatą.

– Lepiej nie ryzykować bez potrzeby – dorzuciła.

– A na razie unikajcie kłopotów – doradził wszystkim Spade. – Jeśli zobaczycie Irlandczyka, odejdźcie od niego. Jesteście robotnikami. Według niepisanego prawa Anglii jesteście winni, jeśli nie udowodnicie, że jest inaczej.

*

Jarge zaakceptował decyzję większości, choć wcale mu się nie podobała. Sal obserwowała z przerażeniem, jak mąż robi się coraz bardziej agresywny i coraz

więcej pije. We wtorek wieczorem, gdy skończyła pracę, zobaczyła go przed nowym zakładem Hornbeama; obserwował wychodzących Irlandczyków. Nie rozmawiał jednak z nikim i poszedł z nią do domu.

– Dlaczego prowadzimy wojnę z Bonapartem i Francuzami? – odezwał się. – Powinniśmy walczyć z Hornbeamem i Irlandczykami.

– Święta racja – przyznała Sal. – Ale musimy być sprytni. Nie możemy pozwolić, żeby te łajdaki nas przechytrzyły.

Jarge nie odpowiedział, ale jego gniewna mina mówiła sama za siebie.

Przymusowa bezczynność wpędzała go w coraz gorszy nastrój. Pozbawiony pracy, spędzał całe dni w gospodzie. Kiedy Sal wróciła w czwartek wieczorem do domu, zobaczyła, że nie ma Biblii jej ojca.

– Zastawił ją – powiedziała do siebie. – Zastawił ją i wydaje pieniądze na piwo.

Usiadła na łóżku i przez chwilę płakała. Musiała jednak zająć się dziećmi.

Kiedy dawała im kolację – czerstwy tani chleb ze smalcem – Jarge wszedł do kuchni chwiejnym krokiem. Śmierdział piwem i był zły, bo zabrakło mu pieniędzy na kolejny kufel.

– Gdzie jest kolacja? – spytał.

– Gdzie jest Biblia mojego ojca? – odpowiedziała pytaniem Sal.

Usiadł przy stole.

– Wykupię ją, kiedy skończy się strajk, nie martw się. – Mówił o tym z lekceważeniem, co jeszcze bardziej ją rozzłościło.

Ukroiła kawałek chleba, posmarowała go smalcem i położyła przed nim na stole.

Odgryzł kęs, przeżuł, przełknął i skrzywił się.

– Chleb ze smalcem? – burknął. – Dlaczego nie ma masła?

– Dobrze wiesz, dlaczego nie ma masła.

– Bo trwa strajk, nie wiesz? – wyrwał się Kit.

To rozzłościło Jarge'a.

– Nie pyskuj mi tu, gnojku – warknął bełkotliwie. – Jestem panem tego domu i nie zapominaj o tym. – Uderzył Kita w bok głowy tak mocno, że chłopiec spadł z krzesła na podłogę.

Sal straciła panowanie nad sobą. Oczami wyobraźni ujrzała całkiem wyraźnie, jakby zdarzyło się to wczoraj, sześciolatniego Kita leżącego na łóżku we dworze w Badfordzie, z obandażowaną głową, po tym jak kopnął go koń Willa Riddicka. Ten obraz obudził w niej niepohamowaną wściekłość. Podeszła do Jarge’a rozjuszona. Zobaczył jej minę i szybko wstał; na jego twarzy pojawił się wyraz zdumienia i lęku. Gdy kopnęła go w krocze, usłyszała krzyk Sue, ale nie zwróciła na to uwagi. Kiedy Jarge zakrył dłonią krocze, uderzyła go w twarz, raz, drugi i trzeci. Miała duże dłonie i silne ramiona. Jej mąż cofnął się o krok.

– Zostaw mnie, ty wściekła krowo! – wrzasnął.

– Przestań! – krzyknął Kit. – Mamo, przestań!

Walnęła Jarge’a ponownie, wysoko w kość policzkową. Złapał ją za ręce, ale był pijany, a ona wyjątkowo silna, nie mógł jej więc utrzymać. Kiedy uderzyła go w brzuch, zgiął się wpół z bólu. Wtedy podcięła mu nogi kopniakiem i runął ciężko na ziemię niczym powalone drzewo.

Sal pochwyciła nóż do chleba leżący na stole i ukłękła na piersi Jarge’a. Przysunęła ostrze do jego twarzy.

– Jeśli kiedykolwiek jeszcze dotkniesz tego chłopca, przysięgam, poderżnę ci gardło w środku nocy, tak mi dopomóż Bóg – zapowiedziała.

– Mamo, zostaw go – odezwał się Kit.

Podniosła się, dysząc ciężko, i odłożyła nóż do szuflady. Dzieci stały w połowie schodów i wpatrywały się w nią z przerażeniem i podziwem jednocześnie. Spojrzała na twarz syna: lewa strona była czerwona i zaczynała już puchnąć.

– Boli cię głowa? – spytała.

– Nie, tylko policzek – odparł.

Dzieci ostrożnie zeszły ze schodów.

Sal uściskała Kita i odetchnęła z ulgą; zawsze się bała, że coś stanie mu się w głowę.

Miała otarte knykcie i bolał ją palec serdeczny lewej ręki. Potarła dłonie, by złagodzić ból.

Gdy Jarge podniósł się powoli z podłogi, obrzuciła go gniewnym spojrzeniem, jakby prowokowała go do ataku. Twarz miał posiniaczoną i pokaleczoną i nie wykazywał najmniejszej ochoty do walki. Usiadł zgarbiony przy stole, położył ręce na blacie i oparł na nich głowę. Zaczął drzeć, a Sal uświadomiła sobie, że płacze. Po chwili podniósł głowę.

– Przepraszam, Sal – powiedział. – Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Nigdy nie chciałem zrobić Kitowi krzywdy. Nie zasługuję na ciebie. Nie jestem dość dobry. A ty jesteś dobrą kobietą, wiem o tym.

Sal stała z rękami skrzyżowanymi na piersiach i patrzyła na niego.

– Nie prosź, żebym ci przebaczyła.

– Nie będę prosił.

Mimo wszystko zrobiło jej się go trochę żal. Wyglądał wręcz żałośnie i nie zrobił Kitowi większej krzywdy. Czuła jednak, że musi wyraźnie zaznaczyć granicę tego, co nieakceptowalne. Inaczej Jarge mógłby pomyśleć, że może znowu uderzyć jej syna i ponownie ją przeprosić.

– Muszę wiedzieć, że to nie wydarzy się nigdy więcej – oświadczyła.

– Nie powtórzy się. – Otarł twarz rękawem i spojrzał na nią. – Nie zostawiaj mnie, Sal.

Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę, po czym podjęła decyzję.

– Lepiej się prześpij i wytrzeźwiej. – Wzięła go za ramię i zachęciła do wstania. – Chodź, pójdziemy na górę.

Zaprowadziła go do ich wspólnej sypialni i posadziła na skraju łóżka. Przyklękła i zdjęła mu buty.

Przełożył nogi na łóżko i położył się.

– Zostań ze mną na chwilę – poprosił.

Zawahała się, ale w końcu położyła się obok niego. Wsunęła mu rękę pod głowę i pozwoliła, by oparł ją na jej piersiach. Zasnął niemal natychmiast i jego ciało zwiotczało.

Ucałowała jego zmasakrowaną twarz.

– Kocham cię – powiedziała. – Ale drugi raz ci nie wybaczę.

*

W sobotę była ładna pogoda; słońce świeciło jeszcze o wpół do szóstej, gdy Hornbeam wyszedł zaczerpnąć powietrza do ogrodu przy domu. Miał za sobą udany tydzień. Wszystkie jego zakłady pracowały, wypełnione przez irlandzkich robotników, a niektórzy z nowo przybyłych uczyli się obsługi krosien parowych. Właśnie zjadł smaczny obiad i zapalił fajkę.

Wkrótce jednak ten spokój zmąciła wiadomość, którą przekazał mu zięć. Posłaniec, zdyszany młody mężczyzna w mundurze, stanął przed nim na baczność i zameldował:

– Panie radny, proszę wybaczyć, że ośmielam się przeszkadzać, ale major Riddick przekazuje panu pozdrowienia i prosi, by jak najszybciej spotkał się pan z nim przed karczmą Pod Rzeźnikiem.

– Coś się stało? – spytał Hornbeam, unosząc brwi.

– Nie wiem, panie radny, kazano mi tylko przekazać tę wiadomość.

– Dobrze. Chodź ze mną.

– Tak jest.

– Powiedz mojej żonie, że musiałem wyjść w interesach – nakazał lokajowi, gdy wszedł do domu.

Nałożył na głowę perukę i zerknął do lustra.

Potrzebował zaledwie kilku minut, by przejść z Main Street nad rzekę. Nim razem z posłańcem dotarł do karczmy, zrozumiał już, dlaczego Riddick go wezwał.

Do miasta schodzili się Irlandczycy.

Hornbeam widział, jak idą przez most, prowadząc ze sobą dzieci. Nie mieli ubrań na zmianę, ale podobnie jak robotnicy z Kingsbridge, żeby podkreślić, że świętują, mieli narzucone barwne chusty, wstążki we włosach, szarfy czy kolorowe kapelusze. Hornbeam sprowadził z Irlandii sto dwadzieścia osób i wyglądało na to, że wszyscy wybrali się na wieczorny spacer do miasta.

Zastanawiał się, jak zareagują miejscowi.

Posłaniec zaprowadził go do karczmy Pod Rzeźnikiem, największej nad rzeką. Przed wejściem stał tłum bywalców, którzy wygrzewali się w słońcu. Tego dnia klientów było wyjątkowo dużo; wielu z Irlandczyków przyszło już wcześniej i teraz popijali piwo z kufli. Można ich było odróżnić po ubraniach, uszytych przeważnie z tweedu o nieuporządkowanych wzorach, a nie z kraciastych lub prążkowanych tkanin, jakie preferowano w zachodniej części Anglii.

Posłaniec wprowadził Hornbeama do środka, gdzie siedział już Riddick z kuflem w ręce.

- Powiniennem był to przewidzieć – mruknął Hornbeam.
- Ja też – odparł Riddick. – Właśnie dostali wypłatę i chcą się zabawić.
- Ale nie widzę wrogości między miejscowymi i przyjezdnymi.
- Jak dotąd.

Hornbeam skinął głową.

– Na wszelki wypadek powinniśmy postawić w stan gotowości oddział milicji – powiedział.

Jego zięć zwrócił się do posłańca:

– Proszę przekazać moje pozdrowienia porucznikowi Donaldsonowi i poprosić, by natychmiast zebrał kompanię pierwszą, drugą i siódmą, ale nie opuszczał koszar, dopóki nie otrzyma kolejnych rozkazów.

Posłaniec dokładnie powtórzył wiadomość i wyszedł z karczmy.

Hornbeam niepokoił się. Gdyby doszło do zamieszek, obwiniono by o nie Irlandczyków, być może nawet domagano by się, żeby ich odesłał. Wtedy znalazłby się na łasce i niełasce tego przekłętą związku.

Musiał się zorientować w sytuacji.

– Chodźmy na spacer – zaproponował.

Riddick opróżnił kufel i obaj wyszli na zewnątrz.

Niedaleko była inna karczma, mniejsza, z szyldem, na którym był namalowany łabędź.

– Pod Łabędziem – wyjaśnił Riddick. – Ale niektórzy nazywają to miejsce Brudną Kaczką.

Zajrzeli do środka. Cudzoziemcy stali albo siedzieli z miejscowymi; nikt nie stwarzał żadnych problemów.

Uliczni sprzedawcy zachwalali swoje towary, zimne i ciepłe przekąski: pieczone jabłka, orzechy, paszteciki i pierniki. W porcie właśnie wyładowywano z barki beczki wypełnione pobrażkami, jadalnymi małymi ślimakami morskimi, które trzeba było najpierw wydobyć ze skorup. Hornbeam nie chciał niczego, ale Riddick kupił porcję pobrażków pokropionych octem i podjadał je, rzucając skorupy na ziemię.

Przez chwilę chodzili po okolicy. Zaglądali do karczm, domów gry i burdeli. Wszystkie karczmy były wyposażone w podobne prymitywne meble i w każdej sprzedawano głównie piwo i tani gin. Irlandczycy nie grali w karty ani kości; Hornbeam przypuszczał, że nie mają na to pieniędzy. Bella Lovegood, która zdążyła się już trochę zestarzeć, była teraz panią własnego lokalu; czterech młodych Irlandczyków czekało w nim, aż któraś z dziewcząt będzie wolna. U Cullivera nie zobaczyli cudzoziemców, pewnie dlatego, że ceny były tu zbyt wysokie dla robotników.

Nim wrócili do Rzeźnika, słońce zaczęło się już chować za horyzontem, a klienci zrobili się wyraźnie głośniejsi. Poślaniec czekał na nich z wiadomością, że porucznik Donaldson postawił w stan gotowości trzy kompanie milicji.

– Trzymaj się mnie – nakazał mu Riddick. – Być może będę musiał przesłać następną wiadomość.

W karczmie było głośno, ale spokojnie. Riddick zamówił następny kufel piwa, a Hornbeam kieliszek madery, po czym obaj wyszli na zewnątrz, gdzie powietrze było wciąż ciepłe, lecz świeższe. Hornbeam zaczął wierzyć, że wszystko dobrze się ułoży.

Paru klientów karcio dzieci, które biegały po podwórku. Co jakiś czas któreś wpadało na dorosłego i umykało szybko bez przeprosin. Hornbeam przyglądał się temu z niepokojem.

– Zastanawiam się, czy nie powinniśmy poprosić, żeby ludzie pilnowali dzieci albo w ogóle zabrali je do domu.

Przed karczmą pojawił się mężczyzna z dużymi kawałkami ciasta korzennego i zaczął je sprzedawać klientom. Hornbeam dostrzegł, jak mniej więcej ośmioletni chłopiec wyrywa ciasto z dłoni młodej kobiety i wsadza sobie do ust. Nie był jednak dość szybki, bo towarzysz kobiety złapał go za ramię.

– Mały złodziej! – wrzasnął.

Chłopiec próbował się wyrwać, nie miał jednak szans w konfrontacji z dorosłym, krzyczał więc tak przeraźliwie, że ludzie odwracali się w jego stronę.

Hornbeam rozpoznał w mężczyźnie trzymającym dziecko Nata Hammonda, jednego z młodych chuliganów, którzy przesiadywali w Pod Rzeźnikiem. Hammond stawał też już kilkakrotnie przed sądem, oskarżany o napaść.

Po chwili podszedł do niego Irlandczyk i powiedział:

– Zostaw małego Mikeya.

– O cholera – mruknął Riddick.

Hammond potrząsnął chłopcem agresywnie.

– Twój? – rzucił.

– Puść mojego syna, bo pożałujesz – odparł Irlandczyk.

– Biegnij do koszar – zwrócił się do posłańca Riddick – i powiedz Donaldsonowi, żeby jak najszybciej sprowadził tu milicję.

Mikey, ośmielony przybyciem ojca, z całej siły kopnął trzymającego go człowieka w piszczel. Hammond krzyknął ze zdumienia i bólu, po czym uderzył

chłopca w twarz, jednocześnie wypuszczając jego ramię. Dzieciak upadł na ziemię; z jego zadartego małego nosa ciekła krew.

Jego ojciec doskoczył do młodego zbira i uderzył go w brzuch tak, że Hammond zgiął się wpół.

– Zobaczymy, czy odważysz się uderzyć mnie, a nie małego chłopca – powiedział Irlandczyk.

Riddick złapał ramię teścia.

– Odsuńmy się – powiedział.

Hornbeam posłuchał tej rady. Kiedy się wycofywali, dwaj mężczyźni – miejscowy i Irlandczyk – próbowali rozdzielić walczących, szybko jednak zaczęli walczyć między sobą. W ten sam sposób dołączali do nich kolejni: najpierw starali się uspokoić tych, którzy się bili, po czym sami wdawali się w bójkę. Kilka kobiet postanowiło pomóc mężom i dołączyło do awantury. Wrzaski i odgłosy walki wywabiły klientów z Pod Rzeźnikiem i Brudnej Kaczki. Mężczyzna sprzedający pobrzechki próbował chronić swój towar, ale ponieważ robił to, rozdając razy na prawo i lewo, wkrótce i jego wciągnięto w awanturę, a beczkę przewrócono. Odtoczyła się na bok i z jej wnętrza wypłynęły pobrzechki w morskiej wodzie.

Ku przerażeniu Hornbeama wkrótce przed karczmą walczyło co najmniej pięćdziesiąt osób. Rozejrzał się, ale nie dojrzał ani jednego milicjanta. Zastanawiał się gorączkowo, jak ratować sytuację, wiedział jednak, że jeśli spróbuje interweniować, stanie się mimowolnym uczestnikiem bójki.

Wiedział też, że ten incydent zdyskredytuje irlandzkich łamistrajków, a także jego. Zanosilo się na prawdziwą katastrofę, bo bijatyka rozszerzała się na przyległe ulice, kiedy z kolejnych szynków zaczęli wychodzić klienci. Być może będzie musiał nawet odesłać Irlandczyków do domu.

A strajkujący będą zacierać ręce, pomyślał ze złością.

W końcu pojawił się Donaldson z milicjantami. Niektórzy mieli muszkiety, ale wielu było nieuzbrojonych. Donaldson rozkazał muszkietierom stanąć w większej

odległości od tłumu i przygotować broń do strzału, a pozostałym polecił aresztować każdego, kto brał udział w walce.

Hornbeam chętnie kazałby im od razu otworzyć ogień, wiedział jednak, że wtedy narobiłby sobie jeszcze większych kłopotów.

Milicjanci zaczęli wyciągać ludzi z tłumu i krępować ich. Po jakimś czasie Hornbeam zauważył, że zaczyna to przynosić efekty: niektórzy z awanturników przerywali walkę i uciekali, by nie trafić do aresztu.

– Musimy to rzucić na ten nowy związek – zwrócił się do zięcia. – Dopilnuj, żeby aresztowano wszystkich strajkujących, którzy tu są.

– Nie wiem, którzy to – odparł Riddick.

– Więc szukaj przywódców: Jarge’a Boxa, Jacka Campa, Sal Box albo Spade’a.

Hornbeam wiedział, że bez trudu znajdzie ludzi, którzy zeznają pod przysięgą, że to przywódcy strajku celowo sprowokowali bójkę.

– Dobry plan. – Riddick skinął głową i wydał rozkazy Donaldsonowi.

Jeśli dopisze im szczęście, milicja zatrzyma jakichś strajkujących.

Wkrótce sytuacja zaczęła się uspokajać. Coraz więcej ludzi uciekało, a wielu z tych, którzy tego nie zrobili, leżało na ziemi i jęczało z bólu. Hornbeam domyślał się, że Irlandczycy, którzy uniknęli aresztowania, wrócili do swoich domów po drugiej stronie rzeki.

Teraz musiał znaleźć jakiś sposób, by ograniczyć szkody do minimum.

– Ilu aresztowaliście? – spytał Riddicka.

– Koło trzydziestu. Na razie kazałem ich zamknąć w szopie za karczmą.

– Zabierz ich do więzienia. Spisz wszystkie nazwiska i inne szczegóły, a potem przyjdź do mnie. Irlandczyków wypuścimy. Jutro z samego rana zwołam posiedzenie sądu, choć to niedziela. Wymierzę surowe kary strajkującym i ich przywódcom, dla pozostałych będę łagodny. Chcę, żeby mieszkańcy Kingsbridge zrozumieli, że to związek wywołał tę awanturę i sprowokował Irlandczyków.

– Dobry plan – przyznał Riddick.

Jego teść wrócił do domu i tam czekał na rozwój wypadków.

*

Do gospody U Bella wpadł mały chłopiec i podbiegł do Spade'a.

– Nasi biją się z łamistrajkami koło karczmy Pod Rezeźnikiem! – wysapał. – Milicja aresztuje ludzi!

– I dobrze, że się biją! – powiedział Jarge, wstając. – Lepiej chodźmy tam jak najszybciej.

– Siadaj, Jarge – przykazał mu stanowczo Spade.

– Co? Będziemy tu siedzieć i popijać piwo, kiedy nasi sąsiedzi biją się z łamistrajkami? Ja na pewno nie!

– Pomyśl tylko przez chwilę, Jarge. Jeśli tam pójdziemy, na pewno aresztują przynajmniej niektórych z nas.

– Bywają gorsze rzeczy.

– A potem zaciągną nas przed sąd. A sędziowie powiedzą, że Irlandczycy są niewinni, bo zamieszki wywołali strajkujący.

– Pewnie i tak będą tak mówić, nie?

– Nie mogą, bo wszyscy jesteśmy tutaj. Właściwie wszyscy tkacze Hornbeama siedzą tu z nami przez cały wieczór i piją piwo. I jest tu z pięćdziesięciu innych ludzi, którzy mogą to poświadczyć, łącznie z właścicielem, krewnym jednego z radnych.

– Więc... więc... – Jarge potrzebował minuty, by to zrozumieć. – Więc będą musieli obwinić łamistrajków.

– Właśnie.

Jarge nadal się zastanawiał.

– Wiedziałeś, że do tego dojdzie, Spade? – spytał w końcu.

– Myślałem, że to prawdopodobne.

– I dlatego nie chciałeś, żebyśmy poszli w poniedziałek pod Świński Zakład?

– Tak.

– I dlatego kazałeś nam tu wszystkim przyjść dziś wieczorem.

– Tak.

– A niech mnie. – Jarge roześmiał się. – Już to mówiłem, Spade: szczwany z ciebie lis.

*

W niedzielę rano po mszy burmistrz Frank Fishwick zorganizował naprędce spotkanie w ratuszu. Zaproszono na nie wszystkich najważniejszych sukienników w mieście, anglikańskich i metodystycznych. Znaleźli się wśród nich zarówno Hornbeam, jak i Spade.

Spade wiedział, że zaproszono go nie ze względu na jego bogactwo, lecz dlatego, że utrzymywał bliskie stosunki z robotnikami. Mógł powiedzieć pozostałym, co myślą i robią ich podwładni.

Burmistrz był tęgim mężczyzną po pięćdziesiątce, z siwą brodą. Cieszył się autorytetem wśród mieszkańców. Uważał, że jego zadaniem jest dbanie o to, by sukiennicy z Kingsbridge mogli bez przeszkód prowadzić interesy – nie zaprzętał sobie głowy takimi głupstwami jak prawa człowieka – ale nie był tak agresywny jak Hornbeam. Spade nie miał pojęcia, po czyjej stronie dziś stanie.

– Jestem pewien, że wszyscy zgodzimy się co do jednego – zaczął Fishwick. – Nie możemy pozwolić, by na ulicach Kingsbridge toczyły się regularne bitwy. Musimy natychmiast to powstrzymać.

Hornbeam od razu przeszedł do ataku.

– Moi irlandzcy robotnicy spokojnie wydawali godziwie zarobione pieniądze w sobotni wieczór, kiedy zostali zaatakowani przez zbirów – powiedział. – Wiem to na pewno, bo przy tym byłem.

Wszyscy spojrzeli na Spade'a, przekonani, że mu się przeciwstawi, lecz ten milczał.

Ktoś go jednak wyręczył, na co po cichu liczył. Amos Barrowfield był spokojnym, małomównym mężczyzną, który często zyskiwał sobie przychylność ludzi swoimi jednoznacznymi poglądami.

– Nie obchodzi mnie to, kto zaczął bójkę – oświadczył cierpkim tonem. – Do awantury doszło dlatego, że do Kingsbridge sprowadzono ponad stu cudzoziemców, łamistrajków.

– Miałem do tego pełne prawo! – odparł gniewnie Hornbeam.

– Temu nie mogę zaprzeczyć, ale czy to coś zmienia? – Amos wzruszył ramionami. – Co się wydarzy w następną sobotę, panie Hornbeam? Może wie pan, co zrobić, żeby to się nie powtórzyło?

– Oczywiście, że wiem. Wczorajsza bójka została celowo wywołana przez związek, do którego należą niezadowoleni tkacze z moich zakładów. Trzeba ich powstrzymać i zabronić dalszej działalności.

– To ciekawe – mruknął Amos. – Jeśli to prawda, to oczywiście winnych należy ukarać. Zakładam jednak, że zwołał pan na dziś rano posiedzenie sądu, żeby zająć się tymi, których wczoraj aresztowano, i...

– Tak, ale...

– Proszę pozwolić mi dokończyć – rzucił Amos podniesionym tonem. – Domagam się głosu.

– Proszę nie przeszkadzać, panie Hornbeam – upomniał radnego Fishwick. – Wszyscy jesteśmy tu równi.

Spade był zadowolony: interwencja Fishwicka oznaczała, że nie wszystko musi się ułożyć po myśli Hornbeama.

– Dziękuję, panie burmistrzu. – Amos skinął głową. – Panie Hornbeam, o ile mi wiadomo, wśród zatrzymanych nie było żadnego z tkaczy pracujących w pana zakładach ani żadnego z założycieli związku.

– Bo byli bardzo sprytni! – zawołał Hornbeam.

– Tak sprytni, że być może przezornie unikali awantury i dlatego są niewinni.

Hornbeam poczerwieniał ze złości, ale zabrakło mu słów.

Spade uznał, że najwyższy czas, by to on zabrał głos.

– Mogę to potwierdzić, panie burmistrzu – powiedział. – Pozwoli pan?

– Proszę, panie Shoveller.

– Strajkujący oraz kilku sympatyków spotkali się wczoraj wieczorem, by omówić pewne ważne kwestie. Tak się złożyło, że byłem wtedy w gospodzie U Bella, i mogę potwierdzić, że spędzili tam cały wieczór. Poinformowano ich o zamieszkach, ale postanowili nie podejmować żadnych działań. Zostali U Bella do czasu, aż sytuacja całkiem się uspokoiła. Mogą to potwierdzić właściciel lokalu, jego pracownicy i co najmniej pięćdziesięciu innych klientów. Mogę więc z całkowitą pewnością powiedzieć, że strajkujący i ich poplecznicy nie mieli z tym nic wspólnego.

– Ale mogli to zorganizować – zauważył Hornbeam.

– Być może – przyznał Amos. – Ale nie ma na to żadnych dowodów. A nie możemy działać wyłącznie na podstawie pana przypuszczeń.

– W takim razie powinniśmy chyba porozmawiać o tym, co zrobić, by zakończyć strajk i zapobiec kolejnym tego rodzaju konfliktom w naszym mieście – powiedział Fishwick. – Oczywiście nie możemy prosić naszego przyjaciela Hornbeama, by zrezygnował z wykorzystywania nowych krosien parowych; nie możemy sztucznie powstrzymywać postępu.

– Dziękuję przynajmniej za to – mruknął Hornbeam.

– Ale może mógłby pójść na jakieś ustępstwa, które zadowolilyby robotników – dodał Fishwick. – Panie Shoveller, pan częściej kontaktuje się z robotnikami. Jak pan myśli, co mogłoby ich nakłonić do powrotu do pracy?

– Nie mogę się wypowiadać w ich imieniu – odparł Spade i od razu wyczuł rozczarowanie większości obecnych. – Ale być może mogę zasugerować jakieś rozwiązanie, które posunie sprawę do przodu.

– Proszę mówić. – Burmistrz skinął głową.

– Możemy wyznaczyć małą grupę sukienników, trzech albo czterech, żeby spotkali się z przedstawicielami robotników. Być może zdołają im wytłumaczyć, które z postulatów są nie do spełnienia, a o których można dyskutować. Kiedy tych kilku sukienników zawarłoby tego rodzaju porozumienie, poinformowałoby o tym

pana Hornbeama, a przedstawiciele robotników porozmawialiby ze strajkującymi kolegami. Wtedy być może udałoby się osiągnąć kompromis.

Wszyscy sukiennicy wielokrotnie prowadzili negocjacje, rozumieli więc język targów i kompromisów. Zgromadzeni pomrukiwali i kiwali głowami na znak aprobaty.

– Oczywiście negocjatorzy obu stron nie mogliby podejmować decyzji w imieniu pana Hornbeama ani robotników – dodał zachęcony Spade. – Mimo to byłoby dobrze, gdyby reprezentowali konkretną władzę, proponuję więc, by pan, panie burmistrzu, przewodził rozmowom.

To również spotkało się z akceptacją pozostałych.

– Jestem do usług, oczywiście – odpowiedział Fishwick. – Panie Shoveller, pan też z pewnością bardzo by pomógł w rozmowach.

– Dziękuję. Chętnie zrobię, co tylko w mojej mocy.

– I pani Bagshaw! – zawołał ktoś.

Spade'owi spodobał się ten pomysł. Cissy Bagshaw była jedyną kobietą wśród sukienników Kingsbridge; prowadziła interes, który odziedziczyła po mężu. Była inteligentna i otwarta.

– I może pan Barrowfield? – zaproponował Fishwick.

I znów wszyscy się zgodzili.

– Doskonale – powiedział burmistrz. – Jeśli państwo pozwolicie, chciałbym zabrać się do pracy już dziś.

I tak oto związek został oficjalnie uznany, pomyślał Spade z satysfakcją. Ciekawe, co zrobi teraz Hornbeam.

*

– Czy inni mężczyźni też to robią? – spytała Spade'a Arabella.

– Nie wiem – odparł.

Rozczesywał grzebieniem jej włosy łonowe.

– Żaden mężczyzna nie przyglądał mi się właśnie tam.

– Ale udało ci się począć Elsie...

– W ciemności.

– Biskupi muszą to robić w ciemności?

– Pewnie mają takie zasady. – Zachichotała.

– Więc jestem pierwszym mężczyzną, który ogląda tę wspaniałą złocistą rdzawość.

– Tak. Au! Nie ciągnij.

– Przepraszam. Lepiej to pocałuję... Ale muszę je rozplątać.

– Nie musisz, tylko chcesz.

– Zrobić ci przedziałek?

– To byłoby już w złym guście.

– Skoro tak mówisz... O, teraz wygląda to znacznie porządniej. – Usiadł na łóżku obok Arabelli. – Zachowam ten grzebień na zawsze.

– Nie uważasz, że jestem tam brzydka?

– Wręcz przeciwnie.

– To dobrze. – Zamilkła na moment i Spade domyślił się, że coś ją nurtuje. – Hm... muszę ci coś powiedzieć... – Zawahała się. – Spałam z nim dwie noce temu.

Uniósł brwi.

– Wypił mnóstwo porto tego wieczoru, a potem jeszcze poprawił brandy. Musiałam pomóc mu się rozebrać. Od razu padł na łóżko i zaczął chrapać. Zrozumiałam, że nadarza się okazja.

– Położyłaś się z nim.

– Tak.

– I...

– I przez całą noc tylko pierdział.

– Faj...

– Był zdumiony, kiedy po przebudzeniu zobaczył mnie obok siebie. Minęły już całe lata, odkąd spaliśmy razem.

Spade był zafascynowany, ale i pełen obaw. Bał się, że konflikt między Arabellą i biskupem wszystko zepsuje.

– Co powiedział?

– Spytał: „Co ty tutaj robisz?”.

Spade parsknął śmiechem.

– Żeby mąż pytał o takie rzeczy żonę w łóżku! Co odpowiedziałaś?

– „Wczoraj wieczorem byłeś bardzo natarczywy”. I starałam się wyglądać na zawstydzoną.

– To musiał być niezwykle widok. Jakoś nie potrafię sobie tego wyobrazić.

– Och, panie Shoveller, przez pana się czerwienię. – Bardzo dobrze udawała nieśmiałą dziewczynę.

Roześmiał się.

– Potem chciał wiedzieć, co się wydarzyło. „Czy ja naprawdę...?”, spytał, a ja potwierdziłam. Co było kłamstwem, oczywiście. I żeby wyglądało to trochę wiarygodniej, dodałam: „Nie trwało to zbyt długo, ale wystarczająco”.

– Uwierzył ci?

– Chyba tak. Wyglądał na zszokowanego, a potem powiedział, że boli go głowa. Odparłam, że wcale mnie to nie dziwi, skoro popił porto brandy.

– I co zrobiłaś potem?

– Poszłam do swojego pokoju, wezwałam pokojówkę i powiedziałam jej, żeby wysłała do biskupa lokaja z dużym dzbankiem herbaty.

– Więc teraz, kiedy powiesz mu, że jesteś w ciąży...

– Przypomnę mu o tamtej nocy.

– Zrobiłaś to tylko raz.

– Każda ciąża jest wynikiem tylko jednego stosunku.

– Da się nabrać?

– Tak myślę.

Sukiennicy spotkali się ponownie tydzień później, w tym samym miejscu i o tej samej porze.

Spade uważał, że samo osiągnięcie porozumienia jest ważniejsze od konkretnych warunków. Dzięki temu zarówno właściciele zakładów, jak i robotnicy doceniliby wartość pertraktacji.

Burmistrz zdał relację z rozmów.

– Przede wszystkim – zaczął – robotnicy zgłosili dwa żądania, na które, jak ich ostrzeżyliśmy, ich chlebodawcy nigdy się nie zgodzą.

To Spade wpadł na pomysł, by tak właśnie przedstawić najważniejsze informacje.

– Poprosili, by odesłać Irlandczyków.

– Nie ma mowy – rzucił Hornbeam.

Fishwick zignorował go.

– Wy tłumaczyliśmy im, że ta decyzja należy do radnego Hornbeama – powiedział. – Choć być może niektórzy sukiennicy uważają, że Irlandczycy powinni wrócić do siebie, nie możemy tego nakazać panu Hornbeamowi.

– Niestety – mruknął ktoś.

– Po drugie, zażądali, żeby nie tylko ci wyrzuceni z pracy robotnicy, którzy przebywają w przytułku w Kingsbridge, otrzymywali zapomogę parafialną.

Robotnicy nienawidzili tego miejsca. Było tam zimno i niewygodnie, a przede wszystkim czuli się w przytułku upokorzeni. Właściwie nie różnił się szczególnie od więzienia.

– W tym wypadku też musieliśmy im wyjaśnić, że nie mamy wpływu na sposób przydzielania zapomóg, bo kieruje tym Kościół – dodał Fishwick.

Przed dzisiejszym spotkaniem Spade zaproponował burmistrzowi, by właśnie w ten sposób przedstawił rozmowy ze strajkującymi, zakładał bowiem, że sukiennicy poczują się pewniej, gdy usłyszą, jak stanowczo sprzeciwiali się niektórym z żądań robotników. Przypuszczał też, że dzięki temu będą bardziej skłonni do ustępstw w innych kwestiach.

– Jeśli chodzi o trzeci postulat – ciągnął Fishwick – to proponuję go zaakceptować. Chodzi o to, by robotnicy zastąpieni przez maszyny byli traktowani priorytetowo, gdy będą szukać innej pracy. Jeśli rada się na to zgodzi... a większość z nas jest jej członkami... może podjąć uchwałę, zgodnie z którą w Kingsbridge będzie obowiązywała taka procedura. To pozwoli załagodzić obecny kryzys i ułatwi sukiennikom wprowadzanie w przyszłości nowych maszyn.

Spade obserwował twarze zgromadzonych i widział, że większość z nich zgadza się z tą propozycją.

– Żeby ten system działał sprawnie, warto spełnić jeszcze dwa warunki. Po pierwsze, przed instalacją nowych maszyn właściciel powinien objaśnić ich działanie robotnikom i ustalić, ilu z nich będzie je obsługiwało, a ilu straci pracę.

Jak można się było spodziewać, Hornbeam odniósł się do tej propozycji z pogardą.

– Więc muszę się konsultować z robotnikami, zanim kupię nową maszynę? To niedorzeczne!

– Niektórzy z nas robią to tak czy inaczej – wtrącił Amos. – To ułatwia pracę.
Hornbeam prychnął wzgardliwie.

– A po drugie – kontynuował Fishwick – przedstawiciele pracodawców i robotników powinni w przyszłości sprawdzać, czy obie strony przestrzegają wszelkich ustaleń, by rozwiązać problem, nim dojdzie do kryzysu.

To był całkiem nowy pomysł, w dużej mierze sprzeczny z tym, jak większość sukienników traktowała dotąd robotników. Lecz tylko Hornbeam otwarcie mu się sprzeciwił.

– Zamienicie robotników w panów – stwierdził zjadliwym tonem. – A panów w robotników.

Fishwick westchnął ciężko.

– Ludzie siedzący przy tym stole nie są głupcami, panie Hornbeam – powiedział z irytacją. – Potrafimy utrzymać odpowiednie relacje z robotnikami.

Odpowiedział mu pomruk aprobaty.

Hornbeam uniósł ręce w geście bezsilności.

– Śmiało, róbcie, co chcecie. Kim jestem, by stać wam na drodze?

Spade był zadowolony. Właśnie takiego rozwiązania oczekiwali Sal i Jarge, więc mogli zakończyć strajk. Związek stanie się w ten sposób stałą częścią branży sukienniczej w Kingsbridge. Spade miał jednak jeszcze jedną rzecz do powiedzenia.

– Robotnicy będą zadowoleni, że udało nam się osiągnąć kompromis, ale dali nam wyraźnie do zrozumienia, że nie wolno nam karać liderów strajku. To z pewnością doprowadziłoby do zerwania umowy.

Zebrani milczeli, osuwając się z tą informacją.

– Na tym kończymy dzisiejsze spotkanie – oświadczył w końcu burmistrz. – Życzę wam wszystkim miłego niedzielnego popołudnia.

Kiedy zbierali się do wyjścia, Hornbeam wypuścił zatrutą strzałę.

– Wszyscy poddaliście się temu związkowi – skwitował. – Ale to nie potrwa długo. Wkrótce wszystkie związki zawodowe będą całkowicie nielegalne. – Odpowiedziała mu pełna zdumienia cisza. – Do widzenia wszystkim – rzucił jeszcze i wyszedł z sali.

ROZDZIAŁ 22

Większość sukienników uważała, że Hornbeam, ogarnięty złością z powodu bezsilności, opowiadał bzdury. Spade nie zgadzał się z nimi. Był pewien, że Hornbeam nie skłamałby w kwestii, którą łatwo sprawdzić, bo wyszedłby na głupca. W tym, co mówił, musiało być ziarno prawdy. Każda groźba z jego strony budziła niepokój Spade'a, wybrał się więc do Charlesa Midwintera.

Pastor uważał, że metodyści powinni być dobrze poinformowani o sprawach swojego kraju, nawet jeśli nie było ich stać na gazety i czasopisma, prenumerował więc kilka tytułów i przechowywał je w czytelni domu modlitw. Spade poszedł tam, by przejrzeć ostatnie numery. Opowiedział Midwinterowi o słowach, które Hornbeam wypowiedział na koniec spotkania, i pastor pomógł mu szukać wzmianek o ustawach skierowanych przeciwko związkom zawodowym. Siedzieli po przeciwnych stronach taniego stołu w małym pokoju z dużym oknem i kartkowali gazety, poczynając od najnowszych.

Nie musieli szukać długo.

Dowiedzieli się, że siedemnastego czerwca – w miniony poniedziałek – premier William Pitt przedstawił projekt Ustawy o stowarzyszeniach, która zabraniała robotnikom działać wspólnie – „stowarzyszać się” – by domagać się wyższych płac lub w jakikolwiek inny sposób naruszać wolność właścicieli czy kwestionować ich decyzje. Ustawa była reakcją na plagę strajków. Spade uważał, że określenie „plaga” to przesada, ale musiał przyznać, że ostatnio coraz częściej dochodziło do niepokojów w branżach dotkniętych wysokimi podatkami wojennymi i malejącym popytem.

Relacje z parlamentu były krótkie, a szczegóły nieliczne, i pewnie dlatego Spade przeoczył te informacje w czasie codziennej lektury prasy. Uważna analiza

artykułów wskazywała jednak wyraźnie, że związki zawodowe zostaną zdelegalizowane.

A to zmieni wszystko. Robotnicy zostaną armią bez broni.

Następnego dnia po przedstawieniu ustawy odbyło się pierwsze czytanie, a kolejnego drugie w Izbie Gmin.

– Wielkie nieba, co za tempo – mruknął Midwinter.

– Łajdacy chcą to jak najszybciej wprowadzić – odparł Spade.

Zgodnie z procedurą parlamentarną ustawę odesłano do komisji, która miała ją dokładnie przejrzeć i wydać o niej opinię.

– Wie pan, ile to może potrwać? – spytał Spade.

Midwinter nie był pewien.

– Myślę, że to zależy od ustawy.

– To ważne. Być może mamy mało czasu. Spytajmy o to naszego posła.

– Ja nie jestem wyborcą – odparł Midwinter, który nie miał majątku, a tym samym nie spełniał wymogu związanego z potencjalnymi rocznymi dochodami.

– Ale ja jestem – powiedział Spade. – I może pan pójść ze mną.

Wyszli z domu modlitw. Czerwcowe słońce ogrzewało ich twarze, gdy szli szybko na rynek, a stamtąd do Domu Willarda.

Wicehrabia Northwood kończył właśnie obiad i zaproponował im porto. Na stole były orzechy i ser. Midwinter podziękował za porto, ale Spade chętnie przyjął kieliszek. Było bardzo dobre, łagodne i słodkie, z ożywiającą nutą brandy.

Spade przytoczył słowa Hornbeama i powiedział, co odkryli w gazetach z zeszłego tygodnia. Northwood był zaskoczony informacją o Ustawie o stowarzyszeniach, ale też nigdy nie przejmował się zbytnio parlamentarnymi obowiązkami.

– Nie podoba mi się to – rzucił. – I rozumiem wasze obawy. Oczywiście należy unikać niepokojów, ale kompletny zakaz współdziałania we własnej obronie to zwykłe zastraszanie. A nie cierpię ludzi, którzy zastraszają słabszych.

– W Kingsbridge związek robotników pomógł zakończyć strajk – powiedział Spade.

– Nie wiedziałem o tym – zdziwił się Northwood.

– To stało się właściwie dzisiaj. Ale proszę mi wierzyć, bez związków będzie więcej takich konfliktów, a nie mniej.

– Hm... muszę się dowiedzieć czegoś więcej o tej ustawie.

– Ile to może potrwać, milordzie? – spytał Spade, choć wiedział, że ponaglanie arystokraty nie świadczy o dobrych manierach.

Northwood uniósł brwi, ale postanowił się nie obrażać.

– Napiszę jeszcze dziś – obiecał. – Mój człowiek w Londynie zbada sprawę.

– Zastanawiam się, kiedy komisja wyda opinię o tej ustawie – nie ustępował Spade.

– Biorąc pod uwagę pośpiech, z jakim zajmuje się tym rząd, prawdopodobnie stanie się to za kilka dni.

– Czy możemy zrobić coś, by nakłonić parlament do zmiany zdania?

– Robotnicy nie mogą głosować, więc zwykle, jeśli chcą wpłynąć na parlament, wysyłają petycję.

– Zabiorę się za to już dziś.

W następny piątek przysłała odpowiedź z Londynu na list Northwooda. W gabinecie wicehrabiego naprzeciwko katedry siedział Clement Keithley, niski, tęgi łyсы mężczyzna. Wyjaśnił Spade'owi, że jest prawnikiem i asystentem posła Benjamina Hobhouse'a. Pan Hobhouse znał Kingsbridge, bo jego ojciec był kupcem z Bristolu.

Keithley, który uczęszczał z Hobhouse'em do gimnazjum w Bristolu, oznajmił z dumą, że ten sprzeciwiał się gwałtownie przyjęciu Ustawy o stowarzyszeniach, ale jego głos nie wystarczył do jej odrzucenia i teraz miała nad nią obradować Izba Lordów.

– Rząd pana Pitta bardzo się z tym spieszy, prawda? – zauważył Northwood.

– W rzeczy samej, lordzie. Jego przeciwnicy nie mieli nawet czasu, by przygotować petycje.

– Mamy już petycję z kilkoma setkami podpisów – oznajmił Spade.

– Więc trzeba ich zdobyć jeszcze więcej i przedstawić Izbie Lordów. – Keithley odwrócił się do Northwooda. – Czy byłby pan gotowy, lordzie, zwołać spotkanie, na którym wyjaśniłby pan tę sprawę swoim wyborcom?

– Bardzo dobry pomysł. Kiedy powinienem to zrobić?

– Dziś albo jutro. Nie możemy zwlekać.

– Hm... myślę, że dałoby się to zorganizować jutro.

– Pójdę zaraz sprawdzić, czy jakaś Sala Zebrań jest jutro wolna – powiedział Spade.

– Byłbym wdzięczny. – Northwood skinął głową.

– Być może pan Keithley zechciałby mi towarzyszyć i rzucić okiem na miejsce, w którym będzie przemawiał.

– Tak, chętnie – zgodził się prawnik.

Gdy znaleźli się przed budynkiem, przystanął, by przyjrzeć się katedrze. Spade pomyślał, że ten budynek prezentuje się najlepiej w blasku słońca.

– Pamiętam to – odezwał się Keithley. – Pewnie przychodziłem tu jako dziecko. Wspaniale. I wszystko to stworzono bez maszyn.

– Nie jestem przeciwny maszynom – wyznał Spade. – Zresztą i tak nie da się powstrzymać tych zmian. Ale możemy złagodzić ból.

– Otóż to.

Przeszli Main Street do budynku Sal Zgromadzeń przy skrzyżowaniu. Drzwi były otwarte. Wewnątrz kilka osób zajmowało się sprzątaniami. Spade zaprowadził prawnika do biura zarządcy. Tak, główna sala będzie wolna w sobotę wieczorem i oczywiście zarządca chętnie udostępni ją wicehrabiemu Northwoodowi na spotkanie polityczne.

Zatrzymali się w sali balowej. Słońce wpadające przez okna złociło kurz wzbijany przez sprzątaczy.

– Mnóstwo miejsca, jak pan widzi – powiedział Spade. – W Kingsbridge mieszka około dwustu wyborców, ale zakładam, że wpuszczymy też robotników.

– Och, zdecydowanie. Wasz poseł musi zobaczyć, jaką siłę mają emocje ludzi, których próbuje się oszukać. Ilu robotników jest w Kingsbridge?

– W zakładach włókienniczych około tysiąca.

– Proszę ich zachęcić do przyjścia.

– Rozpuszczę wieści.

– Wspaniale. Proponuję, byście zebrali podpisy pod petycją zaraz po spotkaniu, a ja zabiorę je w niedzielę do Londynu.

– Proszę szczerze przyznać, jakie pańskim zdaniem mamy szanse na powstrzymanie tej ustawy? – spytał Spade.

– Nie da się jej powstrzymać – odparł Keithley. – Podobnie jak maszyn. Jedyne, na co możemy liczyć, to zmodyfikowanie niektórych przepisów. Złagodzenie bólu, jak pan to ujął.

Spade był rozczarowany i zły. Chciałbym zasiadać w parlamencie, pomyślał. Dałbym popalić tym sukinsynom.

*

Sal uznała, że prawnik z Londynu wygląda dość nijako. Dobrzy mówcy często zachwycali nieprzeciętną prezencją, jak choćby Charles Midwinter, lecz Keithley był raczej jego przeciwieństwem. Miała tylko nadzieję, że nie będzie jak wielebny Bartholomew Small, który zanudzał słuchaczy. Chciała, by robotnicy zapłonęli gniewem.

Spotkanie przyciągnęło ogromny tłum. Znaleźli się w nim najważniejsi sukiennicy w mieście i kilkuset robotników. Wszystkie miejsca siedzące były zajęte i wiele osób stało pod ścianami. Na podwyższeniu stał stół. Wicehrabia Northwood siedział za nim, pośrodku, co oznaczało zapewne, że to on będzie przewodził zebraniu. Po jego jednej ręce zajął miejsce burmistrz Fishwick, a po drugiej

Keithley, a obok niego Spade. Sal była na widowni; choć odgrywała kluczową rolę w strajku, nikt nawet nie pomyślał, by kobieta mogła znaleźć się na podwyższeniu.

Z boku sali, przy innym stole, siedziała Elsie Mackintosh z kartkami papieru, piórami i atramentem, gotowa zbierać podpisy pod petycją.

Northwood otworzył spotkanie. Miał dobre intencje, ale mówił tak, jakby przygotowywał żołnierzy do bitwy.

– Posłuchajcie mnie uważnie – zaczął. – Dowiemy się ważnych rzeczy o ustawie, którą proceduje właśnie parlament, więc musicie wysłuchać tego, co powie pan Keithley, który przyjechał tu z samego Londynu, by do nas przemówić.

Prawnik był bardziej rozluźniony.

– Jeśli ta ustawa zostanie uchwalona w obecnym kształcie, zmieni życie wszystkich pracujących fizycznie mężczyzn, kobiet i dzieci w tym kraju – rozpoczął. – Jeśli więc nie będziecie czegoś rozumieć, wstańcie, proszę, i poproście o wyjaśnienie konkretnej kwestii. Możecie mi przerywać, nie mam nic przeciwko temu.

Sal wiedziała, że tak właśnie powinno się zwracać do robotników, bo ci nie lubili, kiedy ktoś mówił do nich w sztywny sposób.

Keithley zaczął od informacji o przyspieszonym procedowaniu ustawy.

– Premier zapowiedział ją w poniedziałek dwa tygodnie temu, pierwsze czytanie odbyło się nazajutrz, a następne kolejnego dnia. Komisja przekazała swoją opinię zaledwie siedem dni później, czyli w ostatnią środę. Izba Gmin rozpatrzy ją pojutrze. Tak im się spieszy, że nie wysłuchali ludu pracującego kraju, którym rządzą. Parlament nie znalazł czasu, by pochylić się nad petycją wysłaną przez londyńskich wytwórców perkalu, występujących przeciwko tej ustawie.

– Skandal! – krzyknął ktoś.

– A co takiego mówi ta ustawa? – Keithley zrobił pauzę dla podkreślenia znaczenia swoich słów. – Posłuchajcie uważnie, przyjaciele. – Podniósł głos. – Otóż mówi, że każdy robotnik, który zjednoczy się z innym robotnikiem... choćby

z jednym!... by prosić o podwyżkę, dopuści się przestępstwa i może zostać ukarany dwoma miesiącami ciężkich robót!

Tłum zareagował okrzykami oburzenia.

Sal pomyślała z ulgą, że Keithley radzi sobie znacznie lepiej, niż przypuszczała. Nie doceniła go.

– Chwileczkę – powiedział ktoś ostrym tonem.

Sal spojrzała w miejsce, z którego dochodził głos, i zobaczyła, jak Hornbeam wstaje z krzesła.

Zauważyła też, że Spade szepcze coś do Keithleya; wyjaśniał mu zapewne, kim jest człowiek, który mu przerwał.

– Pozwolę sobie zauważyć, że ustawa tak samo traktuje właścicieli zakładów i im również zabrania się stowarzyszać – powiedział Hornbeam.

– Dziękuję panu za tę uwagę – odparł Keithley. – Powiedziano mi właśnie, że mam zaszczyt rozmawiać z radnym Hornbeamem, tak?

– Owszem.

– Jest pan sukiennikiem.

– Tak.

– I sędzią pokoju.

– Tak.

– Użył pan określenia „tak samo”, ale przyjrzyjmy się uważniej tym przepisom. – Prawnik odwrócił od niego wzrok. – Ta ustawa, drodzy przyjaciele, pozwoli panu Hornbeamowi oskarżyć dowolnych dwoje robotników o stowarzyszenie się. Będzie wtedy mógł rozstrzygnąć ich sprawę sam, bez udziału innego sędziego czy ławy przysięgłych. Jeśli uzna tych ludzi za winnych, będzie mógł skazać ich na ciężkie roboty... nie konsultując się z nikim.

W tłumie rozległ się pomruk oburzenia.

– Proszę zwrócić uwagę na następujący kontrast – kontynuował Keithley. – Właściciele oskarżeni na mocy tej ustawy muszą być sądzeni przez co najmniej dwóch sędziów i ławę przysięgłych.

– To jawna niesprawiedliwość! – zawołała Sal.

Ludzie przyznali jej głośno rację.

– I nie jest to jedyna tego rodzaju nierówność – dodał Keithley. – Sędzia będzie mógł wypytywać robotników o ich rozmowy z innymi pracownikami, a odmowa udzielenia odpowiedzi będzie uznawana za przestępstwo. „Będziecie zobowiązani do świadczenia przeciwko sobie i swoim współpracownikom, a jeśli odmówicie, zostanieie osadzeni w więzieniu”.

Hornbeam ponownie wstał.

– Zdaje się, że jest pan prawnikiem, panie Keithley – powiedział. – Więc wie pan zapewne, jak trudno udowodnić stowarzyszenie się czy spiskowanie. Ten zapis jest kluczowy dla egzekwowania ustawy. Oskarżeni muszą sami dostarczyć dowody, bo w innym wypadku oskarżyciel nie ma szans na wygraną.

– Dziękuję panu za ten komentarz, panie Hornbeam. Powtórzę pański argument, bo jest niezwykle ważny. Przyjaciele, pan radny stwierdził słusznie, że trudno udowodnić, że ktoś się zrzesza lub spiskuje, jeśli oskarżeni nie zostaną zmuszeni do zeznawania przeciwko sobie. Ten zapis, drodzy przyjaciele, jest kluczowy dlatego, że odnosi się tylko do robotników, a nie ich chlebodawców!

Pomieszczenie wypełnił ryk oburzenia.

Sal uzmysłowiła sobie, że Hornbeam nigdy nie musiał się mierzyć z człowiekiem kalibru Keithleya, doświadczonego i wyjątkowo sprawnego dyskutanta – lepszego nawet od Spade’a, który był w tym mistrzem w Kingsbridge. Hornbeam zwykle wygrywał poprzez zastraszenie, a nie argumenty. Dziś został rozgromiony.

– Ustawa przewiduje prawo do apelacji – bronił się desperacko Hornbeam.

– Dziękuję panu, panie radny. Pana uwagi są bardzo pomocne. Przypomniał mi pan właśnie, że każdy robotnik skazany na podstawie tego prawa może złożyć apelację. To uczciwe postawienie sprawy, prawda? Jedyne, co musi zrobić, to wpłacić dwadzieścia funtów.

Publiczność ryknęła śmiechem. Żaden z pracowników zakładów włókienniczych nigdy w życiu nie widział na oczy takiej kwoty.

– Jeśli jednak jakimś fatalnym zrządzeniem losu taki robotnik akurat nie będzie miał zbędnych dwudziestu funtów...

Tym razem w śmiechu tłumu pojawiła się nuta szyderstwa, a Hornbeam poczerwieniał. Właśnie został publicznie upokorzony.

– ...być może będzie mógł poprosić przyjaciół i znajomych, by zebrali dla niego tę sumę. To duża kwota, ale może by im się udało... Tylko że podejmując taką próbę, tworzyliby stowarzyszenie, a tym samym łamali prawo!

– Więc stawiają nas w sytuacji bez wyjścia! – krzyknął ktoś.

– Jeszcze jedno – dodał Keithley. – Być może niektórzy z was wpłacili pieniądze na fundusz zarządzany przez związek zawodowy albo podobną grupę.

Sal skinęła głową. Związek zebrał pieniądze na utrzymanie strajkujących. Ponieważ strajk szybko się zakończył, zostało im trochę środków.

– Jak myślicie, co mówi o tym ustawa? – Prawnik znów zrobił pauzę, by osiągnąć większy efekt. – Rząd zabierze te pieniądze!

– Cholerni złodzieje! – krzyknął jeden z robotników.

Hornbeam wstał i ruszył do wyjścia.

Keithley wskazał na niego.

– Tak właśnie zdaniem pana radnego wygląda sprawiedliwość – powiedział.

Twarz Hornbeama płonęła żywym ogniem. Gdy zniknął za drzwiami, Keithley dodał:

– Zdaje się, że tak też pojmuje sprawiedliwość nasz premier. Nie uważam, by było to sprawiedliwe, i przypuszczam, że zgadzacie się ze mną.

Z widowni podniosły się okrzyki aprobaty.

– A więc jeśli nie tak pojmujecie sprawiedliwość, być może zechcecie podpisać petycję. – Wskazał na Elsie siedzącą pod ścianą. – Pani Mackintosh ma papier i atrament. Proszę, wpiszcie tam swoje imię i nazwisko albo postawcie krzyżyk i pozwólcie, by pani Mackintosh wpisała wasze dane. – Ludzie zaczęli wstawać

z miejsc i przechodzić do stolika Elsie. Keithley podniósł głos niemal do krzyku. – Jutro zabiorę waszą petycję do Londynu i zrobię wszystko, co w mojej mocy, by parlament zwrócił na nią uwagę!

W kolejce przed stolikiem Elsie stała już ponad połowa uczestników spotkania.

Sal była bardzo zadowolona. Keithley dokładnie wyjaśnił, na czym polega nowa ustawa. Nikt nie mógł mieć wątpliwości co do jej nikczemnych intencji.

Frank Fishwick wstał od stołu, by zabrać głos.

– Jako burmistrz Kingsbridge chciałbym podziękować panu Keithleyowi – zaczął.

Nikt go nie słuchał, więc machnął ręką i umilkł.

*

Spade był zadowolony. Rząd próbował wprowadzić nowe prawo tak, by ludzie tego nie zauważyli, ale nie udało mu się. Keithley jednoznacznie opisał zagrożenie, więc można było mieć nadzieję, że ustawa nie zostanie uchwalona w takiej formie, w jakiej została przedstawiona.

Podczas gdy setki robotników stały w kolejce, by podpisać petycję, Keithley zwrócił się do Spade'a:

– Mógłby pan pojechać ze mną jutro do Londynu?

Spade był zaskoczony, ale po krótkim zastanowieniu odparł:

– Tak. Nie na długo, ale mógłbym pojechać.

– Być może dobrze byłoby mieć przedstawiciela Kingsbridge ze sobą, na wypadek gdyby komisja parlamentarna chciała zasięgnąć informacji z pierwszej ręki.

– Oczywiście.

Podszedł do nich Charles Midwinter i Spade go przedstawił.

– Pastor Midwinter jest skarbnikiem związku utworzonego przez tkaczy Hornbeama – wyjaśnił.

Uścisnęli sobie dłonie.

– Jedno pytanie, jeśli można, panie Keithley? – powiedział pastor.

– Oczywiście.

– Przechowuję dziesięć funtów należących do związku. To datki od mieszkańców Kingsbridge popierających związek. Czy mógłbym coś zrobić, by nie trafiły w ręce rządu?

– Tak – odparł prawnik. – Proszę założyć towarzystwo asekuracyjne.

Towarzystwa tego rodzaju były bardzo popularne. Grupa ludzi wpłacała co tydzień niewielką kwotę, a gdy któryś z nich zachorował albo stracił pracę, towarzystwo wypłacało mu skromne środki na życie. W Anglii działały setki takich organizacji, może nawet tysiące. Władze zachęcały do tworzenia kolejnych, wspierały bowiem ludzi, którzy w innym wypadku ubiegaliby się o zapomogi parafialne.

– Proszę zapisać wszystkich członków związku do towarzystwa i przenieść tam fundusze. Wtedy związek nie będzie miał pieniędzy, które mógłby zabrać rząd.

– Bardzo sprytnie. – Midwinter uśmiechnął się.

– Poza tym towarzystwo może dyskretnie realizować wiele zadań związku zawodowego – dodał Keithley. – Może na przykład prowadzić z właścicielami rozmowy o nowych maszynach, tłumacząc, że wpływa to na wydatki towarzystwa.

Spade’owi podobał się ten pomysł, widział jednak pewien problem.

– A jeśli wygramy i Ustawa o stowarzyszeniach nie zostanie uchwalona?

– Wtedy po prostu podrzecie dokument pozwalający na przeniesienie pieniędzy.

– Dziękuję, panie Keithley – powiedział Midwinter.

– Jak dobrze mieć prawnika pod ręką – skwitował Spade.

*

Spade utrzymywał przyjazne stosunki z jednym ze swoich najlepszych klientów z Londynu, Edwardem Barneyem, młodym kupcem bławatnym. Spade przywiózł ze sobą całą skrzynię próbek, w nadziei że uda mu się coś sprzedać i pokryć w ten sposób koszty podróży. Odwiedził Edwarda w jego domu w Spitalfields. Zaraz po

wejściu do niego zobaczył kosztowne tkaniny – jedwab zwany morą, aksamity, kaszmiry i nietypowe mieszanki – a dalej leżały na półkach bele stosowanej w codziennych ubraniach serży i mieszanki lnu z wełną.

Edward zaproponował mu, by zatrzymał się w mieszkaniu nad magazynem. Spade bardzo chętnie skorzystał z zaproszenia: nie lubił nocować w gospodach, bo nie było w nich ani wygodnie, ani czysto.

Przez tydzień parlament nie zajmował się Ustawą o stowarzyszeniach, więc Spade wykorzystał ten czas na odwiedzenie stałych londyńskich klientów. Wydawało się, że branża powoli wychodzi z kryzysu; eksport do Ameryki w coraz większym stopniu zastępował kulejący handel z Europą.

Pewnego dnia, kiedy już odwiedził wszystkich klientów, rozpoczął pogawędkę z ojcem Edwarda, Sidem. Choć ten miał zaledwie czterdzieści pięć lat, wycofał się z interesu z powodu artretyzmu. Siedział całymi dniami pośród poduszek ułożonych pod jego wykrzywionymi kończynami. Lubiał rozmawiać, bo to pozwalało mu choć na chwilę zapomnieć o bólu i niewygodzie.

Spade opowiedział mu o Ustawie o stowarzyszeniach i reakcji Kingsbridge.

– Znałem kiedyś chłopaka, który nazywał się Hornbeam – powiedział Sid. – Joey Hornbeam. Był sierotą. Wszyscy byliśmy bardzo biedni, ale jakoś z tego wyszedłem. Joey też.

Spade był ciekawy, jak wyglądały dzieciństwo i młodość najbogatszego biznesmena w Kingsbridge.

– Jak mu się to udało? – spytał.

– Najpierw zamiatał podłogi, a potem został posłańcem. Miał oczy i uszy otwarte, uczył się wszystkiego, co mógł, o branży sukienniczej i czekał na okazję. Potem nasze drogi się rozeszły. Ja poślubiłem córkę szefa. Kochana Eth dała mi Edwarda i cztery córki, nim pożegnała się z tym światem, Panie, świeć nad jej duszą.

– A Hornbeam?

– Założył własną firmę.

– Skąd wziął na to pieniądze?

– Nikt do końca tego nie wiedział. Po jakimś czasie sprzedał interes i wyprowadził się z Londynu. Teraz już wiem, dokąd pojechał: do Kingsbridge.

– Był oszustem?

– Prawdopodobnie, choć nie oskarżyłbym go o to otwarcie. Pochodził z St Giles, dzielnicy, w której nie ma prawa i nie ma też dobra ani zła.

Spade skinął głową.

– Jaki był wtedy?

– Twardy – odparł Sid. – Twardy jak skała.

– Nadal taki jest – mruknął Spade.

*

Spade dowiedział się od Keithleya, że siedzibą Izby Lordów była średniowieczna sala Queen's Hall w pałacu westminsterskim, i to zanim Guy Fawkes próbował wysadzić to miejsce w powietrze. Goście mogli wchodzić na salę, ale musieli pozostać za barierką. Kiedy lordowie debatowali nad Ustawą o stowarzyszeniach, Spade stał z łokciami opartymi o barierkę. Nigdy wcześniej nie widział w jednym pomieszczeniu więcej niż jednego, może dwóch arystokratów, a tutaj były ich dziesiątki i towarzyszyli im biskupi. Z zawodową ciekawością przyglądał się ich ubraniom, uszytym z drogich tkanin i dobrze skrojonym. Przemówienia lordów nie były już tak imponujące. Używali wydumanych, niepotrzebnie skomplikowanych wyrażen, które musiał upraszczać w myślach, by zrozumieć, o co chodzi. Może tak właśnie rozmawiała arystokracja.

Kilku mówców poparło ustawę; twierdzili, że „bezprawne” stowarzyszenia robotników są coraz powszechniejsze i zagrażają porządkowi w państwie.

– Bzdura... – mruknął pod nosem Spade. Związków wciąż było za mało. Miliony robotników nie miały się jak bronić przed pazernością chlebobawców. Nie miał wątpliwości, że członkowie Izby Lordów obawiają się rewolucji jak ta we Francji.

Keithley rozmawiał poufale z mężczyzną, który podobnie jak Spade stał z rękami opartymi na barierce. Po chwili prawnik odwrócił się do Spade'a.

– Za chwilę będzie przemawiał lord Holland – oznajmił. Lord Holland był jedynym członkiem Izby Lordów, który sprzeciwiał się wprowadzeniu ustawy w życie.

– A kim jest ten mężczyzna, z którym pan rozmawiał?

– Dziennikarzem. Oni wiedzą wszystko.

– A gdzie jego notes? – spytał Spade, przyjrząwszy się nieznajomemu.

– Nie ma go przy sobie – odparł Keithley. – Regulamin Izby Gmin nie pozwala na sporządzanie notatek.

– Więc dziennikarze muszą wszystko zapamiętać?

– Na tyle, na ile zdołają. Jeśli usłyszysz pan kiedyś, jak par albo poseł skarży się na nieprecyzyjne relacje w gazetach, proszę ich spytać, dlaczego nie pozwalają dziennikarzom sporządzać notatek.

– Wydaje się to dość głupie.

– W tym miejscu obowiązuje zdecydowanie zbyt wiele głupich reguł.

Spade znów pomyślał, że powinien zostać członkiem parlamentu i domagać się reform.

Keithley wskazał na lorda Hollanda, przystojnego mężczyznę, mniej więcej dwudziestopięcioletniego, z gęstymi czarnymi brwiami i kręconymi czarnymi włosami, które zaczynały się przerzedzać na skroniach. Choć miał niewolników na Jamajce, pod innymi względami był liberałem.

– Ożenił się z rozwódką – mruknął Keithley z dezaprobatą.

Spade, jako kochanek mężatki, nie mógł podzielać jego niechęci.

Kilka minut później Holland wstał i rozpoczął żarliwe przemówienie.

– Ustawa jest z gruntu niesprawiedliwa, a jej cele są niegodziwe.

Dobry początek, pomyślał Spade.

– Chodzi w niej o zapobieganie powstawaniu stowarzyszeń wśród robotników, ale doprowadzi do tego, że procesy sądowe z udziałem przysięgłych zastąpi

orzecznictwo uproszczone. Ta ustawa nie tylko zniszczy stowarzyszenia robotników, ale też pociągnie za sobą konsekwencje niebezpieczne dla całego społeczeństwa.

Zdaniem Spade'a takie rozważania były zbyt abstrakcyjne, zbyt odległe od codziennego życia ludzi, przeciwko którym ustawa była skierowana.

– Dwie strony sporu nie będą miały równych praw – ciągnął Holland. – Ustawa sprzyja właścicielom, mającym tę przewagę nad robotnikami, że ci muszą z czegoś żyć. Pracodawcy posiadają też znacznie większe środki, by wpływać na opinię społeczeństwa w korzystny dla siebie sposób. Poza tym jest ich zdecydowanie mniej, a więc łatwiej im się skupić i połączyć siły... a także skutecznie ukrywać swoje wykroczenia.

Holland użył długiego i zagmatwanego porównania do leśniczych i kłusowników, by zilustrować prostą prawdę, że interesy właścicieli i robotników są sprzeczne; sędziowie, którzy są jednocześnie właścicielami, z założenia nie mogą obiektywnie osądzać swoich robotników czy robotników ich przyjaciół.

– Nawet jeśli żądania podwyżek ze strony robotników będą w pełni usprawiedliwione, w interesie właściciela będzie leżało zarzucanie im spisku – dodał.

– Święte słowa – mruknął Spade pod nosem.

Holland wykazał również, że zapisy ustawy są zbyt ogólnikowe.

– Robotnik może być oskarżony o stowarzyszenie się, nawet jeśli udzieli komuś przyjacielskiej i życzliwej rady!

Zakończył przemówienie propozycją, by odroczyć głosowanie o trzy miesiące i dokładniej przyjrzeć się projektowi ustawy.

Nikt go nie poparł. Wnioskodawcy nie zadali sobie nawet trudu, by odpowiedzieć na jego zarzuty. Wniosek o przesunięcie głosowania został odrzucony.

Nie rozpatrzywszy żadnej petycji, poddano ustawę głosowaniu. Tak niewielu ludzi krzyknęło „Nie”, że nie było nawet potrzeby liczenia głosów.

Dwa dni później ustawa została zatwierdzona przez króla i nabrała mocy prawnej.

ROZDZIAŁ 23

Elsie zastanawiała się, dlaczego matka wygląda na zdenerwowaną. Jedli właśnie śniadanie w pałacu. Na talerzu Arabelli leżał tost posmarowany masłem, lecz jeszcze go nie tknęła. Marszczyła rudobrzęde brwi. Nie wyglądała na chorą; ostatnio nawet lekko przytyła. Co ją dręczyło?

Biskup jadł kielbaski i czytał „The Times”.

– Angielsko-rosyjskie siły najechały na Niderlandy – oznajmił. Lubił mówić żonie i córce o tym, co dzieje się na świecie. – Ta część Niderlandów została wcześniej podbita przez Francuzów i nazwali ją Republiką Batawską.

Elsie miała przed sobą „Kingsbridge Gazette”.

– Piszą tu, że część tych sił stanowi Sto Siódmy Pułk Piechoty z Kingsbridge – powiedziała. – Służą tam kilku byłych uczniów mojej szkółki niedzielnej. Mam nadzieję, że nic im się nie stanie.

– Pewnie jest tam Freddie Caines – odezwała się Arabella.

– Kim jest Freddie Caines? – spytał biskup.

– Służył w tutejszej milicji. Nie pamiętam, jak go poznałam. Miły młody człowiek.

– Pamiętam go – rzuciła Elsie. – To szwagier Spade’a.

– O tym akurat zapomniałam – odparła matka.

Był ładny wrześnieowy poranek; do jadalni wpadały przez okna promienie słońca.

– Wybaczcie – powiedział Kenelm, wstając. – Cieśla ma dziś zamontować nowe drzwi w północnym przedsionku katedry, bo stare przegniły. Muszę sprawdzić, czy wstawia je we właściwym miejscu.

Elsie spędziła już dwie godziny w pokoju dzieciennym; umyła i ubrała z pomocą opiekunki Steviego, który miał już dwa lata. Później miała przyjąć osoby wspierające szkółkę niedzielną, które pomagały jej również podczas strajku. Ona też zaczęła się podnosić.

– Mam dość zaskakujące wieści – odezwała się Arabella.

– To ekscytujące – powiedziała Elsie, opadając na krzesło.

Biskup nie był podekscytowany.

– Jakie wieści? – spytał bez zainteresowania.

– Spodziewam się dziecka – oświadczyła Arabella.

Elsie wpatrywała się w matkę ze zdumieniem. Miała czterdzieści pięć lat! A ojciec siedemnaście lat więcej, sześćdziesiąt dwa. Był otyły i niezbyt sprawny. Co więcej, Elsie nie widziała od lat, by jej ojciec dotykał matki z czułością. Miała już spytać: „Jak to się stało?”, powstrzymała się jednak.

– Kiedy urodzi się dziecko? – zapytała.

– Chyba w grudniu – odparła matka.

Biskup był zszokowany.

– Ale, moja droga...

– Na pewno to pamiętasz. W okolicach Wielkanocy.

– W tym roku Wielka Niedziela przypadała na dwudziesty czwarty marca. – Wydawał się zadowolony, że może się uchwycić chociaż tej przyziemnej informacji, podczas gdy cały jego świat chwiało się w posadach.

– Ja pamiętam to doskonale. Byłeś cały w skowronkach.

– Nie przy córce, proszę! – Biskup wyraźnie się zawstydził.

– Och, nie przesadzaj, Elsie jest mężatką.

– Mimo wszystko...

– Tamtego wieczoru raczyłeś się wyjątkowo dobrym portem.

– Och! – Chyba przypomniał sobie ten dzień.

– Wydawałeś się nieco zaskoczony, kiedy po przebudzeniu zastałeś mnie w swoim łóżku.

– To było tak dawno temu?

– Tak mi się wydaje – potwierdziła Arabella.

Elsie dojrzała niepokój w oczach matki i zdała sobie sprawę, że dzieje się coś dziwnego. Matka odgrywała jakąś rolę. Bez wątpienia cieszyła się, że zaszła w ciążę, ale czymś się też martwiła. Czym? Elsie nie rozumiała również zachowania ojca. Dlaczego się nie cieszył? Dziecko, w tym wieku! Mężczyźni są zazwyczaj dumni ze swojej jurności. Mieszkańcy Kingsbridge będą się wkrótce trącać łokciami w katedrze i szeptać: „Stary, ale jary”.

Nagle przyszła jej do głowy zdumiewająca myśl: czy to możliwe, by ojciec podejrzewał, że to nie on jest ojcem dziecka? Wydawało się to jednak nieprawdopodobne. Kobiety w wieku jej matki nie dopuszczały się cudzołóstwa, a przynajmniej tak sądziła Elsie. Czy nie traciły całkowicie zainteresowania takimi rzeczami? Szczerze mówiąc, nie miała o tym pojęcia.

I nagle przypomniała sobie rozmowę z Belindą Goodnight, największą plotkarką w Kingsbridge.

– O twojej matce krążą po mieście różne wieści – zagadnęła ją pewnej niedzieli w katedrze. – Podobno bardzo się zaprzyjaźniła ze Spade'em.

Elsie parsknęła śmiechem.

– Moja matka? Nie bądź niemądra.

– Ktoś mi powiedział, że ciągle chodzi do zakładu jego siostry.

– Jak wszystkie modne kobiety w Kingsbridge.

– Oj, nie wiem, czy chodzi tylko o to – odparła Belinda.

Elsie była pewna, że to tylko idiotyczna plotka. Do teraz.

Czy to dlatego matka tak bardzo się denerwowała wyjawieniem czegoś, co powinno być radosną nowiną? Gdyby biskup uznał, że nie była mu wierna, jego gniew byłby straszny. Zawsze miał w sobie jakąś przerażającą skłonność do okrutnej zemsty. Kiedyś zamknął Elsie na klucz w jej pokoju i przez tydzień pozwalał jej dawać tylko chleb i wodę za jakieś przewinienie, o którym zdążyła już zapomnieć. Matka płakała i błagała go o litość, ale był nieugięty.

Elsie przyglądała się teraz uważnie ojcu, próbując odczytać coś z jego wyrazu twarzy. Najpierw był zszokowany, potem zakłopotany. Teraz wydawał się tylko zaintrygowany. Pewnie trudno było mu uwierzyć, że spał z żoną po raz pierwszy od wielu lat, a potem całkiem o tym zapomniał. Ale zdawał sobie sprawę, że czasami pije więcej porto, niż powinien, a w takiej sytuacji człowiek nieraz zapomina, co robił.

No i przyznał, że pamięta następny poranek. Że obudzili się w łóżku razem. Czy to nie przesądzało sprawy? Nie do końca. Kobieta, która zaszła w ciążę z kochankiem, mogła potem przespać się z mężem, by go przekonać, że to jego dziecko. Czy matka mogła być tak przebiegła?

Zdesperowane kobiety są zdolne do wielu rzeczy.

*

Sal była zadowolona z rozwoju wydarzeń. Choć Ustawa o stowarzyszeniach zmusiła robotników do likwidacji związku, jego miejsce zajęło towarzystwo asekuracyjne, które objęło całe miasto. Przedstawiciele zakładów włókienniczych zbierali cotygodniowe składki i spotykali się co jakiś czas, by omówić sprawy towarzystwa. Już dwaj sukiennicy wprowadzający nowe maszyny uznali za stosowne spotkać się z przedstawicielami towarzystwa i omówić z nimi nadchodzące zmiany.

Irlandzcy robotnicy zadomowili się w Kingsbridge na dobre i nikt już nawet nie pamiętał, dlaczego miejscowi się z nimi bili. Irlandczycy byli stałymi bywalcami paru nadrzecznych karczm; nazywano je teraz irlandzkimi pubami i nie narzekały na obroty. Colin Hennessy, Irlandczyk, którego Kit poznał w dniu ich przybycia, był przedstawicielem towarzystwa w Świńskim Zakładzie.

Pewnego październikowego wieczoru pojawił się U Bella, gdzie właśnie siedziała Sal z mężem i Spade'em. Był mężczyzną w jej typie: dużym, silnym i nieustraszonym. Spade postawił mu kufel piwa. Irlandczyk pociągnął długi łyk, otarł usta rękawem i wyjąwił, dlaczego chciał się z nimi spotkać.

– Hornbeam kupił nową maszynę, olbrzymią zgrzeblarkę.

Sal uniosła brwi.

– Nic o tym nie słyszeliśmy.

– Dowiedziałem się dopiero dzisiaj. Przygotowywali pod nią miejsce, bo mają ją przywieźć jutro.

– Więc nie omówił tego z robotnikami.

– Nie.

– Ignoruje porozumienie – rzuciła Sal, patrząc na Spade’a.

– Będziemy musieli znów zastrajkować – powiedział Jarge.

Nagle uzmysłowiła sobie, że mąż przypomina jej Hornbeama: zawsze wybiera najbardziej agresywną reakcję. Tacy ludzie uważają, że wygrać można, tylko sięgając po przemoc, choć historia uczy czegoś innego.

– Być może masz rację, Jarge – odparł Spade. – Ale najpierw musimy porozmawiać z Hornbeamem i przekonać się, co zamierza. Spytać go, dlaczego to robi. Przecież nic na tym nie zyskuje, a może sobie narobić kłopotów.

– I tak nie powie ci prawdy – zauważył Jarge.

– Ale można się sporo dowiedzieć, analizując, jakie kłamstwa opowiada.

– Pewnie tak.

– Sal, pójdziemy razem do Hornbeama – zaproponował Spade. – Jesteśmy w grupie, która ma nadzorować wypełnianie warunków umowy. I zabierzemy ze sobą Colina, żeby potwierdził, że Hornbeam złamał te warunki.

– Zgoda. – Skinęła głową.

– Kiedy to zrobimy? – spytał Spade.

– Teraz. Nie mogę poświęcać na to kilku godzin pracy.

Colin wydawał się zaskoczony.

– Niech i tak będzie – rzucił jednak i opróżnił kufel.

Zostawili Jarge’a samego i poszli do bogatej dzielnicy na północ od High Street. Lokaj, który im otworzył, obrzucił ich pogardliwym spojrzeniem, ale po chwili rozpoznał Spade’a.

– Dobry wieczór, panie Shoveller – odezwał się ostrożnie.

– Dobry wieczór, Simpson – powiedział Spade. – Powiedz, proszę, radnemu, że byłbym wdzięczny, gdyby poświęcił nam kilka minut. Chodzi o naprawdę ważną sprawę.

– Dobrze, proszę pana. Proszę, przejdźcie do holu, a ja sprawdzę, czy pan radny jest w domu.

Weszli do środka. Hol wydał się Sal ciemny i przygnębiający. Był tu kominek, w którym nie płonął ogień, i tykający głośno wysoki zegar. Z portretu zawieszzonego nad kominkiem Hornbeam spoglądał groźnie na każdego, kto ważył się wejść do jego domu. Po co komu wielka rezydencja, jeśli brakuje w niej światła i ciepła? Czasami bogacze naprawdę nie wiedzą, jak wydawać pieniądze.

Po chwili wrócił Simpson i zaprowadził ich do małego gabinetu Hornbeama. Był równie odpychający jak hol. Radny, w kaftanie z drogiej ciemnobrązowej tkaniny, siedział za wielkim biurkiem.

– O co chodzi, Shoveller? – rzucił szorstko.

– Dobry wieczór, panie radny – przywitał się Spade, bo nie zamierzał rezygnować z uprzejmości.

Hornbeam nie poprosił, by usiedli. Zmierzył surowym spojrzeniem Colina.

– Co ten człowiek tu robi? – zwrócił się do Spade’a.

Ten nie chciał, żeby to radny kierował rozmową.

– Kupił pan nową zgrzeblarkę – powiedział, ignorując jego pytanie.

– A co to ma z tobą wspólnego?

– Pani Box i ja należymy do grupy nadzorującej przestrzeganie porozumień, które zakończyły strajk pana tkaczy.

– Wywołany przez ludzi z zewnątrz. – Hornbeam natychmiast się najeżył. Spade nadal ignorował jego słowa.

– Mamy nadzieję, że uda nam się uniknąć kolejnego strajku – oświadczył.

– Więc go nie ogłaszajcie! – Radny roześmiał się pogardliwie.

Spade nie zareagował i na tę uwagę.

– Proszę pamiętać, że sukiennicy zgodzili się prowadzić konsultacje z robotnikami przed wprowadzeniem nowych maszyn, by uniknąć niepokojów, które często towarzyszą takim nieoczekiwanym zmianom.

– Czego ode mnie chcecie?

– Chcemy, by poinformował pan swoich robotników o nowej maszynie, powiedział im, ilu ludzi będzie przy niej pracować, a ilu zostanie przez nią zastąpionych, i omówił konsekwencje.

– Poznacie moją odpowiedź jutro.

W gabinecie zapadła cisza. Sal zrozumiała, że to koniec spotkania. Po chwili niezręcznego milczenia troje gości opuściło gabinet.

– Nie było tak źle, jak się obawiałem – powiedział Spade, gdy znaleźli się na zewnątrz.

– Co? – zdziwił się Colin. – Potraktował nas podle! Wyglądał tak, jakby chętnie nas wszystkich powiesił.

– To prawda. Ale spodziewałem się na koniec jednoznacznej odmowy, tymczasem kazał nam poczekać do jutra. To sugeruje, że zamierza się nad tym zastanowić. Co jest bardziej obiecujące.

– No nie wiem... – mruknęła Sal. – Myślę, że on coś knuje.

*

Sal śniła, że kocha się z Colinem Hennessym, który odrzuca czarne włosy opadające na twarz i jęczy z rozkoszy. Ze snu wyrwało ją łomotanie do drzwi domu. Miała poczucie winy, gdy spojrzała na leżącego obok męża. Jak to dobrze, że inni nie wiedzą, o czym człowiek śni.

Sądziła, że w drzwi wali goniec, który biegał po ulicy i budził robotników około czwartej nad ranem. Potem pukanie się powtórzyło; ktoś najwyraźniej chciał wejść do środka.

Jarge wstał i w koszuli nocnej podszedł do drzwi.

– Która to godzina, do cholery? – usłyszała go Sal.

– Zejdź mi z drogi, Box! Chodzi mi o twoją żonę, a nie o ciebie.

Gdy rozpoznała głos szeryfa Doye’a, nagle ogarnął ją strach. Szeryf jako człowiek wcale jej nie przerażał, reprezentował jednak arbitralną władzę bezwzględnych ludzi, takich jak Hornbeam. A Hornbeama się bała.

Wstała z łóżka i naciągnęła suknię przez głowę. Włożyła buty, ochlapała twarz wodą i podeszła do drzwi.

Doye był z konstablem, Regiem Davidsonem.

– Czego ode mnie chcecie, u diabła? – spytała.

– Musisz z nami pójść – odparł szeryf.

– Nie zrobiłam nic złego.

– Jesteś oskarżona o stowarzyszenie się.

– Ale związek został rozwiązany.

– Nic o tym nie wiem.

– Kto mnie oskarżył?

– Radny Hornbeam.

Znów przebiegł ją dreszcz strachu. Więc to miał na myśli Hornbeam, kiedy powiedział: „Poznacie moją odpowiedź jutro”.

– To absurdalne – prychnęła, choć właściwie nie było to absurdalne, lecz przerażające.

Włożyła płaszcz i wyszła.

Doye i Davidson prowadzili ją przez zimne ciemne ulice do centrum miasta. Sal ze zgrozą myślała o karach, jakie mogły ją czekać: chłosta, dyby, więzienie albo ciężkie roboty. Kobiety skazane na ciężkie roboty wykonywały wyczerpującą pracę: rozbijały konopie. Przez dwanaście godzin dziennie uderzały wielkim młotem w nasączone wodą konopie, by oddzielić włókna od zdrewniałych części, co było naprawdę straszliwą harówką. Sal nie wyobrażała sobie jednak, by mogła zostać uznana za winną.

Zakładała, że pójdą do domu Hornbeama, lecz ku jej zaskoczeniu zaprowadzono ją do rezydencji Willa Riddicka.

– Co my tu robimy? – spytała.

– Dziedzic Riddick jest sędzią pokoju – odparł Doye.

Hornbeam był niebezpieczny, a Riddick pełnił funkcję jego marionetki. Co oni kombinowali? Nie wyglądało to dobrze.

W holu unosił się zapach tytoniu i rozlanego wina. Przykuty do ściany mastiff zaczął na nich szczekać. Sal zaskoczył widok Colina Hennessy’ego; siedział na ławce, strzeżony przez innego konstabla, Bena Crocketa. Przypomniała sobie swój sen i zrobiło jej się wstyd.

– To przez naszą wczorajszą wizytę u Hornbeama – zwróciła się do Irlandczyka.

– Myślałem, że robiliśmy to, na co zgodzili się sukiennicy – odparł Colin.

– Tak było. – Wystraszona Sal odwróciła się do Doye’a. – To Hornbeam kazał wam nas aresztować, tak?

– Jest przewodniczącym sędziów. – To była prawda. Szeryf był tylko narzędziem.

Usiadła na ławce obok Colina.

– I co teraz? – spytała Doye’a.

– Czekamy.

To było długie oczekiwanie.

Dom powoli się budził. Gburowaty lokaj wyczyścił kominek i ułożył świeże polana, ale nie podpalił ich. Alf Nash przyniósł mleko i śmietanę. Przez brudne okno wpadało do holu światło dnia z różnymi odgłosami miasta: stukotem kopyt, zgrzytem kół na bruku, porannymi pozdrowieniami mężczyzn i kobiet, którzy wychodzili z domów i zdążali do pracy.

Sal poczuła zapach smażonego bekonu i uświadomiła sobie, że jest głodna i chce jej się pić. Nikomu jednak nie zaoferowano poczęstunku, nawet szeryfowi.

Gdy zegar w głębi domu wybijał dziesiątą, pojawił się Hornbeam. Gburowaty lokaj wpuścił go do holu. Nie odezwawszy się ani słowem, radny ruszył za nim na piętro.

Kilka minut później lokaj stanął na szczycie schodów i powiedział:

– Dobra, chodźcie.

Lokaj Riddicka był prostakiem. Sal zastanawiała się, czy służący nie upodabniają się do swoich panów, tak jak psy.

Na piętrze zaprowadzono ich do dużego salonu. Nie posprzątano go jeszcze po nocnych hulankach, więc wszędzie walały się nieumyte kieliszki po winie i filiżanki po kawie. Sal pomyślała, że żona dziedzica, córka Hornbeama, nie odmieniła znacząco stylu życia męża.

Riddick siedział w fotelu, ubrany jak do wyjścia i w peruce, choć wyglądał tak, jakby jeszcze nie ochłonał po wielogodzinnej zabawie. Hornbeam zajął miejsce na sofie; był wyprostowany i wyglądał groźnie. Między nimi, przy małym stoliku z papierem i atramentem, siedział nieznany Sal człowiek, zapewne urzędnik sądowy.

– Szeryfie, proszę podać nazwiska oskarżonych i zarzuty – polecił dziedzic.

Doye odpowiedział:

– Colin Hennessy i Sara Box, robotnicy z Kingsbridge, oskarżeni przez radnego Hornbeama o stowarzyszenie się.

Urzędnik szybko zapisał te informacje.

Sal uświadomiła sobie, że wszystko zostało starannie zaaranżowane tak, by wyglądało na uczciwy proces.

– Czy oskarżeni przyznają się do winy? – spytał Riddick.

– Nie – odparł Colin.

– Nie ma żadnego stowarzyszenia – oznajmiła Sal. – Związek został rozwiązany. Trzymaliśmy się postanowień umowy i nie spiskowaliśmy przeciwko sukiennikom.

– Panie radny, jakie są fakty? – zwrócił się Riddick do teścia.

– Box i Hennessy wczoraj około ósmej wieczorem przyszli do mojego domu – odpowiedział beznamiętnym, chłodnym tonem Hornbeam. – Powiedzieli, że

kupiłem dużą zgrzeblarkę i że potrzebuję zgody robotników, by ją zainstalować. Grozili strajkiem, gdybym odmówił.

– Cóż, moim zdaniem wygląda to tak, jakby się stowarzyszyli, by przeszkadzać w działalności firmy, co wyraźnie narusza Ustawę o stowarzyszeniach – oświadczył Riddick.

– To nieprawda – rzuciła Sal.

– Sal Box, znałem cię w Badfordzie, gdy nazywałaś się Sal Clitheroe, i już wtedy byłaś wicherzycielką.

– A pan był agresywnym pijakiem. Ale nie jesteśmy teraz w Badfordzie, tylko w Kingsbridge, gdzie tutejsi sukiennicy zawarli z robotnikami porozumienie, które zakończyło strajk i dzięki niemu zakłady radnego Hornbeama wznowiły działalność. Ale on nie chce przestrzegać warunków tego porozumienia. Jest jak człowiek, który prosi o pomoc Boga, ale potem nie chodzi do kościoła. Wczoraj wieczorem Colin i ja powiedzieliśmy mu, że łamie warunki umowy i że ich dotrzymanie to najlepszy sposób na uniknięcie strajków. To nie groźba, tylko fakt, i żadne prawo nie zabrania mówić o faktach.

– Przyznajesz więc, że się stowarzyszyliście i próbowaliście przeszkadzać radnemu w interesach.

– Czy jeśli mówię głupcowi, że robi coś szkodliwego dla siebie, to przeszkadzam mu?

Will Riddick zignorował to pytanie.

– Uznaję was oboje za winnych – powiedział. – I skazuję na dwa miesiące ciężkich robót.

ROZDZIAŁ 24

Drogi Spade!

Jestem w Niderlandach. Uczestniczyłem już w pierwszej bitwie, wciąż żyję i nie jestem ciężko ranny. Poza tym, niestety, mam same złe wiadomości.

Werbowano nas w Canterbury i muszę powiedzieć, że ich katedra jest jeszcze większa od naszej w Kingsbridge. Wielu chłopców przeszło do wojska z milicji, jak ja, więc w większości byliśmy „zieloni”, jak mówią, nie uczestniczyliśmy wcześniej w prawdziwych walkach. To zmieniło się jednak dość szybko.

Wylądowaliśmy w Callantsoog – mają tu dziwaczne nazwy – i nieprzyjaciel zaatakował nas już na wydmach. Byłem tak przerażony, że pewnie rzuciłbym się do ucieczki, ale za mną było tylko morze, więc musiałem zebrać się na odwagę i walczyć. Na szczęście angielskie okręty zaczęły strzelać nad naszymi głowami do wrogich żołnierzy i to oni w końcu uciekli.

Zostawili nam kilka solidnych fortec; zajęliśmy je, ale nie na wiele dni. Wkrótce stoczyliśmy bitwę pod Krabbendamem, gdzie wojskami francuskimi dowodził generał Marie Anne – mają nie tylko dziwne nazwy miast, ale też dziwaczne imiona – ale chyba nie był dobrym dowódcą, bo wygraliśmy.

Potem przybył książę Yorku z posiłkami, więc myśleliśmy, że już nic nam nie grozi. Pomaszerowaliśmy na miasto o nazwie Hoorn i zajęliśmy je, ale wkrótce musieliśmy je opuścić i wrócić do punktu wyjścia. Takie rzeczy często zdarzają się w wojsku – dobrze, że Ty nie prowadzisz tak interesów, Spade, ha, ha.

Czekała nas ciężka przeprawa: maszerowaliśmy wąską plażą, nie mając dostępu do słodkiej wody, a Francuzi do nas strzelali. Nie wiedzieliśmy, czy zginieemy z pragnienia, czy od kul. Mój kompan Gus został trafiony w głowę i umarł; w armii szybko się zaprzyjaźniasz, ale równie szybko tracisz przyjaciół. Gdy zrobiło się ciemno, powiedziano nam, że wróg się wycofał, choć sam nie wiem, co zrobiliśmy, żeby ich wystraszyć.

Prawdziwą klęskę ponieśliśmy pod miastem Castricum. Okropnie lało, ale to, niestety, nie był nasz największy problem. Francuzi zaatakowali nas bagnietami, poląła się krew i rzuciliśmy się do ucieczki. Francuska kawaleria zaczęła nas gonić, a ja krwawiłem z rany na ramieniu i na pewno bym zginął, gdyby nie dragoni, którzy wyjechali nagle z doliny między wydmami i pokonali Francuzów.

Straciliśmy w tej bitwie wielu ludzi i księżę Yorku postanowił się wycofać. Zawarł rozejm i wrócił do Londynu. To chyba oznacza, że zostaliśmy pokonani.

Jesteśmy na wybrzeżu i czekamy na statki, które nas stąd zabiorą. Nikt nie wie, dokąd popłyniemy, ale mam nadzieję, że do domu, więc być może wkrótce będziesz mógł się napić ze mną piwa U Bella.

Twój oddany szwagier, Freddie Caines

*

Hornbeam przyglądał się pracy olbrzymiej gręplarki. Uważał, że to prawdziwe чудо. Napędzana parą, nigdy nie robiła sobie przerwy, nie wychodziła za potrzebą, nie chorowała. Nigdy się nie męczyła.

Nie przeszkadzał mu ogłuszający stukot maszyny, bo na niego zarabiała. Nie przeszkadzał mu nawet zapach robotników, którzy nie mieli wanien i nie wiedzieliby, co z nimi zrobić. Wszystko to przekładało się na pieniądze.

Nowy zakład włókienniczy podwoił wydajność. Hornbeam mógł być teraz jedynym sukiennikiem, który dostarczał materiały na mundury milicji Shiring

i realizował wiele innych zamówień.

Miał tylko nadzieję, że wojna nie skończy się szybko.

Z tych miłych rozmyślań wyrwało go przybycie zięcia. Will Riddick był w mundurze i wyglądał na rozzłoszczonego.

– Niech to szlag! – zawołał, przekrzykując hałas. – Przeniesiono mnie.

– Co?!

– Jestem teraz odpowiedzialny za szkolenie.

– Chodź na zewnątrz – rzucił Hornbeam.

Zeszli po schodach i po chwili znaleźli się na chłodnym listopadowym powietrzu. Dzieci, które były jeszcze zbyt małe, by pracować, bawiły się w błocie przy zakładzie. Wokół unosił się zapach dymu węglowego z kotłów.

– No, tu jest lepiej. – Hornbeam westchnął. – Dlaczego nie chcesz kierować szkoleniem?

– Bo wtedy nie będę się mógł zajmować zakupami dla milicji.

– Och... – To rzeczywiście był problem. Obaj sporo zarabiali dzięki temu, że Riddick odpowiadał za zaopatrzenie milicji. Straciliby sporo pieniędzy, gdyby został usunięty z tego stanowiska. – Czyja to sprawka?

– Księcia Yorku.

– A co on ma z tym wspólnego?

– To on dowodzi teraz brytyjską armią.

Hornbeam przypomniał sobie artykuł z „The Times”, który niedawno czytał.

– Francuzi właśnie go pokonali w Niderlandach – powiedział.

– Tak, ale ludzie mówią, że jest lepszym zarządcą niż dowódcą. Tak czy inaczej, Northwood spotkał się z nim w Londynie i jest zachwycony jego pomysłami: ciepłe płaszcze dla wszystkich żołnierzy, więcej karabinów, mniej chłosty i... w tym właśnie problem... korzystniejsze zakupy.

– Co książkę miał na myśli, mówiąc o korzystniejszych zakupach?

– Podobno zbadał tę sprawę i odkrył, że zbyt wielu kwatermistrzów kupuje wszystko od przyjaciół i krewnych.

– A niech to...

– Northwood powiedział mi tak: „Oczywiście, jestem pewien, że nie faworyzuje pan rodziny, ale nie wygląda to dobrze, gdy kupuje pan towary od teścia”. Sarkastyczna świnia.

– I kto będzie teraz odpowiadał za zakupy?

– Archie Donaldson. Awansowano go na majora.

– Znam go?

– Jest prawą ręką Northwooda. Przez pół dnia siedzi z nim w gabinecie.

– Jak wygląda?

– Młody, buzia jak u dziecka...

– Pamiętam.

– Jest metodystą.

– To jeszcze bardziej komplikuje sprawę. – Hornbeam zamyślił się na chwilę. – Chodź ze mną do miasta – odezwał się w końcu.

Zastanawiał się, co z tym zrobić, gdy szli nowymi ulicami, przy których stały nowe domy wybudowane dla pracowników jego zakładów, i gdy mijali pole kapusty przed mostem. Ludzie powoływani do milicji zawsze mieli pewien wybór: mogli zapłacić komuś, by zajął ich miejsce. Donaldson tego nie zrobił, co oznaczało, że albo był zbyt biedny, by dać pieniądze komuś, żeby wstąpił za niego do milicji, albo zbyt szlachetny, by wykręcać się od patriotycznego obowiązku. Jeśli był biedny, można go było przekupić, ale jeżeli przyświecała mu uczciwość, takie rozwiązanie mogło się okazać niemożliwe. Ale przecież każdy człowiek miał swoją cenę.

– Powinieneś pogratulować Donaldsonowi – odezwał się Hornbeam, gdy szli w górę Main Street.

Riddick był oburzony.

– Mam gratulować temu łajdakowi?

– Tak. Powiedz, że ty już zrobiłeś, co mogłeś, i czas, by zajął się tym ktoś inny. I że bardzo się cieszysz, że to właśnie on dostał to stanowisko.

- Ale to wszystko nieprawda.
- A od kiedy to przejmujesz się prawdą?
- Hm...

Doszli właśnie do sklepu kupca winnego, Drummonda, i Hornbeam pociągnął zięcia do środka. Za ladą stał Alan Drummond, łysiejący mężczyzna z czerwonym nosem.

– Panie Drummond, proszę mi przynieść pióro, atrament i kartkę dobrego papieru, dobrze? – zwrócił się do niego Hornbeam, wymieniwszy uprzejmości.

Mężczyzna spełnił jego prośbę.

– Proszę wysłać tuzin butelek dobrego porto w średniej cenie do majora Donaldsona z milicji, na mój rachunek.

– Do Donaldsona?

– Mieszka przy West Street – rzucił Riddick.

Hornbeam napisał na kartce: *Gratuluję Panu awansu. Łączę pozdrowienia, Joseph Hornbeam.*

– Bardzo sprytnie – pochwalił go Riddick, przeczytawszy liścik ponad ramieniem teścia.

– Proszę dołączyć tę notkę. – Hornbeam podał Drummondowi złożoną kartkę.

– Oczywiście, panie Hornbeam.

Wyszli ze sklepu.

– Zrobię, jak mówiłeś, i będę mu kadził – powiedział Riddick. – Przeciagniemy go na naszą stronę.

– Mam nadzieję.

Następnego dnia rano wino znalazło się na progu domu Hornbeama. Dołączono do niego notkę o następującej treści:

Dziękuję bardzo za gratulacje, doceniam ten gest. Żałuję, ale nie mogę przyjąć Pana prezentu.

Major Archibald Donaldson

*

Elsie zabrała z pałacowej kuchni funt bekonu, mały krążek sera i porcję świeżego masła. Zgodnie z umową spotkała się ze Spade'em na rynku. On przyniósł szynkę. Przeszli w górę Main Street, do biedniejszej, północno-zachodniej części Kingsbridge; zmierzali do domu Sal Box, która była w więzieniu, skazana na ciężkie roboty. Chcieli się upewnić, że jej rodzinie niczego nie brakuje.

– Nie mogę uwierzyć, że tego nie przewidziałem – powiedział Spade. – Po prostu nie przyszło mi do głowy, że Hornbeam wykorzysta w taki sposób Ustawę o stowarzyszeniach.

– To zbyt podłe nawet jak na niego.

– Właśnie. Ale powinienem był się domyślić. Sal cierpi przez moje niedopatrzenie.

– Nie zadręczaj się. Nie możesz przewidzieć wszystkiego.

Był poniedziałkowy wieczór, wpół do ósmej. Zastali Jarge'a i dzieci przy stole, jedzących owsiankę.

– Nie przerywajcie sobie – poprosiła Elsie, kładąc prezenty na kredensie. – Przyszłam, żeby zobaczyć, jak sobie radzicie, ale wygląda na to, że wszystko jest w porządku.

– Tęsknimy za Sal, ale radzimy sobie – powiedział Jarge. – Mimo to jesteśmy bardzo wdzięczni za to, co pani przyniosła, pani Mackintosh.

– Ugotowałam kolację – pochwaliła się Sue. – Dodałam smalcu do kleiku, żeby smakował lepiej.

Miała czternaście lat, tyle samo co Kit. Na razie była jednak od niego wyższa i nabrała delikatnych kobiecych krągłości.

– To dobre dzieci – pochwalił pasierba i siostrzenicę Jarge. – Budzę je rano i pilnuję, żeby coś zjadły, zanim pójdą do pracy. Dzięki pani jutro na śniadanie będziemy mieli bekon. Już od bardzo dawna nie jedliśmy bekonu.

– Pewnie nie wiecie, co u Sal.

Jarge pokręcił głową.

– Nie ma się jak tego dowiedzieć. Jest silna, ale rozbijanie konopi to cholernie ciężka praca.

– Modłę się za nią co wieczór – powiedziała Elsie.

– Dziękuję.

– Przyjdiesz dziś na ćwiczenia dzwonników? – spytał Spade.

– Tak, i pewnie muszę się pospieszyć: będą na mnie czekać.

– A kto będzie miał wtedy oko na Kita i Sue? – chciała wiedzieć Elsie.

– Nasza lokatorka, pani Fairweather... wynajmuje pokój na strychu. Jest wdową, a jej dwoje dzieci zmarło cztery lata temu, kiedy brakowało żywności.

– Pamiętam.

– Zresztą Kit i Sue nie będą sprawiać żadnych problemów. Po kolacji pójdą do łóżka i będą spać do rana.

Elsie pomyślała, że nie ma się czemu dziwić, skoro pracowały po czternaście godzin. Musiała przyznać, że Jarge sumiennie się nimi opiekuje, choć żadne nie było jego dzieckiem. W głębi serca był naprawdę dobrym człowiekiem.

Elsie i Spade pożegnali się, wyszli i ruszyli do centrum miasta.

– Kiedy byłem w Londynie, dowiedziałem się czegoś o przeszłości Hornbeama – oznajmił Spade. – Został sierotą w młodym wieku i musiał sobie sam radzić w życiu. Pracował jako posłaniec u sukiennika, poznał dobrze tę branżę i potem zaczął się dorabiać.

– Można by się spodziewać, że będzie lepiej rozumiał biedotę.

– Czasami to działa w drugą stronę. Moim zdaniem on się boi, że wróci do nędzy z czasów dzieciństwa. To irracjonalne, ale pewnie nie może się pozbyć tego strachu. Nigdy nie będzie dość bogaty, by poczuć się bezpiecznie.

– Chcesz powiedzieć, że mu współczujesz?

– Nie. – Spade uśmiechnął się. – W ostatecznym rozrachunku to, tak czy inaczej, podła kanalia.

Rozstali się na rynku. Kiedy Elsie weszła do pałacu, od razu wyczuła, że dzieje się coś niezwykłego. W domu było dziwnie cicho. Nikt nie rozmawiał, nikt nie tłukł się naczyniami, nie zamiatał ani nie szorował podłóg. Nagle z góry dobiegł głos kobiety krzyczącej z bólu.

Czyżby matka rodziła? Był dopiero listopad, a ona mówiła o grudniu. Ale może pomyliła się w obliczeniach... albo skłamała.

Elsie wbiegła na schody i wpadła do sypialni matki. Pokojówka Mason siedziała na skraju łóżka i trzymała w rękach biały ręcznik. Arabella leżała na pościeli, okryta jedynie prześcieradłem, i miała szeroko rozłożone nogi, podniesione w kolanach. Jej twarz była czerwona z wysiłku i mokra od łez lub potu, albo jednego i drugiego. Mason troskliwie ocierała jej policzki.

– Już niedługo, pani Latimer – powiedziała.

Elsie wiedziała, że Mason towarzyszyła Arabelli podczas jej narodzin. Pamiętała, jak Mason opiekowała się nią, gdy była bardzo mała. Pamiętała zdumienie, gdy odkryła, że pokojówka ma inne imię: Linda. Mason pomagała również przy narodzinach jej dzieci. Jej obecność dodawała wszystkim otuchy.

Arabella chyba poczuła chwilową ulgę.

– Witaj, Elsie, cieszę się, że tu jesteś – wydyszała. – I na miłość boską, nie mów mi, żebym parła. – W tym momencie dopadł ją kolejny skurcz i krzyknęła z bólu.

Córka ujęła jej dłoń. Arabella ścisnęła ją tak mocno, jakby chciała połamać jej kości. Gdy Mason podała Elsie ręcznik, ta wzięła go wolną ręką i otarła twarz matki.

Mason podniosła prześcieradło.

– Widzę główkę dziecka – powiedziała. – Już prawie po wszystkim.

Choć tak naprawdę to tylko początek, pomyślała Elsie. Kolejna ludzka istota zaczyna właśnie podróż przez życie, naznaczoną miłością i śmiechem, krwią i łzami.

Arabella puściła dłoń córki i na jej twarzy pojawił się wyraz rozluźnienia, nie otworzyła jednak oczu.

– Dobrze, że parzenie się jest takie przyjemne, inaczej kobiety nigdy by się nie zgodziły rodzić dzieci.

Elsie była zszokowana słowami matki.

– Kobiety mówią dziwne rzeczy, kiedy cierpią podczas porodu – wytłumaczyła przepraszającym tonem Mason.

Po chwili Arabella znów się naprężyła.

– To już chyba ostatnie parcie – powiedziała Mason, zaglądając pod prześcieradło.

Arabella wydała z siebie dźwięk będący czymś pośrednim między głębokim sapnięciem a bolesnym jękiem. Mason odrzuciła prześcieradło na bok i sięgnęła między jej uda. Elsie dojrzała główkę dziecka i usłyszała kolejny jęk matki.

– No już, maleństwo, chodź do Mason. Ojej, jakiś ty piękny.

Dziecko było pokryte śluzem i krwią, wciąż łączyła je z matką pępowina, a jego buzię wykrzywiał ból, ale Elsie też uważała, że jest piękne.

– Chłopiec – oznajmiła Mason. Odwróciła noworodka głową w dół, z łatwością przytrzymała go lewą ręką, a prawą uderzyła lekko w pośladki. Chłopczyk otworzył usta, wziął swój pierwszy oddech i wydał z siebie ryk protestu.

Elsie uświadomiła sobie, że po jej policzkach spływają łzy.

Mason położyła dziecko na plecach i podeszła do stolika nocnego, gdzie leżały nożyczki, dwa kawałki bawełny i złożona chusta. Obwiązała pępowinę w dwóch miejscach, po czym przecięła ją między węzłami. Owinęła maleństwo chustą i podała je Elsie.

Ta ostrożnie wzięła dziecko i przytuliła je, podtrzymując mu główkę. Poczowała miłość tak przemożną, że omal nie zasłabła.

Arabella usiadła prosto na łóżku i córka podała jej dziecko. Matka obciągnęła koszulę nocną i przyłożyła noworodka do piersi. Jego usta znalazły sutek, zamknęły się na nim i zaczęły ssać.

– Masz syna – powiedziała Elsie.

– Tak – odparła Arabella. – A ty brata.

*

Amos nie mógł zrozumieć tego, co działo się w Paryżu. Wyglądało na to, że dziewiątego listopada, czyli osiemnastego brumaire'a według rewolucyjnego kalendarza, doszło tam do zamachu stanu. Generał Bonaparte wkroczył z wojskiem do parlamentu i mianował się pierwszym konsulem Francji. Wyglądało na to, że angielskie gazety nie wiedziały, co oznacza tytuł pierwszego konsula. Pewne wydawało się tylko to, że teraz wydarzeniami kierował tylko Napoleon Bonaparte. Był największym generałem swoich czasów i cieszył się ogromną popularnością wśród Francuzów. Być może ostatecznie zostanie ich królem.

Dla Amosa ważniejsza była jednak informacja, że koniec wojny wciąż jest odległy. To oznaczało, że podatki nadal będą wysokie, a prowadzenie interesów utrudnione.

Kiedy skończył czytać gazetę, przeszedł do siedziby milicji w Domu Willarda.

Wicehrabia Northwood zrobił to, co Amos zasugerował kiedyś jego żonie. Amos nie był wcale pewien, czy Jane naprawdę to zrobi ani czy Northwood weźmie jego słowa pod uwagę. Wicehrabia przeniósł jednak Willa Riddicka na inne stanowisko, a prowadzenie zakupów, za radą Amosa, zlecił metodyście.

Amos rozmyślał często o tym małżeństwie. Northwood z pewnością był zdolny do namiętnej miłości i bez wątpienia zakochał się do szaleństwa w Jane, tylko że to uczucie nie przetrwało próby czasu. Nie pojawiały się jednak plotki o innej kobiecie w jego życiu... ani o mężczyznach. Nigdy też nie bywał w burdelu Cullivera. Wyglądało na to, że rywalką Jane była armia. Dowodzenie milicją bez reszty pochłaniało wicehrabiego. Nic innego się dla niego nie liczyło.

Mianowanie Donaldsona na miejsce Riddicka otwierało nowe możliwości przed Amosem i innymi sukiennikami z Kingsbridge. Wojskowe zamówienia na materiały mundurowe stanowiły jedyne pewne źródło popytu w tych czasach. Amos wszedł do siedziby milicji pełen nadziei. Nawet gdyby nie był jedynym dostawcą tkanin dla milicji, pierwszy raz jego firma mogłaby stanąć na nogi.

Wszedł na piętro, do gabinetu zajmowanego dawniej przez Riddicka. Za biurkiem siedział major Donaldson. Okno w pokoju było otwarte i w końcu nie dominował tu zapach dymu tytoniowego i trunków. Na środku blatu biurka leżała czarna mała Biblia.

Amos i major nie byli przyjaciółmi, ale znali się ze spotkań metodystów. Podczas dyskusji Donaldson często prezentował dogmatyczny punkt widzenia oparty na dosłownej interpretacji Pisma. Amos uważał takie podejście za nieco dziecinne.

Donaldson wskazał mu krzesło.

– Gratuluję awansu – powiedział Amos. – Zarówno ja, jak i wiele innych osób jesteśmy zachwyceni, że Hornbeam nie sprawuje już nieograniczonej kontroli nad dostawami tkanin dla milicji.

Donaldson zachował kamienną twarz.

– Nie chcę, by doszło między nami do jakichkolwiek nieporozumień – odpowiedział surowym tonem. – Zamierzam działać wyłącznie w interesie Jego Królewskiej Mości.

– Oczywiście...

– Ale masz całkowitą rację, zakładając, że nie będę faworyzował radnego Hornbeama.

– To dobrze.

– Zrozum jednak, proszę, że nie będę też faworyzował nikogo innego, łącznie ze znajomymi metodystami.

Donaldson niepotrzebnie tak mocno to podkreślał. Amos wiedział, że będzie sumienny, ale nie chciał, by posunął się za daleko.

– Jestem jednak pewien, że nie będziesz wykluczał metodystów tylko po to, by uniknąć podejrzeń o sprzyjanie znajomym – powiedział stanowczo.

– Na pewno nie.

– Dziękuję.

– Pułkownik Northwood polecił mi podzielić zlecenia między anglikańskich i metodystycznych sukienników i nie oddawać ich wszystkich jednemu wytwórcy.

Amos nie mógł prosić o więcej.

– Doskonała decyzja – rzucił. Wyjął z kieszeni zapieczętowany list i położył go na biurko. – Oto moja oferta.

– Dziękuję. Potraktuję ją tak samo jak wszystkie inne.

– Właśnie tego oczekuję od metodysty – odparł Amos i wyszedł.

*

Dziecko Arabelli zostało ochrzczone przez biskupa w katedrze w mroźny zimowy poranek.

Elsie przyglądała się twarzy ojca. Nie okazywał żadnych emocji. Nie wiedziała, jakie uczucia żywi wobec syna. Wielu mężczyzn czuło się nieco skrępowanych w obecności małych dzieci, zwłaszcza ci na wysokich stanowiskach, jak biskup. Nie dało się nie zauważyć, że ani razu nie przytulił i nie pocałował chłopczyka; nawet się do niego nie uśmiechnął. Być może czuł się zawstydzony tym, że spłodził dziecko w tak późnym wieku. A być może nie był pewien, czy jest jego ojcem. Odprawiał ceremonię z powagą, ale bez cienia radości.

Nikt nie wiedział, jak nazwie chłopca. Nie chciał o tym rozmawiać, nawet z żoną. Arabella powiedziała mu, że podoba jej się imię David, ale nie zareagował na to w żaden sposób.

Chrzczyny były zwykle uroczystością rodzinną, lecz chrzczyny potomka biskupa stanowiły wyjątkową okazję, więc wokół starej kamiennej chrzcielnicy w głównej nawie zebrał się tłum gości okrytych ciepłymi zimowymi płaszczami. Stawili się wszyscy najważniejsi obywatele Kingsbridge, między innymi wicehrabia Northwood, burmistrz Fishwick, radny Hornbeam i większość wysokich rangą duchownych. Wielu przyniosło kosztowne srebrne prezenty: kubki, łyżeczki, grzechotki.

Elsie z dwuletnim Steviem na rękach miała po prawej Kenelma, a po lewej Amosa. Gdy ich ramiona się zetknęły, poczuła dobrze znaną bolesną tęsknotę.

Nieco dalej z tyłu stali Spade, jego siostra Kate i jej przyjaciółka Rebecca – trzy osoby, dzięki którym Arabella była dziś tak wspaniale ubrana.

Uroczystości towarzyszyła atmosfera niepewności i powściągliwości; nikt nie wiedział, jak gratulować biskupowi, bo nie okazywał ojcowskiej dumy i radości.

Chłopczyk miał gęste ciemne włosy. Ubrano go w białą szatę chrzcielną, obficie zdobioną koronkami; kiedyś chrzczono w niej Elsie, a później jej syna Stewiego. Po dzisiejszej uroczystości szata miała zostać starannie wyprana, wyprasowana i złożona w muślinowym pokrowcu, by czekać na następne dziecko. Można było zakładać, że będzie nim następny potomek Elsie.

Podczas modlitw rozmyślała o tym, że Kenelm ma ostatnio częstsze kontakty z synem. Czasami nawet z nim rozmawiał. Skoro Stevie umiał już chodzić i mówić, ojciec próbował go wychowywać. „Nie wkładaj palca do nosa, chłopcze”, mówił na przykład. Starał się też przekazywać mu wiedzę. „Ten koń nie jest brązowy, jest gniady, spójrz tylko na jego czarne nogi i ogon”.

Elsie powtarzała sobie nieraz, że ludzie okazują miłość na różne sposoby.

Ceremonia nie trwała długo. Na koniec, gdy Arabella trzymała dziecko, biskup wylał na jego maleńką głowę strumyczek wody święconej. Niemowlę zaczęło głośno płakać, bo woda była zimna.

– W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego nadaję ci imię... Absalom – powiedział biskup.

Wśród zgromadzonych rozległy się przytłumione głosy zdumienia i niedowierzania. Był to dziwny wybór imienia. Kiedy wybrzmiało ostatnie „amen”, Arabella zmierzyła męża gniewnym spojrzeniem.

– Absalom? – rzuciła cicho.

– Ojciec pokoju – odparł biskup.

Elsie pomyślała, że wprawdzie po hebrajsku Absalom istotnie oznacza ojca pokoju, lecz nie z tego zasłynął ten bohater biblijny. Był jednym z synów króla

Dawida; zamordował brata przyrodniego, zbuntował się przeciwko ojcu, mianował się królem i zginął, uciekając po przegranej bitwie z armią ojca.

Elsie uświadomiła sobie, że to imię jest przekleństwem.

ROZDZIAŁ 25

Wnuk Hornbeama, Mały Joe, z kimś mu się kojarzył. Joe miał dwa i pół roku, był wysoki i pewny siebie, w czym przypominał dziadka, ale w chłopcu było coś jeszcze. Hornbeam nie rozczulał się nad dziećmi jak żona i córka, ale przyglądał się wnukowi, gdy zajmowały się nim kobiety, i dostrzegał w jego dziecięcej buzi coś, co poruszało jego kamienne serce. W końcu doszedł do wniosku, że to oczy. Joe nie miał jego oczu, głęboko osadzonych pod krzaczastymi brwiami, które skrywały uczucia. Oczy chłopca były niebieskie i szczerze. Nie wyglądało na to, by w przyszłości dominował nad innymi samą siłą charakteru, jak on, ale mógł podbijać serca ludzi urokiem osobistym. W tych niewinnych oczach coś było, choć Hornbeam nie mógł określić, co konkretnie, dopóki nie uświadomił sobie, zszokowany, że gdy patrzy na wnuka, widzi zmarłą przed wielu laty matkę. Miała dokładnie takie same oczy. Hornbeam pospiesznie odsunął od siebie tę myśl. Nie lubił, gdy cokolwiek przypominało mu o matce.

Włożył płaszcz, wyszedł z domu i ruszył do Domu Willarda. Gdy dotarł na miejsce, poprosił o spotkanie z majorem Donaldsonem.

Donaldson miał chłopięcą urodę, ale Hornbeam zakładał, że musi być bystry i rzutki, inaczej bowiem Northwood nie zatrudniałby go tak długo jako asystenta. Rozsądek podpowiadał, by go nie lekceważyć. Hornbeam zauważył Biblię leżącą na stole, ale nie skomentował tego w żaden sposób. Niektórzy metodyści obnosili się ze swoją wiarą jak z orderami. On uważał, że religia jest w porządku, jeśli tylko nie traktuje się jej zbyt poważnie. Wiedział jednak, że podczas tego spotkania powinien zachować tę opinię dla siebie.

– Widziałem, że ogłosił pan już przetarg na nowe dostawy sukna, ale pomyślałem, że byłoby dobrze zamienić z panem kilka słów – zaczął.

– Proszę mówić – odparł Donaldson.

– Pana kariera wojskowa jest imponująca i bez wątpienia jest pan bardzo kompetentnym człowiekiem, jeśli wolno mi tak powiedzieć. Nie ma pan jednak doświadczenia w branży sukienniczej, więc być może zechce pan przyjąć ode mnie kilka rad.

– Będę bardzo wdzięczny. Proszę usiąść.

Hornbeam usiadł na krześle przed biurkiem. Na razie szło mu nieźle.

– W każdej branży prowadzi się interesy w sposób oficjalny i nieoficjalny – powiedział.

– Co ma pan na myśli, panie radny? – spytał Donaldson nieufnie.

– Istnieją oficjalne reguły, ale zwykle załatwia się sprawy nieco inaczej.

– Hm...

– Na przykład podczas przetargu składamy panu oferty, a pan teoretycznie zleca zamówienie temu, kto zaproponuje najniższą cenę. W praktyce wygląda to jednak nieco inaczej.

– Doprawdy? – Ton głosu Donaldsona nie zdradzał w najmniejszym stopniu jego uczuć.

Radny nie był pewien, czy jego aluzje są wystarczająco czytelne, dodał więc:

– Stosujemy specjalny system zniżek.

– To znaczy?

– Przyjmuje pan moją ofertę na, powiedzmy, sto funtów, ale ja wystawiam panu fakturę na sto dwadzieścia funtów. Pan płaci mi sto funtów, więc zostaje panu nadwyżka w wysokości dwudziestu funtów, a skoro ta kwota widnieje już w dokumentach, może ją pan wydać na inne cele.

– Inne cele?

– Może pan na przykład odłożyć te pieniądze dla wdów i sierot żołnierzy zabitych w walce. Albo kupić whisky do kantyny oficerskiej. To rodzaj funduszu na nieokreślone cele, bo pewne wydatki nie zawsze powinny się pojawiać

w księdze rachunkowej. Oczywiście nie musi pan mówić ani mnie, ani komukolwiek innemu, jak wydaje pan te pieniądze.

– Przecież to jest fałszowanie księgowości.

– Może pan na to patrzeć w ten sposób, ale może pan to też uznać za usprawienie maszyny urzędniczej.

– Niestety, nie podzielam tego poglądu, panie radny. Nie będę brał udziału w oszustwach.

Hornbeam przybrał kamienny wyraz twarzy. Sprawa wyraźnie się komplikowała. Obawiał się tego, ale miał nadzieję, że do tego nie dojdzie. Donaldson mógłby zarobić fortunę, ale nie chciał skorzystać z okazji. To było niezrozumiałe i Hornbeam natychmiast się wycofał.

– Oczywiście, powinien pan postępować tak, jak uważa pan za stosowne. – Wciąż liczył na to, że zdobędzie kontrakt. – Bardzo chętnie będę prowadził z panem interesy w taki sposób, który wydaje się panu właściwy. Mam nadzieję, że moja oferta spotka się z pana uznaniem.

– Muszę chyba pana rozczarować, panie radny. Przejrzeliśmy już z pułkownikiem Northwoodem wszystkie oferty i niestety, nie zdobędzie pan kontraktu.

Hornbeam poczuł się tak, jakby ktoś uderzył go w brzuch. Przez chwilę siedział w bezruchu, z ustami otwartymi ze zdumienia.

– Przecież zbudowałem nowy zakład, żeby spełnić wasze wymagania – powiedział, gdy nieco ochłonął.

– Ciekawe, dlaczego był pan taki pewny, że dostanie kontrakt.

– Kto go dostał? Pewnie któryś z metodystów!

– Nie mam obowiązku przekazywać panu takich informacji, ale też nie mam powodu, by tego nie robić. Kontrakt został podzielony między dwie najlepsze oferty. Jedną z nich przedstawił metodysta...

– Wiedziałem!

– ...a drugą oddany członek społeczności anglikańskiej.

– Kto konkretnie? Nazwiska!

– Proszę nie próbować mnie zastraszać, panie radny. Rozumiem, że jest pan rozczarowany, ale nie może pan przychodzić do mojego gabinetu i obrażać mnie.

Hornbeam spróbował zapanować nad wściekłością.

– Proszę wybaczyć. Ale byłbym bardzo wdzięczny, gdyby zechciał mi pan uprzejmie przedstawić nazwiska sukienników, którzy zdobyli kontrakty.

– Metodystą jest Amos Barrowfield, a anglikanką pani Bagshaw.

– Nadęty smarkacz i kobieta!

– I żadne z nich nie wspomniało o specjalnym systemie zniżek.

Hornbeam został wystrychnięty na dudka. Donaldson pozwolił mu gadać, bo wiedział, że sprawa jest już przesądzona, a on ujawnił mu, jak działał system łapówek, który stosowali z Riddickiem. Czy Donaldson – albo Northwood – zamierzali go oskarżyć? Nie mieli dowodów. Hornbeam mógł powiedzieć, że w ogóle nie było tej rozmowy albo że doszło do nieporozumienia. Nie, proces raczej mu nie groził. Ale stracił kontrakt. Będzie się musiał natrudzić, by znaleźć inne zamówienia i zapewnić ciągłość pracy w nowym zakładzie. Straci pieniądze.

Był gotowy udusić Donaldsona. Albo Barrowfielda. Albo wdowę Bagshaw. Najlepiej wszystkich troje. Musiał kogoś zabić albo coś zniszczyć. Gotował się z wściekłości i nie miał jej na kim wyładować.

Wstał.

– Do widzenia, panie majorze – wycedził przez zaciśnięte zęby.

– Do widzenia, panie radny.

W słowach „panie radny” dało się wyraźnie wyczuć nutę sarkazmu.

Hornbeam wyszedł z gabinetu i wypadł na zewnątrz. Ludzie schodzili mu z drogi, gdy kroczył w górę brukowanej ulicy, ciskając wzrokiem błyskawice.

Został pokonany i upokorzony.

I tym razem nie miał planu awaryjnego.

– Wyobraźcie sobie tylko! – powiedziała Elsie, czytając „Kingsbridge Gazette” przy śniadaniu. – Pan Hornbeam nie dostał kontraktu na czerwone sukno na mundury milicji.

– A kto dostał? – spytała Arabella.

– Pani Cissy Bagshaw i Amos Barrowfield. A kosztowną tkaninę na mundury oficerskie dostarczy David Shoveller.

Biskup podniósł wzrok znad „The Times”.

– David Shoveller?

– Ten, którego wszyscy nazywają Spade’em. – Elsie zerknęła na matkę i dostrzegła w jej oczach lęk.

– Zapomniałem, że ma na imię David – powiedział biskup.

Elsie wzruszyła ramionami.

– Większość ludzi tego nie wie.

Jej ojciec wydawał się dziwnie poruszony tym mało istotnym szczegółem.

Spojrzała ponownie na matkę. Dłoń Arabelli wyraźnie się trzęsła, gdy mieszała herbatę.

– Arabello, moja droga, podoba ci się imię David, prawda? – zwrócił się biskup do żony.

Elsie coraz bardziej niepokoił wyraz jego twarzy.

– Podoba się większości ludzi – odparła Arabella.

– Hebrajskie imię, oczywiście, ale popularne w Walii, bo jej patronem jest święty Dawid. Zdrabniają je do Dai, choć oczywiście nie wtedy, gdy odnoszą się do świętego.

Elsie czuła, że pod pozorem tej przyziemnej rozmowy rozgrywa się tu prawdziwy dramat, choć nie rozumiała jeszcze, o co chodzi. Kogo obchodziło, czy jej matce podoba się imię David?

– O ile dobrze pamiętam, chciałaś nazwać swojego syna Davidem. – W oczach biskupa pojawił się błysk mściwości.

Dlaczego powiedział „swojego syna”?

Arabella podniosła wzrok i spojrzała na męża wyzywająco.

– Na pewno byłoby to lepsze niż Absalom – odparła.

Elsie zaczęła rozumieć. Ojciec uważał, że Absalom nie jest jego synem. Musiał wciąż zastanawiać się nad tamtą pijacką marcową nocą. Jej matka chciała, by chłopiec nazywał się David – a tak brzmiało imię Spade’a. Belinda Goodnight mówiła, że Arabella utrzymuje zaskakująco przyjazne stosunki ze Spade’em.

Biskup uważał, że to Spade jest ojcem Absaloma.

Spade? Czy jeśli matka dopuściła się cudzołóstwa, to z nim? Ojciec Elsie najwyraźniej nie miał najmniejszych wątpliwości – jego oczy płonęły gniewem. Wstał gwałtownie i wskazał palcem żonę.

– Zostaniesz za to ukarana! – zapowiedział i wyszedł z pokoju.

Arabella wybuchła płaczem.

Elsie usiadła obok niej i objęła ją ramieniem.

– Czy to prawda, mamo? Czy to Spade jest ojcem Absaloma?

– Oczywiście! Twój ojciec nie byłby w stanie tego zrobić, a ja byłam głupia, udając, że jest inaczej. Ale jakie miałam wyjście?

Elsie już chciała powiedzieć: „Przecież jesteś z dziesięć lat starsza od Spade’a”, w porę się jednak powstrzymała. Myślała jednak o tym – i nie tylko o tym. Matka była żoną biskupa, jedną z najważniejszych dam w społeczności Kingsbridge i najlepiej ubraną kobietą w mieście. Jak mogła mieć romans? I to z młodszym mężczyzną? Z metodystą?

Spade był jednak czarujący i dowcipny, inteligentny i dobrze poinformowany, nawet przystojny na swój sposób. W hierarchii społecznej znajdował się znacznie niżej niż Arabella, ale to była najmniej znacząca spośród reguł, które złamała matka Elsie.

Ale gdzie się spotykali? Gdzie robili te rzeczy... które robią cudzołóżnicy? Nagle przypomniała sobie przebieralnie w zakładzie Kate Shoveller i natychmiast nabrała pewności, że działo się to właśnie tam. W pokojach na piętrze były łóżka.

Ujrzała matkę w całkiem nowym świetle.

– Zaprowadzę cię na górę – zaproponowała Elsie, gdy matka nieco się uspokoiła.

Arabella wstała.

– Nie, dziękuję ci, kochanie – odparła. – Nogi mi nie szwankują. Poleżę sobie w spokoju przez chwilę.

Elsie przeszła z nią do holu i stamtąd obserwowała, jak matka powoli wspina się po schodach.

Przypomniała sobie, że tego dnia Sal miała wyjść z więzienia. Chciała się z nią spotkać, sprawdzić, czy dobrze się miewa. Na razie mogła zostawić matkę samą.

Włożyła płaszcz – uszyty przez Kate i Rebeccę z materiału utkanego przez Spade’a, jak sobie przypomniała. Wyszła i w siąpiącym deszczu ruszyła szybkim krokiem na północny zachód, do domu Boxów. Po drodze zaczęła sobie mimowolnie wyobrażać, jak matka całuje się ze Spade’em w przebieralni. Odsunęła od siebie szybko ten obraz.

Kiedy Elsie weszła do domu Boxów, Sal siedziała w kuchni z łokciami opartymi na stole. Nie miała się dobrze: była chuda, zmęczona i brudna. Kit i Sue wpatrywali się w nią z lękiem; oboje byli zszokowani tą zmianą w jej wyglądzie. Na stole stał kubek piwa, ale Sal nie piła. Elsie pomyślała, że musi być głodna, lecz zbyt wyczerpana, by się ruszyć.

– Jest wykończona, pani Mackintosh – potwierdził jej przypuszczenia Jarge.

Elsie usiadła obok Sal.

– Musisz odpocząć i nabrać sił – powiedziała.

– Dziś odpocznę, ale jutro muszę iść do pracy – odparła apatycznie Sal.

– Kup baraninę u rzeźnika i ugotuj jej tłusty rosół – zwróciła się Elsie do jej męża. Wyjęła z portmonetki suwerena i położyła go na stole. – I chleb. I świeże masło. Kiedy się naje, będzie mogła zasnąć.

– Jest pani bardzo dobra – powiedział Jarge.

– To musiała być bardzo ciężka praca. – Elsie spojrzała na Sal.

– Najcięższa, jaką kiedykolwiek wykonywałam. Kobiety mdleją ze zmęczenia i wtedy są chłostane, dopóki nie oprzytomnieją i nie zabiorą się z powrotem do pracy.

– A nadzorcy? Jak cię traktowali?

Sal zerknęła ostrzegawczo na Elsie. Zrobiła to ukradkiem, więc Jarge niczego nie dostrzegł, ale Elsie od razu zrozumiała: nadzorcy gwałcili kobiety. Sal nie chciała, by jej mąż o tym wiedział. Gdyby to odkrył, zabiłby któregoś z nich, a potem zostałby powieszony.

– Byli bardzo surowi – odparła Sal, by ukryć zakłopotanie.

Elsie ujęła jej dłoń i ścisnęła mocno. Sal odpowiedziała tym samym. To był kobiecy szyfr. Obie wiedziały, że zachowają prawdę o więziennych gwałtach w tajemnicy.

– Potrzebujesz jedzenia i odpoczynku – powiedziała Elsie, wstając. – Wkrótce dojdiesz do siebie.

Ruszyła do drzwi.

– Jest pani aniołem, pani Mackintosh! – zawołał za nią Jarge.

Wracała do centrum w deszczu, rozmyślając ponuro o okrucieństwie, z jakim ludzie traktują się nawzajem, i o tym, jak jedna złota moneta mogła się wydawać biedakowi pokroju Jarge’a cudem sprawionym przez anioła.

Nadal martwiła się o matkę. Co działo się w domu? Jaką karę przygotowywał biskup? Czy zamknie żonę w pokoju i przez tydzień będzie ją tam trzymał o chlebie i wodzie, jak kiedyś więził Elsie?

Kiedy wróciła do pałacu, matki nie było w salonie, a ojca w gabinecie. Poszła do jej sypialni. Arabella siedziała na łóżku i gorzko szlochała.

– Co się stało, mamó? – spytała Elsie. – Co on zrobił?

Matka nie była w stanie odpowiedzieć.

Przez głowę Elsie przemknęła straszliwa myśl. Ale przecież jej ojciec nie skrzywdziłby chyba małego dziecka?

– Coś się stało Absalomowi?

Arabella pokręciła głową.

– Bogu dzięki. Gdzie jest ojciec?

– W ogrodzie – zdołała wykrztusić Arabella.

Elsie popędziła schodami na dół i przebiegła przez kuchnię. Zauważyła, że służący są przybici i wystraszeni. Wyszła tylnymi drzwiami i rozejrzała się. Nie widziała ojca, ale słyszała jakieś głosy. Przeszła przez trawnik i pod wiklinowym łukiem, który w lecie okrywał się setkami kwiatów, a teraz, w zimie, podtrzymywał tylko nagie gałązki.

Gdy znalazła się w ogrodzie różanym, była zszokowana widokiem.

Niskie krzewy róż rosące na planie kwadratu pośrodku ogrodu zostały wykopane; poranione pnie mieszały się z ziemią. Po drugiej stronie ogrodu zerwano i rzucono na ziemię kratownicę pod starym murem, a zdobiące go krzewy wykopano i odrzucono na bok. Na grudy ziemi opadała posepnie zimna mżawka. Dwaj ogrodnicy z łopatami energicznie wyrównywali ziemię, nadzorowani przez biskupa, który miał błoto na białych jedwabnych pończochach. Zobaczył Elsie i uśmiechnął się szeroko z radością, która graniczyła z obłędem.

– Witaj, córko.

– Co ty robisz? – spytała z niedowierzaniem.

– Pomyślałem, że założymy ogród warzywny – odparł z entuzjazmem. – Kucharz jest zachwycony tym pomysłem!

Elsie z trudem powstrzymywała się od płaczu.

– Matka uwielbia swój ogród różany – powiedziała.

– Cóż, nie możemy mieć wszystkiego, co chcemy, prawda? Poza tym będzie zbyt zajęta opieką nad swoim dzieckiem, by pracować w ogrodzie.

– Jesteś bardzo okrutnym człowiekiem.

Ogrodnicy usłyszeli Elsie i wydawali się zszokowani. Nikt nie krytykował biskupa.

– Powinnaś zważać na słowa – rzucił biskup. – Zwłaszcza jeśli nadal chcesz karmić dzieci ze swojej szkółki niedzielnej na mój koszt.

– Jak możesz mi tym grozić?

Podszedł do niej i zniżył głos tak, by usłyszała go tylko córka.

– Odebrałem twojej matce coś, co kochała, bo ona zrobiła to samo mnie.

– Nigdy niczego ci nie odebrała!

– Owszem, pozbawiła mnie czegoś, co ceniłem sobie najbardziej: godności.

Elsie uświadomiła sobie, że to prawda. Zaniemówiła, zszokowana tym odkryciem. Ojciec postąpił okrutnie, to prawda; teraz jednak rozumiała, dlaczego to zrobił.

– Więc nie odnoś się do mnie bez szacunku w obecności ogrodników czy kogokolwiek innego – dodał. – Albo sama się przekonasz, jak to jest utracić coś, co dla ciebie najcenniejsze.

Odwrócił się od córki i podszedł do ogrodników.

*

Spade siedział przy krośnie, ustawiając je do tkania skomplikowanej prążkowanej tkaniny, gdy pojawiła się przy nim Kate.

– W domu czeka na ciebie niespodzianka – powiedziała.

Zerwał się z miejsca i zostawiając za sobą siostrę, przeszedł pospiesznie przez podwórze, wpadł do domu i wybiegł na schody. W sypialni na piętrze czekała na niego Arabella – czego się zresztą spodziewał – ale nie sama.

Trzymała na rękach dziecko.

Objął ich oboje, pocałował Arabelle w usta, a potem spojrzał na niemowlę. Podczas chrztu w katedrze nie miał okazji przyjrzeć mu się z bliska. Wokół chrzcielnicy tłoczyli się ważni ludzie, a on nie chciał ściągać na siebie uwagi, przepychając się do przodu. Teraz mógł się napawać widokiem synka.

– Absalom – powiedział.

– Nazywam go Abe – oznajmiła Arabella.

– Abe – powtórzył za nią.

– Nigdy nie będę używać imienia, które nadał mu Stephen. Nie pozwolę, by żył obarczony klątwą.

– Dobrze. – Spade skinął głową.

Chłopczyk miał zamknięte oczy; wyglądał na spokojnego i zadowolonego.

– Ma twoje włosy – stwierdziła Arabella. – Ciemne, kręcone i gęste.

– Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby miał twoje. A jakiego koloru są jego oczy?

– Niebieskie, ale większość niemowlaków ma niebieskie oczy. Potem zwykle się to zmienia.

– Dzieci nigdy nie wydawały mi się ładne, ale Abe jest piękny.

– Chcesz go potrzymać?

Zawahał się, bo nie miał w tym żadnego doświadczenia.

– Mogę? – spytał.

– Oczywiście. Jest twój.

– Dobrze.

– Wsuń jedną dłoń pod jego pupę, a drugą pod głowę, nic więcej nie musisz robić.

Spade zastosował się do tej instrukcji. Przytulił dziecko, które prawie nic nie ważyło, do piersi i wciągnął w nozdrza czystą woń ciepłej główki. Wypełniły go potężne emocje: miłość, duma i troska.

– Mam dziecko – powiedział z zachwytem. – Syna. – Spojrzał na Arbellę. – Jak sprawy w domu?

– Biskup się zemścił. Zniszczył mój ogród różany.

– Tak mi przykro!

– Mnie też. – Wzruszyła ramionami. – Ale mam ciebie i Abe'a. Obejdę się bez róż. – Mimo wszystko wyglądała na zasmuconą.

Spade pocałował główkę syna.

– To bardzo dziwne – mruknął.

– Co?

– Ten mały chłopiec narobił sporo kłopotów, przychodząc na ten świat, i pewnie narobi jeszcze więcej. Ale ty i ja prawie się tym nie przejmujemy. Jesteśmy szczęśliwi, że go mamy, i go uwielbiamy. Z radością poświęcimy życie opiece nad tą kruszynką. To dobre... ale dziwne.

– Być może tak właśnie działa Bóg – powiedziała Arabella.

– Na pewno.

CZEŚĆ IV
Gangi werbowników
1804–1805

ROZDZIAŁ 26

Jesienią 1804 roku Amos popłynął barką z Kingsbridge do Combe. Był to niespieszny rejs w dół rzeki, choć w drodze powrotnej załoganci z barki musieli mocno wiosłować, by pokonać prąd.

Kiedy wpłynęli do portu w Combe, Amosa spotkała przykra niespodzianka. Na cyplu wznosił się nowy budynek: przysadzista forteca zbudowana na planie koła, przypominająca kształtem kufel na piwo, szerszy u dołu niż na górze. Wyglądała paskudnie i groźnie; przywodziła mu na myśl bokserów gotowych do bicia się z miejscowymi śmiałkami na festynach.

Był z nim Hamish Law. Firma zatrudniała coraz mniej wieśniaków z okolicznych miejscowości, a coraz więcej robotników w zakładach, Hamish musiał więc znacznie mniej podróżować i został asystentem Amosa w kwestiach handlowych, tak jak Kit Clitheroe w procesie produkcji.

– Co to jest, do diabła? – spytał Hamish stojący na pokładzie barki.

Amos chyba znał odpowiedź.

– To pewnie wieża Martello – odparł. – Rząd chce wznieść sto takich budowli wzdłuż tego wybrzeża. Mają nas chronić przed francuską inwazją.

– Słyszałem o nich. – Hamish skinął głową. – Tylko nie spodziewałem się, że są tak cholernie brzydkie.

Amos przypomniał sobie, co czytał w „Morning Chronicle”. Wieża Martello miała mury o grubości ośmiu stóp i płaski dach z ciężką armatą, którą można było obracać i strzelać z niej w dowolnym kierunku. Załoga wieży składała się z oficera i dwudziestu żołnierzy.

Od miesiący czytał o zagrożeniu francuską inwazją. Niepokoił się wiadomościami o tym, że władca Francji Napoleon Bonaparte zgromadził dwieście

tysięcy żołnierzy w Boulogne i innych portach i przygotowywał armadę, która miała ich przewieźć przez kanał La Manche. Na widok ponurej fortecy strzegącej portu w Combe to zagrożenie wydało się Amosowi nagle bardzo realne.

Bonaparte miał mnóstwo pieniędzy, z których mógł sfinansować armadę. Sprzedał Stanom Zjednoczonym rozległe i niedochodowe terytorium nazywane przez Francuzów Luizjana, rozciągające się od Zatoki Meksykańskiej aż po Wielkie Jeziora przy granicy z Kanadą. Prezydent Thomas Jefferson dwukrotnie powiększył terytorium USA i kosztowało go to piętnaście milionów dolarów. Bonaparte wydawał tę fortunę na podbój Anglii.

Paradoksalnie handel z kontynentalną Europą dzięki królewskiej marynarce wojennej, która patrolowała kanał La Manche, nie ustawał. Relacje z Francją i podbitymi przez nią Niderlandami nie wchodziły w grę, ale statki z Combe wciąż mogły pływać do Kopenhagi, Oslo, a nawet Petersburga.

Amos przywiózł do Combe sukno, które miało stąd popłynąć do klienta w Hamburgu, a pieniądze za towar otrzyma za pośrednictwem banków. Klient wpłacał umówioną sumę u niemieckiego bankiera Dana Levy'ego, a Amos odbierał pieniądze od kuzyna Levy'ego, Jonny'ego, który miał bank w Bristolu.

W ostatnich latach Amos wzbogacił się i miał teraz w Kingsbridge dwa zakłady włókiennicze. Realizował kolejne zamówienia dla wojska i kiedy w pierwszym zrobiło się ciasno, kupił drugi, nazywany Zakładem Wdowy, od Cissy Bagshaw, która postanowiła wycofać się z interesu. Pół roku temu powierzył zarządzanie oboma zakładami Kitowi Clitheroe. Kit był wprawdzie bardzo młody, ale znał się na maszynach i utrzymywał dobre relacje z robotnikami; bez wątpienia był najlepszym zastępcą, jakiego Amos mógł mieć.

Przy nabrzeżu w Combe panował spory ruch. Tragarze przenosili towary, wozy odjeżdżały i przyjeżdżały, na barkach trwały rozładunek i załadunek, niekończący się proces, który czynił z Wielkiej Brytanii najbogatsze państwo na świecie.

Załoganci z barki znaleźli statek, którego szukał Amos, *Holenderską dziewczynę*, i przycumowali obok niego. Amos zszedł na brzeg, a Hamish zajął się

wyładunkiem beli sukna. Wkrótce pojawił się obok nich kapitan *Holenderskiej dziewczyny*, Kev Odger. Amos znał go od lat i ufał mu, niemniej policzyli razem wszystkie bele, a Odger otworzył trzy z nich, wybrane na chybił trafił, by sprawdzić, czy to rzeczywiście biała serża, jak zapisano w manifeście ładunkowym. Podpisali dwa egzemplarze konosamentu, po jednym dla każdego.

– Zostajesz na noc? – spytał Odger.

– Nie zdążę już wrócić dziś do Kingsbridge – odparł Amos.

– Więc uważaj na gangi werbowników. Wczoraj straciłem dwóch dobrych załogantów.

Amos wiedział, o co mu chodzi. W brytyjskiej marynarce wojennej stale brakowało ludzi. Milicja, czyli wojska obrony krajowej, nie musiała się zmagać z podobnymi trudnościami, bo mogła werbować kandydatów bez względu na to, czy ci tego chcieli, czy nie. Regularne wojska nie prowadziły przymusowego poboru, ale dotknięta biedą Irlandia zapewniała mniej więcej jedną trzecią rekrutów, a o prawie całą resztę dbały sądy, które mogły skazywać przestępców na służbę w wojsku. Największy problem miała więc marynarka wojenna, która strzegła porządku na morzach, umożliwiając brytyjskim kupcom prowadzenie interesów.

Marynarzom płacono mało, często z opóźnieniem, a życie na statkach było ciężkie i okrutne; nawet za drobne przewinienia karano chłostą. Jedną dziesiątą ludzi służących w marynarce stanowili skazańcy z irlandzkich więzień, ale to wciąż nie wystarczało. Zamiast ją zreformować i płacić ludziom, jak należy, rząd, kierując się interesem podatników, wcielał do marynarki siłą. W Anglii grupy nazywane gangami werbowników porywały albo „rekrutowały” sprawnych mężczyzn w przybrzeżnych miastach, zabierały ich na statki i trzymały w więzach, dopóki nie znaleźli się w odległości wielu mil od stałego lądu. Potępiano ten proceder i często się przeciwko niemu buntowano.

Amos podziękował Odgerowi za ostrzeżenie i udał się z Hamishem do pensjonatu pani Astley, gdzie zatrzymywał się zawsze podczas pobytu w Combe.

Właściwie była to zwykła kamienica, tyle że zastawiona ciasno łózkami, po jednym albo dwóch w mniejszych pomieszczeniach i po kilka lub kilkanaście w większych. Gospodynią była wiecznie uśmiechnięta Jamajka o wielkim brzuchu, który był zapewne najlepszą reklamą jej kuchni.

Pojawili się w pensjonacie akurat na kolację. Pani Astley podała pikantną potrawkę z ryb ze świeżym chlebem i piwem, za szylinga dla dwóch. Amos usiadł przy wspólnym stole obok młodego mężczyzny. Ten go rozpoznał.

– Nie zna mnie pan, panie Barrowfield, ale jestem z Kingsbridge – powiedział.
– Nazywam się Jim Pidgeon.

Amos rzeczywiście nie przypominał sobie, by widział tego człowieka.

– Co sprowadza pana do Combe? – spytał uprzejmie.

– Pracuję na barkach. Dobrze znam rzekę między Kingsbridge i Combe.

Inny lokator pensjonatu, mężczyzna z uschniętą prawą ręką, przezywany Lewusem, złorzeczył Francuzom między jedną łyżką jedzenia a drugą.

– Bezbożni, krwiożerczy prostacy, którzy wymordowali kwiat francuskiej arystokracji, a teraz chcą wymordować naszą – powiedział, po czym włożył do ust pełną łyżkę.

Hamish wdał się z nim w dyskusję.

– Przez czternaście miesięcy trwał pokój – powiedział. Umowa pokojowa została podpisana w Amiens w marcu tysiąc osiemset drugiego roku, a zamożni angielscy kupcy i ludzie spragnieni zwiedzania napłynęli tłumnie do swojego ukochanego Paryża. W maju zeszłego roku Wielka Brytania zerwała jednak rozejm.

– Francuzi znów nas zaatakowali – oznajmił Lewus.

– A to ciekawe – rzucił Hamish. – Bo z gazet wynika, że to my wypowiedzieliśmy wojnę Francuzom, a nie odwrotnie.

– Bo najechali Szwajcarię – nie poddawał się Lewus.

– Bez wątplenia, ale czy to powód, żeby wysyłać Anglików na śmierć? Za Szwajcarię? Tak tylko pytam.

– Nie obchodzi mnie, co gadasz, nienawidzę tych pierdolonych Francuzów.

Z kuchni dobiegł kobiecy głos:

– Tylko bez przekleństw, panie, to jest przyzwoity pensjonat!

Wojowniczo nastawiony Lewus natychmiast położył uszy po sobie.

– Przepraszam, pani Astley! – zawołał.

Kolacja wkrótce dobiegła końca. Kiedy mężczyźni odchodzili od stołu, do sali weszła właścicielka.

– Miłego wieczoru, panowie, ale pamiętajcie o mojej zasadzie: o północy zamykam drzwi na klucz i jeśli ktoś się spóźni, nie zwracam mu za nocleg.

Amos i Hamish wybrali się na spacer po mieście. Amos nie obawiał się gangów werbowników, bo te nie napadały na dobrze ubranych mieszczan.

Combe tętniło życiem, jak wszystkie miasta portowe. Na ulicach występowali muzycy i akrobaci, wędrowni handlarze sprzedawali teksty ballad, pamiątki i magiczne mikstury; młode kobiety i młodzi mężczyźni kupczyli swoimi ciałami; kieszonkowcy okradali marynarzy z ich zarobków. Amosa i Hamisha nie kusiły liczne burdele czy domy gry, ale spróbowali piwa w kilku tawernach i zjedli ostrygi z ulicznego straganu.

Kiedy Amos oznajmił, że czas już wracać do pensjonatu, Hamish poprosił błagalnym tonem o jeszcze jeden kufel piwa. Poszli do tawerny przy nabrzeżu. W środku siedziało kilkunastu mężczyzn pijących piwo i parę młodych kobiet. Amos dostrzegł Jima Pidgeona, zajętego rozmową z dziewczyną w czerwonej sukni.

– Przyjemne miejsce – stwierdził z uznaniem Hamish.

– Nie do końca – rzucił Amos. – Spójrz tylko na tego młodziaka Jima z Kingsbridge. Jest kompletnie pijany.

– Szczęściarz.

– Jak myślisz, dlaczego ta dziewczyna jest dla niego taka miła?

– Pewnie jej się podoba – odparł Hamish.

– Nie jest przystojny ani bogaty, więc co w nim widzi?

– Czasem trudno zrozumieć kobiety.

Amos pokręcił głową.

– To pułapka.

– Co masz na myśli?

– Dolała mu ginu do piwa, kiedy nie patrzył. Lada moment zabierze go do pokoju na tyłach, a on będzie myślał, że ma wyjątkowe szczęście. Ale srodze się rozczaruje, bo będą tam na niego czekali werbownicy. Zabiorą go na pokład okrętu i zamkną w ładowni. Kiedy następnym razem zobaczy światło dnia, będzie już służył w marynarce wojennej.

– Biedaczysko.

– A dziewczyna dostanie szylinga za pomoc.

– Lepiej mu pomóżmy.

– Tak. – Amos podszedł do Pidgeona i powiedział: – Czas wracać do domu, Jim. Jest już późno, a ty jesteś bardzo pijany.

– Nic mi nie jest – zaprotestował Pidgeon. – Rozmawiam sobie z tą dziewczyną. To mademoiselle Stephanie Marchmount.

– A ja jestem Will Pitt Młodszy – prychnął Amos. – Chodźmy.

– Ej, może byście pilnowali swoich interesów, co? – wtrąciła się kobieta, która przedstawiła się Pidgeonowi jako Stephanie.

Amos ujął mocno Jima pod ramię.

– Zostawcie go! – wrzasnęła Stephanie. Rzuciła się na Amosa i podrapała go po twarzy.

Odrącił jej rękę.

Obok stało trzech mężczyzn, którzy rozmawiali z inną ładną dziewczyną. Jeden odwrócił się i spytał:

– Co się dzieje?

– Mój przyjaciel jest pijany – odparł Amos, przykładając dłoń do krwawiącego policzka. – Chcemy go zabrać do domu, zanim dopadnie go gang werbowników. Wam też radzę się stąd wynosić.

– Gang werbowników? – powtórzył mężczyzna. Był wstawiony, ale powoli uświadamiał sobie powagę sytuacji. – Werbownicy są tutaj?

Amos spojrział na tył sali i zobaczył, jak wchodzi trzech mężczyzn o groźnym wyglądzie, prowadzeni przez czwartego, ubranego w mundur oficera marynarki wojennej.

– Spójrzcie tam – powiedział. – Właśnie przyszli.

Stephanie pomachała do nowo przybyłych. Ci poruszali się szybko, jakby powtarzali czynności, które wykonywali już wielokrotnie. Natychmiast znaleźli się u boku dziewczyny, a ta wskazała na Jima.

– Odsuńcie się – rzucił oficer.

Jeden z oprychów pochwycił Jima, a ten nie miał siły się bronić. Hamish uderzył drugiego potężnym sierpowym, zwalając go na ziemię. Trzeci wymierzył precyzyjny cios w brzuch Amosa, tak silny, że ten zgiął się wpół z bólu, po czym napastnik zasypał go gradem kolejnych ciosów. Amos był wysoki i silny, ale nie miał doświadczenia w tego rodzaju bójkach i z trudem się bronił, cofając się w głąb sali.

Ale pozostali klienci tawerny nie pozostali neutralni. Ludzie nienawidzili gangów werbowników. Mężczyźni stojący najbliżej Amosa dołączyli więc do walki. Zaatakowali oprycha, który okładał Amosa pięściami, i odciągnęli go do tyłu.

Amos mógł w końcu ochłonąć i zorientować się w sytuacji. Wszyscy walczyli już ze wszystkimi, mężczyźni wrzeszczeli i rozdawali razy na prawo i lewo, a kobiety piszczwały z przerażenia. Hamish pochwycił Jima i próbował go odciągnąć od jednego z werbowników. Amos pospieszył Hamishowi z pomocą, ale któryś z klientów tawerny zobaczył jego eleganckie ubrania, uznał, że należy do gangu werbowników, i uderzył go na oślep. Trafił dokładnie w podbródek. Amos stracił na moment przytomność, a gdy się ocknął, leżał na podłodze. Wiedział, że powinien jak najszybciej uciekać, ale był zbyt oszołomiony, by wstać.

Udało mu się podnieść na kolana, a potem ktoś chwycił go pod pachy. Ujrzał nad sobą twarz Hamisha. Ten pociągnął go w górę i przerzucił sobie przez ramię. Amos zawisł bezwładnie, poddając się losowi. Jego stopy obijały się o innych ludzi, gdy Hamish przepychał się przez tłum. Kilka sekund później Amos odetchnął świeżym powietrzem. Hamish przeniósł go na bezpieczną odległość od tawerny, postawił na ziemi i oparł o ścianę.

– Możesz stać? – spytał.

– Chyba tak – odparł Amos, choć czuł, że ma miękkie kolana. Na szczęście mógł się utrzymać w pionie.

Hamish parsknął śmiechem.

– To była niezła rozróżba. – Najwyraźniej podobały mu się takie rozrywki. – Tylko że ta Stephanie oszpeciła ci twarz. Kiedyś byłeś całkiem przystojny.

Amos przyłożył dłoń do policzka, a kiedy na nią spojrział, była cała we krwi.

– Zagoi się – rzucił. – Gdzie jest Jim Pidgeon?

– Musiałem go zostawić. Nie mogłem cię nieść i bić się z werbownikami jednocześnie.

– Mam nadzieję, że udało mu się uciec. – Amos westchnął.

– Pewnie przekonamy się jutro przy śniadaniu.

Następnego dnia Jim Pidgeon nie pojawił się przy stole.

*

Elsie układała do snu trzech synów, jednego po drugim. Była to jej ulubiona pora dnia. Uwielbiała ten cichy czas z dziećmi, ale też cieszyła ją myśl o chwili, kiedy wszystkie zasną i będzie mogła odpocząć.

Zaczęła od najmłodszego, Richiego, który skończył dwa lata. Był blondynem, jak Kenelm, i wyglądało na to, że wyrośnie na przystojnego mężczyznę. Uklękła obok jego łóżka i odmówiła krótką modlitwę. Kiedy kończyła, Richie powiedział razem z nią „Amen”. Było to jedno z niewielu słów, które umiał już wymawiać, oprócz „mama”, „kupa” i „nie”.

Potem przychodziła kolej na Billy'ego. Miał cztery lata i kipiał energią. Umiał śpiewać, liczyć, sprzeciwiać się matce i biegać, choć nie dość szybko, żeby przed nią uciec. Odmówił z nim *Ojcze nasz*.

W końcu przeszła do pierworodnego, Stewiego. Jego puszyste rude włosy pociemniały, upodabniając się do kasztanowych włosów Arabelli. Dużo czytał i potrafił już napisać swoje imię. Odmawiał modlitwy bez pomocy Elsie i to ona mówiła z nim na koniec „Amen”.

Dawniej modlił się z nim ojciec, ale teraz, gdy mieli już troje dzieci, uznał, że zajmuje to zbyt dużo czasu.

Elsie zostawiła chłopców pod dozorem opiekunki, która spała w pomieszczeniu obok i słyszała, co się u nich dzieje. Na korytarzu spotkała matkę, wychodzącą właśnie z pokoju męża.

Rodzice Elsie od pięciu lat prawie się do siebie nie odzywali, ale ostatniego lata sześćdziesięciosiedmioletni biskup poważnie zachorował. Cierpiał na bóle w klatce piersiowej i miał problemy z oddychaniem, na tyle silne, że nie był w stanie podjąć żadnego wysiłku i nie wstawał już z łóżka. Arabella zaczęła się nim opiekować.

Matka i córka zeszły razem do jadalni na kolację, na którą podano gorącą zupę, pasztet z dziczyzny w cieście i na deser placek. Na stole stał dzban z winem, ale obie kobiety piły herbatę.

Kenelm był na spotkaniu z duchowieństwem diecezji i zapowiedział, że się spóźni, więc zaczęły bez niego.

Elsie spytała, jak czuje się ojciec.

– Jest trochę słabszy – odparła Arabella. – Skarży się, że mu zimno w stopy, choć w kominku stale się pali. Przyniosłam mu bulionu na kolację. Wypił go, a teraz śpi. Jest z nim Mason.

– Dlaczego się nim opiekujesz? Mason mogłaby to robić sama.

– Też często zadaję sobie to pytanie.

Elsie nie wystarczała taka odpowiedź.

– Robisz to dlatego, że myślisz o życiu pozagrobowym? – spytała. Właściwie chciała powiedzieć „o Sądzie Ostatecznym”, uznała jednak, że zabrzmiałoby to zbyt surowo.

– Niewiele wiem o życiu pozagrobowym. Podobnie zresztą jak duchowni, choć udają, że wiedzą. Szczęśliwe małżeństwa myślą, że będą razem w niebie, ale co z wdową, która wyjdzie za mąż po raz drugi? Może mieć w niebie dwóch mężów? Będzie musiała wybierać między nimi czy zachowa obu?

Elsie zachichotała.

– Nie bądź niemądra, mamo.

– Pokazuję tylko, jak nielogiczne jest to, w co wierzą niektórzy.

– Nadal kochasz mojego ojca?

– Nie i chyba nigdy go nie kochałam. Ale to nie była jego wina. Nie zmusił mnie, żebym za niego wyszła. Nie powinnam była go poślubić, ale podjęłam taką decyzję. Oświadczył się, a ja nie odmówiłam. Zrobiłabym to, gdyby nie duma, zraniona po tym, jak zostałam odrzucona przez pewnego młodego mężczyznę.

– Niektóre małżeństwa tego rodzaju radzą sobie całkiem nieźle – zauważyła Elsie.

– Problem polegał na tym, że twój ojciec właściwie nigdy się mną nie interesował. Chciał mieć żonę dla wygody, pewnie po to, by nie brano go za... no wiesz... takiego, co obcuje z mężczyznami...

– Ojciec jest...? – zaczęła przerażona Elsie.

– Nie, ale nie ma też ciągot w drugą stronę. Po twoich narodzinach rzadko się kochaliśmy. I w końcu znalazłam kogoś, kto kochał mnie tak bardzo, że nie mógł beze mnie wytrzymać, a ja uświadomiłam sobie, że właśnie tak to powinno wyglądać.

Niestety, u mnie tak nie wygląda, pomyślała ze smutkiem Elsie. Ale na pewno mogłoby tak być... z Amosem. Zjadła łyżkę zupy i nie odezwała się.

– Nie chcę, żeby umierał, wciąż mnie nienawidząc – powiedziała Arabella. – Nie chcę stać nad grobem twojego ojca i przeklinać jego imię. Myślę więc o tych

pierwszych latach, kiedy był szczupły, przystojny i nie taki nadęty, a ja przynajmniej go lubiłam. Być może zdąży mi jeszcze przebaczyć.

Elsie uważała, że jej ojciec nie należy do ludzi, którzy potrafią przebaczać, była to jednak kolejna myśl, którą zachowała dla siebie.

Intymna atmosfera zwierzeń prysła, gdy do jadalni wszedł Kenelm. Usiadł przy stole i nalał sobie kieliszek madery.

– Dlaczego macie takie poważne miny? – spytał.

Postanowiła nie odpowiadać.

– Jak było na spotkaniu? – rzuciła.

– Bez problemów – odparł. – To była zwykła rozmowa organizacyjna. Wcześniej ustaliłem wszystko z twoim ojcem, więc po prostu powiedziałem kapłanom, czego biskup od nich oczekuje. Kiedy się nie zgadzali, mówiłem, że omówię to ponownie z biskupem, ale nie sądzę, by zmienił zdanie.

– Jesteś pewien, że ojciec w ogóle rozumie, co do niego mówisz? – spytała Arabella.

– Tak mi się wydaje. W każdym razie podejmujemy razem rozsądne decyzje. – Kenelm nałożył sobie kawałek pasztetu w cieście i zaczął jeść.

Arabella wstała.

– Pójdę się już położyć. Dobranoc, Kenelm. Dobranoc, Elsie.

Gdy wyszła z pokoju, jej zięć uniósł brwi.

– Mam nadzieję, że twoja matka nie jest na mnie zła z jakiegoś powodu.

– Nie – odparła Elsie. – Ale prawdopodobnie uważa, że ojciec nie jest już w stanie samodzielnie podejmować decyzji i że tak naprawdę to ty teraz zarządzasz.

Nie zaprzeczył.

– A gdyby to była prawda, miałyby to jakieś znaczenie?

– Ktoś nastawiony do ciebie nieprzychylnie mógłby to uznać za oszustwo.

– Ależ skąd! – Kenelm roześmiał się, jakby taka sugestia była bezsensowna. – Tak czy inaczej, chodzi przede wszystkim o to, by sprawnie zarządzać diecezją

w czasie, gdy twój ojciec jest niedysponowany.

– Być może już nigdy nie wróci do zdrowia.

– Tym bardziej powinniśmy unikać kłótni o to, kto ma w tym czasie pełnić obowiązki biskupa.

– Wcześniej czy później ludzie zrozumieją, co robisz.

– Tym lepiej. Jeśli dowiodę, że nadaję się do tej pracy, to kiedy twój ojciec odejdzie do domu Pana, arcybiskup powoła mnie na jego miejsce.

– Przecież masz dopiero trzydzieści dwa lata.

Jasne policzki Kenelma pociemniały od gniewu.

– Wiek nie powinien mieć znaczenia. To stanowisko powinno przyspaść człowiekowi, który najbardziej się do tego nadaje.

– Nikt nie wątpi w twoje kompetencje, Kenelm. Ale to jest Kościół anglikański, zarządzany przez starców. Mogą uznać, że jesteś zbyt młody.

– Jestem tu od dziewięciu lat i dowiodłem swojej wartości!

– Wszyscy się z tym zgodzą – powiedziała Elsie, co nie było do końca prawdą, ponieważ jej mąż ścierał się z kilkoma wyższymi rangą duchownymi, którym nie podobała się jego pewność siebie. Próbowwała go jednak jakoś udobruchać. – Po prostu nie chcę, byś czuł się rozczarowany, jeśli decyzja nie byłaby zgodna z twoimi oczekiwaniami.

– Nie wydaje mi się to prawdopodobne – odparł z przekonaniem.

Elsie więcej się nie odezwała.

Dokończył kolację, po czym poszli razem na górę. Wszedł za żoną do jej sypialni, a z niej do swojej.

– Dobranoc, kochanie – powiedział, zamykając drzwi.

– Dobranoc.

*

Elsie była zaskoczona tym, jak bardzo poruszyła ją śmierć ojca. Ich relacje były napięte, nie spodziewała się więc, że kiedy biskup umrze, będzie ronić po nim łzy.

Gdy spojrzała na jego zimne ciało w trumnie, odziane w biskupie szaty, łącznie z peruką, ogarnął ją smutek tak wielki, że wybuchła płaczem. Myślała o scenach z dzieciństwa, których nie przywoływała w pamięci przez ostatnie dwadzieścia pięć lat; ojciec śpiewa jej dziecięce hymny i piosenki ludowe; opowiada jej bajki na dobranoc; mówi jej, jak ładnie wygląda w nowej sukience; uczy ją rozpoznawać pierwszą literę jej imienia na inskrypcjach w katedrze. W pewnym momencie ta bliskość zniknęła. Może stało się to wtedy, gdy zmieniła się z małej słodkiej dziewczynki w wyzywającą kłótniową nastolatkę.

– Wszystkie te dobre chwile... – powiedziała do matki. – Dlaczego tak długo o nich nie pamiętałam?

– Bo złe wspomnienia zatruwają dobre – odparła Arabella. – Teraz jednak możemy spojrzeć na jego życie jako na całość. Czasami bywał dobry, a czasami okrutny. Był inteligentny, ale miał wąskie horyzonty. Nie przypominam sobie, by kiedykolwiek mnie okłamał... czy kogoś innego... choć potrafił oszukiwać, przemilczając to, co ważne. Kiedy się nad tym zastanowić, życie każdego człowieka jest taką mozaiką dobrego i złego, chyba że ktoś jest świętym.

Amos powiedział, że rozumie, co czuje Elsie. Kiedy gawędzili w szkółce niedzielnej, w czasie gdy dzieci jadły bezpłatny obiad, mówił o śmierci swojego ojca, który odszedł przed dwunastu laty.

– Kiedy go wtedy zobaczyłem, bladego i nieruchomego, zacząłem nagle szlochać i nie mogłem przestać, chociaż wiedziałem, że źle mnie traktował. Pamiętałem o tym, ale to nie miało znaczenia. Nie mogłem tego zrozumieć... i nadal nie rozumiem.

Elsie skinęła głową.

– Przywiązanie do rodziców jest zbyt mocne, by mogły je zmienić okoliczności. Żal nie jest racjonalny.

Uśmiechnął się i również skinął głową.

– Jesteś bardzo mądra, Elsie.

A jednak wolisz tę trzypiotową Jane, pomyślała.

Biskup pozostawił cztery tysiące funtów, które podzielił w testamencie po równo między żonę i córkę. Arabella mogła prowadzić za to skromne życie. Elsie zamierzała wykorzystać pieniądze na rozwój szkoły niedzielnej.

Arcybiskup nie przyjechał do Kingsbridge na pogrzeb, przysłał jednak swoją prawą rękę, Augustusa Tattersalla. Ten zatrzymał się w pałacu. Elsie była pod wrażeniem jego osobowości. Poznała dwóch poprzednich wysłanników arcybiskupa i obaj wydali jej się aroganccy i apodyktyczni. Tattersall był intelektualistą, człowiekiem o znaczących wpływach, ale się z tym nie obnosił. Mówił łagodnie i był bardzo uprzejmy, zwłaszcza wobec tych, którzy mu podlegali, mimo to nie było w nim śladu słabości; potrafił być bardzo stanowczy, szczególnie gdy mówił o decyzjach arcybiskupa. Elsie pomyślała, że tak właśnie wyglądałby Amos, gdyby został duchownym. Tyle że Tattersall nie był taki przystojny.

Podczas poprzednich wizyt duchownych zajmujących wysokie pozycje w Kościele anglikańskim Elsie czuła się wręcz zażenowana zachowaniem męża, który w oczywisty dla wszystkich sposób starał się im zaimponować. Nieustannie mówił o tym, jak dalece polega na nim biskup, i dawał do zrozumienia, że on zarządzałby wszystkim lepiej. Rozumiała, że Kenelm chce robić karierę, czuła jednak, że większe wrażenie na kościelnych dostojnikach zrobiłoby pokorniejsze i subtelniejsze zachowanie.

Kenelm mówił jej, że jest pewien awansu, ale nie mógł się doczekać, kiedy Tattersall przekaże ważne wieści. Emisariusz arcybiskupa trzymał ich jednak w niepewności i nie zdradzał się z niczym podczas przygotowań do pogrzebu.

Biskup został uroczyście złożony do grobu na cmentarzu po północnej stronie katedry. Zaraz po pogrzebie miało się odbyć spotkanie kapituły, Tattersall chciał jednak najpierw porozmawiać z Arabellą, Kenelmem i Elsie, co zdaniem tej ostatniej było wyrazem życzliwości i rozsądku.

Usiedli w salonie i Tattersall od razu przeszedł do rzeczy.

– Arcybiskup postanowił, że nowym biskupem Kingsbridge będzie Marcus Reddingcote – oznajmił.

Elsie zerknęła na męża. Kenelm był zszokowany i blady jak ściana. Ogarnęła ją fala współczucia. Wiedziała, jak wiele to dla niego znaczy.

– Zdaje się, że poznał pan Reddingcote’a w Oksfordzie – zwrócił się do niego Tattersall. – Był tam wtedy wykładowcą.

Elsie słyszała o tym konserwatywnym intelektualistcie, autorze komentarza do Ewangelii świętego Łukasza.

– Ale dlaczego nie ja? – spytał Kenelm, ochłonawszy z pierwszego szoku.

– Arcybiskup doskonale zna pana umiejętności i uważa, że ma pan przed sobą wspaniałą przyszłość. Potrzebuje pan jeszcze kilku lat doświadczenia, by móc przejąć diecezję. W tej chwili jest pan na to zbyt młody.

– Wielu ludzi w moim wieku zostało biskupami!

– Nie. Kilku, owszem, i właściwie każdy z nich był drugim lub trzecim synem bogatego arystokraty.

– Ale... – zaczął Kenelm.

– Chciałem jeszcze dodać – przerwał mu stanowczo Tattersall – że dziekan Kingsbridge przechodzi wkrótce na emeryturę i arcybiskup mianuje pana, panie Mackintosh, nowym dziekanem.

Kenelm wciąż wydawał się niepokieszony. Był to znaczący awans, lecz on pragnął czegoś więcej.

– Dziękuję – zdołał jednak wykrztusić.

Tattersall wstał.

– Reddingcote chciałby przyjechać tu jak najszybciej – oznajmił. – Pan przejmie dziekanę, gdy tylko obecny dziekan się wyprowadzi.

Elsie czuła, że jej życie zmienia się zbyt szybko. Chciałaby je zatrzymać i na spokojnie ocenić sytuację.

Wysłannik arcybiskupa spojrział na zegarek.

– Za piętnaście minut spotkam się z kapitułą. Mam nadzieję, że pan też tam będzie, panie Mackintosh.

Kenelm wyglądał tak, jakby chciał powiedzieć „Idź do diabła”, ale po chwili skinął posłusznie głową.

– Oczywiście.

– A więc przeprowadzamy się do dziekanii! – powiedziała radośnie Elsie, gdy Tattersall wyszedł. – To bardzo przyjemny dom. Mniejszy od tego pałacu, oczywiście, ale chyba wygodniejszy. I jest przy Main Street.

– Osiem lat wysługiwania się biskupowi, a dostaję tylko dziekanię – stwierdził gorzko Kenelm.

– Przeciętny duchowny uznałby to za bardzo szybki awans.

– Nie jestem przeciętnym duchownym.

Elsie wiedziała, że oczekiwał specjalnego traktowania, bo był zięciem biskupa. Lecz ten zmarł, a jej mąż nie miał żadnych wpływowych znajomych.

– Myślałeś, że jeśli się ze mną ożenisz, potraktują cię inaczej – odezwała się ze smutkiem.

– Ha! – odrzekł. – I to był błąd, prawda?

Poczuła się tak, jakby uderzył ją w twarz.

Kenelm wyszedł z pokoju.

– Och, kochanie, to było bardzo niemiłe z jego strony – powiedziała Arabella. – Ale pewnie wcale tak nie myśli. Był zdenerwowany.

– Jestem pewna, że tak właśnie myśli – odparła Elsie. – Potrzebuje kozła ofiarnego, na którego zrzuci winę za swoją porażkę.

– Cóż, jego marzenie się nie spełniło, ale twoje owszem. Masz Steviego, Billy’ego i Richiego. A ja mam Abe’a. Wprowadzimy się do dziekanii i będziemy miały dom pełen dzieci. Życie mogłoby być gorsze!

Elsie wstała i uściskała matkę.

– Masz rację – przyznała. – Życie mogłoby być znacznie gorsze.

ROZDZIAŁ 27

Córka Hornbeama, Deborah, położyła obok swojego talerza czasopismo. Wpatrywała się w nie i zapisywała ołówkiem na skrawku papieru jakieś liczby, podczas gdy jej herbata stygła. Na otwartej stronie czasopisma widać było jakieś rysunki geometryczne, trójkąty i koła ze stycznymi.

– Co robisz? – spytał ją zaintrygowany ojciec.

– To łamigłówka matematyczna – odparła, nie podnosząc głowy. Była całkowicie pochłonięta rozwiązywaniem jej.

– Co to za czasopismo?

– „Rozrywka dla Dam albo Almanach Kobiety”.

Był zaskoczony.

– W czasopiśmie dla kobiet drukują zagadki matematyczne?

– A czemu nie? – zdziwiła się Deborah, w końcu podnosząc na ojca wzrok.

– Nie sądziłem, że kobiety zajmują się matematyką.

– Oczywiście, że się zajmują! Wiesz, że zawsze lubiałam liczby.

– Myślałem, że jesteś wyjątkowa.

– Wiele kobiet udaje, że nie rozumie liczb, bo powiedziano im, że chłopcy nie lubią bystrych dziewczyn.

Dla Hornbeama była to zupełnie nowa myśl.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że kobiety są równie bystre jak mężczyźni?

– Och, nie, ojczu, jakżebym śmiała – odparła z nieskrywanym sarkazmem.

Niewiele osób miało dość odwagi, by sprzeciwić się Hornbeamowi, nie mówiąc już o drwieniu z niego, ale Deborah należała do tej garstki. I z pewnością nie zamierzała udawać, że jest głupia. Była inteligentna i ojciec lubił się z nią spierać.

Nie towarzyszył im jej mąż. Will Riddick zszedł na złą drogę. Gdy odsunięto go od realizacji zakupów dla milicji Shiring, stracił źródło wysokich dochodów. Wciąż otrzymywał pieniądze z majątku w Badfordzie i wojskową pensję, ale to nawet w części nie pokrywało wydatków związanych z jego dotychczasowym stylem życia – zwłaszcza z hazardem – wkrótce został więc bez grosza przy duszy. Hornbeam pożyczył mu sto funtów, ze względu na córkę, ale zięć ich nie zwrócił; co więcej, trzy miesiące później poprosił o więcej. Kiedy teść odmówił, Riddick wyprowadził się z Kingsbridge i wrócił do Badfordu. Deborah nie chciała przenieść się wraz z nim, ale nieszczęśliwie go to obchodziło. Nie mieli dzieci, więc życie w separacji było proste.

Nie tego życzyłyby sobie Hornbeam, ale cieszył się z towarzystwa córki.

Wstał, gdy zegar wybił wpół do dziesiątej.

– Muszę zająć się biedotą Kingsbridge – powiedział z niesmakiem i wyszedł z pokoju.

W holu jego wnuk Joe bawił się drewnianym mieczem, walcząc z wyimaginowanym przeciwnikiem. Hornbeam spojrzał czule na chłopca.

– To duży miecz jak na sześciolatka – zauważył.

– Mam już prawie siedem lat – pochwalił się Joe.

– Och, to zupełnie zmienia postać rzeczy.

– Właśnie. – Joe był nieświadomy sarkazmu dziadka. – Kiedy dorosnę, zabiję Bonapartego.

Hornbeam miał nadzieję, że wojna się skończy, nim Joe będzie w wieku poborowym.

– Miło mi to słyszeć – odparł jednak. – Dobrze byłoby się pozbyć Bonapartego. Ale co będziesz robił potem?

Chłopiec spojrzał na dziadka niewinnymi niebieskimi oczami.

– Będę zarabiał dużo pieniędzy, jak ty.

– To bardzo dobry plan – powiedział Hornbeam. I nigdy nie zaznasz tego, co ja musiałem wycierpieć w dzieciństwie, pomyślał. To dla mnie ogromna pociecha.

– Wracajcie, francuskie tchórze! – zawołał Joe, kontynuując przerwana walkę.

Hornbeam pomyślał, że Francuzi z pewnością nie są tchórzami. Od dwunastu lat opierali się angielskim próbom zdławienia rewolucji. Była to jednak zbyt subtelna refleksja, by dzielić się nią z patriotycznie nastawionym sześciolatkiem, nawet tak bystrym jak Joe. Włożył płaszcz i wyszedł.

Niedawno został mianowany nadzorcą biedoty w Kingsbridge. Nie było zbyt wielu chętnych na to stanowisko, ponieważ wymagało sporo pracy za małą opłatę, lecz Hornbeam zawsze chciał mieć jak największą władzę w rękach. Zapomogę dla biednych przyznawały kościoły parafialne, ale nad całym systemem czuwał nadzorca. Chodziło o to, by pieniądze ze składek nie trafiały do próżniaków i oszustów. Raz do roku odwiedzał każdą z parafii i siedział w zakrystii z pastorem, słuchając płaczliwych historii mężczyzn i kobiet, którzy nie mogli wykarmić rodzin bez pomocy nieco zamożniejszych ludzi.

Tego dnia wybrał się do parafii Świętego Jana, na południe od rzeki, gdzie niegdyś rozciągały się pola uprawne, a teraz wyrastały jak grzyby po deszczu kolejne domy budowane przez Hornbeama i jego syna Howarda dla robotników pracujących w zakładach włókienniczych nad rzeką.

Pastorem tej parafii był Titus Poole, szczupły zasadniczy młodzieniec o smętnym wyglądzie. Hornbeam założył perukę, by podkreślić swoją godność i władzę, ale Poole tego nie zrobił. Uważał pewnie jak wielu, że peruki są niepotrzebne, za dużo kosztują i wyglądają głupio. Hornbeam nim gardził. Według niego Poole należał do tego najgorszego rodzaju duchownych o miękkim sercu, którzy tak bardzo chcą pomóc parafianom, że nie próbują ich nauczyć, by pomagali sami sobie.

W ciągu pierwszych kilku minut przyznali zapomogę trzem osobom, które wcale na nią nie zasługiwały: mężczyźnie z przekrwionymi oczami i czerwonym nosem, który najwyraźniej miał dość pieniędzy, by się upijać; grubej kobiecie twierdzącej, że nie ma co jeść; oraz dziewczynie z trojgiem dzieci, znanej prostytutce, która już kilka razy stawała przed sędziami pokoju. Hornbeam spierałby się z Poole'em o każdy z tych przypadków, tylko że obaj musieli

przestrzegać określonych reguł. To pozwalało im dojść do porozumienia... dopóki nie pojawiła się Jenn Pidgeon.

Zaczęła mówić, gdy tylko weszła do zakrystii.

– Potrzebuję pomocy, żeby nakarmić synka. Jestem bez grosza, i to nie z mojej winy. Czterofuntowy chleb kosztuje teraz ponad szylinga, więc co mają jeść biedni ludzie? – Była rozzłoszczona i nie okazywała cienia strachu.

– Proszę mówić wtedy, kiedy o to panią poprosimy, pani Pidgeon – zainterweniował pastor. – Radny i ja będziemy pani zadawać pytania. Wystarczy, że pani odpowie na nie zgodnie z prawdą. Mówi pani, że ma syna?

– Tak, Tommy’ego, ma czternaście lat i codziennie szuka pracy, ale jest mały i niezbyt silny. Czasami ludzie płacą mu za jakieś drobne przysługi albo za sprzątanie.

Miała około trzydziestu lat, nosiła starą suknię i chustę pogryzioną przez mole. Hornbeam zauważył, że wygląda na zagłodzoną, co przemawiało na jej korzyść. Jego żona Linnie twierdziła, że u niektórych osób otyłość bierze się z choroby, on uważał jednak, że są po prostu łakome.

– Gdzie pani mieszka? – spytał Poole.

– Na farmie pana Morleya, ale nie w domu, tylko w szopie dobudowanej do stodoły. Jest palenisko, ale nie ma tam komina. Wynajmują mi tę szopę za pensa tygodniowo i dają siennik dla nas obojga.

– Śpisz z czternastoletnim synem? – spytał Hornbeam z dezaprobatą.

– Żeby nam było cieplej – odparła z oburzeniem. – Ta szopa jest dziurawa.

Niby głoduje, ale ma jeszcze dość sił, żeby się ze mną kłócić, pomyślał cierpko.

– Jak pani zarabia na życie? – odezwał się Poole.

– Jak tylko mogę. Ale w zimie nie potrzebują pomocy w gospodarstwie, a w zakładach nie mają zamówień z powodu wojny. Dawniej pracowałam w sklepie, ale teraz sklepy w Kingsbridge nikogo nie zatrudniają.

– Gdzie jest twój mąż? – przerwał jej Hornbeam. Nikt nie musiał mu wyjaśniać, dlaczego w Kingsbridge brakuje pracy. Przypuszczał, że kobieta odpowie, że nie

ma męża, ale się mylił.

– Zabrał go gang werbowników... oby się smażyli w piekle!

Zabrzmiało to niemal jak obelga pod adresem rządu, więc Poole rzucił ostrzegawczo:

– Proszę się uspokoić.

Jenn jakby tego nie usłyszała.

– Nigdy wcześniej nie byłam głodna. Kiedy przyjechaliśmy tu z Jimem z Hangerwold, dostał pracę na barkach. Nie mieliśmy zbyt wiele, ale nigdy nie musiałam pożyczać, nawet jednego pensa. – Spojrzała prosto na Hornbeama. – Potem wasz premier wysłał oprychów i ci zwięzali Jima, wrzucili go na jakiś statek i kazali mu pływać po morzach Bóg wie jak długo, a ja zostałam sama. Nie chcę zapomogi, chcę z powrotem męża, ale ukradliście mi go! – Zaczęła płakać.

– Nie pomaga pani sobie, kiedy nas obraża – zauważył pastor.

Nagle przestała szlochać.

– Obraża? A powiedziałam coś nieprawdziwego?

Hornbeam pomyślał z irytacją, że ta kobieta jest bezczelna. Większość ludzi ubiegających się o pomoc miała przynajmniej dość rozsądku, by zachowywać się z należyтым szacunkiem. Ta zuchwałością zasłużyła sobie na to, by przymierać głodem.

– Mówisz, że jesteście z Hangerwold?

– Tak, ja i Jim. To w hrabstwie Gloucester. Jim miał ciotkę w Kingsbridge, ale umarła.

– Wiesz chyba, że zapomogę możesz dostać tylko w tej parafii, w której się urodziłaś?

– Jak mam się teraz dostać do hrabstwa Gloucester? Nie mam płaszcz, a mój syn nie ma butów, nie mam też domu ani pieniędzy na czynsz.

– Zwykle w takich okolicznościach wypłacamy zapomogę – zwrócił się cicho Poole do radnego. – Wygląda na to, że zrobiła wszystko, co mogła.

Hornbeam nie miał ochoty naginać zasad dla tej niesubordynowanej kobiety, której najwyraźniej wydawało się, że jest mu równa.

– Mówisz, że twój mąż został porwany przez werbowników?

– Tak uważam.

– Ale nie jesteś pewna.

– Nie informują o tym żon. Ale popłynął barką do Combe, a tego wieczoru grasował tam gang werbowników. Mój Jim nie wrócił już do domu, więc chyba wiadomo, co się stało, prawda?

– Może po prostu uciekł.

– Niektórzy mężczyźni może by tak zrobili, ale nie Jim.

– To mało istotne szczegóły, panie radny – odezwał się półgłosem Poole.

– Nie zgadzam się. Jej mąż być może nie żyje. Powinna wrócić do swojej rodzinnej miejscowości.

W oczach pastora pojawił się gniewny błysk.

– Prawdopodobnie umrze po drodze – powiedział.

– Nie możemy zmieniać reguł.

– Panie Hornbeam, ta kobieta jest bez wątpienia niewinną ofiarą rządu, który pozwala marynarce wojennej porywać ludzi! – odparł pastor zdecydowanym głosem. – Być może gangi werbowników to smutna konieczność, zwłaszcza w czasie wojny, ale możemy coś przynajmniej zrobić dla rodzin ofiar, by dzieci nie głodowały.

– Reguły mówią co innego.

– Reguły są okrutne.

– Być może. Tak czy inaczej, musimy się ich trzymać. – Hornbeam spojrzał na Jenn Pidgeon. – Twoja prośba została odrzucona. Musisz zgłosić się po zapomogę w Hangerwold.

Przypuszczał, że kobieta wybuchnie płaczem, spotkało go jednak zaskoczenie.

– Niech tak będzie – rzuciła i wyszła z wysoko podniesioną głową.

Wyglądało to tak, jakby miała jakiś plan awaryjny.

*

Elsie uwielbiała swój nowy dom. Zamiast w rozbrzmiewających echem wielkich komnatach pałacu biskupiego mieszkała teraz w pokojach o ludzkich rozmiarach, ciepłych i wygodnych, bez marmurowych podłóg, na których dzieci mogły się poślizgnąć, przewrócić i rozbić sobie głowę. Jedli prostsze posiłki, mieli mniej służących i nie musiała zabawiać duchownych, którzy przybywali z wizytą do Kingsbridge.

Arabelli też się tu podobało. Była w żałobie i miała w niej pozostać jeszcze przez rok; czarne ubrania w zestawieniu z jej jasną cerą sprawiały, że wyglądała na bladą i osłabioną, niczym piękna bohaterka gotyckich romansów, które lubiła czytać. Elsie widziała jednak, że matka jest szczęśliwa. Zachowywała się tak, jakby rzuciła z ramion wielki ciężar. Często chodziła na zakupy, czasami zabierała ze sobą pięcioletniego Abe'a, zwykle jednak wracała z pustymi rękami. Elsie przypuszczała więc, że spotyka się potajemnie ze Spade'em. Oboje byli teraz wolni, lecz nadal musieli zachowywać dyskrecję, ludzie byliby bowiem zszokowani, gdyby kobieta o jej statusie otwarcie romansowała, i to w okresie żałoby. Mimo to ich związek był najgorzej strzeżoną tajemnicą w Kingsbridge; wiedział o niej każdy, kto choć trochę interesował się życiem miasta.

Bez wątplenia niektórzy zastanawiali się, czy Spade jest ojcem Abe'a. Zwłaszcza po zniszczeniu ogrodu różanego Belinda Goodnight i jej przyjaciółki rozprawiły o tym przez długie tygodnie, lecz nikt prócz Arabelli nie mógł tego potwierdzić. Poza tym panowało powszechne przekonanie, że takie pytania lepiej pozostawiać bez odpowiedzi. Być może inne mężatki również miały dzieci, których ojcostwo pozostawało dyskusyjne, i obawiały się, że plotki dotyczące jednej sprawy mogą przenieść się na inne.

Nowy biskup zdążył się już zadomowić. Marcus Reddingcote był tradycjonalistą i właśnie tego oczekiwała od biskupa większość mieszkańców Kingsbridge. Jego żona Una odnosiła się do nich z chłodną wyższością i chyba uważała poprzednich lokatorów pałacu za osoby o nieco podejrzanym reputacji.

Kiedy Elsie powiedziała jej, że prowadzi szkółkę niedzielną, Una spytała ze zdumieniem: „Ale dlaczego?”. Była też zszokowana, gdy poznała Abe’a i uświadomiła sobie, że czterdziestodziewięcioletnia Arabella ma zaledwie pięcioletnie dziecko.

Elsie zazdrościła matce namiętnego romansu. Jakież to musi być cudowne kochać kogoś całym sercem i być kochanym w taki sam sposób, myślała.

Pewnego dnia wyjrzała rano przez okno i zobaczyła tłumy idące Main Street w stronę rynku. Przypomniała sobie, że to Dzień Świętego Adolfusa. Zakłady włókiennicze były zamknięte i na rynku urządzano festyn. Postanowiła zabrać tam najstarszego syna, Steviego, a Arabella powiedziała, że zabierze Abe’a.

Słabe listopadowe słońce nie było w stanie rozgrzać zimnego powietrza. Włożyły więc ciepłe ubrania z kolorowymi dodatkami; Elsie miała czerwoną chustę, a jej matka zielony kapelusz. Wielu innych zrobiło to samo, więc plac był pełen barwnych plam, które odcinały się od szarości kamieni katedry. Zdawało się, że kamienny anioł na wieży, przedstawiający podobno zakonnice Caris, założycielkę szpitala, spogląda dobrotliwie na mieszkańców miasta.

Elsie przykazała Steviemu, by trzymał ją mocno za rękę i nie próbował się oddalać, bo inaczej się zgubi. Szczerze mówiąc, nie martwiła się tym tak bardzo: wiedziała, że tego dnia wiele dzieci oddzieli się od rodziców, ale żadne nie odejdzie daleko i w końcu wszystkie uda się znaleźć z pomocą przyjaźnie nastawionego tłumy.

Arabella chciała kupić białą bawełnę na halkę. Znalazła stragan, gdzie sprzedawano tkaninę, która się jej podobała, po rozsądnej cenie. Sprzedawca obsługiwał właśnie biedną kobietę targującą się o kawałek zgrzebnego lnu, więc czekały. Elsie patrzyła na wystawione obok wyszywane chusteczki. Chudy chłopiec, mniej więcej czternastoletni, przyglądał się jedwabnym wstążkom w różnych kolorach, co wydało się Elsie dość dziwne; uczyła wielu czternastoletnich chłopców i nie poznała ani jednego, który okazywałby zainteresowanie wstążeczkami.

Kątem oka dostrzegła, jak chłopak podnosi niedbale dwie szpulki, jedną odkłada na miejsce, a drugą wsuwa do obszarpanej kurtki.

Była tak zdumiona, że zamarła w bezruchu; nie wierzyła własnym oczom. Właśnie zobaczyła złodzieja w akcji!

Targująca się klientka postanowiła jednak nie kupować lnu.

– Czym mogę pani służyć, pani Latimer? – spytał straganiarz.

Kiedy Arabella zaczęła mu tłumaczyć, czego chce, chłopiec zaczął odchodzić od straganu.

Elsie powinna była krzyknąć „Łapać złodzieja!”, lecz dzieciak był tak mały i chudy, że nie miała sumienia go demaskować.

Kradzież widział jednak ktoś jeszcze. Krzepki mężczyzna w zielonym płaszczu pochwycił go za ramię.

– Zaczekaj chwileczkę – rzucił.

Chłopiec wił się jak piskorz, ale nie mógł się wyrwać z uścisku mężczyzny.

Arabella i straganiarz przerwali rozmowę i przyglądali się w zdumieniu tej scenie.

– Zobaczmy, co tam masz w tej kurtce – powiedział mężczyzna.

– Zostaw mnie, brutalu! – wrzasnął dzieciak. – Czep się kogoś swoich rozmiarów!

Ludzie dokoła przerywali zakupy, by zobaczyć, co się dzieje.

Mężczyzna włożył dłoń do kieszeni poszarpanej kurtki i wyjął z niej szpulkę różowej jedwabnej wstążki.

– Na Boga, przecież to moje! – zdumiał się straganiarz.

– Jesteś małym złodziejem – powiedział mężczyzna w zielonym płaszczu do chłopca.

– Nic nie zrobiłem! Ty musiałeś to włożyć, ty wielki kłamliwy gadzie.

Elsie mimowolnie podziwiała odwagę chłopca.

– Ile pan żąda za taką wstążkę? – zwrócił się mężczyzna do straganiarza.

– Za całą szpulę? Sześć szylingów.

– Sześć szylingów, powiada pan?

– Tak.

– Bardzo dobrze.

Elsie zastanawiała się, dlaczego ta cena jest tak ważna, że należało ją powtórzyć.

– Proszę mi to zwrócić – powiedział sprzedawca.

Mężczyzna zawahał się, po czym spytał:

– Ale będzie pan świadczą w sądzie?

– Oczywiście.

Wstążka wróciła do straganiarza.

– Chwileczkę – odezwała się Elsie. – Kim pan właściwie jest?

– Dzień dobry, pani Mackintosh – odpowiedział mężczyzna. – Jestem Josiah Blackberry. Ostatnio w Kingsbridge dochodzi do wielu kradzieży, więc rada miasta poprosiła mnie i kilku innych, byśmy mieli oko na podejrzanych typków, którzy pokażą się dziś na rynku. Zakładam, że widziała pani, jak ten chłopiec zabrał wstążkę.

– Tak, ale zastanawiam się dlaczego. Chłopcy raczej nie potrzebują różowych wstążek.

– Być może nie, ale i tak muszę go zaprowadzić do szeryfa.

– Dlaczego zabrałeś tę wstążkę? – zwróciła się do chłopca Elsie.

Odwaga i złość jakby nagle opuściły dzieciaka i był bliski łez.

– Mama mi kazała.

– Dlaczego?

– Bo nie mamy chleba. Mogłaby to sprzedać i wtedy mielibyśmy co jeść.

– To dziecko potrzebuje jedzenia – powiedziała Elsie, patrząc na Josiaha Blackberry'ego.

– Nic na to nie poradzę, pani Mackintosh. Szeryf...

– Nie może pan mu pomóc, to prawda, szeryf też nie, ale ja mogę. Zabiorę go do domu i nakarmię. – Odwróciła się do chłopca. – Jak się nazywasz?

- Tommy – odparł. – Tommy Pidgeon.
- Chodź za mną, dam ci coś do jedzenia.
- Dobrze, ale ja z nim zostanę – wtrącił Blackberry. – Muszę odprowadzić go do szeryfa. Ukradł coś, co jest warte więcej niż pięć szylingów, a wie pani, co to znaczy?
- Co?
- Że może pójść na szubienicę.

*

Kiedy Roger Riddick wszedł do Nowego Zakładu Włókienniczego Barrowfielda, Kit natychmiast go rozpoznał. Twarz Rogera straciła młodzieńczy blask – Kit zakładała, że jest już po trzydziestce – nadal jednak rozjaśniał ją szelmowski uśmiech, który odejmował mu lat.

Do Kita dochodziły strzępy informacji o Rogerze – który przenoślił się z jednej uczelni na drugą – przypuszczał więc, że w końcu zostanie wykładowcą, prawdopodobnie na jednym ze szkockich uniwersytetów, które specjalizowały się w matematyce i inżynierii. A jednak wrócił do Kingsbridge.

Roger go nie poznał.

– Pan jest tu zarządcą? – spytał, gdy Kit do niego podszedł.

Kit skinął głową.

– Szukam pana Barrowfielda.

– Zaprowadzę pana do niego. – Kit uśmiechnął się ciepło.

– Kim pan jest? – spytał Roger.

– Aż tak bardzo się zmieniłem, panie Riddick?

Roger przyglądał mu się przez chwilę, po czym uśmiechnął się szeroko.

– A niech mnie! Kit!

– Tak, to ja – odparł młodzieniec i uścisnęli sobie serdecznie ręce.

– Ależ ty jesteś już mężczyzną! Ile masz lat?

- Dziewiętnaście.
- Dobry Boże, za długo mnie tu nie było.
- To prawda. Brakowało nam pana. Proszę tędy.

Kit zaprowadził gościa do biura. Amos był zachwycony, widząc szkolnego kolegę po tylu latach. We trzech wybrali się na przechadzkę po zakładzie, który Amos kupił od pani Bagshaw.

W starym produkowano teraz tylko sukno dla wojska, tu natomiast wytwarzano bardziej zróżnicowane towary. Kilku tkaczy pracujących na najwyższym piętrze wyrabiało tkaniny sprzedawane po wysokich cenach: brokat, adamaszek i matelassé w skomplikowane wielokolorowe wzory.

Roger przyglądał się z uwagą jednemu z krosien. Każda nitka osnowy przechodziła przez otwór w metalowym pręcie sterującym, zakończonym po drugiej stronie haczykiem, czyli zaczepem. Produkując prostą tkaninę, tkacz używał zaczepów, by podnosić co drugą nić, a potem przepuszczał czółenko przez przestrzeń zwaną przesmykiem. Kiedy czółenko wracało na miejsce, podnosił pozostałe nici i w ten sposób powstawał prosty splot. Przy tworzeniu wzorów, jak paski czy prążki, trzeba była podnosić po kilka zaczepów jednocześnie w określonej sekwencji, na przykład dwanaście w górę, dwanaście w dół, sześć w górę, sześć w dół i tak dalej. Zajmował się tym pomocnik tkacza, który często siedział na krośnie. Im bardziej wymyślny wzór, tym częściej trzeba było zatrzymywać tkanie, by dokonać odpowiednich zmian. Robotnicy pracujący przy takich maszynach musieli być dobrze wyszkoleni i skrupulatni, a cały proces był trudny i czasochłonny.

Roger przyglądał się przez kilka minut najbardziej doświadczonym pracownikom, po czym zabrał Amosa i Kita na bok, by nie usłyszeli ich robotnicy.

- We Francji jest człowiek, który wymyślił na to lepszy sposób – powiedział.

Kit był podekscytowany, bo podobnie jak Roger uwielbiał maszyny. To właśnie on pokazał Amosowi pierwszą przędzarkę.

- Mów dalej – poprosił Amos.

– Teraz wygląda to tak, że za każdym razem, gdy zmienia się wzór, pomocnik tkacza musi podnosić wybrane zaczepy zgodnie z instrukcjami projektanta, w tym wypadku ciebie, jak sądzę.

Amos skinął głową.

– Otóż nowy pomysł polega na tym, że wszystkie zaczepy napierają na dużą tekturową kartę, w której znajdują się otwory ułożone zgodnie ze wzorem. Tam gdzie znajduje się otwór, zaczep przechodzi, tam gdzie nie, pozostaje na miejscu. To zastępuje długi proces wyciągania zaczepów przez pomocnika tkacza. Kiedy wzór w paski czy kratę się zmienia, stosuje się po prostu inną kartę, z otworami w innych miejscach.

Kit zastanawiał się nad tym. Pomysł wydał mu się genialnie prosty.

– Więc... można zmieniać wzór tak często, jak się chce, wymieniając tylko karty?

Roger skinął głową.

– Zawsze szybko chwytałeś takie rzeczy – powiedział.

– I można mieć tyle kart, ile tylko się zechce? – wciąż nie mógł uwierzyć Kit.

– To niesamowite. – Amos pokręcił głową. – Kto to wymyślił?

– Pewien Francuz. Nazywa się Jacquard. To całkiem nowy wynalazek. W Anglii nie można jeszcze kupić takiej maszyny. Ale pojawi się, wcześniej czy później.

Kit był oszołomiony. Pomyślał, że pan Barrowfield będzie mógł produkować wymyślne tkaniny dwa razy szybciej, może nawet więcej niż dwa razy. Jeśli takie maszyny istnieją i działają, pan Barrowfield musiał mieć co najmniej jedną, a lepiej kilka.

Amos też to rozumiał.

– Gdy tylko usłyszysz, że ktoś ma takie cudo na sprzedaż... – zaczął.

– Dowiesz się o tym jako pierwszy – zapewnił go Roger.

Spade doszedł do wniosku, że Sal wyraźnie się zmieniła od powrotu z więzienia. Była szczuplejsza, poważniejsza, twardsza. Być może odmieniła ją ciężka praca, przypuszczał jednak, że w więzieniu wydarzyło się coś jeszcze. Nie wiedział co i nie pytał: powiedziałaaby mu sama, gdyby chciała, by o tym wiedział.

W przeddzień procesu Tommy'ego Pidgeona Spade siedział z nią w ciemny zimowy wieczór U Bella. Popijali piwo. O sprawie Tommy'ego rozmawiano we wszystkich domach w Kingsbridge. Drobne kradzieże zdarzały się często, ale chłopak miał tylko czternaście lat, a wyglądał na jeszcze mniej. A jednak dopuścił się przestępstwa, za które groziła kara śmierci. Nikt w mieście nie pamiętał, kiedy ostatnio powieszono tu dziecko.

– Prawie nie znałem tych Pidgeonów – odezwał się Spade.

– Mieszkali niedaleko mnie i Jarge'a – powiedziała Sal. – Nie mieli zbyt wiele, ale jakoś wiązali koniec z końcem, dopóki nie zniknął Jim. Jenn nie miała z czego płacić czynszu, więc musiała się wyprowadzić. Nie miałam pojęcia, dokąd poszła.

– Nawet nie wiedziałem, że Jim został zwerbowany.

– Jenn skarżyła się na to wszystkim, którzy chcieli jej słuchać, ale tyle kobiet spotkało podobne nieszczęście, że mało kto jej współczuł.

– Przypuszczam, że do marynarki wcielono siłą około pięćdziesięciu tysięcy mężczyzn. Według „Morning Chronicle” na brytyjskich okrętach wojennych służy obecnie około stu tysięcy ludzi, a mniej więcej połowa z nich to ofiary werbowników.

Sal gwizdnęła.

– Nie wiedziałam, że aż tylu. Ale dlaczego Jenn nie dostała zapomogi?

– Zgłosiła się po nią w parafii Świętego Jana, gdzie mieszka – odparł Spade. – Pastorem jest tam Titus Poole, przyzwoity człowiek, ale podobno był tam wtedy Hornbeam i to on sprzeciwił się przyznaniu Jenn zapomogi.

Sal z odrazą pokręciła głową.

– Ludzie, którzy rządzą tym krajem... – mruknęła. – Jak nisko jeszcze upadną?

– Co mówią w mieście o Tommym? – spytał Spade.

– Podzielili się na dwa obozy. Jedni twierdzą, że dziecko to dziecko, a inni, że złodziej to złodziej.

– Przypuszczam, że większość robotników raczej mu sprzyja.

– Tak. Nawet kiedy jest nam lepiej, pamiętamy, że wszystko może się zmienić i możemy znowu popaść w nędzę. – Umilkła na moment. – Wiesz, że Kit dobrze teraz zarabia.

Owszem, wiedział o tym. Kit jako zarządca zakładów Amosa dostawał trzydzieści szylingów miesięcznie.

– Zasługuje na to – powiedział. – Amos bardzo go ceni.

– Kit nie wydaje nawet połowy z tego. Wie, że pieniądze przychodzą i odchodzą. Oszczędza na czarną godzinę.

– Bardzo rozsądnie.

– Ale kupił mi nową suknię. – Sal uśmiechnęła się.

Spade wrócił do sprawy Pidgeona.

– Nie wierzę, że powieszą Tommy’ego.

– A ja uważam, że ci ludzie są zdolni do wszystkiego. To ludzie tacy jak ty powinni być sędziami pokoju, radnymi i posłami. Wtedy może doczekalibyśmy się zmiany na lepsze.

– A dlaczego nie ludzie tacy jak ty?

– Kobiety? Możemy sobie pomarzyć... Ale na razie to ty jesteś liderem w tym mieście, Spade, mówię całkiem poważnie.

Sal trafiła w sedno, bo Spade zastanawiał się nad startem w wyborach do parlamentu. Uważał, że tylko w ten sposób może coś zmienić.

– Myślę o tym – powiedział.

– To dobrze.

Posiedzenie sądu rozpoczęło się następnego dnia rano. Sala posiedzeń w ratuszu była wypełniona po brzegi. Hornbeam, jako przewodniczący sędziów, siedział na ławie, przystawiając do nosa nasączoną perfumami chusteczkę, żeby stłumić smród tłumu. Towarzyszyli mu dwaj sędziowie, zasiadający po obu jego

stronach, i Spade miał nadzieję, że wpłyną łagodząco na Hornbeama. Przed nimi zasiadł urzędnik sądowy, Luke McCullough, który miał im doradzać w kwestiach prawnych.

Sędziowie poradzili sobie szybko z kilkoma sprawami dotyczącymi aktów przemocy i pijaństwa, a potem wprowadzono Tommy'ego Pidgeona. Jenn umyła mu twarz i przystrzygła włosy; ktoś pożyczył mu za dużą czystą koszulę, w której wydawał się jeszcze drobniejszy i bardziej bezbronny. Teraz, gdy Spade miał syna – pięcioletniego Abe'a, którego darzył ogromną miłością – czuł mocniej niż kiedykolwiek dotąd, że dzieci trzeba hołubić i chronić. Nie mógł patrzeć, jak Tommy staje się ofiarą bezlitosnego gniewu prawa.

Jak zawsze na ławie przysięgłych zasiadali ludzie wybrani spośród wyborców, bogaci obywatele Kingsbridge. Spade znał większość z nich. Uważali, że ich obowiązkiem jest strzec miasta przed złodziejstwem i innymi zjawiskami, które mogły zaszkodzić ich interesom i ograniczyć zarobki. Mieli zdecydować, czy oskarżenie przeciwko Tommy'emu jest na tyle istotne, by stanął przed sądem wyjazdowym, bo tylko taki sąd mógł rozpatrywać przestępstwa zagrożone karą śmierci.

Głównym świadkiem był Josiah Blackberry. Wydawał się trochę zarozumiały, ale też uczciwy; opowiedział o kradzieży krótko i jasno. Zobaczył, jak chłopiec kradnie wstążkę, więc złapał go i zatrzymał.

Potem głos zabrała Elsie Mackintosh. Powiedziała właściwie to samo, przestępstwo zostało więc udowodnione. Kiedy jednak Hornbeam podziękował jej za zeznanie, dodała:

– Powiedziałam prawdę, ale nie całą prawdę.

W sali zapadła cisza.

Hornbeam westchnął, nie mógł jednak zignorować żony dziekana.

– Co ma pani na myśli?

– Cała prawda jest taka, że chłopiec głodował, bo jego ojciec został porwany przez gang werbowników, a matce odmówiono zapomogi.

Wśród zgromadzonych podniósł się pomruk oburzenia.

Spade widział, jak Hornbeam zaciska zęby, tłumiąc gniew.

– Nie jesteśmy tu po to, by rozmawiać o zapomogach.

Elsie odwróciła się do oskarżonego dziecka.

– Dlaczego zabrałeś tę wstążkę, Tommy?

W sądzie zapadła głucha cisza; wszyscy czekali z napięciem na odpowiedź chłopca.

– Żeby mama mogła ją sprzedać i kupić chleb, bo nie mieliśmy nic do jedzenia – odparł Tommy.

Gdzieś w głębi sali rozległ się kobiecy szloch.

– Jeśli postawicie tego chłopca przed sądem wyjazdowym, zabijecie go – zwróciła się do przysięgłych Elsie. – Przyjrzyjcie mu się dobrze. Zobaczcie te przerażone oczy i policzki, których nie trzeba jeszcze golić. Obiecuję wam, że będziecie pamiętać tę twarz do końca życia.

– Pani Mackintosh, zeznała pani, że ojciec oskarżonego został porwany przez gang werbowników – powiedział Hornbeam.

– Tak.

– Skąd pani o tym wie?

– Od jego żony.

Wskazał na Jenn.

– Pani Pidgeon, widziała pani, jak porwano pani męża?

– Nie, ale wszyscy wiemy, co się stało.

– Nie było pani tam jednak.

– Nie, byłam w Kingsbridge, opiekowałam się dzieckiem, które chcecie powiesić.

Przez tłum znowu przebiegł gniewny pomruk.

– Więc nikt nie wie na pewno, że Jim Pidgeon został porwany – upierał się przy swoim Hornbeam.

Jenn milczała.

Nagle przed tłumem wystąpił Hamish Law.

– Ja tam byłem – oznajmił. – Poszedłem do tawerny w Combe i Jim tam był, tak pijany, że prawie zasypiał.

Ktoś wśród publiczności parsknął śmiechem.

– Nigdy nie był pijakiem – zaprotestowała Jenn.

– Była tam też młoda kobieta, która prawdopodobnie dolewała mu gin do piwa.

– W to mogę uwierzyć. – Jenn skinęła głową.

– Byłem tam z panem Barrowfieldem, moim pracodawcą – kontynuował Hamish. – To on wyjaśnił, że ta tawerna to pułapka, w której dziewczyny upijają mężczyzn, a potem przekazują ich za szylinga gangowi werbowników. Postanowiliśmy zabrać stamtąd Jima. Ale nagle do pubu wszedł oficer marynarki wojennej z trzema zbirami i nas zaatakowali. Wyglądało na to, że zastawili pułapkę na Jima, a my pokrzyżowaliśmy im plany.

– Próbował pan zapobiec zwerbowaniu Pidgeona? – spytał Hornbeam.

Spade miał nadzieję, że Hamish zaprzeczy, bo takie działanie było przestępstwem.

– Nie. Zobaczyłem, że pan Barrowfield leży na podłodze, więc go zabrałem i wyniosłem na zewnątrz.

Do przodu wystąpił Amos.

– Wszystko, co powiedział Hamish Law, jest prawdą – oświadczył.

– No dobrze – rzucił zirytowany Hornbeam. – Załóżmy, że Jim Pidgeon został porwany. Lecz to niewiele zmienia. Nikt nie uważa, że rodziny zwerbowanych mężczyzn mają prawo okradać innych. – Przerwał na moment i Spade zauważył, że radny stara się zachować obojętną minę. – Co roku za kradzieże trafia na szubienicę wielu ludzi, mężczyzn i kobiet, młodych i starych. – Lekkie drżenie głosu Hornbeama zdradzało tłumione emocje. – Większość z nich jest biedna. Wielu z nich to ojcowie i matki.

Zdawało się, że z trudem wydobywa z gardła głos, i niektórzy z widzów spoglądali na niego ze zdumieniem, jakby przekonani, że kamienna fasada radnego

za moment pęknie.

– Nie możemy okazywać litości jednemu złodziejowi, bez względu na to, jak żałosna jest jego historia. Jeśli wybaczymy jednemu, będziemy musieli wybaczyć wszystkim. Jeśli wybaczymy Tommy’emu Pidgeonowi, okaże się, że tysiące ludzi powieszonych wcześniej za to samo przestępstwo nie powinno być skazanych na śmierć. A to byłoby... bardzo niesprawiedliwe. – Umilkł na moment, by się opanować. – Panowie przysięgli, przestępstwo zostało udowodnione. Przedstawione tu usprawiedliwienia nie mają związku ze sprawą. Waszym obowiązkiem jest postawić Tommy’ego Pidgeona przed sądem wyjazdowym. Przedstawcie, proszę, swoją decyzję.

Dwunastu mężczyzn naradzało się przez chwilę, po czym jeden z nich wstał.

– Przekazujemy sprawę do sądu wyjazdowego – oznajmił, po czym usiadł.

– Następna sprawa – powiedział Hornbeam.

Tak, ten kraj naprawdę musi się zmienić, pomyślał Spade.

ROZDZIAŁ 28

W pewien styczniowy poniedziałek Sal przyszła na rynek wcześniej niż zwykle, gdy dzwonnicy jeszcze ćwiczili i głos dzwonów niósł się po całym mieście i poza nim. Uczyli się nowej melodii. Sal wyczuwała niepewność w ich grze, choć całość brzmiała dość przyjemnie. Postanowiła, że zamiast czekać na dzwonników U Bella, dołączy do nich.

Weszła do katedry przez północny przedsionek. W świątyni panował mrok rozpraszany płomieniami kilku świec, które drżały lekko w rytm uderzeń dzwonów. Sal przeszła na zachodni kraniec katedry, gdzie małe drzwi w ścianie otwierały się na spiralne schody prowadzące na wieżę.

Dzwonnicy byli złani potem, choć zrzucili kurtki – leżały w stercie na podłodze – i podwinęli rękawy. Stali w kręgu, by wszyscy mogli widzieć się nawzajem, bo tylko wtedy wiedzieli dokładnie, kiedy każdy ma uderzyć. Pociągali za sznury przeciągnięte przez otwory w suficie z grubej warstwy drewna wyłumiającej częściowo dźwięk, dzięki czemu dzwonnicy mogli ze sobą rozmawiać. Spade obsługiwał dzwon numer 1 i wydawał instrukcje. Po jego prawej stał Jarge, który pociągał za sznur dzwonu numer 7, największego ze wszystkich.

Byli oddani tej sztuce, ale niezbyt pobożni, więc choć znajdowali się w świętym miejscu, klęli siarczyście, gdy popełniali błędy. Nie opanowali jeszcze nowej melodii.

Rozkołysanie dzwonu trwało mniej więcej tyle, ile wypowiedzenie słów „arcybiskup raz, arcybiskup dwa”. Można było nieco wydłużyć lub skrócić ten czas, ale niewiele. W związku z tym, by zmienić melodię, dwaj stojący obok siebie dzwonnicy musieli zamienić się miejscami w sekwencji: ten stojący przy numerze 2 mógł się zamienić z tym przy numerze 1 lub 3 i z żadnym innym.

Instrukcje Spade'a były proste: wywoływał dwa numery, które miały się zamienić miejscami. Dzwonnicy musieli go uważnie słuchać, chyba że dobrze już znali sekwencję i wiedzieli, co robić. Skomplikowane było jedynie zrobienie tego tak, by zmiany były miłe dla ucha, a melodia ostatecznie wróciła do prostego układu, od którego się zaczęła.

Sal towarzyszyła im już od kilku minut, gdy w nowej sekwencji nastąpił błąd i przedwcześnie ją zakończył. Dzwonnicy śmiali się i wskazywali na Jarge'a przeklinającego swoją niezdarność.

– Co ci się stało w rękę? – spytał Spade.

Dopiero wtedy Sal zauważyła, że prawa dłoń jej męża jest zaczerwieniona i opuchnięta.

– Wypadek – burknął Jarge. – Młotek się wyslizgnął.

Nie używał młotków w pracy, więc Sal podejrzewała, że brał udział w bójce.

– Myślałem, że się zagoi – rzucił. – Ale jest coraz gorzej.

– Nie możemy obsługiwać siedmiu dzwonów w sześciu – powiedział Spade.

– Może ja spróbuję – zaproponowała Sal, zanim zdążyła się zastanowić. Natychmiast tego pożałowała, pewna, że tylko się ośmieszy.

Mężczyźni parsknęli śmiechem.

– Kobieta nie może tego robić – odparł Jarge.

To ją tylko rozsierdziło.

– A niby dlaczego? – spytała wyzywająco, choć nadal uważała, że nie był to najlepszy pomysł. – Jestem wystarczająco silna.

– Ach, ale to sztuka – powiedział jej mąż. – Trzeba mieć wyczucie czasu.

– Wyczucie czasu? – powtórzyła z oburzeniem. – A czym ja się zajmuję przez cały dzień? Obsługuję przedzarkę. Jedną ręką obracam koło, a drugą przesuвам docisk do przodu i do tyłu, uważając przy tym przez cały czas, żeby nie zerwać nici. Nie mów mi o wyczuciu czasu.

– Pozwól jej spróbować, Jarge – wtrącił się Spade. – Przekonamy się, kto ma rację.

Jarge wzruszył ramionami i odsunął się od sznura.

Sal po raz kolejny pożałowała swojej zuchwałości.

– Zrobimy najprostszą sekwencję – oznajmił Spade. – Zwyczajny układ, potem numer jeden, czyli ja, zmienia się o jedno miejsce za każdym razem, gdy wrócimy do początku.

Zaczyna się, pomyślała Sal z rezygnacją. Pochwyciła sznur Jarge'a. Koniec leżał luźno na macie u jej stóp.

– Pierwsze pociągnięcie jest krótkie, drugie długie – wyjaśnił jej Spade. – Dobrze rozkołysz dzwon, a przekonasz się, że sam zatrzyma się na górze.

Sal zastanawiała się przez moment, jak to się dzieje. Dzięki jakiemuś mechanizmowi? Kit by wiedział.

– Ty zaczynasz, Sal, potem do ciebie dołączymy. – Spade nie dał jej czasu na rozmyślenia o maszynerii. – Tylko nie stój na sznurze, bo jak cię pociągnie, to zrobisz fikołka.

Mężczyźni roześmiali się, a Sal cofnęła się o krok.

Musiała pociągnąć znacznie mocniej, niż przypuszczała, ale dzwon zadzwonił, a potem, szybciej, niż się spodziewała, przechylił się na drugą stronę, pociągając linę leżącą na macie. Gdyby Sal na niej stała, teraz rzeczywiście fiknęłaby kozła.

Kiedy sznur przestał się podnosić, pociągnęła ponownie, tym razem mocniej. Choć nie widziała dzwonu, wyczuwała jego wahadłowy rytm i szybko zrozumiała, że musi ciągnąć najmocniej wtedy, gdy dzwon wydaje się najcięższy.

Sznur znieruchomiał.

Zaraz potem zadzwonił Spade, a po nim mężczyzna po jego lewej. Sekwencja rozwijała się zadziwiająco szybko. Mężczyzną obsługującym dzwon numer 6, po prawej stronie Sal, był Sime Jackson, jeden z tkaczy Spade'a. Gdy tylko pociągnął za swój sznur, Sal, wyętzając wszystkie siły, zrobiła to samo.

Numer 7 zadzwonił zbyt szybko po numerze 6. Za bardzo się pospieszyła. Następnym razem robi to dobrze.

Następnym razem nieco się spóźniła.

Radziła sobie ze zmianami całkiem nieźle. Największa trudność wynikała z tego, że czas między pociągnięciami sznura musiał być dokładnie taki sam jak w poprzedniej zmianie, co wcale nie było łatwe. Sal bardzo się na tym skupiała, ale wciąż nie robiła tego idealnie.

Zaskakująco szybko dotarli do ostatniej zmiany, w której sekwencja wracała do kolejności 1, 2, 3, 4, 5, 6 i 7. Niemal jej się udało, ale nie do końca. Nie poradziła sobie. Jak mogłam przypuszczać, że to potrafię? – wyrzucała sobie w myślach.

Ku jej zaskoczeniu mężczyźni zaczęli bić brawo.

– Dobra robota! – pochwalił ją Spade.

– Myślałem, że będzie znacznie gorzej – przyznał niechętnie Jarge.

– A mnie się wydawało, że za każdym razem się myliłam.

– Owszem, ale minimalnie – przyznał Spade. – Nikt z zewnątrz by tego nie zauważył. Ale ty słyszałaś, co znaczy, że masz do tego ucho.

– Może powinna do nas dołączyć! – zaproponował Sime.

Spade pokręcił głową.

– Kobiety nie mogą być dzwonnikami. Biskup dostałby zawału. Zachowajcie to dla siebie.

Sal wzruszyła ramionami. Nie chciała być dzwonnikiem. Udowodniła, że kobieta może to robić, i to jej wystarczyło. Podejmujesz bitwy, które możesz wygrać, a z pozostałych rezygnujesz.

– Na dziś chyba wystarczy – zdecydował Spade.

Kiedy mężczyźni wkładali kurtki, rozdał im zapłatę finansowaną przez kapitułę katedry, po szylingu dla każdego, co było całkiem przyzwoitą stawką za godzinę pracy. Za dzwonienie w niedzielę i święta dostawali po dwa szylingi.

– Powinienem ci oddać pensa – zwrócił się Jarge do żony.

– Możesz mi kupić kufel piwa – odparła.

Amos pracował późnym wieczorem w kantorze. Wpisywał liczby do wielkiej księgi przy świetle kilku świec, gdy ktoś zapukał do drzwi. Wyjrzał przez okno, ale mimo blasku latarni nie dostrzegł nikogo w gęstym deszczu.

Otworzył drzwi i zobaczył Jane. Była całkiem przemoknięta i wyglądała tak żałośnie, że nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

– Co cię tak śmieszy? – spytała zirytowana.

– Przepraszam. Wejź, proszę, biedactwo.

Gdy weszła, zamknął za nią drzwi.

– Chodź za mną, dam ci jakiś ręcznik.

Zaprowadził ją do kuchni, gdzie wciąż płonął ogień. Zdjęła płaszcz i kapelusz i rzuciła na krzesło. Zrobiła to z taką swobodą, jakby mieszkała tu od lat, co sprawiło Amosowi dziwną przyjemność. Miała na sobie jasnoszarą suknię.

Znalazł kilka ręczników i pomógł jej się wytrzeć.

– Dziękuję – powiedziała. – Ale dlaczego się śmiałeś?

– Pewnie dlatego, że jesteś najlepiej ubraną kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem, ale kiedy otworzyłem drzwi, wyglądałaś jak przemoknięta kura.

Teraz ona się roześmiała.

– Ale co ty właściwie tu robisz? – spytał Amos. – Bogobojni mieszkańcy Kingsbridge byliby zgorszeni, gdyby się dowiedzieli, że jesteśmy tu sami. – Prawdę mówiąc, on też czuł się trochę skrępowany, choć i podekscytowany. Nigdy dotąd nie był sam na sam z kobietą. Przypuszczał jednak, że Jane wkrótce sobie pójdzie.

– Tak bardzo się nudziłam w Earlscastle, że przyjechałam do Kingsbridge powozem. Ale okazało się, że mój mąż prowadzi szkolenie z milicją i obozuje poza miastem. Wszyscy służący wyszli do gospody, a w domu został tylko kapral, który pełni straż w holu. Nie ma nikogo, kto mógłby napalić w kominku i zrobić mi kolację. Czułam się tak smutna i opuszczona, że po prostu musiałam stamtąd wyjść. No i jestem.

Amos uświadomił sobie, że Jane chce, by poczęstował ją kolacją. Mógł to zrobić, choć bogobojni mieszkańcy Kingsbridge byliby jeszcze bardziej zszokowani, gdyby o tym wiedzieli. Ale miał nadzieję, że nigdy się nie dowiedzą.

– Mogę dać ci coś do jedzenia. Sam zresztą jeszcze nie jadłem kolacji. Podgrzeję zupę grochową. Mam gospodynię, ale nie mieszka tu na stałe.

– Wiem – odparła Jane.

A więc spodziewała się, że będzie sam.

Amosowi całkowicie brakowało doświadczenia z kobietami. W ciągu ostatnich kilku lat spotykał się z trzema dziewczynami, ale nic z tego nie wyszło: wciąż miał obsesję na punkcie Jane. Gdy teraz znalazł się sam na sam z zamężną kobietą, nie miał pojęcia, jak powinien się zachowywać. Na szczęście wiedział, jak okazywać gościnność; z tym czuł się pewnie.

Garnek z zupą stał na kredensie, przeniósł go więc na piec. Na stole leżały już chleb, masło i ser, a obok stała butelka porto. Przygotował nakrycie dla Jane i nalał trunek do dwóch kieliszków.

– To duży dom, a ty mieszkasz tu całkiem sam. Powinieneś mieć kochankę.

Często wygłaszała uwagi tego rodzaju, więc nie był oburzony.

– Nie chcę kochanki. Nie bez powodu jestem metodystą – powiedział, uśmiechając się.

– Wiem. – Wzruszyła ramionami i zmieniła temat. – Jak mały Kit Clitheroe radzi sobie jako twój zarządca?

– Świetnie. Zna się na maszynach lepiej ode mnie, a robotnicy go uwielbiają. I nie jest już taki mały.

– Słyszałam, że dostał sporą podwyżkę.

– Jest wart dwa razy więcej.

Gawędzili jeszcze przez chwilę, a potem zasiedli do jedzenia.

– Właśnie tego potrzebowałam – powiedziała Jane, gdy skończyli. – Dziękuję.

– Gdybym wiedział, że przyjdiesz, przygotowałbym coś wykwintniejszego.

– A mnie z pewnością nie smakowałoby to nawet w połowie tak jak ta zupa. Masz jeszcze wino?

Przypuszczał, że Jane zaraz po jedzeniu wróci do domu, był więc zaskoczony.

– Mnóstwo – odparł.

– Świetnie. Pójdziemy na górę? Tam będzie nam wygodniej.

Jane jak zawsze przejmowała inicjatywę. Wprosiła się na kolację, a teraz chciała się rozgościć i zostać na wieczór. Damy nie powinny się zachowywać w ten sposób, ale Amosowi to nie przeszkadzało.

– W salonie jeszcze się pali w kominku – oznajmił.

Zaniósł butelkę i kieliszki na górę. Zajął miejsce na miękkiej sofie, a Jane przysiadła obok niego. Wciąż czuł ekscytację wywołaną tą nagłą bliskością i niepokój związany z tym, że łamali kolejne reguły przyzwoitego zachowania.

Jane zdjęła buty – na niskich obcasach, ze szpiczastymi czubkami i jedwabnymi kokardami – i ułożyła nogi na sofie, po czym odwróciła się do Amosa i położyła rękę na oparciu z taką swobodą, jakby była u siebie w domu. Wypytywała go o interesy, o podróż do Combe i o tego biednego chłopca, który czekał na proces przed sądem wyjazdowym i mógł zostać powieszony za kradzież wstążki. Odpowiadając, Amos obserwował emocje, które malowały się na twarzy Jane: jej oczy otwierały się szerzej ze zdumienia albo mrużyły, wargi rozchylały się w uśmiechu lub wydymały w grymasie dezaprobaty. Pragnął z całego serca móc przyglądać się jej w ten sposób każdego wieczoru życia.

Była teraz bliżej niego niż wcześniej, choć nie zauważył, żeby się poruszyła. Jej kolana dotykały jego uda. Pomyślał o pocałunku w lesie podczas festynu i przypomniał sobie, jak przywarła do niego tak mocno, że czuł kształty jej ciała.

Miała spory dekolt i gdy pochylała się do przodu – co robiła często, by dotknąć jego ramienia lub poklepać go po ręce dla podkreślenia swoich słów – widział krągłości małych piersi ukrytych w gorsecie sukni. Za którymś razem dostrzegła jego spojrzenie i natychmiast domyśliła się, na co patrzy.

Poczerwieniał jak burak.

– Kobięce ubrania są teraz niezwykle nęcące – powiedziała. – Czasami myślę, że właściwie mogłabym ci pokazać wszystko.

Na tę myśl zaschło mu w ustach, ale butelka była pusta. Jak to się stało? Przypomniał sobie niewyraźnie, że Jane dopełniła zarówno jego kieliszek, jak i swój.

Zmieniła pozycję i zrobiła to tak szybko, że nie zdołałby jej powstrzymać, nawet gdyby chciał. Nagle leżała na plecach z głową na jego udzie. Mówiła dalej swobodnym tonem, jakby nic się nie stało.

– Przecież nie ma żadnego przykazania, które zabraniałoby patrzenia. Dlatego jest tak wiele obrazów i rzeźb nagich ludzi. Bóg uczynił nas pięknymi, ale potem odkryliśmy listki figowe. Szkoda. Powiedz mi, która część mnie podoba ci się najbardziej?

– Twoje oczy – odparł natychmiast. – Uwielbiam ten cudowny odcień szarości.

– Jaki miły komplement. – Obróciła głowę, by na niego spojrzeć, i oparła się policzkiem o jego członek, a ten, co Amos nagle sobie uświadomił, nabrzmiął bezwstydnie w spodniach. Zaskoczona Jane wydała z siebie ciche „Och!” i przywarła do niego ustami.

Amos był zszokowany. Zastanawiał się przez chwilę, czy sobie tego nie wyobraża. Takie rzeczy nie działy się nawet w jego najśmielszych snach. Znieruchomiał ze zdumienia.

Wtedy Jane zerwała się z sofy. Stała przed nim i powiedziała:

– Uważam, że mam ładne nogi. – Podniosła spódnicę, by mu je pokazać. Nosiła jedwabne pończochy do kolan, podtrzymywane wstążkami. – No i jak myślisz? Nie są ładne?

Był zbyt oszołomiony, by odpowiedzieć.

– Ale musisz zobaczyć całość, żeby to ocenić – dodała. Sięgnęła za plecy i zaczęła rozpinąć suknię. – Chcę, żebyś był całkiem szczery.

Amos nie mógł oderwać od niej wzroku. Suknia miała wiele guzików, lecz Jane szybko sobie z nimi poradziła, a on zastanawiał się, czy zaplanowała to i wybrała

taką, którą łatwo zdjąć. Już po chwili suknia opadła na podłogę, odsłaniając halkę z gorsetem z fiszbinami. Jane rozpięła gorset i jednym płynnym ruchem zdjęła wszystko przez głowę. W samych pończochach oparła dłonie na biodrach i spytała:

– No i jak, co podoba ci się we mnie najbardziej?

– Wszystko – odparł ochryple.

Uklękła nad nim i rozpięła jego spodnie równie szybko jak suknię.

– Zdajesz sobie sprawę, że nie mam doświadczenia w tych sprawach? – spytał.

– Ja też nie mam dużego, mimo dziewięciu lat małżeństwa – odparła, ale sprawnie i pewnie chwyciła jego kutasa, uniosła biodra, wsunęła go w siebie i opadła z westchnieniem zadowolenia.

Amos był obezwładniony miłością i rozkoszą. Wiedział, że postępuje źle, ale nie potrafił się już tym przejmować. Zdawał sobie sprawę, że Jane go nie kocha, a przynajmniej nie tak, jak on ją, ale nawet to nie przyćmiło jego radości. Wpatrywał się w jej piersi, gdy tańczyły mu przed twarzą.

– Możesz je pocałować, jeśli chcesz – powiedziała.

Zrobił to bez wahania, a potem nie mógł przestać.

Skończyło się zbyt szybko. Dał się zaskoczyć. Kiedy wstrząsały nim kolejne spazmy, słyszał, jak Jane jęczy, i czuł, jak pochyła się i przywiera do niego całym ciałem. Kiedy było po wszystkim, leżeli bezwładnie i dyszeli.

– Nie pocałowaliśmy się – powiedział, odzyskawszy w końcu oddech.

– Możemy się pocałować teraz.

Robili to przez długie cudowne minuty. Gdy oderwali się od siebie, Jane położyła się na jego kolanach, z twarzą zwróconą w górę. Amos sycił oczy widokiem jej ciała.

– Mogę cię dotknąć? – spytał.

– Możesz robić, co zechcesz.

Kilka minut później zegar nad kominkiem wybił dziesiątą i Jane wstała.

Odwrócona do niego twarzą, wsunęła stopy w buty. Pochyliła się i podniosła halkę, a potem zawahała się na moment.

– Jesteś drugim mężczyzną, który widział mnie nago, ale pierwszym, który patrzył na mnie w ten sposób – powiedziała.

– W jaki?

Zastanawiała się chwilę.

– Jak Ali Baba w jaskini, wpatrzony w niewyobrażalny skarb.

– Bo właśnie to robię: wpatruję się w niewyobrażalny skarb.

– Jesteś taki słodki.

Naciągnęła halkę przez głowę i wygładziła ją, po czym włożyła suknię i sięgnęła za plecy, żeby ją zapiąć.

Potem przez chwilę stała w bezruchu i patrzyła na niego z dziwnym wyrazem twarzy. Targały nią emocje, których nie potrafił określić.

– O mój Boże, zrobiłam to – odezwała się w końcu. – Naprawdę to zrobiłam.

Amos uświadomił sobie, że jej nonszalanckie zachowanie było tylko grą. Ta chwila odmieniła nie tylko jego, ale też jej życie – choć nie w ten sam sposób. On był skonsternowany, ale szczęśliwy.

– Przyniósłbyś mi płaszcz i kapelusz? – spytała, odzyskując pewność siebie.

Amos zapiął spodnie i przyniósł jej ubrania.

– Odprowadzę cię do domu – powiedział, kiedy je wkładała.

– Dziękuję, ale starajmy się nie rozmawiać z nikim po drodze. Nie mam już siły, żeby wymyślać jakieś wiarygodne kłamstwa i tłumaczyć, gdzie byliśmy.

Na ulicach było niewielu ludzi i wszyscy szli pospiesznie przez deszcz. Nikt nawet nie spojrzał na Amosa.

Jane otworzyła kluczem drzwi Domu Willarda.

– Dobranoc, panie Dangerfield – powiedziała. – Dziękuję, że mnie pan odprowadził.

Dangerfield? Zmieniła jego nazwisko w ostatniej chwili, a pierwszym słowem, które przyszło jej do głowy, było *danger*, niebezpieczeństwo. Nic dziwnego.

Wracając do domu, Amos myślał o pytaniach, które powinien był jej zadać. Kiedy się znów spotkają? Czy to było tylko jednorazowe, czy zamierzała mieć

z nim romans? Czy odejdzie od męża?

Dotarł do domu i wszedł wejściem przez kantor. Przypomnił sobie, jak wyglądała, gdy zobaczył ją w drzwiach, przemoknięta i zziębnięta. Odtwarzał w myślach ich rozmowę. W kuchni zobaczył jej obraz, kiedy zdejmowała płaszcz i kapelusz i rzucała je na krzesło. Usiadł na ławie i wyobrażał sobie, że Jane siedzi naprzeciwko, je zupę, odrywając kawałek chleba, a potem odgryzając skrawek sera białymi zębami. Poszedł do salonu, gdzie ogień już dogasał, usiadł na sofie i znów poczuł ciężar głowy Jane na udzie i nacisk jej ust, gdy przywierała do jego członka przez wełnianą tkaninę spodni. W końcu dotarł do najlepszej części i zobaczył, jak stoi przed nim tylko w pończochach do kolan, podtrzymywanych przez wstążki.

Wreszcie zadał sobie pytanie: co to oznaczało?

Dla niego było to trzęsienie ziemi. Dla niej coś mniej istotnego, ale mimo wszystko dezorientującego. Ale zaplanowała to. Dlaczego? Czego chciała?

Kiedy zmusił się do logicznej analizy, zrozumiał, że Jane nie zostawi męża. Rozwód był trudny, właściwie niemożliwy. Wiedział, że gdyby żyła z nim w grzechu, jego firma zostałaby zbojkotowana przez wszystkich przyzwoitych ludzi, czyli klientów, a ona nie zniosłaby ubóstwa. Czy chciała, by uciekli razem i prowadzili nowe życie pod zmienionymi nazwiskami w jakimś innym mieście, a może nawet w innym kraju? To dałoby się by zrobić. Mógłby spieniężyć firmę w Kingsbridge i założyć nową gdzie indziej. Od razu jednak uzmysłowił sobie, że Jane nigdy nie zgodziłaby się na coś, co wiązało się z ryzykiem i uciążliwościami.

O co jej więc chodziło? O potajemny romans? Takie rzeczy się zdarzały. Spade i Arabella Latimer byli kochankami od lat, jeśli wierzyć miejskim plotkom.

Amos nie mógłby jednak żyć z poczuciem winy. Dziś dopuścił się grzechu, jakiego nie popełnił nigdy wcześniej. To było cudzołóstwo, zakazane przez szóste przykazanie, poważny występki przeciwko Bogu, Northwoodowi, Jane i jemu. Nie mógł zakładać, że dopuści się tego ponownie, nawet jeśli bardzo by tego chciał.

Być może dopisze mu szczęście. Być może Northwood pójdzie mu na rękę i umrze.

A može jednak nie.

ROZDZIAŁ 29

Kit często myślał o Rogerze Riddicku. Jako dziecko nie rozumiał jeszcze, jak niezwykle człowiekiem był jego dobroczyńca. A teraz, po tym, jak Roger powrócił z podróży, Kit wiele się o nim dowiedział i coraz bardziej go doceniał. Wszystkie rozmowy z niezwykle inteligentnym najmłodszym synem dziedzica z Badfordu były bardzo interesujące, ale Kita ujął również jego pogodny charakter. Był wesoły i optymistyczny, a jego uśmiech mógł rozświetlić cały pokój.

Roger był starszy od niego o trzynaście lat i miał wykształcenie, o jakim Kit nie mógł nawet marzyć, mimo to rozmawiali jak równy z równym o maszynach i technikach tkania. I wyglądało na to, że Roger bardzo go lubił.

Kit tak się nim zachwycał, że aż go to niepokoiło. Przecież nie był z tych, co wolą mężczyzn od kobiet, przekonywał siebie. To prawda, robił różne rzeczy z chłopcami, kiedy był młodszy. Czasami masturbowali się razem. Stawali w kręgu, by się przekonać, który wytryśnie jako pierwszy. Czasami masturbowali się nawzajem i wtedy tryskał szybciej. Ale to były tylko młodzieńcze eksperymenty.

A jednak nie mógł zapomnieć o Rogerze. Ten czasami obejmował go ramieniem i ścisnął w męskim geście serdeczności. Potem Kit czuł ten uścisk do końca dnia.

Myślał o Rogerze przez całe nabożeństwo. Nie był żarliwym metodystą; chodził do domu modlitw ze względu na matkę. Nie interesowały go cotygodniowe spotkania modlitewne, wolał grupy czytelnicze, w których wymieniano się tekstami naukowymi. Czuł się więc trochę winny, kiedy wyszedł z metodystycznego domu modlitw.

I wtedy zobaczył go opartego o ścianę.

– Miałem nadzieję, że cię spotkam – powiedział Roger. Jego uśmiech promieniował ciepłym niczym ogień. – Możemy porozmawiać?

– Oczywiście – odparł Kit.

– Chodźmy do Cullivera wypić coś.

Kit nigdy tam nie bywał i wolał się tam nie wybierać, zwłaszcza w niedzielę.

– A może pójdziemy do kawiarni przy High Street? – zaproponował.

Właściciel U Bella otworzył nowy lokal, High Street Coffee House, tuż przy ratuszu. Choć tego typu miejsca nazywano kawiarniami, serwowano tam normalne posiłki i wino i można było zamówić kawę na deser. Ruszyli w zimowym słońcu w górę Main Street. Kiedy dotarli na miejsce, Roger zamówił kufel piwa, a Kit poprosił o kawę.

– Pamiętasz, jak mówiłem o krośnie Jacquarda? – spytał Roger.

– Tak. Bardzo mnie zainteresowało.

– Niestety, nie udało mi się zdobyć takiej maszyny. Gdybym pojechał do Paryża i porozmawiał z tkaczami, na pewno dowiedziałbym się, gdzie można ją kupić, ale i tak trudno by było wyeksportować ją do Anglii.

– Szkoda.

– Dlatego właśnie przychodzę do ciebie.

Kit domyślił się, do czego zmierza Roger.

– Chce pan zbudować ją sam.

– I chciałbym, żebyś mi w tym pomógł.

– Tylko że ja nigdy nie widziałem takiego krosna.

Roger uśmiechnął się.

– Kiedy studiowałem w Berlinie, miałem pewnego szczególnego przyjaciela, francuskiego studenta, Pierre’a.

Kit zastanawiał się, co miał na myśli, mówiąc o „szczególnym przyjacielu”.

– Pierre odkrył – ciągnął Roger – że monsieur Jacquard opatentował swoją maszynę, co oznacza, że w biurze patentowym są jej rysunki. – Sięgnął pod kaftan. – I zdobyłem ich kopie.

Kit wziął od niego kartki i rozwinął je. Odsunął filiżankę i kufel, po czym rozłożył rysunki na stole.

– Nie zdołam zrobić tego sam – powiedział Roger. – Rysunek nigdy nie pokazuje wszystkiego, co powinno się wiedzieć. Wielu rzeczy trzeba się domyślać, improwizować, a do tego potrzebna jest dogłębna znajomość procesu tkania. Ty wiesz wszystko o krosnach. Potrzebuję twojej pomocy.

Myśl, że Roger potrzebuje jego pomocy, bardzo ucieszyła Kita, pokręcił jednak głową z powątpiewaniem.

– To zajmie co najmniej miesiąc albo dwa – rzucił.

– W porządku. Nie ma pośpiechu. Prawdopodobnie jesteśmy jedynymi ludźmi w Anglii, którzy w ogóle wiedzą o krosnach Jacquarda. Tak czy inaczej, będziemy pierwsi.

– Ale ja mam pracę. Nie mam wolnego czasu.

– Zrezygnuj z pracy.

– Nie tak dawno ją zacząłem!

– Przypuszczam, że moglibyśmy sprzedać taką maszynę za sto funtów. Podzielilibyśmy pieniądze między siebie, więc dostałbyś pięćdziesiąt funtów za miesiąc pracy, zamiast... Ile teraz zarabiasz miesięcznie?

– Trzydzieści szylingów tygodniowo.

– Czyli niewiele więcej niż sześć funtów na miesiąc, tymczasem ja oferuję ci pięćdziesiąt. A gdy tylko maszyna zacznie działać, inni sukiennicy też będą chcieli takie mieć. Proponuję, żebyśmy założyli wspólny biznes, produkowali krosna Jacquarda i dzielili się po równo zyskami.

Kit wiedział, że kiedy uporają się ze wszystkimi trudnościami i zbudują pierwsze krosno, kolejne maszyny będą powstawały znacznie szybciej. Mógłby na tym zarobić niewyobrażalne pieniądze, ale nie to kusilo go najbardziej. Najbardziej kuszące wydawało się to, że będzie spędzał całe dni z Rogerem. Jakież to byłoby cudowne.

– Nie musisz decydować się od razu – zaznaczył Roger, który mylnie zinterpretował jego wahanie. – Przemyśl to. Porozmawiaj z matką.

– Tak zrobię. – Kit wstał. Chętnie spędziłby resztę popołudnia z Rogerem, ale spodziewano się go w domu. – Mama czeka na mnie z obiadem.

– Zanim pójdziesz... – odezwał się Roger, patrząc na niego z zakłopotaniem.

– Tak?

– Brakuje mi trochę pieniędzy. Byłbyś tak dobry i zapłacił?

To była słabość Rogera. Przegrywał pieniądze, a potem musiał prosić ludzi o wsparcie, nim znów coś zarobił. Kit cieszył się jednak, że może mu pomóc. Zapłacił za kawę, piwo Rogera i za jeszcze jeden kufel dla niego.

– Bardzo miło z twojej strony – powiedział Roger.

– Nie ma o czym mówić.

Kit wyszedł i ruszył w stronę domu.

Wciąż mieszkał w tym samym miejscu z matką, ojczymem i Sue, choć teraz dom wyglądał całkiem inaczej. Mieli nowe zasłony w oknach, szklanki zamiast drewnianych kubków i mnóstwo węgla – wszystko to za pieniądze zarobione przez Kita. Kiedy wszedł do środka, poczuł zapach wołowiny, którą Sal piekła na rożnie.

Każdemu z nich przybyło sporo lat, co nie powinno dziwić, a jednak czasem zaskakuje. Matka i ojczym zbliżali się powoli do czterdziestki. Sal była sprawna i silna; po ciężkich robotach, na które została skazana, wróciła w pełni do zdrowia. Jarge miał czerwony nos i wodniste oczy człowieka nigdy nieodmawiającego sobie piwa. Dziewiętnastoletnia Sue obsługiwała przędzarkę w młynie Amosa Barrowfielda. Była całkiem ładna i Kit przypuszczał, że wkrótce wyjdzie za mąż. Miał nadzieję, że nie przeprowadzi się zbyt daleko. Tęskniłby za nią.

Wszyscy zabrali się do jedzenia wołowiny, która nadal była dla nich prawdziwym luksusem. Kiedy skończyli obiad i zadowoleni rozsiedli się wygodnie, Kit poinformował ich o propozycji Rogera.

– To byłoby duże rozczarowanie dla Amosa – powiedziała Sue. – Awansował cię, choć byłeś jeszcze chłopcem.

– On też pewnie chciałby mieć krosna Jacquarda. Myślę, że będzie zadowolony.

– Chcecie ich zrobić więcej?

– Będzie z nimi tak samo, jak z przędzarkami – odparł Kit z przekonaniem. –

Gdy pojawi się pierwsza, wszyscy będą chcieli takie mieć. A kiedy już będą ich używać, ktoś wymyśli inną.

– To odbierze pracę tkaczom – stwierdził Jarge ponuro.

– Jak wszystkie maszyny – rzucił Kit. – Ale nie da się tego powstrzymać.

– Myślisz, że na Rogerze można polegać? – spytała zawsze ostrożna Sue.

– Nie. Ale na mnie można. Dopilnuję, żeby ta maszyna powstała i żeby działała, jak należy.

– To dość ryzykowne. – Sue wciąż nie była przekonana. – Myślę, że powinieneś trzymać się pana Barrowfielda.

– Wszystko jest ryzykowne. Nie ma żadnej gwarancji, że pan Barrowfield utrzyma się w branży. Czasami zakłady włókiennicze są zamykane.

– Musisz zrobić to, co uważasz za stosowne – powiedziała dziewczyna, żeby zamknąć dyskusję. – Po prostu szkoda mi, że kiedy po raz pierwszy w życiu zaczyna nam się układać, znów narazimy to na ryzyko.

Kit odwrócił się do Sal.

– A co ty o tym myślisz, mamó?

– Wiedziałam, że do tego dojdzie – odparła. – Widziałam to, kiedy byłeś jeszcze małym chłopcem. Zawsze mówiłam, że jesteś stworzony do wielkich rzeczy. Musisz przyjąć ofertę Rogera, Kit. To twoje przeznaczenie.

*

Spade lubił chodzić na obiad do nowej kawiarni. Mógł się rozsiąść w wygodnym fotelu w czystym i cichym lokalu i poczytać gazetę. W ciągu dnia wolał bywać tam niż w wesołym, lecz hałaśliwym U Bella – być może dlatego, że wkroczył już w piątą dekadę życia.

Klientela składała się zazwyczaj wyłącznie z mężczyzn, choć nie określały tego żadne reguły, a Cissy Bagshaw, kiedyś właścicielka jednego z największych zakładów włókienniczych w mieście, uważana była za honorowego mężczyznę. Usiadła naprzeciwko Spade'a, gdy ten pił kawę i czytał „Morning Chronicle”. Lubił ją, ale nie na tyle, by się z nią ożenić, i pracowali razem nad wygaszeniem strajku w 1799 roku.

– Co myślisz o nowym francuskim kodeksie cywilnym? – spytał ją.

– A co to takiego?

– Napoleon Bonaparte wydał nowy kodeks prawny dla całej Francji i zniósł wszystkie zwyczajowe daniny od chłopów, które dotąd przysługiwały właścicielom ziemskim.

– Ale co właściwie mówi ten nowy kodeks?

– Że każde prawo musi być spisane i opublikowane. Zwyczaje nie mają mocy prawnej, bez względu na to, jak długo już panują, jeśli nie zostaną włączone do kodeksu i opublikowane. To wygląda całkiem inaczej niż nasze prawo zwyczajowe, które może być bardzo nieprecyzyjne. Nikt nie może liczyć na specjalne przywileje, niezależnie od tego, kim jest. Według prawa wszyscy ludzie są równi.

– Kobiety również?

– Niestety, tylko mężczyźni. Bonaparte nie przejmuje się szczególnie prawami kobiet.

– Jakoś mnie to nie dziwi.

– Powinniśmy wprowadzić coś podobnego w Anglii. Uzgodniony powszechnie kodeks, który każdy może przeczytać. Pomysł prosty, ale znakomity. Francji nie mogło się przytrafić nic lepszego niż Bonaparte.

– Ciszej! – upomniała Spade'a Cissy. – W Kingsbridge nie brakuje ludzi, którzy by cię wychłostali za takie słowa.

– Przepraszam.

– Wiesz co? Ty naprawdę powinienes być radnym. Ludzie już o tym mówią. Masz teraz dużą firmę, jedną z najważniejszych w mieście, i jesteś dobrze

poinformowany. Rada miałaby z ciebie pożytek.

– To bardzo miłe z twojej strony – odparł z udawanym zaskoczeniem, bo wiedział, że w mieście chodzą takie słuchy.

– Wycofałam się z interesów i nie chcę być dłużej radną – oznajmiła Cissy. – Chciałabym zaproponować, żebyś to właśnie ty zajął moje miejsce. Wiem, że stoisz po stronie robotników, ale zawsze byłeś rozsądny i obiektywny, więc przypuszczam, że twoja kandydatura zostanie przyjęta. Co ty na to?

Teoretycznie radnych wyłaniano w wyborach, ale w praktyce nominację otrzymywała zwykle tylko jedna osoba, więc głosowanie nie było potrzebne. W związku z tym rada była samoutrwalającą się oligarchią, czego Spade nie pochwalał. Jeśli jednak chciał coś zmienić, musiał stać się jej częścią.

– Bardzo chętnie podjąłbym się tej służby – odparł.

– Porozmawiam z innymi radnymi – powiedziała, wstając. – Może uda mi się zdobyć wystarczające poparcie.

– Dziękuję. – Spade skinął głową. – I powodzenia.

Zaczął czytać gazetę, ale co jakiś czas wracał myślami do rozmowy z Cissy. Większość radnych miała konserwatywne poglądy, ale nie wszyscy; byli wśród nich również liberałowie i metodyści. Wzmocniłby tę grupę reformatorską. Uważał, że to naprawdę ekscytująca perspektywa.

Chwilę później z rozmyślań wyrwał go Roger Riddick, który wrócił niedawno z zagranicznych wojaży.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam ci w obiedzie – powiedział.

– Nie, już skończyłem. Miło cię widzieć.

– Miło być znowu w domu.

– Wyglądasz jak człowiek, którego coś nurtuje.

– Masz rację. – Roger roześmiał się. – Chciałbym ci coś pokazać. Poświęcisz mi chwilę?

– Proszę.

Spade uregulował rachunek. Wyszli razem z kawiarni, przeszli w dół Main Street, a potem skręcili w boczną ulicę i Roger zatrzymał się przed dużym domem.

– Czy to nie jest dom twojego brata Willa? – spytał Spade.

– Owszem. – Roger otworzył drzwi kluczem.

W holu było cicho i na podłodze zalegał kurz. Spade pomyślał, że dom musi już od jakiegoś czasu stać pusty. Roger otworzył drzwi pustego małego pomieszczenia, które mogło kiedyś pełnić funkcję gabinetu lub pokoju śniadaniowego.

Zdumiał się, gdy przeszli do kolejnych pomieszczeń. Większość mebli zniknęła, podobnie jak obrazy, po których na ścianie zostały ciemniejsze prostokątne plamy. Nie był to może pałac, ale przestronny dom, któremu przydałoby się porządne sprzątnięcie.

– Co się stało? – spytał.

– Kiedy mój brat odpowiadał za zakupy dla milicji Shiring, wykorzystywał stanowisko do zdobywania pieniędzy w sposób, którego do dziś nie rozumiem. – Roger nie mówił prawdy. Doskonale wiedział, co robił Will, nierozsądnie byłoby jednak przyznawać, że jest świadomy przestępczej działalności brata.

– Chyba wiem, co masz na myśli.

– Gdy przydzielono mu inne obowiązki, powinien był zmienić tryb życia na nieco oszczędniejszy, ale nie zrobił tego. Bez opamiętania wydawał pieniądze na wyścigi konne, drogie kobiety, sute przyjęcia i hazard. W końcu został bez grosza przy duszy. Sprzedał już wszystkie meble i obrazy, a teraz musi sprzedać ten dom.

– A ty mi go pokazujesz, bo...?

– Jesteś teraz jednym z najbogatszych sukienników w mieście. Podobno możesz zostać radnym. Niektórzy uważają, że wkrótce ożenisz się z wdową po biskupie. A mimo to mieszkasz w dwóch skromnych pokojach w warsztacie, na podwórzu za zakładem krawieckim siostry. Najwyższy czas, żebyś miał prawdziwy dom.

– Tak. Chyba tak.

*

Amos uwielbiał teatr. Uważał, że to jeden z największych wynalazków ludzkości, porównywalny z przędzarką. Chodził na balety, pantomimę, opery i występy akrobatyczne, najbardziej jednak lubił dramaty. Większość współczesnych sztuk była komediami, ale on był wielbicielem Szekspira, odkąd dziesięć lat wcześniej zobaczył *Kupca weneckiego*.

Wybrał się do teatru w Kingsbridge na przedstawienie *She Stoops to Conquer*. Była to komedia z wątkiem romansowym i Amos wraz z całą publicznością ryczał ze śmiechu przy kolejnych zabawnych nieporozumieniach na scenie. Aktorka grająca pannę Hardcastle była ładna, a kiedy bohaterka udawała barmankę, niezwykle pociągająca.

Podczas antraktu wpadł na Jane, która wyglądała wręcz zachwycająco. Minęły dwa tygodnie, odkąd zrzuciła z siebie ubrania u niego w salonie, i od tego czasu jej nie widział. Może dlatego, że ćwiczenia wojskowe dobiegły końca i jej mąż wrócił do domu. Albo to, co stało się przed dwoma tygodniami, było jedynie jednorazowym incydentem, który nigdy się nie powtórzy. Amos miał nadzieję, że chodzi o to drugie. Byłoby mu przykro, ale odetchnąłby z ulgą. Mógłby wreszcie zapomnieć o tytanicznych zmaganiach między pożądaniem a sumieniem. Mógłby przyjąć litościwe wybaczenie Boga i prowadzić dalej uczciwe życie.

Nie mógł z nią o tym rozmawiać w miejscu publicznym, więc spytał ją o braci.

– Są okropnie nudni – odparła i westchnęła ciężko. – Obaj zostali metodystycznymi pastorami, jeden w Manchesterze, a drugi... wierz lub nie... w Edynburgu. – Mówiła tak, jakby Szkocja była równie odległa jak Australia.

Nie bardzo rozumiał, co aż tak nudnego było w wyborach jej braci. Obaj studiowali, obaj przenieśli się do dużych miast i podjęli trudną pracę. Wydawało mu się, że to lepsze niż małżeństwo dla pieniędzy i tytułu, na co postawiła Jane, ale nie powiedział jej tego.

Po spektaklu poprosiła go, by odprowadził ją do domu.

– Nie przyszedłeś z mężem? – zdziwił się.

– Jest na sesji parlamentu w Londynie.

Więc znów była sama, o czym dowiedział się dopiero teraz. Gdyby wiedział wcześniej, być może starałby się jej unikać. A może nie.

– Zresztą Henry i tak nie przepada za teatrem – dodała. – Nie ma nic przeciwko tym sztukom Szekspira, w których jest mowa o prawdziwych bitwach, jak ta pod Azincourt, ale nie widzi sensu w zmyślonych historiach.

Nie był tym szczególnie zaskoczony. Northwood był człowiekiem inteligentnym, lecz pozbawionym wyobraźni i szerszych horyzontów; interesowały go tylko konie, broń i wojna.

Amos nie mógł grzecznie odmówić, więc poszedł z Jane Main Street i po drodze zastanawiał się, co z tego wyniknie. Mimowolnie wracał myślami do tamtego styczniowego wieczoru; znów słyszał szelest jedwabiu, gdy jej suknia opadła na podłogę, widział, jak ciało Jane wygina się w łuk, gdy ściągała halkę przez głowę, czuł zapach jej skóry, przesycony lawendą i potem. Podniecił się.

Najwyraźniej wyczuła, co kryje się za jego milczeniem.

– Wiem, o czym myślisz – powiedziała.

Zaczerwienił się. Miał nadzieję, że Jane nie dostrzeże tego w mroku rozpraszającym jedynie migotliwym blaskiem latarni, domyśliła się jednak.

– Nie ma się czego wstydzić – rzuciła. – Rozumiem.

Zaschło mu w ustach.

– Dobranoc, wicehrabino Northwood – powiedział, kiedy dotarli do drzwi Domu Willarda.

– Wejdz.

Amos wiedział, że jeśli wejdzie, nie będzie w stanie oprzeć się pokusie. Mimo to był już bliski przestąpienia progu, opamiętał się jednak w ostatniej chwili.

– Nie, dziękuję. – Na wszelki wypadek, gdyby ktoś ich słyszał, dodał: – Nie chcę zabierać pani czasu.

– Chcę z tobą porozmawiać.

– Nie, nie chcesz rozmawiać – odparł głosem zniżonym do szeptu.

– To było niemiłe.

– Nie chcę być niemiły.

– Spójrz na moje usta. – Zbliżyła się do niego o krok. Zrobił to, bo nie mógł się powstrzymać. – Za minutę moglibyśmy się całować. Mógłbyś całować mnie całą. Wszędzie.

Stał w milczeniu, targany sprzecznymi emocjami, i zaczynał rozumieć, dlaczego nie wszedł do tego domu i nie zrobił wszystkiego, czego pragnął. Jane chciała trzymać go na sznurku, który mogłaby pociągać za każdym razem, gdy przyszłaby jej na to ochota. Czuł się upokorzony.

– Oferujesz mi połowę siebie – powiedział. – Mniej niż połowę. Mam liczyć na spełnienie pragnień wtedy, gdy twój mąż będzie wyjeżdżał, i usychać z miłości, kiedy będzie z tobą? Nie mogę tak żyć.

– Lepiej mieć choć pół chleba, niż głodować, prawda?

– *Nie samym tylko chlebem żyje człowiek** – odpowiedział jej cytatem z Biblii.

– Faj! Jesteś beznadziejny – rzuciła i zatrzęsła mu drzwi przed nosem.

Odwrócił się powoli. Nad pustym rynkiem wznosiła się ciemna bryła katedry. Choć był metodystą, wciąż uważał katedrę za Dom Boży. Przeszedł do wejścia i usiadł na schodach.

Czuł się dziwnie wyzwolony. Zrezygnował z czegoś, co budziło w nim wstyd i wyrzuty sumienia. I zaczął inaczej postrzegać Jane. Przypomniawszy sobie, co powiedziała o braciach. Uważała, że są nudni, bo postanowili zostać pastorami. Przyświecały jej niewłaściwe wartości. Wykorzystywała ludzi. Nigdy nie kochała Northwooda, ale chciała tego, co mógł jej zapewnić. I wykorzystwała też jego, jego namiętność i oddanie, gdy przyszła jej na to ochota. Teraz wydawało się to oczywiste, ale potrzebował wielu lat, by przejrzeć na oczy i pogodzić się z prawdą. I nie był już pewien, czy ją kocha.

Wspomnienia spędzonych z nią chwil wciąż poruszały w nim czułą strunę. Być może będzie tak już zawsze. Uwolnił się jednak wreszcie od ślepej obsesji na jej punkcie. I patrzył w przyszłość z optymizmem.

Wstał, odwrócił się i spojrział na katedrę podświetloną od drugiej strony przez latarnie.

– Mój umysł w końcu jest jasny – powiedział głośno. – Dziękuję.

*

Hornbeam miał wizję przyszłości Kingsbridge. Oczami wyobraźni widział, jak miasto staje się wielkim ośrodkiem sukiennictwa, miejscem, w którym rodzą się ogromne fortuny i które rywalizuje z Manchesterem o miano drugiego co do znaczenia miasta w Anglii. Niektórzy mieszkańcy Kingsbridge chcieli jednak zniszczyć tę wizję i wciąż wymyślali jakieś przeszkody na drodze postępu. Najgorszy był Spade. Dlatego Hornbeam wpadał we wściekłość, gdy słyszał sugestie, że Shoveller powinien zostać radnym. I do tego propozycja wyszła od kobiety, Cissy Bagshaw. Nic dziwnego!

Był gotowy zrobić wszystko, żeby temu zapobiec.

Na szczęście Spade miał słabość: Arabellę Latimer.

Hornbeam długo się zastanawiał, jak najlepiej to wykorzystać, i ostatecznie postanowił porozmawiać z nowym biskupem, Marcusem Reddingcote'em.

Wybierając się do katedry w najbliższą niedzielę, włożył nowy płaszcz, całkiem czarny, bo właśnie tak ubierali się ostatnio poważni bogaci mieszczaństwo. Po nabożeństwie przywitał się z biskupem i jego wyniosłą żoną Uną.

– Jest pani z nami już od pół roku – zwrócił się do niej. – Mam nadzieję, że podoba się pani w Kingsbridge.

– Wcześniej byliśmy w kościele w Londynie, w Mayfair – odparła. – To zupełnie co innego. Ale człowiek służy tam, gdzie go posyłają.

Hornbeam zrozumiał, że Kingsbridge oznacza dla niej degradację, przynajmniej w sensie towarzyskim. Zmusił się do uśmiechu.

– Jeśli mogę państwu w jakikolwiek sposób pomóc, wystarczy dać znać – powiedział.

– Dziękuję. W pałacu bardzo o nas dbają.

– Miło mi to słyszeć. – Hornbeam odwrócił się do biskupa, mężczyzny wysokiego i dość tęgiego, jak to często bywało w przypadku bogatych duchownych. – Wasza Ekscelencjo, czy mógłbym zamienić z panem kilka słów?

– Oczywiście.

Hornbeam zerknął na jego żonę.

– To dość delikatna kwestia – zaznaczył.

Zrozumiała aluzję i zostawiła ich samych.

Hornbeam zbliżył się nieco do biskupa.

– W Kingsbridge mieszka pewien sukiennik, niejaki David Shoveller – powiedział cicho. – Ludzie nazywają go Spade, Wasza Ekscelencja o nim słyszała. Otóż ten Spade czyni starania, by zostać radnym.

– A pan to pochwała? – Biskup rozejrzał się, jakby przypuszczał, że człowiek, o którym mowa, jest gdzieś w pobliżu.

– Nie ma go tutaj, Wasza Ekscelencjo. Jest metodystą.

– Ach.

– Co istotniejsze, jest cudzołożnikiem, o czym wie pół miasta.

– Dobry Boże...

– Co jeszcze bardziej szokujące, jego kochanką jest Arabella Latimer, wdowa po pana poprzedniku.

– Niewiarygodne.

– Ich romans zaczął się na długo przed śmiercią biskupa Latimera. Wdowa ma pięcioletniego syna, którego ojcem jest najprawdopodobniej Spade. Biskup, ogarnięty słusznym gniewem, nadał dziecku imię Absalom. Znaczenie tego imienia jest z pewnością oczywiste dla tak uczonego człowieka jak Wasza Ekscelencja.

– Absalom okrył hańbą ojca, króla Dawida.

– Właśnie. Oczywiście nie ma żadnych dowodów na cudzołość, ale nie chciałbym, żeby człowiek taki jak Spade został radnym tego miasta.

– Ani ja – odparł biskup. – Ale nie mam wpływu na wybór radnych. To pana dziedzina, prawda?

To właśnie była kluczowa kwestia i najtrudniejsza część zadania Hornbeama.

– Przeszedłem do Waszej Ekscelencji jako do moralnego przywódcy Kingsbrigde – powiedział.

– Oczywiście. Tylko nie rozumiem...

– Czy Wasza Ekscelencja nie mógłby wygłosić kazania odnoszącego się do tej sprawy?

– Nie mogę potępić kogoś z ambony, jeśli nie mam dowodów jego winy.

– W rzeczy samej. Ale może bardziej ogólnie? O cudzołóstwie?

Biskup skinął powoli głową.

– Być może, choć byłoby to nieco zbyt oczywiste.

– Więc może o tym, by nie zamykać oczu na grzech.

– Cóż... tak lepiej. Pismo wspomina w kilku miejscach o przymykaniu oka, dokładnie o tym, o czym pan mówi.

– Jeśli ktoś czyni zło, nie należy tego ignorować... Coś w tym rodzaju, tak?

– Owszem.

Hornbeam nabrał pewności siebie.

– Wasza Ekscelencjo, ludzie często rozmawiają o grzechu Spade'a, ukradkiem, wręcz potajemnie, ale nikt go otwarcie nie potępił.

– Więc robi to dalej, bez skruchy.

– Trafił pan w sedno, Wasza Ekscelencjo.

– Hm...

Radny uważał jednak, że to ciągle za mało. Potrzebował konkretnej deklaracji.

– Wystarczy tylko dać do zrozumienia, że zatwardziały grzesznik nie może zajmować ważnych stanowisk – powiedział. – Nie trzeba oskarżeń. Ludzie i tak będą wiedzieć, o co chodzi.

– Muszę się nad tym zastanowić. Ale dziękuję, że uczulił mnie pan na ten problem.

Hornbeam rozumiał, że to wszystko, na co może liczyć. Musiał się z tym pogodzić i być dobrej myśli.

– Pozostaję do usług, Wasza Ekscelencjo.

*

Spade powiedział Arabelli, że ma jej coś do pokazania, i poprosił, by spotkała się z nim przed budynkiem z numerem piętnaście przy Fish Lane. Wziął klucz od Rogera Riddicka.

Przyszedł wcześniej i kręcił się na zewnątrz, czekając na Arabelle. Gdy dotarła na miejsce, otworzył przed nią drzwi i zaprosił ją do środka.

– Rozejrzyj się – powiedział.

Prawdopodobnie domyślała się, do czego zmierza, ale nie zadawała pytań. Razem oglądali dom. Wymagał remontu. Podłogi były poplamione, szyby w niektórych oknach popękane. W kuchni i innych pomieszczeniach w suterenie było ciemno i brudno, w spiżarni leżał zdechły szczur.

– Przydałoby się porządnie wysprzątać – odezwała się Arabella.

– I pomalować.

Na piętrze był przestronny salon, a za nim duża sypialnia, do której z jednej strony przylegał buduar pani domu, a z drugiej garderoba gospodarza. Na drugim piętrze znajdowały się pokoje dla dzieci i służby. We wszystkich były duże okna i kominki.

– To mógłby być bardzo miły dom – stwierdziła Arabella.

– Jest na sprzedaż. Chciałabyś go?

Spojrzała na niego z lekkim uśmiechem.

– Do czego właściwie zmierzasz?

Ujął jej dłonie.

– Arabello, cudowna kobieto, zostaniesz moją żoną?

– Davidzie Shoveller, cudowny mężczyzno, czy nie zdajesz sobie sprawy, że jestem od ciebie osiem lat starsza?

– Czy to oznacza zgodę?

– Oczywiście, że tak!

– I chciałabyś, żebyśmy mieszkali w tym domu? Żebyśmy byli tu szczęśliwi?
– Szaleńczo, mój kochany.
– Musimy poczekać, aż skończy się twoja żałoba.
– Czyli do trzydziestego września.
– Znasz dokładną datę.
– Nie powinnam się tak niecierpliwić, ale nic na to nie poradzę.
– To jeszcze pół roku.
– Jeśli kupisz ten dom teraz, będziemy mieli dość czasu, żeby go wysprzątać, pomalować, wybrać meble, powiesić zasłony i tak dalej.

Pocałowali się, a potem Spade z szelmowską miną rozejrzał się.

– Wygląda na to, że jesteśmy tu sami...
– Jak miło! Ale podłogi wyglądają na twarde... i brudne.
– Żaden problem, możesz być na górze.
– Rozmawiałam z różnymi kobietami...

Spade uśmiechnął się, ciekawy, co za chwilę usłyszy.

– I co mówiły?

Obdarzyła go swawolnym, a zarazem nieco wstydliwym uśmiechem.

– Mówiły o czymś, co podobno robią prostytutki. Nigdy wcześniej o tym nie słyszałam... Hm... może to nawet nieprawda, ale...

– Ale co?

– Chciałabym spróbować.

Takie deklaracje podniecały Spade'a.

– A co konkretnie masz na myśli?

– Podobno robią to ustami.

– Słyszałem o tym.

– Jakaś ci to kiedyś zrobiła?

– Nie.

– No i podobno robią to do samego końca... Jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

- Rozumiem, co masz na myśli. – Spade uświadomił sobie, że dyszy ciężko.
 - Tego właśnie chciałabym spróbować.
 - Więc zrób to. Proszę.
 - Na pewno tego chcesz?
 - Nawet nie wiesz, jak bardzo.
-

* Pwt 8,3.

ROZDZIAŁ 30

Spade uznał, że surowa pociągła twarz sędziego z Londynu przywodzi na myśl sępa. Oczy mężczyzny były osadzone blisko haczykowatego nosa przypominającego dziób. Kiedy zajmował miejsce w sali w ratuszu, pochylił głowę i podniósł ręce, by rozpostrzeć poły togi niczym skrzydła ptaka lądującego na ziemi. Potem spojrział na zgromadzonych przed nim ludzi jak na swoją ofiarę.

A może to tylko moja wyobraźnia, pomyślał Spade. Być może jest miłym starszkiem, który okazuje litość, gdy tylko może. Twarz nie zawsze odzwierciedla charakter. Choć często się to zdarza.

To nie sędzia jednak miał zdecydować, czy Tommy jest winny, lecz przysięgli. Spade spojrział z rezygnacją na dwanaście elegancko ubranych osobistości z Kingsbridge; składały właśnie przysięgę. Jak zwykle byli to zamożni kupcy i przedsiębiorcy, ludzie, którzy nie byli skłonni przymykać oka na kradzieże.

Kiedy wygłaszali słowa przysięgi, Cissy Bagshaw odezwała się do Spade'a przyciszonym głosem:

- Przykro mi, że nie zostałeś radnym. Robiłam, co mogłam.
- Wiem i jestem za to wdzięczny.
- Obawiam się, że to przez kazanie biskupa.

Spade skinął głową.

- „Grzesznik nie może zajmować ważnych i odpowiedzialnych stanowisk”.
- Ktoś musiał go do tego namówić.
- Jestem pewien, że Hornbeam. Jest moim jedynym wrogiem.
- Prawdopodobnie masz rację.

Dostał nauczkę, gdy po raz pierwszy spróbował wejść w świat polityki. Był na siebie zły, że nie przewidział reakcji Hornbeama, nie docenił jego siły

i bezwzględności. Wiedział już, że jeśli kiedykolwiek spróbuje ponownie, najpierw wymyśli, jak zneutralizować wrogów.

Przysięgli zostali zaprzysiężeni i usiedli.

Jeśli Tommy zostanie uznany za winnego – co wydawało się raczej nieuniknione – o karze zadecyduje sędzia. Tu właśnie było miejsce na litość. Rzadko zdarzało się, by posyłano dzieci na szubienicę... ale się zdarzało. Spade modlił się w myślach, by sędzia nie był tak podły, na jakiego wyglądał.

W wypełnionej po brzegi dusznej sali panowała ponura atmosfera. Jenn Pidgeon stała w pierwszym rzędzie publiczności; jej oczy były czerwone od płaczu, dłonie nieustannie zwijały i rozwijały kraniec szarfy oplatającej ją w pasie. Spade pomyślał, że trudno sobie wyobrazić coś gorszego niż oczekiwanie na decyzję, czy twoje dziecko zostanie stracone.

Przypuszczał, że Hornbeam będzie się trzymał z dala od tej sprawy. W mieście dużo mówiono o tym, jak surowo potraktował Jenn, i ten proces nie mógł mu przynieść niczego dobrego, bez względu na rezultat. Zachowywał się jednak dumnie i wyzywająco. Pochwycił spojrzenie Spade'a i jego usta wykrzywiły się w triumfalnym uśmiechu. Tak, wygrałeś bitwę, pomyślał Spade.

Czuł się rozczarowany, ale nie załamany. Był wściekły, że wykorzystano przeciwko niemu związek z Arabellą. Owszem, byli grzesznikami, co musiało się spotkać z dezaprobatą, lecz to przede wszystkim ona została upokorzona. Ludzie rozmawiali o niej i powtarzali, że przyniosła mu wstyd. Spade nigdy nie wybaczy tego Hornbeamowi.

Gdy do sali wprowadzono Tommy'ego, zdał sobie jednak sprawę, jak trywialne są jego problemy.

Posiedzenia sądu wyjazdowego odbywały się tylko dwa razy w roku i Tommy czekał na proces w więzieniu. Z pewnością nie było to miejsce dla dziecka. Wydawał się jeszcze chudszy i bardziej sponiewierany. Spade patrzył na niego ze współczuciem i liczył na to, że żałosny wygląd chłopca wzbudzi współczucie przysięgłych.

Zeznania brzmiały tak samo jak poprzednio. Josiah Blackberry opisał kradzież i zatrzymanie. Elsie Mackintosh potwierdziła jego słowa, ale podkreślała, że dziecko było wygłodniałe, bo jego ojca porwał gang werbowników, a matce odmówiono zapomogi. Hornbeam, nadzorca ubogich, był wyraźnie oburzony, ale milczał.

Przysięgli znali już dobrze tę historię. O postawieniu Tommy'ego przed sądem wyjazdowym pisano w „Kingsbridge Gazette”, a ludzie, którzy nie byli na pierwszym posiedzeniu, poznali szczegóły od znajomych. Przysięgli zapewne podjęli decyzję już dawno temu i nie potrzebowali dużo czasu, by dojść do porozumienia. Uznali Tommy'ego za winnego zarzucanego mu czynu.

Przyszła kolej na wyrok sędziego.

– Panowie przysięgli – zaczął chrapliwym, ostrym głosem – podjęliście decyzję, która w moim przekonaniu jest jedyną możliwą. Dopełniliście obowiązku i teraz moim zadaniem jest wymierzenie winnemu odpowiedniej kary.

Przerwał na moment i zakasłał. W sali panowała cisza.

– Zasugerowano tutaj, że Thomas Pidgeon jest w pewnym sensie raczej ofiarą niż sprawcą. Za omawiane tu przestępstwo próbowano obwinać gang werbowników, osoby odpowiedzialne za przyznawanie zapomogi, a nawet rząd Jego Królewskiej Mości. Ale to nie gang werbowników mamy tu osądzić, nie system przyznawania zapomóg ani tym bardziej rząd. To jest proces Thomasa Pidgeona i nikogo innego. – Spojrzał na Elsie. – Możemy współczuć tym, którzy znaleźli się w trudnej sytuacji, lecz nie możemy pozwolić, by z tego powodu okradali innych. Taka sugestia to nonsens.

Znów przerwał i zrobił coś ze swoimi dłońmi, tak że zgromadzeni nie wiedzieli co. Kiedy je uniósł, wszyscy zobaczyli, że włożył czarne bawełniane rękawiczki.

Jenn Pidgeon krzyknęła.

– O Boże, zlituj się nad nami – powiedział głośno Spade.

Sędzia wyjął też czarną czapkę i założył ją na perukę.

Matka Tommy'ego szlochała bez opamiętania, a od strony publiczności dobiegały gniewne wrogie komentarze, ale sędzia był nieporuszony.

– Thomasie Pidgeon, zgodnie z prawem wrócisz do miejsca, z którego przyszedłeś, i stamtąd zostaniesz zaprowadzony na miejsce egzekucji, gdzie zostaniesz powieszony i będziesz wisiał, dopóki nie umrzesz.

Kilka osób już głośno płakało, ale sędzia jeszcze nie skończył.

– Umrzesz – powtórzył, a potem raz jeszcze: – Umrzesz. – A na koniec dodał: – I niech Bóg zlituje się nad twoją duszą.

Kiedy z sali wyprowadzano zapłakaną i półprzytomną Jenn Pidgeon, Spade wstał i powiedział głośno:

– Wysoki Sądzie, chciałbym poinformować, że do Jego Królewskiej Mości zostanie skierowana apelacja od tego wyroku.

Wśród zebranych podniosły się głosy aprobaty.

– Rozumiem – odparł sędzia bez większego zainteresowania. – Wyrok nie zostanie wykonany, nim Jego Królewska Mość nie udzieli odpowiedzi. Następna sprawa.

Spade opuścił salę i poszedł do swojej manufaktury, by sprawdzić, jak idzie praca, ale nie mógł się skupić. Nigdy dotąd nie składał apelacji do króla. Nie wiedział, od czego zacząć.

W południe poszedł do kawiarni przy High Street. Dopiero gdy wypił kawę, zdołał wreszcie zebrać myśli. Wiedział, że ktoś będzie musiał mu pomóc przygotować tekst apelacji i że byłoby dobrze, gdyby podpisało ją kilku prominentnych obywateli miasta. Kiedy się nad tym zastanawiał, do kawiarni zaczęli się schodzić klienci. Spade dostrzegł wśród nich Drinkwatera. Radny był już po siedemdziesiątce i chodził o lasce, ale poza tym trzymał się dobrze i wciąż miał świeży umysł. Spade dosiadł się do niego.

Drinkwater zamówił befsztyk i kufel piwa. Był w sądzie, więc podzielił się swoją opinią:

– Hornbeam i ten sędzia to łajdacy. Żeby wysłać dziecko na szubienicę!

– Podpisze pan apelację do króla? – spytał Spade. – Na pewno zrobi większe wrażenie, jeśli poprze ją były radny.

– Oczywiście.

– Dziękuję.

– Jediną rzeczą godną chrześcijanina, jaką powiedział ten sędzia, było „Niech Bóg zlituje się nad twoją duszą”. Ten świat schodzi na psy.

Spade ucieszył się, że ktoś podziela jego gniew.

– Powinniśmy nakłonić więcej osób do podpisania tej apelacji – powiedział.

– Mój zięć, Charles, na pewno to zrobi. Na kogo jeszcze moglibyśmy liczyć?

– Na pewno na Amosa Barrowfielda – odparł Spade po chwili zastanowienia. – Ale to nie mogą być sami metodyści. Spytam panią Bagshaw.

– Będziemy mieli dwoje kupców, a przecież nikt nie podejrzewa kupców o sympatię do złodzieja.

– Nie sądzę, by Northwood zechciał nam pomóc.

Drinkwater skrzywił się z powątpiewaniem.

– Mało prawdopodobne, ale warto spróbować.

– Może pana wnuczka zdołałaby go przekonać.

– Jane? Nie wiem, czy ma jakiś wpływ na męża, ale poproszę ją.

– Byłoby też dobrze, gdyby ktoś pomógł mi napisać apelację. Pewnie są jakieś zasady, zgodnie z którymi się je pisze.

– Od tego są prawnicy – powiedział radny. – Proszę spytać Parkstone’a.

W Kingsbridge działało trzech prawników. Zajmowali się głównie transakcjami nieruchomości, testamentami i sporami rolników o granice pól. Parkstone był wśród nich najstarszy.

– Pójdę do niego od razu – postanowił Spade.

– Nie chce pan nic zjeść?

– Nie. Chyba nie mógłbym teraz niczego przełknąć.

Kit zrezygnował z pracy zarządcy dwóch zakładów włókienniczych. Amos Barrowfield żałował, że go traci, ale przyjął to spokojnie i powiedział, że gdyby miał okazję kupić pierwsze krosno Jacquarda w Anglii, byłoby to dla niego jakimś pocieszeniem. Poprosił tylko Kita, by popracował jeszcze przez miesiąc, dopóki nie znajdzie kogoś na jego miejsce. Ten zgodził się, zadowolony, że pracodawca nie żywi do niego urazy.

Uzgodniony miesiąc niemal już minął, gdy Kit otrzymał list, pierwszy w jego życiu.

Dowiedział się o tym, kiedy wrócił w sobotę z pracy. Sąsiedzi poinformowali go, że list dostarczył żołnierz z płócienną torbą, która wyglądała na pełną podobnych przesyłek.

W kopercie było pismo informujące go, że został powołany do milicji.

Zrobiło mu się niedobrze. Nigdy nie miał natury wojownika i obawiał się, że zupełnie się do tego nie nadaje. Powinien był się jednak spodziewać powołania, bo kwalifikował się do wojska, odkąd skończył osiemnaście lat. Po prostu odsuwał takie myśli.

Rozmawiał o tym z rodziną przy kolacji.

– Znienawidzę wojsko – powiedział. – Wiem, że musimy bronić kraju, ale ja będę najgorszym żołnierzem na świecie.

– To cię zahartuje – rzucił Jarge, a po chwili, zgromiony spojrzeniem żony, dodał: – Bez urazy, chłopcze.

– Milicja to nie armia – zauważyła Sal. – Milicjanci nie mogą walczyć za granicą. Muszą zostać w domu i bronić kraju w razie inwazji.

– Do której może dojść lada dzień! – odparł Kit. – Dwieście tysięcy żołnierzy Bonapartego czeka tylko, żeby przepłynąć przez kanał.

Nawet gdyby nie doszło do inwazji, służba w milicji zniweczy jego plan budowania z Rogerem krosna Jacquarda. Straci nie tylko szansę na duże pieniądze, ale też okazję do współpracy z człowiekiem, którego lubił najbardziej na świecie.

– Być może to nie ty będziesz musiał ratować nas przed Bonapartem – powiedziała matka. – Możesz zapłacić komuś, żeby zajął twoje miejsce. I nie kosztuje to tak dużo. Wielu mężczyzn to robiło. Niech te osiłki z Pod Rzeźnikiem zajmą się walką. Oni to lubią.

– Najpierw musiałbym znaleźć kogoś chętnego.

– To nie będzie trudne. Jest tylu ludzi bez pracy i wielu z nich ma długi. Dzięki twoim pieniądзом ktoś taki mógłby je spłacić. Zarobki w milicji nie są wprawdzie wysokie, ale dostałby wyżywienie, mundur i dach nad głową. Całkiem dobry układ dla młodego człowieka, który ma kłopoty.

– Zacznę rozpytywać jutro.

Następnego dnia była niedziela. Po nabożeństwie w metodystycznym domu modlitw do Kita podszedł major Donaldson i poprosił, by usiadł z nim w jakimś spokojnym miejscu. Kit zastanawiał się, o co może mu chodzić.

– Wiem, że cię wylosowano i dostałeś powołanie – zaczął major.

Kit nabrał otuchy. Być może Donaldson pomoże mu uniknąć służby.

– Nie będzie ze mnie żołnierza – przyznał się. – Nienawidzę przemocy. Szukam kogoś, kto zająłby moje miejsce.

Donaldson spojrział na niego z powagą.

– Nie chciałbym cię rozczarować, ale mogę ci powiedzieć od razu, że to nie będzie możliwe.

Kit był przerażony. Czuł się tak, jakby trafił do koszmaru sennego i nie mógł się z niego wybudzić. Zastanawiał się nawet, czy Donaldson sobie z niego nie żartuje, ale ten był śmiertelnie poważny.

– Dlaczego nie? – spytał Kit. – Przecież podobno robią tak setki ludzi.

– Tak, ale decyzję o takiej możliwości zawsze podejmuje dowódca, a w twoim przypadku pułkownik Northwood na to nie pozwoli.

– Dlaczego? Co ma przeciwko mnie?

– Nic. Wręcz przeciwnie. Wie, kim jesteś. Słyszał o twoich talentach i chce cię w milicji. Mamy mnóstwo młodych zbirów, które potrafią się bić. Brakuje nam

natomiast ludzi inteligentnych.

– Więc jestem skazany na tę służbę?

– Nie patrz na to w ten sposób. Jesteś mechanikiem. Mogę ci obiecać awans na porucznika w ciągu pół roku. To propozycja samego pułkownika.

– Ale co właściwie miałbym robić?

– Załóżmy, że będziemy musieli szybko przetransportować tysiąc ludzi i dwadzieścia ciężkich armat przez rzekę, na której nie ma mostu...

– Pewnie można by zrobić most z łodzi – rzucił Kit.

Donaldson uśmiechnął się triumfalnie.

– Rozumiesz już, dlaczego potrzebujemy ludzi takich jak ty?

Kit uświadomił sobie, że właśnie przypieczętował swój los.

– Chyba tak – odparł posępnie.

– Mężczyźni powołani do wojska muszą w nim pozostać do końca wojny, która może trwać jeszcze przez wiele lat. Ale jako oficer milicji będziesz mógł z niej wystąpić po trzech lub czterech latach. Poza tym oficerowie zarabiają znacznie więcej.

– Nigdy nie przywyknę do wojska.

– Nasz kraj jest w stanie wojny. Znam cię od lat. Jesteś dojrzały jak na swój wiek. Pomyśl o obowiązku wobec Anglii. Bonaparte zajął już pół Europy. Nasze siły zbrojne to jedyny powód, dla którego nami nie rządzi... jeszcze. Jeśli zaatakuje, to właśnie milicja będzie musiała go powstrzymać.

– Proszę nie mówić już nic więcej. Pogarsza pan tylko sytuację.

Donaldson wstał i poklepał go po ramieniu.

– Wiele się nauczysz w milicji. Potraktuj to jako okazję do rozwoju – dodał i odszedł.

Kit ukrył twarz w dłoniach.

– To raczej wyrok śmierci – wyszeptał.

Spade wybrał się nad rzekę, by nadzorować załadunek towaru na barkę płynącą do Combe. Jej właściciel, siwowłosy mężczyzna koło pięćdziesiątki, mówił z londyńskim akcentem. Przedstawił się jako Matt Carver. Nie radził sobie za bardzo z ciężkimi belami i nawet kiedy Spade mu pomagał, Carver musiał często przerywać, żeby złapać oddech.

– A niech mnie kule biją! – rzucił podczas jednej z takich przerw. – Ten człowiek w czarnym płaszczu... – Wyciągnął rękę. – Czy to nie Joey Hornbeam?

Spade spojrzał we wskazanym kierunku.

– W Kingsbridge wszyscy nazywają go radnym Hornbeamem, ale tak, chyba ma na imię Joseph.

– Niech mnie licho. Radny, i to w płaszczu, który kosztuje chyba tyle co trzymiesięczne zarobki robotnika. Jaki on jest?

– Twardy jak skała.

– Tak, zawsze taki był.

– Zna go pan? – spytał Spade.

– Znałem. Wychowałem się w Londynie, w dzielnicy zwanej Seven Dials. Joey i ja jesteśmy w tym samym wieku.

– Byliście biedni?

– Gorzej. Byliśmy złodziejami i nie mieliśmy nic prócz tego, co ukradliśmy.

Spade był zaintrygowany. Hornbeam jako złodziej!

– A wasi rodzice?

– Ja byłem podrzutkiem. Joey miał matkę, Lizzie Hornbeam. Stracił ją, kiedy miał jakieś dwanaście lat. Ona też była złodziejką. Okradała zwykle starszych mężczyzn. Prosiła o sześciopensówkę, a kiedy staruszek odmawiał... albo nawet jak nie odmawiał... kradła mu złoty zegarek z kieszeni kamizelki. Ale pewnego dnia źle wybrała i próbowała okraść człowieka, który był szybszy od niej. Złapał ją za nadgarstek i nie puścił.

– Co się z nią stało?

– Powiesili ją.

– Dobry Boże... – mruknął Spade. – Więc może właśnie dlatego Hornbeam jest taki, jaki jest?

– Bez wątpienia. Poszliśmy zobaczyć egzekucję. – Oczy Matta Carvera zaszły mgłą i Spade domyślił się, że znów widzi tamten obraz. – Stałem obok Joeya, kiedy jego matka opadła. Niektórzy skazańcy umierają od razu, sznur łamie im kark, ale ona nie miała tyle szczęścia i dusiła się przez kilka minut. Okropny widok: otwarte usta, wystawiony język, osikane nogi. Straszna rzecz dla dziecka w tym wieku.

Spade spojrział na Hornbeama ze zgrozą.

– Teraz prawie mi go żal – mruknął.

– Tylko niech mu pan nie mówi, że pan to wie – poradził Carver. – Nie podziękuje panu.

ROZDZIAŁ 31

Ślub Spade'a i Arabelli był uroczystością ślubną roku w Kingsbridge. Metodystyczny dom modlitw był wypełniony po brzegi – budowano już nowy, dwa razy większy, ale jeszcze go nie ukończono – i ludzie zgromadzili się też na zewnątrz. Działo się tak mimo otaczającej ich związek aury przemilczanego grzechu, skrytego wstydu. A być może ludzie przyszli na ślub właśnie z powodu tej atmosfery, gorszącej, a zarazem ekscytującej, niegodziwej i kuszącej, przemknęło przez głowę Spade'a. Chyba już tylko nieliczni mieszkańcy miasta nie słyszeli plotek o tym, że Arabella była kochanką Spade'a jeszcze przed śmiercią biskupa... na długo przed jego śmiercią. Być może niektórzy pojawili się w domu modlitw, by spoglądać na młodą parę z potępieniem, kręcić głową i głośno cmokać. Kiedy jednak Spade powiódł spojrzeniem po twarzach zebranych, odniósł wrażenie, że większość z nich naprawdę dobrze życzy młodej parze.

Był poniedziałek trzydziestego września 1805 roku.

Arabella miała nową suknię z bordowego jedwabiu – koloru, który podkreślał jej piękną cerę. Spade nie mógł przestać myśleć o kryjącym się pod tą suknią ciele, które znał tak dobrze. Uwielbiał smukłą, młodzieńczą figurę swojej żony Betsy i jej idealnie gładką skórę, a teraz uwielbiał starsze ciało Arabelli, jego łagodne krągłości, fałdki i zmarszczki, siwe pasemka w brązoworudych włosach.

Ostrzygł się na tę okazję i włożył nowy kaftan w jasnym odcieniu granatu, który zdaniem Arabelli dodawał jego oczom szczególnego blasku.

Zięć Arabelli, Kenelm Mackintosh, był jedynym mężczyzną wśród krewnych, ale jako dziekan nie mógł brać udziału w metodystycznej uroczystości, więc to Elsie prowadziła Arabelle do ołtarza. Trzymała za rękę Abe'a, ubranego w spodnie

i kaftan, które spinano razem guzikami. Ostatnio taka była moda na stroje dla małych chłopców.

Charles Midwinter wygłosił krótkie kazanie o przebaczeniu; powoływał się w nim na słowa z Ewangelii świętego Mateusza: *Nie sądzcie, abyście nie byli sądzeni**. Pastor mówił, że przebaczenie jest kluczowym elementem małżeństwa, bo skoro to właściwie niemożliwe, by między dwojgiem ludzi żyjących razem przez dłuższy czas nigdy nie doszło do zatargów i uraz, to nie wolno pozwolić, by takie sprawy się jątrzyły. Potem dodał, że to odnosi się nie tylko do małżeństwa, ale też do całego życia. Spade uznał to za wskazówkę, że teraz, kiedy on i Arabella się pobierają, ludzie powinni zapomnieć o ich grzechu.

Wciąż spoglądał na ukochaną, zamiast skupiać się na kazaniu. Kilka lat temu powiedzieli sobie, że chcą być parą na zawsze, że ich związek to zobowiązanie na całe życie, i z czasem to przekonanie tylko przybierało na sile. Był pewien miłości Arabelli i wiedział, że ona czuje to samo. Czuł się jednak dziwnie wzruszony, że cementują tę obietnicę w świątyni, w obecności przyjaciół i sąsiadów. Nie czuł obaw, żadnych wątpliwości, nie potrzebował potwierdzenia jej dozgonnego uczucia. Mimo to jego oczy wypełniły się łzami, gdy zgodziła się pojąć go za męża i być z nim, dopóki śmierć ich nie rozłączy.

Odśpiewali Psalm 23, *Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego*. Śpiewał tak fatalnie, że czasami proszono go, by robił to cicho i nie przeszkadzał innym, ale dziś nikt go nie upominał, gdy śpiewał głośno, fałszując.

Kiedy opuścili dom modlitw, wierni poszli za nimi. Wszyscy byli zaproszeni do nowego domu młodej pary. W holu wystawiono napoje i potrawy. Elsie zajęła się organizacją przyjęcia, a Spade za wszystko zapłacił. Dom, w którym stały meble wybrane przez Arabellę i Spade'a, pachniał świeżą farbą. Pan młody nic nie jadł; wszyscy chcieli z nim rozmawiać, więc nie miał na to czasu. Widział, że Arabella jest w podobnej sytuacji. Było mu miło, gdy wszyscy składali mu życzenia.

Po dwóch godzinach Elsie udało się namówić gości do wyjścia. Odłożyła wcześniej trochę jedzenia, zostawiła je na stole w salonie, z butelką wina, po czym pożegnała się z matką i jej świeżo poślubionym mężem i wyszła.

Gdy w końcu zostali sami, Spade i Arabella usiedli obok siebie na sofie, każde z talerzem i kieliszkiem. Przez otwarte okna wpadało łagodne powietrze wrześnieowego wieczoru. Siedzieli, trzymając się za ręce, podczas gdy powoli zakradał się mrok, wypełniając zakątki salonu czernią.

– Za chwilę zrobimy coś, czego nie robiliśmy nigdy dotąd: położymy się spać obok siebie i rano obudzimy się razem – powiedział Spade.

– Czy to nie cudowne? – Arabella uśmiechnęła się.

Skinął głową.

– Lepiej już chyba być nie może – odparł.

*

Amos przyszedł do dziekanii z księgą rachunkową. Prowadził księgowość szkółki niedzielnej i co trzy miesiące sprawdzał wszystko z Elsie. Naukę prowadzili ochotnicy, a jedzenie zapewniały osoby wspierające szkółkę, pieniądze były jednak potrzebne na książki i materiały piśmiennicze, a darczyńcy mieli prawo wiedzieć, jak wydawane są ich datki.

Elsie zawsze cieszyła się na spotkania z Amosem. Miał teraz trzydzieści dwa lata i był przystojniejszy niż kiedykolwiek. W marzeniach Elsie to on był jej mężem, nie Kenelm. Tym razem jednak czuła pewną nerwowość. Miała mu coś ważnego do powiedzenia. Wolałaby tego nie robić, uznała jednak, że będzie lepiej, jeśli Amos dowie się o tym od kogoś, kto go kochał.

Zaproponowała mu sherry, na co chętnie przystał. Siedzieli obok siebie przy stole w jadalni i przeglądali księgę. Elsie wyczuwała delikatną woń drewna sandałowego. Rachunki nie budziły żadnych obaw, więc będzie mogła bez trudu zbierać pieniądze potrzebne na szkółkę.

Kiedy Amos zamknął księgę, powinna była od razu przekazać mu najnowsze wieści, była jednak zbyt spięta.

– Jak sobie radzisz bez Kita? – spytała. – Był twoją prawą ręką.

– Brakuje mi go. Hamish Law jest dobrym pracownikiem, ale szukam kogoś, kto zna się na maszynach.

– Nie wyobrażam sobie, by Kit polubił wojskowe życie.

– Pułkownik Northwood jest chyba bardzo zadowolony, że ściągnął go do siebie.

– Na pewno. – Pomyślała, że nadarza się odpowiednia okazja, więc zebrała się na odwagę. – A skoro już mowa o Northwoodzie... – Z trudem zapanowała nad drżeniem głosu. – Wiesz, że Jane spodziewa się dziecka?

Amos milczał przez dłuższą chwilę.

– Dobry Boże – westchnął w końcu.

Wpatrywał się w nią, a ona próbowała wyczytać cokolwiek z jego twarzy. Zbladł. Targały nim silne emocje, choć nie wiedziała jakie. Poruszył bezgłośnie ustami, jakby próbował coś powiedzieć, ale nie był w stanie.

– W końcu – zdołał wykrztusić po chwili.

– Są małżeństwem od dziewięciu lat. – Z trudem panowała nad głosem.

Belinda Goodnight i inne plotkary twierdziły dotąd, że Jane nie może mieć dzieci; mówiły o niej „jałowa”. Teraz spekulowały, że to Northwood jest bezpłodny, a ojcem musi być jakiś inny mężczyzna. Tak naprawdę nic o tym nie wiedziały.

– Liczą na chłopca – dodała Elsie, by przerwać ciszę. – Northwood i jego ojciec na pewno chcą mieć dziedzica.

– Kiedy dziecko ma się urodzić? – spytał Amos.

– Chyba niedługo.

Amos zamyślił się.

– Może to zbliży ich do siebie – odezwał się po chwili.

– Być może – rzuciła Elsie, choć wiedziała, że Northwood i Jane rzadko spędzają czas razem.

– Ona nigdy nawet nie próbowała ukryć, że jest niezadowolona z małżeństwa – powiedział Amos.

Elsie miała wrażenie, że w ciągu kilku ostatnich miesięcy Amos nie był tak zafascynowany Jane jak kiedyś. Zastanawiała się, czy coś się zmieniło. Wyglądało jednak na to, że były to jedynie jej pobożne życzenia. Wiadomość o ciąży Jane wyraźnie go poruszyła.

Według niektórych plotek ojcem dziecka Jane był Amos.

To wydawało się Elsie zupełnie niewiarygodne.

*

Jakieś pięć mil od Kingsbridge Kit uczył na polu pięciuset rekrutów, jak ustawiać się w kwadracie.

Zwykle piechota na polu bitwy szła do ataku w szeregu. Był to dobry szyk, jeśli nie zagrażała jej kawaleria, ponieważ jeźdźcy mogli szybko objechać skrzydła szeregu i zaatakować go od tyłu. Żeby uniknąć takiej sytuacji, piechurzy powinni ustawiać się w kwadracie.

Gdyby dowódca kazał żołnierzom stojącym w szeregu zmienić szyk na kwadrat, nie nauczywszy ich wcześniej tego manewru, kręciliby się bezładnie przez pół godziny, a w tym czasie nieprzyjaciół wybiłby ich w pień. Dlatego też uczono ich standardowej procedury.

Milicjantów dzielono na osiem lub dziesięć kompanii, w których służyło po dwóch lub trzech sierżantów i tyle samo poruczników. Żołnierze stojący pośrodku szeregu nie ruszali się z miejsca, bo mieli tworzyć przednią część kwadratu. Skrzydła cofały się zgodnie z ustalonym schematem, by utworzyć boki kwadratu, a członkowie elitarnych jednostek grenadierów i lekkiej piechoty biegli na tyły, żeby sformować podstawę. Sierżanci byli wyposażeni w halabardy, którymi pomagali sobie wyrównywać szyki.

Żołnierze ustawiali się w odległości jarda od siebie, aż utworzyli szereg złożony z dwudziestu pięciu osób. Potem tworzyli drugi szereg, we wnętrzu kwadratu. Kiedy już każdy z boków miał cztery szeregi, dwa pierwsze klękały. Oficerowie i sanitariusze pozostawali w środku formacji.

Kit przez cztery godziny uczył rekrutów stawać w szeregu, potem tworzyć kwadrat, następnie wracać do szeregu i znów zmieniać szyk. Jeszcze przed południem potrafili ustawić się w kwadracie w ciągu pięciu minut.

Podczas bitwy pierwszy szereg po oddaniu salwy cofały się i przeładowywał broń.

Zgodnie z założeniami mieli strzelać, gdy od kawalerii będzie ich dzielić trzydzieści jardów. Gdyby zrobili to wcześniej, nie trafiliby do celu i musieliby przeładowywać w chwili, gdy dotarłaby do nich kawaleria i położyła ich trupem. Jeśli zrobiliby to później, ranni żołnierze wroga i ich konie wpadliby na nich i złamali szyk.

Przekonywał rekrutów, że gdy zachowają zimną krew i utrzymają zwarty szyk, uda im się odeprzeć szarżę kawalerii. Nie miał żadnego doświadczenia bitewnego, mówił więc z udawaną pewnością siebie. Kiedy wyobrażał sobie, jak stoi z boku kwadratu, zwrócony ku setkom żołnierzy, którzy dosiadają potężnych rumaków i pędzą prosto na niego, trzymając w dłoniach pistolety i ostre miecze, był przekonany, że natychmiast cisnąłby muszkiet na ziemię i rzucił się do panicznej ucieczki.

*

Chrzcziny dziecka Jane odbyły się z wielką pompą. Dzwony katedry odegrały długą, skomplikowaną melodię, którą Spade i jego dzwonnicy ćwiczyli od dłuższego czasu. Na uroczystości pojawiły się w najelegantszych i najdroższych strojach wszystkie najważniejsze osobistości hrabstwa. Słońce świeciło jasno przez witraże, nawa była pełna kwiatów. W katedrze zjawił się nawet hrabia Shiring, wysoki, choć już nieco przygarbiony, szczęśliwy, że jego ród się nie zakończy. Odmówiono modlitwy dziękczynne i odśpiewano hymny, przy których chór wspiął się na wyżyny swoich możliwości.

Amos przyglądał się uważnie wicehrabiemu Northwoodowi. Mąż Jane po trzydziestce coraz bardziej przypominał ojca: jego kręcone włosy wyraźnie się

przerzedziły, nad czołem utworzyły się zakola w kształcie litery M. Wydawał się ogromnie dumny z siebie, Amos uznał więc, że pewnie nie przyszło mu nawet do głowy, że może nie być ojcem chrzczonego właśnie dziecka.

Zresztą Amos nie wiedział do końca, jaka jest prawda. Chciał porozmawiać z Jane, ale nie miał ku temu okazji. Poza tym skąd mógł wiedzieć, czy powie mu prawdę? Być może sama jej nie znała. Powiedziała mu całkiem szczerze, że rzadko spała z mężem – ale „rzadko” nie znaczy „nigdy”. Z Amosem zrobiła to tylko raz, ale nawet ten jeden raz mógł wystarczyć. Istniała też inna możliwość: że nie był jej jedynym kochankiem.

Jakkolwiek było, miał pewność, że tamtego deszczowego wieczoru przyszła do niego, bo chciała zajść w ciążę. Kiedy dwa tygodnie później odprowadzał ją po teatrze do domu, nie wiedziała jeszcze, że jest w ciąży, i dlatego tak się wściekła, że nie przyjął jej zaproszenia. Nie chodziło o uczucia czy pożądanie; wykorzystała go, bo chciała urodzić przyszłego hrabiego.

Teraz trzymała do chrztu dziecko, owinięte w chustę z miękkiej wełny, w której wprawne oko Amosa rozpoznało kaszmir. Jak zawsze była elegancko ubrana – w płaszcz obsyty futrem i czepek związany pod brodą, pod którą lśnił podwójny sznur pereł – wyglądała jednak na wycieńczoną. Poród musiał być dla niej trudnym doświadczeniem, prawdopodobnie jak dla wszystkich kobiet, pomyślał Amos. Z pewnością jednak czuła też ogromną ulgę. Żony arystokratów, które nie urodziły dzieci, traktowano czasem tak, jakby uchylały się od swoich obowiązków. Jane uniknęła tego losu. Nikt nie mógł już powiedzieć, że jest jałowa.

Chrztu udzielał biskup Reddingcote, dumny jak paw w liturgicznych szatach, białym ornacie sięgającym kostek i długiej fioletowej stule. Potrząsał srebrnym kropidłem i na czoło niemowlęcia spadały krople święconej wody. Wydawał się bardzo zadowolony, że jest jedną z centralnych postaci tej uroczystości.

– W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego nadaję ci imię Henry – powiedział donośnym głosem.

Jakby chciał wszystkich upewnić, że to naprawdę syn Henry'ego Northwooda, pomyślał Amos z goryczą.

Po nabożeństwie wszyscy przeszli do budynku Sal Zgromadzeń na uroczyste przyjęcie wydane przez hrabiego. Zaproszono tysiąc gości, a inni mieszkańcy Kingsbridge mogli się częstować darmowym piwem, które rozlewano przy stołach ustawionych wzdłuż ulicy. Mały Henry leżał w łóżeczku dzieciennym w sali balowej i Amos po raz pierwszy mógł mu się przyjrzeć z bliska.

Przekonał się jedynie, że dziecko ma niebieskie oczy, różową skórę i okrągłą buzię, jak wszystkie niemowlaki, które dotąd widział. Chłopczyk miał na głowie czapeczkę zrobioną na drutach, więc Amos nie wiedział nawet, jakiego koloru ma włosy... jeśli w ogóle je miał. Nie przypominał Henry'ego Northwooda ani Amosa Barrowfielda, ani nikogo innego. Być może za dwadzieścia lat będzie miał kręcone włosy i duży nos, jak wicehrabia, albo pociągłą twarz i wydatny podbródek, jak Amos. Chociaż może będzie wyglądał jak jego dziadek, przystojny Charles Midwinter, a wtedy nikt nie będzie w stanie określić, kto go spłodził.

Kiedy Amos oddawał się tym rozmyślaniam, w jego duszy działo się coś całkiem innego. Miał ogromną ochotę zająć się tym bezbronnym dzieckiem. Chciał je utulić, nakarmić i ogrzać – choć maluch smacznie spał, miał pod dostatkiem jedzenia i pewnie było mu nawet zbyt ciepło pod kaszmirowym kocykiem. Emocje Amosa wydawały się zupełnie irracjonalne, ale nie były przez to wcale mniej intensywne.

Chłopczyk otworzył oczy i wydał z siebie okrzyk niezadowolenia. Natychmiast pojawiła się przy nim Jane i wzięła go na ręce. Kiedy wyszeptała mu do ucha kilka kojących słów, niemowlak ponownie zapadł w głęboki sen.

– Czyż nie jest piękny? – spytała, pochwyciwszy spojrzenie Amosa.

– Zadziwiająco piękny – odparł uprzejmie, choć nieszczerze.

– Będę go nazywała Hal. Nie mogę mieć dwóch Henrych, bo to byłoby zbyt dezorientujące.

Przez chwilę stali przy łóżeczku tylko we dwoje.

– Co do tego styczniowego wieczoru – odezwał się Amos, zniżając głos do szeptu – to zastanawiam się...

– Nie pytaj mnie o to – odparła również szeptem, ale z naciskiem.

– Ale...

– Nigdy nie zadawaj mi tego pytania. Nigdy, przenigdy. – Odwróciła się i uśmiechnęła szeroko do kobiety, która właśnie podeszła do łóżeczka. – Lady Combe, jak miło, że zechciała pani przyjechać taki kawał drogi!

Amos wyszedł z budynku i wrócił do domu.

*

Król nie ułaskawił Tommy’ego Pidgeona.

Wszystkich w Kingsbridge to zszokowało. Zakładano, że król wyda akt łaski ze względu na młody wiek sprawcy i stosunkowo niewielką wartość skradzionego przedmiotu.

Hornbeam powinien być zadowolony z takiego obrotu spraw, ale nie był. Rok temu uznał bez wahania, że mały złodziej powinien umrzeć za swój czyn, lecz teraz nie był już tego taki pewny. Od tamtego czasu wiele się zmieniło. Mieszkańcy Kingsbridge zwrócili się przeciwko niemu. Właściwie było mu obojętne, czy go lubią, czy nie, zdawał sobie jednak sprawę, że jeśli będzie postrzegany jako potwór, może to wpłynąć na jego plany. Dobrze, że ludzie się go bali, ale chciał kiedyś zostać burmistrzem Kingsbridge, a może nawet posłem do parlamentu z tego hrabstwa, a do tego potrzebował głosów.

Irytowało go to, że jego żona wyraźnie mu współczuła. Okazywała to, przygotowując jego ulubione potrawy, poklepując go czule co jakiś czas i przykazując wnukowi, by bawił się cicho. Hornbeam nie cierpiał, gdy ktoś się nad nim litował. Zrobił się szorstki wobec Linnie, ale przez to jeszcze bardziej mu współczuła.

Gdyby król uniewinnił Tommy’ego, ludzie otrząsnęliby się z emocji i sprawa poszłaby w zapomnienie. A tymczasem dziś nastąpi jej makabryczny koniec.

Wciąż uważał, że miał rację, domagając się kary śmierci – wybaczenie złodziejom, nawet jeśli kradli z głodu, prowadziło prostą drogą do anarchii – zdał sobie jednak sprawę, że zachowywał się zbyt agresywnie. Powinien był udawać, że współczuje chłopcu, i przekazać jego sprawę do sądu wyjazdowego z wyraźną niechęcią. Postanowił właśnie tak postępować w przyszłości. „Rozumiem twoje położenie i szczerze mi cię żal, ale nie mogę zmienić praw tego kraju. Naprawdę mi przykro”.

Nie był dobrym aktorem, ale musiał spróbować.

Włożył czarny płaszcz i czarny fular, co miało być oznaką szacunku. Wyszedł z domu przed śniadaniem. Obawiał się nieco agresywnych reakcji ze strony tłumu, więc kazał szeryfowi Doye’owi urządzić egzekucję wczesnym rankiem, nim najgorsi rozrabiacy w mieście podniosą się z łóżek.

Miejsce egzekucji na rynku już przygotowano; sznur i stryczek kołysały się powoli na tle zimnych kamieni katedry. Platformę, na której miał stanąć skazaniec, umocowano na zawiasach do ściany i z przodu podparto grubym dębowym kołkiem. Obok stał Morgan Ivinson z wielkim młotem w dłoni. Miał nim wybić kołek, przez co Tommy Pidgeon straci grunt pod nogami i zawisnie.

Na rynku zebrał się już tłum gapiów. Hornbeam nie podszedł do nich; zatrzymał się w pewnej odległości od szubienicy.

– Gdy tylko będzie można, zaczynajcie – powiedział do szeryfa, gdy ten do niego podszedł.

– Dobrze, panie radny – odparł Doye. – Zaraz sprowadzę go z więzienia.

Na rynek wchodzili kolejni ludzie, jakby niewidzialni heroldzi poinformowali ich, że za chwilę dojdzie do zabójstwa, albo jakby wzywały ich dzwony pogrzebowe, które słyszeli tylko oni. Po kilku minutach wrócił Doye w towarzystwie strażnika więziennego, Gila Gilmore’a. Mężczyźni prowadzili między sobą wychudłego Tommy’ego, który miał ręce związane za plecami. Chłopiec płakał.

Hornbeam rozglądał się po rynku, wypatrując jego matki, ale nigdzie jej nie dostrzegł, co go ucieszyło, bo mogła narobić kłopotów.

Doye i Gilmore skierowali Tommy'ego na schody. Chłopiec potknął się, gdy na nie wchodził, podnieśli go więc i zaciągnęli na podwyższenie. Trzymali go mocno, gdy Ivinson zakładał mu pętlę na szyję i zaciskał ją z zimnym profesjonalizmem. Potem wszyscy trzej zeszli na ziemię, a na schody wspiął się Titus Poole, pastor z parafii Świętego Jana, ten, który próbował przekonać Hornbeama, by przyznał Jenn Pidgeon zapomogę.

– Przyszedłem tu, by pomóc ci odmówić modlitwę, Tommy – zaczął Poole głośno, by słyszeli go wszyscy zebrani na rynku.

Tommy był przerażony.

– Czy ja pójdę do piekła? – spytał spanikowany.

– Nie, nie pójdziesz, jeśli tylko wierzysz w naszego Pana Jezusa Chrystusa i poprosisz go o wybaczenie twoich win.

– Wierzę! – krzyknął chłopiec. – Wierzę w niego, ale czy Bóg mi wybaczy?

– Tak, wybaczy – zapewnił go pastor. – Tak jak wybacza nam wszystkim, jeśli tylko wierzymy w jego miłosierdzie.

Poole położył dłonie na ramionach Tommy'ego i mówił coś do niego cichym głosem. Hornbeam domyślał się, że odmawiają razem Modlitwę Pańską. Po chwili pastor pobłogosławił chłopca i zszedł z podwyższenia.

Doye spojrzał na Hornbeama, a ten skinął głową.

– Zaczynaj – rzucił szeryf do Ivinsona.

Kat podniósł młot, wziął szeroki zamach i uderzył w dębowy kołek tak, że ten odleciał na bok. Platforma osunęła się i chłopiec opadł gwałtownie; pętla zacisnęła się na jego szyi.

Tłum wydał z siebie okrzyk grozy i żalu.

Tommy otworzył usta, by krzyknąć lub złapać oddech, ale nie mógł tego zrobić. Wciąż żył; sznur nie złamał mu karku, być może dlatego, że chłopiec był zbyt lekki. Zaczął się dusić; wił się rozpaczliwie, jakby to mogło go uwolnić, kołysał się

do przodu i do tyłu. Oczy wychodziły mu z orbit, twarz zrobiła się przeraźliwie czerwona. Kolejne sekundy mijały strasznie wolno.

Wielu ludzi w tłumie płakało.

Chłopiec nie zamknął oczu, ale poruszał się coraz słabiej, aż w końcu znieruchomiał. Drobne ciało zawisło bezwładnie na sznurze. W końcu Ivinson sięgnął do nadgarstka Tommy'ego. Przez chwilę sprawdzał jego puls, po czym spojrzał na Doye'a i skinął głową.

– Chłopiec nie żyje! – zawołał szeryf, odwróciwszy się do tłumu.

W tym momencie Hornbeam nabrał pewności, że nie dojdzie do zamieszek, wśród zebranych dominował bowiem smutek, a nie złość. Niektórzy zerkali ponuro w jego stronę, ale nikt się nie odzywał. Gdy po chwili zaczęli się rozchodzić, opuścił rynek.

Kiedy dotarł do domu, rodzina jadła śniadanie. Przy stole siedział też Mały Joe. Był wprawdzie trochę za młody, by jeść z dorosłymi, ale Hornbeamowi, który uwielbiał wnuka, wcale to nie przeszkadzało. Chłopczyk miał serwetkę pod brodą i jadł jajecznicę.

Hornbeam wypił kilka łyków kawy ze śmietanką. Wziął tost i posmarował go masłem, ale ugryzł tylko mały kawałek.

– Rozumiem, że już po wszystkim – odezwała się cicho Deborah.

– Tak.

– I obyło się bez kłopotów?

– Tak.

Nie mówili wprost o tym, co się stało, ze względu na chłopca, ten był jednak zbyt bystry, by dać się zwieść.

– Tommy Pidgeon został powieszony i już nie żyje – oznajmił wesołym tonem.

– Kto ci to powiedział? – spytał jego ojciec Howard.

– Rozmawiali o tym w kuchni.

– Powinni się powstrzymać przy dziecku – mruknął Hornbeam.

– Dziadku, dlaczego go powiesili? – spytał Joe.

- Nie dręcz dziadka, kiedy pije kawę – upomniał go Howard.
- Nie, niech pyta – rzucił Hornbeam. – Powinien poznać smutną rzeczywistość.
- Odwrócił się do wnuka. – Powieszono go, bo był złodziejem.

Dla chłopca nie było to wystarczające wyjaśnienie.

- Mówią, że ukradł, bo był głodny – powiedział.
- Całkiem możliwe.
- Może nie mógł się powstrzymać.
- A jaka to różnica?
- No bo jak był głodny...
- A gdyby ukradł coś innego? Co byś powiedział, gdyby zabrał twoje żołnierzyki?

Ołowiane żołnierzyki były ukochanym skarbem Joego. Miał ich ponad sto i rozpoznawał rangę każdego po mundurze. Potrafił godzinami leżeć na dywanie i prowadzić wyimaginowane bitwy. Teraz wydawał się zakłopotany.

- Dlaczego miałby kraść moje żołnierzyki? – spytał po chwili namysłu.
- Z tego samego powodu, dla którego ukradł różową wstążkę: żeby je sprzedać i kupić za te pieniądze chleb.
- To moje żołnierzyki.
- Ale on był głodny.

Joe czuł się tak rozdarty tym dylematem, że był bliski łez. Jego matka natychmiast zainterweniowała.

- Myślę, że pozwoliłbyś mi się pobawić z tobą żołnierzykami i poprosiłbyś kucharkę, żeby przyniosła mu chleba z masłem.

Chłopiec od razu się rozpogodził.

- Tak. – Pokiwał głową. – I z dżemem. Chleb z masłem i z dżemem.

Jego problem został rozwiązany, choć nikt nigdy nie potraktowałby tak Tommy'ego Pidgeona i jemu podobnych. Hornbeam zachował to jednak dla siebie. Joe miał jeszcze mnóstwo czasu, by zrozumieć, że nie wszystkie problemy życiowe da się rozwiązać za pomocą chleba, masła i dżemu.

*

Elsie wybrała się do Jenn Pidgeon, by ją pocieszyć i sprawdzić, jak się miewa. Przeszła po podwójnym moście, a potem skręciła na drogę prowadzącą do farmy Morleyów. Nim tam dotarła, spotkała Paula Morleya, który pracował właśnie na polu. Powiedział jej, że Jenn mieszka w przybudówce na tyłach szopy. Elsie znalazła to miejsce, ale nikogo tam nie było. Rozejrzawszy się po pustym pomieszczeniu, pomyślała, że nigdy jeszcze nie widziała nędzniejszego domu: całe jego wyposażenie stanowiły siennik, dwa koce, dwa kubki i dwa talerze; nie było tam nawet stołu ani krzeseł. Wyglądało na to, że Jenn znalazła się nie w złej, lecz w tragicznej sytuacji.

Pani Morley powiedziała Elsie, że jego lokatorka wyszła z domu poprzedniego wieczoru.

– Spytałam, czy dobrze się czuje, ale nie odpowiedziała – dodała.

Elsie, rozczarowana, że jej wyprawa okazała się daremna, ruszyła w drogę do miasta. Gdy zbliżała się do mostu, zobaczyła mężczyznę idącego wzdłuż rzeki, z wędką zarzuconą na ramię. Kiedy dojrzała, co niesie przed sobą na rękach, serce jej zamarło.

Kiedy podszedł bliżej, zobaczyła, że to ciało kobiety, okryte suknią, która wciąż ociekała wodą.

– Nie – jęknęła Elsie. – Nie, nie.

Głowa, ręce i nogi kobiety zwisały bezwładnie. Była nieprzytomna... lub jeszcze gorzej.

Elsie przeżyła szok, gdy zobaczyła jej otwarte oczy wpatrujące się ślepo w niebo.

– Znalazłem ją w zakolu rzeki, tam gdzie zbierają się śmieci – powiedział mężczyzna. Gdy zwrócił uwagę na bogate ubrania Elsie i zrozumiał, że może być kimś ważnym, dodał: – Chyba dobrze zrobiłem, że ją stamtąd zabrałem, prawda?

– Nie żyje?

– Tak. Jest całkiem sztywna i zimna. Chyba utopiła się wczoraj po zmroku. Ale nie wiem, kim jest.

Elsie wiedziała: to była Jenn Pidgeon. Słumiła szloch.

– Może pan ją zanieść do szpitala na Wyspie Trędowatych? – spytała.

– Jasne. Żaden problem. Biedaczka niewiele waży. Prawie nic.

*

Napoleon Bonaparte nie zaatakował Anglii.

Ruszył z armią zgromadzoną w Boulogne na wschód, do niemieckojęzycznych terytoriów środkowej Europy. Tam starł się z austriacką armią, a jesienią wygrał kolejne bitwy: pod Wertingen, Elchingen i Ulm.

Angielska marynarka wojenna wygrała jednak wielką bitwę morską u wybrzeży Hiszpanii, koło przylądka Trafalgar, co wzbudziło ogromną radość w całym kraju.

Potem, w grudniu, Francuzi pokonali austriacko-rosyjską armię pod Austerlitz.

I tak, rok po roku, ciągnęła się krwawa wojna.

* Mt 7,1.

CZEŚĆ V
Wojna światowa
1812–1815

ROZDZIAŁ 32

Drogi Spade!

Po trzynastu latach służby w armii wciąż żyję – powinni mi dać medal choćby za to! Jestem teraz w Hiszpanii, gdzie mają coś, co nazywają cygarami, czyli tytoń zawinięty w liście, wszystko się spala i nie trzeba do tego fajki. Wszyscy to palimy.

Niedawno w końcu odnieśliśmy zwycięstwo, choć drogo nas to kosztowało. Oblegaliśmy miasto o nazwie Badajoz, które ma potężne mury, a Francuzi walczyli jak diabły. W dodatku nie sprzyjała nam pogoda, więc okopywaliśmy się w ulewnym deszczu.

Potrzebowaliśmy całego tygodnia, żeby zaciągnąć armaty na pozycje. Woda ciągle podmywała drewniane drogi, które budowały nasze wojska inżynieryjne. W końcu jednak nam się udało, a potem dosłownie zasypaliśmy miasto pociskami – gdybym za każdą kulę, która tam spadła, dostał choćby funta, byłbym niewyobrażalnie bogaty. Potrzebowaliśmy prawie dwóch kolejnych tygodni, żeby zrobić wyłom w ich murach i wdrzeć się do miasta.

To była chyba najgorsza bitwa, jaką do tej pory przeżyłem, bo obrzucali nas wszystkim, co mieli: szrapnelami, granatami, bombami, a nawet belami płonącego siana. Straciliśmy tysiące ludzi, to była prawdziwa rzeź, ale w końcu zdobyliśmy miasto i urządziliśmy mieszkańcom prawdziwe piekło. Nie chcę się nad tym rozwodzić, ale następnego dnia kilkunastu żołnierzy zostało wychłostanych za gwałty.

Rano wyglądało to jeszcze gorzej: sterty trupów, okopy pełne krwi. Widziałem, jak nasz dowódca Wellington patrzył na ciała swoich żołnierzy,

plakał i ocierał oczy białą chustką.

Teraz mamy ruszyć na północ. Proszę, prosz w modlitwach Boga, by nadal mnie chronił.

Twój szwagier, Freddie Caines

*

Hrabia Shiring zmarł w lipcu 1812 roku. Dwa dni później Amos spotkał Jane przed księgarnią Kirkupa przy High Street. Była ubrana na czarno, ale aż buzowała z podniecenia.

– Tylko nie próbuj składać mi kondolencji – powiedziała. – Zbrzydło mi już pokazywanie, że jestem pogrążona w żałobie, więc mam nadzieję, że przynajmniej przy tobie nie muszę udawać. Mieszkałam z tym starym nudziarzem przez szesnaście lat... Kto mógł przypuszczać, że dożyje siedemdziesięciu pięciu! Równie dobrze mogłam wyjść za niego, a nie za jego syna.

Skończyła właśnie czterdzieści lat i wciąż była zabójczo atrakcyjna. Drobne zmarszczki w kącikach oczu i kilka srebrnych nitok we włosach tylko dodawały jej uroku. A czerń bardzo do niej pasowała. Amos nie był już w niej zakochany, co, o dziwo, wzmocniło ich przyjaźń. Jane pozwalała mu dyskretnie spędzać czas z Halem, który niedługo miał skończyć siedem lat i – jak podejrzewał Amos, choć nigdy tego nie potwierdziła – był jego synem.

Nie żałował, że jego relacje z Jane tak bardzo się zmieniły. Kiedyś darzył ją żarliwym uczuciem, nawet wiele lat po tym, jak wkroczył w wiek męski. Teraz rozumiał, że po prostu zbyt długo dorastał. Właściwie mógłby znowu się zakochać, ale od czterdziestych urodzin dzielił go już niecały rok, więc czuł się zbyt stary, by uderzać w konkury. Samotność doskwierała mu tylko nocami. Miał wielu przyjaciół, w ciągu dnia był wiecznie zajęty, ale nikt nie dzielił z nim łoża.

Jane skupiała się tylko na sobie, jak zawsze.

– W końcu uwolniłam się od teścia – oznajmiła radośnie. – I jestem hrabiną!

– Czego zawsze pragnęłaś. Gratulacje.

– Dziękuję. Muszę się zająć organizacją pogrzebu, bo Henry ma za dużo rzeczy na głowie. W końcu jest hrabią. Będzie musiał zająć miejsce w Izbie Lordów, bo zostanie przecież namiestnikiem Shiring. A Hal jest wicehrabią Northwood.

Amos do tej pory nawet o tym nie pomyślał. Chłopiec, który być może był jego synem, został właśnie wicehrabią. I za jakieś dziesięć lat będzie mógł wyjechać na studia do Oksfordu. Amos zawsze żałował, że nie było mu dane studiować, i miał nadzieję, że doczeka się syna, który spełni to marzenie. Wyglądało na to, że wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu tak się stanie.

Przyszło mu jednak do głowy, że być może Hal zechce pójść w ślady ojca – czy raczej człowieka, którego będzie uważał za ojca – i zostanie żołnierzem. Ta perspektywa była przerażająca. Na samą myśl, że Hal mógłby zginąć od miecza lub kuli armatniej, Amosowi robiło się niedobrze.

W momencie kiedy o tym myślał, chłopiec wyszedł ze sklepu z książką w ręce. Amos uświadomił sobie, jak mocno bije mu serce. Musiał ukryć przypływ tych emocji.

Na razie wygląd Hala nie zdradzał w żaden sposób, kto może być jego ojcem: miał ciemne włosy i słodką buzię jak matka. Amos zakładał, że chłopiec zmieni się w okresie dorastania i wtedy on być może pozna prawdę.

Tuż za Halem z księgarni wyszedł jej właściciel, Julian Kirkup, krągły łysy mężczyzna, zachwycony, że ma arystokratycznego klienta.

– Co kupiłeś, Hal? – spytał Amos, siląc się na swobodny ton.

– *Opowieść o Sandfordzie i Mertonie*. To historia dwóch chłopców.

– Doskonała lektura dla młodego lorda Northwooda, jeśli wolno mi tak powiedzieć – wtrącił Kirkup. – Dzień dobry, lady Shiring, dzień dobry, panie radny Barrowfield.

Amos został radnym kilka lat wcześniej, na fali poparcia dla liberalnej tolerancji, dzięki której w radzie miasta znalazł się wreszcie również Spade.

– Nie mam pieniędzy, ale pan Kirkup powiedział, że może to dopisać do twojego rachunku, mam – oznajmił Hal.

– Tak, kochanie, oczywiście – zgodziła się Jane. – O czym jest ta książka?

– Thomas Merton to rozpieszczony młodzieniec, z którym zaprzyjaźnia się prosty i uczciwy Harry Sandford – odparł Kirkup. – Bardzo pouczająca historia i bardzo popularna.

Amos pomyślał, że brzmi to nieco świętoszkowato, ale zachował to spostrzeżenie dla siebie.

– Dziękuję, panie Kirkup – rzuciła lekceważąco Jane.

Księgarz uklonił się nisko i wrócił do sklepu.

– Przykro mi, że straciłeś dziadka – zwrócił się Amos do Hala.

– Był bardzo miły – powiedział chłopiec. – Dużo mi czytał, ale teraz czytam już sam.

Amos przypomniał sobie śmierć dziadków i z zakłopotaniem pomyślał, że nie odczuwał wtedy jakichś szczególnych emocji. Wydawali mu się tak starzy i odlegli, jakby i tak już nie żyli, i nie rozumiał wówczas cierpienia rodziców. Zareagował na odejście dziadków podobnie jak Hal, żalem, któremu jednak daleko było do prawdziwego smutku.

– Rozumiem, że nabożeństwo pogrzebowe odbędzie się w katedrze, tak? – spytał Jane.

– Tak. Mój teść zostanie pochowany w Earlscastle w rodzinnym grobowcu, ale mszę odprawią w Kingsbridge. Mam nadzieję, że przyjdiesz.

– Oczywiście.

Gdy się pożegnali, Amos ruszył w stronę domu i po chwili zobaczył Elsie, ubraną w jasnożółtą suknię. Rozmawiali o śmierci hrabiego, była to bowiem najnowsza i najważniejsza wieść w Kingsbridge.

– Skoro Henry jest teraz hrabią, Kingsbridge będzie musiało wybrać nowego posła – zauważyła Elsie.

– Nie pomyślałem o tym – przyznał Amos. – Być może trzeba będzie zorganizować wybory uzupełniające, choć ostatnio mówi się dużo o wyborach powszechnych.

Premier Spencer Perceval zginął w zamachu, zastrzelony, gdy wchodził do Izby Gmin, przez człowieka, który obarczał go winą za swoją trudną sytuację finansową. Nowym premierem został hrabia Liverpoolu, który być może chciałby wzmocnić swoją pozycję, zdobywając poparcie wyborców.

– Hal Northwood jest oczywiście zbyt młody – powiedziała Elsie.

– Na pewno Hornbeam będzie chciał zostać posłem.

– On zawsze chce wszystkiego. – Prychnęła z pogardą. – Jest nadzorcą biednych, przewodniczącym sędziów i radnym. Gdyby istniała funkcja nadzorca gnoju, też by się o nią ubiegał.

– Lubi mieć władzę.

Elsie wskazała palcem na Amosa.

– Ty. Ty powinienes być naszym posłem.

– Dlaczego ja? – spytał zdumiony.

– Bo jesteś bystry i obiektywny, o czym wiedzą wszyscy w mieście. – W jej głosie słyhać było szczerzy entuzjazm. – Byłbyś świetnym przedstawicielem Kingsbridge.

– Nie mam na to czasu.

– Mógłbyś przekazać komuś zarządzanie zakładami na czas, kiedy przebywałbyś w Londynie.

Amos uświadomił sobie, że nie jest to pomysł, który nagle przyszedł jej do głowy, lecz dobrze przemyślana propozycja. Zamyślił się na chwilę i pociągnął za czubek nosa.

– Hamish Law mógłby się tym zająć – odezwał się w końcu. – Zna interes od podszewki.

– Właśnie!

– Myślisz, że naprawdę mógłbym wygrać wybory?

– Głosowaliby na ciebie wszyscy metodyści.

– Ale większość wyborców to anglikanie.

– Nikt nie lubi Hornbeama.

– Ale wszyscy się go boją.

– Co za okropna perspektywa! Mieć posła, którego nikt nie chce, tylko dlatego, że się go boimy.

– Nie tak to powinno wyglądać – przyznał Amos.

– Proszę, pomyśl o kandydowaniu.

Elsie była bardzo przekonująca.

– Dobrze – zgodził się.

– Może doprowadziłybyś do zawarcia pokoju.

– Z pewnością bym próbował.

Byli w stanie wojny z Francją Bonapartego od dwudziestu lat i nic nie wskazywało na to, by miało się to zmienić. Co więcej, konflikt rozprzestrzenił się na inne kraje.

Wielka Brytania rozjuszyła nową amerykańską republikę, przejmując jej okręty i siłą wcielając służących na nich marynarzy do Królewskiej Marynarki Wojennej – była to nowa odmiana działalności gangów werbowniczych – więc Stany Zjednoczone wypowiedziały wojnę Wielkiej Brytanii i najechały na Kanadę.

Francuska armia zajęła Hiszpanię i Bonaparte osadził na tamtejszym tronie swojego brata Józefa. Hiszpańscy powstańcy walczyli z najeźdźcami, wspierani przez brytyjskie wojska, do których należał Sto Siódmy Pułk Piechoty z Kingsbridge. Głównodowodzący tych sił, hrabia Wellington, uchodził za bardzo dobrego stratega, ale na razie poczynił niewielkie postępy.

A teraz Bonaparte zaatakował Rosję.

Nieustająca wojna pogłębiała zapaść w światowym handlu i napędzała szalejącą inflację. Obywatele Wielkiej Brytanii stawali się coraz biedniejsi i głodniejsi, podczas gdy ich synowie umierali w odległych miejscach.

– Musi być jakiś sposób – powiedziała Elsie. – Przecież wojna nie jest nieunikniona!

Amos lubił, gdy unosila się gniewem, rozprawiając o takich kwestiach. Jakże kontrastowało to z zachowaniem Jane, którą interesowały wyłącznie jej własne

sprawy.

– Członek parlamentu – odezwał się zamyślony. – Będę musiał się nad tym zastanowić.

Elsie obdarzyła go promiennym uśmiechem.

– Zastanów się dobrze – odparła, zanim się pożegnali.

Amos przeszedł przez most do dzielnicy przemysłowej na południowym brzegu rzeki. Miał teraz trzy zakłady. W jednym z nich, Nowym Zakładzie Włókienniczym Barrowfielda, Kit Clitheroe instalował właśnie zamówiony przez Amosa silnik parowy.

Kit odsłużył pięć lat w milicji i zakończył karierę wojskową w stopniu majora. Potem założył z Rogerem Riddickiem planowaną już od dawna firmę. Roger projektował maszyny, a Kit je budował. Mimo wojennego zastoju radzili sobie całkiem nieźle.

Amos wciąż myślał o Kicie jak o dziecku, choć jego dawny zarządca miał już dwadzieścia siedem lat, był zamożnym człowiekiem i niezwykle utalentowanym mechanikiem. Może Amos widział go tak dlatego, że Kit wciąż był kawalerem i nie przejawiał zainteresowania dziewczynami, nie wspominając już o chęci ożenku. Amos zastanawiał się nieraz, czy chłopak nie podkochuje się w kimś skrycie, jak on niegdyś w Jane.

Kingsbridge przestawiało się na zasilanie parowe. Energia czerpana z rzeki była oczywiście tańsza, ale też bardziej zawodna. Czasami nurt był silny, czasami słaby. Po suchym lecie poziom wody znacznie opadał, koła młyńskie kręciły się ospale i wszyscy czekali na jesienne deszcze. Węgiel kosztował, lecz nigdy go nie brakowało.

Nowy silnik parowy zainstalowano w specjalnie do tego przeznaczonym pomieszczeniu, by ograniczyć szkody w razie eksplozji, co czasami się zdarzało, gdy zawiódł zawór bezpieczeństwa. Pomieszczenie było dobrze wentylowane i wyposażone w komin, którym odprowadzano spaliny. Kocioł znajdował się na mocnym dębowym cokole, a wodę do niego pompowano z rzeki i filtrowano.

– Kiedy będziesz mógł podłączyć maszyny? – spytał Amos.

– Pojutrze – odparł Kit. Zawsze był konkretny i pewny siebie.

Amos zajął się dwoma pozostałymi zakładami, by upewnić się, że zdąży wyprodukować zamówione tkaniny w terminach, które uzgodnił z klientami. Pod koniec popołudnia poszedł do biura i zabrał się do pisania listów. Maszyny zatrzymały się o siódmej wieczorem i wtedy wrócił do domu.

Usiadł do kolacji, którą gospodyni zostawiła mu na stole w kuchni. Chwilę później rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi.

Poszedł otworzyć i zobaczył w progu Jane.

– To już się kiedyś zdarzyło – powiedział.

– Ale dziś nie pada, a ja nie mam ochoty na amory – odparła. – Jestem wściekła. Jestem tak zła, że nie mogłam zostać w domu z mężem. – Nie czekając na zaproszenie, weszła do środka.

Amos zamknął za nią drzwi.

– Co się stało? – spytał.

– Henry wyjeżdża do Hiszpanii! Właśnie teraz, kiedy mogłabym wreszcie rozpocząć życie hrabiny!

Amos domyślił się, skąd ten pomysł.

– Chce dołączyć do pułku piechoty z Kingsbridge, tak?

– Tak. Podobno to rodzinna tradycja. Kiedy stary hrabia przejął tytuł, przez trzy lata służył w Sto Siódmym Pułku Piechoty. Henry twierdzi, że od niego oczekuje się tego samego, zwłaszcza teraz, gdy trwa wojna.

– To jedno z nielicznych poświęceń, na jakie zdobywa się angielska arystokracja, by usprawiedliwić swoje życie w beczynności i luksusie.

– Mówisz jak rewolucjonista.

– Metodyści są rewolucjonistami, którzy nie chcą ucinąć nikomu głowy.

– Och, nie bądź taki przemądrzały – mruknęła Jane i opuściła bezradnie głowę.

– Co ja mam zrobić?

– Wejdz i zjedz ze mną kolację.

– Nie mogłabym nic przełknąć, ale posiedzę z tobą.

Przeszli do kuchni. Amos nalał Jane wina. Pociągnęła łyk.

– Ha! to ładne dziecko – powiedział.

– Jest śliczny.

– Za kilka lat zaczniesz przypominać swojego ojca... ktokolwiek nim jest.

– Och, Amos... to twoje dziecko.

Był zaskoczony. Nigdy dotąd tego nie przyznała.

– Nie masz żadnych wątpliwości? – spytał.

– Widziałeś, jak wyszedł z księgarni! Henry nigdy w życiu nie kupił powieści.

Czyta tylko książki o wojskowości i historii.

– To niczego nie dowodzi.

– Ja też nie mogę niczego dowieść. Po prostu codziennie widzę w nim ciebie.

Amos zastanawiał się nad tym przez chwilę. Był skłonny jej zaufać.

– Może kiedy Henry wyjedzie do Hiszpanii, będę mógł widywać się częściej z Halem? – powiedział. – Ale pewnie będziesz mieszkać w Earlscastle.

– Sama? Nie, dziękuję. Poproszę Henry'ego, żeby zachował Dom Willarda. Będę tam miała mieszkanie, a milicja będzie korzystać z reszty budynku. Powiem mu, że naród tego potrzebuje. Zrobi wszystko, jeśli tylko uzna to za patriotyczny obowiązek.

– Jesteś pewna, że nie chcesz kawałka mięsa w cieście? Jest naprawdę dobre.

– Może kawałeczek.

– Poczujesz się lepiej, gdy coś zjesz.

Wzięła talerz, który jej podał, postawiła go na stole, ale zamiast jeść, wpatrywała się w Amosa.

– Co? – spytał niepewnie.

– Nic. Po prostu jesteś troskliwy i lojalny jak zawsze. Powinnam była wyjść za ciebie.

– Powinnaś. – Amos pokiwał głową. – Ale teraz jest już za późno.

*

Elsie zdawała sobie sprawę, że ma ogromne szczęście. Wciąż żyła, choć urodziła już pięcioro dzieci; ostatnie z nich, Georgie, przyszło na świat w 1806 roku. Wiele kobiet umierało przy porodzie i niewiele z tych, które wydały na świat kilkoro potomstwa, pozostawało w dobrej kondycji. Co jeszcze bardziej niezwykle, wszystkie jej dzieci cieszyły się doskonałym zdrowiem. Ostatni poród różnił się jednak od wcześniejszych; był wyjątkowo długi i mocno krwawiła. Kiedy w końcu doszła do siebie, stanowczo oświadczyła Kenelmowi, że na tym koniec. Przyjął to bez protestu. Pożycie małżeńskie nigdy nie było dla niego priorytetem, więc zrezygnował z niego bez większego żalu. Teraz, sześć lat później, Elsie wyczuwała w swoim ciele zmiany i przypuszczała, że wkrótce i tak nie będzie już mogła zająć w ciążę.

Ona i mąż tak naprawdę nigdy nie byli sobie bliscy. Kenelm nie umiał obchodzić się z dziećmi, więc właściwie nie brał udziału w ich wychowaniu. I rzadko odwiedzał jej szkółkę niedzielną. Nie był leniwy; jako dziekan wykonywał swoje obowiązki sumiennie i energicznie. Po prostu niewiele ich łączyło. Prawdziwym partnerem Elsie był Amos, oddany idei szkółki niedzielnej i łatwo nawiązujący kontakty z uczniami, choć nie miał potomstwa.

Cała piątka dzieci zeszła do jadalni dziekani na śniadanie. Kenelm wolałby pewnie, żeby młodsze jadły w pokoju dziecinnym, ale Elsie uważała, że wszystkie są już wystarczająco duże – Georgie miała sześć lat – a poza tym był to jedyny sposób, by nauczyć ich właściwego zachowania przy stole. Stephen, najstarszy, miał piętnaście lat i uczęszczał do gimnazjum w Kingsbridge.

Kenelm czasami traktował te wspólne posiłki jako okazję do sprawdzenia wiedzy religijnej dzieci i tym razem spytał je, która z postaci biblijnych nie miała ojca ani matki. Poprosił, by odpowiadały według wieku, zaczynając od najmłodszego.

– Jezus – powiedziała Georgie.

– Nie. – Ojciec pokręcił głową. – Jezus miał matkę Marię i ojca Józefa.

Elsie zastanawiała się, czy mąż nie będzie musiał głowić się nad odpowiedzią na pytanie, jak Józef mógł być ojcem Jezusa, skoro matka była dziewicą. Starsze dzieci mogły mieć pewne wątpliwości. Kenelm uniknął jednak tego problemu.

– Martho, znasz odpowiedź na to pytanie? – zwrócił się do drugiej córki.

Martha, o rok starsza od Georgie, miała lepszą odpowiedź:

– Bóg.

– To prawda, Bóg nie ma rodziców, ale ja myślę o kimś innym, o człowieku.

– Ja wiem, ja wiem! – wyrywał się dziesięcioletni Richie. – Adam!

– Bardzo dobrze. Ale jest jeszcze jedna postać.

Billy, następny w kolejce, zwiesił głowę i oznajmił ponuro:

– Nie wiem.

Kenelm spojrzał na najstarszego syna Stephena, buntowniczego nastolatka.

– To podchwytliwe pytanie – rzucił chłopak.

– Doprawdy? – spytał Kenelm z udawanym zdziwieniem. – Dlaczego?

– Odpowiedź brzmi: Jozue, bo był synem Nuna, a to imię po angielsku brzmi tak jak słowo „nikt”, więc można powiedzieć, że był synem nikogo.

Billy był oburzony.

– To nie fair, tato! Oszukiwałeś!

Elsie parsknęła śmiechem.

– Billy ma rację, to nie było całkiem fair – powiedziała. – Myślę, że wszystkie dzieci świetnie sobie poradziły. Każde dostanie po sześciopensówce na słodycze.

Gdy Mason przyniosła pocztę, Kenelm skupił się na przeglądaniu korespondencji. Dzieci skończyły jeść i wyszły. Elsie miała właśnie wstać, kiedy mąż podniósł wzrok znad listu, wyraźnie poruszony.

– Och! – jęknął.

– Co się stało? – spytała Elsie.

– Zmarł biskup Melchesteru.

– Był chyba dość młody, prawda?

– Miał pięćdziesiąt lat. Nikt się tego nie spodziewał.

– Szkoda.

– Więc arcybiskup będzie szukał kogoś na jego miejsce.

Kenelm był podekscytowany, ale Elsie czuła irytację.

– Wiem, o czym myślisz – rzuciła.

– To wielka szansa, na którą czekałem. Nie jest to duża czy szczególnie ważna diecezja, więc biskupem mógłby zostać stosunkowo młody człowiek. Mam czterdzieści lat, od ośmiu lat jestem dziekanem Kingsbridge, studiowałem w Okfordzie... Jestem idealnym kandydatem na biskupa Melchesteru.

– Nie jesteś tu szczęśliwy? – spytała Elsie ponurym tonem.

– Oczywiście, że jestem, ale to za mało. Moim przeznaczeniem jest biskupstwo. Zawsze o tym wiedziałem.

Tak było, ale wielu ludzi z wiekiem ogranicza swoje ambicje.

– Nie chcę przeprowadzać się do Melchesteru – oświadczyła Elsie. – To sto mil stąd.

– Będziesz musiała – odparł Kenelm beztrósco. – Dla biskupstwa.

Miał rację. Kobiety musiały podążać za mężami. Żony miały mniej wolności niż służące.

– Jesteś bardzo pewny siebie – zauważyła. – Przecież nie wiesz, jaką decyzję podejmie arcybiskup.

– Wkrótce się dowiem. Augustus Tattersall objeżdża właśnie diecezję i w przyszłym tygodniu będzie w Kingsbridge. – Tattersall był prawą ręką arcybiskupa.

– Zatrzyma się w pałacu biskupim – powiedziała Elsie.

– Oczywiście. Ale zaproszę go do nas na kolację.

– Dobrze.

Wyraźnie z siebie zadowolony Kenelm złożył serwetkę.

– Wkrótce dowiem się wszystkiego, co powinienem wiedzieć.

*

Trzy lata wcześniej, gdy Kit służył jeszcze w milicji, Roger odwiedził go pewnego poniedziałkowego wieczoru i zjadł z nim kolację. Jarge wyszedł wtedy na ćwiczenia dzwonników, Sal była u Bella, a Sue wybrała się na spacer z chłopcem, który się jej podobał, Bazem Hudsonem.

We dwóch siedzieli w kuchni przy ogniu; Roger palił fajkę. Kit czuł się dziwnie z nim sam na sam, choć nie wiedział dlaczego. Powinien być zadowolony: lubił Rogera. Milczeli przez parę minut. W końcu Roger odłożył fajkę i powiedział:

– To nic złego, wiesz?

– O czym ty mówisz? – spytał Kit, patrząc na niego ze zdumieniem.

– O tym, jak się teraz czujesz.

Kit zaczerwienił się. Ukrywał swoje uczucia, bo się wstydził. Skąd Roger mógł wiedzieć, co dzieje się w jego sercu? To niemożliwe.

– Uwierz mi, wiem doskonale, co czujesz – dodał Roger, jakby czytał mu w myślach.

– Skąd możesz wiedzieć, co czuje człowiek, jeśli sam ci o tym nie powie?

– Sam przez to przechodziłem... przez wszystko, co teraz spotyka ciebie. I chcę, byś zrozumiał, że to nic złego.

Kit nie miał pojęcia, jak zareagować.

– Powinieneś to powiedzieć – zwrócił się do niego łagodnie Roger. – Wyznać, co czujesz. Obiecuję ci, że wtedy wszystko będzie piękniejsze.

– Kocham cię – wyrwało się Kitowi, choć nie zamierzał tego mówić.

– Wiem. Ja też cię kocham – odparł Roger i go pocałował.

Wkrótce potem Kit mógł już odejść z milicji, założyli więc firmę. Wynajęli w Kingsbridge dom z warsztatem na parterze i mieszkaniem na piętrze i co noc spali razem.

To Kit stał się odpowiedzialnym dorosłym w tym związku. Zajmował się pieniędzmi, zresztą Roger już na początku postawił taki warunek, wiedział

bowiem, że wyda na hazard wszystko, co zarobi. Kit przyjmował płatności, opłacał rachunki i dzielił zyski na pół. Jego pieniądze wpływały na konto w banku Kingsbridge i Shiring. Połowa Rogera trafiała wcześniej czy później do Sporta Cullivera. Kit zażądał od Rogera obietnicy, że nigdy nie będzie pożyczzał pieniędzy, ale wcale nie był pewien, czy ten jej dotrzymuje. Roger był geniuszem – miał ogromną wyobraźnię i talent konstruktorski – ale był uzależniony od hazardu. Kit opiekował się nim i chronił go. Tak jak Roger opiekował się nim kiedyś w Badfordzie.

W niedzielę Roger chodził do Cullivera, by grać w karty, a Kit odwiedzał matkę. Spotykał się z rodziną w metodystycznym domu modlitw i po nabożeństwie szedł z nimi do domu, który kupił im jakiś czas temu. Sal miała czterdzieści pięć lat, a Jarge czterdzieści trzy i oboje wciąż pracowali, Sal w zakładzie Amosa, a Jarge u Hornbeama. Kit przed każdą zimą kupował im zapas węgla, a w soboty wysyłał pieczeń na niedzielny obiad. Nie pragnęli luksusów.

– Nie chcemy żyć jak bogacze, bo nimi nie jesteśmy – powiedziała kiedyś Sal.

Kit pilnował jednak, by nigdy niczego im nie brakowało.

Sue wyszła za Baza Hudsona, dobrego cieślę, któremu właściwie nigdy nie brakowało pracy. Nie był metodystą, więc on i Sue chodzili na msze do kościoła Świętego Łukasza, ale potem zjawiali się na rodzinnym obiedzie.

Sal podała piwo. Kit wolał wino, ale nigdy nie prosił o nie matki, bo wiedział, że ojczym wypiłby wtedy za dużo. Nawet gdy Jarge był trzeźwy, zachowywał się prowokacyjnie.

– Myślę, że Rosjanie wyszliby na tym całkiem nieźle, gdyby podbiła ich armia Napoleona – powiedział, choć wiedział, że Baz jest konserwatystą i patriotą.

– To zaskakujący punkt widzenia – skomentował to spokojnie Kit. – Dlaczego tak uważasz?

– Rosjanie są niewolnikami, prawda?

– Raczej chłopami pańszczyźnianymi.

– A jaka to różnica?

– Pracują na własnej ziemi.

– Ale są własnością kniaziów, prawda?

– No tak – musiał przyznać Kit.

– No widzisz.

– Przecież to właśnie Bonaparte przywrócił niewolnictwo w imperium francuskim, prawda? – wtrącił się Baz.

– Nie – zaprzeczył Jarge. – Rewolucja zniosła niewolnictwo.

– Owszem. Ale Bonaparte je przywrócił.

– Baz ma rację, Jarge – powiedział Kit. – Francuzi obawiali się, że stracą zamorskie terytoria w Indiach Zachodnich, więc Bonaparte przywrócił niewolnictwo.

– I tak uważam, że Rosjanom żyłoby się lepiej pod rządami Bonapartego niż ich carów – upierał się zirytowany Jarge.

– Raczej się tego nie dowiemy – rzucił Baz. – Podobno Francuzom kiepsko idzie w Rosji. Ich żołnierze umierają z głodu i chorób, a według gazet nie stoczyli jeszcze żadnej większej bitwy.

– Nie za bardzo zwracam uwagę na to, co piszą w gazetach – burknął Jarge. Nie lubił, gdy ktoś wytykał mu niewiedzę.

– Pyszna wołowina – zwróciła się do syna Sal. – Dziękuję. Zrobiłam dobry deser z porzeczkami.

– Uwielbiam porzeczki – powiedział Baz.

Atmosfera wyraźnie się poprawiła, gdy Sal podała deser.

– Jak interesy, Kit? – spytał Baz.

– Dziękuję, nieźle. Ta dębowa podstawa pod kocioł dla Amosa jest bardzo wytrzymała.

– Powinna wytrzymać dłużej niż sam kocioł.

– Nie wiem, dlaczego wy dwaj wytwarzacie maszyny, które zabierają ludziom pracę – odezwał się Jarge, który sięgnął po łyżkę, ale nie jadł. – Gdzie w tym sens?

– Przykro mi, Jarge, ale czasy się zmieniają – odparł Kit. – Jeśli nie będziemy korzystać z nowych wynalazków, zostaniemy z tyłu.

– Więc ja jestem kimś, kto został z tyłu, tak?

Sal położyła dłoń na ramieniu męża w uspokajającym geście.

– Zjedz deser – poprosiła go.

– Wiecie, co robią na północy luddyci? – spytał Jarge, ignorując ją. Wszyscy słyszeli o luddystach; podobno przewodził im niejaki Ned Ludd, choć było to prawdopodobnie fałszywe nazwisko, zresztą nie wiadomo, czy taki człowiek w ogóle istniał. – Rozbijają maszyny!

– To głównie tkacze, zdaje się – powiedział Kit.

– To ludzie, którzy nie tolerują złego traktowania ze strony właścicieli – odparł gniewnie Jarge.

– Mam nadzieję, że nie chcesz, by w Kingsbridge też dochodziło do niszczenia maszyn – mruknęła Sal.

– Mówię tylko, że nie można mieć pretensji do ludzi, którzy unoszą się gniewem, gdy są poniewierani.

– My możemy nie mieć do nich pretensji, ale władze mają. Nie chciałbyś chyba, żeby wywieziono cię do Australii.

– Wolałbym raczej spędzić czternaście lat w Australii, niż pozwolić, żeby bogacze mnie wykorzystywali.

– Nie masz pojęcia, jak tam jest. – Sal zezłościła się. – Poza tym dlaczego uważasz, że byłoby to tylko czternaście lat?

– Tyle dostała moja siostra.

– Tak, ale wyjechała siedemnaście lat temu i nie wróciła. Mało komu się to udaje.

– Poza tym zmienili prawo – wtrącił Kit. – Teraz za niszczenie maszyn grozi kara śmierci.

– Od kiedy? – spytał Jarge.

– Parlament uchwalił tę ustawę w lutym albo w marcu.

– Próbują złamać w nas ducha. Najpierw ustawa o zdradzie i wywrotowych zebraniach, potem ustawa o stowarzyszeniach, a teraz to. Każdemu, kto próbuje bronić praw robotników, grozi stryczek. Zamieniamy się w stłamszony naród. – Zamilkł na moment, wyraźnie poruszony, po czym dodał: – Nic dziwnego, że nie możemy pokonać Francuzów.

*

Kiedy Augustus Tattersall przyszedł na obiad do dziekani, ze szczerym zainteresowaniem wypytywał Elsie o szkółkę niedzielną, co było naprawdę miłe i pochlebiało jej. Jadł ze smakiem, ale pił niewiele wina. Kenelma zirytowały te nieistotne pogaduszki i wkrótce stracił cierpliwość.

– Chciałbym pana spytać, archidiakonie, o wakujące biskupstwo Melchesteru – powiedział, gdy podano owoce i orzechy.

– Ależ proszę.

– Jestem bardzo ciekawy, jakiego człowieka poszukuje na to stanowisko arcybiskup.

– Chętnie zaspokoję pana ciekawość, dziekanie – odparł Tattersall spokojnym, wyważonym tonem. – Zakładam, że uważa pan siebie za kandydata... nie bez powodu... więc muszę panu od razu powiedzieć, że nie został pan wybrany.

Elsie pomyślała, że przechodząc od razu do rzeczy, Tattersall oszczędził jej mężowi niepewności, lecz Kenelm nie potrafił ukryć rozczarowania. Zrobił się czerwony na twarzy; przez chwilę Elsie obawiała się, że wybuchnie płaczem, w końcu jednak górę wziął gniew. Położył dłonie zaciśnięte w pięści na białym obrusie.

– Uważa pan, że jestem dobrym kandydatem, a jednak... – Z trudem wydobywał głos z gardła. – A jednak mówi pan, że biskupem zostanie ktoś inny.

– Tak.

– Kto? – rzucił Kenelm, uświadomił sobie jednak, że zachował się nieuprzejmie, i pospiesznie dodał: – Jeśli wolno spytać, oczywiście.

– Jak najbardziej. Arcybiskup wybrał Horace’a Tomlina.

– Tomlina? Znam go! Był w Oksfordzie, zaczął studia dwa lata później niż ja. Nie słyszałem, by od tego czasu zrobił jakąś wyjątkową karierę. Proszę mi powiedzieć szczerze, panie archidiakonie: czy zostanie biskupem dlatego, że jestem Szkotem?

– Ależ skąd! Mogę pana zapewnić, że to nie ma znaczenia.

– Więc dlaczego?

– Tomlin spędził ostatnie pięć lat jako kapelan w pułku dragonów i zrezygnował tylko ze względu na chorobę, której nabawił się w Hiszpanii.

– Kapelan?

– Wiem, o czym pan myśli. Śmietanka duchowieństwa rzadko służy w wojsku.

– Właśnie.

– W pewnym sensie o to właśnie chodzi. Arcybiskup ma bardzo zdecydowane poglądy na tę wojnę. Uważa, że walczymy z ateistycznymi ideami i choć Bonaparte wycofał część najbardziej antychrześcijańskich ustaw przyjętych przez rewolucjonistów, nie oddał majątku skradzionego francuskiemu Kościołowi. Zdaniem arcybiskupa oznacza to, że nasze duchowieństwo powinno brać udział w tej walce. Żołnierze na linii frontu, którzy mogą w każdej chwili zginąć, szczególnie potrzebują opieki duchowej. Najlepsi kapłani nie powinni siedzieć w domu, w wygodnych fotelach, lecz być, gdzie są najbardziej potrzebni. Właśnie taką służbę arcybiskup wynagradza teraz najchętniej.

Kenelm długo milczał. Elsie czuła, że nie powinna zabierać głosu.

– Pozwoli pan, archidiakonie, że się upewnię, czy dobrze pana zrozumiałem – odezwał się w końcu jej mąż.

– Proszę mówić, śmiało – odparł Tattersall, uśmiechając się zachęcająco.

– Uważa pan, że zasługuję na biskupstwo.

– Owszem. Jest pan inteligentny, uczciwy i pracowity. Sprawdziłby się pan w każdej diecezji.

– Ale wie pan, że w obecnej sytuacji arcybiskup zawsze będzie stawiał na człowieka, który służył jako kapelan.

– Owszem.

– Więc mogę być pewny, że uda mi się spełnić moje marzenia tylko wtedy, kiedy zostanę kapelanem.

– Tak, to jedyny pewny sposób.

Kenelm sięgnął po kielich z winem i opróżnił go. Wyglądał jak człowiek, którego wkrótce czeka egzekucja.

O nie, pomyślała Elsie.

– W takim razie jutro rano zgłoszę się do Sto Siódmego Pułku Piechoty – oznajmił jej mąż.

ROZDZIAŁ 33

Pastor Midwinter powiedział, że ogłosi udział Amosa w wyborach na posła w niedzielę po nabożeństwie. Amos denerwował się przez całą mszę. Nie miał pojęcia, jakie uzyska poparcie. Elsie mówiła, że ludzie go znają i lubią, ale czy naprawdę chcieli, by reprezentował ich w parlamencie?

Trzeci metodystyczny dom modlitw w Kingsbridge był największy spośród wszystkich, które wybudowano do tej pory – niektórzy uważali wręcz, że jest za duży. Mówili, że ludzie powinni podziwiać dzieła Boga, a nie konstrukcje wzniesione ludzką ręką. Inni jednak twierdzili, że metodyzm powinien nie tylko dobrze wpływać na wiernych, ale też dobrze wyglądać.

Amos nie brał udziału w tym sporze. Miał na głowie ważniejsze sprawy.

– Wiecie zapewne, że rozwiązano parlament i ogłoszono nowe wybory – zaczął Midwinter.

On również budził podziw. Miał sześćdziesiąt siedem lat, lecz czas był dla niego łaskawy i pastor wyglądał jeszcze bardziej dystyngowanie. Jego włosy i broda były śnieżnobiałe, ale równie gęste jak zawsze. Młode dziewczęta postrzegały go jako ojcowski autorytet, ale kobiety w średnim wieku często się czerwieniły i jękały, gdy przemawiał do nich aksamitnym głosem.

– Z wielką radością spieszę was poinformować, że jeden z nas postanowił kandydować do Izby Gmin. – Midwinter zrobił pauzę, by zwiększyć napięcie, po czym oznajmił: – Amos Barrowfield.

Ludzie nie klaskali w kościołach, nawet w metodystycznych domach modlitw; wyrażali aprobatę, mówiąc „Amen” lub „Bogu niech będą dzięki”. Kilkanaście osób spojrzało na Amosa, unosząc ręce w geście poparcia. To był dobry znak.

– Czas już – mówił dalej pastor – żeby nasz ruch miał większy wpływ na to, jak rządzony jest nasz kraj. Zgodziłem się mianować Amosa i myślę, że spotka się to z waszą aprobatą.

W sali rozległ się chór „Amen”.

– Ci, którzy chcieliby mu pomóc w kampanii wyborczej, niech zostaną tu po mszy na spotkaniu organizacyjnym.

Amos był ciekaw, ile osób zostanie.

Po nabożeństwie wierni zwykle nie rozchodzili się od razu; witali się, gawędzili i wymieniali się wieściami. Dziś mniej więcej po trzydziestu minutach połowa wyszła, a pozostali usiedli i spoglądali wyczekująco na Amosa.

Midwinter poprosił o ciszę, po czym oddał mu głos.

Amos nigdy dotąd nie wygłaszał przemówienia.

Elsie powiedziała mu, by zachowywał się jak w szkółce niedzielnej, gdy zwracał się do uczniów. „Bądź naturalny, miły i przedstaw wyraźnie to, co chcesz powiedzieć. Na pewno pójdzie ci łatwo”. Zawsze w niego wierzyła.

Wstał i rozejrzał się. W sali zasiadali głównie mężczyźni.

– Dziękuję wam wszystkim – zaczął dość sztywno. Postanowił jednak być szczery i dodał: – Nie byłem pewien, czy ktokolwiek zostanie.

Śmiali się z jego skromności i pierwsze lody zostały przełamane.

– Będę kandydował z ramienia wigów. – Wigowie byli partią, której przyświecała tolerancja religijna. – Ale nie zamierzam poruszać w kampanii kwestii wiary. Jeśli zostanę wybrany, muszę działać w interesie wszystkich mieszkańców Kingsbridge, metodystów i anglikanów, bogatych i biednych, wyborców i ludzi bez prawa do głosowania.

Uświadomił sobie, że to zbyt ogólne hasła.

– Pewnie wszyscy tak mówią – dodał i jego szczerść znów została nagrodzona śmiechem. – Przejdźmy więc do konkretów. Uważam, że ten kraj potrzebuje dwóch zwykłych rzeczy: chleba i pokoju. – Upił łyk wody ze szklanki. Niektórzy pokiwali głowami. – To wstyd, że mamy prawo, które utrzymuje cenę ziarna na tak wysokim

poziomie. Chroni to interesy najbogatszych, a prości ludzie ponoszą koszty, przepłacając za chleb. Trzeba uchylić te przepisy, bo ludzie muszą mieć chleb, o który prosimy przecież nawet w Modlitwie Pańskiej.

Odpowiedział mu chór „Amen”. Trafił w czuły punkt. Brytyjska arystokracja bezwstydnie wykorzystywała swoją władzę – zwłaszcza w Izbie Gmin – by zagwarantować duże zyski z rolnictwa, a tym samym wysokie opłaty za dzierżawę tysięcy akrów ich ziemi. Metodyści, do których należeli głównie rzemieślnicy i drobni przedsiębiorcy, byli oburzeni, ponieważ biedni przymierali głodem.

– Niemal tak samo jak chleba potrzebujemy pokoju – ciągnął Amos. – Wojna ogromnie zaszkodziła przedsiębiorcom i robotnikom, lecz nasi premierzy, William Pitt, potem książę Portlandu Spencer Perceval, a teraz hrabia Liverpoolu, nawet nie próbowali zawrzeć pokoju. To się musi zmienić. – Zawahał się, po czym dodał: – Mógłbym jeszcze długo o tym mówić, ale widzę po waszych twarzach, że nie muszę was przekonywać.

To też ich rozbawiło.

– Porozmawiajmy więc o tym, co musimy zrobić, żeby zmienić ten stan rzeczy. – Usiadł, spojrzał na pastora i skinął głową.

Midwinter wstał.

– W Kingsbridge mieszka około stu pięćdziesięciu osób uprawnionych do głosowania – powiedział. – Musimy się dowiedzieć, kim są, jak głosowali dotychczas i jakie mają zapatrywania teraz. Potem możemy zacząć pracę nad przekonywaniem niektórych do zmiany zdania.

Amos pomyślał, że to trudne zadanie.

– Burmistrz ma obowiązek opublikować listę wyborców – kontynuował pastor – więc powinniśmy ją zobaczyć na tablicach ogłoszeniowych w mieście za kilka dni. Lista pojawi się również w „Kingsbridge Gazette”. Musimy się dowiedzieć, jak ci ludzie głosowali w ostatnich wyborach pięć lat temu. To informacje publiczne, więc znajdziemy je w dokumentach w ratuszu, a także w starych numerach gazety. – Głosowanie nie było utajnione. Wręcz przeciwnie: wyborcy

musieli przedstawić, na kogo oddają głos, przed salą pełną ludzi i każdy głos odnotowywano w „Gazette”. – Kiedy już będziemy wiedzieć, kto głosował na kogo, zaczniemy rozmawiać z wyborcami. – Midwinter przerwał na chwilę. – Wybaczenie, jeśli to, co teraz powiem, wyda wam się oczywiste i niepotrzebne, ale w naszej kampanii nie będzie przekupstwa, najmniejszej choćby próby.

Wybory w Kingsbridge zawsze były w miarę uczciwe. Ostatnimi laty ochoczo głosowano na wicehrabiego Northwooda. Mimo to Midwinter uważał, że powinien podkreślić pozycję metodystów, a Amos się z nim zgadzał.

– Nie będziemy kupować wyborcom trunków w gospodach – oświadczył pastor. – Nie będziemy im niczego obiecywali w zamian za wsparcie. Poprosimy ich, by zagłosowali na najlepszego kandydata, i wyrazimy nadzieję, że wybiorą naszego.

Z tyłu sali ktoś się odezwał. Amos zobaczył, że to Spade.

– Myślę, że kobiety też mogą odegrać ważną rolę w wyborach – powiedział.

Była z nim jego żona Arabella, która została metodystką, kiedy się pobrali. Między nimi siedział Abe, trzynastoletni pasierb Spade’a... albo jego syn, jeśli wierzyć plotkom Belindy Goodnight.

– Może nie będą miały ochoty na dyskusje o prawie czy o Bonapartem – dodał Spade – ale chyba każda kobieta zasiadająca w tym gronie może z ręką na sercu powiedzieć, że zna Amosa Barrowfielda i że jest on uczciwym i pracowitym człowiekiem. Takie słowa mogą przynieść więcej korzyści niż przemówienia o Austrii i Rosji.

– Doskonale – zgodził się z nim Midwinter. – Proponuję, żebyśmy zebrali się ponownie po środowym spotkaniu modlitewnym. Wtedy powinniśmy już mieć listę wyborców. Zanim rozejdziemy się, musimy podpisać dokumenty nominacyjne. Ja zacznę. Spade, będziesz drugi? Dobrze byłoby mieć na liście radnego.

– Bardzo chętnie – odparł Spade.

– Byłoby też rozsądnie umieścić na liście jakiegoś anglikanina. Jak nasz kandydat zaznaczył, nie chce być tylko kandydatem metodystów.

– Może Cecil Pressman, budowniczy? – zaproponował Amos. – Wiem, że jest przeciwny wojnie. Chodzi do kościoła Świętego Łukasza.

– Dobry pomysł.

– Znam Cecila – powiedział Spade. – Porozmawiam z nim.

I tak rozpoczęła się kampania wyborcza.

*

Popołudniami Elsie często odwiedzała matkę, której dom był bardzo duży, może nawet za duży na dwoje dorosłych i dziecko. Kiedy należał do Willa Riddicka, we wszystkich wnętrzach dominowały dębowe boazerie i ciemne aksamity; niemal codziennie odbywały się tu huczne zabawy, na których pojawiało się wiele prostytutek i przelewało się morze trunków. Teraz atmosfera wnętrza była całkiem inna. Spade lubił klasyczne meble – krzesła o prostych oparciach, stoły o prostych nogach – ale zdobione tkaninami o misternych wzorach. Arabella uwielbiała obłe kształty, poduchy, grube obicia i udrapowane zasłony z lambrekinami. Elsie obserwowała, jak na przestrzeni lat gusty matki i jej męża łączyły się i powstawał unikalny styl wnętrza: wygodnych i bogatych, ale nie ostentacyjnych. Latem w domu stały donice z różami.

W wieku pięćdziesięciu ośmiu lat Arabella wciąż była piękną kobietą i Spade wciąż się nią zachwycił; wystarczyło zobaczyć ich razem, by to dostrzec. Dziś miała na sobie suknię z oliwkowego jedwabiu z koronkami na rękawach i dole spódnicy. Spade lubił, gdy dobrze się ubierała.

Kiedy Elsie przychodziła w odwiedziny, zwykle były tylko we dwie: mąż matki zajmował się pracą, a Abe był jeszcze w szkole. Mogły spokojnie i szczerze porozmawiać. Arabella wiedziała, że córka wciąż jest beznadziejnie zakochana w Amosie, a Elsie wiedziała, że Abe jest synem Spade'a, a nie biskupa. Chłopiec był zdrowym i szczęśliwym dzieckiem – klątwa biskupa nie działała.

Przez okna salonu wychodzące na zachód wpadał słaby październikowy blask słońca, gdy piły herbatę.

- Spotkałam Belinę Goodnight, kiedy tu szłam – powiedziała Elsie.
- W dzieciństwie byliście przyjaciółkami od serca.
- Pamiętam, że miała teatrzyk... taki jak domek dla lalek. Wymyślałyśmy sztuki o dziewczynach, które zakochiwały się w cygańskich chłopcach.
- Zmusiłaś mnie kiedyś, żebym obejrzała jedną z nich – powiedziała Arabella.
- Była okropna.

Elsie parsknęła śmiechem.

- Teraz Belinda jest okropną plotkarą – dodała po chwili poważnym głosem.
- Wiem. Nazywają ją Kingsbridge Gazette.
- Powiedziała mi coś, co mnie zaniepokoiło. Podobno ludzie mówią całkiem otwarcie, że Amos jest ojcem syna Jane, młodego wicehrabiego Northwooda.

Arabella wzruszyła ramionami.

– Być może to prawda, choć nikt nie może mieć pewności. Pamiętam, że podobne plotki krążyły, gdy chłopiec się urodził, ale potem przycichły. Ciekawe, dlaczego pojawiły się znów właśnie teraz.

– Z powodu wyborów, oczywiście – odparła Elsie. – Rozpuszczają je wyborcy Hornbeama.

– Myślisz, że to powstrzyma ludzi od głosowania na Amosa?

– Być może.

– Powiem o tym Davidowi. – Mówiąc o mężu, Arabella chętniej używała jego prawdziwego imienia.

Przez minutę milczały, co rzadko im się zdarzało podczas tych popołudniowych spotkań.

– Dręczy cię coś jeszcze – odezwała się w końcu matka.

Elsie skinęła głową.

– Kenelm pakuje się przed wyjazdem do Hiszpanii – odparła.

– Kiedy wyjeżdża?

– To zależy. Po nowym roku będą wysyłane posiłki dla wojsk Wellingtona. Z Combe wypłynie statek z oficerami i rekrutami, którzy dołączą do Sto Siódmego

Pułku Piechoty. Kenelm czeka na oficjalne zawiadomienie.

– Będziesz musiała wyprowadzić się z dziekanii. Gdzie zamieszkaasz?

– Jeszcze nie wiem. Może wynajmę dom.

– Wciąż wydajesz mi się zmartwiona. Powiedz, co tak naprawdę cię dręczy.

– Och, mam. – Elsie westchnęła ciężko. – Chciałabym zamieszkać tutaj, z tobą.

Arabella skinęła głową, jakby się tego spodziewała.

– A ja chciałabym, żebyś się tutaj przeniosła, przecież wiesz o tym.

– A co ze Spade'em?

– Tego właśnie nie jestem pewna. To dobry i hojny człowiek, ale czy zechce dzielić dom z dziećmi innego mężczyzny, i to pięciorgiem?

– Wiem, że proszę o wiele, ale spróbujesz z nim porozmawiać?

– Oczywiście – odparła Arabella. – Ale nie wiem, co powie.

*

Spade był w holu i szykował się do wyjścia na zebranie rady miasta, a żona mu się przyglądała. Spodnie za kolana wychodziły już z mody, nosił więc długie z prążkowanej szarej tkaniny. Włożył niebieski dwurzędowy surdut i wysoki kapelusz z podwiniętym rondem, po czym przyjrzał się swojemu odbiciu w lustrze wiszącym przy drzwiach.

– Uwielbiam to, jak nosisz ubrania – powiedziała Arabella. – Wielu mężczyzn ubiera się niechlujnie i ponuro. A ty zawsze wyglądasz jak reklama zakładu krawieckiego.

– Dziękuję – odparł. – Jestem reklamą, choć raczej materiałów niż krawca.

– Słyszałam dzisiaj pewną plotkę, o której powinnam ci powiedzieć.

– Mam nadzieję, że jest pikantna.

– W pewnym sensie, choć raczej cię zmartwi.

– Mów.

– Elsie jak zwykle wpadła dziś po południu.

Spade przypomniał sobie, że zięć Arabelli wstąpił do Sto Siódmego Pułku Piechoty jako kapelan.

– Kiedy Kenelm wyjeżdża do Hiszpanii? – spytał.

– Jeszcze się przygotowuje.

– Przerwałem ci, przepraszam. Co to za plotka?

– Ludzie mówią, że to Amos jest ojcem małego wicehrabiego Northwooda.

Spade pomyślał, że to niepokojąca wieść. Podejrzenie o niemoralne występki mogło zdecydować o wyniku wyborów. Coś podobnego pokrzyżowało mu szyki, gdy po raz pierwszy próbował zostać radnym. Za drugim razem był już żonaty, więc nie musiał obawiać się skandalu.

– Kogo ma na myśli Elsie, mówiąc o „ludziach”? – spytał.

– Słyszała to od Belindy Goodnight, okropnej plotkary.

– Hm... Kiedyś już pojawiły się takie plotki o Halu, ale to było wiele lat temu.

– Spade dobrze to pamiętał, bo Hal był w podobnej sytuacji jak Abe. Obu uważano za owoce cudzołóstwa. Pierwszy mąż Arabelli, biskup Latimer, był wściekły na żonę, ale gdy Jane urodziła mężowi syna i dziedzica, Henry Northwood nie kwestionował tego, że jest ojcem Hala, i plotki ucichły.

– Wygląda na to, że teraz plotki pojawiły się na nowo.

Spade odchrząknął z irytacją.

– I wiem dlaczego – rzucił. – Zbliżają się wybory.

– Myślisz, że to Hornbeam je rozpuscita?

– Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

Arabella skrzywiła się z niesmakiem, jakby zjadła coś kwaśnego.

– Ten człowiek nie cofnie się przed niczym – powiedziała.

– To prawda. Ale chyba wiem, jak zamknąć mu usta. Porozmawiam z nim dziś wieczorem.

– Powodzenia.

Spade pocałował żonę i wyszedł.

Rada miasta, złożona z dwunastu członków, spotkała się w sali w ratuszu. Jak zwykle na stole czekały na nich karafka sherry i szklanki. Burmistrz Frank Fishwick prowadził zebranie z typową dla niego życzliwością, ale też ze stanowczością.

Obaj kandydaci na posłów byli radnymi i obaj byli obecni. Spade nie mógł nie zauważyć, jak bardzo się różnią. Amos nie miał jeszcze czterdziestu lat, a Hornbeam dobiegał sześćdziesiątki, ale dzielił ich nie tylko wiek. Wydawało się, że Amos jest zadowolony z tego, kim jest, natomiast konkurent miał twarz człowieka, dla którego życie jest nieustającym konfliktem. Siedział z pochyloną głową i spoglądał spod krzaczastych brwi, jakby gotów do podjęcia walki.

Głównym tematem spotkania były nadchodzące wybory. Parlament zarządził, że mają się odbyć między piątym października a dziesiątym listopada – dokładną datę miały wyznaczyć lokalne władze. Rada ustaliła, że w Dzień Świętego Adolfusa na rynku staną trybuny obu kandydatów, a wybory odbędą się następnego dnia w ratuszu. Przyjęto dwie nominacje; obie spełniały wszystkie niezbędne warunki. Liczenie głosów miał nadzorować urzędnik sądowy, Luke McCullough. Żadne z tych ustaleń nie budziło kontrowersji, więc Spade miał czas na zaplanowanie rozmowy z Hornbeamem.

Gdy tylko spotkanie dobiegło końca, podszedł prosto do niego i powiedział:

– Chciałbym zamienić dwa słowa, panie radny, jeśli można.

– Mam mało czasu – rzucił Hornbeam, patrząc na niego wyniośle.

– Znajdziesz na to czas, Joey, jeśli wiesz, co dla ciebie dobre – odparł Spade całkiem innym tonem.

Hornbeam był zbyt zdumiony, by odpowiedzieć.

– Odejdźmy na chwilę na bok – zaproponował Spade i skierował go do rogu sali. – Ktoś znów rozpusza stare plotki o Amosie i Halu Northwoodzie.

Odzyskawszy rezon, Hornbeam ponownie obdarzył Spade'a wyniosłym spojrzeniem.

– Chyba nie podejrzewasz, że chodzę po mieście i rozpowiadam nieobyczajne plotki.

– Jesteś odpowiedzialny za to, co mówią twoi przyjaciele i poplecznicy. Nie udawaj, że tego nie kontrolujesz. Robią to, co im każesz, więc jeśli każesz im przestać, zrobią to. Musisz im przykazać, by nie opowiadali więcej plotek o Halu Northwoodzie.

– Nawet gdyby to, co mówisz, było prawdą, dlaczego niby miałbym cię posłuchać? – spytał Hornbeam podniesionym głosem.

Kilku mężczyzn spojrzało w ich stronę.

– Bo ludzie, którzy mieszkają w domach ze szkła, nie powinni rzucać kamieniami – odpowiedział Spade równie głośno.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – prychnął cicho Hornbeam, lecz jego zachowanie przeczyło słowom.

– Zmuszasz mnie, żebym to powiedział – rzucił Spade cicho, ale dobitnie. – Sam jesteś nieślubnym dzieckiem.

– Nonsens! – Hornbeam zaczął ciężko dyszeć.

– Zawsze mówiłeś, że twoja matka zmarła podczas epidemii ospy w Londynie.

– Bo tak było.

– Pamiętasz pewnie, kim jest Matt Carver.

Hornbeam jęknął cicho, jakby ktoś uderzył go w brzuch. Pobladł i znów miał problemy z oddychaniem. Nie był w stanie wydobyć z siebie głosu.

– Poznałem Matta Carvera – dodał Spade. – Doskonale cię pamięta.

– Nie znam nikogo o takim nazwisku – odparł Hornbeam, bo w końcu zdołał się opanować.

– Matt stał obok ciebie, gdy patrzyłeś, jak wieszają twoją matkę. – To było okrutne, ale Spade musiał wyraźnie dać temu człowiekowi do zrozumienia, że wie o wszystkim.

– Ty diable – wykrztusił Hornbeam.

Spade pokręcił głową.

– Nie jestem diabłem i nie zamierzam niszczyć ci reputacji. Nie zasługujesz na współczucie, ale wyborów nie powinno się rozstrzygać złośliwymi plotkami. Znam twoją przeszłość od siedmiu lat i nikomu jeszcze o niej nie wspomniałem, nawet żonie. I nie zrobię tego... pod warunkiem że ucichną plotki o Amosie i Halu.

– Zajmę się tym – wydyszał Hornbeam.

– To dobrze – rzucił Spade i odszedł. Wiedział, że Hornbeam nigdy mu tego nie wybaczy, ale byli wrogami od lat, więc właściwie nic na tym nie tracił.

Kiedy wrócił do domu, na stole w jadalni czekała już kolacja. Zjadł kapuśniak i ukroił sobie dwa plastry zimnej wołowiny. Arabella popijała w milczeniu wino. Od razu wyczuł, że ma mu coś do powiedzenia. Skończył jeść i odsunął od siebie talerz.

– No już, mów.

Uśmiechnęła się.

– Zawsze wiesz, kiedy czymś się martwię.

– Śmiało.

– Jesteśmy bardzo szczęśliwi w tym domu, ty, ja i Abe.

– Chwała Panu i dzięki mu za to.

– A ja dziękuję tobie, Davidzie. Lubisz mnie.

– Dlatego się z tobą ożeniłem.

– Myślisz, że to coś normalnego, ale tak nie jest. Nigdy wcześniej nie mieszkałam z mężczyzną, który by mnie lubił. Ojciec uważał, że jestem brzydka i nieposłuszna, a Stephen po prostu się mną nie interesował.

– Trudno w to uwierzyć.

– Nie chcę, by cokolwiek się zmieniło.

– Ale życie się zmienia. I...

– I Elsie nie będzie miała gdzie mieszkać z dziećmi, gdy Kenelm wyjedzie do Hiszpanii.

– Och! – zdumiał się Spade. – Zakładałem, że sprowadzą się tutaj i zamieszkają z nami.

- Naprawdę?
- Mamy dość miejsca.
- I nie miałbyś nic przeciwko temu?
- Byłbym zachwycony! Uwielbiam ich.
- Och, Davidzie, dziękuję... – Arabella wybuchła płaczem.

*

Amos Barrowfield zawsze działał Hornbeamowi na nerwy. Najpierw pokrzyżował mu plany przejęcia firmy starego Obadiaha Barrowfielda, a później doprowadził do tego, że Will Riddick przestał się zajmować zakupami dla milicji. Teraz próbował zostać posłem. Hornbeam tak długo już czekał na to, by zająć miejsce Northwooda, że zaczął to traktować jako przynależne mu prawo. Nie spodziewał się, że będzie musiał o to walczyć.

Dotąd miał nadzieję, że uda mu się zniszczyć reputację Amosa plotkami, że jest ojcem Hala Northwooda, ale ten przebiegły Spade znów go przechytrył. Teraz Hornbeam musiał wytoczyć najcięższe działa.

Wybrał się z wizytą do Wally'ego Watsona, producenta przędzy. Watson miał największy w mieście zakład przędzarski, w którym również farbowano przędzę. Powinien być torysem i głosować na Hornbeama, był jednak metodystą, co mogło go skłonić do zagłosowania na wigów i Barrowfielda.

Ludzie tacy jak Wally Watson stanowili znaczącą część elektoratu, Hornbeamowi wydawało się jednak, że wie, jak sobie z nimi poradzić.

Kiedy wyszedł z domu, dołączył doń wnuk, który wybierał się właśnie do szkoły na rynku, ruszyli więc razem w dół Main Street. Młody Joe był już wyższy od dziadka. Miał piętnaście lat, ale wyglądał na dorosłego; nosił nawet całkiem przyzwoite wąsy. Jego oczy wciąż były niebieskie, ale już nie niewinne; teraz były przenikliwe i wyzywające. Był poważnym chłopcem, zadziwiająco jak na swój wiek. Uczył się ciężko i zamierzał studiować nauki ścisłe na uniwersytecie w Edynburgu.

Jego dziadek od lat martwił się, kto przejmie po nim firmę. Deborah miała odpowiednie zdolności, ale kobietom trudno kierować mężczyznami. Howard się do tego nie nadawał, lecz jego syn jak najbardziej. Joe był jedynym wnukiem Hornbeama i jego następcą tronu.

Hornbeamowi bardzo zależało na tym, by firma kontynuowała działalność. Uważał ją za dzieło swojego życia. Zabezpieczył sobie już miejsce na katedralnym cmentarzu – za co musiał wyłożyć pieniądze na komplet nowych, misternie rzeźbionych dębowych stalli – lecz jego prawdziwym pomnikiem miała być największa firma tkacka na zachodzie Anglii.

– Jak idzie kampania wyborcza, dziadku? – spytał Joe. – Rozkręca się?

– Nie oczekiwałem, że będę miał kontrkandydata – odparł Hornbeam. – Zwykle jest tylko jeden.

– Nie rozumiem, jak metodysta może ustanawiać prawo. Złamali już przecież prawa kościelne.

Jedyną wadą chłopca była tendencja do kierowania się w życiu surowymi prawami moralnymi. Nie był pobłażliwy – zdecydowanie nie – ale czasami upierał się przy tym, co uważał za właściwe postępowanie, nawet jeśli okoliczności skłaniałyby do kompromisu. W szkole nie przyjął nagrody, bo inny chłopiec pomógł mu napisać zwycięskie wypracowanie. Sprzeciwiał się rozmowom pokojowym, bo Bonaparte był tyranem. Podziwiał wojsko, bo oficerowie wydają rozkazy, a żołnierze muszą je wykonywać. Hornbeam był pewien, że z czasem wnuk nieco złagodnieje.

– Musimy radzić sobie z ludźmi takimi, jacy są, a nie jacy powinni być – powiedział.

Joe nie wyglądał tak, jakby chciał się z tym zgodzić, nim jednak zdołał wymyślić odpowiedź, dotarli do rynku i rozstali się.

Radny przeszedł na drugą stronę rzeki, minął swoje zakłady i dotarł do przędzalni Wally'ego Watsona. Jak większość właścicieli, Wally spędzał dużo czasu w fabryce, obserwował maszyny i obsługujących je robotników. Właśnie

przy tym zastał go Hornbeam. Wally miał tu jednak biuro, zabezpieczone przed hałasem, i zabrał do niego gościa.

Hornbeam dawno już zdał sobie sprawę, że jeśli ktoś miał zostać odszczepieńcem, to zazwyczaj zmieniał wyznanie w młodości. I Wally Watson był młody.

– Mam nadzieję, że ta czerwona przedza, którą robiłem dla pana z jedwabiu i wełny merynosowej, spisuje się dobrze, panie Hornbeam?

Wełna z merynosów była miękka, a jedwab ją wzmacniał i nadawał jej lekki połysk. Szyto z niej zwykle suknie.

– Tak, dziękuję – odparł Hornbeam. – Wkrótce zamówię pewnie więcej.

– Doskonale. Jesteśmy gotowi na każde zamówienie. – Wally denerwował się, bo nie wiedział, czego chce od niego radny. – Robimy interesy od lat i jak mi się wydaje, obaj czerpiemy z tego korzyści.

– Owszem. W ciągu ostatnich dwunastu miesięcy kupiłem u pana towar za dwa tysiące trzysta siedemdziesiąt cztery funty.

– I bardzo się cieszę, że mogę liczyć na pana zamówienia – powiedział Wally, zaskoczony tą precyzją.

Hornbeam przeszedł od razu do rzeczy.

– Mam nadzieję, że mogę liczyć na pański głos w najbliższych wyborach.

– Ach... – Wally wydawał się zakłopotany i nieco wystraszony. – Barrowfield też jest metodystą, jak pan wie, więc znajduję się w dość trudnej pozycji.

– Czyżby? – Hornbeam uniósł brwi. – Naprawdę?

– Szkoda, że nie mogę głosować na was obu! – Wally roześmiał się głupawo.

– Ale skoro pan nie może...

Obaj milczeli.

– Oczywiście, nie mogę panu mówić, jak ma pan głosować – odezwał się Hornbeam po chwili.

– Cieszę się, że pan tak uważa. – Wally nabrał chyba błędnego przekonania, że radny zamierza się wycofać, lecz czekało go rozczarowanie.

– Musi pan zestawić swoją sympatię dla Barrowfielda z moimi dwoma tysiącami trzysta siedemdziesięcioma czterema funtami.

– Och...

– Co jest dla pana ważniejsze? Decyzja należy do pana.

– Jeśli stawia pan sprawę w ten sposób... – Wally miał udręczoną minę.

– Właśnie tak ją stawiam.

– W takim razie może pan być pewien, że zagłosuję na pana.

– Dziękuję. – Hornbeam wstał. – Byłem pewien, że w końcu dojdziemy do porozumienia. Do widzenia panu.

– Do widzenia, panie radny.

*

Dzień Świętego Adolfusa był zimny, ale słoneczny. Na rynku kłębił się tłum zwabiony dodatkową atrakcją w postaci trybun wyborczych. Sal wybrała się tam z mężem, jak zawsze, ale była niespokojna. Jarge pracował w Górnym Zakładzie Włókienniczym Hornbeama, który był zamknięty przez trzy dni w tygodniu, bo jego właściciel nie zaopatrywał już milicji. W związku z tym Jarge spędzał wolne dni w karczmach, a jego pensja została obcięta o połowę. Połączenie beczynności z piciem sprawiło, że łatwo wpadał w złość. W dodatku spędzał dużo czasu w towarzystwie innych pozbawionych częściowo pracy tkaczy, którzy karmili się nawzajem złością.

Podczas festynu zawsze dochodziło do drobnych incydentów – kradzieży, pijaństwa czy kłótni, które czasami kończyły się bijatyką – lecz tego dnia Sal wyczuwała większe zagrożenie. Ostatnimi miesiącami coraz częściej niszczone maszyny. Takie praktyki zaczęto stosować na północy, a potem rozprzestrzeniały się po całym kraju. Akcje niszczenia maszyn organizowano z wojskową niemal dyscypliną, co przerażało elity rządzące krajem. Jarge temu przyklaskiwał.

Niepokój Sal budziło jednak coś jeszcze. Choć zabójstwo premiera Percevala nie miało nic wspólnego z przemysłem tkackim – morderca chował osobistą urazę

do polityka – wiadomość o zamachu przyjęto w niektórych miastach z nieskrywaną radością. Nienawiść między poszczególnymi klasami w Anglii sięgnęła nowego poziomu i Sal obawiała się, że dziś może dojść do zamieszek, w czasie gdy kandydaci na posłów będą wygłaszać przemówienia. Gdyby do tego doszło, musiałyby przede wszystkim zadbać o to, by Jarge nie wpakował się w kłopoty.

Kiedy przechadzali się między straganami, podszedł do nich przyjaciel Jarge'a, Jack Camp.

– Skoczysz na piwo, Jarge? – spytał.

– Może później.

– Będę u Bella – powiedział Jack i zniknął.

– Nie mam pieniędzy – zwrócił się Jarge do żony.

Było jej go trochę żal, więc dała mu szylinga.

– Baw się dobrze, kochany, i obiecaj mi tylko, że się nie upijesz – poprosiła.

– Obiecuję. – Pożegnał się i odszedł.

Sal zobaczyła, że sierżant zajmujący się rekrutacją do Sto Siódmego Pułku Piechoty rozstawił stoisko. Rozmawiał z grupką miejscowych chłopców, pokazując im karabin, i Sal przystanęła, by posłuchać.

– To najnowszy karabin gładkolufowy z zamkiem skałkowym – powiedział sierżant. – Właśnie taką broń wydajemy teraz pułkom piechoty. Trzy stopy i trzy cale długości, bez bagnetu. Znany jako Brown Bess. – Podał karabin wysokiemu chłopcu, który stał obok niego.

Sal rozpoznała w nim wnuka Hornbeama. Obserwowała go z dużym zainteresowaniem robotnica z zakładu włókienniczego. Po chwili Sal przypomniała sobie jej imię i nazwisko: Margery Reeve. Była ładna i pewna siebie; najwyraźniej miała określone plany wobec wnuka Hornbeama. Sal westchnęła, bo przypomniała sobie własne nastoletnie pragnienia.

Joe przyłożył broń do ramienia. Sal przyglądała się temu z rozbawieniem.

– Zwróćcie uwagę, że lufa nie jest lśniąca, tylko brązowa – odezwał się sierżant. – Czy którykolwiek z was, młodzieńcy, może mi powiedzieć, dlaczego

dokonano tej zmiany?

– Żeby zaoszczędzić żołnierzom pracy z polerowaniem lufy? – odparł Joe.

Sierżant parsknął śmiechem.

– Armii nie zależy na tym, żeby oszczędzać żołnierzom pracy – powiedział i chłopcy roześmiali się razem z nim. – Nie, lufa jest brązowa i matowa, żeby nie odbijała światła. Promienie słońca odbijające się od broni mogłyby pomóc Francuzom dokładnie was namierzyć.

Chłopcy byli zachwyceni.

– Tu jest celownik, żeby było łatwiej celować, a pod spustem kabłąkowata osłona, która pozwala pewnie trzymać broń. Jak myślicie, co jest najważniejszą cechą dobrego strzelca?

– Dobry wzrok – odezwał się ponownie Joe.

– To bardzo ważne, oczywiście. – Sierżant skinął głową. – Ale tym, czego piechur potrzebuje bardziej niż czegokolwiek innego, jest spokój. To pozwala sprawnie celować i strzelać. Co nie jest łatwe, kiedy dokoła świszczą kule i giną żołnierze. Tylko spokój pozwoli wam przeżyć, kiedy inni wpadną w panikę.

Wziął muszkiet od wnuka Hornbeama i podał go innemu chłopcu, Sandy'emu Drummondowi, synowi kupca winnego.

– Obecnie używamy pocisków gotowych do odpalenia – kontynuował sierżant. – Staromodny róg prochowy i worek na kule znacznie spowalniają strzelca. W dzisiejszych czasach piechur może przeładować broń i wystrzelić trzy razy w ciągu minuty.

Sal ruszyła dalej.

Niedaleko schodów katedry zaparkowano w odległości około dwudziestu jardów od siebie dwa wozy o otwartych burtach, a rywalizujące grupy polityczne rozwieszały chorągiewki i sztandary, by wykorzystać wozy jako trybuny wyborcze. Sal zauważyła Munga Landsmana, który kręcił się w pobliżu z kompaniami z karczmy Pod Rzeźnikiem. Tacy jak on zawsze byli chętni do bitki.

Amos, w ciemnozielonym surducie i białej kamizelce, stał obok wozu wigów. Ścisnął dłonie przechodniów i rozmawiał z nimi. Jeden z nich dostrzegł Sal.

– Pani Box, pracuje pani dla tego człowieka – zwrócił się do niej. – Proszę powiedzieć szczerze, jakim jest chlebodawcą?

– Lepszym niż większość, to muszę mu oddać – odparła Sal z uśmiechem.

Pojawił się urzędnik sądowy, który był też prawnikiem rady miejskiej, Luke McCullough. Hornbeam szedł za nim, ubrany na czarno, z peruką i w kapeluszu. McCullough odpowiadał za to, by wybory przebiegały prawidłowo.

– Panowie, rzucę teraz monetą – powiedział. – Panie Hornbeam, jako starszy radny może pan wybrać orła lub reszkę. Zwycięzca losowania będzie mógł zdecydować, czy chce mówić pierwszy, czy drugi.

Rzucił monetą, a Hornbeam zawołał:

– Orzeł!

McCullough złapał ją, zamknął pięść i położył monetę na wierzchu drugiej dłoni.

– Reszka – oznajmił.

– Będę przemawiał drugi – postanowił Amos.

Sal domyśliła się, że zrobi to, by w razie potrzeby podważyć argumenty przeciwnika.

– Panie Hornbeam, możemy zaczynać, gdy tylko będzie pan gotowy – powiedział McCullough.

Hornbeam wrócił do wozu torysów i rozmawiał przez moment z Humphreym Frogmore'em, który go nominował. Frogmore wręczył mu plik dokumentów i Hornbeam przeglądał je przez chwilę w milczeniu.

Sal pomyślała, że mieszkańcy Kingsbridge wciąż pamiętają Tommy'ego Pidgeona i ten człowiek nigdy nie będzie się wśród nich cieszył popularnością, potem jednak uświadomiła sobie, że on wcale nie musi się tym przejmować. Dla niego liczyli się tylko wyborcy, a byli to przedsiębiorcy i właściciele ziemscy, którzy z pewnością nie darzyli sympatią złodzieja.

Sal zauważyła, że Jarge i Jack Camp wyszli z grupą przyjaciół z Bella, wszyscy z kuflami w dłoniach. Wolałyby, żeby zostali w środku.

McCullough wszedł na wóz torysów i energicznie potrząsnął dzwonkiem. Dokoła gromadziło się coraz więcej ludzi.

– Wybory posła reprezentującego Kingsbridge – oznajmił. – Najpierw będzie przemawiał Joseph Hornbeam, a potem Amos Barrowfield. Proszę słuchać kandydatów w milczeniu. Nie będziemy tolerować krzyków ani awantur.

Akurat! – pomyślała Sal.

Hornbeam wszedł na podest, ściskając w dłoni dokumenty, i przez chwilę stał nieruchomo, zbierając myśli. Ktoś wykorzystał tę chwilę przerwy i krzyknął:

– Bzdury!

Tłum zareagował salwą śmiechu i Hornbeam stracił na moment rezon. Szybko jednak doszedł do siebie.

– Wyborcy Kingsbridge! – zaczął.

Spośród około tysiąca ludzi obecnych na placu słuchała go mniej więcej połowa. Ale przecież w całym mieście było tylko stu pięćdziesięciu wyborców. Większość publiczności nie miała praw wyborczych, co budziło gniew niektórych. W gospodach rozprawiano ze złością o wadach „dziedzicznego rządu”, jak określano eufemistycznie króla i członków Izby Lordów, których zgodnie z prawem nie można było krytykować.

Najbardziej radykalni wyrażali się z aprobatą o rewolucji francuskiej. Sal rozmawiała o Francji z przyjacielem Kita, Rogerem Riddickiem, który kiedyś mieszkał w tym kraju. Roger gardził Anglikami, którzy pochwalali rewolucję. Mówił, że zastąpiła ona jedną tyranię inną i że Anglicy cieszą się znacznie większą wolnością niż ich sąsiedzi. Sal uwierzyła mu, odparła jednak, że nie wystarczy pocieszać się tym, że w Anglii nie jest tak źle jak w innych krajach. Wciąż panowały tu ogromna niesprawiedliwość i okrucieństwo. Roger nie zaprzeczył.

– Jego Królewska Mość i nasz Kościół są zagrożeni – powiedział Hornbeam.

Sal szanowała Kościół, a przynajmniej niektóre jego aspekty, ale o królu nie chciała nawet słyszeć. Przypuszczała, że większość robotników z zakładów włókienniczych czuje to samo.

– Król nigdy nic dla mnie nie zrobił! – krzyknął stojący obok Jarge’a mężczyzna.

Odpowiedział mu aplauz tłumu.

Hornbeam mówił o Bonapartem, który był teraz cesarzem Francuzów. Tutaj stapał po pewniejszym gruncie, bo wielu robotników z Kingsbridge miało synów w wojsku i uznawało Bonapartego za prawą rękę szatana. Hornbeam doczekał się kilku okrzyków poparcia, gdy go krytykował.

Mówiąc o rewolucji francuskiej, sugerował, że wigowie ją popierali. Sal zastanawiała się, ilu ludzi w to uwierzy. Być może niektórzy z tłumu, ale większość uprawnionych do głosowania była lepiej poinformowana.

Największym błędem Hornbeama było jego zachowanie. Mówił tak, jakby wydawał instrukcje swoim zarządcom. Był stanowczy i zdecydowany, ale zimny i nieprzyjazny. Jeśli przemówienia mogły coś zmienić, to przez swoje raczej tracił, niż zyskiwał głosy.

Gdy na koniec wrócił do tematu króla i Kościoła, podkreślał, że należy ich traktować z szacunkiem. To nie mogło się spodobać robotnikom, zaczęli więc coraz głośniej buczeć i gwizdać. Sal przecisnęła się przez tłum, by stanąć obok męża. Kiedy zobaczyła, jak Jack schyla się i sięga po kamień, złapała go za rękę.

– Jack, zastanów się dobrze, zanim spróbujesz zabić radnego.

To wystarczyło, by go zniechęcić.

Gdy Hornbeam skończył, nagrodzono go nikłym aplauzem i głośnymi gwizdami. Na razie idzie nieźle, pomyślała Sal.

Amos był całkiem inny. Wszedł na trybunę i zdjął kapelusz, jakby chciał okazać w ten sposób szacunek dla słuchaczy. Przemawiał bez notatek.

– Kiedy pytam mieszkańców Kingsbridge, co ich obecnie najbardziej martwi, większość mówi o dwóch rzeczach: o wojnie i o cenie chleba.

To natychmiast wywołało burzę oklasków.

– Radny Hornbeam mówił o królu i Kościele – kontynuował Amos. – Żaden z was nie wspominał o tych sprawach podczas rozmów ze mną. Myślę, że tym, czego chcecie najbardziej, jest pokój i bochenek chleba za siedem pensów. – Tłum znów zaczął wiwatować i Amos musiał podnieść głos, by go przekrzyczeć: – Czy mam rację?

Wiwaty zamieniły się w ogłuszający ryk.

Nie tylko robotnicy pragnęli pokoju. Wielu spośród wyborców po dwudziestu latach miało już serdecznie dość wojny, w której zginęło tylu młodych mężczyzn. Chcieli wrócić do normalnego życia, gdy można było swobodnie jeździć po Europie, kupować ubrania w Paryżu i oglądać ruiny w Rzymie, a nie opłakiwać synów poległych na wojnie. Większość parlamentarzystów skupiała się jednak na zwycięstwie, a nie na pokoju. Być może niektórzy wyborcy dojdą do wniosku, że w Izbie Gmin potrzeba więcej ludzi takich jak Amos.

Sal pomyślała, że jej pracodawca jest urodzonym mówcą, jednym z tych, którzy potrafią podbić serca tłumu z taką swobodą, jakby wcale nie próbowali tego robić. Jego urok wynikał po części stąd, że nie zdawał sobie z niego sprawy.

Po przemówieniu tylko nieliczni buczeli i nikt nie chciał rzucać kamieniami.

Sal podeszła do Amosa i pogratulowała mu.

– Zachwycił ich pan – powiedziała. – Podobał im się pan znacznie bardziej niż Hornbeam.

– Być może – odparł. – Ale Hornbeama bardziej się boją.

*

Głosowanie odbyło się następnego dnia rano. Stu pięćdziesięciu siedmiu wyborców z Kingsbridge tłoczyło się w ratuszu. Luke McCullough i jego asystent usiedli przy stole na środku sali, obaj z alfabetyczną listą w ręce. Wyborcy tłoczyli się wokół stołu, próbując ściągnąć na siebie uwagę McCullougha. Kiedy spojrzał na kogoś albo usłyszał nazwisko, sprawdzał listę, by upewnić się, czy ten ktoś jest

zarejestrowany, a potem głośno powtarzał nazwisko. W tym momencie wyborca krzyczał, na kogo głosuje, a McCullough wpisywał *H* albo *B* obok nazwiska wyborcy.

Hornbeam odczuwał przyjemne zadowolenie z siebie za każdym razem, gdy ktoś wykrzykiwał jego nazwisko; przy każdym głosie oddanym na Amosa Barrowfielda krzywił się, jakby coś go bolało. Głosowanie się przeciągało i wkrótce stracił rachubę. Wszyscy, z którymi robił interesy, głosowali na niego; zadbał o to, składając każdemu wizytę. Ale czy to wystarczy? Był pewien jedynie tego, że różnica dzieląca go od kontrkandydata jest niewielka.

Głosowanie trwało prawie dwie godziny, zanim McCullough zawołał:

– Czy ktoś chce jeszcze oddać głos?!

Nikt mu nie odpowiedział, więc prawnik i jego asystent zabrali się do liczenia. Kiedy skończyli, asystent wyszeptał coś do ucha McCullougha, a ten skinął głową. Po czym przeliczyli głosy raz jeszcze, na wszelki wypadek. Wyglądało na to, że wynik się potwierdził, bo McCullough wstał.

– Członek parlamentu reprezentujący Kingsbridge został wybrany w wolnych i uczciwych wyborach – oznajmił. Na sali zapadła cisza. – Niniejszym ogłaszam, że zwycięzcą jest pan Joseph Hornbeam.

Stronnicy Hornbeama podnieśli radosne okrzyki.

Kiedy aplauz przycichł, jeden ze zwolenników Barrowfielda powiedział głośno:

– Następnym razem, Amos.

Alan Drummond, kupiec winny, uścisnął dłoń zwycięzcy i pogratulował mu. Jego syn i wnuk Hornbeama byli przyjaciółmi. Poprzedniego popołudnia grali razem w piłkę i Joe spytał w domu, czy nie mógłby potem zostać na noc u Drummondów.

– Przypuszczam, że nasi chłopcy dobrze się bawili – powiedział Hornbeam. – Pewnie nie spali przez całą noc, tylko rozmawiali o dziewczynach.

– Na pewno – odparł Drummond. – Ale byłem zaskoczony, że nie było ich dzisiaj rano w kościele. Powinien pan był zbudzić ich wcześniej.

– Ja?! – zdumiał się Hornbeam. – Przecież byli w pańskim domu.

– Z całym szacunkiem, ale w pańskim.

Hornbeam był pewien, że chłopcy nie spędzili nocy w jego domu.

– Joe powiedział mi, że zostaje u Sandy’ego – odparł.

Dwaj mężczyźni wpatrywali się w siebie skonsternowani.

– Zajrzałem dziś rano do pokoju syna i nie było ich tam – powiedział Drummond.

To ostatecznie przesądziło sprawę.

– Więc muszą być jednak u mnie – stwierdził Hornbeam. – Najwyraźniej źle zrozumiałem. – Rzadko zdarzało mu się coś źle zrozumieć, więc się martwił. – Pójdę do domu i sprawdzę.

– Pójdę z panem, jeśli można. Dla pewności.

Wychodzili z sali powoli, bo zwolennicy Hornbeama chcieli mu pogratulować. Był wobec nich dość szorstki; ścisnął dłonie i dziękował, ale cały czas przesuwał się do wyjścia, ignorując zabiegi tych, którzy chcieli wciągnąć go w rozmowę. Kiedy znalazł się na zewnątrz, przyspieszył kroku tak, że Drummond musiał niemal biec, by za nim nadążyć.

Dotarli do domu po kilku minutach. Kiedy lokaj Simpson otworzył drzwi, Hornbeam spytał bez zbędnych wstępów:

– Widziałeś dziś rano mojego wnuka?

– Nie, panie radny, jest u pana Drumm... – Simpson dostrzegł mężczyznę stojącego za jego chlebowcą i przerwał w pół słowa.

– Zajrzę do jego pokoju. – Hornbeam wbiegł na schody, a Drummond pospieszył za nim.

W łóżku chłopca nikt nie spał tej nocy.

– Co oni, u diabła, kombinują? – odezwał się Drummond.

– Mam nadzieję, że to tylko głupi żart – odparł Hornbeam. – Bo jeśli nie, to albo mieli wypadek, albo wdali się w bójkę i teraz leżą gdzieś w rowie. – Zmarszczył brwi. – Kto jeszcze grał wczoraj z nimi w piłkę?

- Sandy wspominał o synu Rupe’a Underwooda. Ma na imię Bruno.
- Sprawdźmy, może coś o tym wie.

Należąca do Rupe’a firma produkująca jedwabne wstążki całkiem nieźle prosperowała, miał więc piękny dom przy Cookshop Street. Hornbeam i Drummond udali się tam w pośpiechu i zapukali do drzwi. Underwoodowie siadali właśnie do obiadu. Hornbeam przypomniał sobie, że Rupe był niegdyś jednym z licznych adoratorów Jane Midwinter, ostatecznie jednak ożenił się z kobietą, która nie dorównywała Jane urodą, ale przewyższała ją rozsądkiem i najwyraźniej urodziła mu trzech zdrowych synów i ci siedzieli teraz przy stole.

Rupe wstał.

– Panowie, nie spodziewałem się was. Czy coś się stało?

– Tak – odparł Hornbeam. – Nie możemy znaleźć mojego wnuka i syna pana Drummonda. Zdaje się, że pana syn Bruno grał z nimi wczoraj w piłkę, więc chcielibyśmy spytać, czy nie wie, gdzie się podziewają.

– Tak, proszę pana, wiem – odpowiedział mu chłopiec w wieku około szesnastu lat.

– Wstań, kiedy rozmawia z tobą pan radny Hornbeam – upomniał go ojciec.

– Przepraszam. – Bruno podniósł się z krzesła.

– Więc gdzie są? – spytał Hornbeam.

– Wstąpili do wojska.

W pokoju zapadła głucha cisza.

– Boże drogi, zlituj się – wykrztusił w końcu Drummond.

– Głupi smarkacze – rzucił Hornbeam.

– Nie mówiłeś mi o tym, Bruno – zwrócił się do syna Rupe.

– Prosimy, żebyśmy nikomu o tym nie wspominali.

– Dlaczego to zrobili, na miłość boską? – nie mógł zrozumieć Drummond.

– Właśnie – powiedział Hornbeam. – Co w nich wstąpiło?

Bruno znał odpowiedź i na to pytanie.

– Joe powiedział, że jego obowiązkiem jest pomagać w obronie ojczyzny, a Sandy się z nim zgodził.

– Och, do diaska – prychnął zirytowany Drummond.

– Wszyscy uznaliśmy, że oszaleli – dodał Bruno.

– Dokąd poszli? – spytał Hornbeam.

– Odeszli z tym sierżantem, który rozmawiał z nimi na festynie.

– Nie możemy do tego dopuścić – oświadczył stanowczo radny. – Oni mają tylko po piętnaście lat!

– Piętnastolatki mogą teraz zaciągać się do wojska, jeśli są wystarczająco wysocy – poinformował go Rupe. – Prawo zmieniło się jeszcze w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym siódmym roku.

– Nie zgodzę się na to – oznajmił Hornbeam. Myśl, że jego jedyny wnuk będzie ryzykował życie na wojnie, była zbyt przerażająca, by ją do siebie dopuścić.

– Do kogo możemy się z tym udać? – spytał Drummond.

Sto Siódmy Pułk Piechoty był w Hiszpanii i nie miał siedziby w Kingsbridge. Wojsko reprezentowała tutejsza milicja. Nowym pułkownikiem został lord Combe, lecz nie zajmował się milicją na co dzień, w odróżnieniu od Henry'ego Northwooda, który był pod tym względem wyjątkowy. W praktyce milicją dowodził Archie Donaldson; był teraz podpułkownikiem i urzędował w starym gabinecie Northwooda w Domu Willarda.

– Pójdę z tym do Donaldsona – powiedział Hornbeam. – Musi sprowadzić chłopców z powrotem.

Dwaj mężczyźni wyszli od Underwoodów i ruszyli do Domu Willarda stojącego przy rynku. Irytująco nadgorliwy sierżant Beach, pełniący straż w holu, z nieskrywaną niechęcią zaprowadził ich do Donaldsona.

Mimo zagrożenia, jakie niosła ze sobą walka na froncie, wielu oficerów milicji przeniosło się do Sto Siódmego Pułku piechoty, gdzie mogli więcej zarobić i zobaczyć obce kraje, Donaldson został jednak w Kingsbridge. Był metodystą

i być może nie chciał zabijać. Hornbeam pamiętał go jako młodego milicjanta o dziecięcej twarzy, teraz jednak zobaczył ociężałego mężczyznę w średnim wieku.

– Proszę posłuchać, panie Donaldson, mój wnuk i syn pana Drummonda zostali zwabieni do wojska przez sierżanta, który zajmował się tu wczoraj werbunkiem – oznajmił bez wstępów Hornbeam.

Podpułkownik wzruszył obojętnie ramionami.

– Nie mam z tym nic wspólnego – odparł.

– Ale musi pan wiedzieć, gdzie oni są.

– Nie. Werbownicy nie są głupi. Nie mówią, dokąd się udają, ani mnie, ani nikomu innemu. Często się zdarza, że rekruci zmieniają zdanie albo krewni próbują wyciągnąć ich z wojska. W czasie wojny nikt w armii nie przejmuje się takimi sprawami.

Hornbeam był wściekły, ale spróbował pojednawczego tonu.

– Panie Donaldson, musi pan przynajmniej podejrzewać, dokąd zabrał ich ten sierżant.

– Owszem, mogę się domyślać – przyznał Donaldson. – Są w drodze do portu, z którego okręty przewożą żołnierzy do Hiszpanii. Mogą trafić do Bristolu, Combe, Southampton, Portsmouth, Londynu lub jakiegoś miejsca, o którym nigdy nawet nie słyszałem. I gdziekolwiek są, ich oficer ani na moment nie spuści ich z oczu. Okazję do ucieczki będą mieli dopiero w Portugalii.

– Pojadę do Londynu do Ministerstwa Wojny – powiedział Hornbeam.

– Życzę panu powodzenia. Przekona się pan jednak, że Ministerstwo Wojny nie ma nawet listy nazwisk ludzi służących w armii, nie wspominając już o takich szczegółach jak miejsce, do którego ich przeniesiono.

– Cholera jasna!

W oczach Donaldsona pojawił się świętoszkowaty błysk.

– Bardzo podobny los spotkał Jima Pidgeona – przypomniał spokojnie. – Jego żona nie mogła się dowiedzieć, gdzie go zabrano, jak być może pan pamięta.

Przypuszczam, że czuła się wtedy dokładnie tak jak pan teraz. A kiedy uświadomiła sobie, że wcielono go siłą do marynarki wojennej, nie mogła go już odzyskać.

Hornbeam gotował się ze złości.

– Jak śmiesz!

– Mówię tylko prawdę.

– Jesteś bezczelnym bydlakiem, Donaldson.

– Religia nie pozwala mi wyzwać nikogo na pojedynek, Hornbeam, na twoje szczęście. Ale jeśli nie umiesz zachować się jak dżentelmen, to wynoś się z mojego gabinetu.

– Dajmy spokój, chodźmy stąd – wtrącił się Drummond.

Podeszli do drzwi. Hornbeam odwrócił się i rzucił gniewnie:

– To jeszcze nie koniec, Donaldson!

– Chcesz walczyć z armią, Hornbeam? Być może byłoby to nawet interesujące, ale wiem, kto by wygrał.

Hornbeam wyszedł.

– Donaldson to zarozumiały wieprz, ale ma rację – powiedział Drummond, kiedy przechodzili przez hol. – To ślepy zaułek. Nic już nie możemy zrobić.

– Nie wierzę w ślepe zaułki – burknął Hornbeam. – Czy to prawda, że dziekan katedry zgłosił się na kapelana do Sto Siódmego Pułku?

– Tak, Kenelm Mackintosh, mąż córki dawnego biskupa.

– Popłynął już do Hiszpanii?

– Nie wydaje mi się. Chyba wciąż mieszka w dziekanii.

– Sprawdźmy, czy nie może nam jakoś pomóc.

Dziekania znajdowała się zaledwie kilka kroków dalej. Służąca otworzyła im drzwi i zaprowadziła ich do gabinetu Mackintosha. Właśnie pakował książki do kufra. Na jego przystojnej twarzy malował się wyraz niepokoju.

– Zabiera pan książki na wojnę? – spytał Drummond.

– Oczywiście – odparł dziekan. – Biblię, modlitewnik i kilka książek religijnych. Moim zadaniem jest dostarczanie żołnierzom stawy duchowej, więc

co innego miałbym pakować? Pistolety?

Hornbeam nie chciał wdawać się w dyskusje o roli kapelana wojskowego.

– Wczoraj mój wnuk i syn pana Drummonda wstąpili do Sto Siódmego Pułku Piechoty i nie możemy się dowiedzieć, gdzie są.

– Wielkie nieba! – powiedział zdumiony Mackintosh. – Mam nadzieję, że mój syn nie wpadnie na podobny pomysł.

– Niemal na pewno są w drodze do Hiszpanii, gdzie Sto Siódmy Pułk walczy pod dowództwem Wellingtona.

– Czego ode mnie oczekujecie, panowie?

– Żeby odesłał ich pan do domu!

– Cóż, współczuję, ale nie mogę tego zrobić. Nie będę szkodził armii, odsyłając najlepszych żołnierzy do domu. Gdybym nawet spróbował, prawdopodobnie odesłano by mnie. Dowódcy bez wątpienia uważają, że kapelani nie są tak przydatni jak zdrowi młodzieńcy. Jeśli to jakieś pocieszenie, mogę panów zapewnić, że w razie potrzeby urządzę im chrześcijański pochówek.

Hornbeam poczuł nagle, jak opuszczają go siły. Wzmianka o pochówku go dobiła. Przez dziesięciolecia łudził się nadzieją, że ból i rozpacz już go nie dotkną, że teraz jest panem swojego losu i że przeżył dość tragedii. Teraz jednak stracił to przekonanie i poczuł, jak wypełnia go paniczny strach, którego nie zaznał od czasów dzieciństwa.

– Mackintosh, błagam cię – powiedział z rozpaczą. – Kiedy tam dotrzesz, znajdź mojego wnuka, dowiedz się, jak się czuje, czy jest zdrowy, czy ma co jeść i w co się ubrać, a potem napisz do mnie. Jest bliższy mojemu sercu niż ktokolwiek inny, a teraz nagle znalazł się poza moim zasięgiem, jedzie na wojnę i nie mogę się nim opiekować. Jestem bezradny, padam przed tobą na kolana, błagam cię: zatroszcz się o mojego wnuka, dobrze?

Drummond i Mackintosh wpatrywali się w niego ze zdumieniem. Wiedział dlaczego: nigdy go takiego nie widzieli; nawet nie wyobrażali go sobie w takiej

sytuacji i nie mogli uwierzyć własnym oczom i uszom. Ale już go nie obchodziło, co o nim myślą.

– Zrobisz to, Mackintosh? Proszę...

– Zrobię, co będę mógł – odparł zdeprymowany duchowny.

ROZDZIAŁ 34

Jarge wrócił do domu w fatalnym nastroju; śmierdział piwem i dymem tytoniowym. Najwyraźniej spędził większość czasu ze znajomymi w tawernie. Sal była wściekła.

– Myślałam, że miałeś się dzisiaj spotkać z Mosesem Crocketem.

Crocket był sukiennikiem. Przez parę lat jego zakład był bliski bankructwa, ale niedawno Crocket wygrał przetarg wojskowy na dostawę płótna dla pułku z Devonu i jego firma prężnie się rozwijała. Jarge wciąż pracował dla Hornbeama przez trzy dni w tygodniu, więc Sal zasugerowała mu, że Crocket może szukać tkaczy na pełne sześć dni.

– Tak – odparł Jarge. Widziałem się z nim rano.

– I co?

– Przechodzi na krosna parowe, ot co. Nie może zatrudnić nawet wszystkich swoich tkaczy, nie mówiąc o przyjmowaniu nowych. Jeden człowiek może obsługiwać trzy albo cztery krosna jednocześnie.

– Szkoda.

– Mówi, że musi iść z duchem czasów.

– Trudno się z tym spierać.

– Ja mógłbym się pospierać. Może czasem warto zostać w miejscu.

Sal współczuła łagodnemu Mosesowi Crocketowi, który musiał stawić czoło rozjuszonemu Jarge'owi.

– Mam nadzieję, że się z nim nie pokłóciłeś. – Postawiła przed mężem parującą miskę. – Twoja ulubiona, ziemniaczana, i jest świeże masło do chleba. – Miała nadzieję, że jedzenie wchłonie choć trochę piwa, które w siebie wlał.

– Nie, nie kłóciłem się z Mose'em – odparł Jarge. – Ale może niedługo pokłóci się z nim Ned Ludd. – Zabrał się do jedzenia.

Ned Ludd pojawił się najpierw jako mityczny przywódca niszczycieli maszyn w Midlands i na północy, a potem luddyzm rozprzestrzenił się również na zachodzie Anglii.

Sal usiadła naprzeciwko męża i zaczęła jeść. Zupa i chleb były smaczne i sycące. Odkąd Sue wyszła za męża, a Kit zamieszkał z Rogerem, ona i Jarge zwykle jadali posiłki tylko we dwoje.

– Wiesz, co się dzieje w Yorku, prawda? – spytała.

– Aresztowali ludzi.

– Urządzą proces. Myślisz, że będzie sprawiedliwy i uczciwy?

– Akurat! Pewnie i tak aresztowali niewłaściwych ludzi. Nie obchodzi ich to. Niektórych powieszą, a innych wywiozą do Australii. Chcą tylko, żeby robotnicy bali się tak, że zrezygnują z protestów.

– A jak myślisz, kogo aresztowaliby w pierwszej kolejności, gdyby doszło do niszczenia maszyn w Kingsbridge? – Posmarowała chleb masłem i podała mężowi.

Jarge nie odpowiedział na jej pytanie.

– Wiesz, kto sprzedał Mose'owi te przeklęte parowe krosna, prawda? – zadał swoje. – Twój syn, właśnie on.

– Kit jest też twoim synem, od siedemnastu lat.

– Pasierbem.

– Tak, i jak na ojczyźnie chyba sporo mu zawdzięczasz, co? Przyzwoity dom i dobry obiad co niedzielę, wszystko na jego koszt.

– Nie chcę jałmużny. Chcę kupić dobry obiad za własne pieniądze. Człowiek powinien pracować, zarabiać i płacić za siebie.

– Wiem – przyznała Sal, łagodząc nieco ton. Bo rozumiała to. Pieniądze nie były już dla niej najważniejszym problemem, ponieważ Kit naprawdę dobrze zarabiał i był hojny. Chodziło o dumę Jarge'a. Mężczyźni z natury są dumni, ale on miał tę cechę rozwiniętą ponad przeciętność. – Bezczytność nie jest dobra dla

dobrego człowieka – dodała. – Próżniacy ją uwielbiają, ale ktoś taki jak ty tylko się tym gryzie. Nie pozwól, żeby to doprowadziło cię do zguby.

Zjedli w milczeniu, potem Sal pozmywała. Tego wieczoru wybierali się na ćwiczenia dzwonników. Sal od pewnego czasu towarzyszyła mężowi. Dawniej chodziła do Bella z Joanie i tam czekały na dzwonników, ale odkąd siostrę Jarge'a wywieziono do Australii, nie lubiła chodzić tam sama.

Szli oświetloną latarniami Main Street w stronę katedry. Kiedy przecinali plac, minęli przyjaciela Jarge'a, Jacka Campa, ubranego w dziurawy stary płaszcz.

– Wszystko w porządku? – spytał Jack.

– Tak jest – odparł Jarge. – Idę na dzwonnice.

– Więc może zobaczymy się później.

– Dobrze.

– Jack chyba bardzo cię lubi – powiedziała Sal, gdy odeszli kawałek.

– Dlaczego tak uważasz?

– Spędził z tobą w tawernie cały dzień i jeszcze chce się spotkać wieczorem.

– Nic nie poradzę, że mam takie powodzenie. – Jarge uśmiechnął się szeroko.

Sal parsknęła śmiechem.

Drzwi katedry od strony północnej były otwarte, co oznaczało, że Spade jest już w środku. Wspięli się po spiralnych schodach do pomieszczenia, w którym dzwonnicy zdejmowali właśnie kurtki i podwijali rękawy. Sal usiadła pod ścianą, by im nie przeszkadzać. Lubiła muzykę dzwonów, ale jeszcze bardziej lubiła przekomarzanki mężczyzn, czasami bardzo pomysłowe i zawsze zabawne.

Spade przywołał ich do porządku i zaczęli się rozgrzewać: powtarzali znaną melodię. Potem przeszli do utworów na szczególne okazje, jak śluby czy chrzciny. Sal słuchała i rozmyślała.

Jak zawsze martwiła się o najbliższych. Przez pół życia dbała o to, by Jarge nie pakował się w kłopoty. Uważała, że należy dopominać się swoich praw, ale trzeba to robić we właściwy sposób, kierując się raczej smutkiem niż gniewem. A jej mąż od razu rwał się do kłótni.

Kit miał dwadzieścia siedem lat i wciąż był kawalerem. Z tego, co wiedziała, nigdy nie miał dziewczyny, w każdym razie nie przyprowadził żadnej do domu. Była niemal pewna, że zna przyczynę. Ludzie mówili o takich jak on „nie z tych, co się żenią”, co było uprzejmym określeniem. Akceptowała go takiego, jaki był, ale trochę żałowała, że nie doczeka się wnuków.

Najmniej zmartwień przysparzała jej siostrzenica męża, Sue. Była mężatką i wydawała się szczęśliwa. Miała dwoje dzieci, co w pewnym stopniu rekompensowało Sal brak wnuków.

Z rozmyślań wyrwał ją Jarge.

– Muszę wyjść za potrzebą – powiedział. – Znasz ten następny kawałek, Sal, możesz zająć moje miejsce?

– Chętnie.

W ciągu ostatnich lat robiła to dość często, zwykle gdy któryś z dzwonników zgłaszał w ostatniej chwili, że nie może przyjść. Była wystarczająco silna i pociągała za sznur we właściwym momencie.

Stanęła przy sznurze męża, podczas gdy ten schodził po kamiennych schodach. Jego wyjście trochę ją zaskoczyło, bo nigdy nie musiał wychodzić za potrzebą. Czyżby coś mu zaszkodziło? Z pewnością nie zupa ziemniaczana, ale może coś, co zjadł u Bella.

Odsunęła od siebie te rozmyślenia i skupiła się na instrukcjach Spade'a. Czas mijał tak szybko, że była zaskoczona, gdy próba dobiegła końca. Jej mąż jeszcze nie wrócił. Miała nadzieję, że nie jest chory. Gdy Spade dał jej szylinga Jarge'a, obiecała, że mu go przekaże.

Wszyscy przeszli przez rynek do Bella.

– Jesteś chory? – spytała z niepokojem, kiedy zobaczyła męża stojącego w drzwiach gospody.

– Nie – odparł.

– Możesz mi za to kupić kufel piwa – powiedziała, dając mu szylinga. – Zasłużyłam sobie.

Usiedli, by odpocząć z godzinę przed powrotem do domu. Ludzie, którzy musieli być w pracy o piątej rano, nie siedzieli do późna.

Nie było im jednak dane odpocząć. Kilka minut później do gospody wkroczył szeryf Doye. Na głowie miał tanią perukę, a w ręce ciężką laskę. Wydawał się wystraszony i jednocześnie rozzłoszczony. Towarzyszyło mu dwóch konstabli, Reg Davidson i Ben Crocket. Sal patrzyła na nich ze zdumieniem, zastanawiając się, co ich tak poruszyło. Dostrzegła zaniepokojone spojrzenie Spade'a, jakby domyślał się, o co może chodzić szeryfowi. Sal nie miała pojęcia.

Klienci U Bella wkrótce wyczuli, że atmosfera uległa wyraźnej zmianie. W sali zrobiło się cicho i wszyscy patrzyli na Doye'a. Nikt go nie lubił.

– W zakładzie Mose'a Crocketa wybuchł pożar – oznajmił szeryf.

Wśród zebranych podniósł się szmer zdumienia.

– Po szczątkach widać wyraźnie, że wiele maszyn zostało rozbitych, nim zaczęło się palić.

Ludzie byli zszokowani.

– Wyłamano zamek w drzwiach – dodał Doye.

– O cholera – mruknął Spade.

– A na ścianie na zewnątrz ktoś napisał czerwoną farbą NED LUDD.

A więc sprawa jest jasna, pomyślała Sal. Zakład Mosesa Crocketa został zaatakowany przez luddystów.

– Ludzie, którzy to zrobili, zawisną, możecie być pewni – obwieścił Doye, po czym wskazał prosto na Jarge'a. – Box, jesteś najgorszym wichrzycielem w mieście. Co masz do powiedzenia?

Jarge odpowiedział mu uśmiechem. Sal zastanawiała się, jak jej mąż może być tak pewny siebie, gdy grozi mu kara śmierci.

– Jesteś głuchy, szeryfie? – rzucił.

Doye spojrzał na niego ze złością.

– O czym ty mówisz?

– Zaczniemy cię nazywać Głuchy Doye. – Jarge najwyraźniej doskonale się bawił.

– Nie jestem głuchy, prostaku.

– Skoro nie jesteś głuchy, musiałeś słyszeć to, co słyszeli wszyscy inni w Kingsbridge dziś wieczorem: katedralny dzwon numer siedem, który obsługuję.

Klienci zebrani w gospodzie ryknęli śmiechem, zadowoleni, że nielubiany Doye wyszedł na głupca. Sal nie uśmiechała się jednak. Wiedziała już, co zrobił Jarge, i była na niego wściekła. Wciągnął ją w spisek, nie mówiąc jej o tym. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że był jednym z ludzi, którzy włamali się do zakładu Crocketa. Ale miał alibi: był na ćwiczeniach dzwonników. Tylko Sal i inni dzwonnicy wiedzieli, że wymknął się z katedry, a on liczył na to, że zachowają to w tajemnicy. Albo skłamię, albo wydam męża i trafi na szubienicę, pomyślała. Nie mogła się z tym pogodzić.

Po raz drugi tego wieczoru przechwyciła spojrzenie Spade'a – on też się domyślił. Bez wątpienia poszedł tym samym tokiem rozumowania co ona i wyciągnął ten sam wniosek: Jarge naraził ich wszystkich na niebezpieczeństwo.

Doye wydawał się kompletnie skołowany. Nie był zbyt bystry. Jego główny podejrzanym miał alibi, szeryf nie wiedział więc, co zrobić.

– Jeszcze się przekonamy! – odezwał się po dłuższej chwili, lecz zabrzmiało to tak słabo, że klienci gospody znów parsknęli śmiechem.

Gdy wyszedł, sala znów wypełniła się gwarem rozmów. Spade pochylił się do Jarge'a.

– Nie powinienes był tego robić – powiedział cicho, ale na tyle wyraźnie, by słyszeli go inni dzwonnicy. – Postawiłeś nas w sytuacji, w której musimy kłamać, żeby cię chronić. Będę próbował tego uniknąć, ale krzywoprzysięstwo to poważne przestępstwo, a ja nie mam ochoty łamać dla ciebie prawa.

Pozostali kiwali w milczeniu głowami.

Jarge udawał, że wcale się tym nie przejmuje.

– Ta sprawa nie trafi do sądu.

– Mam nadzieję – rzucił Spade. – Ale jeśli jednak trafi i będę zmuszony składać zeznania, powiem prawdę, zapewniam cię. I jeżeli cię powieszają, będzie to tylko twoja wina.

*

Na początku lutego, gdy Elsie już od jakiegoś czasu mieszkała z matką i Spade'em, otrzymała list z Hiszpanii, zaadresowany znajomym starannym pismem Kenelma. Zabrała go do salonu i otworzyła podekscytowana.

Ciudad Rodrigo, Hiszpania

Boże Narodzenie 1812

Kochana żono!

Jestem w miejscowości Rodrigo w Hiszpanii. To małe miasto położone na urwisku nad rzeką. Jest w nim katedra, niestety, rzymskokatolicka. Mieszkam w maleńkim pokoiku w domu zajmowanym przez oficerów Sto Siódmego Pułku Piechoty.

A więc dotarł bezpiecznie na miejsce. Przyjęła to z ulgą, bo podróże morskie zawsze wiązały się z zagrożeniami.

Nie kochała Kenelma – nigdy – ale na przestrzeni lat nauczyła się doceniać jego zalety i tolerować słabości. Poza tym był ojcem jej pięciorga dzieci. Jego bezpieczeństwo było dla niej ważne.

Myślałem, że Hiszpania to gorący kraj, ale teraz jest tu okropnie zimno, a w oknach nie ma szyb – jak w większości tutejszych domów. Na wschodzie widać śnieg na szczytach gór, które nazywają tu sierras.

Będzie musiała wysłać mu ciepłe ubrania: bieliznę i wełniane pończochy. Biedaczysko. A ludzie tak narzekają na nieznośny upał w Hiszpanii.

Armia powoli dochodzi do siebie po ostatnim niepowodzeniu. Oblężenie Burgos zakończyło się klęską i nasze siły wycofały się w nieładzie. Wielu żołnierzy padło ofiarą zimna i głodu podczas długiego marszu do zimowych kwater. Doszło do tego, nim tutaj przyjechałem.

Czytała o tym odwrocie w gazetach. W zeszłym roku Wellington odniósł kilka znaczących zwycięstw, wyglądało jednak na to, że ostatecznie wrócił do punktu wyjścia. Zastanawiała się, czy rzeczywiście jest tak dobrym generałem, jak o nim mówiono.

Żołnierze bardzo potrzebują duchowego przewodnictwa. Można by pomyśleć, że wojna będzie im przypominać o bliskości nieba i piekła, skłaniać ich do refleksji nad życiem i zwracać ku Bogu, wygląda jednak na to, że to wcale tak nie działa. Tylko nieliczni chcą uczestniczyć w nabożeństwach. Wielu w wolnym czasie pije mocny alkohol, wydaje żołd na hazard i na – wybaczyć, moja droga – prostytutki. Naprawdę mam tu mnóstwo pracy! Przede wszystkim przypominam im, że jako ich kapelan zawsze jestem gotów się z nimi pomodlić, jeśli tego potrzebują.

Elsie pomyślała, że to znacząca zmiana. Dotąd Kenelm zawsze był przywiązany do ceremonialnego aspektu Kościoła anglikańskiego. Przykładał dużą wagę do bogatych szat, wysadzanych klejnotami naczyń liturgicznych i procesji. Dawniej modlitwa z cierpiącymi nie była dla niego priorytetem. Służba w wojsku poszerzała jego horyzonty.

Kiedy już się tu zadamowiłem, pomyślałem, że powinienem złożyć wizytę Wellingtonowi. Ma kwaterę w wiosce o nazwie Freineda, spory kawałek drogi stąd, ale można tam dotrzeć pieszo. Wioska jest przerażająco brudna i zniszczona. Ze smutkiem zauważyłem obecność kilku młodych kobiet określonego rodzaju (pomiń, proszę, to zdanie, gdy będziesz czytać list dzieciom).

Nasz głównodowodzący zajmuje dom przy kościele. To najlepsza kwatera w tej miejscowości, choć niewiele to znaczy: kilka pokoi nad stajnią. Wychowywał się w zamku Dangan, a jego ojciec był hrabią Morningtonu – musi to być dla niego nie lada odmiana!

Kiedy się tam zjawiłem, rozmawiałem z adiutantem Wellingtona i dowiedziałem się, że generał wybrał się właśnie na polowanie. Cóż, zapewne musi coś robić z wolnym czasem, gdy nie toczy bitew. Adiutant zachowywał się dość wyniośle i powiedział, że nie jest pewien, czy generał będzie miał czas, by mnie przyjąć. Nie miałem wyboru, musiałem na niego czekać.

Wyobraź sobie, kogo spotkałem podczas tego oczekiwania: Henry’ego, hrabiego Shiring! Schudł, ale sprawia wrażenie bardzo zadowolonego; właściwie mógłbym powiedzieć, że jest w swoim żywiole. Został przeniesiony do sztabu głównego i współpracuje blisko z Wellingtonem. Są dokładnie w tym samym wieku, poznali się zresztą w 1786 roku jako studenci Ecole Royale d’equitation w Angers.

Elsie pomyślała, że tych dwóch mężczyzn łączy coś jeszcze: Henry’ego bardziej interesowała wojna niż żona, a jeśli wierzyć plotkom, Wellington był taki sam.

Przypomniałem sobie o wnuku radnego Hornbeama i wspomniałem, że Joe Hornbeam i Sandy Drummond, kierowani patriotyzmem, zgłosili się do armii, co zainteresowało Henry’ego. Powiedziałem mu, że to dwaj bystrzy młodzieńcy z gimnazjum w Kingsbridge i że mogliby być dobrymi oficerami. Obiecał, że postara się ich znaleźć. Powiedz więc, proszę, radnemu Hornbeamowi, że zrobiłem, co w mojej mocy, by jego wnuk został oficerem.

Elsie oczywiście zamierzała przekazać tę informację Hornbeamowi. Z pewnością nie ukoji jego obaw, ale przynajmniej będzie wiedział, że dwaj ludzie z Kingsbridge szukają jego wnuka w Hiszpanii.

W końcu pojawił się Wellington, ubrany w błękitny surdut i czarną pelerynę, czyli – jak się później dowiedziałem – uniform Klubu Łowieckiego z Salisbury. Natychmiast zrozumiałem, dlaczego nazywają go Starym Nochalem; rzeczywiście ma imponujący długi nos z garbem. Poza tym jest przystojnym mężczyzną, nieco wyższym niż większość, ma kręcone włosy zaczesane tak, by ukryć niewielkie zakola.

Henry przedstawił mnie, po czym Wellington rozmawiał ze mną przez kilka minut, stojąc przy koniu. Pytał mnie o studia w Oksfordzie i karierę w Kingsbridge, a na koniec powiedział, że cieszy się, iż mnie poznał. Nie zaprosił mnie do domu, ale byłem zadowolony, bo wielu ludzi widziało, że się mną zainteresował. Był życzliwy i bezpośredni, odniosłem jednak wrażenie, że lepiej by było nie stać się przyczyną jego niezadowolenia. Żelazna pięść w aksamitnej rękawiczce, podpowiada mi instynkt.

Elsie cieszyła się, że mąż spotkał się z Wellingtonem. Wiedziała, jak bardzo sobie to ceni i że jeszcze przez wiele miesięcy będzie z radością wspominał rozmowę z głównodowodzącym na oczach wielu ludzi. Była to nieszkodliwa słabość, którą nauczyła się tolerować.

Będę już kończył i dopilnuję, żeby list trafił do cotygodniowej poczty przesyłanej z Lizbony do Anglii. Będzie towarzyszył meldunkom Wellingtona i wielu innym listom skierowanym do najbliższych, którzy pozostali w ojczyźnie. Często myślę o dzieciach – przekaz im, proszę, moje pozdrowienia. Nie muszę chyba wspominać, że przekazuję też Tobie najgłębsze wyrazy szacunku i miłości, ukochana żono.

*Twój oddany mąż,
Kenelm Mackintosh*

Odłożyła list, myślała o nim przez chwilę, a potem przeczytała go ponownie. Zauważyła, że Kenelm aż trzykrotnie użył w nim słów takich jak *ukochana* czy

miłość, mniej więcej tyle samo razy, ile wypowiedział je w ciągu osiemnastu lat ich małżeństwa.

Po paru minutach poprosiła dzieci, by przyszły do salonu.

– Mamy list od waszego ojca – oznajmiła, co wszystkie przyjęły głośnymi ochami i achami. – Usiądźcie, przeczytam wam go.

*

Burmistrz Fishwick zwołał nadzwyczajne zebranie rady miasta, by omówić działania luddystów. Spade wiedział o nich więcej niż ktokolwiek inny, musiał jednak ukrywać tę wiedzę. Postanowił wziąć udział w zebraniu, ale mówić niewiele albo nic. Mógłby oczywiście w ogóle nie przyjść, tylko że to wyglądałoby podejrzanie.

Spotkania rady zwykle odbywały się w pogodnej atmosferze; elegancko ubrani i pewni siebie mężczyźni podejmowali bez wahania decyzje dotyczące zarządzania sprawami miasta, a przy okazji częstowali się sherry z karafki stojącej na środku starego stołu. Uważali, że mają pełne prawo administrować miastem, i byli pewni, że idzie im to całkiem nieźle.

Spade pomyślał, że dziś nie są już tacy zadowoleni z siebie. W sali panował nastrój przygnębienia. Radni wyglądali na wystraszonych.

Fishwick wyjaśnił w skrócie, co jest przyczyną tych nastrojów.

– Po napaści na zakład Mosesa Croketa trzy inne stały się celami ataku tych złoczyńców – powiedział. – Świński Zakład radnego Hornbeama, Stary Zakład radnego Barrowfielda i mój. We wszystkich przypadkach zniszczono maszyny, wywołano pożar, a na ścianie napisano wielkimi czerwonymi literami NED LUDD. Podobne wypadki miały miejsce w pobliskich miastach.

– Czy ten człowiek przeniósł się tutaj z północy? – spytał Hornbeam.

– Moim zdaniem on w ogóle nie istnieje – odparł burmistrz. – Ned Ludd jest prawdopodobnie mityczną postacią, jak Robin Hood. Uważam, że do tych

okropności nie dochodzi za sprawą jakiejś organizacji, która tym steruje. Po prostu niezadowoleni ludzie naśladują innych niezadowolonych ludzi.

– Jak dotąd szczęśliwie udało mi się uniknąć takich kłopotów – odezwał się Rupe Underwood. Tak jak Amos był już po czterdziestce. Jego blond grzywka zdążyła nieco posiwieć, ale wciąż miał w zwyczaju podrzucać głową, by usunąć ją z oczu.

Spade pomyślał, że akty wandalizmu prawdopodobnie ominą Rupe'a. Wprawdzie proces produkcyjny jedwabnych wstążek wyglądał podobnie jak obróbka wełny – przędzenie, farbowanie i tkanie – ale jego zakład zatrudniał niewielu ludzi.

– Muszę o coś spytać – powiedział Rupe. – Czy zakłady, na które przypuszczono ataki, były strzeżone?

– Wszystkie – odparł Fishwick.

– Więc dlaczego strażnicy nie powstrzymali napastników?

– Moi zostali obezwładnieni i związani.

– Moi porzucili pałki i uciekli – oznajmił zniesmaczony Hornbeam. – Zatrudniłem nowych i dałem im pistolety, ale takie działania to musztarda po obiedzie.

Amos Barrowfield zmarszczył brwi.

– Nie wiem, czy użycie broni palnej to dobry pomysł – wtrącił. – Jeśli damy ją strażnikom, luddyci zapewne także się w nią zaopatrzą, a wtedy nie unikniemy ofiar śmiertelnych. Ja zwiększyłem liczbę strażników, ale zostawiłem im tę samą broń, mają tylko pałki.

– Jeśli nie podejmiemy stanowczych działań, nigdy nie pozbędziemy się tych cholernych luddystów – oświadczył zirytowany Hornbeam.

Fishwick wyraźnie się obruszył.

– Rozumiem, że emocje są silne, ale generalnie staramy się unikać niestosownego języka podczas zebrań rady – powiedział.

– Przepraszam – rzucił naburmuszony Hornbeam. – Ale z pewnością większość z nas czytała o procesie luddystów w Yorku. Przed sądem wyjazdowym stanęło sześćdziesięciu czterech mężczyzn. Siedemnastu z nich powieszono, a dwudziestu czterech wywieziono do Australii. I napady na zakłady włókiennicze ustały.

– Tylko że my nigdy nie złapaliśmy sprawców na gorącym uczynku – zauważył burmistrz. – Zawsze atakują w nocy. Noszą kaptury z otworami na oczy, więc nie znamy nawet koloru ich włosów. Działają bardzo szybko, więc zapewne dobrze znają zakłady. Włamują się do środka, niszczą, co się da, i uciekają, zanim ktoś zdąży ich zatrzymać. A potem znikają.

– Pewnie odbiegają na niewielką odległość – wtrącił Rupe. – Zdejmują kaptury, a potem wracają, udają wystraszonych obywateli i zaczynają gasić ogień.

Prawdopodobnie tak właśnie działają, pomyślał Spade.

– Chwileczkę – odezwał się Hornbeam. – Takie problemy nie przeszkadzały władzom w Yorku. Wiedzieli, kim są wandalę, i uznali ich za winnych, nie martwiąc się prawniczym gadaniem o dowodach.

Spade wiedział, że to prawda. Czytał o tym kontrowersyjnym procesie w gazetach. Część oskarżonych nie miała nic wspólnego z luddystami, niektórzy mieli alibi, ale i tak uznano ich za winnych. Hornbeam najwyraźniej chciał takiej samej sprawiedliwości w Kingsbridge.

– Wiemy, którzy robotnicy w Kingsbridge stracili pracę z powodu nowych maszyn – powiedział radny. – Musimy po prostu przygotować odpowiednią listę.

– I co, powiesić wszystkich? – spytał Amos.

– Moglibyśmy zacząć od aresztowania ich. Przynajmniej wiedzielibyśmy, że mamy luddystów pod kluczem.

– I do tego kilkuset niewinnych ludzi.

– Nie ma ich aż tylu.

– Kiedy zdążył ich pan policzyć? – spytał Amos.

Hornbeam nie lubił, gdy zadawano mu pytania.

– No dobrze, Barrowfield – rzucił. – Powiedz mi, jak wygląda twój plan.

– Róbnmy więcej dla bezrobotnych.

– Na przykład?

– Dopilnujemy, żeby dostawali zapomogę dla biednych, bez spierania się o szczegóły.

Był to bezpośredni przytyk pod adresem Hornbeama jako nadzorcy biednych.

– Dostają to, do czego są uprawnieni – prychnął z oburzeniem.

– I dlatego rozbijają maszyny – odparował Amos. – I być może będą to robić dalej, jeśli im nie pomożemy... bez względu na to, do czego są uprawnieni przy ścisłej interpretacji przepisów.

Spade kibicował w duchu Amosowi.

– Przepisy są przepisami! – oburzył się znowu Hornbeam.

– A ludzie ludźmi – odpowiedział spokojnie Amos.

Hornbeam był coraz bardziej zirytowany.

– Musimy dać im nauczkę! – krzyknął. – Kilka egzekucji zakończy luddyzm.

– Jeśli będziemy świadomie wieszać niewinnych ludzi, być może uda nam się powstrzymać wandalizm, ale będziemy winni morderstw.

– Żaden z nich nie jest niewinny! – rzucił czerwony z gniewu Hornbeam.

Amos westchnął ciężko.

– Jeśli będziemy traktować robotników jak wrogów, będą się zachowywać jak wrogowie.

– Próbujesz usprawiedliwiać przestępców.

– Jeśli postąpimy tak, jak sąd w Yorku, to będziemy przestępcami.

– Panowie, pozwólcie – zainterweniował Fishwick. – Nie będziemy usprawiedliwiać przestępców i nie będziemy wieszać niewinnych ludzi. Zbierzemy świadków i wytoczmy proces tym, którzy są naprawdę winni. Jeśli zostaną skazani, powiesimy ich z Bożym błogosławieństwem.

– Amen. – Amos skinął głową.

Hornbeam stał w tkalni swojego drugiego zakładu, który wciąż normalnie działał. Ten nie został jeszcze zaatakowany, ale w każdej chwili mógł stać się obiektem napaści, bo używano w nim krosien parowych, które szczególnie rozsierdzały luddystów.

Nigdy nie był na polu bitwy, ale przypuszczał, że panuje tam właśnie taki hałas jak w sali pełnej krosien. Przez cały dzień maszyny klekotały i stukały tak głośno, że uniemożliwiały prowadzenie normalnej rozmowy. Robotnicy pracujący przez wiele lat przy krosnach często cierpieli potem na głuchotę.

Głównym zadaniem pracowników tej tkalni było wyszukiwanie wad w suknie. Naprawiali zerwane nici, używając małego, płaskiego węzła tkackiego, i musieli to robić szybko, by zminimalizować straty w produkcji. Drugim ważnym zadaniem było zmienianie co kilka minut szpul, bo maszyny szybko zużywały kolejne porcje nici. Jedna osoba mogła obsługiwać dwa do trzech krosien jednocześnie.

Często dochodziło do wypadków – zdaniem Hornbeama dlatego, że robotnicy byli nieuważni. Widział kiedyś, jak luźny rękaw pracownika wkręcił się pod pas napędowy i nieszczęśnikowi urwało rękę z barku. Przyczyną większości wypadków było mechaniczne czółenko tkackie. Poruszało się niezwykle szybko, przesuając się przez przesmyk dwa albo trzy razy na sekundę. Było wykonane z drewna, ale miało na obu końcach metalowe groty, które chroniły je przed zniszczeniem przy uderzeniu w bufor. Jeśli krosno działało zbyt szybko, czółenko uderzało zbyt mocno i wylatywało poza maszynę, raniąc każdego, kto znalazł się na jego drodze.

Kiedy w zakładzie zjawił się Phil Doye, Hornbeam opuścił tkalnię i spotkał się z nim w biurze, gdzie nie przeszkadzał im hałas.

– Musimy znaleźć przynajmniej jednego z luddystów i postawić go przed sądem – powiedział. – Dam ci nazwiska kilku mężczyzn, którzy mogą nam dostarczyć przydatnych informacji. – Każdy z tych ludzi był mu winien pieniądze i nie miał z czego oddać, ale szeryf nie musiał o tym wiedzieć.

– Dobrze, panie Hornbeam – odparł Doye. – Jakich informacji mam szukać?

– Nazwisk luddystów. Ale potrzebujemy czegoś więcej. Spróbuj znaleźć kogoś, kto widział, jak zblizali się po zmroku do któregoś ze zniszczonych zakładów. Albo kogoś, kto zobaczył, jak zakładali albo ściągali kaptury.

– Mogę spróbować. – W głosie szeryfa było słycać powątpiewanie.

– Každy, kto pomoże nam w ten sposób, może liczyć na dyskretną nagrodę. Będą ryzykować, świadcząc przeciwko brutalnym ludziom, więc potrzebują zachęty. Możemy zapłacić funta každyemu, kto złoży zeznanie podczas procesu. Musimy jednak zachować to w tajemnicy, bo robotnicy będą insynuować, że przekupiliśmy świadków i że ich zeznania nie są wiarygodne.

– Rozumiem, panie radny.

– Wciąż podejrzewam Jarge'a Boxa – dodał Hornbeam po chwili zastanowienia.

– Ale on był wtedy na wieży katedry.

– Dowiedz się, czy ktoś nie widział go idącego przez miasto, gdy biły dzwony.

– To niemożliwe.

– Mógł go ktoś zastąpić. Skąd wiemy, że tak nie było?

– To nie jest łatwe, panie radny. Trzeba się tego długo uczyć.

– Mógł to być były dzwonnik, który już z tego zrezygnował. Albo człowiek z innego miasta. Porozmawiaj z ludźmi, którzy znają dzwonników i mogli coś słyseć.

– Tak jest.

– No dobrze, bierz się do pracy – rzucił Hornbeam lekceważąco. – Chcę, żeby ktoś został uznany za winnego tych napaści. I chcę, żeby zawisnął.

ROZDZIAŁ 35

Kit Clitheroe odwiedził zakład tkacki Spade'a i spytał, jak sobie radzi z krosnem Jacquarda.

– Jest niezwykle – odparł Spade. – Obsługuje je Sime Jackson, ale ta maszyna właściwie nie potrzebuje tkacza. Kiedy jest już odpowiednio nastawiona, może się nią zajmować nawet żółtodziób. Teraz najważniejsza umiejętność to projektowanie wzorów i przygotowywanie kart z dziurkami.

– Powinieneś zamówić jeszcze jedno takie krosno – powiedział Kit. – Zwiększyć dwukrotnie produkcję. – To był prawdziwy powód jego wizyty.

– Zrobiłbym to, gdybym nadal miał swoich francuskich klientów. – Spade westchnął. – W Paryżu działa mnóstwo małych zakładów i sklepów. Nazywają je *marchands de modes*. Sprzedają suknie, kapelusze i różnego rodzaju akcesoria: koronki, chusty, sprzączki i tak dalej. Kiedyś te firmy kupowały prawie połowę mojej produkcji.

– Ale zamieniłeś ich na kupców znad Bałtyku i z Ameryki.

– Tak, Bogu dzięki. Tylko że ci chcą prostych wytrzymałych tkanin. Kupię od was następne krosno Jacquarda, gdy tylko ta przeklęta wojna się skończy.

– Na pewno zapukam wtedy do twoich drzwi. – Kit przybrał pogodną minę, ale w głębi duszy był przybity.

– Przykro mi, że cię rozczarowałem – powiedział Spade, który bezbłędnie wyczuwał ludzkie nastroje. – Macie problemy ze sprzedażą maszyn?

– Trochę. Przez luddystów.

– Sądziłem, że wielu sukienników będzie chciało zamówić nowe maszyny w miejsce tych zniszczonych.

– Nieprędko. Nie stać ich na to. Wally Watson nie kupi następnej gręplarki, wrócił do ręcznego gręplowania.

– Przypuszczam, że ktoś, kto pozwoliłby sobie na nowe maszyny, mógłby sprowokować luddystów do następnej wizyty.

– Na tym właśnie polega problem. – Kit wstał. Nawet przed Spade'em nie chciał okazywać słabości. – Ale będziemy cierpliwie czekać, w końcu coś się zmieni.

– Powodzenia.

Kit wyszedł. Próbował ukrywać swój nastrój, ale był zniechęcony. Po raz pierwszy, odkąd założyli z Rogerem firmę, nie miał pracy ani nie spodziewał się żadnych zamówień. Nie wiedział, co robić. Wolałby nie wydawać oszczędności.

Dobiegał końca szary lutowy dzień, a on nie miał już ochoty ani siły wybierać się z wizytą do innego sukiennika i wypytywać o zamówienia maszyn, więc wrócił do domu. Wszedł do warsztatu mieszczącego się na parterze. Unosił się tu zapach świeżego drewna i oleju maszynowego, woń, która zawsze budziła w nim przyjemne skojarzenia. Wszędzie panował idealny porządek: podłoga była zamieciona, narzędzia starannie posegregowane, drewno ułożone z tyłu. To on się tym zajmował, bo Roger nie przejmował się takimi rzeczami.

Wszedł po schodach do mieszkania na piętrze. Roger siedział rozparty na sofie i wpatrywał się w ogień. Kit pocałował go w usta i usiadł obok.

– Mogę dostać trochę pieniędzy? – spytał Roger. – Wiem, że to jeszcze nie czas, ale zostałem bez grosza.

Takie sytuacje powtarzały się dość często. Co miesiąc Kit obliczał zyski, odkładał trochę na niespodziewane wydatki, po czym dzielił resztę na dwie części i jedną oddawał Rogerowi. Lecz ten zwykle przed końcem miesiąca nie miał już ani pensa. Kiedyś Kit wypłacał mu zyski z wyprzedzeniem, ale czasy się zmieniły.

– Nie mogę – odparł. – Nie sądzę, żebyśmy w tym miesiącu cokolwiek zarobili.

– Dlaczego? – spytał Roger z rozdrażnieniem.

– Nikt nie kupuje maszyn z powodu luddystów. – Kit pogłaskał jego jasne włosy. Z zaskoczeniem dostrzegł pasmo siwizny nad uchem. Roger miał już prawie czterdzieści lat, więc może nie było to zaskakujące. W każdym razie Kit postanowił o tym nie wspominać. – Na jakiś czas będziesz musiał przestać grać w karty – powiedział. – Zostań ze mną wieczorami w domu. – Przysunął usta do jego ucha i szepnął: – Znajdę ci jakieś zajęcie.

Roger w końcu się uśmiechnął.

– *Danke schön* – rzucił. Uczył Kita niemieckiego. – Może bieda okaże się całkiem przyjemna

Kit wyczuwał jednak, że coś przed nim ukrywa.

– Napijmy się wina – zaproponował. – To nam poprawi humor.

Wstał i przeszedł do kredensu. Zawsze mieli pod ręką butelkę madery. Kit rozlał wino do dwóch kieliszków i usiadł.

Kochał Rogera od wielu lat. Jako chłopiec darzył dziecięcym uwielbieniem swojego dorosłego obrońcę. A kiedy ten wyjechał do Niemiec, Kit wyrósł z tych chłopięcych uczuć. Gdy jednak Roger na nowo pojawił się w jego życiu, zaczął budzić w nim emocje, które go zdumiewały i przerażały. Kit tłumił te myśli i starał się je ukrywać.

Lecz Roger wiedział i otworzył mu oczy.

– Nie ma nic niezwykłego w tym, że mężczyźni kochają się nawzajem – powiedział i Kit nie mógł uwierzyć własnym uszom. – Nie zwracaj uwagi na to, co mówią ludzie. To się dzieje wszędzie, zwłaszcza w Oksfordzie. – Roger zaśmiał się, po czym znów przybrał poważną minę. – Kocham cię i chcę dzielić z tobą łożę, całować cię i dotykać całego twojego ciała, a ty chcesz tego samego. Wiem o tym! Nawet nie próbuj udawać, że jest inaczej.

Kiedy Kit otrząsnął się z pierwszego szoku, był szczęśliwy – wciąż czuł się szczęśliwy, choć Roger miewał gorsze momenty, jak teraz. Kit zastanawiał się właśnie, jak go spytać, o co chodzi, kiedy rozległo się głośne pukanie do drzwi.

– Zejdę – rzucił. Mieli gospodynię, ale skończyła już pracę tego dnia. Zbiegł po schodach i otworzył drzwi.

Przed progiem stał Sport Culliver w czerwonym cylindrze na głowie.

– Muszę porozmawiać z Rogerem – powiedział bez przywitania się.

– Ja też się cieszę, że cię widzę, Sport – odparł sarkastycznie Kit.

– Dajmy sobie spokój z uprzejmościami.

Kit odwrócił się i zawołał:

– Przyszedł Sport Culliver! Chcesz z nim porozmawiać?!

– Lepiej go wpuść! – odparł Roger.

– Będzie zachwycony na twój widok – mruknął Kit. Zamknął drzwi i wpuścił Sporta na górę.

Ten, nie zdjęwszy kapelusza, usiadł bez zaproszenia na krzesło naprzeciwko Rogera.

– Czas się skończył – oświadczył.

– Nie mam ani pensa – rzucił Roger. – Dlaczego nosisz ten idiotyczny kapelusz?

– O Boże, miej nas w swojej opiece – jęknął Kit. – Grałeś za pożyczone pieniądze?

Zawstydzony Roger milczał.

– Owszem, grał i miał mi zapłacić wczoraj – odpowiedział za niego Sport.

Kit od dawna podejrzewał, że Roger może nie dotrzymywać obietnicy, więc tak naprawdę to odkrycie nie było aż tak szokujące. Powstrzymał się i nie przypomniał mu na razie o umowie, bo Roger i bez tego był wystarczająco przybity.

– Och – westchnął Kit. – Ile jesteś winien?

I znów odpowiedział mu Sport:

– Dziewięćdziesiąt cztery funty, sześć szylingów i osiem pensów.

Tym razem Kit był naprawdę zszokowany.

– Nie mamy tyle! – wykrzyknął.

– A ile macie? – spytał Sport.

Kit miał mu już powiedzieć, ale Roger odezwał się pierwszy.

– To nie ma znaczenia. Dostaniesz swoje pieniądze, Sport. Zapłacę ci jutro.

Kit był pewien, że blefuje. Sport również.

– Dam ci czas do jutra – powiedział. – Ale jeśli znów zaczniesz się wymigiwać, będziesz się musiał spotkać z Frogeye'em i Bullem.

– Co to za jedni? – spytał Kit.

– Pracują dla niego – wyjaśnił Roger. – Wyrzucają pijaków na zewnątrz i biją ludzi, którzy są mu winni pieniądze.

– Jaki to ma sens? – zdziwił się Kit. – Jeśli ktoś nie ma pieniędzy, to kiedy go pobiją, nadal nie będzie ich miał.

– Ale inni się wystraszą i nie będą mnie oszukiwać – wytłumaczył Sport i wstał. – Więc albo zobaczysz się ze mną jutro, albo z Frogeye'em i Bullem pojutrze.

Kit zszedł za nim po schodach. Sport sam otworzył drzwi i wyszedł, nie odezwawszy się ani słowem. Kit zamknął za nim i wrócił na górę.

– Przepraszam, przepraszam – powtarzał Roger, unikając jego wzroku. – Bardzo cię przepraszam. Zawiodłem cię.

Kit objął go ramieniem.

– To nieważne – powiedział. – Pytanie, co z tym zrobimy.

– To nie twój problem. Nie jesteś w to zamieszany, nigdy nie grałeś.

– A jak myślisz, co zrobię? Będę czekał spokojnie, aż typy o jakichś dziwnych przezwiskach przyjdą tu i cię pobiją?

– Zanim przyjdą, mnie tu już nie będzie. Muszę jutro wyjechać.

Kit poczuł się dotknięty. Jak on mógł tak spokojnie mówić, że go zostawi?

– Dokąd? – spytał. – Co będziesz robił?

– Myślałem już o tym. Wstąpię do Królewskiej Artylerii. Zawsze potrzebują ludzi, którzy potrafią naprawiać różne rzeczy, zwłaszcza armaty.

Kit milczał, oswajając się z tą myślą. Roger w wojsku! Prawdopodobnie wyślą go do Hiszpanii. Być może nie wróci. Nie wyobrażał sobie tego.

Ale jakie było wyjście? Kit nie był w stanie spłacić długu i nie potrafiłby obronić Rogera – ani siebie – przed płatnymi zbirami, a nie mógł bez niego żyć.

W końcu znalazł jedyne rozwiązanie.

– Naprawdę chcesz to zrobić? – zwrócił się do Rogera. – Wstąpisz do wojska?

– Tak. Nie mam innego wyjścia.

– Kiedy?

– Jutro pojedę dyliżansem do Bristolu. Podobno cumuje tam statek, którym mają popłynąć żołnierze do Hiszpanii.

– Tak prędko!

– To musi być jutro.

– W takim razie jadę z tobą.

*

Sal i Jarge zamknęli dom Kita. Jarge naoliwił narzędzia i owinął je w ceratę. Sal włożyła ubrania i pościel do worków, wrzuciła do każdego trochę lawendy do odstraszania moli i zaszyła je. Pozostałe rzeczy schowała do pożyczonych skrzyń.

Za jej rękawem tkwił list od Kita.

Ukochana Mamo!

Musimy uciekać. Roger jest winien pieniądze i nie ma z czego oddać, a nasza firma upadła przez luddystów. Kiedy przeczytasz ten list, będę już daleko od Kingsbridge. Zamierzamy wstąpić do Królewskiej Artylerii.

Przepraszam, że doznałaś takiego szoku.

Proszę, wyślij wszystkie nasze rzeczy do warsztatu Rogera w Badfordzie. Klucz jest w liście.

Twój kochający syn

Kit

Sal była przerażona i zapłakana. Kit był jej jedynym dzieckiem. Rozum podpowiadał jej, że dwudziestoosmioletni mężczyzna nie musi mieszkać blisko matki, ale w głębi serca czuła się opuszczona. Przerazało ją to, co mogło mu się przydarzyć na wojnie. Kit miał wiele wspaniałych cech i jeden wyjątkowy talent, ale nigdy nie potrafił walczyć. Artylerzyści zajmowali się armatami, a to oznaczało, że zarówno Kit, jak i Roger będą w samym środku każdej bitwy i żołnierze nieprzyjaciela będą próbowali zabić ich za wszelką cenę. Gdyby syn zginął, pękłoby jej serce. Co gorsza, zawsze czułaby, że to wina Jarge'a, bo to on doprowadził do upadku firmę Kita, rozbijając maszyny w zakładach włókienniczych.

Kiedy byli zajęci pracą, pojawiło się dwóch mężczyzn. Jeden był niski, z szerokimi barami, a drugi miał wyjątkowo wyłupiaste oczy. Obaj trzymali w rękach pałki wyciosane z drewna dębowego.

– Gdzie jest Roger Riddick? – spytał ten z wyłupiastymi oczami.

Jarge odwrócił się do niego powoli.

– A dlaczego szukasz go z pałką w ręce, Frogeye?

Sal była gotowa dołączyć do bójki, ale nie chciała, by do niej doszło.

– *Odpowiedź łagodna uśmierza zapalczywość**, pamiętaj o tym, Jarge – mruknęła.

– Riddick jest komuś winien dużo pieniędzy, jeśli musisz wiedzieć – odparł Frogeye.

– Naprawdę? – Jarge skrzywił się. – Cóż, nie ma go tutaj, a ja zastanawiam się, czy nie złamać tej pałki na twoim paskudnym łbie, więc radzę ci się stąd wynieść, póki jestem w dobrym humorze. – Odwrócił się do drugiego mężczyzny. – To samo odnosi się do ciebie, Bull.

– A co z pieniędzmi pana Cullivera? – spytał Frogeye. – Riddick jest mu winien dziewięćdziesiąt cztery funty, sześć szylingów i osiem pensów.

Sal była zszokowana wysokością tej kwoty, przekraczającej wszystkie oszczędności Kita.

– Jeśli Sport Culliver pozwolił Rogerowi Riddickowi zaciągnąć tak wielki dług, to jest jeszcze większym głupcem, niż przypuszczałam – skwitowała.

– Mamy przynieść panu Culliverowi jego pieniądze.

– Mam w kieszeni jakieś sześć pensów – powiedział Jarge. – Możesz spróbować mi je odebrać, jeśli myślisz, że masz jakieś szanse.

– Gdzie jest Riddick?

– Pojechał do arcybiskupa Canterbury, żeby porozmawiać z nim o zgubnych skutkach hazardu.

Skonsternowany Frogeye zmarszczył czoło.

– Dowcipniś z ciebie, co? – rzucił. Odwrócił się i ruszył do wyjścia, a Bull poszedł za nim.

Kiedy byli już w bezpiecznej odległości, Frogeye zawołał:

– Jeszcze się zobaczymy, Jarge! Ciekawe, czy będzie ci do śmiechu, kiedy zadyndasz na stryczku.

*

Na marcowym posiedzeniu sądu zajmowano się sprawą Jarge'a. Sędziom jak zwykle przewodniczył Hornbeam. Ława przysięgłych miała zdecydować, czy Jarge powinien trafić przed sąd wyjazdowy w związku z oskarżeniem o niszczenie maszyn, za które groziła nawet kara śmierci.

Oskarżycielem był szeryf Doye, co nie zdarzało się często. Zwykle ta funkcja przypadała pokrzywdzonej stronie – w tym wypadku był nią Moses Crocket – ale nie decydowały o tym żadne sztywne reguły.

Pierwszym świadkiem była Maisie Roberts, robotnica, która mieszkała przy jednej z należących do Hornbeama ulic po południowej stronie rzeki, w pobliżu zakładów włókienniczych. Była młoda i ubrana w łańchmany. Sal знаła ją z widzenia, ale nigdy z nią nie rozmawiała.

Maisie wydawała się zadowolona, że jest w centrum uwagi. Sal pomyślała, że dziewczyna prawdopodobnie dopuściłaby się krzywoprzysięstwa za marne sześć

pensów.

Zeznała, że widziała Jarge'a idącego w stronę zakładu Crocketa i zwróciła uwagę na to, że w tym samym czasie dzwonią dzwony. Utkwiło jej to w pamięci, bo była zaskoczona.

– Wiedziałam, że jest dzwonnikiem – powiedziała.

Sal przed rozprawą omówiła z mężem pytania, jakie powinien zadać świadkom. Nie zapisał ich, bo nie umiał czytać, ale potrafił zapamiętać ważne rzeczy.

– Pamiętasz, czy było ciemno tego wieczoru, gdy dzwoniliśmy? – zwrócił się do Maisie.

– Tak, było ciemno – odparła.

– Więc jak mnie rozpoznałaś?

– Niosłeś lampę – odpowiedziała bez wahania, Sal domyśliła się więc, że ktoś przygotował ją na to pytanie.

– I światło lampy wystarczyło, żebyś mnie rozpoznała – drążył Jarge.

– Tak, poza tym poznałam cię po sylwetce. – Uśmiechając się szeroko, Maisie dodała: – Niewielu mężczyzn jest tak wielkich jak ty. – Była bystra.

Kilka osób roześmiało się i dziewczyna wyglądała na bardzo zadowoloną z siebie.

– Czy ten mężczyzna, którego wtedy widziałaś i którego wzięłaś za mnie, rozmawiał z tobą?

– Nie.

Jarge wyglądał tak, jakby zapomniał, co ma powiedzieć.

– Spytaj, kto jej wynajmuje mieszkanie – wyszeptała Sal.

Usłyszał i zadał to pytanie.

– Pan Hornbeam – odparła Maisie.

– A ile zalegasz mu z czynszem?

– Nic. – Wyglądała na jeszcze bardziej zadowoloną z siebie.

Sal była pewna, że dziewczyna została przekupiona. Czuła jednak, że nie ma prawa się na nią oburzać: przecież Jarge naprawdę był winny.

Potem zeznawała Marie Dodds, wdowa po Bennym Doddsie, który był dzwonnikiem. Przed laty Benny zadurzył się w Sal, a choć ta nigdy nie reagowała na jego zaczepki, Marie była na nią zła i do tej pory żywiła urazę.

Zeznała, że według Benny'ego Sal czasami zastępowała męża. Było to bardzo obciążające, ponieważ podważało alibi Jarge'a.

– Przecież kobiety nie mogą obsługiwać dzwonów – zwrócił się do niej Jarge. – Nie mają na to dość sił.

– Ona może – odparła Marie. – Spójrzcie tylko na nią – dodała złośliwie i publiczność parsknęła śmiechem.

Szeryf zaskoczył Sal, wzywając ją na świadka.

Musiała podjąć ważną decyzję i miała na to zaledwie kilka sekund. Była zła – wściekła – na męża za to, że postawił ją w tej sytuacji, ale teraz nie miało to większego znaczenia. Czy dopuści się dla niego krzywoprzysięstwa? Było to nie tylko przestępstwo, ale też grzech. Być może przyjdzie jej za to cierpieć nie tylko w tym, lecz również w przyszłym życiu.

Gdyby jednak powiedziała prawdę, Jarge prawdopodobnie trafiłby na szubienicę.

Złożyła przysięgę, a potem Doye spytał:

– Pani Box, czy była pani w katedrze z dzwonnikami podczas próby tamtego wieczoru, o którym rozmawiamy?

– Tak – odparła, uznawszy, że może się do tego bezpiecznie przyznać.

– Przez cały czas?

Pomyślała, że ktoś podpowiedział szeryfowi, o co ma pytać. Sam nie był na to dość bystry.

– Tak – potwierdziła.

– Czy w tym czasie pani mąż Jarge Box wychodził na zewnątrz?

Nadeszła decydująca chwila. Sal nie wahała się ani przez sekundę.

– Nie – skłamała. – Nie wychodził.

– Czy kiedykolwiek obsługiwała pani dzwony w katedrze?

– Nie. – Kłamstwa przychodziły jej teraz bez trudu.

– Myśli pani, że mogłaby pani to robić?

– Nie mam pojęcia.

– Pani Box, czy dopuściłaby się pani zbrodni krzywoprzysięstwa, by uratować męża przed powieszeniem?

To pytanie ją zaskoczyło. Właśnie dopuściła się tej zbrodni, ale nie mogła odpowiedzieć twierdząco, bo to podważyłoby jej zeznanie. Nie była jednak pewna, czy powinna zaprzeczyć; wyszłaby wtedy na bezduszną kobietę. Mężczyźni nie lubią bezdusznych, bezwzględnych kobiet. A na ławie przysięgłych zasiadali wyłącznie mężczyźni.

Zawahała się, co nie powinno było wydawać się dziwne; w końcu zadano jej hipotetyczne pytanie, więc dlaczego miałyby natychmiast znać odpowiedź?

– Nie wiem – odparła w końcu. – Nigdy nie proszono mnie, bym to zrobiła.

Patrząc na twarze przysięgłych, uznała, że była to właściwa odpowiedź.

Na koniec Sal naradzała się przez chwilę z mężem, po czym Jarge wstał, by powiedzieć to, co uzgodnili.

– Maisie Roberts prawdopodobnie widziała jakiegoś potężnie zbudowanego mężczyznę, który szedł ulicą po zmierzchu, gdy dzwoniły dzwony. Nie rozmawiała z nim, więc nie może powiedzieć, czy miał głos podobny do mojego. Po prostu się pomyliła.

Taka była prawda i przysięgli powinni to zrozumieć.

– Mój stary przyjaciel Benny Dodds – ciągnął Jarge – lubił czasami przesadzać i być może powiedział żonie, że Sal Box wygląda na wystarczająco silną, by poruszać kościelnym dzwonem. Benny nie żyje od sześciu lat, Panie, świeć nad jego duszą, więc można wybaczyć pani Dodds, że nie zapamiętała dokładnie jego słów. I to wszystko, co słyszeli przysięgli! Nie można powiesić człowieka na podstawie takich dowodów.

Umilkł i cofnął się.

Hornbeam przemawiał jako ostatni.

– Panowie przysięgli, Jarge Box jest tkaczem, który stracił pracę z powodu krosien parowych, ma więc motyw, by zostać luddystą. Twierdzi, że tamtego wieczoru był na próbie dzwonników, ale pani Roberts jest pewna, że widziała go na ulicy, gdy biły dzwony. Jarge Box twierdzi, że jego żona nie jest dość silna, by obsługiwać za niego dzwon, ale Benny Dodds, inny dzwonnik, twierdził, że była dość silna i że to robiła. Pamiętajcie, panowie przysięgli, że dziś nie macie zdecydować, czy Jarge Box jest winny. Macie jedynie orzec, czy sprawa jest na tyle niejednoznaczna, by postawić go przed sądem wyjazdowym. Przedstawiono pewne dowody, ale też rzucono na nie cień wątpliwości, więc macie pełne prawo uznać, że wyrok powinien wydać sąd wyższej instancji. Naradźcie się, proszę, i przedstawcie swoją decyzję.

Dwunastu mężczyzn zaczęło rozmawiać i ku przerażeniu Sal wkrótce wszyscy pokiwali głowami. Po chwili jeden z nich wstał i oznajmił:

– Przekazujemy sprawę oskarżonego do sądu wyjazdowego.

* Prz 15,1.

ROZDZIAŁ 36

Kit Clitheroe nigdy dotąd nie widział pustyni, ale był pewien, że tak właśnie wygląda. Ziemia była twarda i sucha, słońce prażyło bezlitośnie przez cały dzień. Zawsze wyobrażał sobie, że pustynia jest płaska, ale w ciągu kilku ostatnich tygodni przechodził przez góry wyższe, niż widział w Anglii.

Siedział z Rogerem na ziemi i jadł duszoną baraninę z fasolą, podczas gdy nad rzeką Zadorrą na północy Hiszpanii zachodziło słońce. Wszyscy mówili, że następnego dnia dojdzie do wielkiej bitwy, jego pierwszej bitwy, która mogła się stać ostatnią. Ze zdenerwowania i strachu z trudem przełykał jedzenie.

Był czerwiec, przebywali w Hiszpanii od dwóch miesięcy. Gdy zjawili się w Ciudad Rodrigo, natychmiast skierowano ich do pracy przy konserwacji armat. Na czas zimy schowano je do magazynów, a teraz musiały być przygotowane do akcji. Dowódcą Królewskiej Artylerii był podpułkownik Alexander Dickson. Kit darzył go wielkim szacunkiem za wyjątkową energię i inteligencję. Sam był kiedyś zarządcą i rozumiał, jak ważne są jasne, zrozumiałe instrukcje.

Armaty były wykonane z brązu i spoczywały na dwukołowych lawetach z drewna wzmocnionego żelazem. Klimat Hiszpanii nie był wilgotny, ale żelazo rdzewiało tu tak samo jak wszędzie indziej. Kit i Roger nadzorowali żołnierzy, którzy czyścili, oliwili i sprawdzali armaty gotowe do transportu. Brytyjskie działa ważyły po trzy piąte tony i przetaczanie ich z miejsca na miejsce po niebrukowanych drogach było nie lada wyzwaniem, a często prawdziwym koszmarem. Każdą armatę na lawecie z dwoma kołami ciągnął zaprząg złożony z sześciu koni.

Przez większość dni Kit był tak zajęty, że zapominał o strachu przed bitwą.

Armia przemieszczała się z setkami pojazdów, w większości wozów z zaopatrzeniem, i je również trzeba było konserwować, sprawdzać i pod koniec zimy często naprawiać. Na szczęście za konie i woły, które je ciągnęły, odpowiadał ktoś inny. Kit nigdy nie miał konia i nienawidził tych stworzeń, odkąd oszalałe zwierzę Willa Riddicka rozbiło mu czaszkę, gdy miał sześć lat.

Nowych rekrutów uczono musztry i strzelania, a także wysyłano na długie marsze w pełnym rynsztunku, by nabierali wytrzymałości i przyzwyczajali stopy. Z Anglii przyływały statki pełne zaopatrzenia: butów, nowych mundurów, karabinów, amunicji i namiotów. Tak właśnie rząd wydawał pieniądze zebrane z nowych podatków wprowadzonych w kraju.

Rekruci mogli liczyć na szybki awans, ponieważ podczas bitew prowadzonych w minionym roku armia Wellingtona straciła wielu oficerów. Kit i Roger szybko otrzymali stopnie, które przydawały im autorytetu, gdy nadzorowali żołnierzy. Roger został porucznikiem, a Kit, ze względu na służbę w milicji, kapitanem.

W Ciudad Rodrigo często spotykali ludzi ze Sto Siódmego Pułku Piechoty. Joe Hornbeam i Sandy Drummond otrzymali awans na chorążych, najniższy stopień oficerski.

Kit był zdumiony, widząc w mieście setki kobiet z Anglii. Do tej pory nie zdawał sobie sprawy, jak wiele żon podróżowało z wcielonymi do wojska mężami. Dowiedział się, że wojsko to toleruje, bo kobiety były przydatne. Na polu bitwy przynosiły mężom jedzenie, picie, a czasami nawet amunicję. Poza tym wykonywały wszystkie kobiece zajęcia: prały, gotowały, a nocami kochały się z mężami. Oficerowie uważali, że dzięki obecności żon żołnierze mniej piją, rzadziej się kłócą i awanturują, i nie zarażają się od prostytutek paskudnymi chorobami.

Spotkali również Kenelma Mackintosha, kapelana Sto Siódmego Pułku. Bardzo się zmienił, odkąd widzieli go ostatnio: jego ubranie było pokryte kurzem, twarz miał nieogoloną, a dłonie brudne. I inaczej się zachowywał. W Kingsbridge wydawał się arogancki i zimny, zwracał się wyniośle do niewykształconych robotników, teraz wyraźnie spokorniał. Pytał, czy dostają wystarczająco dużo

jedzenia i czy mają grube koce na noc. Właściwie stał się całkiem sympatycznym człowiekiem.

W połowie maja armia Wellingtona opuściła Ciudad Rodrigo i wyruszyła na północ. Niektórzy żołnierze, wynudziwszy się przez zimę, byli spragnieni czynu. Kit uważał, że lepiej być znudzonym niż martwym.

Zjednoczona armia liczyła około stu dwudziestu tysięcy żołnierzy, czego Roger dowiedział się, gawędząc z oficerami z kwatery głównej. Największą jej część stanowiło pięćdziesiąt tysięcy Brytyjczyków; wspierało ich czterdzieści tysięcy hiszpańskich i trzydzieści tysięcy portugalskich żołnierzy. Nikt nie wiedział, ile liczą siły hiszpańskich partyzantów.

Zakładano, że francuska armia na północy Hiszpanii liczy około stu trzydziestu tysięcy ludzi. Francuzi nie mogli liczyć na wsparcie. Mówiono, że Bonaparte stracił ponad połowę swoich sił w katastrofalnym marszu na Moskwę. Co więcej, ściągnął z Hiszpanii najlepszych ludzi, by wykorzystać ich w bitwach w północno-wschodniej Europie, podczas gdy w zimie armię Wellingtona wzmacniały kolejne transporty wojska i sprzętu.

Bonaparte zawsze zaskakiwał wrogów – ale nie było go w Hiszpanii. Tutaj dowodził jego brat, Józef.

Marsz był wyczerpujący. Słońce paliło Kita w kark, jego stopy pokryły się pęcherzami. Choć drobny, nie był słabeuszem, mimo to codziennie niemal padał z nóg, nim słońce wreszcie zaszło i mógł odpocząć. On i Roger cieszyli się, gdy pękła oś wozu lub zwichrowało się koło, bo wtedy mogli zatrzymać się na godzinę, by je naprawić. Jeszcze lepsze były połacie miękkiej piaszczystej ziemi, w której koła zapadały się zbyt głęboko, by wozy mogły jechać dalej, i całe popołudnie poświęcano na przygotowanie prowizorycznych dróg z desek. Kit pocieszał się myślą, że bez względu na te trudy marsz z pewnością jest lepszy od walki.

Roger utrzymywał stałe kontakty z przyjaciółmi ze sztabu głównego, poznawał więc wiadomości o wrogu, które tam napływały, głównie od hiszpańskich partyzantów. Król Hiszpanii Józef – brat Bonapartego – przeniósł stolicę z Madrytu

do Valladolid, miasta o strategicznej pozycji w północnej Hiszpanii. Armia sprzymierzonych maszerowała na północny wschód, w stronę Valladolid, ale Wellington wysłał też siły oskrzydłające na północ, by zaatakować Francuzów z zaskoczenia.

Zamiast stanąć do walki, Francuzi nieoczekiwanie się wycofali. Brytyjskie dowództwo zastanawiało się dlaczego. Wywiad szacował, że siły wroga są mniej liczne, niż zakładano – tylko około sześćdziesięciu tysięcy ludzi – a do tego prawdopodobnie wiele oddziałów walczyło w górach z partyzantami. Wycofawszy się na północny wschód, znaleźli się bliżej francuskiej granicy. Czy to możliwe, by uciekli przez góry do ojczyzny? Kitowi przeszło przez myśl, że Brytyjczycy mogą wygrać bez walki, uznał jednak, że to tylko pobożne życzenie.

I to było pobożne życzenie. Król Józef zatrzymał się ze swoimi siłami w dolinie rzeki Zadorra, na północ od baskijskiego miasta Vitoria, i Kit musiał w końcu stanąć do walki.

Znajdowali się na szerokiej równinie, ograniczonej od północy i południa górami, a od wschodu i zachodu wąskimi wąwozami. Rzeka przecinała ją, płynąc od północnego wschodu na południowy zachód. Francuzi obozowali po jej przeciwnej stronie. Armia Wellingtona musiała przekroczyć rzekę, by przypuścić atak.

Kit był przerażony.

– Jak to się zacznie? – spytał Rogera z niepokojem.

– Utworzą linię obrony w poprzek naszej trasy, żeby nas powstrzymać.

– I co wtedy?

– Prawdopodobnie będziemy atakować w kolumnach, by przebić się przez tę linię.

To wydawało się Kitowi sensowne.

– Naszym największym problemem jest rzeka – kontynuował Roger. – Armia przechodząca przez wodę, czy to po moście, czy w bród, porusza się powoli i jest łatwym celem. Jeśli Józef ma choć odrobinę rozsądku, umieści duże siły przy

każdym z takich przejść i będzie próbował wybić nas w chwili, gdy będziemy najbardziej odsłonięci.

– Moglibyśmy budować prowizoryczne mosty.

– Od tego są Królewskie Wojska Inżynieryjne. Ale jeśli nieprzyjaciel jest szybki, zaatakuj nas, gdy będziemy to robić.

Kit obawiał się, że nie ma szans, by zwykły żołnierz uszedł z wojny z życiem. Pocieszał się myślą, że niektórzy jednak przeżywają. Nie potrafił sobie tylko wyobrazić jak.

Tej nocy spał niespokojnie i wstał o świcie, by nadzorować zaprzęgnięcie wołów do lawet.

Każdej lawecie towarzyszyły dwa dodatkowe pojazdy zwane *caisson*, na których przewożono amunicję. Żeby załadunek przebiegał szybciej, wcześniej przygotowano gotowe zestawy: płócienne worki zawierające kulę armatnią i odpowiednią ilość prochu. Brytyjska armia używała zwykle sześciofuntowych kul z żelaza, o średnicy około trzech i pół cala. Wozy z amunicją były ciężkie; do każdego z nich zaprzęgnięto sześć koni.

Wojska brytyjskie, hiszpańskie i portugalskie ruszyły naprzód o ósmej rano. Idziemy prosto do grobów, pomyślał Kit.

Ku zdumieniu żołnierzy siły nieprzyjaciela nie strzegły większości mostów i brodów. Oficerowie nie mogli uwierzyć w swoje szczęście.

– Józef nie jest Napoleonem – stwierdził Roger.

Artylerzyści, w tym on i Kit, przewieźli armaty przez rzekę, nie napotykając żadnego oporu, i zbliżyli się do zajmowanej przez wroga miejscowości Arinez. Pozostawali daleko poza zasięgiem muszkietów, ale wkrótce zaczęła ich nękać francuska artyleria z wioski leżącej wysoko na zboczu. Brytyjscy żołnierze zaczęli przepychać szybciej lawety i wozy. Kit musiał badać teren i kierować działa w stosunkowo płaskie miejsca, gdzie odrzut nie zepchnąłby ich w dół pochyłości. W każdej chwili mógł zostać trafiony przez wroga, ale zdołał przezwyciężyć strach.

Załoga armaty składała się z pięciu ludzi. Celowaniem zajmował się dowódca, zwykle sierżant, wyposażony w kwadrant i pion. Inny członek załogi czyścił wewnątrz mosiężnej lufy wilgotną szmatą osadzoną na długim kiju, by zgasić w ten sposób drobiny żaru i zapobiec przedwczesnemu zapłonowi przy ponownym ładowaniu broni. Po tym, jak ładowniczy włożył do lufy gotowy ładunek, czyściciel odwracał kij i suchym końcem wpychał kulę i proch w głąb armaty, podczas gdy czwarty żołnierz zatykał kciukiem otwór zapałowy, by zabłąkana iskra nie wywołała przypadkowej detonacji. Kiedy ładunek był już na miejscu, zapałowy wpychał zaostrzony kij do otworu zapałowego, by przebić torbę, a następnie napełniał otwór dodatkową porcją prochu. W końcu, gdy dowódca uznał, że armata jest należycie wycelowana, krzyczał „Ognia!”, piąty żołnierz przykładając czubek lontu wolnopalnego do otworu zapałowego i następował wystrzał.

Odrzut działa wynosił około sześciu stóp. Jeśli ktoś był na tyle głupi, by znaleźć się na drodze cofającej się gwałtownie armaty, ginął albo zostawał kaleką.

Załoga natychmiast przepychała armatę z powrotem na miejsce i cały proces zaczynał się od nowa. Co dziesięć do dwunastu strzałów należało przerwać, by ochłodzić armatę wodą, jeśli bowiem była zbyt gorąca, proch w torbie eksplodował natychmiast po tym, jak wepchnięto go do lufy. Kit słyszał, że sprawna załoga może podczas całodziennej bitwy oddać około stu strzałów.

Wkrótce armaty strzelały tak szybko, jak tylko załogi nadążały z przeładowywaniem. Pracowali w gęstym dymie czarnego prochu używanego w amunicji.

Kit chodził w tę i we w tę wzdłuż linii dział, rozwiązując różne problemy. Przy jednej z armat zapaliła się niewystarczająco wilgotna szmatka; inna załoga wylała wodę na proch; trzecia straciła dwóch ludzi, gdy trafiła w nich francuska kula. Zadaniem Kita było przywrócić armaty do działania w jak najkrótszym czasie. Nagle uświadomił sobie, że wcale już się nie boi. Wydało mu się to bardzo dziwne, ale nie miał czasu się nad tym zastanawiać.

Hałas i upał były przytłaczające. Żołnierze klęli, gdy sparzyli się przypadkiem o rozgrzane lufy armat. Wszyscy byli ogłuszeni. Kit już jakiś czas temu zauważył,

że artylerzyści z długim stażem całkiem głuchli; teraz już wiedział dlaczego.

Gdy tylko opróżnili z kul pierwszy wóz, wysłali go do składu amunicji po następną porcję. Tymczasem załoga brała ładunki z drugiego wozu.

Trudno było określić, jaki skutek przynosi ten ostrzał, bo pozycje nieprzyjaciół były spowite dymem ich własnych armat. Mówiono, że kula skierowana na linię piechoty mogła zabić trzech żołnierzy. Gdyby rozpalony do czerwoności odłamek z eksplodującego pocisku trafił w skrzynię z prochem, zginęłoby o wiele więcej ludzi.

Ogień nieprzyjaciela bez wątpienia wyrządzał spore straty wśród brytyjskich artylerzystów. Ludzie padali na ziemię i niektórzy przy tym krzyczeli. Armaty i lawety obracały się w ruinę. Kobiety odciągały do tyłu rannych i zmarłych. W jakimś odległym zakątku umysłu Kita pojawiło się nagle straszliwe wspomnienie: ojciec z nogami roztrzaskanymi przez wóz Willa Riddicka, krzyczący za każdym razem, gdy próbowano go poruszyć. Nie mógł pozbyć się tego obrazu, ale udawało mu się go ignorować.

Piechota sprzymierzonych zaatakowała Arinez z przeciwnej strony, a brytyjskim artylerzystom kazano przerwać ogień, by przypadkiem nie ostrzeliwali własnych wojsk.

Wszystkie francuskie działa umilkły, Kit uznał więc, że alianci wygrali bitwę o wioskę. Nie wiedział jak ani dlaczego. Przede wszystkim był zdumiony tym, że zatracił się w swoich obowiązkach i zapomniał o grożącym mu niebezpieczeństwie. Pomyślał, że wcale nie był odważny, tylko zbyt zajęty, by myśleć o strachu.

Dym nie zdążył się jeszcze rozwiać, gdy nadszedł rozkaz, by się przenieśli. Przyprawdzono konie i woły. Kiedy je zaprzęgano, obok przejechała grupa oficerów prowadzona przez wysokiego, szczupłego mężczyznę w zakurzonym mundurze generała.

– To Stary Nochal! – zawołał ktoś.

To musi być Wellington, pomyślał Kit. Generał rzeczywiście miał duży nos, z lekkim garbem.

- Naprzód! – krzyknął Wellington.
- W kolumnie czy w szeregu, panie generale? – spytał jeden z pułkowników.
- Wszystko jedno, po prostu ruszajcie! – odparł zniecierpliwiony Wellington i pognał dalej.

Gdy przesunęli armaty milę do przodu, niedaleko wioski Gomecha natrafili na zmasowany ogień francuskiej artylerii. Kit szacował, że po obu stronach znajduje się co najmniej siedemdziesiąt dział. Dym był tak gęsty, że sierżanci nie widzieli celów i strzelali niemal na oślep. Niestety, armaty aliantów znalazły się tak blisko siebie, że mimo dymu Francuzi je namierzyli.

Wóz wiozący świeżą dostawę amunicji wjechał w armatę i zniszczył lawetę. Kit zobaczył, że koła i oś wozu są nietknięte, zajął się więc naprawą dyszli, gdy w sąsiednie działo uderzyła kula, trafiając w amunicję. Podmuch eksplozji rzucił go na ziemię i świat nagle ucichł. Nie miał pojęcia, jak długo leżał ogłuszony, ale w końcu udało mu się podnieść. Poczował ból w karku i dotknął czegoś lepkiego, a kiedy spojrzał na dłoń, była czerwona od krwi. Mimo to wrócił do naprawy dyszli i powoli odzyskiwał słuch.

Piechota aliantów posuwała się naprzód. Armaty strzelały nad nimi, żeby unieszkodliwić francuskie działa, lecz mimo tych wysiłków wielu piechurów padało. Ich pozostali przy życiu towarzysze biegli dalej, prosto pod kule nieprzyjaciela. Wczoraj Kit dziwił się odwadze żołnierzy. Dziś rozumiał: było im już wszystko jedno, jak jemu.

Nagle francuskie armaty ucichły i artyleria sprzymierzonych ponownie przesunęła się do przodu. Nie mogła jednak dotrzymać tempa własnej piechocie. Gdy w końcu dym się rozwiął, Kit zobaczył, że siły aliantów rozciągają się na równinie w szeregu, który miał co najmniej dwie mile długości. Postępowali naprzód, napotykać na chyba coraz mniejszy opór. Artylerzystom kazano się zatrzymać i czekać na nowe rozkazy.

Kit uświadomił sobie nagle, że jest kompletnie wyczerpany, położył się więc na ziemi. Bezruch był w tej sytuacji największym luksusem, jakiego w życiu

doświadczyl. Przewrócił się na plecy i zamknął oczy, by nie razily go promienie słońca.

Po chwili uslyszal znajomy głos:

– O mój Boże, Kit, zginales? – To byl Roger.

– Nie, jeszcze żyję – odparł Kit, otwierając oczy. Zerwał się na równe nogi i zamknął Rogera w uścisku.

Tulili się do siebie przez dłuższą chwilę, a potem pokleпали się po plecach w męskim geście, tylko na pokaz. Roger odsunął się o krok, spojrzal na niego i roześmiał się.

– O co chodzi? – zdziwil się Kit.

– Nie wiesz, jak wyglądasz. Twoja twarz jest czarna od dymu, masz krew na mundurze, a jedna nogawka twoich spodni zniknela.

Kit spojrzal w dół, a Roger znów się roześmiał.

– Musiales mieć ciężki dzień.

– To prawda. – Kit skinął głową. – Wygralismy?

– O tak. Wygralismy.

*

Podczas nastepnej sesji sądu wyjazdowego rozpatrywano sprawę Jarge'a Boxa. Sal stala obok męża w sali narad w ratuszu. Kiedy wszedł sędzia, przekonala się z przerażeniem, że to ten sam człowiek o drapieźnej ptasiej twarzy, który osiem lat wcześniej wydał wyrok śmierci na Tommy'ego Pidgeona. Od razu straciła nadzieję.

Pomyślala ze smutkiem, że gdyby Tommy żył, byłby teraz młodym mężczyzną. Być może wyrósłby na przyzwoitego obywatela, gdyby dano mu taką szansę. Ale pozbawiono go tego.

Modliła się, by podobny los nie spotkał dzisiaj Jarge'a.

Kiedy przysięgli wypowiadali słowa przysięgi, przyjrzała się ich twarzom – dobrze wykarmionym, pewnym siebie, przekonanym o swojej racji – i zrozumiała, że wszyscy są właścicielami zakładów włókienniczych. Bez wątpienia Hornbeam

zmusił szeryfa Doye'a, by tego dopilnował. Sukiennicy najbardziej obawiali się luddystów i z pewnością chcieli ukarać kogoś dla przykładu – kogokolwiek – bo liczyli, że to odstraszy pozostałych i powstrzyma ich przed kolejnymi napaściami.

Po chwili zobaczyła jednak, że Doye popełnił błąd. Jednym z przysięgłych był Isaac Marsh. Jego córka była żoną Howarda Hornbeama, więc Doye zakładał zapewne, że Marsh będzie równie surowy jak inni. Teść Howarda był jednak farbiarzem, a ta branża nie została jeszcze zmechanizowana, nie miał więc powodu, by uznać Jarge'a za winnego. W dodatku był metodystą i z pewnością będzie miał opory przed skazaniem człowieka na śmierć.

Pojawił się więc promień nadziei.

Powtórzono wszystkie zeznania z procesu przed sędziami pokoju. Maisie Roberts twierdziła, że widziała Jarge'a na ulicy, gdy dzwoniły dzwony, a Marie Dodds powiedziała, że Sal mogła obsługiwać dzwon; Sal utrzymywała, że jej mąż nie opuścił dzwonnicy podczas próby, i po raz drugi dopuściła się krzywoprzysięstwa.

Sędzia, podsumowując przesłuchanie, nawet nie udawał, że jest bezstronny. Powiedział przysięgłym, że muszą zestawić zeznanie dwóch osób, pani Roberts i pani Dodds, które nie miały żadnych powodów, by kłamać, ze świadectwem jednej osoby, pani Box, która mogła złożyć fałszywe zeznania, by ratować życie męża.

Przysięgli, jedyni ludzie prócz sędziego, którzy zajmowali miejsca siedzące, zaczęli się naradzać, nie doszli jednak szybko do porozumienia. Wkrótce stało się jasne, że jedenastu z nich zgadza się ze sobą, lecz jeden jest innego zdania: Isaac Marsh. Nie odzywał się wiele, lecz gdy mówili inni, czasami kręcił z powagą głową.

Sal nabrała otuchy. Przysięgli musieli podjąć decyzję jednogłośnie. Jeśli im się to nie uda, teoretycznie proces powinien się odbyć ponownie. Lecz Sal słyszała, że w praktyce przysięgli próbowali czasami dojść do kompromisu, na przykład do uznania oskarżonego za winnego mniej poważnego przestępstwa.

W którymś momencie wszyscy zaczęli kiwać głowami i rozsiedli się wygodniej, jakby jednak doszli do porozumienia. Po chwili jeden z nich wstał i oznajmił, że uzgodnili jednomyślny werdykt.

– Winny, Wysoki Sądzie, ale prosimy o możliwie najłagodniejszy wyrok.

Sędzia mu podziękował, po czym sięgnął po coś pod stół. Sal od razu wiedziała, że chce włożyć czarną czapkę i skazać Jarge'a na śmierć mimo próby przysięgłych.

– Nie – wyszeptała. – Panie, proszę, nie.

Kiedy dłonie sędziego uniosły się nad blat stołu, Amos Barrowfield wystąpił do przodu.

– Wysoki Sądzie, Sto Siódmy Pułk Piechoty z Kingsbridge walczy z Francuzami w Hiszpanii – oznajmił głośno i wyraźnie.

Sędzia wyglądał na zirytowanego. Taka interwencja na etapie ogłaszania wyroku była czymś niezwykłym, choć nie niespotykanym.

– Co to ma wspólnego z tym procesem? – spytał.

– Wielu mężczyzn z Kingsbridge zginęło za sprawę, a pułk potrzebuje nowych rekrutów. O ile mi wiadomo, zamiast skazać oskarżonego na śmierć, może pan go wysłać do wojska. Wtedy będzie już tylko zależeć od Boga, czy ten człowiek przeżyje, czy umrze. Proponuję, by Wysoki Sąd skorzystał z takiej właśnie możliwości, nie przez współczucie, tylko dlatego, że Jarge Box jest silnym mężczyzną, który byłby doskonałym żołnierzem. Dziękuję, że Wysoki Sąd pozwolił mi przemówić.

Amos cofnął się o krok. Przemawiał głosem pozbawionym emocji, jakby chciał jedynie pomóc armii, a los Jarge'a wcale go nie obchodził. Sal wiedziała, że tak nie jest: Amos posłużył się jedynym chyba argumentem, który mógł przekonać sędziego, ewidentnie pozbawionego współczucia.

Pozostawało tylko pytanie, czy ten wybieg przyniesie oczekiwany skutek. Sędzia wahał się; siedział w bezruchu, trzymając czapkę w dłoniach. Sal oddychała ciężko. W sali było całkiem cicho.

– Skazuję cię na służbę w Sto Siódmym Pułku Piechoty – powiedział w końcu sędzia.

Sal zrobiło się słabo z ulgi.

– Jeśli będziesz walczył dzielnie dla ojczyzny – kontynuował sędzia – być może choć po części odkupisz swoje winy.

– Nic nie mów – mruknęła do męża.

Jarge milczał.

– Następną sprawą – rzucił sędzia.

ROZDZIAŁ 37

Po bitwie pod Vitorią wszystkie sprawy zaczęły układać się źle dla Napoleona Bonaparte.

Bitwa pod Lipskiem była największym starciem zbrojnym, jakie dotąd toczyło się w Europie. Doszło do niej w październiku; po obu stronach stanęło razem ponad pół miliona ludzi i Bonaparte przegrał. Tymczasem armia Wellingtona przekroczyła Pireneje i najechała na Francję od południa.

Bonaparte wrócił do Paryża, lecz armie, które pokonały go pod Lipskiem, ruszyły za nim w pościg. W marcu 1814 roku siły koalicji antyfrancuskiej, dowodzone przez rosyjskiego cara i króla Prus, triumfalnie wkroczyły do Paryża.

Kilka dni później Amos zobaczył w „Kingsbridge Gazette” nagłówek głoszący:

BONAPARTE ABDYKUJE!

Czy to mogło być prawdą?

W artykule napisano:

Zostało to oficjalnie potwierdzone w meldunkach przesłanych przez generała Charlesa Stewarta. Upadły tyran zrzekł się władzy i został zesłany na wyspę Elbę u wybrzeży Toskanii.

– Bogu dzięki – westchnął Amos. Wojna się skończyła.

Tego wieczoru na ulicach Kingsbridge hucznie świętowano zwycięstwo. Mężczyźni, którzy nigdy nie służyli w wojsku, wznosili toasty kuflami piwa, uczestnicząc w ten sposób w chwale triumfatorów. Kobiety pytały, kiedy ich mężowie i synowie wrócą do domu, ale nikt nie potrafił im tego powiedzieć. Mali chłopcy robili sobie miecze z drewna i ślubowali, że będą walczyć w następnej

wojnie. Dziewczynki marzyły o poślubieniu dzielnego żołnierza w czerwonym płaszczu.

Wellington otrzymał tytuł księcia.

Amos odwiedził Jane. Przyniósł Halowi prezent: globus na podstawce. Przez godzinę rozmawiał o nim z chłopcem, który bardzo interesował się geografią. Amos pokazał mu miejsca, gdzie armie Wielkiej Brytanii i jej sprzymierzeńców toczyły bitwy z siłami Bonapartego.

Potem usiadł w salonie na piętrze Domu Willarda i spoglądał na katedrę, podczas gdy Jane czytała mu list od męża.

Moja droga żono!

Jestem w Paryżu, gdzie wreszcie panuje pokój. Sto Siódmy Pułk Piechoty walczył dzielnie do samego końca – odnieśliśmy wspaniałe zwycięstwo pod Tuluzą, kilka dni po tym, jak Bonaparte przyznał się do klęski, ale wieści o tym wydarzeniu dotarły do nas dopiero po bitwie.

Wojna była łaskawa dla pułku. W ostatnich bitwach straciliśmy stosunkowo niewielu ludzi. Wśród oficerów zginął tylko chorąży Sandy Drummond, syn kupca winnego. Kapelan Kenelm Mackintosh został postrzelony w pośladek – dość krępująca rana w przypadku duchownego! Lekarz wyjął kulę, przemył ranę ginem i ją obandażował. Kapelan wraca do zdrowia, choć wciąż lekko utyka. Chorąży Joe Hornbeam okazał się mimo młodego wieku całkiem dobrym żołnierzem. Możesz powiedzieć temu buńczucznemu radnemu, że jego wnuk żyje.

Dwaj mężczyźni z Kingsbridge, którzy wstąpili do artylerii, okazali się bardzo przydatni pod Vitorią, zwłaszcza Kit Clitheroe, który już podczas służby w milicji dał się poznać jako dobry oficer. Namówiłem go, żeby został moim adiutantem.

Teraz Sto Siódmy Pułk maszeruje w stronę Brukseli.

– Brukseli? – zdziwił się Amos. – Dlaczego Brukseli?

– Posłuchaj – rzuciła Jane i czytała dalej.

Przywódcy zwycięskich narodów zbierają się w Wiedniu, gdzie dokonają nowego podziału Europy i postarają się zapewnić, by nigdy już nie doszło do tak długiej i straszliwej wojny jak ta. Jedną z najtrudniejszych kwestii są dalsze losy Niderlandów. Bonaparte poddał terytoria, które tam podbił. Lecz do kogo należą teraz? Podczas gdy w Wiedniu będą wypracowywać rozwiązanie tego problemu, ktoś musi rządzić w Brukseli, a plotki głoszą, że armie brytyjska i pruska będą wspólnie kontrolować Niderlandy do czasu podjęcia ostatecznej decyzji.

A Sto Siódmy Pułk Piechoty będzie częścią sił brytyjskich.

– Co oznacza, że żaden z żołnierzy z Kingsbridge na razie nie wróci do domu – powiedział Amos. – Wiele osób będzie bardzo rozczarowanych.

– Ja nie będę do nich należeć. Prawdę mówiąc, dla mnie nie ma większej różnicy, czy Henry jest tutaj, czy tysiąc mil stąd.

Amos wolałby, żeby tak często nie narzekała, jak źle się czuje w małżeństwie. Nic nie mógł na to poradzić. Ale nie dokuczał jej z tego powodu. Chciał pozostawać w dobrych stosunkach z Jane, by móc widywać się z Halem.

– Przeczytaj resztę – poprosił.

*

W sierpniu 1814 roku Sto Siódmy Pułk Piechoty obozował na polu pod Brukselą. Przeniesienie z Królewskiej Artylerii na stanowisko adiutanta hrabiego Shiring w jego pułku było zaszczytem, lecz gdyby Kit miał w tej kwestii wybór, z pewnością by odmówił, bo musiał się rozstać z ukochanym, który pozostał w artylerii. A teraz nie miał pojęcia, gdzie jest Roger, co go martwiło.

Poza tym był całkiem zadowolony. Miał dziesięć szylingów dziennie żołdu, podczas gdy zwykli żołnierze dostawali osiem pensów. Jego praca polegała na

przekazywaniu wiadomości i załatwianiu różnych spraw dla hrabiego, ale w czasie pokoju miał niewiele zajęć, więc wolny czas spędzał na nauce niemieckiego.

Zaprzyjaźnił się z młodszym oficerem Królewskiego Legionu Niemieckiego, jednostki brytyjskiej armii liczącej czternaście tysięcy żołnierzy i stacjonującej zwykle w Bexhill-on-Sea. Ten osobliwy twór powstał dlatego, że król Anglii Jerzy III był również władcą niemieckiego Hanoweru. Obozy Niemców i Sto Siódmego Pułku Piechoty leżały obok siebie, więc Kit i jego nowy przyjaciel dawali sobie nawzajem lekcje.

Kit kazał żołnierzom swojego pułku ustawić namioty w równych szeregach i wykopać latryny na skraju pola. Wprowadził też karę finansową za załatwianie się poza latrynami. Pracując przed laty w zakładzie Barrowfielda, przekonał się, że nawet reguły, na których wszyscy korzystają, trzeba wprowadzać siłą.

Kapelan Mackintosh miał własny mały namiot, podobnie jak oficerowie. Kiedy Kit poszedł go odwiedzić, Kenelm leżał na cienkim materacu, owinięty kocami. Jego jasne włosy były wilgotne. Kit uklęknął i dotknął jego czoła: było rozpalone.

– Jest pan niezdrowy, panie Mackintosh – powiedział.

– Chyba się przeziębilem. Przejdzie mi.

– Pozwolę sobie obejrzeć pana tyłek. – Nie czekając na zgodę, Kit odwinął koce i zsunął spodnie kapelana. Z rany sączyła się krew, a skóra dookoła była zaczerwieniona. – Nie wygląda to dobrze – orzekł, podciągnął spodnie Mackintosha i owinął go kocami.

– Nic mi nie będzie.

Na pustej skrzyni po amunicji stały dzbanek z wodą i kubek. Kit napełnił kubek i podał go choremu mężczyźnie. Ten wypił wszystko łączywie. Dzbanek był już niemal pusty, więc Kit go zabrał.

– Przyniosę panu więcej wody – rzucił.

– Dziękuję.

Przez jeden z rogów pola płynął strumień z czystą wodą; między innymi ze względu na niego wybrano to miejsce na obozowisko. Kit napełnił dzbanek i wrócił

do namiotu. Wiedział już, co ma zrobić.

– Nie powinien pan spać na ziemi – powiedział. – Postaram się, żeby przeniesiono pana w jakieś wygodniejsze miejsce do czasu, aż wróci pan do zdrowia.

– Moje miejsce jest z moimi ludźmi.

– O tym zadecyduje pułkownik.

Jednym z obowiązków Kita było powiadamianie pułkownika o wszystkich ważnych zdarzeniach w pułku, powiedział mu więc o chorobie kapelana.

– Jego rana nie goi się dobrze – dodał. – Ma gorączkę.

– Co powinniśmy pana zdaniem zrobić? – Hrabia wiedział, że kiedy Kit przychodził do niego z jakimś problemem, zwykle miał już konkretne rozwiązanie.

– Powinniśmy umieścić go w jakimś przyzwoitym pensjonacie w Brukseli. Być może wszystko, czego potrzebuje, to odrobina ciepła, miękkie łóżko i odpoczynek.

– Stać go na to?

– Wątpię. – Kapelanom płacono mniej niż oficerom. – Napiszę do jego żony z prośbą o pieniądze.

– Doskonale.

– Muszę pojechać jutro do miasta, żeby odebrać nowych rekrutów z Anglii. Może uda mi się przy okazji znaleźć pensjonat.

– Dobry plan. Będę opłacał rachunki, dopóki nie dotrą pieniądze z Anglii.

Kit spodziewał się, że hrabia to zaproponuje.

– Dziękuję, panie pułkowniku.

Następnego dnia Kit poszedł z samego rana do stajni, gdzie trzymano kilka koni do użytku oficerów. Wybrał starszawą klacz. W wojsku przywykł do koni i jeździł na nich bez strachu, ale wolał spokojne, powolne wierzchowce.

Zabrał ze sobą młodego chorążego, który mówił trochę po francusku. Ten wybrał dla siebie mocnego kuca.

Gdy wjechali do Brukseli, zignorowali okazałe, bogate centrum miasta, tylko zapuścili się w zatłoczone boczne uliczki i rozglądali się za pensjonatami. Niektóre

były tak brudne, że Kit od razu je odrzucał. W końcu znalazł czysty dom należący do wdowy Anny Bianco, Włoszki. Wyglądała na życzliwą kobietę, która może przyjąć pod swój dach rannego, a z jej kuchni dochodziły apetyczne aromaty. Na piętrze miała do wynajęcia przestronny pokój od frontu, z dużymi oknami. Kit zapłacił za dwa tygodnie z góry i zapowiedział, że lokator wprowadzi się następnego dnia.

Mackintosha trzeba było przewieźć wozem, bo z raną na pośladku nie mógł dosiadać konia.

Potem Kit i chorąży pojechali do gospody Hôtel des Halles, po wschodniej stronie Kanału Brukselskiego. Zobaczył dużą barcę zacumowaną obok gospody i domyślił się, że rekruci już przybyli. Na dziedzińcu czekało około stu mężczyzn, którymi dowodził angielski sierżant, i kilka kobiet.

– Stu trzech mężczyzn, kapitanie – zameldował. – I sześć kobiet, wszystkie bardzo porządne.

Kit pomyślał, że barka musiała być zatłoczona. Prawdopodobnie sierżant dostał pieniądze na wynajem dwóch, po czym zagonił wszystkich rekrutów na jedną, a różnicę schował do kieszeni.

- Dziękuję, sierżancie. Kiedy ostatnio jedli?
- Dostali o świcie dobre śniadanie. Chleb, ser i małe piwo.
- To powinno im wystarczyć jeszcze na jakiś czas.
- Z pewnością, panie kapitanie.
- Dobrze. Proszę ich ustawić w piątkach, a ja ich poprowadzę.
- Tak jest.

Kiedy sierżant ustawiał rekrutów w kolumnach po pięć osób, Kit przyjrzał się im uważnie. Ich mundury były brudne po podróży. Oprócz kilku entuzjastycznie nastawionych młodzieńców większość miała ponure miny i prawdopodobnie żałowała impulsu, który skłonił ich do zgłoszenia się do wojska. Wielu wyglądało na zdrowych. Czekало im ciężkie szkolenie, ale przynajmniej nie musieli walczyć. Wojna się skończyła.

Gdy wzrok Kita zatrzymał się na szerokich plecach wysokiego, barczystego mężczyzny, pomyślał, że taki człowiek bardzo przydałby się do manewrowania armatą podczas bitwy. Rekrut miał potargane, długie jasne włosy i wydawał mu się dziwnie znajomy. Kiedy się odwrócił, Kit ze zdumieniem rozpoznał w nim Jarge'a Boxa.

Co on tutaj robił? Być może stracił nadzieję na znalezienie pracy i w akcie desperacji wstąpił do wojska. Albo, co bardziej prawdopodobne, został skazany za jakieś poważne przestępstwo – które zresztą mógł popełnić – i w ramach kary został wcielony do armii.

Relacje Kita z ojczymem nie były łatwe, ale ucieszył się na jego widok. Kiedy podszedł bliżej, na twarzy Jarge'a, który dzielnie znosił trudy uciążliwej długiej podróży, pojawił się szeroki uśmiech.

– A niech mnie! Zastanawiałem się, czy cię spotkam.

Kit uściskał mu mocno dłoń.

– Przybyłeś w odpowiednim czasie – powiedział. – Wojna się skończyła.

Gdy zerknął za Jarge'a, zobaczył matkę i zalał się łzami. Podszedł do niej i uściskali się serdecznie. Kit, przepelniony radością i miłością, nie mógł wydobyć z siebie głosu.

W końcu Sal cofnęła się o krok i zmierzyła go wzrokiem.

– Proszę, proszę. – Pokiwała głową. – Taki opalony, taki szczupły, a jednak taki męski. – Dotknęła jego szyi tuż pod uchem. – I ze świeżą blizną.

– Pamiątka z Hiszpanii. Dobrze wyglądasz, mamó. – Miała już koło czterdziestu pięciu lat, ale wydawała się równie zdrowa i silna jak zawsze. – Jak minęła podróż?

– Na barce był straszny tłok. Ale na szczęście już z niej zeszliśmy.

– Jedliście coś?

– Skąpe śniadanie.

– W obozie dostaniecie obiad.

– Nie mogę się już doczekać.

– W takim razie ruszajmy jak najszybciej.

Cofnął się o krok i pozwolił, by sierżant dokończył formowanie kolumny. Kiedy byli gotowi, wsiadł na konia, by przemówić do rekrutów.

– Służba w armii jest bardzo łatwa – zaczął donośnym, dźwięcznym głosem. – Jeśli będziecie robić, co wam każę, w odpowiednim czasie i w odpowiedni sposób, nie spotka was nic złego. – Odpowiedział mu pomruk aprobaty, bo taki układ wydawał się sprawiedliwy. – Jeśli mnie wkurzycie, uprzykrzę wam życie tak, że pożałujecie, że kiedykolwiek się urodziliście. – Skwitowali te słowa śmiechem, w którym słyhać było jednak nutę niepokoju.

Nigdy nikomu nie uprzykrzał życia, lecz to ostrzeżenie zawsze działało.

– Naprzód marsz! – wydał w końcu rozkaz.

Zawrócił konia i ruszył stępą, a rekruci pomaszerowali za nim.

*

Dochodziło południe, gdy Elsie otrzymała list od Kita Clitheroe. Pamiętała go jako bystrego chłopca ze szkoły niedzielnej. Teraz mały Kit był kapitanem w Sto Siódmym Pułku Piechoty i stacjonował w Brukseli.

Gdyby on i jego matka zostali w swojej wiosce, wciąż byliby biednymi robotnikami rolnymi i nigdy nie wyjechaliby dalej niż do Kingsbridge. Ich życie zmieniło się za sprawą przemysłu i wojny.

Przeczytała list Kita kilka razy. Wyglądało na to, że jej mąż jest poważnie chory. Rozmyślała o tym aż do południa i przy obiedzie pokazała list matce i Spade'owi.

Arabella zgodziła się z nią, że nie wygląda to dobrze.

– To zakażenie trwa już zbyt długo – stwierdziła. – Szkoda, że nie ma go tutaj, zaopiekowałabym się nim, ale podróż na pewno by mu zaszkodziła.

– To miło ze strony hrabiego, że płaci za pensjonat, i oczywiście natychmiast prześlę mu pieniądze – powiedziała Elsie. – Wciąż mam większość spadku po ojcu.

– Nie mam pojęcia, co jeszcze moglibyśmy zrobić dla biednego Kenelma. – Jej matka nadal wyglądała na zmartwioną.

To samo pytanie od rana trapiło Elsie, ale znalazła rozwiązanie.

– Muszę popłynąć do Brukseli, żeby się nim zaopiekować – oświadczyła.

– Och, Elsie, nie! – rzuciła przerażona Arabella. – To bardzo niebezpieczna podróż.

– Nie, wcale nie – zaprzeczyła Elsie. – Dylizans do Folkestone, krótka przeprawa przez kanał i rejs barką rzeczną do Brukseli.

– Każda podróż morska jest niebezpieczna.

– Ale ta nie aż tak.

– Jak długo zostałabyś w Brukseli?

– Dopóki Kenelm nie wyzdrowieje.

– Możemy się w tym czasie opiekować dziećmi, prawda, Davidzie?

– Będziemy zachwyceni.

Pięcioro dzieci Elsie miało teraz od ośmiu do siedemnastu lat.

– To nie będzie konieczne – odparła. – Mogą pojechać ze mną. Wynajmę tam dom. To będzie dla nich dobre doświadczenie. Będą się uczyć francuskiego.

– To poszerzyłoby ich horyzonty – zgodził się Spade. – Dobry pomysł.

Arabelli wciąż jednak nie podobał się plan córki.

– A co ze szkółką niedzielną? – spytała.

– Lydia Mallet będzie się nią zajmować pod moją nieobecność. Amos jej pomoże.

– Mimo wszystko...

– Muszę pomóc Kenelmowi. Wyszłam za niego i jestem mu to winna.

Arabella zastanawiała się nad tym przez dłuższą chwilę, po czym skinęła głową.

– Tak – przyznała, choć niechętnie. – Chyba tak.

Jane przeczytała w „The Lady’s Magazine” długi reportaż, który podziałał na jej wyobraźnię, pokazała go więc Amosowi. W artykule napisano, że Bruksela stała się nowym ulubionym celem podróży śmietanki towarzyskiej. Ludzie, którzy przez lata przybywali tłumnie do Bath – rzekomo by zażywać wód, a w rzeczywistości by tańczyć, plotkować i popisywać się strojami – robili teraz to samo w Brukseli. Uroczyste przyjęcia, pikniki, polowania i wyjścia do teatru były ulubionym zajęciem Anglików na obczyźnie.

W mieście roiło się od szarmanckich oficerów w eleganckich mundurach. Przy każdej okazji tańczono nieprzyzwoitego walca. Osoby, które nie mogłyby spotykać się w Londynie, tutaj nawiązywały przyjaźnie i bliskie znajomości. Amos uznał te słowa za zawołane odniesienie do cudzołóstwa. Do miasta przybywało wielu gości z Anglii, a liderką brukselskiego towarzystwa stała się księżna Richmondu.

Amos był nieco zdegustowany.

– Próżni salonowcy i ich obsceniczne tańce – burknął. Potem jednak tknęła go inna myśl. – Ale teraz wszyscy będą chcieli kupować nowe ubrania.

– Ha! – wykrzyknęła Jane triumfalnie. – Widzę, że zmieniłeś śpiewkę.

Rozmyślał o tym, że pewnie wzrośnie popyt na luksusowe tkaniny, co bardzo by mu się przydało, ponieważ zapotrzebowanie na mundury wojskowe – które było podstawą jego interesu – musiało spaść. Powinien skontaktować się z kupcami w Niderlandach.

– Być może pojedę do Brukseli – oznajmiła Jane.

– Ty też? – zdziwił się.

– A wybiera się tam ktoś jeszcze?

– Elsie jedzie, żeby opiekować się Kenelmem. Został ranny. Lydia zajmie się w tym czasie szkółką niedzielną, a ja będę jej pomagał.

– Zrobiłbyś wszystko dla Elsie.

– Co masz na myśli? – spytał zaskoczony.

– Jesteś dziwnym człowiekiem, Amosie Barrowfield.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– To prawda, nie masz.

Amos nie miał ochoty wdawać się w takie zagadkowe rozmowy.

– No dobrze – rzucił. – A kto będzie się opiekował Halem, gdy wyjedziesz?

– Zabiorę go ze sobą.

– Och... – To oznaczało, że Amos nie będzie się z nim widywał. – Na jak długo?

– Nie wiem. Dopóki będzie tam Henry... co najmniej.

– Rozumiem.

– Nie mogę się już doczekać. To wygląda na takie życie, jakiego zawsze chciałam, ale Henry mi go nie zapewnił: przyjęcia, tańce i nowe suknie.

Pomyślał, że ona nigdy się nie zmieni. Jak to dobrze, że go odrzuciła. Gdyby miał się kiedykolwiek ożenić, to tylko z poważną kobietą.

O włos uniknął nieszczęścia.

ROZDZIAŁ 38

Elsie nigdy nie płynęła statkiem, nigdy nie była za granicą i nigdy nie mieszkała w pensjonacie. Znała tylko parę słów po francusku, nie radziła sobie z obcą walutą i nie mogła się nadziwić, jak inaczej wyglądają tu domy, sklepy i stroje. Nie była nieśmiała, ale wcześniej nie wyobrażała sobie trudności, jakim musiała stawić czoło.

Wiedziała już, że popełniła poważny błąd, zabierając do Brukseli pięcioro dzieci, i gdy w końcu usiadła na niewygodnym łóżku w brudnym hotelu, w otoczeniu skrzyń i dzieci, rozplakała się.

Dopiero po tym, jak udało jej się przekazać wiadomość hrabiemu Shiring do obozu Sto Siódmego Pułku Piechoty – co nie było łatwe – jej sytuacja się poprawiła. Posłaniec wrócił z życzliwą wiadomością od hrabiego i niezapieczętowanym listem, który miała dostarczyć księżnej Richmondu. W liście hrabia prosił, by księżna otoczyła przyjazną opieką panią Elsie Mackintosh, która jest córką nieżyjącego już biskupa Kingsbridge oraz żoną brytyjskiego kapelana wojskowego, który został ranny pod Tuluzą.

Następnego dnia Elsie udała się do rezydencji Richmondów przy rue de la Blanchisserie. Dom miał trzy kondygnacje i dość miejsca dla czternaściora dzieci księżnej. Okolica nie należała do najdroższych w Brukseli, a plotki głosiły, że księżę i księżna przenieśli się tutaj, by zaoszczędzić. Życie było tu tańsze niż w Londynie. Szampan kosztował tylko cztery szylingi za butelkę, co dla Elsie nie miało żadnego znaczenia, ale prawdopodobnie pozwoliło zaoszczędzić fortunę rozmówanym w przyjęciach Richmondom.

Rekomendacja hrabiego w połączeniu z informacją o ojcu biskupie i mężu rannym kapelanie wystarczyły, by księżna przezwyciężyła swój słynny snobizm

i przyjęła życzliwie Elsie. Była raczej przystojna niż ładna, miała wydatny nos, mocny podbródek i usta małe jak pączek róży. Dała Elsie list do brukselskiego kupca, który dobrze znał angielski i miał jej pomóc znaleźć lokum do wynajęcia.

Elsie zdecydowała się na dom w pobliżu katedry Świętego Michała i Świętej Guduli i wprowadziła się do niego z dziećmi. Potem wybrała się do pensjonatu po męża i zauważyła z rozbawieniem, że Kenelm niemal żałuje, że musi się pożegnać z signorą Bianco, która najwyraźniej zdobyła jego sympatię.

Dom wynajęty przez Elsie nie był okazały, ale wygodny. Co najważniejsze, znajdował się niedaleko klejnotu Brukseli, miejskiego parku – kilkudziesięciu akrów zachwycających trawników, żwirowych ścieżek, posągów i fontann. Nie wpuszczano tu koni, co oznaczało, że dzieci mogły się spokojnie bawić i biegać bez obawy, że wpadną pod powóz.

Gdy tylko dopisywała pogoda, Elsie zabierała męża do parku. Początkowo musiała go wozić na wózku inwalidzkim, ale wkrótce wydobrzył na tyle, by chodzić o własnych siłach, choć powoli. Zawsze towarzyszyło im dwoje lub troje dzieci, które zabierały ze sobą piłkę.

Czasami spotykała Jane, hrabinę Shiring, która mieszkała teraz w Brukseli, i ucinały sobie miłe pogawędki.

Jane, która zaprzyjaźniła się z księżną Richmondu, spytała Elsie, dlaczego odrzuca tak wiele zaproszeń na przyjęcia od księżnej i innych. Elsie odparła, że nie ma czasu na takie rzeczy, bo musi się opiekować piątką dzieci i wracającym do zdrowia mężem. Była to prawda, ale też bale, pikniki i wyścigi konne wydawały jej się trywialne i nudne. Nie cierpiała pustych pogaduszek, lecz nie wyznała tego Jane.

Kiedyś zobaczyła ją z przystojnym oficerem, kapitanem Percivalem Dwigthem, i tym razem Jane nie przystanęła, by z nią porozmawiać. Flirtowała z kapitanem i była tak wesoła i czarująca, że Elsie zastanawiała się, czy mają romans. Wydawało jej się, że ludzie łatwiej dopuszczają się cudzołóstwa w obcym mieście, choć nie wiedziała dlaczego.

Pewnego grudniowego popołudnia, zimnego, ale słonecznego, Elsie i Kenelm siedzieli na ławce, przyglądali się wodzie tryskającej z fontanny i pilnowali córek, Marthy i Georgie, najmłodszych z ich potomstwa. Elsie była zdumiona przemianą męża. Jego rana tylko po części była powodem tej transformacji. Widział mnóstwo cierpień i śmierci, co odcisnęło piętno na jego wychudłej twarzy. Zdawało się, że wciąż wraca do wspomnień i przerażających wojennych obrazów. Niewiele zostało z butnego ambitnego kapłana, którego poślubiła przed laty. W tej nowej wersji lubiła go bardziej.

– Jestem już niemal gotów, by wrócić do pułku – powiedział.

Zdaniem Elsie wcale nie był gotowy. Jego ciało goiło się szybciej niż umysł. Nagłe hałasy na ulicy – ciężka skrzynia zrzucona na platformę wozu czy młot robotnika uderzający w ścianę – sprawiały, że garbił się gwałtownie, pochylał głowę i opadał na kolana.

– Nie spiesz się – poradziła mu. – Najpierw do końca wyzdrowiej. Przypuszczam, że rozchorowałeś się właśnie przez to, że zbyt szybko wróciłeś do swoich obowiązków.

Nie zgodził się z tym.

– Bóg przysłał mnie tutaj, bym dbał o duchowe dobro żołnierzy ze Sto Siódmego Pułku Piechoty. To święta misja. – Mówił tak, jakby całkiem zapomniał, że został kapłanem tylko po to, by zwiększyć szanse na objęcie biskupstwa.

– Wojna się skończyła – przypomniała mu Elsie. – Te potrzeby nie są już tak naglące.

– Żołnierzom trudno będzie wrócić do normalności. Przywykli do myśli, że życie jest tanie. Zabijali i widzieli, jak umierają ich przyjaciele. Takie doświadczenia pozbawiają ludzi współczucia. Żeby sobie z tym poradzić, muszą stać się bezduszni. Nie mogą tak po prostu zapomnieć o tym wszystkim. Potrzebują pomocy.

– I ty możesz im jej udzielić.

– Z pewnością nie mogę – odparł z błyskiem dawnej stanowczości. – Ale może im pomóc Bóg, jeśli tylko zwrócą się ku niemu.

Patrzyła na niego w milczeniu.

– Zdajesz sobie sprawę, jak bardzo się zmieniłeś? – spytała po chwili.

Pokiwał w zamyśleniu głową.

– Zaczęło się w Hiszpanii – powiedział. Wpatrywał się w fontannę, lecz Elsie wiedziała, że widzi spalone słońcem pole bitwy. – Zobaczyłem młodego żołnierza leżącego na ziemi. Umierał, a jego krew wsiąkała w wysuszony grunt. – Umilkł na moment, lecz Elsie cierpliwie czekała. – Nieprzyjaciel był tuż obok. Towarzysze rannego nie mieli czasu, żeby go pocieszać, strzelali, przeładowywali karabiny i znów strzelali, najszybciej, jak mogli. Ukląknę przy nim i powiedziałem mu, że idzie do nieba. Odpowiedział coś, a ja musiałem przysunąć ucho do jego ust, by cokolwiek usłyszeć przez huk muszkietów i armat. „Do nieba? – spytał. – Naprawdę?” „Tak, jeśli wierzysz w Pana Jezusa”, odparłem. Potem zaproponowałem, żebyśmy odmówili razem *Ojcze nasz*. „Nie przejmuj się hałasem – powiedziałem. – Bóg nas usłyszy”. Wtedy wyznał, że nie zna słów. – Na to wspomnienie w oczach Kenelma pojawiły się łzy. – Możesz to sobie wyobrazić? Nie potrafił odmówić *Ojcze nasz*.

Elsie mogła to sobie wyobrazić. Czasami dzieci, które po raz pierwszy przychodziły do szkoły niedzielnej, nie wiedziały, kim był Jezus. Nie było takich wiele, ale zdarzały się.

– Trzymałem go za rękę i modliłem się za niego, a nim powiedziałem „Amen”, chłopak opuścił już ten świat i przeniósł się do miejsca, gdzie nie ma wojen.

– Niech spoczywa w spokoju – dodała Elsie.

*

Spade był pod ogromnym wrażeniem Passage des Panoramas w Paryżu. W Londynie nie zbudowano jeszcze niczego podobnego. Był to przykryty szklanym dachem wybrukowany pasaż, wzdłuż którego ciągnęły się po obu

stronach sklepy z biżuterią, bielizną, słodyczami, kapeluszami, papierem listowym i wieloma innymi artykułami. Zaczynał się przy boulevard Montmartre, a kończył przy rue Saint-Marc. Obu wejść strzegli krzepcy mężczyźni w uniformach, którzy nie wpuszczali do środka obdartusów i kieszonkowców. Eleganckie paryżanki i kobiety z wielu innych krajów mogły tu robić zakupy, nie obawiając się, że przemokną w deszczu albo ubrudzą sobie buty błotem zalegającym na ulicach. Dodatkową atrakcją była rotunda, w której prezentowano panoramiczne obrazy znanych miast, między innymi Rzymu i Jerozolimy.

Arabella była oczarowana. Kupiła słomkowy kapelusz, chustę i pudełko migdałów w cukrze. Spade zaprowadził ją do sklepu z luksusowymi tkaninami: jedwabiem, kaszmiem, delikatnym lnem i różnymi mieszankami, w wielu kolorach i wzorach. Wyjął z kieszeni sztywną kartę, na której napisano po francusku, że jest wytwórcą wyjątkowych tkanin na wytworne suknie i że chętnie pokazałby próbki swoich produktów, jeśli właścicielka sklepu znajdzie dla niego czas.

Odpowiedziała szybko po francusku. Abe, który miał piętnaście lat i uczył się francuskiego w gimnazjum w Kingsbridge, poprosił, by powtórzyła odpowiedź, ale wolniej, a kiedy właścicielka to zrobiła, przetłumaczył:

– Chętnie spotkałaby się z panem jutro rano o dziesiątej.

Spade uklonił się grzecznie i podziękował jej po francusku. Miał okropny akcent, ale uśmiechnął się przepraszająco, wkładając w to cały swój urok, i kobieta parsknęła śmiechem.

Kiedy wyszli z pasażu, wyczuł zmianę atmosfery na ulicy. Niektórzy ludzie przechadzali się leniwie, ale wielu rozmawiało o czymś z ożywieniem. Nie po raz pierwszy pożałował, że nie rozumie tego języka.

Minęli kobietę, która siedziała na poboczu, przy stole wyładowanym gazetami na sprzedaż. Spade zwrócił uwagę na wielki nagłówek:

NAPOLÉON A FUI!

– Co to znaczy? – zwrócił się do syna.

– Nie wiem. Bonaparte coś zrobił, to oczywiste, ale nie wiem co.

– Spytaj sprzedawczynię.

Abe wskazał na nagłówek i spytał:

– *Madame, qu'est-ce que ça veut dire?*

– *Il a échappé* – odparła. Widząc, że chłopiec nie rozumie, spróbowała jeszcze kilka razy: – *Il est parti! Il s'est sauvé! Il a quitté son prison!*

– Chyba uciekł – powiedział Abe.

Spade był zdumiony.

– Z Elby?

Sprzedawczyni gazet pokiwała energicznie głową.

– *Oui, oui, oui!* – Machając ręką na pożegnanie, dodała: – *Au revoir, Elba! Au revoir!* – Po czym zachichotała.

Wiedzieli, co to oznacza.

– Spytaj ją, dokąd popłynął – poprosił Spade syna.

– *Où va-t-il?*

– *Il est déjà arrivé en France! Au Midi!*

Spade kupił gazetę.

– Jak mogło do tego dojść? – odezwała się zrozpaczona Arabella. – Myślałam, że go pilnują!

Zmartwiony Spade pokręcił głową. Czy to możliwe, by ten człowiek na nowo rozniecił wojnę?

– Wracajmy do kwatery – powiedział. – Może ktoś wie tam coś więcej.

Zatrzymali się w pensjonacie prowadzonym przez Francuza, który miał żonę Angielkę, i dlatego był popularny wśród przybyszów z Anglii. Kiedy Spade dotarł tam z rodziną, właściciele siedzieli w salonie i rozmawiali z ożywieniem. Pokazał im gazetę.

– Czy ktoś może to przeczytać?

Gospodyni, Eleanor Delacroix, sięgnęła po gazetę i przejrzała szybko artykuł.

– To niesłychane! – rzuciła. – Udało mu się jakoś zebrać małą flotę i tysiąc żołnierzy!

– Był tam Anglik, który miał go strzec – powiedział Spade.

– Neil Campbell – potwierdziła madame Delacroix. – Wygląda na to, że odpłynął z Elby na statku *Partridge* z meldunkiem dla lorda Castlereagha.

Spade roześmiał się ponuro.

– Ciekawe, co było w tym meldunku. Ostrzeżenie, że Bonaparte planuje ucieczkę?

– Nie zdziwiłabym się, ale tu nic o tym nie piszą.

– Gdzie jest teraz?

– W Golfe-Juan, na południowym wybrzeżu.

– Więc nie wybiera się do Paryża. – Spade odetchnął z ulgą.

– Jeśli to prawda. – Gospodyni była sceptyczna. – Gazety nie wiedzą wszystkiego.

– Ale co mógłby zrobić we Francji z zaledwie tysiącem żołnierzy?

Delacroix wzruszyła ramionami jak Francuzka.

– Wiem tylko tyle, że nigdy nie powinno się nie doceniać Napoleona – powiedziała.

*

Amos Barrowfield miał wkrótce przewieźć dużą partię ciemnoniebieskiej wełny z merynosów barką do Combe, a potem przez morze do Antwerpii. Było to jego pierwsze duże zamówienie z wyzwolonych niedawno Niderlandów, więc zależało mu na tym, by sukno zostało dostarczone szybko i bezpiecznie. Miał nadzieję, że zdobędzie kolejne zamówienia od tego samego klienta, a także od innych, więc wiozł tkaninę przez kanał osobiście.

Dzień przed rozpoczęciem podróży jadł obiad w kawiarni przy High Street – pieczeń jagnięcą z ziemniakami – i czytał najnowsze wieści.

Nagłówek w „Gazette” głosił:

BONAPARTE WE FRANCJI!

– Do diabła – mruknął.

– Święte słowa – powiedział ktoś. Amos podniósł wzrok i zobaczył Rupe’a Underwooda, który siedział przy sąsiednim stole, jadł taką samą pieczeń i czytał tę samą gazetę.

Choć niegdyś rywalizowali o względy Jane Midwinter, teraz pozostawali w całkiem przyjaznych relacjach. Obaj byli po czterdziestce i Amos ze zdumieniem odnotował, jak bardzo Rupe się postarzał. Potem uświadomił sobie, że on również nie młodnieje; trochę posiwiał, dorobił się niewielkiego brzuszka i unikał wysiłku fizycznego.

– Piszą, że Bonaparte wylądował na południowym wybrzeżu Francji, w Cannes – powiedział Rupe. – I poszedł tam na mszę do kościoła.

– Co najgorsze, podobno ludzie garną się do jego nowej armii – dodał Amos.

– Wszyscy myśleli, że ucieknie do jakiegoś miejsca, gdzie jego cesarstwo jeszcze nie upadło.

– Prawdopodobnie do Neapolu.

– Ale nie doceniliśmy go... znowu.

Amos pokiwał głową.

– Tylko z jednego powodu mógłby wrócić do Francji z armią, nawet małą – powiedział. – Znow chce być cesarzem.

– Czy to możliwe?

– Przypuszczam, że wielu Francuzów chętnie przyjmie go z powrotem. Wygląda na to, że nowy król, Ludwik osiemnasty, zrobił wszystko, co mógł, żeby im przypomnieć, dlaczego w ogóle wybuchła rewolucja.

– Na przykład?

– O ile mi wiadomo, przywrócił stary królewski zwyczaj niewypłacania żołdu żołnierzom.

– Myślisz, że Bonaparte dotrze do Paryża? – spytał Rupe.

– Właśnie się nad tym zastanawiam. Jutro mam wyruszyć w podróż do Antwerpii.

– To jakieś siedemset albo osiemset mil od południowego wybrzeża Francji, prawda?

– Mniej więcej.

– Kawał drogi.

– Mimo wszystko zastanawiam się, czy nie odwołać podróży.

– Paryż jest na pewno broniony – powiedział Rupe. – Oddziały nowego króla mogą stanąć Bonapartemu na drodze.

Amos skinął głową. Francuska armia służyła teraz Ludwikowi XVIII, przynajmniej w teorii, więc z pewnością kazano by jej bronić kraju przed Bonapartem.

– Antwerpię dzieli od Paryża kilkaset mil – rozmyślał głośno Amos. – Poza tym Niderlandów bronią teraz brytyjskie i pruskie armie, więc...

– ...prawdopodobieństwo, że Napoleon dotrze aż do Antwerpii, wydaje się małe.

– A ja wiozę dużą partię towaru, więc wolałbym go nie zostawiać bez nadzoru. Poza tym chciałbym się spotkać z klientami. O wiele łatwiej prowadzi się interesy, gdy widzi się twarze kontrahentów.

– Więc co zrobisz?

– Jeszcze nie zdecydowałem. No bo ile niebieskiej wełny z merynosów warte jest moje życie?

– Ta przekłeta wojna... – Rupe westchnął ciężko. – Dwadzieścia dwa lata i wciąż tak naprawdę się nie zakończyła. Przez większość naszego dorosłego życia psuje nam interesy. Do tego mieliśmy zamieszki, niszczenie maszyn i prawo, które uznaje krytykowanie rządu za przestępstwo. I co zyskaliśmy?

– Rząd powiedziałaby pewnie, że zapobiegliśmy temu, by Europa zamieniła się w cesarstwo Francji.

– Tyle że wcale tego nie zrobiliśmy – mruknął Rupe. – Jeszcze nie.

*

Mieszkańcy pensjonatu madame Delacroix z niepokojem śledzili gazety i tłumaczyli artykuły z pomocą właścicielki. W Prowansji i na południowym zachodzie Francji dominowali rojaliści, przeciwni rewolucji i wrogo nastawieni do Napoleona. Spade przypuszczał, że właśnie dlatego Bonaparte trzymał się wschodniej granicy i maszerował z Cannes po oblodzonych górskich drogach. Wielu komentatorów twierdziło jednak, że zostanie powstrzymany, gdy tylko natknie się na francuską armię.

Gazety donosiły, że w ciągu sześciu dni dotarł do Grenoble, odległego o około dwanaście dni podróży od Paryża. Ale wiadomości docierały z czterodniowym opóźnieniem, co oznaczało, że Napoleona dzieli od stolicy osiem dni.

Wieści z Grenoble były złe.

Napoleon i jego rosnąca w siłę armia spotkali się pod miastem Laffrey, niedaleko Grenoble, z batalionem Piątego Pułku Piechoty. Siły rojalistyczne przewyższały liczebnie wojska Napoleona, więc powinien to być koniec jego powrotu. Lecz podobno Bonaparte wystąpił przed swoich ludzi i ruszył, sam i nieustraszony, ku szeregom pułku, który miał go powstrzymać.

Według relacji gazety – która mogła być nieco udramatyzowana – Napoleon rozłożył poły słynnego szarego płaszcza, wskazał na serce i powiedział: „Więc jak, panowie, chcecie zabić swojego cesarza?”.

Nikt nie wystrzelił.

Jeden z żołnierzy Piątego Pułku krzyknął: *Vive l'empereur!* Niech żyje cesarz!

Inni zaczęli powtarzać ten okrzyk, po czym zrzucili białe burbońskie rozety – symbol króla Ludwika XVIII – i uściskali się z ludźmi Napoleona.

Pułk przeszedł na stronę Bonapartego i pomaszerował z nim dalej.

– Do tej pory byli to tylko wieśniacy i Gwardia Narodowa – zwrócił się do żony Spade. – Ale tym razem przyłączyli się do niego żołnierze regularnej armii.

To znacząca różnica.

To samo zdarzyło się w następnym mieście, Vizille, gdzie Siódmy Pułk Piechoty przeszedł na stronę Napoleona. Potem w Grenoble powitano go jak bohatera i wyzwoliciela.

– O cholera... – mruknął Spade, gdy wszystkie te szczegóły złożyły się w oczywistą całość. Wyszedł i zarezerwował trzy miejsca w dyliżansie do Brukseli.

Zaproponowano mu cenę dziesięciokrotnie wyższą od zwykłej, ale zapłacił bez wahania. Wyjechali nazajutrz o świcie.

Wczesnym rankiem dwudziestego marca Ludwik XVIII uciekł z Paryża.

Kilka godzin później Napoleon wkroczył do stolicy, witany owacjami przez jej mieszkańców.

ROZDZIAŁ 39

Amos odwiedził klientów w Antwerpii, po czym pojechał do Brukseli. Uważał, że Hal nie powinien przebywać w potencjalnej strefie działań wojennych, chciał więc, by wrócił z matką do Anglii. Nie miał już żadnych wątpliwości, że Hal jest jego synem. Jane kochała ich dziecko, więc powinna rozumieć, że Bruksela nie jest miejscem dla dziewięciolatka.

Wynajęła wielki dom obok parku. Ujrawszy tę okazałą rezydencję, Amos pomyślał, że trzyosobowa rodzina z pewnością nie potrzebuje aż tyle miejsca. Kiedy wszedł do holu, nie dostrzegł żadnych śladów męskiej obecności: butów do jazdy konnej stojących na podłodze, szpady zawieszanej na haku czy bikornu na stojaku na kapelusze. Henry zapewne częściej spędzał noce z pułkiem niż z rodziną, co właściwie wcale Amosa nie dziwiło.

Służąca zaprowadziła go do salonu, gdzie Jane przeglądała właśnie żurnal. Jak zawsze była pięknie ubrana, a w otaczającym ją powietrzu unosił się delikatny aromat kwiatów.

Jej twarz promieniała radosnym podnieceniem; wydawała się szczęśliwa. Amos zastanawiał się dlaczego. To nie jego obecność tak na nią podziałała; dla nich te czasy były już odległym wspomnieniem. Przemknęło mu przez głowę, że być może Jane ma kochankę. Zganił się w myślach, uznawszy to za podłe podejrzenie, ale tak naprawdę wydawało mu się to całkiem możliwe.

Jane kazała podać herbatę, potem gawędzili o różnych sprawach. Amos opowiedział jej o ostatnich wydarzeniach w Kingsbridge, a ona entuzjastycznie rozprawiała o życiu towarzyskim w Brukseli.

– Księżna Richmondu wydaje bal – powiedziała. – Musisz przyjść. Zdobę dla ciebie zaproszenie. – Kiedyś narzekała, że nigdy nie chodzi na przyjęcia, teraz

prawdopodobnie bywała na nich bardzo często.

– Jesteś pewna, że nie będzie miała nic przeciwko zwykłemu sukiennikowi? – spytał, bo wiedział, że księżna słynie ze snobizmu.

– Całkiem pewna. Zaprosiła już ponad dwieście osób. Jeszcze jedna nie zrobi jej różnicy.

Pokojówka przyniosła herbatę, a po chwili pojawił się Hal. Amos poczuł znajome ukłucie w sercu. Choć jego syn dopiero za kilka lat miał wejść w wiek męski, już zaczął się zmieniać. Z powagą uściśnął dłoń Amosa, który uwielbiał dotyk jego miękkiej skóry, po czym z apetytem typowym dla rosnących chłopców zjadł trzy kawałki ciasta.

Przyglądając mu się, Amos dostrzegł coś znajomego w jego twarzy i uświadomił sobie, że przypomina mu twarz, którą widuje w lustrze podczas golenia. Pomyślał, że jeśli inni zauważą to podobieństwo, będą kłopoty, i postanowił zapaść brodę.

Gdy Hal opuścił salon, Amos przeszedł do sprawy, z powodu której się tu pojawił.

– Sprzymierzeni zebrani w Wiedniu wypowiedzieli wojnę – powiedział. – Nie Francji, lecz osobiście Napoleonowi. Nie wydaje mi się, by zdarzyło się to kiedykolwiek w historii.

– Francja jako pokojowa monarchia nie jest teraz naszym wrogiem. Anglia zamierza ją najechać tylko po to, by obalić Bonapartego. – Jane powtarzała niczym papuga frazy zasłyszane podczas rozmów w towarzystwie, ale nie miała pojęcia, jak trudno jest pokonać Bonapartego. – I tym razem ten korsykański parweniusz nie ucieknie.

– Wiesz, że zbiera armię zaledwie pięćdziesiąt mil stąd, tuż za granicą.

– Tak, oczywiście, że wiem – odparła. – Ale teraz jest tu książę Wellington, który już dowiódł, że jest więcej niż równorzędnym przeciwnikiem dla Bonapartego.

Nie było to wcale prawdą. Dwaj wielcy generałowie nie starli się jeszcze w bezpośredniej bitwie. Amos nie chciał się jednak spierać o szczegóły.

– Uważam po prostu, że Hal i ty bylibyście znacznie bezpieczniejsi w Anglii – oznajmił.

– Pewnie w Earlscastle – prychnęła lekceważąco. – Gdzie nic się nigdy nie dzieje. Myślę, że tutaj jesteśmy wystarczająco bezpieczni.

– Nie, nie jesteście – upierał się Amos. – Naprawdę lepiej nie lekceważyć Bonapartego.

– Mój mąż jest w sztabie Wellingtona – powiedziała Jane wyniośle. – Być może wiem więcej o naszej sytuacji niż ty.

– Nie jestem ekspertem – przyznał Amos. – Ale uważam, że w żaden sposób nie da się przewidzieć, kto wygra bitwę.

– Mam nadzieję, że nie przyszedłeś tu, żeby mnie pouczać.

– Chcę tylko, żebyście byli bezpieczni, ty i Hal.

– Tak naprawdę martwisz się o Hala. Ja cię nie obchodzę.

– Oczywiście, że mnie obchodzisz! – zaprotestował. – Jesteś matką mojego jedyne­go dziecka!

– Ciszej, na miłość boską!

– Przepraszam. Zastanów się przynajmniej nad tym, co powiedziałem – poprosił po chwili Amos.

Jane była wyraźnie zirytowana i zakłopotana.

– Zastanowię się, zastanowię – rzuciła lekceważąco, co oznaczało, że nie poświęci temu nawet jednej myśli.

Rozczarowany Amos pożegnał się i wyszedł.

Wiosna w północno-zachodniej Europie była deszczowa, ale tego dnia wyjątkowo zrobiło się całkiem pogodnie, Amos przeszedł więc zalanymi słońcem ulicami do mniej eleganckiej dzielnicy, gdzie mieszkała Elsie z mężem i dziećmi. Przywitała go w holu, jak zwykle szeroko uśmiechnięta.

– Proszę, nie mów Kenelmowi, że dobrze wygląda – poprosiła, kiedy szli na piętro. – Nie chcę, żeby wracał do pułku, dopóki nie będzie gotowy.

Amos ukrył uśmiech. Typowa Elsie, zawsze chce kontrolować sytuację, pomyślał czule.

– Będę to miał na uwadze – obiecał.

Kenelm był w salonie. Jego twarz, niegdyś cherubinkowo przystojna, wychudła i pokryła się zmarszczkami. Poza tym nie wyglądał na schorowanego. Był w kapłańskich szatach, a na nogach miał wysokie buty, jakby wybierał się na spacer.

– Miło cię widzieć – przywitał go Amos. – Podobno wracasz do zdrowia.

– Jestem już całkiem zdrowy – oświadczył Kenelm. – Trwało to dłużej, niż przypuszczałem, ale jestem już gotowy wrócić do swoich obowiązków.

– Skąd ten pośpiech?

– Żołnierze mnie potrzebują.

Czyżby? – pomyślał Amos. Jeśliby ich zapytać, odparliby zapewne, że przede wszystkim potrzebują dobrych butów, mnóstwa amunicji i inteligentnych przywódców.

– Nie wiesz, jak wygląda życie w obozie wojskowym – powiedział Kenelm, jakby czytał w jego myślach. – Picie, hazard, nieobyczajne kobiety. Elsie zechce mi wybaczyć, że mówię o tym wprost, ale nie chciałbym kłamać. Wiesz, z czego składa się dzienna racja żywnościowa brytyjskiego żołnierza?

– Niestety, nie wiem.

– Funt wołowiny, funt chleba i pół pinty ginu. Pół pinty! A jeśli mają jakieś pieniądze i nie przegrają ich w karty, kupują jeszcze więcej ginu.

– Myślisz, że możesz ich odwieść od takiego życia?

Kenelm uśmiechnął się smutno.

– Mam nadzieję, że się ze mnie nie naigrasz. Nie, ja nie mogę ich od tego odwieść, ale czasami robi to Bóg.

– Mówisz im, żeby nie oddawali się takim występkom.

– Namawianie ludzi, by czegoś nie robili, nie jest skuteczne. To jedna z wielu rzeczy, których nauczyłem się w wojsku. Zamiast zabraniać im złych rzeczy, staram się zachęcać ich do innych. Odprawiam msze polowe. Opowiadam im historie biblijne. Kiedy są ranni, tęsknią za domem albo umierają ze strachu przed bitwą, modlę się z nimi. Lubią śpiewać, czasami udaje mi się nawet namówić cały pluton, by odśpiewał jakiś znany hymn. W takich chwilach czuję, że moja ziemską egzystencja nie poszła na marne.

Amos z trudem ukrył zdumienie. Słyszał już, że pobyt w wojsku zmienił Kenelma, ale teraz widział, że ten człowiek uległ całkowitej przemianie.

– To wszystko prawda, ale nie powinieneś wracać, dopóki nie będziesz całkiem sprawny – powiedziała Elsie.

– W obozie jest mnóstwo ludzi, którzy nie są całkiem sprawni – odparł jej mąż. Rozmowę przerwały radosne okrzyki dobiegające z holu.

– Dzieci wracają – wyjaśniła Elsie. – Były w parku z moją mamą i Spade'em.

Amos nie spodziewał się spotkać tu Spade'a i Arabelli. Wiedział, że wyjechali do Paryża, ale potem nie miał o nich żadnych wieści. Ucieszył się, że udało im się uciec przed Bonapartem. Miał nadzieję, że w Brukseli wszyscy będą bezpieczni, nie mógł być tego jednak pewien.

Dzieci wpadły do salonu. Dobrze znały Amosa i nie czuły się skrępowane jego obecnością. Najmłodsze opowiadały jedno przez drugie, co widziały i robiły w parku. Starsi chłopcy zachowywali się bardziej powściągliwie – syn Elsie, Stephen, miał osiemnaście lat, a Abe, syn Arabelli, piętnaście – ale i oni byli wyraźnie zadowoleni z wyprawy.

Spade powiedział Amosowi, że zebrał mnóstwo zamówień w Paryżu – branża najwyraźniej szybko stawiała na nogi – i miał nadzieję, że będzie w stanie je zrealizować. Wszystko zależało od tego, co stanie się z Bonapartem.

Amos domyślił się, że Arabella kupiła w Paryżu sporo ubrań. Miała teraz sześćdziesiąt jeden lat, ale wciąż była szczupłą i prezentowała się świetnie w sukni z zielonego jedwabiu.

Po raz drugi tego popołudnia poczęstowano Amosa herbatą i z grzeczności nie odmówił. Dzieci rzuciły się na kanapki, a potem poszły do swoich pokoi.

– Amosie, skoro zostaliśmy już tylko w gronie dorosłych, chciałbym cię o coś poprosić – powiedział Kenelm.

– Zrobię, co będę mógł, oczywiście.

– Czy zechciałbyś towarzyszyć Elsie podczas balu wydawanego przez księżną Richmondu? Została zaproszona i chciałbym, żeby poszła... zasługuje na odrobinę przyjemności... ale nie mogę pójść. Nie wyglądałoby to dobrze, gdybym pojawił się na balu organizowanym przez arystokratkę i popijał szampana.

Elsie czuła się zakłopotana.

– Kenelm, proszę! Nie możesz tego narzucać Amosowi. Poza tym nie sądzę, by został zaproszony.

– Prawdę mówiąc, hrabina Shiring obiecała, że zdobędzie dla mnie zaproszenie – odparł Amos.

– Doprawdy? – rzuciła Elsie z dezaprobatą.

– Nie zamierzałem go przyjąć, ale będę zachwycony... a właściwie zaszczycony... mogąc pani towarzyszyć, pani Mackintosh – oświadczył Amos oficjalnym tonem.

– No proszę! – Kenelm uśmiechnął się z satysfakcją. – A więc sprawa jest załatwiona.

*

Księżę Wellington na jakiś czas opuścił armię, by zająć się innymi obowiązkami – jak pełnienie funkcji brytyjskiego ambasadora w Paryżu – a teraz powrócił i objął dowództwo nad armiami brytyjską i holenderską. Armią Prus dowodził ktoś inny.

Wellington poprosił hrabiego Shiring, by dołączył do jego sztabu, podobnie jak w Hiszpanii. Henry oczywiście się zgodził – był to raczej rozkaz niż prośba – i spytał, czy może zabrać ze sobą swojego adiutanta Kita.

– To bardzo zdolny młodzieniec – wyjaśnił księciu. – W wieku siedmiu lat rozpoczął pracę w zakładzie włókienniczym, a nim skończył osiemnaście, był jego zarządcą.

Według relacji Henry’ego ksiązę odpowiedział:

– Właśnie takiego człowieka potrzebuję.

Dziś Kit musiał przekazać wiadomość nowemu dowódcy Sto Siódmego Pułku Piechoty. Pojechał w deszczu do obozu i skorzystał z okazji, by znaleźć matkę.

Sal nosiła męskie ubrania. Kit wiedział, że to nie przebranie. Nie próbowała udawać mężczyzny, po prostu w obozie wojskowym spodnie i kamizelka były znacznie praktyczniejsze niż suknia. Ubierało się tak wiele innych kobiet towarzyszących żołnierzom. Odróżniało je to od prostytutek, nie musiały więc odganiać się od niechcianych awansów.

Sal spytała syna, kiedy sprzymierzeni najadą Francję.

– Wellington jeszcze nie podjął decyzji – odparł Kit zgodnie z prawdą. – Ale myślę, że to kwestia kilku dni.

Wolałyby, żeby jego matka wróciła do bezpiecznej Anglii, ale nawet nie próbował jej do tego namawiać. Postanowiła stać u boku męża, gdy ten będzie ryzykował życie w bitwie, i Kit musiał uszanować jej wybór. W końcu zrobił to samo, by zostać z Rogerem. Matka i Jarge, on i Roger mieli pomaszerować do Francji z wojskiem i uczestniczyć w ataku na siły Bonapartego. Kit miał nadzieję, że wszyscy wrócą.

Odsunął od siebie przygnębiające myśli.

Siedzieli w namiocie, chroniąc się przed deszczem. Po chwili wszedł żołnierz i kupił od Sal porcję tytoniu.

– Więc handlujesz tytoniem? – spytał Kit, gdy został z matką sam.

– Nie tylko – odparła. – Mężczyźni nie mogą wychodzić z obozu. Niektórzy się do tego nie stosują, ale niewielu, bo karą jest chłosta. Dlatego raz w tygodniu idę do Brukseli. Kupuję rzeczy, których nie można dostać w obozie: tytoń, materiały

piśmiennicze, karty do gry, pomarańcze, angielskie gazety i tak dalej. Sprzedają je tu dwa razy drożej.

– Nie mają nic przeciwko temu?

– Mówię im prawdę: połowa to koszt towaru, a połowa to opłata dla mnie za sześć mil marszu w jedną stronę i sześć w drugą.

Kit pomyślał, że klienci jego silnej barczystej matki pewnie nie mieli ochoty się z nią spierać, i skinął głową.

Deszcz nieco zelżał, więc pożegnał się, odebrał konia i ruszył w drogę, ale nie wrócił od razu do kwatery głównej. Zaledwie milę dalej stacjonowała bateria artyleryjska Rogera; pojechał tam z nadzieją, że spotka mężczyznę, którego kochał. Oficerowie mieli prawo opuszczać teren obozu, mogło się więc zdarzyć, że Roger akurat dokądś się wybrał.

Kitowi dopisało jednak szczęście i zastał go w namiocie: grał z innymi oficerami w karty, jak można się było spodziewać. Kit przypuszczał, że jak zwykle poprosi go o pożyczkę, a on jak zwykle odmówi. Przeczekał kilka partii, aż w końcu Roger podziękował za grę, schował pieniądze do kieszeni i wstał od stołu. Gdy mimo lekkiej mżawki oddalili się od namiotu, opowiedział o przedsięwzięciu Sal.

– Twoja matka to niezwykła kobieta – skwitował to Roger.

Kit nie mógł się z nim nie zgodzić. Po kilku minutach spaceru po rozmokłym gruncie odniósł wrażenie, że Roger zmierza ku jakiemuś konkretnemu celowi, a gdy chwilę później wyszli z lasu, zobaczył porzuconą chatę. Roger wprowadził go do środka.

Budynek miał tylko jedne drzwi i nie było okien. Roger zamknął drzwi wiszące na zawiasach i zablokował je dużym kamieniem.

– Gdyby ktoś próbował tu wejść, choć to mało prawdopodobne, będziemy mieli dość czasu, żeby doprowadzić się do porządku i udawać, że schroniliśmy się przed deszczem – wyjaśnił.

– Dobry pomysł – odparł Kit i zaczęli się całować.

*

Wellington zwołał zebranie sztabu, by omówić najnowsze wieści. Zebrali się w domu, który wynajmował przy rue Royale, i stanęli wokół wielkiej mapy rozłożonej na stole w jadalni. Na zewnątrz padał ulewny deszcz, jak przez znaczną część czerwca. Kit stał na tyłach grupy i usiłował dojrzeć coś ponad ramionami wyższych mężczyzn. Atmosfera była napięta. Wkrótce mieli się zetrzeć z najlepszym generałem ich czasów, a być może wszech czasów. Jak wynikało z obliczeń Kita, Bonaparte stoczył sześćdziesiąt bitew i wygrał pięćdziesiąt. Z pewnością był człowiekiem, którego należało się obawiać.

Armia Napoleona została podzielona na cztery grupy i rozmieszczono je w strategicznych miejscach, by broniły kraju przed inwazją z północy, wschodu i południowego wschodu, a także przed potencjalnym powstaniem rojalistów na południowym zachodzie. Dla Brytyjczyków najważniejszym zgrupowaniem była armia ulokowana na północy i strzegąca granicy między Beaumont i Lille na odcinku sześćdziesięciu mil.

– Szacujemy, że Bonaparte ma około stu trzydziestu tysięcy żołnierzy – powiedział szef wywiadu. – Najbliższe jednostki stacjonują zaledwie pięćdziesiąt mil stąd.

Siły Brytyjczyków i Holendrów były rozproszone na dużym obszarze, inaczej bowiem miejscowa ludność nie byłaby w stanie dostarczyć wystarczającej ilości pożywienia dla żołnierzy i paszy dla koni.

– Nasze armie liczą razem sto siedem tysięcy ludzi – kontynuował. – Ale nasi sprzymierzeńcy Prusacy, którzy stacjonują na południowy wschód stąd, mają sto dwadzieścia trzy tysiące żołnierzy.

A więc mamy prawie dwukrotną przewagę liczebną nad Bonapartem, pomyślał Kit. Służył w armii Wellingtona już od ponad dwóch lat, wiedział więc, że Stary Nochal zawsze stara się walczyć z przewagą i że raczej się wycofa, niż zaryzykuje bitwę z przeważającymi siłami wroga. To w dużej mierze tłumaczyło jego dotychczasowe sukcesy.

– Jaka będzie strategia Bonapartego? – spytał ktoś.

Wellington uśmiechnął się lekko.

– Kiedy byłem w Wiedniu, rozmawiałem o tym z bawarskim marszałkiem polnym, księciem Karlem Philippem von Wredem, który jeszcze kilka lat temu walczył po stronie Napoleona. Podobno Bonaparte powiedział mu kiedyś: „Nie mam żadnej strategii. Nigdy nie mam planu kampanii”. W przypadku Bonapartego można przewidzieć tylko jedno: że jest nieprzewidywalny.

Kit pomyślał, że to żadne pocieszenie, ale oczywiście zachował tę uwagę dla siebie.

– Prusacy chcieliby zaatakować natychmiast – powiedział Wellington. – Blücher mówi, że zostawił w Paryżu swoją starą fajkę i chce ją odzyskać. – Oficerowie zgromadzeni przy stole roześmiali się. Siedemdziesięciodwuletni pruski dowódca cieszył się opinią sympatycznego szelmy. – Prawda jest taka, że ich rząd nie ma już pieniędzy i zależy mu na tym, by wojna jak najszybciej się skończyła, a ludzie Blüchera chcą wrócić do domu na żniwa. Ja wolałbym poczekać, obawiam się jednak, że jeśli będę zwlekał zbyt długo, armia Blüchera zacznie się rozpraszać. Zbyłem go, obiecując mu, że zaatakujemy w lipcu.

Kit ucieszył się z tego opóźnienia. Nie spieszyło mu się do kolejnej bitwy. Chciał przeżyć, wrócić do domu, znów zamieszkać z Rogerem i zająć się budowaniem maszyn dla przemysłu sukienniczego. W ciągu dwóch tygodni wiele może się wydarzyć. Na przykład Bonaparte umrze. Albo Francuzi się poddadzą. Być może nie będzie już żadnej bitwy.

– Jeszcze jedno – odezwał się oficer wywiadu. – Wczoraj patrol brytyjskiego Dziewięćdziesiątego Piątego Pułku Strzelców na południowy zachód od Brukseli natknął się na grupę francuskich lansjerów, co oznacza, że być może przejdą przez granicę i zaatakują przez Mons.

– Bardzo prawdopodobne. – Wellington skinął głową. – Bonaparte może liczyć na to, że nas oskrzydli i odetnie od wybrzeża, blokując dostawy z Anglii, ale nie możemy być tego pewni, dopóki nie dowiemy się czegoś więcej. Na razie musimy

się zachowywać tak, jakbyśmy byli całkowicie pewni wygranej. Dysponujemy licznymi siłami, możemy wybrać czas bitwy, nie mamy się czego obawiać. – Uśmiechnął się. – A żeby tego dowieść, jutro wezmę udział w balu u księżnej Richmondu.

ROZDZIAŁ 40

Wellington wynajmował okazały dom przy rue Royale, ulicy wspaniałych rezydencji graniczących z parkiem. W domu mieściła się również kwatera główna brytyjskich sił. W dniu balu, w czwartek piętnastego czerwca, najważniejsi członkowie sztabu zebrali się o trzeciej na obiad. Nie było to jednak spotkanie towarzyskie; żona księcia była w Anglii i przy stole nie zasiadła ani jedna kobieta. Jedzenie również nie było wyszukane. Wellington lubił wołowinę, dobre wino i niewiele poza tym.

W obiedzie uczestniczył Henry, hrabia Shiring. Kit czekał w dużym holu z innymi adiutantami. Hrabia był zmartwiony. Coraz częściej pojawiały się plotki, że Francuzi lada moment rozpoczną inwazję. Wellington ufał jednak swoim szpiegom w Paryżu, a ci nie widzieli żadnych oznak świadczących o rychłym ataku. Przypuszczał więc, że to Bonaparte dał początek tym plotkom, by wprowadzić go w błąd.

Według jednej z pogłosek Napoleon miał wysłać niewielkie siły do ataku na Prusaków na południowy wschód od Brukseli, by Wellington ruszył tam z armiami brytyjską i holenderską. Wtedy główny atak od zachodu odciąłby wojska Wellingtona od wybrzeża. Zdaniem Kita wyglądało to na typowy podstęp Bonapartego. Wellington nie był tego taki pewien.

Kilka minut po tym, jak członkowie sztabu zasiedli do stołu, przybył książę Wilhelm Orański. Był dowódcą Pierwszego Korpusu Wellingtona, do którego należały również oddziały holenderskie. Ze względu na jego szczupłą sylwetkę nazywano go Smukłym Billym. Drzwi jadalni pozostały otwarte, by adiutanci słyszeli, jakie przywiózł wiadomości.

Wilhelm Orański oznajmił, że wojska pruskie stoczyły potyczkę z francuskimi siłami, które przekroczyły granicę na południe od Brukseli. Właśnie o tym mówiły plotki, w które nie wierzył Wellington. Był zdumiony tymi wieściami, bo jego szpiedzy w ogóle o tym nie wspominali.

– Może to tylko jakiś pomniejszy atak – powiedział. – Oddział zwiadowczy.

– Ale może i nie – odparł Wilhelm.

Manewr pozorowany czy rzeczywisty atak? Nie mogli tego rozstrzygnąć. Decyzję musiał podjąć głównodowodzący, kierując się jedynie instynktem.

– Musimy zdobyć więcej informacji – oznajmił Wellington.

Ta odpowiedź najwyraźniej rozczarowała Wilhelma, który prawdopodobnie uważał, że Wellington powinien wysłać wojska na południe, by wesprzeć Prusaków. Kit nie wiedział, co o tym myśleć. Bonaparte słynął z szybkich i zdecydowanych manewrów; każde opóźnienie ze strony zjednoczonych sił mogło się okazać katastrofalne w skutkach. Gdyby jednak Wellington kazał swoim wojskom wyruszyć, bazując jedynie na skąpych informacjach, mógłby popełnić błąd.

Ruszać czy czekać?

Oficerowie wrócili do jedzenia, ale nie na długo, ponieważ przybył syn księcia i księżnej Richmondu. Przegalopował dwadzieścia dwie mile – zmieniając kilka razy konie – by przywieźć wiadomość, że Francuzi zajęli małe średniowieczne miasto Thuin, tuż za granicą, zmuszając pruskie wojska do odwrotu.

Jakie znaczenie mógł mieć ten incydent? Młody arystokrata, cały pokryty błotem po szaleńczej jeździe, nie potrafił, niestety, oszacować wielkości atakujących sił. A Wellington pilnie potrzebował informacji o tym, jak liczne są francuskie wojska, które przekroczyły granicę. Obie możliwości, które brał pod uwagę, wydawały się równie prawdopodobne.

Orzeł czy reszka?

Kilka minut później pojawił się pruski oficer łącznikowy, generał brygady von Müffling, z wiadomością, że Francuzi przesunęli się o dziesięć mil na północ

i atakują miasto Charleroi.

Wellington wciąż nie mógł uwierzyć, że w ten atak jest zaangażowana cała armia Napoleona. Uważał, że są to działania pozorowane, mające odciągnąć siły obronne od prawdziwej inwazji, która nastąpi gdzie indziej. Pozostali oficerowie zgromadzeni przy stole byli innego zdania.

Wellington postanowił podjąć odpowiednie środki ostrożności; wezwał głównego kwatermistrza, pułkownika Williama De Lanceya, i rozkazał, by wszystkie zjednoczone siły były gotowe do wymarszu. Pouczył go też, jakie rozkazy ma wydać, gdyby zdecydowano się na wymarsz.

Kit coraz bardziej się martwił. Od samego początku zgadzał się z Wellingtonem, że obecność francuskich lansjerów w pobliżu Mons, na południowy zachód od Brukseli, oznaczała, że główny atak nastąpi dalej na zachód, lecz kolejne dowody raczej podważały tę wersję. Mimo to Wellington nie zmieniał zdania i traktował kolejne doniesienia jako świadectwo pozorowanego ataku.

A jeśli się mylił? Obecnie siły sprzymierzonych rozciągały się na przestrzeni kilkuset mil, co było konieczne ze względów zaopatrzeniowych. Nim mogłyby razem stanąć do walki, musiałyby przemaszerować do strefy wojennej, co zajęłoby sporo czasu; tymczasem armia Bonapartego mogła być już gotowa do starcia.

A czas dzielący ich od zmięzchu nieubłaganie się kurczył. Kit obawiał się, że zagraża im ogromne niebezpieczeństwo, a głównodowodzący nie chce go dostrzec.

Gdy przerywany kilkakrotnie obiad wreszcie dobiegł końca, Wellington zgodnie ze swoim zwyczajem wybrał się na przechadzkę po parku. Nie było to tak niefrasobliwe, jak mogło się wydawać: jego podwładni wiedzieli, że o tej porze dnia go tam znajdą i że podczas spaceru często wydaje ważne rozkazy.

Gdy wrócił do domu, powozy czekały już, by zabrać wszystkich na bal, lecz Wellington i jego oficerowie zwlekali z odjazdem. O zmięzchu pojawił się ponownie von Müffling z kolejnym szokującym meldunkiem od pruskiej armii. Francuzi zajęli fortecę Charleroi, odległą zaledwie o czterdzieści mil od Brukseli, i Prusacy musieli się wycofać.

Co gorsza, potwierdzono, że część nacierających sił stanowi Gwardia Cesarska, elitarne jednostki, które zawsze towarzyszyły Bonapartemu.

Kita ogarnęło przerażenie. Przypuszczenia Wellingtona okazały się błędne. To nie były działania pozorowane. Podczas gdy sprzymierzeni szykowali się do inwazji na Francję, Bonaparte odwrócił sytuację i zaatakował Niderlandy. Najeźdźcy zostali najechali.

Wellington lekko pobladł, a Kit przypomniał sobie jego słowa: „W przypadku Bonapartego można przewidzieć tylko jedno: że jest nieprzewidywalny”.

Mamy poważne kłopoty, pomyślał.

Wellington szybko doszedł do siebie i spojrzał na mapę. Dwie drogi wychodzące z Charleroi układały się niczym wskazówki zegara o godzinie drugiej.

– Którędy konkretnie wycofali się Prusacy? – spytał.

– Na północny wschód. – Müffling przesunął palcem wzdłuż drogi, która byłaby wskazówką godzinową, pokazującą cyfrę dwa, i zatrzymał się na mieście Ligny. – Blücher zatrzyma się tutaj.

Wellington przystawił palec do wskazówki minutowej, długiej prostej drogi, która biegła na północ, w stronę Brukseli. W pobliżu Charleroi znajdowały się kopalnie węgla; Kit wiedział, że właśnie tą drogą ciągnął nieustannie strumień ciężkich wozów, dostarczających węgiel do fabryk i domów w Brukseli.

– Czy droga węglowa pozostaje teraz niestrzeżona? – spytał Wellington. – Czy też Blücher zostawił tam swoich żołnierzy?

– Nie wiem.

Kit znów poczuł, że ogarnia go panika. Droga znajdowała się na granicy między pruskimi i brytyjskimi siłami i teraz uświadomił sobie, że sztaby obu armii nie uzgodniły, kto jej będzie bronił.

– Więc to my musimy zabezpieczyć ten kierunek przed atakiem Francuzów – oświadczył Wellington, zachowując zimną krew.

Rozkazał generałowi Pictonowi, by jego dywizja pomaszerowała na południe i zablokowała drogę w odległości dwunastu mil od Brukseli, w miejscowości

Mont-Saint-Jean.

Następnie, ku zdumieniu Kita, pojechał na bal.

*

Elsie wyglądała prześlicznie.

Nie uważano jej za piękną kobietę. Zgodnie z obowiązującym kanonem urody miała zbyt szerokie usta i za duży nos. Amos zastanawiał się, czy takie kanony w ogóle mają sens. Usta Elsie rozciągnięte w szerokim uśmiechu pasowały do jej wielkodusznej natury, a orzechowe oczy do ciepłego serca. A może należała do tych kobiet, które w wieku średnim stają się bardziej ponętne. Albo kreacja, którą miała dziś na sobie, wyjątkowo do niej pasowała. Elsie otrzymała tę suknię w prezencie od Spade'a; uszyła ją jego siostra z jedwabiu w dwóch kolorach, ościście czerwonym i jasnożółtym. Elsie nie musiała jej jeszcze ozdabiać biżuterią, wiedziała jednak, że większość kobiet na balu będzie obwieszona brylantami, pożyczyła więc naszyjnik od matki.

Bez względu na to, co było tego przyczyną, serce Amosa zabiło mocniej na jej widok. Ta reakcja nieco go speszyła. Byli tylko przyjaciółmi, prowadzili razem szkółkę niedzielną. Znał Elsie lepiej niż inne kobiety, lepiej nawet niż Jane. To dziwne, by przyjaciółka budziła w nim takie uczucia. Siedzieli w powozie naprzeciwko siebie i uśmiechali się z niezrozumiałego dla Amosa powodu.

Rezydencja Richmondów znajdowała się przy rue de la Blanchisserie. *Blanchisserie* oznaczało po francusku „pranie” i książe Richmondu czasami żartobliwie nazywał swój dom pralnią. Na ulicy stała kolejka powozów, a w pobliżu zebrał się tłum gapiów, którzy przyglądali się z podziwem bogatym gościom, kobietom w misternie udrapowanych jedwabiach i kosztownej biżuterii oraz mężczyznom, z których większość miała na sobie mundury.

Sala balowa nie mieściła się w samym domu, lecz w oddzielnym dużym budynku, który – jak powiedziano Amosowi – pełnił kiedyś funkcję sali wystawowej wytwórcy powozów. Przekroczywszy próg sali, ujrzał ze zdumieniem

setki, może nawet tysiące świec, które wypełniały wnętrze jaskrawym blaskiem, i więcej kwiatów, niż widział kiedykolwiek w życiu w jednym miejscu. Od tego widoku aż zakręciło mu się w głowie, jakby wypił lampkę szampana.

– W Kingsbridge nigdy nie widzieliśmy takiego przepychu – odezwała się Elsie.

– Tak, to zdumiewające – rzucił.

Powitała ich księżna Richmondu, atrakcyjna kobieta po czterdziestce.

– Wasza książęca mość, pozwolę sobie przedstawić pana Amosa Barrowfielda, mojego drogiego przyjaciela – powiedziała Elsie.

Amos uklonił się grzecznie. Księżna spojrzała na niego zalotnie.

– Hrabina Shiring mówiła mi, że pan Barrowfield jest najprzystojniejszym mężczyzną w całej zachodniej Anglii. Teraz już rozumiem, co miała na myśli.

Amos był zaskoczony jej kokieteryjnym zachowaniem, więc zareagował w jedyny sposób, jaki przyszedł mu do głowy:

– Dziękuję bardzo za zaproszenie, wasza książęca mość.

– Proszę go trzymać przy sobie, pani Mackintosh, bo zaraz ktoś go pani ukradnie.

Czyżby sugerowała, że Amos i Elsie mają romans?

Elsie trąciła go lekko, opuścili księżną i przeszli w głąb sali. Pojawił się kelner z szampanem na tacy, wzięli więc po kieliszku.

– Przepraszam, nie wiedziałem, jak zareagować na te bzdury – powiedział Amos. – To okropnie krępujące.

– Żartowała. Nie martw się, świetnie sobie poradziłeś.

– Przypuszczam, że większość mężczyzn, którzy bywają na takich przyjęciach, jest do tego przyzwyczajona i wie, co powiedzieć.

– Tak, ale cieszę się, że ty nie wiesz. Lubię cię takiego, jaki jesteś.

– To samo myślę o tobie. Nie zmieniajmy się.

Uśmiechnęła się, wyraźnie zadowolona.

Orkiestra zaczęła grać wesołą melodię na trzy czwarte.

– Wiem, że lubisz tańczyć, ale co myślisz o walcu? – spytała Elsie.

– Myślę, że sobie poradzę.

Odstawiła kieliszek na stół.

– Więc spróbujmy – zaproponowała.

Amos opróżnił swój kieliszek, również go odstawił i wziął ją w ramiona. Tanecznym krokiem przeszli na parkiet.

Talia Elsie emanowała przyjemnym ciepłem pod jego prawą dłońią. Pomyślał, że to niezwykle przyjemne tańczyć z kobietą, którą się tak bardzo lubi.

Delikatnie przysunął ją nieco bliżej.

*

Kiedy Wellington i jego świta przybyli na bal, przed rezydencją Richmondów stała długa kolejka powozów. Wellington zniecierpliwiał się i wyskoczył z powozu jakieś pięćdziesiąt jardów od bramy. Idąc wraz z grupą oficerów, Kit ze zdumieniem dostrzegł wśród tłumu szerokie bary i okrągłą twarz matki.

Był z księciem Wellingtonem i przez jedną haniebną chwilę udawał, że jej nie widzi. Potem zauważył, że księżę patrzy na niego, i pomyślał, jak szczęśliwa byłaby matka, gdyby się do niej przyznał, odłączył się więc od pozostałych, podszedł do niej i zamknął ją w serdecznym uścisku.

– Proszę, proszę – powiedziała, promieniejąc z zadowolenia. – Mój mały Kit z księciem Wellingtonem. Nigdy bym nie przypuszczała, że zobaczę coś takiego.

– Jak się miewasz, mamó? I co u Jarge'a?

– Wszystko w porządku. Jarge jest w obozie. Przyszłam do miasta, żeby kupić parę rzeczy. Lepiej wracaj do księcia.

Przypomniawszy sobie, że jest w mundurze, Kit uklonił się oficjalnie i wrócił do pozostałych oficerów.

Niewiele uchodziło uwagi Wellingtona i teraz również zauważył, co się stało.

– Kto to był? – spytał.

– Moja matka, panie generale – odparł Kit.

– Dobry Boże – mruknął Wellington.

Kit poczuł się urażony.

– To jedyna osoba na świecie, którą podziwiam bardziej niż pana, generale – powiedział.

Przez moment księżę nie wiedział, jak potraktować jego słowa. Można je było uznać za zuchwalstwo. Potem się jednak uśmiechnął i skinął głową.

– Brawo – rzucił i ruszył dalej.

Bał trwał już w najlepsze i młodszy goście entuzjastycznie tańczyli walca. Kit był zdumiony. Jak ludzie mogą się bawić, gdy ku miastu zmierza Bonaparte?

Przybycie księcia Wellingtona wywołało spore poruszenie. Był najważniejszą osobą w Brukseli i bohaterskim zwycięzcą bitew pod Vitorią i Tuluzą. Każdy chciał się z nim przywitać i uścisnąć mu dłoń.

Kit był nie tylko wystraszony, ale też głodny. Zajrzał tęsknie do jadalni, ale musiał pozostać w pobliżu hrabiego Shiring, na wypadek gdyby ten go potrzebował. Nie pozostało mu nic innego, jak poczekać, aż hrabia również zgłodnieje.

Wellington nie tańczył, ale przechadzał się wokół sali z ciężarną lady Frances Webster, która według plotek była jego kochanką. Choć zabawa trwała nieprzerwanie, do sali raz po raz wchodził umundurowani oficerowie, podchodzili do księcia i szeptali mu coś do ucha. Rozmawiał z każdym z nich przez chwilę, a potem odsyłał ze świeżymi rozkazami.

Ponownie rozważył kwestię drogi węglowej i uznał, że blokada Mont-Saint-Jean przez dywizję Pictona to za mało. Skierował Holendrów dowodzonych przez Smukłego Billy'ego na skrzyżowanie dróg zwane Quatre Bras, położone jeszcze dalej na południe, by w razie potrzeby powstrzymali wcześniej napoleońskie wojska.

Między tańcami, gdy orkiestra przestawała grać, wszyscy słyszeli tupot maszerujących żołnierzy i brzęk uprząży dobiegające z ulicy, gdzie gromadziły się kolejne oddziały.

Na sali pojawili się ludzie głównego kwatermistrza i przerwali na moment tańce, by wydać oficerom rozkazy dotyczące marszruty. Szokujące wieści o odwróceniu Prusaków z Charleroi wzbudziły głęboki niepokój wśród uczestników zabawy. Podczas pokazu szkockich tańców, urządzonego przez żołnierzy z pułku Gordon Highlanders, mężczyźni zaczęli się wymykać z sali, jedni by wypełnić wcześniejsze rozkazy, a drudzy przypuszczając, że będą potrzebni.

Niektóre pożegnania młodych oficerów i dziewcząt były szokująco namiętne, wszyscy bowiem zdawali sobie sprawę, że mogą się już nigdy nie zobaczyć.

Księżę Wellington wyszedł o trzeciej nad ranem i jego adiutanci mogli wreszcie położyć się spać.

*

Kit i hrabia należeli do świty Wellingtona, gdy ten następnego dnia rano, w piątek szesnastego czerwca, wyruszył w drogę.

Wyjechali z Brukseli przez Porte de Namur i udali się na południe drogą węglową. Jej środek pokryty był brukiem, po którym jeździły ciężkie wozy, a po obu stronach ciągnęły się szerokie gruntowe pasy przeznaczone dla jeźdźców. Błoto było czarne od pyłu węglowego, który opadał z wozów. Kilka mil dalej trakt wiódł przez gęsty las.

W końcu przestało padać, choć ziemię pokrywała warstwa błota i było pełno kałuż. Słońce przyświecało coraz mocniej; zapowiadał się parny dzień.

Wellington był spięty. Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji, ale ci, którzy dobrze go znali, umieli odczytywać różne znaki. Inwazja całkowicie go zaskoczyła. Co gorsza, źle ocenił sytuację i pozwolił Bonapartemu dotrzeć aż do Charleroi; teraz wiedział już, że powinien był rozpocząć koncentrację wojsk wcześniej. Napoleon zebrał swoje siły szybko i bez rozgłosu, dzięki czemu udało mu się zachować inwazję w tajemnicy aż do momentu, gdy trwała już na dobre. Kit dwukrotnie słyszał, jak Wellington mówi:

– Bonaparte wywiódł mnie w pole.

Wszyscy wiedzieli, że głównym celem jest połączenie sił z Prusakami i stworzenie armii znacznie większej od napoleońskiej. Wiedzieli również, że przebiegły Bonaparte zrobi wszystko, by do tego nie dopuścić.

Członkowie sztabu, wszyscy dosiadający koni, wyprzedzili regularne wojska zmierzające na południe. Kit ucieszył się ogromnie, dojrawszy Rogera obok ciężkich dział ciągniętych przez konie, które całkiem dobrze radziły sobie na brukowanej powierzchni. Przez minutę jechał obok Rogera, który wydawał się pełen energii, choć z pewnością wyruszył w drogę na długo przed świtem.

– Uważaj na siebie – powiedział Kit. Nigdy jeszcze nie zmieścił w tej banalnej frazie tak wielkiego ładunku emocji. Potem dźgnął konia piętami i odjechał.

Nieco dalej minęli Sto Siódmy Pułk Piechoty. Kenelm Mackintosh śpiewał z grupą żołnierzy hymn *Obudźcie się, nasze senne dusze*, w sam raz dla ludzi, którzy musieli wstać w środku nocy. Autorami najlepszych pieśni kościelnych byli baptyści i Kit miał wrażenie, że to właśnie jeden z ich utworów. Najwyraźniej Mackintosh dawno już przestał się przejmować małostkowymi sporami wśród różnych odłamów chrześcijaństwa.

Jadąc obok kolumny, Kit przyglądał się twarzom żołnierzy i wkrótce wypatrzył wśród nich ojczyma i matkę. Oboje mieli standardowe plecaki piechurów; matka zapewne wyprosiła swój u kwatermistrza. Jarge był w mundurze, krótkiej czerwonej kurtce i szarych spodniach, a Sal jak zwykle nosiła męskie ubranie: spodnie i kamizelkę. Maszerowali radośnie w blasku słońca. Oboje byli dość silni, by iść przez cały dzień i nie paść ze zmęczenia. Kiedy Kit przyglądał im się z końskiego grzbietu, matka wyjęła zza kamizelki kawałek pikantnej miejscowej kiełbasy, *boudin*, wyciągnęła z pochwy przymocowanej do pasa zadziwiająco długi nóż, odkroiła kawałek kiełbasy i podała mężowi. Jarge włożył go do ust i zaczął przeżuwać z ukontentowaniem.

Kita kusiło, by porozmawiać z nimi chwilę, ale widział się z matką zaledwie kilka godzin wcześniej, więc tylko pomachał im ręką i odjechał. Kawałek dalej zobaczył nadjeżdżającego Joego Hornbeama, który zapewne wysforował się wcześniej i właśnie wracał.

– Z przodu jest strumień z czystą wodą, w lesie po lewej! – zawołał do maszerujących żołnierzy Joe. – Zatrzymajcie się na moment i napełnijcie manierki!
– Jechał dalej wzdłuż kolumny, powtarzając ten komunikat.

Kit pomyślał, że Joe jest właściwie jeszcze chłopcem, a mimo to został dobrym oficerem, który dba o potrzeby podwładnych. Na pewno nie odziedziczył tej cechy po dziadku.

Dotarli do miejscowości Mont-Saint-Jean, gdzie droga się rozwidła. Wellington przystanął, by przemówić do ludzi.

– Wybrałem to miejsce rok temu – powiedział. – Lewa odnoga prowadzi do Charleroi, prawa do Nivelles. Możemy więc zablokować tutaj dwa główne trakty do Brukseli.

Znajdowali się w pobliżu długiego grzbietu, z którego rozciągał się widok na pola porośnięte zbożem – pszenicą i żytem – wysokim, lecz wciąż zielonym. Droga węglowa prowadziła w dół łagodnego zbocza, przez zagłębienie, przy którym w odległości mniej więcej mili stały dwa duże domy i zabudowania gospodarcze. Następnie krzyżowała się z traktem biegnącym ze wschodu na zachód i wspinała na przeciwległe zbocze, gdzie stała gospoda.

– Jeśli dojdzie do najgorszego, tu właśnie stoczymy ostatnią walkę – powiedział Wellington. – Jeśli przegramy, stracimy Brukselę, a być może i całą Europę.

Wszyscy milczeli, przejęci tą otrzeźwiająca myślą.

– Jak się nazywała ta wioska, przez którą przejechaliśmy? – spytał ktoś.

– Waterloo – odparł książę Wellington.

CZEŚĆ VI
Bitwa pod Waterloo

16–18 czerwca 1815

To była diabelnie zacięta walka.

Marszałek polny sir Arthur Wellesley, książę Wellington

ROZDZIAŁ 41

Zamyślony Wellington miał poważną minę. Nie mówił zbyt wiele podczas jazdy. Znalazł się w trudnej sytuacji, ale nie należał do ludzi, którzy roztrząsają swoje błędy. Nieustannie wodził wzrokiem po okolicy, a Kit wiedział z doświadczenia, że ocenia każde wzgórze, pole i zagajnik pod kątem przydatności w walce. Oficerowie szanowali jego milczenie i starali się nie przeszkadzać mu w rozmyślaniach. Kit wierzył, że książę znajdzie właściwe rozwiązanie.

O dziesiątej Wellington zatrzymał się na skrzyżowaniu dróg. Stacjonował tu już niewielki oddział holenderskich żołnierzy, a od zachodu nadjeżdżali kolejni, ciągnąc ze sobą armaty. Kit domyślił się, że są w miejscu zwanym Quatre Bras. Na jednym rogu stał wiejski dom, a na przeciwległym gospoda. Droga na wschód, również brukowana, prawdopodobnie prowadziła na terytorium okupowane przez pruskich sprzymierzeńców Brytyjczyków.

Kiedy ucichł stukot końskich kopyt, Kit usłyszał sporadyczny ogień karabinów dochodzący z południa, co oznaczało, że drogą węglową od Charleroi zmierzają francuskie siły, które przynajmniej chwilowo zostały powstrzymane przez Holendrów, nim dotarły do skrzyżowania. Nieprzyjaciel był blisko. Gdy Kit spojrział w tę stronę ponad polem pszenicy, dojrzał kłęby dymu. Prawdopodobnie był to tylko niewielki oddział straży przedniej, mogły jednak za nim ciągnąć znacznie większe siły. Ale żołnierze czekający przy drodze nie wyglądali na zdenerwowanych i spokojnie gotowali posiłek.

Wellington powiódł wzrokiem po okolicy i Kit zrobił to samo. Widział głównie płaskie pola porośnięte dojrzewającymi zbożami. Po prawej pola ustępowały gęstemu lasowi, w którym rosły głównie buki i dęby; na wprost po obu stronach drogi stały zabudowania gospodarcze, a jakąś milę dalej po lewej leżała wioska

Piraumont, jak wyjaśnił któryś z oficerów. Wellington ze swoją świtą objeżdżał ten teren, zwracając uwagę na wszystkie elementy ukształtowania terenu, które mogły stać się ważne, gdyby potyczka, którą słyszeli teraz w oddali, zamieniła się w poważniejszą bitwę.

Gdy słońce podniosło się wyżej, zrobiło się naprawdę gorąco.

W końcu Wellington zebrał całą grupę wokół siebie i wygłosił krótki komunikat.

– Do wieczora musimy osiągnąć dwa cele: po pierwsze, połączyć siły z Prusakami, po drugie, zatrzymać Bonapartego. – Zamilkł na moment, by wszyscy dobrze go zrozumieli, po czym dodał: – I tutaj pojawiają się dwa problemy. Po pierwsze, gdzie jest Blücher? – Mówił o marszałku polowym Gerhardzie von Blücherze, księciu Wahlstatt i głównodowodzącym armii pruskiej w Niderlandach. – A po drugie, gdzie jest Bonaparte?

Pruski oficer łącznikowy Müffling, który towarzyszył brytyjskiemu sztabowi, wskazał na wschód.

– Z moich ostatnich informacji wynika, że marszałek polny Blücher stacjonuje siedem mil stąd, w wiosce Sombreffe, niedaleko Ligny.

– Więc jedźmy tam – rzucił Wellington.

On i towarzyszący mu oficerowie skręcili na drogę prowadzącą na wschód i poderwali konie do szybszej jazdy. Gdy znaleźli się w pobliżu Sombreffe, napotkany brytyjski oficer łącznikowy zaproponował, że zaprowadzi ich do Blüchera. Razem podjechali do wiatraka z drewnianymi schodami prowadzącymi na platformę widokową – jak przypuszczał Kit, zbudowaną przez pruskich inżynierów, bo przecież wiatraki nie mają platform widokowych.

Było na niej dość miejsca dla wszystkich członków świty księcia. Wellington poprosił Kita, by im towarzyszył, wiedział bowiem, że ten mówi trochę po niemiecku.

Blücher był po siedemdziesiątce; miał rzednące siwe włosy i ogromne brązowe wąsy. Mówiono o nim, że jest nieoszlifowanym diamentem; nie mógł się pochwalić

świetnym wykształceniem, ale był doskonałym dowódcą i strategiem. Miał czerwone policzki typowe dla ludzi, którzy dużo piją, w zębach trzymał wielką wygiętą fajkę. Wellington najwyraźniej go lubił, bo serdecznie się z nim przywitał, co zaskoczyło Kita, który wiedział, że księżę potrafi być wybredny w doborze znajomych.

Niemiecki marszałek polny patrzył przez lunetę na południowy zachód. Wellington wyjął swoją i spojrzął w tym samym kierunku. Rozmawiali po francusku, wtrącając angielskie słowa i od czasu do czasu prosząc o tłumaczenie. Kit obawiał się, że w niczym im się nie przyda, ponieważ jego niemiecki jest za słaby, okazało się jednak, że poradził sobie całkiem nieźle.

- Francuskie wojska – powiedział Blücher, nie odsuwając lunety od oka.
- Jakies pięć mil stąd – sprecyzował Wellington.
- Widzę dwie kolumny.
- Na wiejskiej drodze.
- Zbliżają się do Ligny.

Obaj uznali, że w Charleroi Bonaparte podzielił swoją armię na dwie części. Ta, którą widzieli, ścigała Prusaków, druga niemal na pewno była na drodze węglowej. Nie mogli w żaden sposób oszacować siły obu tych części, Blücher uważał jednak, że większość Francuzów jest tutaj, i Wellington się z nim zgadzał. Po dyskusji – Kit zrozumiał ją tylko po części – postanowiono, że Wellington sprowadzi większą część swojej armii z Quatre Bras do Ligny, by wzmocnić Prusaków.

Kit odetchnął z ulgą. Przynajmniej mieli jakiś plan.

Niestety, plan niemal natychmiast legł w gruzach.

Kiedy wracali do skrzyżowania dróg, usłyszeli odległy huk artylerii. Odgłosy kanonady dochodziły z zachodu, gdzie właśnie zmierzali, co oznaczało, że pod Quatre Bras toczy się bitwa.

Wellington poderwał do galopu konia – piękne zwierzę o imieniu Kopenhaga – a pozostali oficerowie z trudem za nim nadążali.

W pobliżu Quatre Bras znaleźli się pod ogniem karabinów. Strzały oddawano z południa, z ich lewej strony. Kit pochylił się odruchowo i wszyscy skręcili na prawo, w las na północy od drogi. Nikt nie został trafiony, ale musieli zwolnić.

Obecność francuskich wojsk tak blisko drogi nie wróżyła niczego dobrego. Najwyraźniej nieprzyjaciel zyskał od rana sporo terenu.

Cierpliwość Wellingtona została poddana ciężkiej próbie, gdy przedzierali się między drzewami i krzewami, nasłuchując bezradnie odgłosów zażartej walki, które dobiegały z przodu.

W końcu dotarli do Quatre Bras, skąd rozciągał się widok na pole bitwy. Zaledwie tysiąc jardów dalej na południe po obu stronach drogi węglowej trwała zażarta walka. Linia wojsk francuskich ciągnęła się na północny wschód aż do wioski Piraumont, przy drodze do Ligny, co tłumaczyło ogień karabinów.

Kit pomyślał, że jeśli Francuzi zdołają utrzymać tę wioskę, będą kontrolować drogę na wschód i nie dopuszczą do połączenia sił angielsko-holenderskich z Prusakami, przez co osiągnięcie jednego z celów Wellingtona na ten dzień stanie się niemożliwe. Był przerażony. Przyzwyczyił się do tego, że Wellington zawsze panuje nad sytuacją. I nie chodziło o to, że teraz księżę przestał być dobrym dowódcą, po prostu trafił na godnego przeciwnika. Bonaparte był geniuszem wojskowym tej samej miary co Wellington. To bitwa gigantów, pomyślał Kit. Ciekawe, czy będzie mi dane zobaczyć, kto ją wygra.

Wellington szybko przejął dowodzenie.

– Naszym zadaniem jest teraz zniszczenie francuskich sił, żebyśmy mogli pomaszerować do Ligny i wzmocnić Prusaków – powiedział.

Rozkazał Dziewięćdziesiątemu Piątemu Pułkowi Strzelców odbić Piraumont, po czym skupił się na głównej bitwie.

Tu również nie działo się dobrze. Francuzi zajęli zabudowania gospodarcze przy drodze węglowej i wydawało się, że lada moment pokonają angielsko-holenderskie siły. Kit czuł, jak ogarnia go rozpacz; sytuacja pogarszała się w błyskawicznym tempie.

Na skrzyżowanie docierały jednak kolejne jednostki. Strzelcy z Dziewięćdziesiątego Piątego Pułku byli tylko strażą przednią dywizji generała Pictona, a teraz pojawiały się główne siły. Wellington nie lubił Pictona, wybuchowego Walińczyka, który nie okazywał szacunku należnego angielskiemu księciu, ale w tym momencie wszyscy ucieszyli się na jego widok, a Wellington natychmiast kazał mu dołączyć do walki.

Na miejsce przybyły jednak również francuskie posiłki i napastnicy zbliżali się stopniowo, jard po jardzie, do strategicznego skrzyżowania.

Na szczęście o piątej pojawiły się kolejne brytyjskie oddziały, Wellington przeszedł do kontrataku i odrzucił napoleońskie siły. Niestety, zbyt powoli. Francuscy żołnierze utrzymali kontrolę nad Piraumontem, a Wellington został unieruchomiony i nie był w stanie połączyć się z Prusakami.

Kit prznosił wiadomości od niego do dowódców na linii frontu, a od nich do księcia. Jak zawsze podczas bitwy zapominał, że w każdej chwili może zginąć.

Wypatrując Sto Siódmego Pułku Piechoty, dojrzał Joego Hornbeama wbiegającego między drzewa na zachodzie i uznał, że wojska z Kingsbridge walczą w lesie; nie widział jednak matki.

Linia walki przesuwała się do przodu i do tyłu. Ranni wołali o pomoc, inni umierali z krzykiem, pszenica została całkiem zdeptana. Kobiety przynosiły walczącym amunicję i gin, a wracając, odciągały rannych do namiotu sanitarnego. Kilka zostało okaleczonych przez eksplozje kul armatnich i przypadkowe pociski z karabinów, ale Kit nie dostrzegł między nimi matki.

Bitwa nie przyniosła konkretnego rozstrzygnięcia i po zapadnięciu zmroku całkiem wygasła. Obie strony pozostały niedaleko miejsc, w których rozpoczęły walkę.

Ostatnia wiadomość, którą odebrał Wellington, pochodziła od Blüchera. Niemiecki generał pisał, że Prusacy ponieśli ciężkie straty, ale byli w stanie utrzymać swoje pozycje do zmroku.

Kit zasnął na ławce i obudził się dopiero o świcie.

*

Sal i Jarge zbudowali sobie prowizoryczne schronienie z liściastych gałęzi. Nie było wodoszczelne, ale choć trochę chroniło ich przed deszczem. Owinęli się kocami i zasnęli na wilgotnej ziemi.

Gdy Sal obudziła się o brzasku, zorientowała się, że deszcz ustał. Nagle usłyszała przytłumione wołanie o pomoc. Zostawiła Jarge'a, który wciąż spał, przeszła skrajem lasu na zachód i spojrzała na pole bitwy.

Ujrzała widok, którego nigdy nie będzie mogła zapomnieć. Zabici i ranni leżeli w zdeptanej pszenicy, tysiące ciał, rozczłonkowanych i zdeformowanych, głowy bez tułowi, jelita wypływające na ziemię, oderwane ręce i nogi, twarze pokryte krwią. W powietrzu unosił się zapach wnętrzości i zmiażdżonego ziarna.

Widok krwi nie był jej obcy. Widziała mężczyzn i kobiety okaleczonych w wypadkach w zakładach włókienniczych, widziała, jak wóz Willa Riddicka roztrzaskał nogę jej pierwszego męża, ale nigdy nie wyobrażała sobie cierpienia na taką skalę. Ogarnął ją głęboki smutek. Dlaczego ludzie sobie to robili? Spade mówił, że w tej wojnie chodzi o to, by Francuzi nie zdominowali całej Europy, ale czy byłoby to takie złe? To z pewnością było gorsze.

Jej spojrzenie padło na mężczyznę z roztrzaskanymi nogami. On również ją dostrzegł i wychrypiał:

– Pomóż mi.

Dopiero teraz zauważyła, że w poprzek rannego leży martwe ciało, którego nie mógł z siebie zrzucić. Odciągnęła je na bok.

– Wody – prosił ranny. – Na miłość boską...

– Gdzie twoja manierka?

– W plecaku.

Udało jej się jakoś otworzyć plecak, na którym leżał, i wyciągnąć manierkę. Była pusta.

– Przyniosę ci wody – powiedziała.

Wcześniej zauważyła w lesie rów z wodą. Wróciła tam i przeszła wzdłuż niego do niewielkiego stawu, odkryła jednak z przerażeniem, że leży w nim zabity żołnierz. Zastanawiała się, czy nie poszukać innego źródła, ale zrezygnowała z tego pomysłu. Mężczyźnie z roztrzaskanymi nogami będzie wszystko jedno, jaki smak ma woda. Napełniła manierkę, wróciła do niego i pomogła mu się napić. Natychmiast wychłptał łapczywie czerwonawą ciecz.

Stopniowo budzili się kolejni żołnierze. Ranni, którzy mogli iść, ruszyli w długą drogę powrotną do Brukseli. Inni musieli czekać, aż towarzysze zanosą ich na skrzyżowanie dróg, gdzie stały wozy, które miały zabrać ich do miasta. Kenelm Mackintosh właściwie bez przerwy modlił się nad poległymi.

Sal dowiedziała się, że Sto Siódmy Pułk Piechoty stracił poprzedniego dnia kilku wyższych rangą oficerów. Podpułkownik, jeden z dwóch majorów i kilku kapitanów zginęło lub zostało poważnie rannych. Dowodził pozostały przy życiu major.

Żywi łupili martwych. Zgubione lub zniszczone elementy wyposażenia można było uzupełnić, zabierając to, co mieli przy sobie zabici żołnierze, którzy nigdy już nie będą potrzebować noży, kubków, pasów, nabojów czy pieniędzy. Sal ściągnęła z ciała drobnego oficera buty do jazdy konnej, bo jej całkiem się już rozpadaly. W plecaku martwego Francuza znalazła ser i butelkę wina i zanosła je Jarge'owi na śniadanie.

*

– Gdzie jest Blücher? – spytał ponownie Wellington przed świtem w sobotę siedemnastego czerwca.

Müffling nie miał nowych informacji, więc wysłał jednego z adiutantów na poszukiwanie pruskiego dowódcy. Posłaniec wrócił o dziewiątej i poinformował Wellingtona, że Blücher zaginął i prawdopodobnie nie żyje.

Nie był to koniec złych wieści. W nocy Prusacy uciekli na północ i zamierzali przegrupować się w Wavre.

– Wavre? – powtórzył tę nazwę Wellington. – Gdzie, do diabła, jest Wavre?

Adiutant podał mu mapę.

– Dobry Boże, przecież to cholernie daleko! – Księżę się wściekł.

Kit przyjrzał się uważnie mapie i oszacował, że Wavre leży piętnaście mil od Ligny. Wyglądało więc na to, że Brytyjczycy i Prusacy nie tylko nie połączyli się, ale jeszcze się od siebie oddalili.

To była prawdziwa katastrofa. Bonapartemu udało się podzielić zjednoczone siły na dwie mniejsze armie, które łatwiej będzie pokonać jedną po drugiej, niż gdyby walczyły razem. W dodatku mógł bez przeszkód przemaszerować z Ligny do Quatre Bras, dołączyć do francuskich sił, które już tutaj walczyły, i wtedy zaatakować mniejszą angielsko-holenderską armię.

Kit przypuszczał, że Bonaparte jest już w drodze do Quatre Bras. Wyjście z tej sytuacji wydawało się oczywiste i Wellington ogłosił, co zrobiją: muszą się wycofać, i to natychmiast. Rozkazał oddziałom wrócić do Mont-Saint-Jean i tam rozbić obóz na noc. Stamtąd od Wavre będzie ich dzielić dwanaście mil. Gdyby Prusakom udało się dotrzeć do Mont-Saint-Jean i wzmocnić Brytyjczyków, razem mogliby pokonać Bonapartego.

Ta świadomość nieco podniosła Kita na duchu.

Wellington napisał do Blüchera, że następnego dnia zostanie w Mont-Saint-Jean i będzie tam walczył, jeśli Prusacy zdołają dotrzeć na czas.

Wiadomość wysłano, rozkazy zostały wydane, rozpoczęła się odwrót.

*

– Nie rozumiem, dlaczego się cofamy – powiedział Jarge. – Myślałem, że wczoraj wygraliśmy.

– Udało nam się zatrzymać francuskie natarcie, ale to jeszcze nie zwycięstwo – odparł Kit. – Prusakom nie poszło równie dobrze i zarządzili odwrót. Przez to Bonaparte może zaatakować nas z boku.

– No tak... Ale po co uciekać? Przecież Francuzi będą nas gonili.

– To prawda. Ale w końcu się zatrzymamy i staniemy do walki. Chodzi o to, że Wellington chce wybrać dogodne miejsce bitwy.

– Hm... – Jarge zastanawiał się przez chwilę, po czym skinął głową. – Ma to sens.

Maszerowali na północ drogą węglową, lecz ten odwrót w każdej chwili mógł się zamienić w paniczną ucieczkę. W Genappe, miasteczku o wąskich uliczkach, wozy z rannymi wracające do Brukseli zderzyły się z artylerią i wozami z żywnością zmierzającymi do Quatre Bras. Jakby tego było mało, przerażeni miejscowi uciekali do Brukseli, goniąc przed sobą bydło. Porucznik i trzynastu grenadierów opanowali sytuację: opróżnili wozy z żywnością, załadowali na nie rannych i odesłali do Brukseli.

Sal zastanawiała się, co będą jedli, kiedy dotrą do Mont-Saint-Jean. Na wszelki wypadek zabrała z rowu porzucony pięćdziesięciofuntowy worek z ziemniakami i przywiązała go sobie do pleców.

Wczesnym popołudniem znów zaczęło padać.

*

W Brukseli z nieba lały się potoki deszczu. Amos naciągnął mocniej kapelusz, by woda nie leciała mu do oczu, lecz i tak raz po raz musiał ocierać twarz chusteczką, by cokolwiek widzieć. Na drogach tworzyły się zatory; w jedną i w drugą stronę ciągnęły sznury wozów, jedne wiozły rannych do i tak już przepelnionych szpitali, inne, wyładowane amunicją i innymi zapasami, próbowały wydostać się z miasta i dotrzeć do oddziałów armii. Woźnice wozów z rannymi, nie mogąc przebić się do szpitali, po prostu zrzucali rannych na ulice i place, Amos musiał więc lawirować między żywymi i martwymi ciałami, broczącymi krwią, którą deszczówka niosła ze sobą do rynsztoków. Mieszkańcy miasta panikowali. Mijając Hôtel des Halles, Amos widział, jak elegancko ubrani mężczyźni walczą o bilety na barki i dyliżanse opuszczające Brukselę.

Szedł do domu Jane, żeby poprosić ją raz jeszcze, by wróciła wraz z Halem do Anglii. Niepotrzebnie się fatygował, bo pakowała już kufry, ubrana w starą suknię, z włosami związanymi chustą.

– Mam w stajni powóz i konie – powiedziała. – Wyjadę, gdy tylko Henry da mi sygnał... albo nawet wcześniej.

Wydawała się nie tyle wystraszona, co rozzłoszczona. Amos przypuszczał, że żał jej opuszczać młodego kochanka. Najwyraźniej postrzegala wojnę przede wszystkim jako irytującą przeszkodę, która utrudniała jej kontynuowanie ekscytującego romansu. Amos przypomniał sobie, jak bardzo i jak długo był w niej zakochany. Teraz wydawało mu się to całkowicie niezrozumiałe.

Potem poszedł do Elsie. Miał nadzieję, że zastanie ją przy tej samej czynności co Jane, czyli pakowaniu kufrów. Nie mógł znieść myśli o niebezpieczeństwie, jakie jej groziło. Chciał, by jeszcze dziś opuściła to koszmarnie miasto.

Elsie nie pakowała się jednak. W salonie trwała właśnie narada wojenna. Elsie, Spade i Arabella mieli poważne i zaniepokojone miny.

– Musisz wyjechać, Elsie – powiedział Amos bez żadnych wstępów. – Twoje życie jest w niebezpieczeństwie.

Pokręciła głową.

– Nie mogę. Moje miejsce jest tutaj, przy Kenelmie, a on naraża życie zaledwie kilka mil stąd.

Amos był zrozpaczony. Wiedział, że Elsie nie kocha męża, ale wiedział również, że ma mocno rozwinięte poczucie obowiązku. Podziwiał w niej to, ale teraz ryzykowała życie. Obawiał się, że jest gotowa zostać w Brukseli bez względu na okoliczności.

– Elsie, proszę, zastanów się nad tym.

Spojrzała na ojczyma.

Amos chciał, by Spade użył swojej władzy jako głowa rodziny i zażądał od niej, by wyjechała, wiedział jednak, że ten tego nie zrobi. I nie mylił się.

– Musisz iść za głosem serca, Elsie – powiedział Spade.

– Dziękuję.

Arabella była po stronie Amosa.

– Ale co z dziećmi, z moimi wnukami? – spytała z lękiem w głosie.

– Muszą zostać ze mną – odparła spokojnie Elsie. – Jestem ich matką.

– Mogłabym je zabrać do Kingsbridge. – W głosie Arabelli pojawił się błagalny ton. – Byłyby bezpieczne ze mną i z Davidem.

– Nie – rzuciła Elsie zdecydowanie. – Jesteśmy rodziną, lepiej będzie nam razem. Nie mogę stracić ich z oczu.

– Co o tym myślisz, Davidzie? – spytała Arabella.

– Przykro mi, ale muszę się powtórzyć. Uważam, że Elsie powinna iść za głosem serca.

– W takim razie ja też tu zostaję – oświadczyła Arabella. – Ale ty mógłbyś wyjechać, Davidzie.

Spade uśmiechnął się.

– Nie zostawię cię tutaj – odpowiedział tonem niedopuszczającym dyskusji. – Ja też muszę iść za głosem serca.

W pokoju zapadło milczenie. Amos wiedział, że nic już nie wskóra.

W końcu Elsie przerwała ciszę.

– A więc postanowione. Wszyscy zostajemy tutaj.

*

Tego wieczoru Sal stała z synem przed gospodarstwem w Mont-Saint-Jean, na grzbiecie wzgórza, i spoglądała na południe. Wyglądało na to, że burza już się oddala; choć wciąż padał deszcz, między chmurami w kilku miejscach pojawiły się skrawki błękitu. Gdy słońce zaczęło ogrzewać mokrą pszenicę, nad ziemią podniosły się wstęgi pary. Las po wschodniej stronie wzgórza, po ich lewej ręce, wyglądał jak jednolita ciemna ściana.

Przecinając dolinę drogą węglową ciągnął nieprzerwany strumień ludzi, koni i artylerii, oddziałów ocalałych z walk pod Quatre Bras. Oficerowie trzymający

w rękach pisemne rozkazy kierowali swoich ludzi w różne części zbocza, zgodnie z planem opracowanym przez Wellingtona i De Lanceya.

Sal zastanawiała się, w jakiej odległości postępują za nimi siły Bonapartego. Stała z Kitem obok drzewa ogołoczonego z liściastych gałęzi, z których żołnierze z Kingsbridge robili szałas. Jarge i paru innych przygotowali sobie schronienia w inny sposób: ustawiali pionowo kilka karabinów, wbijając je bagnetami w ziemię, i rozpinali nad nimi koce, tworząc prowizoryczne namioty. Żadna z tych konstrukcji nie była wodoszczelna, ale przynajmniej trochę chroniła przed deszczem.

Sal zauważyła, że w obu gospodarstwach w dolinie rozlokowano żołnierzy, i pokazała to Kitowi.

– To po prawej nazywa się Hougoumont – powiedział. – A to drugie La Haye Sainte.

– Dlaczego mamy bronić wiejskich domów?

– Będą przeszkadzać wojskom Napoleona, kiedy spróbują nas zaatakować.

– Nie powstrzymają przecież całej armii.

– Pewnie nie – przyznał Kit.

– Więc ci ludzie są właściwie skazani na śmierć.

– Nie jest to przesądzone, ale całkiem prawdopodobne.

Sal była głęboko wdzięczna losowi, że to nie Sto Siódmy Pułk Piechoty został wybrany do tego zadania. Co wcale nie oznaczało, że jej przyszłość rysuje się w różowych barwach.

– Ciekawe, ilu z nas jutro zginie. – Westchnęła ciężko. – Dziesięć tysięcy? Dwadzieścia?

– Prawdopodobnie więcej.

– Czy to ostatni punkt oporu Wellingtona?

Kit skinął głową.

– Jeśli tu przegramy, nic nie powstrzyma Bonapartego przed zajęciem Brukseli... i przed ostatecznym zwycięstwem. I wtedy Francja zdominuje Europę

na długie lata.

Sal przypomniała sobie, że to samo mówił Spade.

– Jeśli o mnie chodzi, Francuzi mogą zająć całą Europę – powiedziała. – Chcę tylko jednego: żeby moja rodzina wróciła do domu cała i zdrowa.

– Dla Bonapartego to też jest być albo nie być – zauważył Kit. – Jeśli uda nam się zniszczyć jego armię, dojdziemy do samego Paryża i to będzie dla niego koniec.

– Wtedy Francuzi będą znowu mieli swojego grubego króla. – Pękaty Ludwik XVIII nie był ani kompetentny, ani popularny, ale alianci chcieli za wszelką cenę przywrócić francuską monarchię i dowieść, że republikańska rewolucja była katastrofą. – I jutro zginie za to dwadzieścia tysięcy ludzi. Nie rozumiem... – Sal pokręciła głową. – Powiedz mi, mój bystry synu, czy ja jestem głupia? Czy to rząd jest taki głupi?

Z prowizorycznego namiotu wyszedł Jarge, ubłocony po kolana, i podszedł do nich.

– Nie ma jedzenia – zwrócił się do Kita tonem, który sugerował, że obwinia za to generałów w ogólności, a pasierba w szczególności.

– Większość zapasów wyrzucono w panice w Genappe – powiedział Kit.

– Nasza kolacja jest w rowie – mruknęła Sal, przypomniawszy sobie, jak opróżniano wozy z jedzenia.

– Moglibyśmy upiec te ziemniaki – zaproponował Jarge.

Sal wciąż miała na plecach worek ziemniaków. Tak przywykła do tego ciężaru, że nawet nie chciało jej się go odkładać.

– Jak? – spytała. – Wszystko jest mokre, nie będzie się palić. A nawet gdyby udało ci się rozpalić ognisko, będzie z niego tylko sam dym.

– Więc co? Mamy je jeść na surowo? – prychnął jej mąż.

– Mogłabyś je zanieść do wioski Waterloo, mamó – podsunął Kit. – To jakieś trzy mile na północ stąd. Na pewno ktoś tam ma piec.

– Chcesz po prostu, żebym była daleko od pola bitwy.

– To też – przyznał. – Ale co masz do stracenia?

Sal zastanawiała się przez chwilę. Tutaj nie była w stanie zrobić nic ani dla Jarge'a, ani dla innych żołnierzy z Kingsbridge. Więc mogła przynajmniej postarać się upiec gdzieś ziemniaki.

– No dobrze – rzuciła. – Spróbuję.

ROZDZIAŁ 42

Deszczowe chmury zakryły księżyc, tak że Sal prawie nic nie widziała. Wiedziała, że jest na drodze, tylko dzięki temu, że wyczuwała bruk pod podeszwami butów, które zabrała zabitemu oficerowi. Kiedy zaczynała się ślizgać w błocie, od razu orientowała się, że zboczyła w lewo lub prawo. Co jakiś czas dostrzegała wąską smugę światła przenikającą między okiennicami chaty, blask ostatniej świecy lub ognia dogasającego w kominku; mieszkańcy wsi nie kładli się późno spać. Te drobne oznaki normalnego życia podnosiły ją na duchu i przypominały, że gdzieś tam jest jasno i ciepło.

Szła powoli przez ulewny deszcz, rozmyślając o tym, że ma za co dziękować losowi. Kit wciąż był cały i zdrowy, Jarge również. Jej też nic się nie stało podczas rzezi pod Quatre Bras. A jutrzejsza bitwa będzie zapewne ostatnią. Jeśli uda im się przetrwać, być może już nigdy ani ona, ani jej bliscy nie będą musieli ryzykować życia na wojnie. A może liczyła na zbyt wiele.

Teraz niosła pięćdziesiąt funtów ziemniaków i choć bolały ją plecy, cieszyła się z tego ciężaru. Na śniadanie zjadła trochę sera, bez chleba, a potem nie miała już nic w ustach.

Ujrawszy światła, domyśliła się, że jest w wiosce. Przypuszczała, że zbliża się północ. Tylko jedna osoba mogła o tej porze nie spać: piekarz. Ale jak go znaleźć?

Gdy światła się przeredziły, zdała sobie sprawę, że dotarła za daleko, i zawróciła. Będzie musiała zapukać do drzwi pierwszego domu, obudzić kogoś i spytać o drogę.

Nagle poczuła dym. Nie była to woń, jaką wydziela dogasający ogień w palenisku, lecz ostry zapach płomieni buzujących w piecu. Odwróciła się, wciągając w nozdrza powietrze z różnych stron, i poszła tam, gdzie zapach

wydawał się najsilniejszy. Poprowadził ją błotnistą ścieżką do domu, z którego było jasne światło. Wydawało jej się, że czuje aromat świeżego chleba, ale być może był to tylko wytwór wyobraźni. Zapukała mocno do drzwi.

Otworzył jej otyły mężczyzna w średnim wieku. Na jego ubraniach i brodzie widniały białe smugi, bez wątpienia z mąki. Był piekarzem. Powiedział coś z irytacją po francusku.

Sal nie zrozumiała ani słowa. Wyciągnęła rękę i przytrzymała drzwi, nie pozwalając, by je zamknął. Piekarz wydawał się zaskoczony jej siłą.

– Nie chcę chleba – oznajmiła. Używając kilku francuskich słów, których nauczyła się w Brukseli, dodała: – *Cherche pas de pain*.

Powiedział coś, co oznaczało zapewne, że trafiła do niewłaściwego miejsca.

Sal weszła nieproszona do środka. W piekarni było ciepło. Rozwiązała sznurki podtrzymujące worek i zsunęła go z ramion. Plecy bolały ją bardziej niż wtedy, gdy go niosła. Położyła worek na stole, na którym piekarz ugniatał ciasto, wskazała na ziemniaki, a potem na wielki piec w rogu pomieszczenia.

– *Cuire* – rzuciła, co jak jej się zdawało, oznaczało „gotować”. – *Je vous paie*. – To zdanie przydawało jej się podczas wypraw do Brukseli. „Zapłacę ci”.

– *Combien?*

To było pierwsze słowo, które poznała, robiąc w Brukseli zakupy. „Ile?” Sięgnęła do wewnętrznej kieszeni kamizelki. Miała dużo pieniędzy; sporo zarobiła dzięki zaopatrywaniu żołnierzy z obozu. Przypuszczała, że piekarz poprosi o pięć franków, bo widział, że jest zdesperowana, ale zgodzi się zapewne na trzy. Przed opuszczeniem Mont-Saint-Jean włożyła do kieszeni właśnie trzy franki. Teraz je wyjęła. Trzymając monety tak, by ich nie widział, odliczyła dwie i położyła je na stole.

Piekarz pokręcił głową.

Dodała trzeciego franka.

Kiedy ponownie pokręcił głową, pokazała mu pustą dłoń.

– *Bien* – powiedział, wzruszając ramionami.

Otworzył drzwi pieca i wyciągnął blachę z upieczonymi małymi bochenkami chleba. Przerzucił je do wielkiego kosza i odłożył blachę na miejsce.

Sal ułożyła na niej wyjęte z worka ziemniaki i ponakłuwała ich skórkę, by nie popękały.

Potem piekarz wsunął blachę do pieca. Pociągnął łyk z butelki, która stała obok stolnicy, na której zagniatał ciasto. Sal wyczuła zapach gorzałki. Kiedy piekarz zabrał się z powrotem do pracy, przyglądała mu się przez chwilę, zastanawiając się, czy nie poprosić go o trochę, uznała jednak, że nie potrzebuje alkoholu.

Położyła się na podłodze obok pieca i rozkoszowała się ciepłem. Przemoczone ubrania zaczęły parować i Sal pomyślała, że w tym tempie wkrótce wyschną.

Zamknęła oczy i zasnęła.

*

Każda noc od chwili, gdy wstąpił do wojska, wyglądała dla Kita tak samo: zasypiał, gdy tylko się kładł, i spał, dopóki ktoś go nie obudził. Tym razem jednak, kiedy ktoś potrząsnął jego ramieniem, czuł się tak, jakby dopiero co zamknął oczy. Chciał spać dalej, ale usłyszał głos Henry'ego, hrabiego Shiring, i natychmiast usiadł prosto.

– Która godzina? – spytał.

– Wpół do trzeciej nad ranem. Wellington chce urządzać odprawę. Proszę włożyć szybko buty.

Kit przypomniał sobie, że jest w stodole w wiosce Waterloo i że dziś odbędzie się wielka bitwa. Poczuł znajomy dreszcz strachu, lecz nie tak silnego jak dawniej. Odrzucił koc na bok i znalazł buty. Minutę później wyszedł za hrabią ze stodoły.

Na zewnątrz padał ulewny deszcz.

Poszli do wiejskiego domu, w którym Wellington urządził kwaterę główną. Gospodarz i jego rodzina spali zapewne w oborze; w czasie wojny wojsko zabierało, co tylko zechciało, nie przejmując się zbytnio protestami cywilów.

Wellington stał u szczytu długiego kuchennego stołu. Starsi rangą oficerowie siedzieli przy stole, a adiutanci stali pod ścianami. Wellington spojrział na Henry'ego i skinął głową.

– Dzień dobry, hrabio – przywitał go. – To już chyba wszyscy. Zapoznajmy się z najnowszymi wieściami.

Henry uklonił się i usiadł. Kit stanął pod ścianą.

Szef wywiadu wstał z krzesła.

– Wczoraj wieczorem – zaczął – wysłałem do obozu Bonapartego naszych francuskojęzycznych szpiegów, mężczyzn i kobiety sprzedających towary popularne wśród żołnierzy: tytoń, gin, ołówki, mydło. Nie było im łatwo, bo cały czas padało, a obóz napoleońskich wojsk zajmuje kilka mil kwadratowych. Bazując na wcześniejszych doniesieniach i tych najnowszych raportach, oceniam siły Bonapartego na jakieś siedemdziesiąt dwa tysiące żołnierzy.

– Prawie tyle samo co my – zauważył Wellington. – Szacujemy, że mamy około sześćdziesięciu ośmiu tysięcy żołnierzy. A co z morale Francuzów?

– Są przemoknięci i zziębnięci... maszerowali przez cały dzień, podobnie jak my. Ale nasi szpiegowie odnotowują pewną różnicę. Prawie wszyscy to Francuzi i chcą walczyć. Wielbią Bonapartego jak boga.

Kit wiedział, co kryje się za tymi słowami. Większość Francuzów – zarówno oficerów, jak i zwykłych żołnierzy – pochodziła z niższych klas i zawdzięczała awans społeczny rewolucji i Bonapartemu. W armii Wellingtona oficerowie pochodzili głównie z arystokracji i szlachty, a pozostali z niższych warstw społecznych. Co więcej, dwie trzecie tych sił stanowili Holendrzy i Hanowerczycy; tylko co trzeci żołnierz armii Wellingtona był Brytyjczykiem i wielu z nich służyło wbrew własnej woli: albo zostali skazani na służbę, albo oszukani przez sierżantów prowadzących rekrutację. Najbardziej lojalni żołnierze Wellingtona należeli do Królewskiego Legionu Niemieckiego.

– Jeśli chodzi o artylerię – kontynuował oficer wywiadu – Bonaparte ma prawdopodobnie około dwustu pięćdziesięciu dużych dział.

– Czyli o sto więcej niż my – mruknął Wellington.

Kit był przerażony. Wyglądało na to, że są w znacznie gorszej sytuacji. Bonaparte przeprowadził błyskotliwy manewr i przechytrzył Wellingtona. Więc jutro pewnie zginę, pomyślał Kit.

W pokoju zapadła cisza. Głównodowodzący miał wszystkie dostępne informacje. Teraz tylko on mógł zdecydować, co należy zrobić. W końcu podjął decyzję.

– Wyrównana walka oznacza bezcelowe straty w ludziach – powiedział. – A nasze siły są nawet nieco mniejsze.

Kit nie był zaskoczony jego słowami. Księżę stawał do bitwy tylko wtedy, kiedy miał przewagę.

– Przy takim układzie sił nie będę walczył – oznajmił zdecydowanie i zamilkł, by wszyscy się z tym oswoili. – Są dwie możliwości – odezwał się w końcu. – Jedna jest taka, że dołączają do nas Prusacy. Mają siedemdziesiąt pięć tysięcy żołnierzy, więc wtedy zdecydowanie górowalibyśmy nad Francuzami. Jeśli zdołają tu dotrzeć, będziemy walczyć.

Nikt nie ośmielił się tego głośno skomentować, ale oficerowie siedzący przy stole kiwali głowami.

– Jeśli nie zdołają, wycofamy się przez las Soignes – ciągnął Wellington. – Jest tam droga, którą Prusacy mogliby przemieszczać się z Wavre, by dotrzeć do tej głównej na południe od Ixelles. Tam stoczymy ostateczny bój.

Tym razem nikt nie pokiwał głową.

Kit wiedział, że to desperacki plan. Droga, z której musieliby skorzystać Prusacy, była właściwie leśną ścieżką; wielotysięczna armia nie mogłaby szybko przeprowić się przez taki teren. Zresztą do świtu zostało już tylko kilka godzin, mieli więc coraz mniej czasu na odwrót.

Wellington najwyraźniej myślał o tym samym.

– Jestem zdecydowanie za planem A – powiedział. – Na szczęście odnalazł się marszałek polny Blücher. Wygląda na to, że był ranny i przez jakiś czas

nieprzytomny, ale teraz ponownie dowodzi w Wavre, a jego armia obozuje na wschód od miasta. Wczoraj późnym wieczorem dostałem wiadomość, że dołączy do nas rano.

Kit poczuł ogromną ulgę. Jeśli strona brytyjska nie będzie miała większych szans na wygraną, nie będzie dziś żadnej bitwy.

– Na wojnie sytuacja może się jednak zmieniać bardzo szybko, a ja muszę mieć potwierdzenie, że dziś rano zamiary Blüchera są takie same jak wczoraj wieczorem – dodał książę. – Jeśli takie będą, muszę jeszcze wiedzieć, o jakiej porze dnia się tu pojawi. – Spojrzał na Henry’ego. – Hrabio, chcę, żeby pojechał pan do Wavre i przekazał Blücherowi list. Proszę zabrać ze sobą młodego Kita Clitheroe, mówi trochę po niemiecku.

– Tak jest, panie marszałku – odparł Henry.

Kit był zachwycony, że został wybrany do tak ważnej misji, nawet jeśli oznaczało to dwanaście mil jazdy w ciemności i ulewnym deszczu.

– Przygotujcie konie, a ja napiszę w tym czasie list – dodał książę.

Kit i hrabia opuścili kwaterę Wellingtona i przeszli do stajni. Hrabia obudził kilku stajennych. Kit przyglądał się uważnie zaspanym mężczyznom, gdy siodłali oba konie; nie miał ochoty przystawać po drodze i poprawiać uprzęży.

Stajenni przymocowali do każdego z siodłał, na wysokości uda jeźdźca, latarnię sztormową. Jej płomień oświetlał drogę tylko na przestrzeni kilku jardów przed koniem, ale było to lepsze niż nic.

Kiedy wierzchowce były gotowe, hrabia i Kit wrócili do kuchni wiejskiego domu. Wellington i mała grupa generałów pochylali się nad wyrysowaną ręcznie mapą pola bitwy, próbując odgadnąć, co zrobi Bonaparte. Książę podniósł wzrok.

– Hrabio Shiring, zechce pan wrócić z odpowiedzią Blüchera najszybciej, jak się da – powiedział. – Clitheroe, jeśli odpowiedź będzie twierdząca, proszę zostać z Prusakami nieco dłużej. Gdy tylko wyruszą w drogę, pojedzie pan przed nimi i przywiezie informację o tym, kiedy należy się ich spodziewać.

– Tak jest, panie marszałku.

– Nie traćcie ani chwili. Ruszajcie w drogę.

Wrócili do stajni i dosiedli koni.

Poprowadzili je błotnistym poboczem przy brukowanej drodze, w dół zbocza, do rozdroża w pobliżu La Haye Sainte. Potem skręcili w lewo w gruntową drogę do Wavre.

Było zbyt ciemno, by ponaglać konie choćby do kłusu, jechali więc obok siebie, korzystając ze świateł latarni. Deszcz wpadał Kitowi do oczu i jeszcze bardziej utrudniał orientację. Błotnista leśna droga wiła się przez pagórkowaty teren. Dno każdej doliny zalane było wodą, Kit obawiał się więc, że transport pruskich armat po tej drodze będzie szalenie trudny i bardzo powolny.

Monotonia jazdy sprawiła, że zaczął odczuwać skutki braku snu. Hrabia popijał brandy z piersiówki, ale Kit wolał nie pić; obawiał się, że po mocnym trunku zaśnie w siodle. Mam nadzieję, że dostaniemy odpowiedź, na jakiej nam zależy, myślał nieustannie. Mam nadzieję, że Blücher powie, że nadal zamierza dołączyć do nas rano.

W końcu przez warstwę chmur powoli przebijało się blade światło świtu. Gdy tylko zaczęli widzieć na większą odległość, poderwali konie do galopu.

Wciąż mieli przed sobą długą drogę.

*

Sal zabłądziła.

Poczuła błoto pod nogami i skręciła tam, gdzie jak jej się wydawało, powinna być droga, nie poczuła jednak pod butami bruku. Uznała, że musiała się zdekoncentrować.

Próbowała zataczać coraz większe kręgi, z nadzieją, że dzięki temu wcześniej czy później trafi na brukowaną drogę; nic jednak nie widziała, nie miała więc wcale pewności, czy zatacza kręgi. Trzymając przed sobą wyprostowane ręce, trafiła na drzewo. Po chwili poczuła następne. Uświadomiła sobie, że weszła w las.

Odwróciła się i ruszyła w kierunku, z którego przyszła, i zaraz natrafiła na następny pień.

Zatrzymała się zrozpaczona. Dalszy marsz nie miał sensu, skoro nie wiedziała, dokąd idzie. Była bliska płaczu. No dobrze, bolą mnie plecy, zabłądziłam, jestem zmęczona i przemoczona, pomyślała. Ale przecież za kilka godzin, gdy dojdzie do bitwy, zaczną się o wiele gorsze rzeczy.

Kiedy natrafiła na gruby pień, usiadła i oparła się o niego plecami. Liście chroniły ją po części przed deszczem. Worek przemókł, ale ziemniaki w środku wciąż były gorące, przytuliła go więc do piersi, by się ogrzać.

W piekarni spotkała ją paskudna przygoda. Śniła, że leży w łóżku z mężem i że ten ją pieści. Obudziła się i zobaczyła, że piekarz klęczy obok niej. Rozpiął jej spodnie i wsunął rękę do środka.

Natychmiast przypomniała sobie ciężkie roboty i więzienie, w którym kobiety musiały znosić tego rodzaju traktowanie, bo inaczej chłostano je za nieposłuszeństwo. Teraz nie była jednak więźniarką i wpadła we wściekłość. Jednym silnym uderzeniem odtrąciła rękę mężczyzny i zerwała się na równe nogi. Piekarz natychmiast się wycofał. Sal wyciągnęła z pochwy przy pasie długi nóż i zrobiła krok w stronę mężczyzny, gotowa wbić ostrze w jego gruby brzuch. Opamiętała się jednak. Mężczyzna był przerażony.

Schowała nóż i zapięła spodnie, po czym bez słowa otworzyła drzwiczki pieca. Używając długiego piekarskiego haka, wysunęła blachę z ziemniakami. Wiedziała, że są upieczone: skórka była ciemna i lekko pomarszczona. Włożyła je szybko do worka i przywiązała go do pleców.

Zabrała świeżo upieczony bochen chleba i włożyła go pod pachę, wpatrując się wyzywająco w piekarza. Nie zaprotestował ani słowem. Wyszła z piekarni w milczeniu. Po drodze pochłonęła chleb w ciągu kilku minut.

Teraz, siedząc pod drzewem, czuła, jak zamykają jej się oczy. Lecz wiedziała, że nie wolno jej tu zasnąć; musiała zanieść ziemniaki do pułku. Wstała, by odegnąć sen.

Nawet nie zauważyła, kiedy niebo pojaśniało. Świtało. Minutę później rozróżniała już poszczególne drzewa, a po chwili zaczęła dostrzegać to, co kryło się za nimi. W odległości zaledwie stu jardów była droga. Sal przez cały czas krążyła blisko niej. Zawiązała worek na plecach, wróciła do drogi i ruszyła na południe.

Przestało padać, za co podziękowała niebiosom.

Kiedy dotarła do Mont-Saint-Jean, słońce wspinało się na wschodzie po niebie, dając światło, ale ani trochę ciepła. Gdy weszła do obozu, większość żołnierzy leżała na błotnistej ziemi, owinięta mokrymi kocami. Przemoczone konie próbowały z rezygnacją skubać zgniecioną pszenicę. Zobaczyła Kenelma Mackintosha, który stał z gołą głową obok kilku żołnierzy i odmawiał z nimi poranną modlitwę. Wśród nich był szwagier Spade'a, Freddie Caines, który dosłużył się stopnia sierżanta.

Sal poruszała się najszybciej, jak mogła, w obawie, że jeśli ktoś się zorientuje, co niesie w worku, zamorduje ją dla takiego skarbu.

Odszukała prowizoryczny namiot męża i wsunęła się do środka. Jarge i kilku żołnierzy z Kingsbridge leżeli na wilgotnej ziemi, wtuleni w siebie.

– Obudźcie się, szczęściarze – powiedziała. Otworzyła worek i niewielka przestrzeń wypełniła się zapachem pieczonych ziemniaków.

Jej mąż usiadł prosto, wziął od niej jednego kartofla i wbił w niego zęby.

– O mój Boże... – westchnął.

Pozostali również zaczęli jeść. Jarge skończył pierwszego i wziął następnego.

– Jestem w niebie – powiedział. – Sal Box, jesteś aniołem.

– Tak mnie jeszcze nikt nie nazwał – odparła.

*

Kiedy zrobiło się już jasno, Kit i hrabia mogli jechać szybciej. Żaden koń nie jest w stanie galopować przez dwanaście mil, więc na przemian jechali stępą i kłusem, co wydawało się Kitowi frustrująco powolne. Hrabia wytłumaczył mu jednak, że w ten sposób można najszybciej pokonywać większe odległości, nie

zabijając przy tym wierzchowców. Na drodze zaczęli pojawiać się rolnicy, którzy zaczęli pracę wczesnym rankiem. Hrabia zagadnął paru, żeby – jak domyślił się Kit – upewnić się, że to droga do Wavre. Kit był spięty i zniecierpliwiony, bo pamiętał, że Wellington kazał im się spieszyć.

Zauważył, że hrabia jest cały zbryzgany błotem, od butów po twarz, i przypuszczał, że sam wygląda podobnie.

Zatrzymano ich na posterunku strzeżonym przez kawalerzystów w pruskich mundurach. Ci potwierdzili, że znajdują się w pobliżu Wavre, i powiedzieli, że Blücher urządził kwaterę główną w dużej gospodzie przy rynku.

Kiedy Kit i hrabia wjeżdżali do miasta, zegar na kościelnej wieży wybijał właśnie piątą. Po deszczu droga pokryta była błotem i kałużami. W miarę jak zbliżali się do centrum, droga stawała się coraz węższa i bardziej kręta, a błoto miało już stopę albo i więcej głębokości.

– Wellington powiedział, że Prusacy obozują na wschód od miasta – powiedział hrabia, wyraźnie zaniepokojony. – Armia Blüchera będzie potrzebowała kilku godzin, żeby przedrzeć się przez ten labirynt.

Na rynku zsiadli z koni i weszli do największej gospody. W holu zatrzymał ich pruski żołnierz i przyglądał się podejrzliwie ich ubłoconym mundurom. Hrabia próbował z nim rozmawiać łamaną niemczyzną, lecz żołnierz mówił tylko *Nein*.

Problem polegał na tym, że nie wyglądali zbyt imponująco, a prości ludzie czasami uważają, że cudzoziemcy, którzy kiepsko mówią w ich języku, muszą być głupi.

– *Achtung!* – wrzasnął na strażnika Kit. – *Der Graf sucht Marschall Blücher! Geh holen!* – Wiedział, że nie mówi poprawnie, ale się tym nie przejmował.

Podziałało. Żołnierz natychmiast przeprosił ich i zniknął za drzwiami.

– Dobra robota, Clitheroe – mruknął hrabia.

Prusak wrócił i powiedział, że marszałek polny wkrótce do nich przyjdzie. Kit był wściekły. Dlaczego ten człowiek nie może wyjść od razu, nawet jeśli jest

jeszcze w koszuli nocnej? Czy nie rozumie, że muszą się spieszyć? Henry wyglądał na sfrustrowanego, ale nie narzekał.

Kit kazał żołnierzowi przynieść kawę i chleb dla hrabiego Shiring. Prusak oddalił się pospiesznie i kilka minut później przyniósł śniadanie.

W końcu pojawił się Blücher, świeżo ogolony, w mundurze i z fajką w zębach. Przekrwione oczy świadczyły o tym, że sporo pił poprzedniego wieczoru, a może i przez wiele poprzednich wieczorów, ale był pełen energii i zdecydowany. Hrabia skłonił przed nim głowę i wręczył mu list Wellingtona, napisany po francusku. Kiedy Blücher go czytał, pruski strażnik nalał mu kawy do filiżanki, a marszałek ją opróżnił, nie odrywając wzroku od listu.

Skończywszy, zaczął rozmawiać z hrabią po francusku. Kit niewiele z tego rozumiał, słyszał jednak, że Blücher często powtarza słowo *oui*, czyli „tak”, co dobrze wróżyło.

Podczas gdy dwaj mężczyźni rozmawiali w języku, który dla obu był obcy, w pobliżu zaczęło się pojawiać coraz więcej pruskich oficerów. W końcu Blücher i hrabia pokiwali zgodnie głowami i marszałek wydał rozkazy adiutantom.

Hrabia wyjaśnił sytuację Kitowi. Oddziały armii Bonapartego zagoniły tu Prusaków i Blücher musiał zostawić część z nich z tyłu, by powstrzymać Francuzów. Gotów był jednak poprowadzić zaraz większość swoich sił do Mont-Saint-Jean; właściwie straż przednia przeszła już przez rzekę.

– Kiedy dotrą do nas? – spytał Kit.

– Za wcześnie, by to dokładnie określić – odparł hrabia. – Pojadę teraz do Wellingtona i powiem mu, że ruszają w drogę. Ty zostaniesz z Prusakami, jak rozkazał książę, do czasu, aż będziesz mógł choć w przybliżeniu powiedzieć, kiedy do nas dołączą. Masz bardzo ważne zadanie. Wellington będzie chciał koniecznie wiedzieć, kiedy dostanie posiłki, które dwukrotnie powiększą jego armię.

Kit był podekscytowany tym, że po raz kolejny powierzono mu tak istotne zadanie, a jednocześnie czuł się przytłoczony ciężarem odpowiedzialności.

– Zostań z nimi przynajmniej do czasu, aż wyjadą z miasta – dodał hrabia. – A potem sam decyduj.

– Tak jest, panie pułkowniku.

Hrabia spojrział na Blüchera, skinął głową i wyszedł.

Jestem teraz zdany na własne siły, pomyślał Kit.

Miasteczko Wavre leżało na zachodnim brzegu rzeki Dijle. Kit wsiadł na konia i przejechał z rynku do mostu. Żołnierze Blüchera już maszerowali na drugi brzeg. Od razu zorientował się, że trzeba będzie kilku godzin, by tysiące ludzi przepравиły się przez to wąskie gardło. Po ostatnich deszczach poziom wody w rzece był wysoki i z pewnością nie da się jej przejść w bród. Kit przejechał brzegiem w górę i w dół rzeki. Zobaczył jeszcze dwa mosty, jeden na południowym krańcu miasta, a drugi milę dalej na północ, oba wąskie.

Kiedy wrócił do tego, przez który przeprawiali się Prusacy, zobaczył między oddziałami piechoty armaty, w bateriach po osiem. Przed wjazdem na most utworzył się zator. Na przejście czekał coraz większy tłum żołnierzy. Byli przyzwyczajeni do czekania, chętnie więc przysiadali na brzegu i odpoczywali. Kit spytał kapitana, ile armat zabierają do Mont-Saint-Jean.

– *Einhundertvierundvierzig* – usłyszał w odpowiedzi. Po chwili zastanowienia zrozumiał, że oznacza to sto czterdzieści cztery.

Pojechał wzdłuż kolumny wojska do miasta. Tu nie było tak spokojnie. Buty maszerujących żołnierzy zapadały się w błocie i zamieniały je w rzadką, niemal płynną maź. Wkrótce poznał przyczynę zatoru: jedna z cięższych armat, w której pękła oś, blokowała drogę. Powinno się ją odciągnąć na bok, ale nie było to łatwe na wąskiej ulicy. Czerwony na twarzy oficer smagał batem konie i klął siarczyście, podczas gdy kilkunastu żołnierzy ślizgających się w błocie próbowało jak najszybciej przeciągnąć lawetę.

Przecisnął się obok nich, pojechał na drugą stronę miasta i upewnił się, że wojska, które wydostały się już z labiryntu ulic, maszerują wiejską drogą prowadzącą do Mont-Saint-Jean.

Tymczasem przy moście na drugim brzegu czekało już kilka tysięcy żołnierzy. Kit zaczął się obawiać, że przeprawa zajmie im cały dzień.

W końcu coś się ruszyło – najwyraźniej udało się wreszcie usunąć armatę na uszkodzonej lawecie. Żołnierze musieli odsuwać się na bok, gdy ciągnięte przez konie ciężkie działa wjeżdżały jedno po drugim do miasta. Gdy wybiła ósma, część pruskich armat wciąż była w Wavre.

A potem wybuchł pożar.

Kit najpierw go poczuł, a dopiero potem zobaczył płonąca strzechę. Powinna być zbyt wilgotna, by się zapalić. Dym wznoszący się w centrum miasta, w którym było dużo drewnianych domów, najpierw miał postać kolumny, potem zamienił się w chmurę, a na koniec opadł na ulice niczym mgła, szczypiąc żołnierzy w oczy i przyprawiając ich o kaszel.

Armia całkiem utknęła. Niektórzy żołnierze porzucali armaty razem z końmi i cofali się, by uciec przed płomieniami. Ludzie stojący przy wozach z amunicją spanikowali i rzucili się do ucieczki w obawie przed eksplozją. Oficerowie rozkazali tym, którzy zostali, zawrócić. Lecz próba zawrócenia kolumny wojska – z armatami i zaprzęgami – na wąskich ulicach spowodowała jeszcze większy chaos.

Kit wrócił do mostu, by poradzić Prusakom, żeby skorzystali z innych przepraw, co już robili: oficerowie wysyłali oddziały określonymi trasami.

Przejechał przez most na południu miasta i ruszył na zachód. Gdy znalazł drogę do Mont-Saint-Jean i zobaczył na niej kolumny Prusaków, wrócił do głównego mostu. Armia przemieszczała się już płynnie innymi drogami, a armaty i wozy z amunicją opuszczały centrum miasta.

Dochodziła dziesiąta trzydzieści – o tej porze Wellington spodziewał się Prusaków na polu bitwy.

Kit próbował oszacować, kiedy się tam pojawią. Pomyślał, że gdy już wszystkie oddziały znajdą się na drodze, będą maszerować z prędkością dwóch do trzech mil na godzinę. Mógł więc przekazać księciu, że główne siły zaczną

przybywać do Mont-Saint-Jean za jakieś pięć godzin, około wpół do czwartej po południu... jeśli znów coś ich nie zatrzyma.

Ruszył w stronę czoła kolumny, by ją wyprzedzić, jak najszybciej dotrzeć do Wellingtona i przekazać mu wieści.

ROZDZIAŁ 43

Wellington kazał wszystkim kobietom zejść z pola bitwy. Część z nich go posłuchała. Sal należała do tych, które zignorowały rozkaz.

I teraz się nudziła. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że w takiej sytuacji będzie czuła coś podobnego. Leżała na ziemi w pobliżu grzbietu wzniesienia z mężem i innymi żołnierzami Sto Siódmego Pułku Piechoty, spoglądała na okolicę i czekała, aż zacznie się bitwa. Właściwie nie powinni byli wysunąć się tak daleko do przodu, ale byli w miejscu, gdzie lekkie zagłębienie terenu skrywało ich przed wzrokiem nieprzyjaciela.

Uświadomiła sobie, że z niecierpliwością czeka, aż zacznie się bitwa. Ależ jestem głupia, pomyślała.

O wpół do dwunastej się zaczęło.

Zgodnie z oczekiwaniami Francuzi zaatakowali najpierw Hougoumont, wysuniętą placówkę aliantów, odległą o pół mili od grzbietu wzgórza i położoną niebezpiecznie blisko francuskich linii.

Sal widziała domy, stodoły i kaplicę, otoczone drzewami. Na zachodzie, na prawo, zobaczyła grodzony murem ogród i sad. Po południowej stronie, za zabudowaniami, był niewielki las – zaledwie kilka akrów – oddzielający osadę od francuskich wojsk. Wcześniej Sal dowiedziała się, że Hougoumont broniło dwustu brytyjskich gwardzistów i tysiąc Niemców. Stacjonowali zarówno w lesie i sadzie, jak i w obrębie osady.

Francuski atak zaczął się od ciężkiego ostrzału artylerii, który – jak przypuszczała Sal – przy tak niewielkiej odległości musiał być po prostu miażdżący. Następnie francuscy piechurzy ruszyli przez otwarte pole w stronę Hougoumont. Wtedy odpowiedziały armaty aliantów i zasypały ich szrapnelami.

Żołnierze ukryci w lesie zaczęli strzelać do Francuzów zza drzew. Niemcy byli uzbrojeni w karabiny, które miały większy zasięg i strzelały precyzyjniej. Szrapnele i karabiny były zabójczo skuteczne, więc ubrani w niebieskie kurtki Francuzi padali setkami; utrzymywali jednak szyk i parli naprzód.

– Można do nich strzelać jak do kaczek – stwierdziła Sal. – Dlaczego oni nie biegają, zamiast iść?

Nie kierowała tego pytania do nikogo konkretnego, ale odpowiedział jej weteran wojny w Hiszpanii.

– Dyscyplina. Za moment staną i oddadzą salwę.

Ja i tak bym biegła, pomyślała.

*

Kit dotarł do Mont-Saint-Jean tuż po południu.

Odnalazł Wellingtona na grzbiecie wzniesienia nad Hougomont, obok gwardzistów. Księżę, siedząc na koniu, przyglądał się zżartej walce o osadę. Dostrzegł Kita i spytał z irytacją:

– Gdzie, do diabła, są ci Prusacy? Spodziewałem się ich kilka godzin temu! – Jego gniew bywał czasem irracjonalny i nie zawsze skierowany pod właściwym adresem.

Kit zebrał się na odwagę, by przekazać głównodowodzącemu złe wieści.

– Panie marszałku, melduję, że większość Prusaków opuściła Wavre przed dziesiątą trzydzieści, i przypuszczam, że dotrą tutaj nie wcześniej niż wpół do trzeciej.

– Co oni, do cholery, robili? Już przed piątą było całkiem jasno!

Kit postanowił przedstawić mu sytuację w skróconej wersji.

– Wavre to wąskie gardło, panie marszałku, z niewielkim mostem nad rzeką i krętymi uliczkami. Niestety, wybuchł tam rano pożar. A droga za miastem jest rozmokła i...

– Pożar? Jak mogło dojść do pożaru po tych deszczach?

Było to raczej głupie pytanie, ale Kit musiał na nie jakoś odpowiedzieć.

– Nie mam na ten temat żadnych informacji, panie marszałku – zameldował.

– Jedź do Shiringa – rozkazał Wellington. – Będzie miał dziś dla ciebie mnóstwo pracy.

Kit posłusznie odjechał i znalazł Sto Siódmy Pułk Piechoty na zachodnim krańcu linii aliantów. Niektórzy żołnierze przeczołgali się do przodu, przed swoje pozycje, by obserwować pole bitwy, a porucznik Joe Hornbeam kazał im właśnie wracać, by nie zostali wypatrzeni przez Francuzów.

– Nie chcemy, żeby stary Bonaparte wiedział, gdzie się ukrywamy i ilu nas jest – wyjaśnił. – Niech sukinsyn spróbuje się domyślić.

Kit dostrzegł ojczyma, zatrzymał konia i zeskoczył na ziemię.

– Młody Joe nie jest wcale złym oficerem – powiedział Jarge. – Zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę, że ma tylko osiemnaście lat.

– Nikt by się tego nie spodziewał – rzucił Kit. – Kiedy ma się takiego paskudnego dziadka ja radny Hornbeam... – Przerwał, bo z przerażeniem zobaczył matkę. – Co ty tu robisz? Kobietom kazano zejść z pola bitwy.

– Do mnie taki rozkaz nie dotarł – odparła Sal.

– Cóż, teraz już dotarł.

– Jestem tu, żeby towarzyszyć mężowi, i nie zamierzam uciekać.

Kit otworzył już usta, żeby wdać się z nią w dyskusję, ale szybko zmienił zdanie. Kiedy matka już coś postanowiła, nie warto było się z nią sprzeczać.

Podszedł do Joego Hornbeama.

– Panie poruczniku, widział pan hrabiego Shiring? – spytał.

– Tak jest, panie kapitanie. – Joe wskazał na północ, w dół zbocza z tyłu wzniesienia. – Kilka minut temu był jakieś trzysta jardów dalej w tym kierunku, rozmawiał z generałem Clintonem.

– Dziękuję.

– Tak jest, panie kapitanie.

Kit ponownie dosiadł konia i ruszył w dół zbocza. Po chwili zobaczył hrabiego Henry'ego i generała Clintona siedzących na koniach. Nim zdołał się odezwać, rozległ się potężny huk, niczym dziesięć grzmotów naraz, dźwięk, który mógłby zwiastować koniec świata. Kit służył jednak w Hiszpanii w artylerii i wiedział, że to odgłos wystrzałów artyleryjskich, tyle że oddanych jednocześnie, i to z ogromnej liczby dział.

Zawrócił konia i pojechał w górę zbocza. Hrabia Shiring i generał Clinton podążyli za nim. Zatrzymali się na grzbiecie i spojrzeli w dół.

Znajdowali się po zachodniej stronie drogi węglowej. Kit zobaczył, że francuskie działa ustawione po stronie wschodniej ostrzeliwiają środek oraz lewą stronę linii aliantów. Co najmniej siedemdziesiąt potężnych armat, ustawionych w szeregu, strzelało najszybciej, jak się dało.

Na szczęście tylko nieliczne pociski sięgały celu. Wojska sprzymierzonych ponosiły duże straty na zachodnim zboczu, lecz większość armii Wellingtona ukrywała się za grzbietem, więc mnóstwo francuskich kul grzęzło w błocie, nie czyniąc nikomu krzywdy.

Czemu miała służyć ta kanonada?

Kilka minut później Kit poznał odpowiedź.

Napoleońscy żołnierze w niebieskich kurtkach ruszyli naprzód, przeszli przez linię armat i pomaszerowali przez dolinę. Francuskie pociski przelatywały nad ich głowami i powstrzymywały wojska aliantów od wyjścia im na spotkanie.

Wkrótce stało się jasne, że właśnie rozpoczyna się główne natarcie. Kit oszacował liczbę zbliżających się piechurów na pięć tysięcy, potem na dziesięć, a następnie na jeszcze więcej, może nawet dwadzieścia tysięcy.

Armaty sprzymierzonych otworzyły do nich ogień. Kit widział, że strzelają kartaczami, pociskami wypełnionymi ołowianymi kulkami i trocinami, po wybuchu zamieniającymi się w śmiertelne stożki o szerokości trzydziestu jardów i koszącymi wrogów niczym gigantyczne sierpy. Francuzi przestępowali jednak ponad ciałami swoich towarzyszy i maszerowali dalej.

Bitwa rozgorzała na dobre.

Zwykle atak miał na celu rozbicie szyków wroga, co osiągało się najłatwiej, przechodząc za nie. Można to było zrobić poprzez obejście formacji nieprzyjaciela z boku – oflankowanie – lub dokonanie wyłomu w środku. Wtedy można było otoczyć wroga, unieruchomić i atakować ze wszystkich stron.

Kit sięgnął po lunetę, którą zabrał francuskiemu oficerowi zabitemu pod Vitorią, i spojrział przez nią na wschodni kraniec pola bitwy, gdzie nacierający Francuzi dotarli najwcześniej do pozycji aliantów. Zaatakowali energicznie, odpychając obrońców. Front sprzymierzonych miał kształt wąskiej linii, wygiętej łukowato przy wschodnim krańcu. Francuzi szybko dotarli do tego miejsca i w tym momencie Brytyjczycy przeszli do kontrataku. Walka była zacięta i krwawa; Kit cieszył się, że go tam nie ma.

Francuskie natarcie straciło impet, ale nie zatrzymało się. Zobaczył z przerażeniem, że tak samo wygląda sytuacja wzdłuż całej linii aliantów po drugiej stronie drogi węglowej: energiczny atak Francuzów, kontratak, a potem powolny postęp francuskich sił.

Była druga i alianci przegrywali.

Żołnierze sprzymierzonych w pobliżu Kita i hrabiego byli wzburzeni, gotowi w każdej chwili ruszyć na pomoc towarzyszom, Wellington nie wydał jednak takiego rozkazu, a hrabia wrzasnął:

– Zostać na miejscach! Każdy, kto wybiegnie do przodu bez wyraźnego rozkazu, zostanie zastrzelony.

Kit nie był pewien, czy Henry naprawdę by to zrobił, ale groźba okazała się skuteczna: żołnierze nieco się uspokoili.

Straty Francuzów były duże, ale do bitwy wciąż dołączały nowe oddziały, w tym ciężka jazda – kirasjerzy. Kit spojrział w dół drugiej strony zbocza i zobaczył, że Wellington ma tylko niewielkie odwody piechoty, które mógł rzucić do walki. Ale w pobliżu stała również brytyjska kawaleria: co najmniej tysiąc żołnierzy Brygady Kawaleryjskiej Household, stojących przy koniach

i czekających niecierpliwie na rozkaz do ataku. Żołnierze pułków Life Guards i Horse Guards dosiadali wyłącznie kruczoczarnych wierzchowców. Dowodził nimi hrabia Uxbridge, jeden z wielu ludzi, których Wellington nie darzył sympatią.

Kit słyszał kiedyś, jak oficerowie sztabowi mówili, że brytyjska kawaleria ma najlepsze konie, ale Francuzi mają najlepszych ludzi. Z pewnością prawdą było to, że francuska kawaleria miała większe doświadczenie bitewne.

Rozległ się głos trąbki sygnałowej i tysiąc żołnierzy dosiadło koni. Potem na inny sygnał wszyscy jednocześnie wyjęli szable. Był to imponujący widok. Kit pomyślał, że nie chciałby się znaleźć wśród tych, którzy będą musieli odpierać ich atak.

W reakcji na kolejne sygnały jeźdźcy uformowali szereg o długości mili, rozciągnięty ze wschodu na zachód, po czym ruszyli w górę zbocza, wciąż niewidoczni dla nieprzyjaciela. Poderwali konie do kłusa, wspięli się na grzbiet, a potem, bez krzyków i nawoływań, poszarżowali w dół zbocza, prosto na walczących piechurów.

Piechota sprzymierzonych błyskawicznie odsunęła się na bok. Francuzi próbowali uciekać, nie mogli jednak umknąć przed końmi. Brytyjska kawaleria siekła ich bezlitośnie, odcinając ręce, nogi i głowy. Uciekający potykali się, przewracali i ginęli pod kopytami potężnych rumaków, a kawalerzyści, nacierając dalej, dokonywali straszliwej rzezi.

Hrabia Henry był uszczęśliwiony.

– Odparliśmy natarcie Bonapartego! – piał z zachwytu. – Niech Bóg błogosławi kawalerię!

Kiedy jeźdźcy znaleźli się w zasięgu francuskiego wojska, trębacze na rozkaz Uxbridge'a dali sygnał do odwrotu. Kit słyszał go całkiem wyraźnie, ale ku jego zdumieniu kawalerzyści jakby ogłuchli. Zignorowali kilkakrotnie powtórzony sygnał i jechali dalej, wznosząc radosne okrzyki i wymachując szablami. Hrabia Henry, który stał obok Kita, prychnął z niesmakiem. Ogarnięci żądzą krwi jeźdźcy

całkowicie zapomnieli o dyscyplinie. Dawał o sobie znać brak doświadczenia bitewnego.

Ta bezrozumna euforia doprowadziła ich do zguby. Gdy pędzili w stronę francuskich linii, spadł na nich grad kul armatnich i pocisków z karabinów. W miejscu, gdzie grunt zaczął się wznosić, wytracili prędkość, a ich konie opadły z sił.

W ciągu kilku minut triumf kawalerii zamienił się w kompletną klęskę. Nagle to oni stali się ofiarami rzezi. Gdy rozdzielili się na mniejsze grupy, Francuzi otaczali je ciasnym kręgiem i metodycznie wycinali. Zrozpaczony Kit obserwował, jak kwiat brytyjskiej armii ulega zagładzie. Nieliczni jeźdźcy, którym dopisało szczęście, podrywali zmęczone konie do galopu i wracali ku liniom aliantów.

Natarcie Bonapartego zostało odparte. Ale jakim kosztem?

Francuzi mieli więcej ludzi i ich piechota mogła przypuścić kolejny atak, na który Brytyjczycy nie mogli już odpowiedzieć szarżą kawaleryjską.

Kit był załamany.

Bitwa przycichła. Nie ustała całkiem, ale toczyła się na niższym poziomie. Francuska artyleria sporadycznie ostrzeliwała przeciwną stronę doliny i zabijała co jakiś czas któregoś z oficerów albo rozwalala działo sprzymierzonych. Wciąż trwały potyczki wokół Hougoumont i La Haye Sainte; strzelcy wyborowi z obu stron nekali przeciwników i zmuszali ich do nieustannej czujności.

Wellington rozmawiał przez chwilę z nowo przybyłym posłańcem, po czym wezwał do siebie hrabiego Henry'ego.

– Podobno pojawili się pierwsi Prusacy – oznajmił. – Proszę pojechać na wschodni kraniec naszych linii i sprawdzić, czy to prawda. Jeśli tak, proszę przekazać ich dowódcy, że chcę, by wzmocnili naszą lewą flankę. Wykonać!

Kit doskonale rozumiał tok myślenia Wellingtona. Lewe skrzydło sił sprzymierzonych było celem ataków artylerii i piechoty Bonapartego, podczas gdy prawa flanką – gdzie zajmowali pozycje Sal i Jarge – do tej pory prawie nie brała udziału w walce. To właśnie lewa strona potrzebowała wsparcia Prusaków.

Hrabia i Kit poderwali konie do galopu.

Niecałe dwie mile za wschodnim krańcem linii sprzymierzonych były dwa niewielkie tereny leśne: Bois d'Ohain na północy i Bois de Paris na południu. Kit już z daleka widział, że coś się w nich dzieje. Kiedy podjechali bliżej, zobaczył, że z lasu Ohain wychodzą setki żołnierzy w niebieskich mundurach. Posłaniec mówił prawdę. Prusacy wreszcie zaczęli przybywać na pole bitwy.

Kit i hrabia Henry bez przeszkód dotarli do Ohain. Były tu już dwa, może trzy tysiące pruskich żołnierzy; jeszcze więcej kryło się w lesie na południu. Kilka tysięcy nie robiło większej różnicy, ale po przybyciu pozostałych sił sprzymierzeni zyskaliby przytłaczającą przewagę. Tylko czy mieli czas, by na to czekać?

Wojska w Ohain należały do Pierwszego Korpusu. Dowodził nim wielokrotnie odznaczany von Zieten, łysiejący czterdziestopięciolatek, który miał za chwilę stoczyć swoją trzecią bitwę w ciągu ostatnich czterech dni. Blücher jeszcze nie dotarł, więc Henry i Kit przekazali von Zietenowi rozkazy Wellingtona we francusko-niemieckiej mieszance języków.

Von Zieten powiedział jedynie, że postara się jak najszybciej przekazać prośbę Wellingtona Blücherowi. Nie był w stanie określić, kiedy przybędzie reszta ich oddziałów. Kit odniósł wrażenie, że Prusacy chcą sami zdecydować, gdzie dołączyć do bitwy.

Wrócił z hrabią do Wellingtona i złożyli mu raport.

Kit spojrzął na zegarek – kolejną zdobycz wojenną odebraną zabitemu żołnierzowi – i stwierdził ze zdumieniem, że jest już piąta. A wydawało się, że od pierwszego natarcia francuskiej piechoty minęło zaledwie kilka minut.

Podczas intensywnych walk, które toczyły się w ciągu ostatnich trzech dni, Bonaparte starał się przede wszystkim nie dopuścić do połączenia armii pruskiej z angielsko-holenderską, a za kilka godzin powinno do tego dojść. Teraz z pewnością widział Prusaków i niewątpliwie uświadomił sobie, że czas stał się nagle kluczową kwestią. Żeby nie stracić szans na wygraną, musiał zniszczyć armię

Brytyjczyków i Holendrów, nim dołączą do niej Prusacy w liczbie, która pozwoli im odwrócić losy bitwy.

Kit dostrzegł wzmożoną aktywność za francuskimi liniami. Przez kilka minut nie mógł zrozumieć, co się dzieje, dopiero hrabia mu to wyjaśnił:

– Kirasjerzy się zbierają. Szykują szarżę kawaleryjską.

Brytyjscy i holenderscy artylerzyści przeciągali do przodu rezerwowe armaty i stawiali je w miejsce tych, które zostały zniszczone. Kit wypatrywał Rogera, ale nigdzie go nie widział.

Francuska artyleria wciąż prowadziła nieregularny ostrzał, w czasie gdy ich kawalerzyści przygotowywali się do ataku. Nagle jeden z pocisków wylądował w odległości zaledwie dwudziestu jardów od Kita – uderzył w armatę, którą ustawiano właśnie na stanowisku. Rozległ się huk, któremu towarzyszyły jasny rozbłysk, krzyki ludzi i straszliwy ryk rannego konia, a potem nastąpiła większa eksplozja, gdy wybuchł zapas prochu za armatą, roztrzaskując na kawałki zarówno lawetę, jak i działo. Ogłuszony Kit runął na ziemię, ale już w następnej sekundzie wiedział, że nie trafił go odłamek. Podniósł się, wciąż oszołomiony. Wszyscy członkowie załogi zniszczonej armaty, która zamieniła się w kupę powyginanego metalu i spalonego drewna, byli martwi lub ranni. Wzrok Kita padł na hrabiego Henry’ego, który leżał nieruchomo na ziemi. Z jego głowy sączyła się krew. Prawdopodobnie został trafiony odłamkiem zniszczonego działła. Kit ukląkł obok niego i zorientował się, że hrabia wciąż oddycha.

Zobaczył grupę piechurów wpatrujących się w roztrzaskaną armatę.

– Ty i ty! – Wskazał na dwóch z nich. – To jest hrabia Shiring. Zanieście go do lekarza. Żwawo!

Bez słowa wykonali rozkaz.

Kit zastanawiał się, czy hrabia przeżyje. W przypadku obrażeń głowy lekarze mogli jedynie obandażować ranę. Cała reszta zależała od tego, jak bardzo został uszkodzony mózg.

Nie było jednak czasu na rozmyślania. Odwrócił się w stronę pola bitwy. Właśnie rozpoczynało się nowe natarcie Francuzów. Zza linii armii napoleońskiej wysunęła się kawaleria przywodząca na myśl ogromną falę złożoną z koni i jeźdźców. Zza chmur wyszło na chwilę słońce i jego promienie odbijały się od zbroi i szabel. Kit czuł, jak ziemia drży pod dziesiątkami tysięcy kopyt.

Sprzymierzeni tymczasem nie mieli już kawalerii, którą mogliby przeciwstawić tej nawałnicy.

– Przygotować się na atak konnicy! – krzyknął Wellington.

Jego rozkaz przekazano szybko w obie strony linii frontu i bataliony piechoty błyskawicznie ustawiły się w kwadraty tak, jak je wyszkolono. Kit widział, że Sto Siódmy Pułk Piechoty wykonał ten manewr szybko i bezbłędnie.

Kiedy nieprzyjacielska kawaleria zbliżała się do szyków sprzymierzonych, Wellington jeździł między kwadratami i wykrzykiwał słowa zachęty. Kit i pozostali adiutanci nie odstępowali go na krok.

Kiedy Francuzi uderzyli, początkowo przewagę mieli obrońcy. Francuska kawaleria nacierała z różnych stron na kwadraty, krzycząc *Vive l'empereur!* Wielu jeźdźców padało ofiarą intensywnego ognia karabinów ustawionych w czterech szeregach. Każdy brytyjski żołnierz z pierwszego szeregu klękał i strzelał, po czym cofał się za czwarty szereg, by przeładować broń i pozwolić oddać strzał towarzyszom. Przypominało to morderczy, śmiertelnie skuteczny taniec.

Po kilku przerażających minutach kawaleria wycofała się, ale ich miejsce zajęli następni jeźdźcy na świeżych koniach, niektórzy uzbrojeni w lance o długości dziewięciu stóp; obrzucali nimi kwadraty piechurów, by dokonać w nich wyłomu. Zabitych i rannych wciągano do środka kwadratów, po czym natychmiast ponownie zwierano szyki.

Kit mimowolnie podziwiał odwagę francuskich jeźdźców, którzy raz za razem ponawiali ataki, przejeżdżając po ciałach towarzyszy i przeskakując nad powalonymi końmi. Do kontrataku ruszyły resztki brytyjskiej kawalerii, były to jednak zbyt skromne siły, by wpłynąć na rezultat bitwy.

Gdy na moment walki nieco przycichły, Kit rozejrzał się po polu bitwy, wypatrując francuskich piechurów. Powinni byli wspierać kawalerię – tak to zwykle wyglądało. Dopiero gdy próbując przebić wzrokiem chmury dymu, spojrzął na drugą stronę doliny, zrozumiał, dlaczego ich nie ma: Prusacy w końcu włączyli się do bitwy.

Ignorując prośbę Wellingtona, większość nowo przybyłych przeszła za wschodnie skrzydło francuskich linii i zaatakowała miejscowość Plancenoit, wysoko na przeciwległym brzegu, w pobliżu nieprzyjacielskiej kwatery głównej. Bonaparte został niemile zaskoczony.

Wyglądało na to, że trwa tam zażarta walka. Kit domyślił się, że wódz Francuzów nie może przesunąć piechoty z tamtej strefy i wesprzeć ataku kawalerii. Wyteżył wzrok, wydawało mu się bowiem, że widzi, jak do walki w Plancenoit dołączają dodatkowe oddziały Francuzów z odwodów, czekających dotąd w górnej części zbocza. Dojrzał jednak również kolejnych żołnierzy w pruskich mundurach, którzy nadchodzili od wschodu i wspierali swoje wojska. Francuska piechota walczyła w tamtym rejonie i dlatego nacierający kawalerzyści nie mogli liczyć na jej pomoc. To mogło uratować armię Wellingtona.

Kit pomyślał, że Bonaparte z pewnością jest zdesperowany. Musiał wygrać dzisiaj, bo jutro nie będzie miał szans w starciu z połączonymi siłami angielsko-holenderskimi i pruskimi.

Wśród adiutantów Wellingtona nagle podniósł się jęk zawodu.

– La Haye Sainte padło – powiedział ktoś cicho.

Kit spojrzął w tamtą stronę i zobaczył, jak z zabudowań ucieka garstka niemieckich obrońców, żalosne resztki początkowej załogi. Dla Bonapartego z pewnością była to ważna zdobycz, a dla linii aliantów duże osłabienie.

Gdy artyleria sprzymierzonych zaczęła natychmiast ostrzeliwać La Haye Sainte, Kit pomyślał: Roger tym kieruje. Wojska Bonapartego utrzymały jednak tę placówkę.

Okolo wpół do siódmej natarcie francuskiej kawalerii osłabło. Lecz siły sprzymierzonych poniosły znaczące straty, zwłaszcza w środku ich linii. W tym momencie Bonaparte mógł zadać decydujący cios. Wellington najwyraźniej zdawał sobie sprawę, jak niebezpiecznie osłabieni są alianci, jeździł więc nieprzerwanie wzdłuż linii, nie dbając o własne bezpieczeństwo. Wydawał rozkazy, które Kit i inni adiutanci przekazywali oficerom: wezwać odwody, by wzmocniły walczące oddziały, sprowadzić wozy z amunicją, wymienić zniszczone armaty na zapasowe, których zostało już niebezpiecznie mało. Tymczasem Pierwszy Korpus von Zeitena zrobił w końcu to, czego chciał Wellington, i wzmocnił lewe skrzydło sprzymierzonych, co pozwoliło księciu ściągnąć stamtąd część ludzi i wzmocnić przetrzebione oddziały w centralnej części linii. Przez cały ten czas Bonaparte nie mógł zaatakować osłabionego odcinka armii sprzymierzonych, bo musiał odpierać natarcie Prusaków w Plancenoit.

Jeden z francuskich pułkowników porzucił swoich ludzi i przejechał do linii sprzymierzonych, krzycząc:

– *Vive le roi!* – Niech żyje król!

Podczas rozmowy z oficerami wywiadu ujawnił, że Bonaparte postanowił użyć swoich elitarnych wojsk, Gwardii Cesarskiej – trzymany dotąd w odwodach – do ataku na prawe skrzydło aliantów. Gwardia Cesarska zwykle wchodziła do akcji na końcu, by zadać ostateczny cios. Czyżby bitwa była już na tym etapie?

Wellington wysłał adiutantów z tą wiadomością do sił po drugiej stronie drogi węglowej, które do tej pory miały niewielki udział w walce. Kit pojechał do Sto Siódmego Pułku Piechoty i ostrzegł jego dowódcę, majora Denisona. Ludzie w otoczeniu majora wydawali się zadowoleni, że wreszcie będą mieli okazję się wykazać, choćby po to, by potem mogli odpowiedzieć na pytanie „Co robiłeś pod Waterloo?”.

Tuż po siódmej, gdy słońce pochylało się już nad zachodnim krańcem doliny, pojawili się żołnierze Gwardii Cesarskiej w niebieskich mundurach – Kit oceniał ich liczbę na jakieś sześć tysięcy. Maszerowali w rytm werbli przez pola zasłane martwymi i rannymi ludźmi oraz końmi, przez smród krwi i wnętrzości. Kit

dosiadł konia i obserwował ich przez lunetę. Okrążyli Hougoumont – wciąż zajmowane przez Brytyjczyków – i przeszli przez La Haye Sainte, które teraz było we francuskich rękach.

Wojska sprzymierzonych czekały za grzbietem wzniesienia, niewidoczne dla wroga. Joe Hornbeam jeździł w tę i w tę wzdłuż szeregu żołnierzy.

– Nie ruszać się z miejsc – powtarzał. – Czekać na rozkaz. Nie wyrywać się. Nie ruszać się z miejsc.

Kit zobaczył, że Francuzi atakują teraz wzdłuż całej linii sprzymierzonych, bez wątplenia po to, by związać walką wszystkie oddziały i nie pozwolić, by wzmocniły obronę przeciwko Gwardii Cesarskiej. Spojrzawszy na zachodzące słońce, zrozumiał, że będzie to ostatni akt bitwy – wóz albo przewóz. Postanowił zostać ze Sto Siódmym Pułkiem.

Gdy gwardziści znaleźli się w odległości dwustu jardów, artyleria sprzymierzonych otworzyła ogień. Znów strzelała kartaczami.

– Dobra robota, Roger – mruknął Kit, gdy zobaczył, że żołnierze Gwardii Cesarskiej padają jak muchy.

Francuska dyscyplina robiła jednak swoje: nie zwalniając kroku, gwardziści omijali zabitych i rannych, zwierali szyki i kontynuowali marsz.

Gdy dzieliło ich zaledwie trzydzieści jardów od linii sprzymierzonych, żołnierze ukryci dotąd za grzbietem wzgórza nagle wstali i oddali salwę z karabinów. Przy tak małej odległości wiele kul dosięgło celu. Francuzi odpowiedzieli ogniem, który również był skuteczny i dosięgnął między innym dowódcę pułku z Kingsbridge, majora Denisona. Kit widział, jak kapelan, Kenelm Mackintosh, pada trafiony śmiertelnym strzałem w pierś. Pomyślał o pięciorgu dzieci Elsie, które właśnie straciły ojca.

Sprzymierzeni nie mieli już czasu na przeładowanie karabinów, ruszyli więc do ataku na bagnety. Gwardziści zostali powstrzymani, ale nie wycofali się. Rozgorzała krwawa walka wręcz.

Sto Siódmy Pułk Piechoty należał do oddziałów ustawionych na prawym krańcu pola bitwy, nieco bokiem do nacierającego wroga. Część oddziałów ruszyła do ataku w dół zbocza i skręciła w lewo, by natrzeć na odsłoniętą flankę Gwardii Cesarskiej. Wellington nie wydał takiego rozkazu, ale oficerowie brali inicjatywę w swoje ręce. Zaraz potem do ataku dołączył następny oddział.

– Naprzód! – krzyknął nagle Joe Hornbeam. Był tylko porucznikiem i nie miał prawa wydawać takiego rozkazu, ale Denison nie żył, a w pobliżu nie było żadnego innego oficera. Spragnieni walki żołnierze bez wahania ruszyli za Joem.

Kit zdał sobie sprawę, że to może być decydujący moment bitwy, a tym samym dwudziestotrzyletniej wojny, zadziałał więc instynktownie. Zabrał karabin z bagnetem leżący obok zabitego żołnierza, wskoczył na konia i dołączył do ataku. Kiedy odjeżdżał, słyszał jeszcze, jak matka woła za nim:

– Kit, nie!

Jechał jednak dalej.

Gwardia Cesarska odpierała nieprzyjaciół z dwóch stron i zaczynała słabnąć. Sprzymierzeni atakowali coraz mocniej. Sto Siódmy Pułk Piechoty walczył bagnetami. Gdy francuska kula trafiła w wierzchowca Kita, biedne zwierzę zachwiało się i runęło na ziemię. Zdołał zeskoczyć z siodła, nim umierający koń go przygniótł, i ruszył naprzód, ściskając broń w dłoniach. Dołączył do walki u boku Jarge'a.

Część Francuzów rzuciła się do ucieczki, większość jednak została i biła się dalej. Kit walczył ramię w ramię z ojczymem; obaj dźgali wściekle wroga bagnetami. Kit zabił już wielu ludzi, ale dotąd robił to z jakiejś odległości, strzelając z armat; dopiero teraz poznał to okropne uczucie, jakie towarzyszy przebijaniu ludzkiego ciała ostrzem. Nie osłabiało to w nim jednak ducha walki; myślał jedynie o tym, że musi zabijać wrogów, i robił to najszybciej i najskuteczniej, jak potrafił.

Tuż przed nim padł koń Joego Hornbeama i młody porucznik uderzył o ziemię. Gdy francuski gwardzista stanął nad nim z szablą podniesioną do ciosu, Joe mógł

jedynie bezradnie patrzeć na zabójcę. W tym momencie Jarge postąpił krok do przodu i pchnął Francuza bagnetem. Ten obrócił się i zamachnął szablą, którą trzymał w podniesionej ręce, i rozplątał szyję ojczyma Kita. Jarge zdążył jeszcze wbić bagnet głęboko w brzuch gwardzisty, zanim obaj runęli na ziemię. Z jego szyi tryskała jasnoczerwona krew, a z brzucha gwardzisty wypłynęły wnętrzności.

Joe zerwał się na nogi.

– Dobry Boże, niewiele brakowało – zwrócił się do Kita. Spojrzał w dół. – Jarge uratował mi życie. – Podniósł szablę i ponownie ruszył do boju.

Szyki Gwardii Cesarskiej zaczęły się załamywać. Ci walczący z tyłu nie parli już do przodu, lecz zawracali i uciekali. Gwardziści z pierwszej linii, widząc, że jest ich coraz mniej, zaczęli się wycofywać i po chwili odwrót zamienił się w chaotyczną ucieczkę, a wyrównana dotąd walka w pogrom. Żołnierze sprzymierzonych ścigali ich, wrzeszcząc triumfalnie.

Kit spojrział na pole bitwy i zobaczył, że na całej linii walk dzieje się to samo. Zniechęceni Francuzi wycofywali się, a na ten widok ich towarzysze robili to samo. Dosłownie w ciągu kilku sekund francuską piechotę ogarnęła panika. Żołnierze Wellingtona rzucali się w pościg i pędzili przed sobą pokonanych wrogów w dół zbocza, a potem w górę na kolejne wzniesienie.

Kit pomyślał o Rogerze.

Pewien już, że wojska sprzymierzonych dokończą dzieła zniszczenia, odwrócił się i pobiegł w górę zbocza; przeskakiwał nad martwymi i rannymi, by jak najszybciej dotrzeć do armat ustawionych na grzbiecie wzniesienia. Niektórzy artylerzyści porzucili działa, by wziąć udział w rzezi, Kit był jednak pewny, że Roger tego nie zrobił.

Szedł pospiesznie wzdłuż szeregu armat, przypatrując się uważnie artylerzystom siedzącym lub leżącym przy lawetach. Niektórzy byli po prostu wyczerpani, inni martwi. Był teraz bardziej przerażony i zdenerwowany niż podczas walki. Nie wyobrażał sobie sytuacji, w której on przeżył, a Roger zginął; wolałby raczej, by umarli obaj.

W końcu zobaczył go, siedzącego na ziemi, z plecami opartymi o koło lawety i zamkniętymi oczami. Czy oddychał? Kit pomyślał o najgorszym. Ukląkł i dotknął jego ramienia.

Roger otworzył oczy i uśmiechnął się.

– Och, Bogu dzięki – wyszeptał Kit i pocałował go.

*

Kiedy Sal zobaczyła, jak Kit biegnie w górę zbocza, najwyraźniej cały i zdrowy, pozwoliła sobie na moment wytchnienia, ogarnięta niewyobrażalną ulgą. Potem zaczęła szukać męża.

Żołnierze Sto Siódmego Pułku Piechoty biegli przez dolinę, ścigając wycofujących się Francuzów, miała więc nadzieję, że Jarge jest wśród nich. Postanowiła jednak sprawdzić tych, którzy zostali na polu bitwy, w zdeptanej pszenicy. Idąc między nimi, myślała, że ci, którzy nie żyją, mają szczęście; przynajmniej nie czuli już bólu. Inni prosili o wodę, wzywali lekarza albo matki. Zaciskając zęby, szła dalej.

Kiedy jej spojrzenie spoczęło w końcu na Jarge’u, początkowo go nie rozpoznała i szukała dalej. Potem instynktownie odwróciła się i zamarła ze zgrozy. Leżał na plecach, z rozplataną szyją, a jego niewidzące oczy wpatrywały się w ciemniejące niebo.

Pogrążona w rozpacz, rozszlochała się tak, że nie widziała, co się wokół niej dzieje. Uklękła przy ciele męża i przyłożyła dłoń do jego piersi, jakby jakimś cudem mogła jeszcze wyczuć bicie serca, choć wiedziała, że to niemożliwe. Dotknęła policzka Jarge’a, wciąż ciepłego, i pogładziła go po włosach. Musiała go pogrzebać.

Wstała, otarła oczy i rozejrzała się. Kilkaset jardów dalej wznosiły się zabudowania Hougoumont, między którymi coś płonęło. Jeden z budynków wyglądał jak mały kościół albo kaplica.

Przez dolinę wracało właśnie dwóch mężczyzn. Wydawali jej się znajomi, więc zapewne należeli do Sto Siódmego Pułku. Jeden lekko utykał, a drugi niósł worek wypełniony bez wątpienia łupami. Gdy poprosiła, by pomogli jej zarzucić ciało męża na ramię, zrobili to.

Jarge był ciężki, ale była silna i uznała, że sobie poradzi. Podziękowała szabrownikom i wciąż płacząc, ruszyła w stronę Hougoumont.

Omijając ciała, przeszła powoli przez pole bitwy, dotarła do bramy i zobaczyła za nią zabudowania. Niewielki zameczek płonął, lecz kaplica była nietknięta. Przy jej ścianie od południa był niewielki skrawek ziemi porośnięty trawą. Sal nie miała pewności, czy ta ziemia jest poświęcona, wydawało jej się jednak, że to dobre miejsce na pochówek jej mężczyzny.

Odłożyła ciało Jarge'a najdelikatniej, jak potrafiła. Wyprostowała mu nogi i złożyła ręce na piersiach. Potem ujęła czule jego głowę i ułożyła ją tak, by zamknąć ranę na szyi i przywrócić mu w miarę normalny wygląd. Wstała i rozejrzała się. Widziała tylko ciała, setki ciał. Ale przecież wokół były gospodarstwa rolne, więc gdzieś musiała być łopata. Weszła do stodoły. Wszędzie dostrzegała pozostałości po bitwie: skrzynie po amunicji, puste butelki, różne części ciał, rękę, stopę w bucie, pół dłoni.

Na drewnianych kołkach wbitych w ścianę wisiało kilka narzędzi rolniczych. Wzięła łopatę, wróciła do Jarge'a i zaczęła kopać. Nie przychodziło jej to łatwo, bo nasiąknięta wodą ziemia była wyjątkowo ciężka. Sal zastanawiała się, dlaczego tak bardzo bolą ją plecy, i dopiero po chwili przypomniała sobie, że ostatniej nocy – czy to naprawdę było tak niedawno? – przeniosła pięćdziesiąt funtów ziemniaków do odległego o trzy mile Waterloo i z powrotem.

Kiedy dół miał około czterech stóp głębokości, poczuła, że musi przestać, bo inaczej padnie z wyczerpania, uznała więc, że to wystarczy. Pochwyciła Jarge'a pod pachami i wciągnęła go powoli do grobu. Kiedy się tam znalazł, ułożyła go ponownie: wyprostowane nogi, ręce skrzyżowane na piersiach, głowa w odpowiedniej pozycji.

Stała nad grobem i wpatrywała się w męża, gdy wieczór przechodził powoli w noc. Odmówiła Modlitwę Pańską.

– Nie bądź dla niego surowy, Panie – powiedziała z oczami uniesionymi do nieba. – Było w nim... – Zachłysnęła się szlochem, poczekała, aż będzie mogła mówić, i dokończyła: – Było w nim więcej dobrego niż złego.

Podniosła łopatę i zaczęła zasypywać dół. Robiła to już kiedyś, dwadzieścia trzy lata temu, gdy grzebała Harry’ego. Wtedy miała opory przed rzucaniem ziemi na człowieka, którego kochała, teraz czuła się tak samo. Ale tak jak wtedy, teraz też się przemogła, bo było to pewnego rodzaju potwierdzenie, że mąż odszedł, a to, co po nim pozostało, jest tylko skorupą. Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz, pomyślała.

Najstraszniejszy był moment, gdy większa część ciała Jarge’a była już zakryta, ale Sal nadal widziała twarz. Znow musiała się przemóc, by dalej wrzucać ziemię do grobu. Kiedy był już zasypywany, odrzuciła łopatę na bok i płakała tak długo, aż zabrakło jej łez.

– To wszystko, Jarge – powiedziała. Stała jeszcze przez chwilę, a gdy zrobiło się całkiem ciemno, zwróciła się do męża po raz ostatni. – Żegnaj. Cieszę się, że przyniosłam ci te ziemniaki.

I odeszła.

CZEŚĆ VII

Pokój

1815–1824

ROZDZIAŁ 44

Gdy sprzymierzeni weszli do Paryża, Napoleon Bonaparte abdykował po raz drugi i ponownie został zesłany, tym razem na odległą Wyspę Świętej Heleny, położoną na południowym Atlantyku, dwa tysiące mil na zachód od Kapsztadu i dwa i pół tysiąca mil na wschód od Rio de Janeiro.

Sto Siódmy Pułk Piechoty wrócił do Kingsbridge, podobnie jak hrabia Shiring, jego żona Jane i ich syn Hal. Dwa dni później Amos, który przyплыł do Anglii nieco wcześniej, dostał od Jane list, w którym prosiła go, by wpadł do Domu Willarda na herbatę.

Kiedy się tam pojawił, była zajęta rozpakowywaniem; krzątała się wśród kufrów podróżnych, ustawionych na dywanie w salonie. Wspomagana przez służącą, wyjmowała z nich kolejne piękne suknie i decydowała, czy należy je przetrzeć i wyprasować, wyprać czy oddać.

– Wreszcie pokój! – powiedziała do Amosa. – Czy to nie cudowne?

– Tak, wreszcie możemy wrócić do normalnego życia – odparł. – Jeśli ktokolwiek z nas pamięta, jak ono wygląda.

– Ja pamiętam – oznajmiła z mocą. – I zamierzam się nim cieszyć.

Amos przyjrzał się jej uważniej. Miała teraz czterdzieści dwa lata, jeśli dobrze policzył, i wciąż była szczupła i atrakcyjna. Podkochiwał się w niej przez wiele lat, ale teraz mógł ją ocenić naprawdę obiektywnie. Wciąż podobała mu się jej radość życia, która czyniła z niej tak ponętą kobietę, ale dostrzegał jej wyrachowane spojrzenia i samolubne grymasy, gdy próbowała manipulować ludźmi.

– Jak się miewa hrabia? – spytał. – Ma szczęście, że przeżył i doszedł do siebie po tak poważnej ranie.

– Zobaczysz – odparła. – Przyjdzie tu za parę minut. – Wzmianka o ranie męża przypomniała jej o innej ofierze wojny. – Biedna Elsie Mackintosh... została sama z pięciorgiem dzieci.

– Przykro mi, że Mackintosh zginął. Służąc jako kapelan wojskowy, stał się naprawdę dzielny człowiekiem.

– Jasne, ale, hm... teraz możesz się ożenić z Elsie.

Amos uniósł brwi.

– Dlaczego uważasz, że poślubiłbym Elsie Mackintosh? – spytał zirytowany.

– Pamiętam, jak tańczyłaś z nią na balu u księżnej Richmondu. Nigdy nie widziałam cię równie szczęśliwego.

– Doprawdy... – mruknął Amos z jeszcze większą irytacją, bo Jane miała rację. Cudownie się wtedy bawił. – To nie znaczy, że chcę się z nią ożenić.

– Nie, oczywiście, że nie. – Zbyła to machnięciem ręki. – Tak sobie tylko pomyślałam.

Gdy kamerdyner przyniósł tacę z herbatą, Jane zrobiła miejsce na sofie i dwóch fotelach. Amos rozmyślał o tym, co przed chwilą powiedziała. Był szczęśliwy, gdy trzymał Elsie w ramionach, to prawda, ale to nie oznaczało, że ją kocha. Lubił ją. Podziwiał za odwagę, z jaką stawiała czoło wszystkim, którzy próbowali odwieść ją od karmienia dzieci strajkujących robotników. Nigdy się przy niej nie nudził. To wszystko było prawdą. Ale miłość?

Wracając myślami do balu, przypomniał sobie, jaką radość sprawiał mu taniec z Elsie, dotyk jej ciała, ciepło przenikające przez jej suknię. Uświadomił sobie, że chciałby to powtórzyć. Ale wspólny taniec to nie małżeństwo.

– Zabierz ubrania, które już przejrzałam, i puste kufry, a potem wróc za pół godziny, zajmiemy się resztą – nakazała pokojówce Jane. Usiadła i rozlała herbatę do filiżanek.

Pojawił się hrabia w mundurze. Wciąż miał obandażowaną głowę i szedł dość niepewnym krokiem.

Amos wstał, by uścisnąć mu dłoń, a potem przyglądał się uważnie, gdy hrabia usiadł i przyjął filiżankę herbaty od żony.

– Jak się pan czuje, panie hrabio? – spytał.

– Nigdy nie czułem się lepiej! – odparł Henry. Zrobił to jednak zbyt szybko i stanowczo, jakby chciał zaprzeczyć wszelkim podejrzeniom, że może być inaczej.

– Gratuluję udziału w największej bitwie wszech czasów. Słyszałem, że walnie przyczynił się pan do zwycięstwa.

– Wellington był po prostu zdumiewający. Kapitalny.

– O ile mi wiadomo, walka była bardzo zacięta i wyrównana.

Henry pokręcił głową.

– Może chwilami, ale ja ani przez moment nie miałem wątpliwości co do ostatecznego zwycięstwa.

– Podobno Blücher przybył w ostatniej chwili – powiedział Amos, który słyszał co innego.

– Blücher? – powtórzył to nazwisko Henry, wyraźnie skonsternowany. – Kto to taki?

– Dowódca pruskiej armii w Niderlandach.

– Och! Tak, tak, oczywiście, Blücher. Ale to Wellington wygrał tę bitwę.

Amos nie wiedział, co ma o tym myśleć. Henry przez całe życie interesował się właściwie tylko wojną i wszystkim, co z nią związane, więc musiał mieć na ten temat ogromną wiedzę. Podczas tej rozmowy uciekał się jednak do komunałów, niczym ignorant popijający piwo w gospodzie. Amos postanowił zmienić temat.

– Jeśli o mnie chodzi, to cieszę się, że wróciłem do Anglii i Kingsbridge. Jak się miewa Hal?

– W przyszłym roku zaczniesz naukę w tutejszym gimnazjum – odparł Henry.

– Nie rozumiem, dlaczego nie może po prostu mieć guwernera jak ty, Henry, kiedy byłeś chłopcem. – Niezadowolona Jane skrzywiła się.

Mąż wyraźnie się z nią nie zgadzał.

– Chłopiec powinien spędzać czas z innymi chłopcami, uczyć się, jak żyć w zgodzie z różnymi ludźmi, podobnie jak w wojsku. Nie chcemy wychować go na oficera, który nie wie, jak rozmawiać ze swoimi żołnierzami.

Amos nie mógł przez chwilę zrozumieć, skąd założenie, że Hal – jego syn – zostanie żołnierzem. Potem przypomniał sobie, że pewnego dnia chłopiec przejmie wszystkie obowiązki hrabiego, co oznaczało, że będzie dowódcą Sto Siódmego Pułku Piechoty z Kingsbridge.

– Oczywiście zrobimy to, co uważasz za stosowne, Henry. – Jane westchnęła.

Amos był pewien, że wcale tak nie myślała i że wcześniej czy później powrócą do tego tematu.

Do salonu wszedł Hal. Miał już dziesięć lat, więc wkrótce powinien rozpocząć naukę w szkole.

Henry zerknął na chłopca, zmarszczył czoło i odwrócił wzrok, jakby go nie rozpoznał.

– Hal przyszedł napić się z nami herbaty, Henry – powiedziała Jane radosnym tonem. – Nasz syn rośnie zadziwiająco szybko, prawda?

Hrabia wyglądał na zaskoczonego.

– A, tak – rzucił w końcu. – Wejdz, chłopcze, poczęstuj się ciastem.

Wszystko to wydawało się co najmniej dziwne. Amos miał wrażenie, że Henry nie wiedział, kim jest Hal, dopóki Jane tego nie wyjaśniła. Nie kojarzył też Blüchera, jednego z trzech najważniejszych uczestników bitwy pod Waterloo, obok Wellingtona i Bonapartego. Być może odłamek armaty, który uderzył go w głowę, wyrządził większe szkody, niż się wydawało. Hrabia zachowywał się jak człowiek, który ma uszkodzony mózg.

Hal zjadł trzy kawałki ciasta – jak w Brukseli – wypił herbatę i wyszedł. Hrabia również wkrótce ich opuścił. Amos spojrzał na Jane.

– Więc teraz już wiesz – powiedziała.

Skinął głową.

– Jak to wygląda naprawdę? – spytał.

– Jest innym człowiekiem. Zwykle daje sobie radę całkiem nieźle. – Zniżyła głos do półszepotu. – A potem palnie coś takiego, że wiesz, że on nie ma pojęcia, co się dzieje.

– To bardzo smutne.

– Nie jest w stanie dowodzić pułkiem, zostawia więc wszystkie decyzje Joemu Hornbeamowi, który teoretycznie jest jego adiutantem, ale ma już stopień majora.

Amos nie przejmował się szczególnie stanem zdrowia Henry’ego, ale martwił się o syna.

– Czy Hal rozumie, że hrabia jest...?

– Niespełna rozumu? Niezupełnie.

– Co mu powiedziałaś?

– Że ojciec nadal jest trochę oszołomiony z powodu rany, ale z pewnością wkrótce poczuje się lepiej. Moim zdaniem Henry nigdy nie wróci do siebie, ale lepiej, żeby Hal uświadamiał to sobie stopniowo.

– Bardzo przykro mi to słyszeć... ze względu na hrabiego... i ciebie, ale przede wszystkim ze względu na Hala.

– Hm... mógłbyś nam trochę pomóc.

Amos zrozumiał, że właśnie dlatego został zaproszony na herbatę.

– Bardzo chętnie – odpowiedział.

– Chciałabym, żebyś został kimś w rodzaju mentora dla Hala.

Miał ochotę skakać z radości. Właśnie nadarzał się pretekst, by spędzać więcej czasu z Halem.

– Nic oficjalnego – dodała Jane. – Po prostu porozmawiaj z nim czasami o życiu. O szkole, interesach, dziewczynach...

– Wiesz, że w tej ostatniej kwestii mam bardzo małe doświadczenie.

Uśmiechnęła się zalotnie.

– Może nie miałeś zbyt wielu lekcji, ale za to doskonałą nauczycielkę.

Zaczerwienił się.

– Daj spokój – rzucił.

– Chodzi mi o to, żebyś nauczył go, jak rozmawiać z dziewczętami, jak je traktować, o czym przy nich nie żartować. Kobiety cię lubią, Amos, właśnie za to, jak je traktujesz.

Uniósł brwi zaskoczony. Dotąd nie miał o tym pojęcia.

– To ty powinnaś mu doradzać, nie ja – powiedział.

– Nie zechce mnie słuchać, jestem jego matką. Zbliża się do wieku, w którym dzieci uważają, że rodzice są głupi, starzy i niczego nie rozumieją.

Amos przypomniał sobie, że właśnie tak myślał o swoim ojcu.

– Oczywiście, że to zrobię. Z największą radością.

– Dziękuję. Mógłbyś pozwolić mu spędzić cały dzień w jednym ze swoich zakładów, możesz zabrać go na spotkanie rady miejskiej i tak dalej... sam będziesz wiedział. Pewnego dnia zostanie hrabią, więc powinien mieć pojęcie o tym, co dzieje się w jego hrabstwie.

– Nie jestem pewien, czy sprawdzę się w tej roli, ale spróbuję.

– Tylko o to cię proszę. – Wstała, podeszła do niego i pocałowała go ciepło w usta. – Dziękuję.

*

Radny Hornbeam wyszedł z zakładu w południe i ruszył w stronę centrum miasta. Miał sześćdziesiąt dwa lata i nie poruszał się już tak żwawo jak kiedyś. Lekarz kazał mu palić mniej cygar i pić mniej wina, ale jaki sens miałyby życie bez takich przyjemności?

Minął długie szeregi domów, w których mieszkali jego robotnicy. Był pewien, że po zakończeniu wojny znów zacznie się ruch w interesie, co oznaczało, że trzeba będzie wybudować nowe domy dla kolejnych robotników.

Przeszedł przez pierwszy most i minął szpital na Wyspie Trędowatych. Na drugim brzegu rzeki rozpoczął mozolną wspinaczkę Main Street, najbardziej męczącą część tego codziennego spaceru.

Dotarł w końcu na rynek i zostawiwszy za sobą katedrę, wszedł do kawiarni przy High Street, gdzie umówił się na obiad z synem. Usiadł i odetchnął z ulgą. Czuł lekki ból w piersiach, wiedział jednak, że za parę minut minie. Rozejrzał się po sali, pozdrowił skinieniem głowy kilku znajomych, po czym złożył z Howardem zamówienie.

Tak jak przypuszczał, ból wkrótce minął, zjadł więc ze smakiem obiad, a potem zapalił cygaro.

– Niedługo będziemy musieli zbudować następną ulicę albo i dwie – powiedział. – Spodziewam się powojennego boomu.

– Mam nadzieję, że masz rację – odparł Howard. – Mamy za rzeką kilka akrów ziemi i w każdej chwili możemy wybudować domy.

Ojciec skinął głową.

– Chciałbym wciągnąć do interesu twojego syna – oznajmił.

– Joe wciąż jest w armii.

– To nie potrwa długo. Wojna się skończyła, więc chłopak pewnie wkrótce znudzi się wojskiem.

– Ma dopiero osiemnaście lat.

– Szybko dorasta. A ja nie będę żył wiecznie. Wcześniej czy później ktoś będzie musiał przejąć interes.

Howard wydawał się urażony.

– Więc to nie będę ja – powiedział.

Starszy Hornbeam westchnął z irytacją.

– Daj spokój – rzucił. – Chyba nie muszę ci tego tłumaczyć. Radzisz sobie dobrze z zarządzaniem domami na wynajem, ale nie należysz do ludzi, którzy potrafiliby kierować wielką firmą. W głębi duszy nawet tego nie chcesz. Znienawidziłbyś to.

– Moja siostra mogłaby się tym zająć.

– Nie bądź śmieszny. Deborah jest bystra, ale robotnicy nie będą chcieli słuchać kobiety. Ale mogłaby doradzać bratankowi, a Joe chętnie będzie jej słuchał, jeśli

ma choć trochę rozumu. A wiem, że ma.

– Widzę, że już podjąłeś decyzję.

– Owszem.

Ojciec włożył cygaro między zęby i wstał, syn również podniósł się z krzesła. Wyszli razem, ale Howard ruszył w stronę domu – nadal mieszkał z rodzicami – a ojciec skręcił w Main Street, wciąż paląc cygaro, zadowolony, że tym razem idzie w dół.

Na rynku, w pobliżu Domu Willarda, zobaczył Joego i jak zawsze ucieszył się na jego widok. Chłopiec był wysoki, barczysty i wyglądał bardzo przystojnie w mundurze, który uszył krawiec jego dziadka po powrocie Joego z Brukseli. Hornbeam musiał jednak przyznać, że wnuk nie wygląda już młodo. Właściwie nie było w nim nic chłopięcego.

Wiedział, że zmieniła go wojna. Sprawiała, że w ciągu kilku miesięcy stał się mężczyzną. Hornbeam chętnie porównywał to do własnych doświadczeń z czasów, gdy jako dwunastolatek został sierotą, musiał sam zdobywać jedzenie i szukać ciepłego schronienia na noc. Człowiek robi w takich sytuacjach to, co musi, przez co zmienia się jego spojrzenie na świat. Przypomniawszy sobie, jak pewnego zimowego wieczoru zadźgał nożem pijanego mężczyznę, by zabrać mu sakiewkę, a potem smacznie spał, zadowolony z siebie.

Zauważył, że Joe nie jest sam. Towarzyszyła mu dziewczyna mniej więcej w jego wieku, obejmowała ją w talii i opierał dłoń na jej biodrze w geście, który wskazywał, że nie tylko dobrze ją zna, ale wręcz uważa ją za swoją własność. Była to dobrze ubrana robotnica o ładnej twarzy i zalotnym uśmiechu. Każdy, kto na nich spojrzeł, wiedział, że są parą.

Hornbeam był przerażony. Ta dziewczyna nie zasługiwała na jego wnuka, w żadnym wypadku. Chciał pójść dalej, było już jednak za późno, by udawać, że ich nie zobaczył. Musiał coś powiedzieć. Nie miał pojęcia, jak zareagować na to okropne spotkanie, więc rzucił tylko:

– Joe!

Wnuk wcale nie wyglądał na zakłopotanego.

– Dzień dobry, dziadku – powiedział. – To moja przyjaciółka, Margery Reeve.

– Miło mi pana poznać, panie radny – przywitała go dziewczyna. Hornbeam nie podał jej ręki, ale chyba nie potraktowała tego jako afront. – Proszę mówić do mnie Margie, jak wszyscy.

Nie miał zamiaru zwracać się do niej w jakikolwiek sposób.

– Kiedyś pracowałam u pana w Świńskim Zakładzie. – Nie zważała na jego lodowate milczenie. – Ale teraz jestem sprzedawczynią – dodała z dumą. Najwyraźniej uważała to za awans społeczny.

Joe wyczuł dezaprobatę dziadka, która z pewnością nie była dla niego zaskoczeniem.

– Mój dziadek jest bardzo zajęty – zwrócił się do dziewczyny. – Nie powinniśmy go zatrzymywać.

– Porozmawiamy później, Joe – rzucił Hornbeam i poszedł dalej.

Sprzedawczyni... To tłumaczyło, skąd ma takie dobre ubrania – dostała je od pracodawcy. Ale wcześniej była robotnicą w zakładzie włókienniczym, miała brudne paznokcie i nędzne szmaty na grzbiecie. Joe nie powinien zalecać się do takiej dziewczyny! Owszem, była ładniutka, ale to zdecydowanie za mało.

Hornbeam wrócił do zakładu, nie mógł jednak się skupić; myślał o dziewczynie wnuka. Taki romans mógł zrujnować chłopakowi życie. Musiał go bronić.

Spytał zarządcę Świńskiego Zakładu, czy zna rodzinę Reeve'ów.

Ten pokiwał głową.

– O tak. Młoda Margie pracowała tu do czasu, aż znalazła lepszą robotę, a jej rodzice pracują w naszym Starym Zakładzie. Matka obsługuje przedzarkę, a ojciec pilśniarkę.

Wracając wieczorem do domu, Hornbeam myślał jedynie o tym. Gdy tylko wszedł do holu, spytał melancholijnego lokaja:

– Czy panicz Joe jest w domu, Simpson?

– Tak, jest, panie radny – odparł lokaj takim tonem, jakby była to jakaś niewyobrażalna tragedia.

– Poproś go, żeby przyszedł do mojego gabinetu. Chcę z nim porozmawiać przed kolacją.

– Oczywiście, proszę pana.

Czekając na wnuka, Hornbeam znów przez chwilę zmagął się z bólem w piersiach, nie bardzo ostrym, ale dojmującym. Zastanawiał się, czy to nie ze zmartwienia.

Joe wszedł do gabinetu.

– Przepraszam, że nie przedstawiłem ci Margie wcześniej, dziadku – powiedział od razu. – Chciałem to zrobić, ale jakoś nie było okazji.

Hornbeam przeszedł od razu do rzeczy.

– Wiesz, że nic z tego nie będzie – rzucił stanowczym tonem. – Nie chcę, by widziano, jak spacerujesz z dziewczyną tego rodzaju.

Wnuk spojrzał na niego ze zdumieniem, unosząc brwi.

– Tego rodzaju? Co masz na myśli?

Doskonale wiedział, o co chodzi dziadkowi, skoro jednak chciał, by powiedziano mu to wprost, Hornbeam nie zamierzał się powstrzymać.

– Mam na myśli to, że jest dziewczyną z nizin społecznych, wartą niewiele więcej niż robotnica z mojego zakładu, a ty powinieneś mierzyć znacznie wyżej.

– Jest bardzo bystra, potrafi doskonale czytać i pisać i ma dobre serce. A ja lubię jej towarzystwo.

– Ale jest zwykłą robotnicą. Podobnie jak jej rodzice, którzy pracują w moim Starym Zakładzie.

– W wojsku poznałem wielu ludzi z klasy robotniczej i przekonałem się, że właściwie nic nas od nich nie różni – odpowiedział spokojnie i racjonalnie Joe, jakby przemyślał wcześniej tę rozmowę. – Niektórzy są nieuczciwi i nieodpowiedzialni, a inni to najwierniejsi przyjaciele, jakich można sobie

wyobrazić. Nie będę się do kogoś uprzedzał tylko dlatego, że jest robotnikiem. Albo robotnicą.

– Dobrze wiesz, że nie o to mi chodzi. Nie udawaj głupszego, niż jesteś, chłopcze. – Hornbeam natychmiast pożałował tego „chłopcze”.

Joe nie wydawał się jednak urażony. Być może nauczył się już, że nie warto spierać się o słowa. Milczał przez chwilę, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Chyba nie opowiedziałem ci jeszcze do końca – odezwał się – jak omal nie zginąłem pod Waterloo.

– Owszem, opowiedziałeś. Mówiłeś, że ktoś przyjął na siebie uderzenie przeznaczone dla ciebie.

– To tylko część prawdy. Opowiem ci o wszystkim, jeśli masz czas.

Hornbeam nie chciał tego słyszeć. Sama myśl, że jego jedyny wnuk omal nie zginął, była zbyt bolesna. Nie mógł jednak odmówić.

– Dobrze – odparł.

– To było już pod wieczór, w ostatniej fazie bitwy. Nasz Sto Siódmy Pułk Piechoty zajmował pozycję na zachodnim krańcu linii walk i czekaliśmy na rozkazy. Major Denison zginął, a ja byłem najstarszy stopniem, więc przejąłem dowodzenie.

Hornbeam pomyślał, że właśnie takiej postawy oczekiwałby od kogoś, kto pewnego dnia przejmie jego firmę.

– Bonaparte wysłał do boju Gwardię Cesarską, swoich najlepszych żołnierzy. Pewnie uważał, że dobiją naszą armię. Dałem rozkaz do ataku i zaatakowaliśmy gwardzistów z flanki, celując w ich najsłabszy punkt. W trakcie walki postrzelono mojego konia i upadłem na plecy. Kiedy podniosłem wzrok, zobaczyłem francuskiego gwardzistę, który zamierzał się do uderzenia szablą. Byłem pewien, że to już koniec.

Boże, broń, przemknęło przez głowę Hornbeama. Nawet nie chciał sobie tego wyobrazić. Musiał jednak pozwolić, by wnuk mówił dalej.

– Jeden z moich ludzi doskoczył do tego Francuza i zaatakował go bagnetem. Ten zdążył się jednak odwrócić i rozplątał mu szablą szyję. Żołnierz z mojego pułku, zanim padł, wbił gwardziście bagnet w brzuch i go wypatroszył. A ja wstałem i dołączyłem do walki.

– Bogu dzięki.

– Ten człowiek oddał życie, żeby mnie ocalić.

– Kto to był? Chyba jeszcze mi nie mówiłeś.

– Zdaje się, że go znałeś – odparł Joe. – Nazywał się Jarge Box.

Jego dziadek na chwilę oniemiał ze zdumienia.

– Czy go znałem? – wykrztusił po chwili. – Oczywiście, że go znałem. Jego żonę też.

– Sal. Też była pod Waterloo. Towarzyszyła mężowi. Dobra kobieta. Równie pożyteczna jak mężczyzna.

Hornbeam daremnie szukał słów, które mogłyby wyrazić jego uczucia.

– Przez lata byli najgorszymi wicherzycielami w Kingsbridge!

– A jednak Jarge Box uratował mi życie.

Oszołomiony Hornbeam nie wiedział, co o tym myśleć. Jak miał być wdzięczny człowiekowi, który przez dziesięciolecia był jego wrogiem? Ale też nie mógł nienawidzić kogoś, kto uratował życie jego wnukowi.

– Mam więc nadzieję, że już rozumiesz, dlaczego nawet nie chcę słyszeć, że Margie Reeve jest dziewczyną, która na mnie nie zasługuje – powiedział. – Mam tylko nadzieję, że ja zasługuję na nią.

Hornbeam milczał.

Po chwili jego wnuk wstał.

– Pójdę sprawdzić, czy kolacja jest już gotowa – oznajmił.

– Dobrze.

Kit wciąż nie lubił koni. Wiedział, że nigdy nie będzie czerpał przyjemności z kontaktu z tymi zwierzętami, nie będzie podziwiał ich siły i piękna, nie będzie z radością dosiadał ognistych rumaków. Ale jeździł konno równie sprawnie i instynktownie, jak chodził.

Pojechał z Rogerem do Badfordu. Nie był tam od czasu, gdy wyprowadzili się stamtąd z matką przed dwudziestu dwu laty. Przypuszczał, że wioska będzie wyglądała inaczej, niż ją zapamiętał. Czy widok miejsca narodzin obudzi w nim jakieś ciepłe uczucia? A może raczej znienawidzi je za to, że wyrzucono stamtąd jego matkę?

– Co teraz myślisz o Badfordzie? – spytał Rogera, który bywał we dworze wiele razy na przestrzeni lat.

– Nuda i zaścianek – odparł bez namysłu Roger. – Mieszkańcy to niewykształceni prymitywni rolnicy. Mój brat Will fatalnie nimi zarządza, ale są zbyt głupi, żeby to zrozumieć. Nienawidzę tego miejsca, odkąd wyjechałem stamtąd do Oksfordu i uświadomiłem sobie, że istnieje lepszy świat.

– Więc może jednak nie powinniśmy tam wracać.

– Musimy.

Otwierali na nowo firmę, którą prowadzili przed laty. Zrezygnowali z wynajmu domu w Kingsbridge, gdy wstąpili do wojska, a Sal i Jarge przewieźli wszystkie ich narzędzia do starego warsztatu w Badfordzie. Kit i Roger zamierzali w nim pracować i mieszkać we dworze, gdzie nie musieli płacić za wynajem.

Kit trochę się denerwował, bo pamiętał dobrze, że Will nienawidził jego i Sal. Bał się, że to się nie zmieniło, choć Roger uspokajał go, że nie ma powodu do obaw.

Ich największy problem polegał na tym, że mieli bardzo mało pieniędzy. Niektórzy wracali z wojny z kieszeniami pełnymi monet, zazwyczaj odebranych zabitym żołnierzom. Kit nigdy nie był w tym dobry. Roger radził sobie wprawdzie lepiej, ale i tak potem przegrywał wszystko w karty. Wciąż miał długi, które zmusiły go do ucieczki. Na szczęście wierzyciele woleli teraz nie nękać człowieka,

który walczył pod Waterloo. Tak czy inaczej, brakowało im pieniędzy na kupno materiałów.

Uratował ich Amos. Zamówił następne krosno Jacquarda i wpłacił połowę należności z góry. Kit był mu bardzo wdzięczny, ale Amos nie chciał słuchać podziękowań.

– Kiedy ja znalazłem się pod ścianą, ludzie mi pomogli – powiedział. – Teraz robię to samo co oni.

Mogli więc kupić drewno i żelazo, gwoździe i klej, ale musieli liczyć się z każdym groszem.

Kiedy wjechali do wioski, Kit od razu wypatrzył dom, w którym mieszkał. Wyglądał tak samo, choć teraz wydawał się mniejszy. Ten widok obudził w nim ciepłe uczucia; zdał sobie sprawę, że kiedyś był tu szczęśliwy, dopóki nie umarł ojciec, bo potem wszystko zaczęło się psuć.

Gdy przyglądał się domowi, wyszedł z niego mały chłopiec z drewnianą miską wypełnioną ziarnem i zaczął je rzucać kilku chudym kurom. Ptaki podbiegły do niego i z zapalem dziobały. Chłopiec patrzył na nie z uśmiechem. To mógłbym być ja, przemknęło Kitowi przez głowę i próbował sobie przypomnieć, co czuł jako małe dziecko, które nie miało żadnych zmartwień i trosk; nie był jednak w stanie. Uśmiechnął się i pokręcił głową. Do niektórych rzeczy nie da się wrócić.

Minęli kościół. Mój ojciec tu leży, pomyślał Kit. Miał ochotę zajrzeć na cmentarz, ale rozmyślił się. Grób ojca został oznaczony jedynie drewnianym krzyżem, który z pewnością dawno już przegnił, więc Kit nie byłby w stanie odszukać tego miejsca. Obiecał sobie, że w niedzielę spędzi na cmentarzu kilka minut i powspomina ojca.

Kiedy dotarli do dworu, był zszokowany kiepskim stanem siedziby rodu Riddicków. Drzwi frontowe obłaziły z farby, rozbite okno zabito deską. Podjechali pod stajnię, ale nikt nie wyszedł rozsiodłać koni, więc zrobili to sami.

Weszli do dworu frontowymi drzwiami. W holu leżało kilka dużych psów; rozpoznały Rogera i przywitały go, machając ogonami. W powietrzu unosił się

zapach stęchlizny. Żadna kobieta nie zniosłaby takiego brudu i bałaganu, ale Will był w separacji z żoną, a średni brat, George, zmarł w samotności.

Roger powiedział wcześniej Kitowi, że Will wydał wszystko, co miał, i to, co udało mu się pożyczyć. Teraz zastali go w salonie; grał w karty z człowiekiem, w którym Kit rozpoznał Plattsa, kamerdynera. Will miał włosy do ramion, a Platts miał na sobie tylko rozchełstaną koszulę i spodnie. Na stole stały pusta butelka po porto i dwie brudne szklanki, też puste. Tu również śmierdziało stęchlizną i psami.

Kit przypomniał sobie, jak przed laty wyglądał Will: był dużym, silnym młodzieńcem, aroganckim, dobrze ubranym, z kieszeniami pełnymi pieniędzy i sercem pełnym dumy.

Will podniósł wzrok na brata.

– Roger! Co ty tu robisz?

Jak można tak witać swojego brata? – pomyślał Kit.

– Wiedziałem, że zechcesz mi pogratulować współudziału w zwycięstwie pod Waterloo – odparł sarkastycznie Roger.

Udział Willa w wojnie ograniczał się jedynie do zarabiania na niej pieniędzy, dopóki nie przydzielono mu innej funkcji.

– Mam nadzieję, że nie zamierzasz zostać tu zbyt długo – powiedział Will bez uśmiechu, po czym spojrzał na Kita: – A co tu robi ten konus?

– Kit i ja prowadzimy razem interesy. Będziemy korzystać z mojego warsztatu.

– Powiedz mu tylko, żeby nie wchodził mi w drogę.

– Radziłbym raczej, żebyś ty nie wchodził mu w drogę. Nie jest już tym małym chłopcem, którego kiedyś dręczyłeś. Był na wojnie i nauczył się zabijać ludzi. Jeśli go rozzłościś, poderżnie ci gardło szybciej, niż zdołasz powiedzieć „nóż”.

Była to przesada, ale Will wydawał się zaniepokojony. Spojrzał na Kita, a potem odwrócił wzrok, jakby się wystraszył.

Kit już się go nie bał. Przerażała go jednak myśl o mieszkaniu w tym zapuszczonym domu należącym do pijaka. Ale w końcu doszedł do wniosku, że

podczas wojny sypiał przecież w gorszych miejscach. To na pewno będzie lepsze niż przemoczony koc na błotnistym polu.

– Pójdziemy się rozejrzeć na górze – powiedział Roger. – Mam nadzieję, że pilnowaliście tam porządku, kiedy ja broniłem was przed Bonapartem.

– Brakuje nam ludzi – jęknął Platts, odzywając się po raz pierwszy. – Nie mamy służących, bo za dużo mężczyzn pojechało na wojnę. Co mamy z tym zrobić?

– Mógłbyś sam zabrać się do sprzątnięcia, bezużyteczny próżniaku. Chodź, Kit, zobaczymy, jak wygląda teraz mój pokój.

Roger wyszedł. Kit ruszył za nim i kiedy znaleźli się na piętrze, przypomniał sobie, jak wielki wydawał mu się korytarz, gdy był dzieckiem. Roger otworzył drzwi swojego pokoju i obaj weszli do środka. Pomieszczenie było prawie puste. Stało w nim łóżko, ale bez materaca, nie wspominając już o poduszkach czy pościeli.

Wysunąwszy szuflady komody, Roger stwierdził, że wszystkie są puste.

– Zostawiłem tu ubrania – powiedział. – I srebrną szczotkę do włosów, lusterko i buty.

Do pokoju weszła służąca, chuda kobieta po trzydziestce, z ciemnymi włosami i brzydką cerą. Miała na sobie prostą suknię; przy pasie nosiła gruby pęk kluczy. Uśmiechnęła się ciepło do Kita, ale rozpoznał ją dopiero po chwili.

– Fan! – wykrzyknął i uściskał ją serdecznie. Odwrócił się do Rogera. – Fan opiekowała się mną, kiedy miałem pękniętą czaszkę. Zostaliśmy wtedy przyjaciółmi.

– Pamiętam to. – Roger skinął głową. – I za każdym razem, gdy widzę się z Fanny, pyta mnie, jak się miewasz.

Kit nie miał o tym pojęcia.

– Prawdę mówiąc, dziwię się, że jeszcze tu jesteś – zwrócił się do Fan.

– Jest tu teraz gospodynią – wyjaśnił Roger.

– Ale nadal pracuję za darmo – dodała Fanny.

– Dlaczego nie odeszłaś? – spytał Kit.

– Bo nie mam dokąd pójść. – Wzruszyła ramionami. – Jestem sierotą, jak wiesz. Nie mam innego miejsca.

– Ale dwór jest w opłakanym stanie.

– Większość służby odeszła. Zostaliśmy tylko ja i Platts, a on nic nie robi. Nie mamy pieniędzy na mydło, pastę do butów, smar do kominków... na nic.

Roger wskazał na puste szuflady.

– Co się stało z moim rzeczami?

– Przykro mi – odparła Fan. – Służący wszystko zabrali, kiedy pan Will przestał im płacić. Mówiłam, że to kradzież, ale powiedzieli, że pewnie i tak zginie pan na wojnie i nikt się nie dowie, że wzięli te rzeczy.

Kit był oburzony. Czuł się fatalnie w tym okropnym domu.

– Chodźmy obejrzyć warsztat – zaproponował.

– Wygląda całkiem przyzwoicie – powiedziała Fanny. – Jest zamknięty na zamek, a oprócz pana Rogera tylko ja mam do niego klucz. Troszczyłam się o warsztat, o wszystkie narzędzia.

– Nie wiem, co się stało z moim kluczem. – Roger zmarszczył czoło. – Nie mam go.

– Więc proszę wziąć mój. – Fanny zdjęła klucz z pęku i podała Rogerowi, a on podziękował jej z uśmiechem.

Kit i Roger wyszli z dworu i idąc przez wioskę, pokonali jakieś pół mili. Zajęło im to sporo czasu, bo Kit co chwila przystawał, by porozmawiać z ludźmi, których pamiętał. Brian Pikestaff, przywódca metodystów, wyraźnie przytył. Cyrulik Alec Pollock, który bandażował głowę Kita, w końcu dorobił się nowego płaszcza. Jimmy Mann wciąż nosił trikorn. Kit musiał opowiadać wszystkim o Waterloo.

W końcu dotarli do warsztatu. Właściwie była to solidna stajnia, którą Roger nieco przerobił, wstawiając większe okna, by lepiej oświetlić wnętrze. Kit od razu zwrócił uwagę na narzędzia rozwieszane starannie na hakach wzdłuż ściany. W kredensie stały ceramiczne i szklane naczynia, wszystkie czyste.

W przeciwnym końcu pomieszczenia znajdowało się wejście na strych, który można było bez trudu przerobić na sypialnię. Miłosne gniazdko, pomyślał Kit.

– Moglibyśmy tu zamieszkać, prawda? – spytał.

– Bardzo się cieszę, że to powiedziałeś.

*

Hornbeam nie mógł przestać myśleć o tym, że Jarge Box podczas bitwy pod Waterloo uratował Joego. Chciał o tym zapomnieć, lecz ta świadomość nie opuszczała go ani na chwilę. Roztrząsał to, gdy siedział w biurze w Świńskim Zakładzie i wpatrywał się w listy od klientów, nie czytając ich. Nie mógł się pogodzić z myślą, że ma ogromny dług wdzięczności wobec jednego z tych bezwartościowych bydlaków, których zatrudniał. Po prostu nie potrafił w to uwierzyć, zupełnie jakby ktoś mu powiedział, że król Anglii tak naprawdę jest strusiem.

Co mogłoby mu przywrócić spokój ducha? Zapewne wróciłby do równowagi, gdyby przyznał Boxowi jakąś nagrodę, ale ten nie żył. Pomyślał jednak, że mógłby się jakoś odwdzięczyć wdowie. Tylko jak? Dać jej pieniądze? Znał Sal Box na tyle dobrze, by podejrzewać, że nie przyjęłaby ich i jeszcze bardziej go upokorzyła.

Postanowił pozostawić załatwienie tej sprawy wnukowi i jak zawsze, gdy podjął już decyzję, chciał ją szybko wcielić w życie. Przed południem wyszedł więc z zakładu i udał się do Domu Willarda.

Wprowadzono go do pokoju od frontu, z widokiem na katedrę. Z tego, co wiedział, wciąż był to gabinet hrabiego, ale go tu nie zastał. Na haczyku przy drzwiach wisiała czerwona kurtka Joego, a on siedział przy wielkim biurku. Na blacie leżała sterta dokumentów, obok stały kałamarz oraz naczynie wypełnione zaostrzonymi piórami.

Hornbeam usiadł i dał się poczęstować wnukowi filiżanką kawy. Joe wiedział, że dziadek lubi mocną ze śmietanką.

– Jestem z ciebie dumny – powiedział Hornbeam. – Jesteś majorem, choć masz dopiero osiemnaście lat.

– Wojsko wierzy, że mam dwadzieścia dwa lata – odparł Joe.

– Albo udaje, że wierzy.

– Jestem tylko tymczasowo dowódcą pułku. Podobno już jedzie do Kingsbridge podpułkownik, który ma przejąć dowodzenie.

– To dobrze. Nie chcę, żebyś spędził całe życie w wojsku.

– Nie mam jeszcze planów dotyczących reszty mojego życia, dziadku.

– Ale ja mam. – Hornbeam nie zamierzał o tym dzisiaj rozmawiać, ale trudno było mu przejść do sedna. Dług wdzięczności wobec Jarge’a Boxa był dla niego czymś upokarzającym. – Chcę, żebyś odszedł z wojska i zaczął pracować w rodzinnej firmie – dodał, wciąż unikając głównego tematu.

– Dziękuję. To z pewnością ciekawa perspektywa.

– Nie wygłupiaj się, to najlepsza perspektywa. Co innego miałbyś robić? Nawet nie odpowiadaj, nie chcę tego słyszeć. Mam trzy zakłady włókiennicze i kilkaset domów na wynajem, i to wszystko należy do ciebie, mojego jedyne wnuka.

– Dziękuję, dziadku. Czuję się naprawdę zaszczycony.

Hornbeam zrozumiał, że to uprzejma odpowiedź, ale niekoniecznie zgoda. Na razie jednak musiał się tym zadowolić. Wiedział, że nie jest to najlepszy moment na spory. Kłótnia mogła jedynie popchnąć Joego w niewłaściwym kierunku. Chłopak nie należał do ludzi, których łatwo zastraszyć: pod tym względem przypominał bardziej dziadka niż ojca.

– Chciałbym, żebyś poważnie się nad tym zastanowił – dodał Hornbeam, wstając. – Jesteś bardzo zdolny, ale musisz się jeszcze sporo nauczyć. Im wcześniej zaczniesz, tym więcej będziesz umiał, kiedy ja przestanę już zarządzać firmą. – Wciąż nie wspomniał o tym, z czym tu przyszedł. To do niego zupełnie niepodobne, pomyślał.

– Obiecuję, że poważnie się nad tym zastanowię – zapewnił go Joe.

Hornbeam podszedł do drzwi i udając, że właśnie coś sobie przypominał, zatrzymał się.

– Och, chciałbym też, żebyś odwiedził wdowę po Jarge’u Boxie – powiedział. – Pewnie powinienem jej jakoś wynagrodzić stratę męża. Dowiedz się, czego by chciała.

– Zrobię, co w mojej mocy.

– Zawsze powinieneś robić to, co w twojej mocy – odparł Hornbeam i wyszedł.

*

Kenelm Mackintosh został pochowany na protestanckim cmentarzu przykościelnym w Brukseli. Elsie była jedną z setek kobiet, które po bitwie pod Waterloo szukały ciał najbliższych. Był to najgorszy dzień jej życia: musiała patrzeć na martwe twarze tysięcy mężczyzn, w większości młodych, którzy leżeli w błocie lub na zdeptanej pszenicy, straszliwie okaleczeni, z oczami wpatrzonymi ślepo w niebo. Smutek, który wtedy czuła, był nie do zniesienia. Większość z zabitych miała spocząć tam, gdzie leżała – oficerowie w pojedynczych grobach, zwykli żołnierze w zbiorowych. Kapłani byli jednak pod tym względem uprzywilejowani, mogła więc zabrać ciało Kenelma i urządzić mu normalny pogrzeb.

Dzieci były zrozpaczone. Tłumaczyła im, że powinny być dumne z ojca, bo ryzykował życie, by przynieść duchową ulgę żołnierzom. Przypominała im również, że teraz jest w niebie i że kiedyś go zobaczą. Sama nie do końca w to wierzyła, ale dzieci wydawały się pocieszone.

Przeżywała utratę męża bardziej, niż mogłaby przypuszczać. Nigdy nie kochała Kenelma, który skupiał się wyłącznie na sobie, dopóki nie zmieniła go służba w wojsku. Lecz spędzili razem wiele lat i doczekali się pięciorga cudownych dzieci, nic więc dziwnego, że jego śmierć zostawiła w jej życiu ogromną wyrwę. Płakała, gdy opuszczano trumnę do grobu.

Wróciła do Kingsbridge, mieszkała z matką i Spade'em, a w niedzielę prowadziła z Amosem szkółkę. Jej najstarszy syn Stephen jako wnuk biskupa został bez przeszkód przyjęty do Oksfordu i wyjechał, miała więc teraz pod opieką czworo dzieci. Poza tym wszystko wyglądało tak samo jak wcześniej, tyle że była wdową i nie czekała już na listy od Kenelma.

Nie sądziła, by kiedykolwiek ponownie wyszła za mąż. Wiele lat temu pragnęła poślubić Amosa, ale on chciał Jane i wciąż spędzał z nią dużo czasu. Wydawał się bardzo niezadowolony podczas wizyty majora Percivala Dwighta ze sztabu głównego w Londynie. Dwight, jak twierdził, przyjechał, by dokonać inspekcji Sto Siódmego Pułku Piechoty, ale znalazł czas, by wybrać się z Jane na wyścigi konne, do teatru i na przyjęcie w ratuszu, zastępując jej chorego męża. Amos mówił, że nie podoba mu się, jak Jane flirtuje za plecami Henry'ego, który nie wrócił jeszcze do zdrowia po obrażeniach odniesionych pod Waterloo. Wprawdzie Amos zawsze przyjmował taką postawę moralną, ale Elsie podejrzewała, że w grę wchodzi zazdrość.

Wciąż wracała myślami do cudownego tańca z Amosem na balu u księżnej Richmondu. Czuła, że ten walc był czymś w rodzaju symbolicznego cudzołóstwa: ekscytującym i bardzo fizycznym obcowaniem z mężczyzną, który nie był jej mężem. Być może Amos odbierał to podobnie. Ale nic z tego nie wynikało.

Pewnej październikowej niedzieli, gdy po zajęciach szkółki niedzielnej posprząтали salę, Amos spytał ją, co myśli o Kościele anglikańskim.

– To jedyna religia, jaką znam – odparła. – Wierzę w większość tego, co głosi, chętnie chodzę do kościoła, modlę się i śpiewam hymny, ale jestem przekonana, że duchowni wiedzą znacznie mniej, niż twierdzą. Mój ojciec był biskupem, ale nie wierzyłam nawet w połowę tego, co mówił.

– Dobry Boże. – Amos wydawał się zszokowany. – Nie miałem pojęcia, że jesteś taką agnostyczką.

– Mówię dzieciom, że ojciec czeka na nie w niebie. Ale przecież wiemy już zbyt dużo o planetach i gwiazdach, żeby wierzyć, że niebo jest tam, w górze.

A jeśli nie ma go tam, to gdzie jest?

Nie odpowiedział na to pytanie.

– Myślisz, że jeszcze kiedyś wyjdiesz za mąż? – spytał nagle.

– Nie zastanawiałam się nad tym – odparła, co nie było prawdą.

– A co myślisz o metodyzmie?

– Ty i Spade robicie mu doskonałą reklamę. Nie jesteście dogmatyczni, szanujecie opinie innych ludzi, nie chcecie prześladować katolików. Nie wiecie więcej niż anglikanie, ale w odróżnieniu od nich przyznajecie się do tej niewiedzy.

– Byłaś kiedyś na nabożeństwie metodystów?

– Tak się składa, że nie, ale może kiedyś się wybiorę, żeby zobaczyć, jak to wygląda. Dlaczego zadajesz mi takie pytania?

– Och, z czystej ciekawości.

Potem rozmawiali jeszcze o tym, że muszą zatrudnić nowego nauczyciela matematyki, ale Elsie wciąż wracała myślami do tego, co mówili o religii. Po powrocie do domu opowiedziała o tym matce.

– Nie wydaje ci się to trochę dziwne? – spytała na koniec.

Arabella parsknęła śmiechem.

– Dziwne? – powtórzyła. – Ani trochę. Zastanawiałam się, kiedy poruszy ten temat.

– Naprawdę? – Elsie nic nie rozumiała. – Dlaczego? Dlaczego zaczął o to pytać?

– Bo chce się z tobą ożenić.

– Och, mamoo... Nie bądź śmieszna.

*

Sal mieszkała u Patience Creighton, która wynajmowała pokoje lokatorom; wszyscy nazywali ją Pat. Kit proponował, by przeprowadziła się do niego i Rogera, ale odmówiła. Nie była przekonana, że naprawdę ją chcą. Dawno już się domyśliła, że są pod każdym względem właściwie jak małżeństwo – poza tym, że nie mają

ślubu – i uważała, że potrzebują prywatności. A potem przeprowadzili się do Badfordu.

Pat była miłą osobą i uczciwą gospodynią, ale Sal czuła się nieszczęśliwa i tęskniła za mężem. Nie pracowała. Zarobiła sporo pieniędzy w Niderlandach, głównie sprzedając żołnierzom rzeczy, których nie zapewniała im armia. Miała jeszcze dość oszczędności, by utrzymać się przez kilka ładnych miesięcy. Odnosiła jednak wrażenie, że jej życie jest pozbawione celu. Czasami zastanawiała się, czy w ogóle warto rano wstawać. Pat uważała, że to normalne w czasie żałoby; mówiła, że po śmierci męża czuła to samo. Sal jej wierzyła, ale ta świadomość wcale nie pomagała.

Była zdumiona, gdy pewnego dnia odwiedził ją Joe Hornbeam w nowym eleganckim mundurze.

– Dzień dobry, pani Box – powiedział. – Nie widziałem pani od czasu Waterloo.

Nie miała pojęcia, czy może mu ufać. Był dobrym oficerem, ale w jego żyłach płynęła nikczemna krew radnego Hornbeama. Postanowiła jednak nie uprzedzać się do niego.

– Co mogę dla pana zrobić, majorze? – spytała.

– Wie pani, że pani mąż uratował mi życie.

Sal skinęła głową.

– Kilka osób, które były w pobliżu, opowiadało mi o jego ostatnich chwilach.

– Zginął, ratując mi życie.

– Miał wielkie serce.

– Mimo to byliście wrogami mojego dziadka.

– To prawda.

– Dziadek nie może sobie poradzić ze świadomością, że ktoś, kto był jego wrogiem, uratował mi życie.

– Mam nadzieję, że nie przyszedł pan szukać u mnie współczucia.

Joe uśmiechnął się smutno i pokręcił głową.

– To bardziej skomplikowane.

– Może pan usiądzie – zaproponowała zaintrygowana Sal. Wskazała na jedyne krzesło w pokoju, a sama przysiadła na skraju łóżka.

– Dziękuję. Proszę posłuchać: mój dziadek prawdopodobnie nigdy się nie zmieni.

– Ludzie rzadko się zmieniają, zwłaszcza gdy są starzy.

– Pragnęłby jednak jakoś docenić heroiczną ofiarę pani męża. Jakoś podziękować, a ponieważ nie może już nic dać pani zmarłemu mężowi, chciałby dać coś pani.

Sal nie była pewna, czy chce przyjąć prezent od Hornbeama. Wolalaby, żeby nic nie przypominało jej o tym człowieku.

– Co ma na myśli? – spytała ostrożnie.

– Sam nie wie, więc poprosił, żebym panią spytał. Czy jest coś, czego pani potrzebuje albo chce, a on mógłby to pani dać?

Chcę tylko z powrotem mojego Jarge'a, pomyślała, wiedziała jednak, że nie ma sensu tego mówić.

– Co tylko zechcę? – spytała.

– Nie określił żadnych granic. Mam się dowiedzieć, czego by pani chciała. I bez względu na to, o co pani poprosi, zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby pani to dostała.

– To całkiem jak w bajce: ktoś pociera magiczną lampę i wyskakuje z niej dżin.

– W mundurze Sto Siódmego Pułku Piechoty.

Roześmiała się. Joe naprawdę nie był złym chłopcem. Ale czy powinna przyjąć prezent od jego dziadka? A jeśli tak, to o co powinna poprosić?

Zastanawiała się nad tym przez kilka minut, podczas gdy Joe cierpliwie czekał. Właściwie myślała już od jakiegoś czasu o pewnej sprawie; rozważała ten pomysł od kilku miesięcy. Wyobrażała sobie, jak mogłoby to wyglądać i jak powinna się do tego zabrać.

– Chcę mieć sklep – powiedziała w końcu.

– Chce pani otworzyć sklep? Czy przejąć jakiś?

– Otworzyć.

– Przy High Street?

– Nie. Nie chcę sprzedawać modnych sukien bogatym kobietom. Nie nadaję się do tego.

– A więc co?

– Chcę mieć sklep po drugiej stronie rzeki, w pobliżu zakładów włókienniczych, przy domach wybudowanych przez pańskiego ojca. Ich mieszkańcy ciągle narzekają, że muszą chodzić do sklepów w centrum miasta.

Joe skinął głową.

– Pamiętam, że w Niderlandach zawsze miała pani rzeczy, które chcieli kupować żołnierze: ołówki, tytoń, miętówki, igły i nici do cerowania ubrań.

– Prowadzenie sklepu polega właśnie na tym, żeby mieć rzeczy, których chcą ludzie, i wykładać je na półki.

– A skąd pani wie, czego potrzebują?

– Pytam ich.

– Logiczne. – Joe skinął głową. – Jak to zrobimy?

– Cóż, jeśli pański dziadek się zgodzi, da mi jeden z tych domów, na rogu. Na dole będzie sklep, a ja będę mieszkać na górze. Z czasem mogę wprowadzić jakieś zmiany, jeśli trochę się dorobię. Ale najpierw będę potrzebowała towaru, a na to mam wystarczająco dużo pieniędzy.

– Dobrze. Spytam go. Myślę, że się zgodzi.

– Dziękuję.

Uścisnął jej dłoń.

– Cieszę się, że panią znam, pani Box.

*

Przed Bożym Narodzeniem podczas antraktu w teatrze w Kingsbridge Jane zaprowadziła Amosa na bok.

– Bardzo mi się nie podoba, jak traktujesz Elsie – powiedziała poważnym tonem.

Amos był zdumiony.

– O czym ty mówisz, do diabła? Przecież nie traktuję jej źle.

– Wszyscy myślą, że chcesz się z nią ożenić, a ty jeszcze się jej nie oświadczyłeś!

– Dlaczego ludzie myślą, że chcę się z nią ożenić?

– Na miłość boską, Amos! Spotykasz się z nią niemal codziennie. Na balu u księżnej Richmondu tańczyłeś z nią przez cały wieczór. Żadne z was nie interesuje się nikim innym. Elsie ma czterdzieści trzy lata, jest atrakcyjna i samotna, a do tego ma pięcioro dzieci, które potrzebują ojczyzna. Oczywiście, że ludzie myślą, że chcesz się z nią ożenić. To jedyne sensowne rozwiązanie! Nie mogą tylko zrozumieć, dlaczego nadal jej się nie oświadczyłeś.

– To nie ich sprawa.

– Owszem, niektórzy uważają, że to ich sprawa. Przypuszczam, że kilku mężczyzn poprosiłoby ją o rękę, gdyby tylko wierzyło, że ma jakieś szanse. Ty im te szanse odbierasz. To nie w porządku! Musisz się z nią ożenić albo pozwolić, żeby zrobił to ktoś inny.

Woźny potrząsnął dzwonkiem i widzowie wrócili na swoje miejsca. Amos patrzył na scenę, ale był tak pochłonięty myślami, że nie widział, co się na niej dzieje. Czy Jane mówiła prawdę? Doszedł do wniosku, że tak. Nie wymyśliłaby czegoś podobnego – nie miała powodów, by to robić.

Musiał ograniczyć kontakty z Elsie i dać wszystkim do zrozumienia, że nie łączy ich romans. Lecz gdy o tym pomyślał, zrobiło mu się smutno. Perspektywa życia bez Elsie wydawała się przygnębiająca i ponura.

Poza tym od czasu balu u księżnej Richmondu jego uczucia się zmieniły. Zawsze wmawiał sobie, że chce być tylko przyjacielem Elsie, ale już mu to nie

wystarczało. Budziły się w nim emocje podobne do tych, których doświadczał, gdy obejmował ją w walcu i sycił się ciepłem i dotykiem jej delikatnego ciała. Czuł się jak wulkan, który na pozór jest uśpiony, lecz kryje w sobie wrzącą lawę. W głębi duszy chciał być kimś więcej niż tylko przyjacielem Elsie.

Nie miał co do tego wątpliwości. Kochał ją. Dlaczego potrzebował aż tyle czasu, żeby to sobie uświadomić? Bo nigdy nie byłem zbyt bystry w tych sprawach, odpowiedział na swoje pytanie.

Zaczął sobie wyobrażać, jak wyglądałoby ich życie, gdyby się pobrali. Pragnął tego tak bardzo, że mógłby ją poślubić już jutro.

Ale na przeszkodzie stał jeden problem. Amos był ojcem nieślubnego dziecka. Czy Elsie o tym wiedziała lub domyślała się? A jeśli tak, to co o tym sądziła? Jej brat Abe również był nieślubnym dzieckiem i zawsze go kochała. Była jednak córką biskupa. Czy zechce wyjść za cudzołożnika?

Nie wiedział. Ale mógł ją o to spytać.

*

Spade był zaskoczony, gdy odwiedził go Joe Hornbeam, ale też zaintrygowany. Chłopak dorobił się dobrej reputacji, służąc w Sto Siódmym Pułku Piechoty, co wszystkich zaskoczyło, bo wiedzieli, kim był jego dziadek.

Joe uścisnął mu dłoń.

– Cieszę się, że twój szwagier Freddie przeżył Waterloo – powiedział.

– Postanowił zostać w armii – oznajmił.

– Nie dziwię się. Jest dobrym sierżantem. Na pewno chętnie go zatrzymają.

Spade stał właśnie obok Sime'a Jacksona, który obsługiwał krosno Jacquarda. Joe z zaciekawieniem przyglądał się maszynie.

– Mój dziadek chyba nie ma czegoś takiego.

– Ale niedługo będzie miał, gwarantuję ci – odparł Spade.

– Otwory wybite w tej karcie sterują maszyną, informują ją, jaki ma tkać wzór

– wyjaśnił Sime. – Dzięki temu cały proces jest znacznie szybszy.

– Niesamowite.

– Pokażę panu. – Sime przez kilka minut obsługiwał maszynę, a Joe był zafascynowany. – Potem, kiedy trzeba zmienić wzór, wkłada się po prostu inną kartę. Wynalazł to Francuz. Wiem, że ze względu na Bonapartego powinniśmy ich nienawidzić, ale ten żabojad był wyjątkowo bystry.

– Kupiliście ją we Francji?

– Nie, Kit Clitheroe i Roger Riddick produkują je tutaj.

– Ale nie przyszedłeś tu, żeby wypytywać mnie o krosno Jacquarda, Joe – zauważył Spade.

– Nie. Chciałbym zamienić z tobą kilka słów na osobności, jeśli można.

– Oczywiście. Przejdźmy do mnie.

Kiedy znaleźli się w gabinecie Spade'a, Joe rozejrzał się z zaciekawieniem.

– Nie tak imponujące jak biuro mojego dziadka, ale wygodniejsze – skomentował.

– No dobrze, co cię sprowadza? – spytał Spade, gdy usiedli.

– Mój dziadek chce, żebym odszedł z wojska i zaczął pracować w jego firmie.

– I co o tym myślisz?

– Chcę się dowiedzieć czegoś więcej o branży, nim podejmę decyzję.

Bardzo rozsądnie, pomyślał Spade, ale następne słowa Joego mocno go zaskoczyły.

– Zarządzasz towarzystwem wzajemnych ubezpieczeń.

– Tak...

– Mój dziadek twierdzi, że tak naprawdę to związek zawodowy, tylko nazywa się inaczej, żeby obejść Ustawę o stowarzyszeniach.

Spade zastanawiał się przez moment, czy to nie pułapka.

– Tak, słyszałem, jak tak twierdził – odparł wymijająco. – Jeśli ma rację, to towarzystwo jest nielegalne.

– Prawdę mówiąc, nie obchodzi mnie, czy jest legalne, czy nie. Pomyślałem po prostu, że warto zasięgnąć u ciebie rady.

Do czego on zmierza, u diabła? – zastanawiał się Spade i na wszelki wypadek milczał.

– Chodzi o to, że nie chcę zarządzać firmą tak jak mój dziadek. Doprowadził do tego, że robotnicy stali się jego wrogami. Prawdę mówiąc, nienawidzą go. A ja nie chcę, żeby ludzie mnie nienawidzili.

Spade skinął głową. Joe miał rację, choć nie wszyscy tak to widzieli.

– Myślę, że byłoby lepiej, gdyby się starał, żeby byli dla niego... no, może nie przyjaciółmi, bo to nierealistyczne, ale sprzymierzeńcami. W końcu chcą tylko produkować dobre tkaniny i dobrze na tym zarabiać, a jemu zależy na tym samym.

Właśnie tak myśleli wszyscy rozsądni ludzie, ale Spade był zdziwiony, że słyszy to z ust człowieka o nazwisku Hornbeam.

– Więc co chcesz zrobić? – rzucił.

– O to chciałem cię spytać. Jak mógłbym zmienić tę sytuację?

Spade nie wierzył własnym uszom. Właśnie miał okazję nauczyć czegoś człowieka, który wkrótce stanie się jedną z najważniejszych osobistości w Kingsbridge. To mógł być kluczowy moment. Zastanawiał się przez chwilę, co powiedzieć, choć w gruncie rzeczy było to proste.

– Rozmawiaj z robotnikami – poradził Joemu. – Zawsze, gdy będziesz chciał wprowadzić jakąś zmianę... na przykład uruchomić nową maszynę albo zmienić godziny pracy... najpierw powinieneś to z nimi omówić. Połowa sporów w tej branży wynika z narzucania czegoś robotnikom bez ostrzeżenia; wtedy odruchowo się temu sprzeciwiają. Musisz im mówić, że chcesz wprowadzić zmianę, przedyskutować z nimi ewentualne problemy i wysłuchać ich sugestii.

– Ty możesz rozmawiać bezpośrednio z pracownikami, bo masz ich raptem kilkunastu – zauważył Joe. – Mój dziadek w samym tylko Świńskim Zakładzie zatrudnia ponad stu robotników.

– Wiem. Tu właśnie przydałyby się związki zawodowe.

– Tyle że są nielegalne, jak sam powiedziałaś.

– Wielu właścicieli, zarówno w przemyśle bawełnianym, jak i wełnianym, chce zniesienia Ustawy o stowarzyszeniach. Przez nią i przez Ustawę o zdradzie i wywrotowych spotkaniach robotnicy nie mogą negocjować z pracodawcami, nie narażając się przy tym na areszt. A skoro zostaje im tylko przemoc, właśnie do niej się uciekają.

– Tak, to ma sens. – Joe skinął głową. – Dziękuję.

– Zawsze do usług. Mówię poważnie. Chętnie pomogę, jeśli tylko będę mógł.

Joe wstał i Spade odprowadził go do wyjścia.

– Czy jest coś, co mógłbym zrobić od razu, choćby jakiś drobiazg, który byłby sygnałem, że sytuacja się zmieni? – spytał wnuk Hornbeama.

Spade zastanawiał się.

– Znieś zasadę, która nie pozwala ludziom chodzić za potrzebą poza ściśle wyznaczonymi godzinami – odparł po chwili.

Joe spojrzał na niego z niedowierzaniem.

– Dobry Boże, mój dziadek to robi?

– Oczywiście. Jak wielu innych właścicieli w mieście... choć nie wszyscy. Ja tego nie stosuję. Amos Barrowfield też nie.

– Ja myślę! Przecież to barbarzyństwo!

– Zwłaszcza kobiety tego nie znoszą. Mężczyźni, jeśli nie mają innego wyjścia, sikają na podłogę.

– Ohyda!

– Więc zmień to.

Joe uściskał dłoń Spade'a.

– Tak właśnie zrobię – obiecał i wyszedł.

*

Amos poczekał, aż będą sami. Zdarzało się to raz w tygodniu, po szkółce niedzielnej. Siedzieli przy stole w sali, w której wciąż unosił się zapach niemytych dzieci. Spojrzał na Elsie i spytał bez żadnych wstępów:

– Czy przyszło ci kiedyś do głowy, że hrabia Henry nie jest ojcem Hala?

Uniosła brwi, wyraźnie zaskoczona. Odpowiedziała jednak spokojnie, wręcz powściągliwie:

– Każdemu przyszło to kiedyś do głowy. A przynajmniej tym, których interesują plotki, czyli większości mieszkańców Kingsbridge.

– A skąd te podejrzenia?

– Choćby stąd, że Jane potrzebowała aż dziewięciu lat, by zająć w ciążę. Więc kiedy się to stało, ludzie zaczęli się zastanawiać, jak jej się to udało. Oczywiście jest wiele możliwości, ale plotkarze zawsze wybierają te najwstrętniejsze.

A więc uważała, że cudzołóstwo jest wstrętne. Miała rację, ale gdy usłyszał to z jej ust, omal się nie poddał.

Wiedział, co musi powiedzieć, ale gdy już nadeszła ta chwila, czuł się zażenowany. W końcu jakoś przemógł wstyd.

– Myślę, że to ja jestem ojcem Hala. – Czuł, jak policzki pałą go żywym ogniem. – Przepraszam, że cię zszokowałem.

– Nie jestem specjalnie zszokowana.

– Naprawdę?

– Zawsze to podejrzewałam. Podobnie jak wielu innych.

Amos czuł się jeszcze bardziej zawstydzony.

– Chcesz powiedzieć, że mieszkańcy Kingsbridge się tego domyślają?

– Owszem, wszyscy sądzili, że masz romans z Jane.

– To nie był romans.

– Być może, ale wydawałeś się oburzony wizytą majora Dwighta.

– Tak, byłem oburzony, bo nie znoszę, kiedy Jane zachowuje się tak haniebnie. Kiedyś ją kochałem, ale to już przeszłość.

– Skoro to nie był romans, to jak możesz być ojcem Hala?

– To był tylko jeden raz. To znaczy... to nie był długotrwały grzech... O Boże, sam nie wiem, co mówię.

– Amos, jedną z twoich najbardziej uroczych cech jest niewinność. Nie musisz się wstydzić ani nawet krępować, przynajmniej nie ze względu na mnie.

– Jestem cudzołożnikiem.

– Nie, nie jesteś. Zgrzeszyłeś raz. Dawno temu. – Wyciągnęła do niego rękę i przykryła jego dłoń swoją. – Znam cię dobrze, prawdopodobnie lepiej niż ktokolwiek na tym świecie, i wiem, że nie jesteś złym człowiekiem. Z całą pewnością.

– Cieszę się, że przynajmniej ty tak myślisz.

Na chwilę zapadła cisza. Elsie otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, lecz zmieniła zdanie. A potem zmieniła je jeszcze raz i spytała:

– Dlaczego w ogóle poruszyłeś ten temat, i to ponad dziesięć lat po tym, jak...?

– Sam nie wiem. – Uświadomił sobie, że to wyjątkowo głupia odpowiedź, i dodał szybko: – Tak naprawdę wiem, oczywiście, że wiem.

– Więc... dlaczego?

– Bałem się, że nie chciałabyś poślubić cudzołożnika.

Elsie znieruchomiała.

– Poślubić?

– Tak. Bałem się, że mnie odrzucisz.

– Czy ty właśnie prosisz mnie o rękę?

– Tak. Nie robię tego najlepiej, co?

– Na pewno niezbyt konkretnie.

– To prawda. No dobrze. Elsie, kocham cię. Myślę, że kochałem cię od bardzo, bardzo dawna, choć nie zdawałem sobie z tego sprawy. Jestem szczęśliwy, gdy jesteś przy mnie, a kiedy jesteś daleko, tęsknię za tobą. Chcę, żebyś za mnie wyszła, zamieszkała w moim domu i spała w moim łóżku. Chcę co rano jeść śniadanie z tobą i twoimi dziećmi. Ale obawiam się, że moja przeszłość to uniemożliwia.

– Nie powiedziałam niczego podobnego.

– Nie przeszkadza ci to, co zrobiłem z Jane?

– Nie przeszkadza... Nie aż tak... No dobrze, przeszkadza, ale i tak cię kocham.

Czy ona naprawdę to powiedziała? „I tak cię kocham”.

Powiedziała.

– Więc... wyjdiesz za mnie? – spytał.

– Tak. Tak. Wyjdę. Zawsze tego chciałam. Oczywiście, że za ciebie wyjdę.

– Och... – Amos westchnął. – Och... Och... dziękuję.

*

W poniedziałek, w drodze powrotnej z zakładu, kierowany impulsem Hornbeam wszedł do katedry. Miał nadzieję, że będzie tu mógł pozbierać myśli – i miał rację. Filary i łuki tworzyły uporządkowaną całość, a gdy przyglądał im się w blasku świateł, odkrył, że jego myśli stają się bardziej uporządkowane. Wcześniej w jego głowie dominowały chaos i gniew. Wszystko, w co dotąd wierzył, okazało się fałszem, a nie miał nic, czym mógłby to zastąpić. Tutaj czuł się spokojnie.

Przeszedł główną nawę do transeptu, ominął ołtarz i dotarł do wschodniego krańca katedry, jej najświętszej części. Przystanął, odwrócił się i spojrzał za siebie.

Myślał o Jarge’u Boxie. Zawsze uważał go za człowieka bezwartościowego, za ludzki śmieć. Box sprawiał kłopoty, wdawał się w bójki, strajkował, niszczył maszyny. A jednak ostatecznie zostawił mu prezent cenniejszy od wszystkiego, co Hornbeam mógł sobie wyobrazić: życie Joego.

Box został poddany ostatecznej próbie. Los sprawdził, czy zechce zaryzykować własne życie, by ratować towarzysza broni. To było podwójne wyzwanie, z którego wyszedł obronną ręką: dowiódł nie tylko odwagi, ale też ofiarności.

Dziś był poniedziałek. Poprzedniego dnia biskup wygłosił kazanie, w którym odnosił się do słów z Pisma Świętego: *Nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie oddaje za przyjaciół swoich**. Mówił o tych, którzy zginęli pod Waterloo, lecz Hornbeam myślał tylko o Boxie. Czym jest moje życie w porównaniu do jego? –

zadawał sobie pytanie. Odpowiedzi udzielił mu Jezus: nikt nie miał większej miłości od tej, którą okazał Jarge Box.

Kiedy Hornbeam zastanawiał się teraz nad swoim życiem, wydawało mu się bezwartościowe. Jako dziecko żył z kradzieży i przemocy. Jako dorosły robił to samo, choć mniej otwarcie: płacił łapówki, by zdobywać zamówienia, skazywał ludzi na chłostę lub ciężkie roboty albo stawiał ich przed sądem wyjazdowym, by ten skazał ich na śmierć. Zawsze miał tę samą wymówkę: okrutną śmierć matki. Ale wielu ludzi znosiło w dzieciństwie okrucieństwa, a potem prowadziło przyzwoite życie. Kit Clitheroe był przykładem takiego człowieka.

Z rozmyślań wyrwały Hornbeama głośne rozmowy i śmiech; po drugiej stronie katedry pojawili się dzwonnicy zmierzający na próbę. Nie mógł w takiej sytuacji oddawać się dłużej melancholijnym refleksjom. Ruszył do wyjścia.

Gdy dotarł do transeptu, zauważył małe drzwi w północnym rogu świątyni. Były otwarte. Przypomniawszy sobie, że w ciągu dnia na dachu pracowali robotnicy. Musieli zapomnieć zamknąć drzwi. Kierowany impulsem, wszedł za nie i ruszył w górę spiralnymi schodami.

Musiał przystanąć kilka razy, bo dokuczał mu ból w piersiach, ale po krótkim odpoczynku szedł dalej, aż dotarł na dach.

Był jasny księżycowy wieczór. Przeszedł po wąskim podeście i znalazł się obok szczytu dzwonnicy. Gdy podniósł wzrok, zobaczył posąg anioła, przedstawiający podobno Caris, zakonnicę, która podczas straszliwej epidemii czarnej śmierci zbudowała szpital. Ona też należała do osób, które zrobiły w życiu coś dobrego.

Hornbeam był po północnej stronie dachu i kiedy patrzył w dół, widział obłany księżycowym światłem cmentarz. Ludzie, którzy tam leżeli, cieszyli się spokojem ducha.

Wiedział, że istnieje rozwiązanie jego problemu, lekarstwo na tę chorobę. Wspominano o nim regularnie w każdej chrześcijańskiej świątyni na świecie: pokuta i żal za grzechy. Człowiek może uzyskać przebaczenie za złe uczynki. Leczeniem jest upokorzenie. Kiedy Hornbeam wyobraził sobie, jak przyznaje, że złe

postępował – przed rodziną, klientami, innymi sukiennikami, radnymi – aż wzdrygnął się ze zgrozy. Żal za grzechy? Skrucha? Czy powinien przeprosić tych, którym wyrządził krzywdę? Przez ostatnie pół wieku nie przeproszał za nic. Czy mógł oddać pieniądze zarobione na kontraktach z wojskiem, które dostał dzięki łapówkom? Stanąłby wtedy przed sądem. Być może trafiłby do więzienia. Co stałoby się z jego rodziną?

Ale nie mógł tak dłużej żyć. Dręczące myśli nie pozwalały mu spać w nocy. Wiedział, że nie prowadzi firmy tak, jak powinien. Prawie z nikim nie rozmawiał. Nieustannie palił. A ból w piersiach coraz bardziej mu dokuczał.

Przeszedł na skraj dachu i spojrzał w dół na nagrobki. Dzwonnicy zaczęli próbę. Tuż obok niego rozbrzmiały potężne dzwony; zdawało się, że ich głos wprawia w drżenie jego kości, wypełnia mu umysł. Całe jego jestestwo wibrowało. Spokój duszy, pomyślał. Spokój duszy.

Zrobił krok do przodu.

Ogarnęło go przerażenie. Chciał zmienić decyzję, zawrócić. Słyszał, jak krzyczy niczym dręczone zwierzę. Miał otwarte oczy, widział, jak ziemia pędzi ku niemu z zatrważającą prędkością. Czuł wyłącznie narastający strach, ale nie mógł już krzyczeć głośniej. Potem wydarzyło się najgorsze: uderzył w ziemię z siłą, która wypełniła jego ciało straszliwym, nieopisanym bólem.

A potem nic.

* J 15,13.

ROZDZIAŁ 45

Arabella podniosła wzrok znad gazety.

– Rozwiązano parlament – oznajmiła.

Jej osiemnastoletni syn przełknął kawałek bekonu i spytał:

– Co to oznacza?

Życiowa wiedza Abe'a była dość wyrywkowa. W niektórych kwestiach orientował się całkiem nieźle, w innych był ignorantem. Być może w jego wieku to normalne. Spade próbował sobie przypomnieć, czy był taki sam, ale nie potrafił. Na szczęście jesienią Abe miał rozpocząć studia na uniwersytecie w Edynburgu, co oznaczało, że szybko poszerzy swoją wiedzę.

– To oznacza, że wkrótce będą wybory – wyjaśniła mu matka.

– I być może wkrótce pozbędziemy się Humphreya Frogmore'a – dodał Spade. Bez wątpienia była to atrakcyjna perspektywa. Frogmore wygrał wybory uzupełniające po śmierci Hornbeama. Był leniwym i nieskutecznym posłem.

– Tak? – zdziwił się Abe.

– Frogmore będzie musiał stanąć do wyborów, jeśli nadal chce być posłem – wyjaśniła ponownie Arabella.

– Kiedy odbędą się wybory? – spytał Spade.

Spojrzała na gazetę.

– Pierwsze posiedzenie nowego parlamentu odbędzie się czwartego sierpnia – powiedziała.

– Więc mamy prawie dwa miesiące – mruknął Spade, dokonawszy w myślach szybkich obliczeń. Była połowa czerwca 1818 roku. – Musimy wystawić kogoś przeciwko Frogmore'owi.

– Dlaczego? – spytał Abe.

– Pan Frogmore wspiera Ustawę o stowarzyszeniach – wytłumaczył Spade. Wielu posłów chciało wycofać tę zniechęconą ustawę, ale Frogmore wciąż ją popierał. Właściwie była to jedyna kwestia, o której wypowiadał się w parlamencie. Reprezentował twardogłowych z Kingsbridge, którym wcześniej przewodził Hornbeam.

– Potrzebujemy nowego kandydata – rzuciła Arabella. – Uważam, że powinien nim być mój zięć.

Spade skinął głową.

– Ludzie lubią Amosa, skoro po śmierci Hornbeama wybrali go na burmistrza. – Spade spojrział na zegarek. – Pójdę z nim porozmawiać. Złapię go jeszcze, zanim wyjdzie do zakładu.

– Pójdę z tobą – oznajmiła Arabella.

Włożyli kapelusze i wyszli z domu. Był przyjemny czerwcowy poranek, chłodny, ale słoneczny; zwilżone rosą miasto przybrało świeży wygląd.

Amos i jego rodzina jedli jeszcze śniadanie. Dzieci Elsie szybko dorastały. Stephen wyjechał do Oksfordu, Billy i Richie wyglądali już jak młodzieńcy, a nie chłopcy, a Martha mogła się pochwalić figurą młodej kobiety. Tylko Georgie wciąż była dzieckiem.

Przygotowano dodatkowe nakrycia dla dziadków i nalano im kawy. Spade poczekał, aż młodzież skończy jeść i wyjdzie, i powiedział:

– Czytałeś, że rozwiązano parlament?

– Tak – odparł Amos. – Musimy wystawić kogoś przeciwko temu beżytecznemu Frogmore’owi.

– Właśnie. – Spade uśmiechnął się. – I uważam, że tym kimś powinieneś być ty.

– Tego się obawiałem.

– Ludzie cię lubią. Mógłbyś pokonać Frogmore’a.

– Przykro mi, ale muszę cię rozczarować. – Amos spojrział na Elsie, by znaleźć u niej wsparcie.

– Nie wyjedziemy do Londynu – oświadczyła Elsie. – Nie chcę zostawić szkółki niedzielnej.

– Nie musisz. Amos może jeździć do Londynu sam, kiedy będzie to konieczne – powiedział Spade. Czuł jednak, że przegrywa tę dyskusję. Amosowi było za dobrze z żoną. Wyglądał na zadowolonego i nawet trochę przytył.

– Zmarnowałem pół życia, nie będąc mężem Elsie. Teraz, kiedy jesteśmy razem, nie będę siedział całymi miesiącami w Londynie bez niej.

– Ale na pewno... – zaczął Spade.

– Daj już spokój – przerwała mu Arabella. – Oni mówią poważnie.

Spade posłusznie zamilkł. W takich sprawach jego żona zwykle miała rację.

– Ale rzeczywiście potrzebujemy kandydata – powiedział Amos. – I uważam, że najlepszym będzie inny mężczyzna, który siedzi przy tym stole. – Spojrzał wymownie na Spade'a.

– Nie mam wykształcenia!

– Potrafisz czytać i pisać, jesteś ponadprzeciętnie inteligentny.

– Ale nie umiem wygłaszać przemówień z łacińskimi i greckimi cytataми.

– Ja też nie. I to wcale nie jest konieczne. Owszem, absolwenci Oksfordu lubią się popisywać podczas debat, ale większość z nich nie ma pojęcia o tych gałęziach przemysłu, dzięki którym nasz kraj się bogaci. Byłbyś doskonałym orędownikiem zniesienia Ustawy o stowarzyszeniach.

Spade zamyślił się. Ustawa została wprowadzona przez elitę bogaczy, by robotnicy nie mogli w żaden sposób polepszyć swojego losu. Być może miałyby okazję znieść to nikczemne prawo. Czy mógł odmówić?

– Naprawdę jest możliwe zniesienie tej ustawy? – spytała Arabella. – Myślałam, że posłowie chcą trzymać robotników pod butem.

– Niektórzy tak, ale nie wszyscy – odparł Amos. – Joseph Hume, przywódca radykałów, jest przeciwny tej ustawie, a wydawca gazety „The Scotsman” całkowicie się z nim zgadza. A emerytowany krawiec, Francis Place, poinformował

Hume'a i wszystkich bardziej oświeconych posłów o złych skutkach tej ustawy. Place wspiera poświęconą polityce gazetę „The Gorgon”.

– Co byś powiedziała na przeprowadzkę do Londynu? – zwrócił się Spade do Arabelli.

– Tęskniłabym za Elsie i wnuczętami. Ale moglibyśmy spędzać znaczną część roku tutaj. A życie w Londynie pewnie jest ciekawe.

Spade dostrzegł w jej oczach błysk ekscytacji – spodobała jej się ta perspektywa. Miała sześćdziesiąt trzy lata, ale więcej energii niż większość kobiet o połowę od niej młodszych.

– Zastanowię się nad tym – powiedział.

Następnego dnia zgodził się kandydować.

I wygrał.

*

Irlandczycy, których Hornbeam dwadzieścia lat wcześniej sprowadził do Kingsbridge, by złamać strajk, wrosli już w miejscową społeczność i nikt nie nazywał ich łamistrajkami. Wciąż mówili z czarującym irlandzkim akcentem, ale ich dzieci już nie. Chodzili do jedyne go w mieście katolickiego kościoła, ale poza tym nie obnosili się ze swoją religią. Nie różnili się specjalnie od pozostałych robotników z zakładów włókienniczych. Colin Hennessy, ich przywódca, często przychodził do sklepu Sal.

Parter domu, w którym spędzała większość dnia, został przedzielony na pół ladą. Półki i szafki były wyładowane różnymi towarami. Sprzedawała właściwie wszystko prócz ginu. Mogłaby sporo zarobić, sprzedając alkohol na szklanki, ale nie znosiła pijaństwa – być może ze względu na słabość Jarge'a – wolała więc nie mieć nic wspólnego z mocnymi trunkami.

Sal lubiła Colina i często gawędzili. Byli w tym samym wieku i oboje uchodzili za przywódców swoich społeczności. Niegdyś stawili razem czoło Hornbeamowi, a Sal śniła, że kocha się z tym przystojnym Irlandczykiem.

– Nie wiem, czy ci o tym mówiłam, ale mój syn był pierwszą osobą, z którą rozmawiałeś po przyjeździe do Kingsbridge – powiedziała do niego pewnego dnia 1819 roku.

– Naprawdę?

– I z twoją żoną, Panie, świeć nad jej duszą. Przykro mi, że odeszła.

– Minęło już pół roku.

– A dzieci dorosły i się pożeniły.

– Tak.

– Pamiętam dzień, kiedy tu przyjechaliście. Mój syn przybiegł do domu z wiadomością o wozach pełnych cudzoziemców.

– Chyba pamiętam jakiegoś malucha.

– Spytałeś go o imię i powiedziałeś mu, jak się nazywał. Opowiadał, że rozmawiał z wysokim mężczyzną z czarnymi włosami, który bardzo dziwnie mówił.

– No tak, to ja. – Colin roześmiał się.

Sal spojrzała za okno i zobaczyła, że zapada już zmierzch.

– Będę musiała zamykać – rzuciła.

– Jasne. Zaraz wychodzę.

Przyjrzała mu się uważnie. Wciąż był zabójczo przystojny.

– Napijesz się herbaty? – spytała.

– Cóż, nie odmówię.

Zamknęła drzwi na klucz i zaprowadziła go na górę. Postawiła czajnik na piecu, w którym palił się węgiel.

Już niemal od czterech lat z powodzeniem prowadziła sklep. Zarobiła tyle pieniędzy, że po raz pierwszy w życiu musiała otworzyć konto w banku. Przede wszystkim podobało jej się jednak to, że spotykała się stale z ludźmi. Przychodzili do niej przez cały dzień i każdy dzielił się z nią radościami i smutkami. Tylko w nocy czuła się samotna.

– Wszyscy myśleli, że wrócicie do siebie, do Irlandii, lecz zostaliście – powiedziała do Colina.

– Uwielbiam Irlandię, ale trudno tam zarobić na życie. Rząd w Londynie nie przepada za Irlandczykami.

– Ani za Anglikami, chyba że to arystokraci albo bogaci przedsiębiorcy. Rządzą tak, by chronić interesy takich ludzi.

– Święta prawda – przyznał Colin.

Zrobiła herbatę, podała mu filiżankę i zaproponowała cukier.

– Bardzo dobra – pochwalił, upiwszy łyk. – To ciekawe, że herbata smakuje lepiej, kiedy robi ją ktoś inny.

– Brakuje ci żony.

– O tak. A ty...?

– Mnie też brakuje Jarge'a. Miał swoje wady, ale kochałam go.

Przez parę minut milczeli. W końcu Colin odstawił filiżankę.

– Chyba powinienem już iść.

Sal wahała się. Mam pięćdziesiąt lat, pomyślała. Nie mogę tego zrobić.

– Nie musisz iść – powiedziała jednak i wstrzymała oddech.

– Nie?

– Możesz zostać, jeśli chcesz.

Colin milczał.

– Możesz zostać na noc – dodała nerwowo, by sprawa była całkiem jasna. – Jeśli chcesz.

Uśmiechnął się.

– Tak, kochana Sal – odrzekł. – O tak, chcę.

*

Henry, hrabia Shiring, zmarł w grudniu 1821 roku. Jego śmierć nie miała nic wspólnego z raną głowy spod Waterloo; spadł z konia i się zabił. Jane dobrze

prezentowała się w czerni, ale Amos wiedział, że nie rozpacza. Henry był dobrym żołnierzem, ale kiepskim mężem.

Nabożeństwo żałobne w katedrze w Kingsbridge odprawił biskup Reddingcote. Pojawili się prawie wszyscy arystokraci z hrabstwa, najważniejsi obywatele Kingsbridge i wszyscy oficerowie ze Sto Siódmego Pułku. Amos przypuszczał, że we wnętrzu katedry zebrało się około tysiąca osób.

Przyjechał także major Percival Dwight z Londynu. Mówił wszystkim, że reprezentuje księcia Yorku, głównodowodzącego brytyjskiej armii, ale wszyscy wtajemniczeni wiedzieli, że tak naprawdę chce zabiegać o względy wdowy.

Po nabożeństwie wyniesiono trumnę na zewnątrz i położono na karawanie ciągniętym przez cztery czarne konie. Padał lekki śnieg, płatki lądowały na ich grzywach i topiły się na ich ciepłych grzbietach. Kiedy trumnę należycie umocowano, powóz odjechał do Earlscastle, gdzie Henry miał spocząć w rodzinnym grobie.

Stypę wyprawiono w ratuszu. Amosa zaproszono do oddzielnego pokoju dla specjalnych gości. Podczas rozmowy Jane podnosiła woal, ale na jej twarzy nie było widać śladu łez. Kiedy wszyscy złożyli jej kondolencje, Amos odprowadził ją na bok i spytał, jakie ma plany.

– Pojadę do Londynu – odparła. – Mamy tam dom, z którego Henry prawie nie korzystał. Teraz oczywiście należy do Hala, ale rozmawiałam z nim i nie ma nic przeciwko temu, żebym tam zamieszkała.

– Hm... będziesz tam miała przynajmniej jednego przyjaciela.

– Kogo masz na myśli?

– Majora Dwighta.

– Mam w Londynie więcej przyjaciół. Na przykład księżną Richmondu. I kilka innych osób, które poznałam w Brukseli.

– Będziesz miała z czego żyć?

– Hal zgodził się dawać mi co miesiąc pieniądze na stroje. To bardzo hojne z jego strony.

– Wiem. Dzięki tobie siostra Spade’a sporo zarobiła.

– Ale to nie wszystko. Ubezpieczyłam Henry’ego na życie i nie mówiąc mu o tym, opłacałam składkę z pieniędzy, które mi dawał. Mam więc niemało własnych oszczędności.

– Cieszę się. – Mogłem się domyślić, że zadba o swoją przyszłość finansową, pomyślał Amos. – Wyjdiesz ponownie za mąż?

– Bardzo niestosowne pytanie, biorąc pod uwagę, że jesteśmy właśnie na pogrzebie mojego męża.

– Owszem, niestosowne. Ale wiem, że nie lubisz, gdy ludzie są nieszczerzy w takich kwestiach.

– Za dobrze mnie znasz, szczerwany lisie. – Jane zachichotała. – Ale nie odpowiem ci na to pytanie.

– Rozumiem.

Ktoś zbliżył się, by złożyć jej kondolencje, więc Amos przeszedł do bufetu. Jego pasierb Stephen rozmawiał z Halem, szesnastoletnim nowym hrabią.

– Na ile wykładów musisz chodzić tygodniowo? – spytał Hal.

– W ogóle nie muszę – odparł Stephen. – Ale większość studentów chodzi na jeden wykład dziennie.

Rozmawiali o Oksfordzie. Amos przypomniał sobie, jak zazdrościł młodym mężczyznom, którzy studiowali, i jak się zastanawiał, czy jego syn będzie mógł cieszyć się tym przywilejem. Teraz jego nieślubny syn miał spełnić to marzenie. Jakież to dziwne, pomyślał Amos. Moje pragnienia spełniają się w sposób, jakiego nigdy bym sobie nie wyobraził.

Przekonał się już jednak, że takie jest życie. Sprawy nigdy nie układają się do końca tak, jak człowiek by tego oczekiwał.

*

Przed Bożym Narodzeniem 1823 roku Spade, który już od jakiegoś czasu był posłem, udał się na tajne spotkanie w londyńskim domu Francisa Place’a.

Kampania zmierzająca do wycofania Ustawy o stowarzyszeniach osiągała właśnie punkt kulminacyjny. W przyszłym roku w parlamencie miała się odbyć pokojowa wersja bitwy pod Waterloo. Przy założeniu, że rząd był Bonapartem, a opozycja Wellingtonem, należało uznać, że mała grupa spotykająca się przy Charing Cross była Prusakami, którzy mogli przechylić szalę zwycięstwa na rzecz przedstawicieli brytyjskich robotników.

W zebraniu uczestniczyło kilku radykalnych członków parlamentu – w tym sam Joseph Hume – którzy od lat próbowali znieść Ustawę o stowarzyszeniach, jak dotąd bez powodzenia. Większość posłów nie zgadzała się z nimi i zachowywała tak, jakby każde spotkanie robotników mogło doprowadzić do rewolucji i gilotynowania przeciwników politycznych.

Teraz przyszła pora na ostateczną rozgrywkę.

Hume oznajmił, że przekonał rząd do stworzenia Komisji Specjalnej do spraw Rzemieślników i Maszyn.

– Komisja zajmie się sprawą emigracji rzemieślników i eksportu maszyn – wyjaśnił. – Oba te tematy są bardzo ważne dla rządu i producentów. W związku z tym kazano nam się zająć skutkami działania Ustawy o stowarzyszeniach. Jako że był to mój pomysł, rząd zgodził się, bym przewodniczył komisji. To dla nas wielka szansa.

– Musimy to sprytnie rozegrać – odezwał się Spade. – Lepiej zbyt wcześnie nie alarmować naszych wrogów.

– Jak to zrealizujemy? – spytał ostrożny jak zawsze poseł z północy, Michael Slater. – Nie możemy utrzymywać działalności komisji w tajemnicy.

– Ma pan rację. Ale możemy nie przydawać jej większego znaczenia – odparł Spade. – Powinniśmy mówić o pracy w niej tak, jakby był to uciążliwy obowiązek, który nie przyniesie żadnego pożytku.

W ciągu ostatnich pięciu lat Spade wiele się nauczył o mechanizmach rządzących parlamentem. Podobnie jak w szachach, atak nie powinien wyglądać na akt agresji, dopóki nie da się już przed tym uciec.

– Dobry pomysł. – Hume pokiwał głową.

– Wszystko będzie zależało od członków komisji – dodał Spade.

– Już się tym zajęliśmy – uspokoił go Hume. – Teoretycznie członków będzie wybierał prezes Izby Handlowej. Przedstawię mu jednak listę z rekomendowanymi osobami. Będą na niej wyłącznie nazwiska ludzi, którzy wspierają naszą sprawę. Choć oczywiście prezes nie będzie o tym wiedział.

Spade pomyślał, że może się udać. Zarówno Hume, jak i Place byli doświadczonymi politykami; przepchnęli już w parlamencie wiele ustaw. Można było mieć pewność, że nie dadzą się łatwo wymanewrować.

– Najważniejsze jest – kontynuował Hume – przedstawienie komisji przekonujących świadków, którzy osobiście doświadczyli niesprawiedliwości jako konsekwencji tej ustawy. I dlatego dziś się spotykamy. Przede wszystkim potrzebujemy robotników, którzy zostali surowo ukarani za złamanie ustawy.

Spade pomyślał o Sal, która wyszła za Colina i nazywała się teraz Hennessy.

– W Kingsbridge jest kobieta, którą skazano na dwa miesiące ciężkich robót tylko dlatego, że powiedziała właścicielowi fabryki, że łamie ustalenia uzgodnione wcześniej przez sukienników – oznajmił.

– Właśnie tego nam potrzeba. Głupich, złośliwych wyroków bazujących na tej ustawie.

– Niewykształceni robotnicy to zwykle kiepscy świadkowie – stwierdził sceptycznie Slater. – Przedstawiają absurdalne skargi. Mówią, że właściciele uciekają się do czarów i tak dalej.

Spade pomyślał, że Slater to użyteczny pesymista. Zawsze czegoś się czepiał, ale wskazywał przy tym na istniejące problemy.

– Świadców przesłucha najpierw pan Place – uspokoił go Hume. – Potem opowie mi o doświadczeniach każdego z nich, żebym wiedział, jakie zadawać im pytania.

– Świetnie. – Zadowolony Slater skinął głową.

– Będziemy też potrzebować zeznań pracodawców, którzy potwierdzą, że łatwiej jest zarządzać robotnikami, gdy można negocjować ze związkami zawodowymi – dodał Hume.

– Znam i takich ludzi – odparł Spade.

– Wiem, że istnieją zakłady, w których płace są tak niskie, że robotnicy ubiegają się o zapomogę dla ubogich – zabrał głos Francis Place. – Co oczywiście złości instytucje, które udzielają zapomóg, bo to tak, jakby subsydiowały przedsiębiorców.

– Dobry argument – zauważył Hume. – Musimy przedstawić świadków, którzy to potwierdzą. To bardzo ważne.

– Nasi przeciwnicy też będą mieli świadków – powiedział Slater.

– Bez wątplenia – przyznał Hume. – Ale jeśli odpowiednio to rozegramy, zajmą się tym dopiero w ostatniej chwili i zeznania tych świadków nie będą miały większej wagi.

Właśnie tak uprawia się politykę, rozmyślał Spade, gdy spotkanie dobiegło końca. Mieć słuszość to za mało. Muszą jeszcze być sprytniejsi niż przeciwnicy.

Na Boże Narodzenie wrócił do domu. Poseł nie otrzymywał pensji, więc członkowie parlamentu niemający innych dochodów musieli pracować. Spade wciąż prowadził firmę.

Podczas pobytu w Kingsbridge przekonał Sal i Amosa, by zeznawali przed komisją Hume'a.

Komisja pracowała w Westminster Hall od lutego do maja 1824 roku i przesłuchiwała ponad stu świadków. Amos zaświadczył, że współpraca ze związkami zawodowymi przynosi więcej korzyści niż szkód, co jego żona przyjęła z niekłamaną dumą.

Najważniejszym momentem pracy komisji było przyjmowanie zeznań robotników z zakładów włókienniczych. Dla wszystkich stało się wtedy szokująco oczywiste to, że Ustawę o stowarzyszeniach wykorzystywano do zastraszania

i karania robotników w sposób, o jakim w parlamencie nigdy nie pomyślano. Wielu posłów było przerażonych i oburzonych.

Właściciel pewnego zakładu krawieckiego w Londynie wypłacał robotnikom tylko połowę zarobków, a gdy odmówili dalszej pracy, wezwał ich przed sąd, któremu przewodniczył burmistrz. Wszyscy zostali skazani na ciężkie roboty. Podobną historię opowiedział tkacz ze Stockportu: został pobity przez konstabla i trafił do więzienia na dwa miesiące, razem z dziesięcioma mężczyznami i dwunastoma kobietami.

– Strajk w Kingsbridge przerwano, gdy grupa reprezentantów właścicieli i robotników doszła do porozumienia – powiedziała Sal. – Ustalono między innymi, że jeśli właściciel będzie chciał wprowadzić do produkcji nowe maszyny, omówi to z robotnikami.

– Czy właściciel zgodnie z tym porozumieniem musiał się podporządkować decyzji robotników? – spytał Hume.

– Nie, miał tylko o tym z nimi porozmawiać.

– Proszę mówić dalej.

– Jeden z właścicieli, pan Hornbeam, zaskoczył robotników, wprowadzając nową gręplarkę, o czym nikogo wcześniej nie uprzedził. Poszłam do jego domu z członkiem delegacji robotników, Colinem Hennessym, i z jednym z właścicieli zakładów włókienniczych, Davidem Shovellerem, by o tym porozmawiać.

– Groziła mu pani?

– Nie, przypomnieliśmy mu tylko, że aby uniknąć strajku, najlepiej będzie trzymać się wcześniejszych ustaleń.

– I co się stało?

– Następnego dnia zostałam obudzona o świcie i zaprowadzona do domu pana Willa Riddicka, sędziego pokoju. To samo spotkało pana Hennessy'ego.

– A co z panem Shovellerem?

– Nikt go nie niepokoił. Pan Hennessy i ja zostaliśmy oskarżeni o stowarzyszenie się i skazani na ciężkie roboty.

– Czy pana Hornbeama i sędziego pokoju coś łączyło?

– Tak. Hornbeam był teściem Riddicka.

Wśród członków komisji podniósł się szmer niedowierzania i dezaprobaty.

– A więc podsumujmy – rzucił Hume. – Powiedziała pani panu Hornbeamowi, że łamie porozumienie, a on kazał panią aresztować i oskarżyć o udział w stowarzyszeniu, po czym jego zięć skazał panią na ciężkie roboty.

– Tak.

– Dziękuję, pani Hennessy.

Komisja przygotowała raport, w którym zdecydowanie potępiła przepisy Ustawy o stowarzyszeniach.

Kilka dni później ustawa została zniesiona.

*

W tym samym roku umarł Will Riddick i Roger został dziedzicem.

Sal przeprowadziła się z Colinem do Badfordu i przejęła miejscowy sklep. Nie zobaczyła już Joanie, ale kiedyś przyjechał do Badfordu człowiek z dziwnym akcentem i przywiózł od niej list. Po odbyciu kary Joanie poślubiła osadnika i prowadziła z nim hodowlę owiec w Nowej Południowej Walii. Ciężko pracowała i często myślała o swojej córce Sue, ale kochała męża i nie zamierzała wracać do Anglii.

Kit, Roger, Sal i Colin wprowadzili się do dworu.

Zaraz po przeprowadzce przenieśli psy Willa do stajni i z pomocą Fanny wyszorowali do czysta hol. Tydzień później wszyscy włożyli stare ubrania i pomalowali całą boazerię w domu na kremowo.

– Przynajmniej teraz trochę inaczej tu pachnie – stwierdziła Sal.

– Mamy jeszcze sporo do zrobienia – rzucił Kit.

– A ja nie mogę się doczekać, kiedy się do tego zabierzemy – wtrąciła Fan. – Tylko że dziedzic i jego rodzina nie powinni się zajmować takimi rzeczami.

Mogłabym poradzić sobie sama, może z drobną pomocą. – Platts, z którego i tak nie było większego pożytku, odszedł i została jedyną służącą w domu.

– Kiedyś znajdziemy ci kogoś do pomocy, ale na razie musimy żyć oszczędnie – powiedział Kit. – Zarabiamy całkiem nieźle na nowych maszynach, ale musimy spłacić długi Willa. – Postanowił nie wspominać o długach Rogera. – Muszę sprawdzić księgi i zacząć spłacać kredyty z czynszów robotników rolnych.

Wciąż sprawował pieczę nad pieniędzmi. Roger dostawał comiesięczną wypłatę, ale gdy ją wydał, musiał się wstrzymać z hazardem do następnego miesiąca. Przywykł już do tego, twierdził nawet, że taki układ mu się podoba.

Przeszli do kuchni i Fanny przygotowała na kolację boczek z ziemniakami.

– Potrzebujemy co najmniej kilku kotów, żeby poradzić sobie ze szczurami i myszami – powiedział Kit, bo dostrzegł szczura, który wcisnął się za listwę przypodłogową.

– Zajmę się tym – odparła Fan. – We wsi zawsze jest ktoś, kto chce sprzedać miot kociaków za kilka pensów.

Kiedy zrobiło się ciemno, wszyscy poszli do łóżek. Kit i Roger dla zachowania pozorów mieli oddzielne sypialnie, połączone wspólną garderobą, ale zawsze spali razem. Fanny domyślała się, co ich łączy, wiedzieli jednak, że gdy zatrudnią więcej służących, będą musieli co rano mieć pościel w pustym łóżku, by nie wzbudzać niepotrzebnej sensacji.

Kit zdjął ubrania, usiadł na łóżku i rozejrzał się po pokoju oświetlonym blaskiem świecy.

– Nie chce ci się spać? – spytał Roger. – Ja jestem zmordowany po malowaniu.

– Przypominam sobie, jak spałem tutaj w dzieciństwie – powiedział Kit. – Myślałem wtedy, że to chyba największy dom na świecie, a ludzie, którzy w nim mieszkają, są jak bogowie.

– A teraz ty jesteś jednym z bogów.

Kit parsknął śmiechem.

– Jednym z greckich bogów – dodał Roger, kładąc się obok niego. – A wiesz, co robili Grecy, prawda?

– Nie. Nie studiowałem. Więc co robili Grecy?

Roger objął go czule.

– Pokażę ci – powiedział.

PODZIĘKOWANIA

Gdy pisałem *Zbroję światła*, konsultacji historycznych udzielili mi: Tim Clayton, Penelope Corfield, James Cowan, Emma Griffin, Roger Knight i Margarettę Lincoln.

Jestem również wdzięczny za pomoc następującym osobom: Davidowi Birksowi i Hannah Liddy z Muzeum Trowbridge; Ianowi Birtlesowi, Annie Chrystal, Clare Brown, Jimowi Heatonowi, Ally Tsilice i Julie Whitehouse z Zakładu Włókienniczego Quarry Bank oraz Katherine Belshaw z Muzeum Nauki i Przemysłu w Manchesterze.

Korzystałem w dużej mierze z książki *William Pitt the Younger: A Biography* Williama Hague'a, który był na tyle miły, że włączył do niej prywatny wywiad.

Pracownicy i wolontariusze Waterloo Uncovered zawsze znajdowali czas, by podnieść wzrok znad rydli i odpowiedzieć na moje pytania.

Dziękuję również moim redaktorom: Brianowi Tartowi z Vikinga oraz Vicki Mellor, Susan Opie i Jeremy'emu Trevathanowi z Macmillana.

Mogłem również liczyć na przydatne rady przyjaciół i krewnych: Lucy Blythe, Tima Blythe'a, Barbary Follett, Marii Gilders, Chrisa Mannersa, Alexandry Overy, Charlotte Quelch, Jann Turner i Kim Turner.